

ZDANIE

„Trzech na jednego”
z TADEUSZEM POPIELĄ

W numerze m.in.: Zygmunt BAUMAN, Włodzimierz CIMOSZEWICZ, Henryk DOMAŃSKI,
Stanisław GĘBALA, Eduard S. KOCZERGIN, Hieronim KUBIAK, Tomasz NAŁĘCZ,
Janusz REYKOWSKI, Zdzisław SADOWSKI, Krystyna SKARŻYŃSKA, Andrzej WALICKI

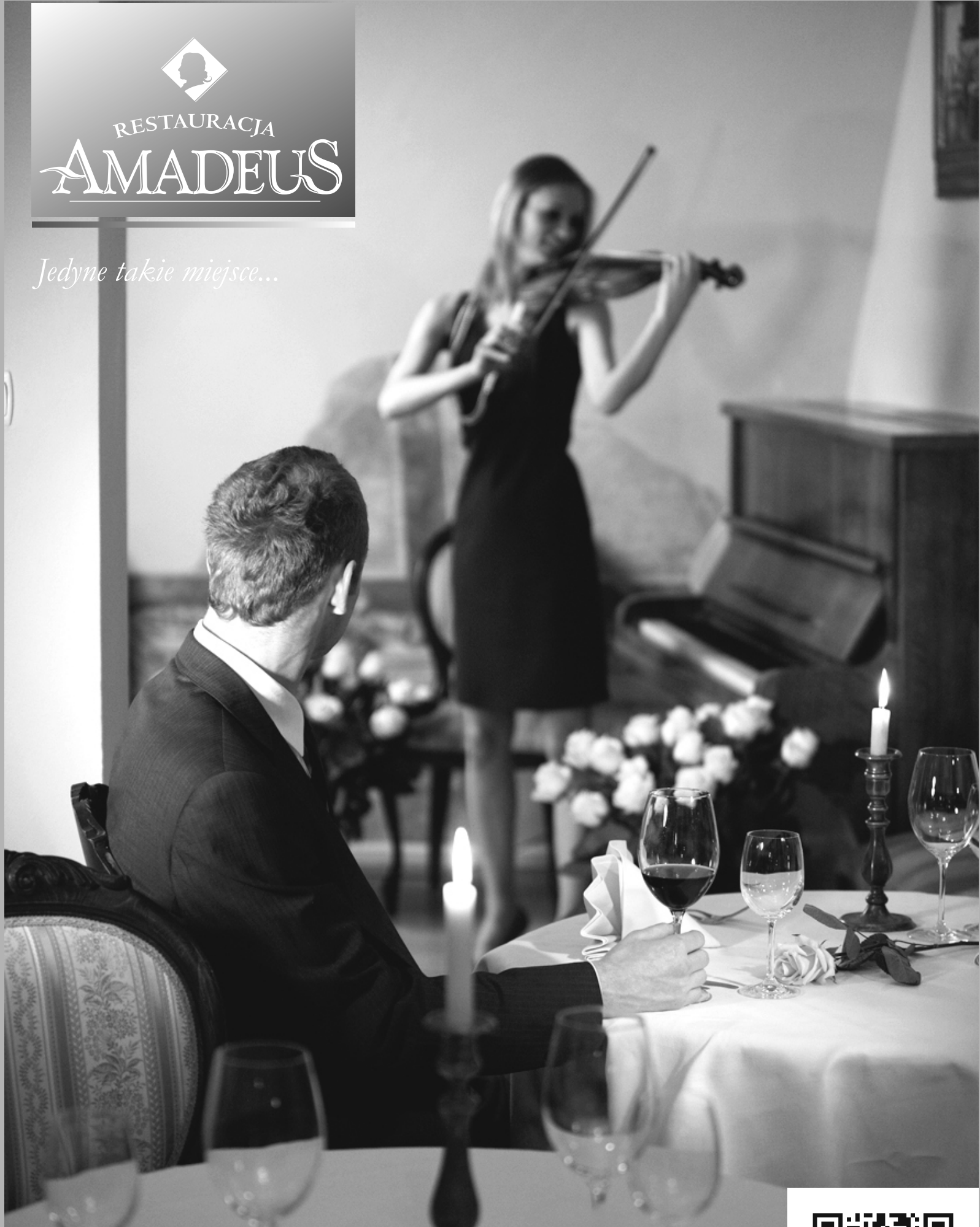
3-4 (154-155) 2012





RESTAURACJA
AMADEUS

Jedyne takie miejsce...



ul. Mikołajska 20, Kraków | +48 12 423 03 40
www.restauracja-amadeus.pl



ZDANIE

PISMO STOWARZYSZENIA >>KUŹNICA<<

3–4 (154–155) 2012

OD REDAKTORA

Tematem dorocznej konferencji „Kuźnicy” była *Europa, przyszłość, polska lewica*. W tym numerze „Zdania” publikujemy wypowiedzi zaproszonych uczestników panelu dyskusyjnego: Z. Baumana, J. Reykowskiego, H. Kubiaka i W. Cimoszewicza.

Z tematem konferencji koresponduje artykuł prof. Andrzeja Walickiego *Czy możliwy jest liberalizm lewicowy?*, pochodzący z jego nowej książki, przygotowywanej do druku jako kolejny tom Biblioteki „Kuźnicy”.

Na ważne w czasach kryzysu i dokonujących się zmian społecznych tematy piszą m.in. profesorowie: Krystyna Skarżyńska, Zdzisław Sadowski, Henryk Domański i Tomasz Nałęcz.

Życie i dorobek pisarski tegorocznego laureata Nagrody „Kowadła” – Juliana Kawalca, najstarszego członka

„Kuźnicy”, przedstawia w autorskiej laudacji prof. Bolesław Faron. Natomiast 80. urodziny Wiesława Myśliwskiego, największego z żyjących polskich prozaików, uczciliśmy esejem Adama Komorowskiego oraz przedrukiem fragmentów recenzji z prasy anglosaskiej, jakie się ukazały po uhonorowaniu *Kamienia na kamieniu* prestiżową nagrodą literacką. Autorowi-Jubilatowi serdecznie tej nagrody gratulujemy!

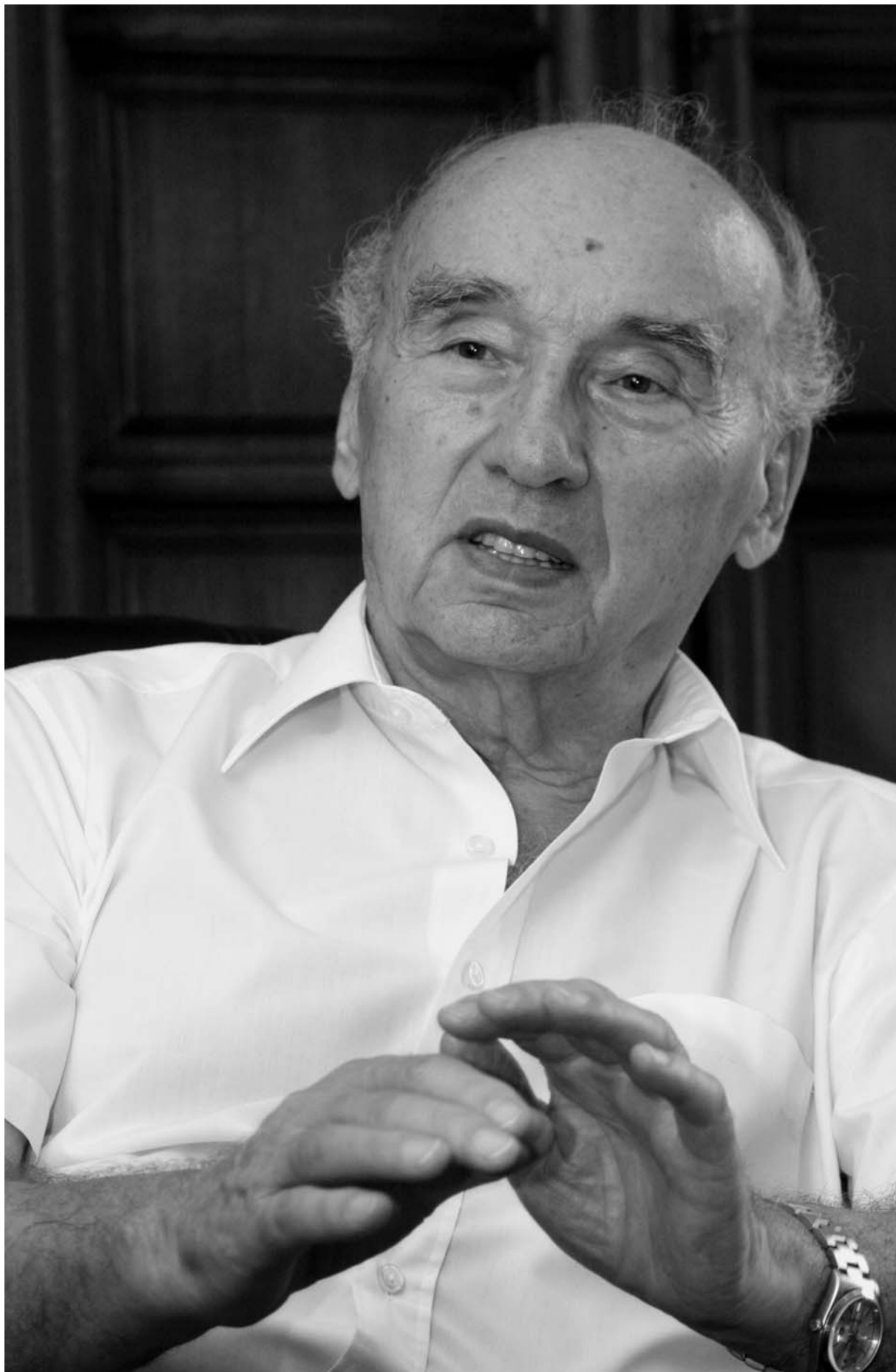
Ponadto w numerze wiele interesujących tekstów o kulturze i literaturze, m.in. o pisarstwie Miłosza i Mrożka.

Bohaterem *Trzech na jednego* jest prof. Tadeusz Popiela, pierwszy reprezentant medycyny w tym cyklu rozmów, który – jak sam powiada – różne rzeczy w życiu robił, ale niczego kosztem chirurgii. I dlatego zapewne osiągnął w tej dziedzinie uznanie w Polsce i świecie.

EDWARD CHUDZIŃSKI

WIEDZIAŁEM, ŻE NIE BĘDĘ ROBIŁ NICZEGO KOSZTEM CHIRURGII „Trzech na jednego”	3
Andrzej Kurz O konferencji „Kuźnicy”: EUROPA, PRZYSZŁOŚĆ, POLSKA LEWICA	15
Zygmunt Bauman CZY PRZYSZŁOŚĆ MA LEWICĘ?	16
Hieronim Kubiak PRZYSZŁOŚĆ PARTII LEWICOWYCH W ZMIENIAJĄCEJ SIĘ EUROPIE	22
Janusz Reykowski OCZYWISTE PYTANIA, TRUDNE ODPOWIEDZI	30
Włodzimierz Cimoszewicz LEWICA MUSI POZYSKAĆ WYKSZTAŁCONĄ, OTWARTĄ NA ŚWIAT CZĘŚĆ SPOŁECZENSTWA	33
Andrzej Walicki CZY MOŻLIWY JEST LIBERALIZM LEWICOWY?	36
Henryk Domański PRZENIKANIE SIĘ WŁAŚCICIELI I INTELIGENCJI	40
Zdzisław Sadowski KRYZYS, PAŃSTWO I MY	42
Tomasz Nałęcz KWESTIA ODPOWIEDZIALNOŚCI	44
Krystyna Skarżyńska DLACZEGO POLACY SŁABO LEGITYMIZUJĄ EKONOMICZNE I POLITYCZNE STATUS QUO?	49
Paweł Kozłowski POLSKA TRANSFORMACJA OCZAMI TADEUSZA KOWALIKA	53
Marcin Kula O MICHALE KALECKIM (między wspomnieniami a badaniem historycznym)	56
Urszula Markowska-Manista POMOC DLA AFRYKI	62

72	Jan Waszkiewicz TOZSAMOŚĆ, DIALOG I WSPÓŁPRACA (na przykładzie Dolnego Śląska)
77	Krzysztof Mroziewicz SADHU
81	Marta Zabłocka CZARNE KLAWISZE OLIVETTIEGO. Oriana Fallaci i Tiziano Terzani
85	Jan Güntner POPIÓŁ TWOICH WŁOSÓW – JAK W ANTYCZNEJ TRAGEDII
92	Eduard Stepanowicz Kocergin GOGA Z BRĄZU (wspomnienia scenografa)
98	Adam Komorowski CZAPKĄ DO ZIEMI. O twórczości Wiesława Myśliwskiego
102	Stanisław Gębala NASZE CZYTANIE MROŻKA
107	Marian Stępień BLASKI I CIENIE STAROŚCI. O późnych wierszach Czesława Miłosza
113	Bolesław Faron „KOWADŁO” DLA JULIANA KAWALCA. Laudacja
116	Paweł Kozłowski DZIENNIK PROFESORA NADZWYCZAJNEGO (cz.I)
121	Władysław Markiewicz NIEMIECKIE ZMĄGANIA Z NAZISTOWSKĄ PRZESZŁOŚCIĄ
125	Jan Broniek LITTERIS ET ARTIBUS CRACOVIAE. 25-lecie Fundacji Kultury Polskiej
128	Przemysław Trzeciak WZGLĘDNOŚĆ, ALBO CHIŃCZYCY
129	Krzysztof Komornicki „STARE SPRAWY, NOWE GŁOSY...”
130	Tomasz Goban-Klas STUDENT JAK CHUCK NORRIS, CZYLI POSTKULTURA STUDENCKA
131	Sceptyk LEWĄ MARSZ?



Fot. Grzegorz Kozakiewicz

trzech na jednego

JEDEN:
TADEUSZ POPIELA
TRZECH:
EDWARD CHUDZIŃSKI
STEFAN CIEPŁY
FILIP RATKOWSKI

WIEDZIAŁEM, ŻE NIE BĘDĘ ROBIŁ NICZEGO KOSZTEM CHIRURGII

EDWARD CHUDZIŃSKI: W Krakowie – i daleko poza nim – jest Pan Profesor postacią znaną, rozpoznawalną, zwłaszcza jako wybitny chirurg, ale urodził się Pan w Nowym Sączu. Co Pana łączy z tą bliższą ojczyzną?

TADEUSZ POPIELA: Z Sądecczyzną wiąże mnie praktycznie wszystko. Przeszłość, teraźniejszość, a nawet pewne zaangażowanie w przyszłość. Nieobojętne mi były rodzące się okresowo różne koncepcje rozwoju tego regionu – właśnie regionu, całej doliny Popradu, a nie tylko samego, bliskiego sercu Nowego Sącza. Dolina Popradu to dla mnie najpiękniejsza dolina. Podobne widziałem tylko w Szwajcarii...

STEFAN CIEPŁY: A czy są w tych sentymentach wspomnienia czegoś w skali kraju wyjątkowego, a mianowicie tzw. eksperymentu sądeckiego?

POPIELA: Eksperyment sądecki, czyli zapoczątkowany niegdyś, pod skrzydłami Lucjana Motyki, a realizowany przez Kazimierza Węglarskiego program rozwoju gospodarczego miał to do siebie, że nie zniszczył walorów ekologicznych i turystycznych doliny Popradu. Zostały naturalne cechy zielonego środowiska i w zasadzie nienaruszony urok miast położonych nad brzegami rzeki – Starego Sącza, Barcic, Rytra, Piwnicznej, Muszyny aż po Krynicę. Jestem rodowitym sądeczani-

nem, mój ojciec i ja urodziliśmy się w Bielowicach. Dziś jest to integralna część Nowego Sącza.

CHUDZIŃSKI: Jaka to część miasta?

POPIELA: To była wioska na obrzeżach tzw. Nowej Kolonii Kolejarskiej, usytuowanej w pobliżu drogi na Nawojową i Krynicę. Tam się urodziłem w 1933 roku, ale niewiele z okresu międzywojennego pamiętam. Początki nauki szkolnej przypadły na lata okupacji. Szkoła, do której chodziłem, ciągle zmieniała lokalizację. Podejrzewam, że to był celowy manewr okupanta, żeby przy okazji tych przenieśin niejako gubić uczniów. Niemcom zależało na ciemnej sile roboczej i tylko takie, elementarne wykształcenie było dla nas dostępne. Po wyzwoleniu Nowego Sącza przez Armię Radziecką, w styczniu 1945 roku odtworzone zostały natychmiast i otwarte dla młodzieży gimnazja i licea. Mimo że dopiero skończyłem piątą klasę szkoły podstawowej, pozwolono mi zdawać do II Gimnazjum i Liceum im. Bolesława Chrobrego. Tam czekały mnie cztery lata nauki, potem dwa w liceum.

CIEPŁY: Jaka z kolejarskich specjalności reprezentował Pana ojciec?

POPIELA: Pracował w warsztatach naprawczych PKP, z których po wojnie wyrosły Nowosądeckie Zakłady Naprawcze Taboru Kolejowego.

FILIP RATKOWSKI: Pamiętamy czasy, kiedy PKP były jednorodną instytucją, właściwie służbą państwową. Teraz dopiero mamy spółki i spółeczki!

POPIELA: Do dziś mam w rodzinnym archiwum swoją legitymację dziecka – pracownika PKP, która uprawniała do zniżki na kolejowe bilety...

CHUDZIŃSKI: I można podejrzewać, że wychowywał się Pan w środowisku socjalistycznym, bo te kolonie kolejarskie to były przed wojną bastiony PPS.

POPIELA: Ojciec był szefem kolejarskiego PPS w zakładzie i myślę, że bardzo aktywnym, bo miało to swoje konsekwencje w czasie okupacji. Od początku był związany z podziemiem, jak zresztą cała nasza rodzina. A wojna zaczęła się dramatycznie nie tylko dla kraju, ale także dla nas. Ojciec, jako kierownik jakiegoś tam działu w zakładach, ewakuowany został wraz z całą załogą i niezbędnym sprzętem do Stanisławowa, zajęty po 17 września przez Armię Radziecką. Agresja niemiecka była czymś oczywistym, natomiast ta była zaskoczeniem. Cała grupa polskich kolejarzy została niejako przejęta przez nowe władze i to był pierwszy kontakt mojego ojca z radzieckim systemem. W jego odczuciu ten system był bardziej prymitywny niż okrutny, przynajmniej w początkowym okresie, ale ogromnie dokuczliwy także dla kolejarzy. Tak więc całą kampanię wrześniową i początki okupacji przeżyliśmy z mamą w Nowym Sączu, a ojciec wrócił z tułaczki dopiero po kilku miesiącach. Większą część podróży przebył na piechotę z całą grupą kolegów.

RATKOWSKI: Natomiast po powrocie musiał się pewnie zgłosić do pracy na kolei, bo kolejarze byli potrzebni i temu okupantowi.

POPIELA: Rzeczywiście wrócił do pracy na kolei i dość szybko nawiązał kontakt z podziemiem. Ojciec był związany ze środowiskiem wojskowym, jego brat był zawodowym oficerem. W 1939 roku ewakuował się do Rumunii i w konsekwencji trafił do Anglii. Po wojnie mieliśmy z nim zresztą słaby kontakt, bo stryj ożenił się w Szkocji i korespondował z rodziną pod zmienionym nazwiskiem. Przez lata nie wiedzieliśmy, co się z nim dzieje, a potem, za jego życia, też nie dostaliśmy paszportu do Londynu. Tak czy inaczej, ojciec miał kontakty z jego kolegami-oficerami, którzy zostali w kraju i wiem, że one przerodziły się w jakąś działalność w podziemiu. Innym kontaktem była grupa kolejarzy, którzy od początku postanowili czynnie walczyć z okupantem. W tej grupie znalazł się mąż siostry ojca, maszynista Władysław Lis. Ich głośnym wyczynem było wysadzenie parowozu w tunelu na trasie do Grybowa. Lis wpadł w ręce Niemców i znalazł się w pierwszej grupie osób rozstrzelanych w lesie w Biegonicach pod Nowym Sączem, co upamiętnia obelisk z nazwiskami zamordowanych, wśród których znaleźli się głównie przedstawiciele miejscowej inteligencji. To wydarzenie z pierwszych dni okupacji miało istotny wpływ na postawę mieszkańców i narodziny konspiracji.

CHUDZIŃSKI: Pan jednak był wówczas za młody, by być wtajemniczonym w te sprawy...

POPIELA: Oczywiście, jednak pamiętam dzień, kiedy przesłano siostrze ojca ubranie i rzeczy osobiste rozstrzelanego wuja i dramat, który przeżywała rodzina.

CIEPŁY: A jak Pan wspomina szkołę z tamtego czasu?

POPIELA: To były ciągłe przeprowadzki i problemy ze zdobyciem materiałów, które zastępowały wycofane lub zarekwirowane przez Niemców podręczniki. Wtedy nie było urzędzeń kserujących, a posiadanie w domu zwykłej maszyny do pisania mogło właściciela narazić na represje.

CIEPŁY: Szkoły sądeckie już po wojnie ukończyli m.in. Władysław Hasior, Tadeusz Szczepanek, Adam Ogorzałek...

POPIELA: To byli moi młodszy koledzy. Pamiętam ich doskonale, bo chodziliśmy do jednego gimnazjum. Zresztą wówczas w Nowym Sączu były tylko dwa licea, więc znaliśmy się wszyscy...

RATKOWSKI: Wróćmy jeszcze do Pańskiego ojca. Czy to on zdecydował, że pójdzie Pan na medycynę?

POPIELA: To ciekawa sprawa. Życie mojego ojca w dość niezwykły, stygmatyzujący sposób wpłynęło na moją drogę życiową. W 1933 roku, w którym się urodziłem, ojciec uległ bardzo poważnemu wypadkowi. Po godzinach normalnej pracy na PKP dorabiał jako spawacz w fabryczce kleju stolarskiego pod Nowym Sączem. Stosunkowo niedawno wybudował sobie dom, obciążeni byliśmy poważnymi pożyczkami i trzeba było je spłacać. I w tej fabryczce przez pomyłkę podtoczono mu do naprawy cysternę wypełnioną gazem pod ciśnieniem. W jednej sekundzie fabryka zniknęła z powierzchni ziemi w morzu ognia. Ojciec miał nieprawdopodobne szczęście, bo w pierwszym impiecie podmuchu został wyrzucony na półpiętro osłonięte fragmentem zerwanego stropu. Skutek był taki, że pięć lat przeleżał w szpitalu Bonifratrów w Krakowie. Stracił oko, nie miał jednej kości niezłamanej, a ostatnie zabiegi na kościach miednicy przeprowadzano mu jeszcze w okresie okupacji. Do aktywności zawodowej wrócił praktycznie tuż przed wybuchem wojny.

Kiedy tak kilka lat leżał w szpitalu na oddziale chirurgicznym, stał się tam jakby „swoim człowiekiem”. Ponieważ był z natury czynnym, bardzo aktywnym, pomagał personelowi i w pewnym momencie zaczął pełnić rolę pielęgniarską. Opanował zasady pierwszej pomocy, usuwania zwichnięć stawów i dzięki temu uzyskał odpowiedni certyfikat. Od jego powrotu w naszym domu był stały punkt PCK.

RATKOWSKI: Czy widział w Panu lekarza?

POPIELA: Oczywiście, jakoś mnie ukierunkowywał, pokazywał, jak fatalnie lekarze złożyli mu ręce po wypadku i jak fatalnie się goiły. Pokazywał, jak należało to zrobić. Czy w tym sensie zainteresował mnie medycyną? Zapewne. U nas w domu była rodzinna solidarność. Powojenna bieda spowodowała, że i brat, i siostra po maturze poszli do pracy i wspólnie zdecydowaliśmy, że ja się wybiorę na studia... Zresztą zawsze odczuwałem, że ojciec traktuje mnie jakoś specjalnie. Od początku nie widział innego dla mnie kierunku niż medycyna! Był człowiekiem stanowczym, konsekwentnym i bardzo zaangażowanym emocjonalnie w moją medyczną karierę. Gdy byłem na studiach, to co tydzień przywoził mi z domu wałówkę!

CHUDZIŃSKI: Któryś z Pańskich wychowanków o tych praktykach medycznych ojca i karierze lekarskiej syna napisał w internecie: „Od znachora do doktora”!

POPIELA: No wiecie panowie?! Ojciec nie zajmował się żadnym „znachorstwem”, był przeszkolony przez PCK i udzielał pierwszej pomocy ludziom z urazami. Dzięki temu, rzeczywiście, był bardzo popularny w okolicy, a też znacznie dalej. Zresztą robił to bardzo poprawnie nawet z dzisiejszego punktu widzenia, bo nie był entuzjastą gipsu, a dzisiaj też dajemy plastikowe unieruchomienie kończyny. Unieruchamiał kończyny za pomocą drewnianych płytek i dzięki swemu doświadczeniu umiał przywrócić poprawną, anatomiczną ciągłość kończyny. Faktem jest, że zdarzało mu się poprawiać szpitalne błędy i przywracać właściwe ułożenie kości. Bez znieczulenia!

CIEPŁY: A więc syn kolejarza idzie na studia medyczne...

POPIELA: Znalazłem się w sytuacji pewnego rozdwojenia. Wychowywałem się w środowisku przedwojennych pepeesiaków. Ojciec był szefem swojego koła PPS w zakładach kolejowych, a brat mamy Chelmecki, tragicznie zamordowany w czasie wojny w okolicznościach do dziś niewyjaśnionych, był szefem PSL. W koloniach kolejarskich było tradycją, że w sobotnie popołudnia młodzi spotykali się na tańcach, a starsi przy piwie dyskutowali o polityce...

RATKOWSKI: Czy ojcu bliżej było do Daszyńskiego, czy raczej Piłsudskiego, lidera Frakcji Rewolucyjnej PPS, zwanej w okresie międzywojennym „frakami”?

POPIELA: Ojciec sympatyzował z Piłsudskim, szczególnie w okresie zamachu majowego w 1926 roku, ale później uważał, że Piłsudski PPS zdradził, choć pod urokiem Marszałka był zawsze. Po wojnie szybko włączył się do działalności powojennego PPS. W 1948 roku, po zjednoczeniu wymuszonym przez PPR, nie został pozytywnie zweryfikowany jako prawnicowiec...

RATKOWSKI: ...jak zresztą większość co bardziej znaczących działaczy z przedwojennym stażem.

POPIELA: Wyrzucenia się spodziewał. Kilku jego przyjaciół, którzy po wojnie ujawnili się jako członkowie AK, trafiło na Syberię, co bardzo dramatycznie przeżył. Kilku innych, którzy uniknęli tego losu, utrzymywało więź z podziemiem. Mieszkaliśmy na obrzeżu miasta, na granicy lasu, stąd częste, niemal co drugą noc, wizyty „leśnych”. Zostało to zauważone przez niezyczliwych sąsiadów i wokół ojca zaczęto się robić gęsto. Odnoszę wrażenie, że bezpieczeństwa chciała go złamać psychicznie. Zatrzymywano go, przetrzymywano po kilka dni, niemal oficjalnie otaczano go agentami. Na ulicy, w mieście, na placu targowym towarzyszyli mu jacyś podejrzeni ludzie. Bardzo to przeżywał. Jednym z powodów był fakt, że siostrzeniec ojca Julian Leśniak znalazł się w rozbitym przez bezpieczeństwo ugrupowaniu ks. Gurgacza. Tuż po wojnie zaatakowali jakiś transport wojsk radzieckich, a on był szefem grupy. Atak był zresztą nieudany i, jak mi się wydaje, wszyscy jego uczestnicy polegli.

My, młodzi, żyliśmy w ciągłym rozdwojeniu. Z jednej strony każdy myślał o studiach, o swoim przyszłym życiu, z drugiej był silny nastrój oczekiwania na „trzecią wojnę światową”. A ja w dodatku dobrze pamiętałem moment wyzwalania nas przez Armię Radziecką w styczniu 1945 roku. Miałem wówczas już blisko 11 lat i ogarniałem to dość świadomie. Nasz rejon, między Popradem a drogą na Krynicę był solidnie obwaro-

wany przez Niemców budowanymi na wzgórzach pod Biegonicami czy pod Starym Sączem umocnieniami i front raz się przesuwiał na zachód i raz się cofał. Nie zapomnę nigdy tych radzieckich żołnierzy, idących jeden przy drugim, z jednym pytaniem na ustach: „Kuda jest Berlin”? Dziś odbierałbym to jak rodzaj zamroczenia, bo jedni ginęli, a za nimi szli następni, ale wtedy była to walka z nienawistnym, hitlerowskim wrogiem! Przeżywałem to bardzo emocjonalnie, bo na moich oczach działały się okrutne sceny. Stąd, powiedziałbym, mój instynktownie pozytywny stosunek do żołnierzy radzieckich, mimo tych wszystkich doświadczeń mojego ojca z okresu wojny. Nie było dla mnie wątpliwości, że ci co przyszli, to byli ludzie po właściwej stronie walki dobra ze złem. Nie miałem więc do Rosjan żadnego negatywnego stosunku, a myślę, że do tego mogło się też przyczynić traktowanie mnie jako dziecka. Zwykli żołnierze z reguły traktują dzieci serdecznie, to i ja byłem z nimi zaprzyjaźniony. Przyszli ci lepsi!

RATKOWSKI: I rozżew między tym co mówiono w szkole, a co w domu był jakby mniejszy?

POPIELA: Ojciec zachował negatywny stosunek do nowego ustroju, ale ja byłem wolny od uprzedzeń, a ponadto życie ma swoje prawa. W kolonii kolejarskiej stworzyliśmy teatr amatorski i jakoś automatycznie znaleźliśmy się, już nie pamiętam czy w ZMW, czy w ZWM, bo naprawdę nie miało to dla nas znaczenia, a potem znaleźliśmy się w ZMP. W II Liceum im. Bolesława Chrobrego też należałem do tej organizacji. Tuż przed maturą sąsiednia klasa została dosłownie zdziesiątkowana przez masowe aresztowania członków tajnej organizacji. Nie miałem z nimi żadnych powiązań. Wówczas myślałem tylko o przyszłych studiach, właściwie nic innego mnie nie zajmowało. Przy ich wyborze brałem pod uwagę także warunki materialne, bo w domu się nie przelewało. A była wówczas szansa dostania się na studia medyczne finansowane przez wojsko. Mam na myśli Bataliony Akademickie w akademiach medycznych, złożone z ochotników przyjmowanych do wojska i kierowanych na studia medyczne, podczas których mieli oni zagwarantowane pełne utrzymanie i jakieś kieszonkowe... To był argument.

Za poradą ojca złożyłem więc podanie, ale szybko przyszła negatywna odpowiedź, ponieważ nie miałem skończonych 18 lat i do wojska okazałem się za młody. Ale wojsko zachowało się elegancko, bo od razu moje papiery przesłało do Warszawy, do akademii cywilnej. Złożyłem tam egzamin wstępny, jak sądziłem, nieźle... Nie zostałem przyjęty „z braku miejsc”, jak oficjalnie napisano. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego akurat dla mnie, syna kolejarza, dziecka robotniczego, członka ZMP, zabrakło miejsca. Nie znałem prawdziwych przyczyn, które poznałem później, jednak zdecydowałem się wyjaśnić sprawę. Chodziłem do dziekanatu, do rektoratu i w końcu, jak to dziś oceniam, w akcie pewnej desperacji postanowiłem udać się do samego prezydenta Rzeczypospolitej.

RATKOWSKI: To była wówczas dość typowa droga. Pisano do Bieruta w różnych sprawach, zwłaszcz dotyczyących osób aresztowanych czy skazanych...

POPIELA: Nie miałem wówczas innego wyboru. Słuchałem ojca i znałem jego poglądy, ale oficjalna propaganda głosiła, że nowy ustrój był dla takich

właśnie jak ja. Poszedłem więc do prezydenta. Kiedy zbliżyłem się do budki wartowniczej i powiedziałem, że chcę mówić z Bierutem, żołnierze mnie wysmiali... Panowie, ja miałem wtedy 17 lat, byłem pierwszy raz w Warszawie, a poza rodzinnym Nowym Sączem widziałem jeszcze Kraków dwa razy w życiu i raz byłem z ojcem w Toruniu, bo tam po wojnie mieszkała jego siostra. W tej decyzji, żeby się do prezydenta dostać, podtrzymywali mnie też moi warszawscy gospodarze, bo ojciec znalazł mi w Warszawie mieszkanie, na czwartym piętrze domu, a właściwie ruiny domu przy ulicy Siennej. Dzisiaj stoi tam pałac kultury. Miałem więc do prezydenta blisko, żołnierze przyzwyczaili się, że codziennie tam przychodzę, a oni meldowali to komuś. I któregoś dnia wreszcie pojawił się młody chłopak, jak się okazało dowódca tej warty. Przeprowadził mnie z życiorysu i powiada: Przyjdź jutro. Zjawiłem się już o 9.15. Zaprowadził mnie do jakiegoś baraku, gdzie siedział oficer, który stwierdził, że jestem uparty, a ponadto oni kolejarzy lubią, więc spróbują mi pomóc. Dał mi kartkę, na której było nazwisko: prof. Sierpiński, Pełnomocnik Rządu do Spraw Rekrutacji. Poszedłem do niego i otrzymałem propozycję podjęcia studiów w jednej z trzech nowo powołanych akademii medycznych: w Rokietnicy, Szczecinie lub w Białymstoku. A to był już listopad, więc propozycję przyjąłem i pojechałem do Białegostoku. Szukam miasta, a to wieś! Nawet po zrujnowanej Warszawie Białystok wyglądał, delikatnie mówiąc, prowincjonalnie. Wytrzymałem tam trzy dni i wróciłem do Sierpińskiego, a on zapytał, o co mi naprawdę chodzi? Odpowiedziałem, że ja jestem, formalnie rzecz biorąc, ze wsi i dlatego chcę studiować w mieście. Tego białostoczczenie nie mogą mi do dziś zapomnieć. – No dobrze – powiada Sierpiński, ale pojedziesz na drugi koniec Polski, do miasta europejskiego, budowanego na wzór Paryża. Jest trochę zburzone... oczywiście. – To już był początek grudnia, kiedy znalazłem się w Szczecinie. I rzeczywiście, chociaż ten Szczecin był bardzo zrujnowany, to czuło się tam wielkomijską atmosferę.

CHUDZIŃSKI: A co z nauką?

POPIELA: Szybko nadrobiłem braki, a że nigdy mi jedna rzecz nie wystarczała, zacząłem aktywnie działać w ZMP. I tak się złożyło, że zarząd wytypował mnie do udziału w komisji rekrutacyjnej. Jako jej członek miałem dostęp do wszystkich papierów w dziekanacie i przy pierwszej nadarzącej się okazji poprosiłem sekretarkę, żeby sięgnęła po moją teczkę. I wtedy zobaczyłem opinię Powiatowej Komisji Rekrutacyjnej i Komitetu Powiatowego PZPR w Nowym Sączu. Była tam negatywna opinia o ojcu, że „wróg ZSRR” i kilka standardowych zdań, że „związany z reakcyjnym podziemiem” i tym podobne uwagi. Zrozumiałem, dlaczego nie przyjęto mnie na studia w Warszawie. Najgorsze jednak, że dostałem też negatywną opinię od kolegów ze szkoły, którą w imieniu Zarządu podpisał przewodniczący ZMP! Byłem zszokowany, mam te papiery do dziś w swoim archiwum...

Jest w tej sprawie jeszcze jedna zabawna rzecz o klasowym, chciałoby się rzec, charakterze. Oto jeden z tych kolegów był synem notariusza, drugi synem lekarza, a prezes synem dyrektora dworca kolejowego. Dla mnie było porażające, że tak zachowały się dzieci ze środowiska inteligenckiego. Podejrzewam tu pewien

osobisty interes, a nie polityczne pryncypia. Zapewne chodziło o to, żeby ograniczyć konkurencję na medycynę, bo jeden z nich i jego brat wybierali się na studia w Krakowie.

CHUDZIŃSKI: Ale Pan też w końcu znalazł się na AM w Krakowie. Spotkaliście się?

POPIELA: Brat prezesa odpadł w trakcie pierwszego roku, a on sam skutecznie mnie omijał i w pewnym sensie omija do dziś. Ale zostawmy to. W czasie studiów w Szczecinie też miałem różne przygody. Kiedy do miasta miał przybyć prymas Wyszyński, który właśnie dostał kapelusze kardynalski, władzom zależało na zneutralizowaniu tego wydarzenia. Nie byłem już wówczas katolikiem praktykującym, ale do wiary odnosiłem się z szacunkiem, bo tego nauczył nas w II Liceum ks. Stefan Czerw, który nie próbował nas indoktrynować, tylko omawiał historię religii i Kościoła. Z okazji przyjazdu prymasa odbyła się w ZMP narada i wtedy odniosłem wrażenie, że szykuje się jakaś prowokacja. Po powrocie do akademika zwołałem swój prywatny sztab przyjaciół, na którym ustaliliśmy, że Sławek Szymanek i Olek Pietraszkiewicz – był długie lata lekarzem w Przemysłu – poinformują proboszcza, że coś się szykuje....

CHUDZIŃSKI: Podobno już na studiach w Szczecinie zainteresował się Pan chirurgią...

POPIELA: Tam się zaprzyjaźniłem z profesorem chirurgii, traumatologiem prof. Tadeuszem Sokołowskim, lekarzem w armii Sikorskiego, który wykładał na polskim wydziale lekarskim uniwersytetu w Edynburgu. Był fantastycznym pedagogiem i wprost niesamowicie rysował. Poznałem go w Szczecinie na posiedzeniach Rady Wydziału, w których brałem udział z ramienia ZMP. Potem miałem z nim zajęcia z propedeutyki chirurgii i tak mi ta specjalność wtedy weszła w krew, że chirurgiem jestem do dziś...

CIEPŁY: Jak Pan znalazł się na Akademii Medycznej w Krakowie?

POPIELA: Moim marzeniem było studiowanie w Krakowie, bo ojciec musiał dowozić sądecką walówkę aż do Szczecina. Ale stało się kolejne nieszczęście: ojciec, jadąc na rowerze wpadł pod samochód i doznał poważnych obrażeń. Leżał w klinice u prof. Wilczka, a ja chciałem znaleźć się bliżej niego. Studiując medycynę w Krakowie sam mógłbym go doglądać. Poszedłem do dziekana, dał mi szybko zgodę na przeniesienie i pojechałem do Krakowa. Tu dziekanem był prof. Jerzy Jasieński, brat wybitnego, zamordowanego na rozkaz Stalina komunisty – poety Brunona Jasieńskiego, potem mój szef w I Katedrze Chirurgii AM. Obaj byli synami lekarza z Klimontowa, bardzo wybitnego działacza lokalnego, współtwórcy tamtejszego Banku Spółdzielczego. Profesor Jasieński był fantastycznym człowiekiem, o czym przekonałem się potem wielokrotnie i dlatego go uwielbiałem.

CIEPŁY: Ten rok, do którego Pan dołączył, był zresztą wyjątkowy. Wystarczy wymienić studiujących wówczas dzisiejszych profesorów!

POPIELA: Na roku ze mną byli m.in. profesorie: Marian Barczyński, Antoni Bromboszcz, Jadwiga Czabanowska, Jan Grochowski, Ryszard Gryglewski, Wiesław Jędrychowski, Rudolf Klimek, Stanisław Konturek, Zbigniew Szybiński, Elżbieta i Jan Trąbkowie, Janusz Włodyka, Eugenia i Zbigniew Zdebscy..



Fot. Grzegorz Kozakiewicz

CHUDZIŃSKI: A ilu was było wówczas na roku?

POPIELA: Pięciuset! Potem ta liczba malała, bo i uczelni było więcej, i potrzeba kształcenia lekarzy nie była tak ogromna. Przypominam, że byliśmy po krwawej wojnie, gdy wycięty został kwiat polskiej inteligencji, w tym kwiat polskiej medycyny! Jednak przyznaję, rok był wyjątkowy.

CIEPŁY: A na studiach w Krakowie był Pan aktywny w ZMP?

POPIELA: Zaistniałem od razu. W Szczecinie byłem przewodniczącym Zarządu Uczelnianego ZMP i kandydatem partii, a tutaj już po roku objąłem tę funkcję. To był zresztą wyjątkowy splot okoliczności, bo ZW ZMP w Szczecinie uważał, że zdezerterowałem z ważnego posterunku, a „powody rodzinne” były tylko pretekstem i specjalnie dobrej opinii organizacyjnej mi nie wystawił. Coś może było na rzeczy, bo w Krakowie jakoś z tą funkcją sobie radziłem, ale bardziej zaangażowałem się w prace koła naukowego, działającego przy III Klinice Chirurgii, której bazą był Szpital im. Narutowicza. Jeszcze jako student zacząłem pełnić dyżury i udzielałem pomocy ambulatoryjnej. Byliśmy wtedy świetnie prowadzeni, a mną opiekował się szczególnie znany chirurg, asystent w klinice prof. Jasieńskiego, dr Marian Pelc, wybitny praktyk. I tak to trwało do 1955 roku. W planowym terminie, przed wakacjami zdałem egzamin z chirurgii i zostałem asystentem u prof. Jasieńskiego. Pracował tam też prof. Jan Kowalczyk, który mnie nie lubił, jak wyczuwałem, z powodu mojego politycznego zaangażowania. Przyznać muszę, że miał swoje powody. Był człowiekiem odważnym,

należał do opozycyjnego PSL i jeszcze jako asystent prof. Glatzla wpadł w ręce UB, akurat w okresie, kiedy Mikołajczyk opuścił Polskę. Aresztowano go pod pretekstem, że on wraz ze współpracownikami dopuścił się nadużyć przy rozdzielaniu darów z UNRRA, co było oczywiście nieprawdą. Jednak los sprawił, że akurat minister Radkiewicz miał zapalenie wyrostka, a najlepszym specjalistą od jego wycięcia był w Polsce prof. Glatz!, a ten oświadczył, że pojedzie operować pod warunkiem, że będzie mu asystował docent Jan Kowalczyk. Radkiewicz przeżył, Kowalczyk do kryminalu już nie wrócił i tak skończyła się ta sprawa.

CHUDZIŃSKI: A to Pańskie zaangażowanie polityczne jakie formy wówczas przybierało?

POPIELA: Ono wygasło wraz z zaangażowaniem się w prace koła naukowego. Szukałem sposobu, by powoli wycofywać się z prac organizacyjnych i w 1955 roku przestałem być przewodniczącym Zarządu Uczelnianego ZMP. Potem Chruszczow na XX Zjeździe KPZR wygłosił pamiętny referat, w kwietniu zmarł w Moskwie Bierut, a w Polsce zbliżał się Październik '56 roku. Przyjaźniłem się wtedy z Włodkiem Godkiem, dziennikarzem „Po prostu” i także sądeczaninem. Był typowym, jak dzisiaj byśmy powiedzieli, rewizjonistą i ja znalazłem się pod jego wpływem. Drukował ze mną kilka wywiadów w swoim tygodniku. Jego poglądy można by streścić zdaniem, które pojawiało się też w początkach „Solidarności” w roku 1980: „Socializm – tak, wypaczenia – nie”!

CIEPŁY: Godek to była postać wybitna. Przyjaźnił się m.in. z Jankiem Turskim, robiłem o nim spory reportaż...

POPIELA: Zginął zresztą w podejrzanych okolicznościach...

CIEPŁY: Jest dość oczywiste, że popełnił samobójstwo. W owych czasach gaz pochodzący z miejskich gazowni był trujący i często stawał się lekarstwem na dramaty miłosne. Taki był powód śmierci Godka, taka była też przyczyna śmierci Tadeusza Borowskiego, wokół której ciągle budowane są różne legendy, szukające przyczyny w rozczarowaniu ideologicznym.

POPIELA: W 1956 roku profesor Jasieński wrócił po chorobie do pracy, a równocześnie zaczęły się dziać ważne rzeczy w kraju. Poznański Czerwiec, potem Październik, który nakładał się, a może był też głębiej związany z początkiem roku akademickiego... Byłem już wówczas, od kilku lat, członkiem PZPR i pamiętam ważne zebranie, na którym ówczesny I sekretarz Komitetu Uczelnianego Janek Grochowski złożył rezygnację i chyba oddał też legitymację partyjną. Powstał problem i wtedy mój szef, prof. Jasieński zaproponował mi, żebym kandydował na tę funkcję. Nie ukrywam, że byłem nieco wystraszony odpowiedzialnością. Miałem jednak do profesora wielkie zaufanie, bo był to człowiek z ogromnym doświadczeniem, także politycznym, stary członek PPS, od zawsze związany z Kasą Chorych, w której jak wiadomo zawsze dominowała lewica. Jasieński przekonał mnie głównie argumentem o potrzebie radykalnej wymiany pokoleniowej, bo rzeczywiście czuliśmy, że nadchodzą nowe czasy.

RATKOWSKI: Dzisiaj nie docenia się znaczenia przełomu październikowego i cały PRL pakuje do jednego worka. A przecież polski Październik to było wydarzenie o ogromnej wadze!

POPIELA: No i zacząłem się uczyć tego sekretarzowania.

CHUDZIŃSKI: A wkrótce przyjęto nową ustawę o szkolnictwie wyższym, którą bardzo forsował ówczesny minister Stefan Żółkiewski.

POPIELA: Przywrócono doktoraty i habilitacje, a rektorem AM został prof. Tochowicz. Zaczęło się mówić o przygotowaniach do jubileuszu Uniwersytetu Jagiellońskiego. Przypadł on na rok 1964 i kilkuletni okres przygotowawczy nie wydawał się za długi. Powołano specjalistyczne komitety, np. do opracowania historii wydziałów UJ, w tym Akademii Medycznej, która przecież wyrosła z Wydziału Lekarskiego uniwersytetu-jubilata. Wtedy także w środowisku zaczęło się mówić o potrzebie gruntownej reformy studiów medycznych. Tochowicz mnie w to wciągnął i walka o te sprawy ciągnęła się przez całe trzy kadencje jego rektorowania. Po nim przyszedł Oszacki. Na AM, jak w całym zresztą kraju, na fali „października” panował bardzo ożywiony ruch polityczny. Powstała wówczas w Krakowie, w oparciu o UJ POLA, czyli Polityczny Ośrodek Lewicy Akademickiej. Rej wiedli w niej Stefan Bratkowski, Jerzy Grotowski, późniejszy guru awangardy teatralnej, Adam Ogorzałek i inni, niemniej znani, także z Akademii, jak profesor Klimek i lekarze Michałewski, Maciej Dąbrowski, Jasio Drożdż, który był uczestnikiem misji studentów z Krakowa z pomocą medyczną dla zrewoltowanego Budapesztu.

Ten ruch wiecowy wygasł stopniowo do 1958 roku, a wcześniej w Krakowie pojawiła się cała grupa byłych pepeesiaków z Cyrankiewiczem, ówczesnym premie-

rem, na czele. Przyjechali też Motyka i Reczek, którzy uczestniczyli w różnych wiecach, niejako gasząc pożary.

CHUDZIŃSKI: Od tamtej pory Pańska kariera toczy się równoległe dwoma nurtami. Jak godził Pan partyjne zaangażowanie z rozwojem naukowym lekarza?

POPIELA: Nie miałem z tym żadnych trudności. Wiedziałem, że nie będę robił niczego kosztem chirurgii, więc cała działalność społeczna musiała się odbywać popołudniami i wieczorem, w dodatku z wyjątkiem dni, kiedy miałem dyżury w klinice, bo tego bardzo przestrzegałem. Sekretarzem zostałem na fali ogromnego poparcia społecznego dla gomułkowskich reform. I sekretarzem KW w Krakowie był wtedy Lucjan Motyka, z którym doskonale się rozumiałem; mogę nawet powiedzieć, że staliśmy się przyjaciółmi. O ile w początkach rozaczał nade mną parasol ochronny prof. Jasieński, to potem znalazłem się w kręgu ludzi związanych z Motyką. To było ważne, bo np. na fali dyskusji o reformie studiów skonfliktowałem się z ministrem Żółkiewskim i przez moment zrobiło się gorąco. Pamiętam, że przygotowaliśmy wówczas jakieś bojowe „stanowisko krakowskie”, a on nas nazwał „krakowskimi bękartami”! Pamiętam, że chcieliśmy go za tych bękartów pozwać do Centralnej Komisji Kontroli Partyjnej, ale Motyka jakoś nam wytłumaczył, że gra niewarta świeczki. Ten konflikt zbliżył mnie bardzo do Motyki. Nam chodziło o to, żeby system studiów wywodzący się z XIX-wiecznego modelu radykalnie zreformować i adaptować go do wymogów współczesności. Na ten temat napisałem sam oraz z prof. Oszackim kilkanaście artykułów. Niektóre z nich można znaleźć w wydawnictwach związanych z jubileuszem UJ. Już wtedy ostro walczyliśmy o powrót Akademii Medycznej do Uniwersytetu jako jego Wydziału Lekarskiego, Stomatologii i Farmacji, a poglądy te reprezentował również wyniesiony głównie przez środowiska studenckie, ale poparty przez nas i wybrany wówczas posłem prof. Jan Miodoński. To był wybitny uczony, więzień Oranienburga, politycznie związany z kołami katolickimi. Skupił wokół siebie grono profesorów: Kowalczykową, Skarżyńskiego, Supniewskiego, Tochowicza, którzy opracowali konkretny projekt przyłączenia Akademii do Uniwersytetu.

CIEPŁY: To ważne, bo lansowana dziś mitologia wiąże pomysł przyłączenia Akademii Medycznej do Uniwersytetu z transformacją ustrojową i kadencją prof. Andrzeja Szczeklika.

POPIELA: Tym żyło wówczas całe środowisko akademickie, a postulat sformułowała POLA, w której bardzo aktywny był Klimek, a prof. Miodoński wnosił krakowski projekt na posiedzenia sejmu. To ciągnęło się miesiącami, ale ostatecznie na przeszkodzie stanęły chyba lokalne ambicje innych ośrodków akademickich. Dla mnie wówczas najważniejsze były sprawy uczelniane i na nich koncentrowała się moja działalność jako sekretarza partii. Na 600-lecie UJ, dla jego wydziału lekarskiego czyli dla AM, Amerykanie zadeklarowali ufundowanie Uniwersyteckiego Szpitala Dziecięcego (Instytutu Pediatrii). Że ostatecznie sprawa się powiodła, to także osobista zasługa Motyki. O budowie zaczęło się mówić w 1958 roku i część profesorów Akademii Medycznej odradzała rektorowi Tochowiczowi przy-

mowanie amerykańskiej darowizny, bo zaczęły się zaraz polityczne podchody. Sceptyczny był też minister zdrowia, ale tu zadziałał sam Motyka, namówiony też przez ciotkę Józefa Cyrankiewicza, znaną w Krakowie lekarzkę i działaczkę, dr. Szląpakową. Przez nią udało mi się szybko załatwić dla rektora Tochowicza audyencję u premiera. Cyrankiewicz wysłuchał, pokiwał głową i powiedział: – Bierzcie! Całujcie w rękę Amerykanów i bierzcie, bo to zostanie dla Polski!

Do budowy Amerykanie wydelegowali szefa jakiejś amerykańskiej korporacji architektów, Władysława Poray-Biernackiego, który zajął się wszystkim. W Stanach zaczęły się prace projektowe, a w Krakowie zaczęliśmy przygotowanie kadry. Były z tym problemy choćby dlatego, że ktoś musiał ten obiekt objąć we władanie, a w Akademii mieliśmy dwie katedry pediatrii, obie kierowane przez wybitne indywidualności: prof. Bogusława Halikowskiego i prof. Tadeusza Gizę. W tej sytuacji wymyśliliśmy zmianę struktury organizacyjnej Akademii z „katedralnej” na „instytutową” i powołaliśmy Instytut Pediatrii z dyrektorem prof. Piotrem Sochą, ekspertem od genetyki klinicznej, który dziś pracuje w USA.

Amerykanie już wtedy podjęli decyzję, że budowa będzie się odbywała w trzech etapach. Pierwszy to uruchomienie szpitala pediatrycznego, potem budowa zaplecza laboratoryjnego i diagnostycznego, wreszcie budowa oddziału rehabilitacji. W zderzeniu ze sprawnymi organizacyjnie Amerykanami musieliśmy wykonać ogromną pracę, żeby z naszej strony wszystko przebiegało równie sprawnie, żeby się nie skompromitować.

Dla nas kluczową sprawą było przygotowanie kadry. O wyjazdach na staże do USA decydowali profesoria, a każda z wytypowanych osób przebywała tam od sześciu miesięcy do roku. W ten sposób cała młodzież asystencka krakowskiej pediatrii została przeszkolona.

CIEPŁY: A kiedy zapadła decyzja, do dziś nie zrealizowana, że cały szpital uniwersytecki ma się znaleźć w Prokocimiu?

POPIELA: Właśnie wtedy. Ustalono, że skoro pierwszą część fundują Amerykanie, to rząd polski nie może tego tak zostawić, musi też zainwestować i na tym fundamencie będziemy budowali Akademię. Od tej pory dwukrotnie podejmowano decyzję o podjęciu „centralnej inwestycji – Szpital Kliniczny w Krakowie”. W latach 60., kiedy myśleliśmy, że jak Amerykanie zbudują pediatrię to nie będzie można się wycofać, własnymi siłami zaczęliśmy budować tam – to był mój pomysł – najnowocześniejsze w owych czasach osiedle studenckie z zapleczem socjalnym i rekreacyjnym, Główną Bibliotekę Medyczną i wtedy też powstały fundamenty pod budowę Wydziału Farmacji. Zaczęła się walka o uzyskanie statusu „inwestycji centralnej”, bo tylko takie były bezpośrednio finansowane przez rząd. To była ciężka walka, ale udało nam się zakończyć budowę osiedla akademickiego, Biblioteki Głównej AM oraz pozyskaliśmy środki na kontynuowanie obiektów Wydziału Farmacji. Nasze wysiłki inwestycyjne były rzetelnie wspierane przez województwa kieleckie i rzeszowskie. Był to efekt swego rodzaju wymiany, bo mniej więcej w tym samym czasie otwarli dwa ośrodki kliniczne w Rzeszowie i właśnie w Kielcach. Koncepcja studiów medycznych, jaką opracowaliśmy

z prof. Tochowiczem polegała na tym, żeby każdy student uczył się od początku przy łóżku chorego. Do tego była nam potrzebna większa baza szpitalna. Stąd ten pomysł ośrodków, w których studenci mogli część zajęć klinicznych odbywać w Rzeszowie i w Kielcach. Tam ordynatorami zostawali powoływani w konkursach najwybitniejsi specjaliści z całej Polski, którzy zarazem stawali się profesorami Wydziału Lekarskiego krakowskiej uczelni. Dzisiaj takie ośrodki afiliowane przy uniwersytetach są powszechne w USA i częste w Niemczech.

CIEPŁY: Niestety, starania o „centralne” pieniądze nie bardzo się powiodły i na terenach zabezpieczonych w Prokocimiu na potrzeby Akademii Medycznej wyrósł dziś, po 30 latach, potężny las. I teraz nie sposób wybudować tam czegokolwiek, bo trzeba by ponieść ogromne wydatki za ścięcie każdego drzewa, a także przekonać ekologów. Zamiast szpitala mamy więc las!

POPIELA: To już nie moja wina. Jak zbudowano uniwersytecki szpital dziecięcy, osiedle studenckie, główną bibliotekę lekarską i obiekty wydziału farmacji wydawało się, że rząd nie ma odwrotu i w końcu dojdzie do budowy uniwersyteckiego szpitala klinicznego dla dorosłych.

CHUDZIŃSKI: Tymczasem jesteśmy coraz bliżej nieszczęsnego marca 1968.

POPIELA: Pod koniec lat 60. zaczął się w Polsce nawrót do „twardej” polityki, zarysowuje się przezwaga elementów moczarskich. Motyka zostaje z Krakowa odwołany, odchodzą ludzie z PPS, przychodzi do Krakowa pan Domagała, a ja staję się jedną z pierwszych jego ofiar. Miałem podobno dopuścić do tego, że w Akademii Medycznej rządzi klika Żydów i krakowskich mieszcuchów, która nie dopuściła do wyrzucenia z uczelni profesora Juliana Aleksandrowicza. Wojewódzka Komisja Kontroli Partyjnej sprawdzała mnie i innych, do trzeciego pokolenia, szukając żydowskich przodków. Musiałem też dostarczyć zaświadczenie z parafii w Będzinie, że za zgodą kurii odbył się tam ślub kościelny „Mieczysławy Popieli z niewierzącym Tadeuszem Popielem”. Odwołano mnie z funkcji sekretarza, zostałem zawieszony w członkostwie partii, a w budynku Ligi Obrony Kraju, naprzeciwko mojego mieszkania, zamontowano aparaturę podsłuchową, która miała dostarczyć jakichś rewelacji. Te szykany miały jednak dobrą stronę. Skoro pozbawiono mnie wszelkich funkcji, mogłem zająć się pracą naukową. Tu też jednak Domagała potrafił mi zaszkodzić, bo choć zrobiłem habilitację, Akademia nie dostała zgody „instancji” na zatrudnienie mnie na etacie docenta. Pozostałem więc na etacie adiunkta przez następne pięć lat.

CHUDZIŃSKI: To przypomnijmy Pańską karierę naukową, bo o niej mało mówiliśmy.

POPIELA: W 1960 roku zrobiłem doktorat, pięć lat później habilitację. Byłem wówczas pod wpływem Tochowicza, bo prof. Jasieński zmarł, a szefem kliniki został Politowski. Ja się już właściwie całkowicie usamodzielniałem, ale korzystałem z pomocy prof. Konturka, który udostępnił mi całe swoje zaplecze laboratoryjne ze zwierzętarnią. Opracowałem wówczas projekt leczenia wrzodów żołądka i dwunastnicy niskimi temperaturami i to był temat mojej pracy habilita-

cyjnej. Zdobyłem unikatową amerykańską aparaturę: to była olbrzymia szafa, która pompowała zamrożony alkohol do specjalnej żołądkowej sondy zakończonej balonem w odpowiednim kształcie, który rozwijał się w żołądku, a wówczas pompowało się tam alkohol o temperaturze -58 stopni C. Wtedy dochodziło do destrukcji błony śluzowej żołądka w warstwie gruczołowej, która produkuje kwas solny... Przez 15-20 lat stosowaliśmy tę metodę z powodzeniem, potem przyszła technika odnerwiania żołądka, a wynalezienie kilkanaście lat później nowej grupy leków znów całkowicie zmieniło terapię. Inhibitory pompy protonowej powodują, że dziś przy chorobie wrzodowej żołądka i dwunastnicy chirurg nie jest potrzebny. I pomyśleć, że kiedyś choroba wrzodowa żołądka była przyczyną wielkiej liczby zgonów!

CHUDZIŃSKI: Ale przerwa w działalności społecznej nie trwała długo, bo wiosną 1971 roku, na fali tzw. odnowy pogrudniowej Domagałę odwołano, a do Krakowa przyszedł Józef Klasa.

POPIELA: Tak, powiaty inne wiatry i wtedy grupa profesorów, a było wśród nich wielu kolegów z mojego roku studiów, namówiła mnie, żebym będąc jeszcze docentem kandydował na rektora. Wiadomo było, że wniosek o moją profesurę był już złożony i że sprawa jest przesądzona. Rektor był wówczas nominowany przez ministra, ale kandydaturę zgłaszały senaty poszczególnych uczelni. Nowy I sekretarz KW nie miał nic przeciwko mojej kandydaturze, m.in. dzięki rekomendacji swojego zastępcy Andrzeja Czyża i tak zostałem rektorem w wieku 39 lat. Byłem wtedy najmłodszym rektorem w Polsce. Tak się szczęśliwie dla mnie złożyło, że ministrem zdrowia był wówczas prof. Marian Śliwiński, który miał wobec mnie pewne zobowiązania. Otóż jak Lucjan Motyka odszedł z Krakowa i został ministrem kultury, zaproponował mi, nie wiem w którym imieniu, żebym objął ministerstwo zdrowia. Nie zdecydowałem się, bo wówczas prowadziłem ważny program badawczy, ale zaproponowałem swego przyjaciela z Łodzi, Mariana Śliwińskiego. Rekomendował go też znany w całej Polsce kardiochirurg, prof. Mol.

Ten ministerialny kontakt bardzo mi się potem przydał, bo gdy Amerykanie wystąpili z propozycją współpracy uniwersytetu stanu Nowy Jork z którąś z polskich akademii medycznych, to Śliwiński wytypował Kraków.

I tak oto mój okres rektorowania zaczął się od nawiązania poważnej międzynarodowej współpracy. Ustaliliśmy, że będziemy uczyć w języku angielskim studentów amerykańskich, a Amerykanie przeszkolą naszych asystentów. Po dziesięciu latach współpracy mieliśmy dokonać przeglądu osiągnięć, a gdyby efekty okazały się pozytywne, mieliśmy formalnie ustanowić afiliowanie naszej uczelni przy uniwersytecie stanowym. Dla naszych absolwentów oznaczałoby to m.in. możliwość podejmowania pracy lekarza w obrębie Stanu Nowy Jork, bez nostryfikacji dyplomu.

Nie było to łatwe przedsięwzięcie, ale realizowaliśmy przyjęty program aż do chwili mojego odejścia z funkcji rektora w 1981 roku. Moi następcy nie poświęcili już tej sprawie należytej uwagi. Zresztą wówczas rozsypało się wiele rzeczy. Uczelnia pod nowym kierownictwem zerwała też kontakty z Kielcami i Rzeszowem oraz z przemysłem, który nie tylko dawał nam pienięd-

dze na sprzęt medyczny, ale też stanowił bazę badań poligonowych dla studentów i kadry naukowej.

CIEPŁY: Jednej rzeczy zepsuć się nie udało. Oto z Pańskiej inicjatywy udało się od zera stworzyć w Krakowie kardiochirurgię!

POPIELA: W roku 1974 r. podjęliśmy decyzję o remoncie budynku Kliniki Chirurgicznej przy ul. Kopernika 40, w którym niewiele zrobiono od czasów Rydygiera, czyli od 1889 roku! Wtedy, w trakcie tych prac uprzytomniłem sobie, że jedną z istotnych wad naszej akademii jest bark kardiochirurgii, która wówczas zaczęła się na świecie rozwijać bardzo intensywnie. Zacząłem więc myśleć, jak stworzyć ośrodek nowoczesnej kardiochirurgii i padło na prof. Działkowiaka z Łodzi. Moll już wtedy widział w nim konkurenta, więc zgodził się na jego odejście. Ale powstał problem, bo Działkowiak zażądał przejścia do Krakowa także najbliższych swoich pięciu współpracowników, trzech anestezjologów oraz pani doc. Tracz. Na to już zgody władz łódzkiej akademii nie było. Wykorzystałem więc swoje układy, jak to się dzisiaj określa i sprawa została załatwiona polubownie. Prezydent miasta Krakowa ze swojej puli przydzielił im wszystkim mieszkania, ja zaś na klinikę zaproponowałem Działkowiakowi ten remontowany budynek przy Kopernika. On jednak postanowił wybudować całkiem nowy obiekt, co zresztą konsekwentnie przeprowadził. Efekty widzimy także dziś...

CHUDZIŃSKI: W jakiej atmosferze odchodził Pan z funkcji rektora?

POPIELA: Mój konflikt nie tyle z „Solidarnością”, co z jej niektórymi przedstawicielami zaczął się do tego, że nie godziłem się, by studenci podejmowali protesty w formie strajków. Uważałem, i tak uważam zresztą do dziś, że student medycyny, tak jak i lekarz, do strajkowania nie ma prawa. Przyczyna prosta – tak czy inaczej taki strajk musi odbić się na pacjentach. Inna rzecz, że strajkujących studentów nie spotkały ze strony władz uczelni żadne sankcje, choć oczywiście strajkowali mimo zakazu.

W 1981 roku ktoś puścił plotkę, że chcę być rektorem ponownie, choć nie było takiej możliwości, bo właśnie kończyłem trzecią kadencję. Kilku profesorów członków uczelnianej „Solidarności” rozwinęto szeroką kampanię, wykorzystując studentów przeciwko mnie. Odzwierciedlenie tego można znaleźć na łamach ówczesnej prasy, m.in. w „Gazecie Krakowskiej”, która udostępniła za czasów Szumowskiego swoje łamy obydwu stronom. Z punktu widzenia merytorycznego wyszedłem wówczas z tej sprawy obronną ręką. Moje trzy kadencje doprowadziły do pełnej rewitalizacji krakowskiej uczelni medycznej, bo przez dziesięciolecie była ona kopcuszką. Uważano, że Kraków nie był przez wojnę zniszczony, dostał amerykańską pediatrię, to niczego więcej nie potrzebuje. Ja walczyłem o więcej i wszystkie inwestycje w krakowskiej AM powstały za mojej kadencji: remonty i rewitalizacja obiektów przy ul. Kopernika, Centralna Apteka, pawilon przy ul. Śniadeckich, kotłownia, wymiana wszelkich instalacji przy całej ul. Kopernika. Kiedy kończyłem ostatnią kadencję, to budynek farmacji był już podniesiony do pierwszego piętra. Patrząc obiektywnie, był to dla uczelni okres rozkwitu. Tymczasem moja działalność stała się przedmiotem wielu kontrowersji.

CHUDZIŃSKI: W burzliwym okresie narodzin „Solidarności” trudno było liczyć na obiektywizm...

POPIELA: Toteż starałem się zakończyć kadencję z godnością: przekazałem władzę przy lampce dobrego koniaku. Nie zazdrościłem prof. Gryglewskiemu i jego ekipie. Ja skoncentrowałem się na swojej klinice, której remont kończył się w 1980 roku. To było też potężne wyzwanie. W każdej z sal operacyjnych zainstalowano kamery telewizyjne, wykładowca prowadzący zajęcia ze studentami mógł w każdej chwili odwołać się do przykładów pokazywanych na żywo. Dlatego mogliśmy uczyć nowoczesnie. Dodam, że i ja ze swojego gabinetu mogłem zobaczyć, co się dzieje w tych salach, a gdy było trzeba, to nawet posłuchać uwag wymienianych w trakcie zabiegu.

Skupiłem się wówczas na rozwinięciu swojej szkoły chirurgicznej, mającej pewne cechy szczególne. Ale żeby to uzyskać wprowadziłem zasadę, że raz w tygodniu spotykaliśmy się na zebraniach naukowych, na których analizowaliśmy publicznie wszystkie powikłania. Co miesiąc zmieniał się zespół przygotowujący analizę, a przedmiotem tej analizy były wszystkie przypadki powikłań, także zakończone śmiercią, nawet jeśli ja sam operowałem! I dyskutowaliśmy otwarcie, czy można było tego uniknąć, czy to sprawa losowa. To było najlepsze szkolenie. Obowiązywała zasada, że nic się nie zamiecie pod dywan, nawet jeśli coś się przydarzyło szefowi. Chodziło mi też o to, by starać się dorównać przodującym ośrodkom na świecie. Po raz pierwszy w Polsce wprowadziłem do praktyki chirurgicznej na szeroką skalę endoskopię, ultrasonografię diagnostyczną i operacyjną, miałem znakomite wsparcie w postaci pani prof. Szafranowej i jej męża, który był szefem Zakładu Biochemii w Instytucie Pediatrii, miałem też wsparcie ze strony prof. Zembali zajmującego się immunologią i prof. Wiesława Jędrychowskiego, z którym podjęliśmy programy epidemiologiczne i stworzyliśmy wspólnie pierwszy w Polsce, międzyośrodkowy program prospektywnych, randomizowanych badań nad rozpoznawaniem i leczeniem raka żołądka.

Wystartowaliśmy z tym programem w 1977 roku, czyli cztery lata po objęciu przeze mnie funkcji rektora, a to dowodzi, że nie traciłem czasu tylko na administrację. Współ z kolegami opracowaliśmy sposoby i metody wczesnego wykrywania raka żołądka. Rzecz miała kluczowe znaczenie, bo od szybkiego rozpoznania zależy skuteczność terapii, a wykrywalność wczesnych stadiów raka żołądka była wówczas na poziomie 7 proc. Polskie studia nad rakiem żołądka trwały 30 lat i w tym czasie poprawiliśmy wykrywalność wczesnego raka żołądka do poziomu 24 proc., a przeżycie pięcioletnie w raku zaawansowanym z 7 do 50 proc. i osiągnęliśmy całkowite wyleczenie w grupie raka wczesnego u 85 procent leczonych operacyjnie chorych. Wspólnie z prof. Jędrychowskim opublikowaliśmy po raz pierwszy w świecie udokumentowane wskazanie przyczyn prowadzących do raka żołądka. Wykazaliśmy, że u podłoża leży nadmierne użycie soli, korzystanie z mięsa, które nie było przechowywane w lodówce, wskazaliśmy na rolę witamin... Takie badania epidemiologiczne prowadzono w bardzo szerokim zakresie. Badano nie tylko chorych, ale i ich rodziny oraz grupę kontrolną.

Jako jeden z trzech ośrodków w Europie wprowadziliśmy tak zwaną „agresywną chemioterapię” do leczenia chorych po operacji raka żołądka. Podobne sposoby leczenia stosowano także w Japonii. Udało mi się pozyskać środki na zbudowanie najnowocześniejszego, trzeciego na świecie ośrodka radioterapii śródoperacyjnej, która ma za zadanie zwiększać radykalność leczenia operacyjnego nowotworów złośliwych. Stosowaliśmy agresywną chirurgię, to znaczy, że nie tylko wycinaliśmy sam guz, ale też wszystkie okoliczne węzły chłonne. To były cechy programu, który nazywał się *Polski program badań nad rakiem żołądka* i był realizowany jeszcze przez cztery lata po moim przejściu na emeryturę. Zakończyłem mój osobisty udział w tym programie „referatem na zaproszenie” na dwóch kolejnych światowych kongresach raka żołądka w Seulu i Tokio.

CHUDZIŃSKI: Nie tylko w Krakowie Pańska klinika cieszyła się zasłużoną renomą. Jest takie powiedzenie: jak trwoga, to do Boga. W Pana przypadku można je strawestować: jak choroba zapuka, to do Popieli komucha. Podobno operował Pan nie tylko polityków ze świecznika, ale także hierarchów Kościoła.

POPIELA: Mam liczne i w większości bardzo miłe wspomnienia z leczenia ludzi usytuowanych wysoko w Kościele, polityce, kulturze... Chorzy mi ufają, jak sądzę, ze względu na przyjęte przeze mnie od początku pryncypia. Jako pracownicy naukowcy uniwersytetu mamy obowiązek uczyć, prowadzić badania i leczyć chorego. Dla mnie najważniejszy był zawsze pacjent i to on zawsze miał rację. Jeśli ktoś nie ma w sobie empatii, nie powinien być lekarzem. Operowaliśmy ludzi chorych na bardzo poważne schorzenia i często trzeba było podejmować bardzo radykalne decyzje, a nierzadko poważnie chorego okaleczyć, żeby uratować mu życie. Byłem świadom, że nasza chirurgia ma cechy chirurgii okaleczającej, wobec tego chory jest w stresie i ma prawo do różnych fanaberii. Natomiast my jesteśmy po to, by jego życie uratować, a wcześniej wzbudzić w nim zaufanie do nas i do naszego sposobu postępowania.

Po raz pierwszy w Polsce, i chyba na świecie, stworzyłem w klinice chirurgicznej pracownię psychologii, kierowaną przez znanego psychologa dr Leszka Mellibrudę. Na każdym z pięciu oddziałów kliniki był psycholog po to, by rozmawiał z chorymi przygotowywanymi do zabiegu operacyjnego. Nie były to rozmowy proste, na przykład z chorymi, których czekało usunięcie odbytnicy i zastąpienie jej w sposób sztuczny. Trzeba było nie tylko przekonać człowieka do potrzeby dokonania zabiegu, ale też do tego, że po takim zabiegu można żyć, że można też podjąć pracę zawodową.

CIEPŁY: Podobno uczelnia, także medyczna, ma przede wszystkim kształcić?

POPIELA: Zgoda, jednak ważnym elementem wykształcenia medycznego jest wypracowanie odpowiedniego stosunku do chorego. Robiłem też wszystko co możliwe, by rozbudowywać instrumentarium naszego działania, zapewnić najnowocześniejszą aparaturę....

CIEPŁY: Czy w takim razie na obecną tendencję do likwidowania staży lekarskich patrzy Pan jak na barbarzyństwo?

POPIELA: Nie, ja mam tu akurat odmienny pogląd, bo staże wprowadzono wtedy, kiedy zaprzestano reformować studia medyczne. Studentowi, który uczy się medycyny u łóżka chorego i gdy program jego studiów zmienia się wraz ze zmianami w technice medycznej, staż nie jest specjalnie potrzebny. Jeśli uniwersytecka klinika jest na topie tak gdy chodzi o wiedzę teoretyczną, jak i metody operacyjne, jeśli ma najnowocześniejszy sprzęt i międzynarodowe kontakty, to tylko wtedy może spełniać swoją rolę. Ja wiem, że to trudne...

CIEPŁY: Ale postęp technologiczny jest nieunikniony i coraz częściej odchodzi się od lancetu, by sięgać po laser...

POPIELA: Laser też ma swoje skutki uboczne, bo jest nośnikiem wysokich energii, a z nowoczesnością też nie radzę przesadzać, bo żaden robot nie jest w stanie, bez udziału lekarza, wykonać poważnej operacji...

CIEPŁY: I ten da Vinci też nie?

POPIELA: Też nie. To w gruncie rzeczy dość prymitywne urządzenie. Robot może być znakomitą asystą dla dobrze wykształconego lekarza, ale podstawową relacją jest stosunek chory-lekarz. Kiedy byłem w Stanach w klinice uniwersytetu Stanforda pod San Francisco, widziałem salę wybudzeniową bloku operacyjnego, która miała 64 łóżka i tylko 8 stanowisk pielęgniarskich, bo każdy chory był monitorowany elektronicznie. Wyczuwałem stres pacjentów i kiedy pytałem w czym rzecz, odpowiadali, że „od wczoraj nie widzieli lekarza”! Rejestrowane było wszystko – temperatura, ciśnienie, skład moczu, ekg, ale chory chciał widzieć człowieka! Nic nie zastąpi choremu lekarza z duszą i sercem, wrażliwego człowieka.

CIEPŁY: Z jakiego okresu pochodzą Pana nagrody w Izraelu czy Kioto?

POPIELA: To nie jest kwestia określonego czasu. Wiadomo powszechnie, jak funkcjonowałem przez lata. Pracę w klinice zaczynałem o 5 rano, żeby do południa zakończyć swój program operacyjny i móc na pierwszą być w rektoracie. Tam siedziałem do godziny piątej, pół do szóstej, potem jechałem do domu na obiad i wracałem do kliniki na wieczorne spotkanie. Miarą tego, co tam się robiło, jest fakt, że wychowałem 11 profesorów z tytułami belwederskimi, czterech jest kierownikami klinik i katedr (poza Krakowem jeden, w Krakowie trzech), a jednego z nich właśnie wybrano na rektora UJ. Można też te osiągnięcia mierzyć inaczej – liczbą publikacji czy liczbą cytacji. Ja do dziś mam wśród polskich chirurgów największą liczbę, ponad tysiąc cytowań, impact-factor, w światowej literaturze medycznej. Mam 38 monografii, 467 publikacji i 871 referatów.

Wychowywałem swój zespół w tym duchu i w bardzo surowej dyscyplinie, stąd mnie nazywali niekiedy tyranem, wręcz potworem, ale to mi nie przeszkadzało, bo dla mnie liczyła się liczba powikłań i zgonów. Bo nie ma tak, że chirurg ma tylko sukcesy.

CIEPŁY: Czy przypadkiem ludzie nie chcą dziś żyć zbyt długo?

POPIELA: Nic podobnego! Eutanazja to złe rozwiązanie i wynik złej opieki. Każdemu choremu można stworzyć program, który pozwoli go czymś zająć. Nie chce się żyć temu, kto nie umie sobie zbudować programu na godzinę, dzień, na rok, albo nie znalazł się

ktos, kto taki program pomoże zbudować. Niekiedy lekarz nie może już pomóc, ale może stworzyć sytuację, w której chory zostanie czymś zainteresowany. Na tym polegają sukcesy z wszystkimi ludźmi niepełnosprawnymi, niekiedy uprawiającymi sport, niekiedy nawet bardzo aktywnymi, choć podłączonymi cały czas do aparatury wspomagającej... Dziś niesłychane możliwości daje elektronika. Nie trzeba już klawiatury, jest urządzenie, które przechwyci myśl człowieka i przetworzy ją na komputerze.

RATKOWSKI: Profesor Howking, wspaniały fizyk, porozumiewa się ze światem ruchem policzka i bynajmniej nie wygląda na faceta, który czeka na eutanazję. Właśnie przegrał sto dolarów z kolegą fizykiem, bo źle postawił w zakładzie, kiedy nastąpi laboratoryjne potwierdzenie istnienia cząstki Higgsa!

POPIELA: Współczesna technika i nanotechnologia – miniaturyzacja niemal wszystkiego, stwarza możliwości budowania implantów, które pozwolą stworzyć taki poziom egzystencji, która choremu da satysfakcję, szczególnie gdy nauczy się on czerpania satysfakcji z pokonywania własnej słabości. Jak w sporcie! To autopsja panowie! Ja do dziś operuję i nikt mnie nie pozbawi mojego wigoru, bo ja mam zajęcie! Żyję w stałym napięciu i adrenalina, choć jej źródła wydają się wyczerpane od wielu lat, stale jest wydzielana.

Medycyna nie jest w stanie rozstrzygnąć dziś o sprawach ostatecznych. Jesteśmy często zadufani w sobie twierdząc, że rozwój techniki i technologii pozwala stwierdzić, kiedy doszło do śmierci. Współczesna medycyna może jednak stwierdzić, że doszło do śmierci mózgu, który nigdy już nie będzie w stanie podjąć działalności. Na przykład przy kwalifikacji do transplantacji nie decyduje już komisja lekarska, ale badanie angiograficzne, które absolutnie definiuje śmierć mózgu.

CHUDZIŃSKI: Ale na to poseł wiadomej orientacji powie Panu, że człowiek, nawet lekarz, nie jest bogiem i nigdy nie będzie wiedział z całą pewnością, czy śmierć nastąpiła czy nie.

POPIELA: A jednak istnieje coś takiego jak dowody naukowe, które nie budzą wątpliwości. Mamy instrumentarium w postaci tomografii komputerowej, rezonansu magnetycznego, angiografii, radiologii interwencyjnej...

RATKOWSKI: Tu nie chodzi o śpiączkę, ale o śmierć!

POPIELA: Jeśli trzema obiektywnymi metodami coś stwierdzimy, to jest to naukowo uznany fakt, a jeśli nie będziemy szanować faktów, to nie ma o czym rozmawiać.

CIEPŁY: Ale to przecież wy lekarze wprowadziliście do swojego zawodu „klauzulę sumienia”. I okazuje się, że wszelkie obiektywne fakty można unieważnić!

POPIELA: I tak dochodzimy do granicy dyskusji, czy jest Pan Bóg, czy go nie ma.

RATKOWSKI: A nawet jeśli jest, to czy ma jakieś określone poglądy?

POPIELA: Miałem okazję dyskutować z ks. Tischnerem, a mieliśmy trochę czasu, bo leżała u mnie kilka miesięcy. Nie prowadziliśmy wprawdzie głębokich filozoficznych dyskusji, bowiem jego interesowała na-



Fot. Grzegorz Kozakiewicz

sza praca... Klauzula sumienia nie upoważnia nikogo do szkodenia drugiemu i decydujące jest, przynajmniej moim zdaniem, jak klauzulę sumienia rozumie nie lekarz, a pacjent!

CHUDZIŃSKI: Na podstawie klauzuli sumienia lekarz może odmówić przerwania ciąży także w przypadku, kiedy zezwala na to prawo. Co więcej, w tej chwili jacyś politycy zgłaszają projekt karania za stosowanie, czy choćby prowadzenie badań nad in vitro!

POPIELA: To są tematy zastępcze, wprowadzone do dyskusji społecznej zamiast podjęcia kompetentnej decyzji przez władze Rzeczypospolitej. To sprawia wrażenie, jakbyśmy nie żyli w XXI wieku!

RATKOWSKI: Niestety, nie wszyscy mają świadomość, że przyszło im żyć w XXI wieku...

POPIELA: Opowiadanie bzdur o niszczeniu zarodków już dawno straciło aktualność...

CHUDZIŃSKI: Ale takie poglądy głosi rektor Wyższej Szkoły Europejskiej imienia wspomnianego tu księdza Tischnera, który dziś jest ministrem sprawiedliwości Rzeczypospolitej!

POPIELA: Dr Gowin, polityk o wyrazistej orientacji ideologicznej i światopoglądowej, uprawia czasami hipokryzję, która nie pozwala nazwać go człowiekiem światłym! I odmówiłbym mu prawa do decydowania o innym człowieku. Jeśli bowiem pan dr Gowin korzysta z pomocy elektryka i wierzy mu, że prąd w naprawionej instalacji go nie zabije, to dlaczego w sferze znacznie poważniejszych spraw nie polega na opinii fachowców, ludzi publicznie wiarygodnych? Dlatego dyskusja z nim jest bezprzedmiotowa.

CHUDZIŃSKI: Pada też argument, że w medycynie zdarzają się nadużycia, które są wynikiem dążenia do osiągnięcia spektakularnego sukcesu...

POPIELA: O przepraszam! To całkiem inna sprawa. To już jest przestępstwo, które trzeba zwalczać w każdej dziedzinie!

CHUDZIŃSKI: Konserwatyści powiadają, że lepiej ograniczyć możliwości działań w jakiejś dziedzinie, żeby nie stworzyć okazji do nadużyć.

POPIELA: Cywilizowane państwo XXI wieku dysponuje takim oprzyrządowaniem, że jest w stanie obronić się przed wszelkimi nadużyciami. Wiadomo dziś ponadto, że komórki macierzyste są nadzieją całej medycyny. Mamy już komórki multipotentne, które mogą wytworzyć wysoko wyspecjalizowane tkanki, nawet tkanki mięśnia sercowego. Tymczasem pomysły dr. Gowina i podobnych prowadzą do tego, że w Polsce nie będzie można kontynuować badań nad medycyną regeneracyjną. Przyszłość medycyny rysuje się następująco: pozostanie medycyna urazowa, interwencyjna, bo od wypadków nikt nie jest immunizowany, medycyna prewencyjna i medycyna regeneracyjna. Nie będziemy więc wycinać uszkodzonych narządów, tylko będziemy je w fazie początkowej destrukcji regenerować. A u podstaw tego leży medycyna komórek macierzystych! I nie miejmy złudzeń – w wielu ośrodkach na świecie, szczególnie w instytutach wielkich koncernów farmaceutycznych wre praca na całego. Każdy, kto osiągnie sukces w dziedzinie sterowania rozwojem komórek macierzystych, odniesie także sukces finansowy.

RATKOWSKI: Czy to znaczy, że z czasem staniesz się nieśmiertelny?

POPIELA: Podejrzewam, iż w świetle ostatnich dokonania okaże się wkrótce, że medycyna transplantacyjna nie ma przyszłości.

RATKOWSKI: Jak na chirurga, to oryginalny pogląd!

CHUDZIŃSKI: Podcina Pan gałąź na której siedzi...

POPIELA: Nieprawda! Nieprawda! Zawsze powiadam, że chory jest najważniejszy. Dziś aby wyleczyć, trzeba człowieka okaleczyć, dla mnie zawsze jest to niestychanie bolesne. Obecna chirurgia stała się przecież mniej inwazyjna. Nie musimy rozcinać powłok brzusznych, by dotrzeć do wnętrza i mało inwazyjną chirurgią załatwiamy wiele spraw. Dziś nie umiem powiedzieć, jak dalece rozwinie się medycyna regeneracyjna, ale wiem jedno, że możemy zrobić kolejny skok cywilizacyjny. Niech nam to wystarczy.

CHUDZIŃSKI: Czy na zakończenie naszej rozmowy mógłby Pan Profesor przedstawić swój punkt widzenia na służbę zdrowia w Polsce?

POPIELA: Temat trudny i nie do wyczerpania. Ja spróbuję to uprościć. Dlaczego w dyskusji na ten temat bierzemy pod uwagę interes tylko jednej strony? Przecież tych stron jest kilka – chory, lekarz, państwo, firmy farmaceutyczne, nauka... Jest przecież na świecie kilka sprawdzonych systemów, jak choćby szwedzki, które można po prostu skopiować i zastosować u nas. Niektóre nie są do zastosowania z powodów kulturowych czy finansowych, ale nie sądzę, żeby trzeba było wymyślać wszystko od początku. Nie da się dyskutować o poprawie opieki zdrowotnej w Polsce bez uwzględnienia zmian w pozostałych dziedzinach życia publicznego. Źródło niepowodzeń tkwi w decyzjach politycznych, a nie merytorycznych.

Ja radziłbym podejść do tego tematu w inny sposób. Zastosujemy skopiowany z zagranicy jeden ze sprawdzonych na przestrzeni dziesięcioleci systemów, najlepiej z kraju, w którym wprowadzano go na podobnym do naszego dziś poziomie rozwoju. To będzie niosło ze sobą konieczność reformowania także innych dziedzin życia.

CHUDZIŃSKI: Teraz mamy okres dużych napięć społecznych. Czy jest jakiś punkt, od którego można by zacząć poważną rozmowę i podejmowanie poważnych decyzji?

POPIELA: W ciągu ostatnich dwudziestu lat stosunek do inteligencji, do ludzi wykształconych i myślących samodzielnie, jest negatywny. Przypomnę, że to się zaczęło od sławetnego posiedzenia Komitetu Obywatelskiego, kiedy to Lech Wałęsa uświadomił Turowiczowi, gdzie jest jego miejsce w szyku. Skutki widać do dziś w sposobie myślenia o najważniejszych sprawach w Polsce. Podstawową rzeczą jest budżet, pieniądź, a nie chory, nie człowiek, nie ludzie... W ciągu ostatnich 20 lat na naukę przeznaczamy 0,38 proc. PKB! Jak możemy mówić o postępie, jeśli tę sferę tak traktujemy? Mówimy, że przyszłość medycyny regeneracyjnej to innowacyjność, a na innowacyjność nie dajemy w praktyce żadnych pieniędzy! To błędne koło. A co się tyczy środowiska lekarskiego, to przez dziesiątki lat mówiło się, że nie trzeba lekarzom podnosić pensji, bo „lekarz i tak dorobi”. A więc z góry zakładało się, że wpędza się tych ludzi w szarą strefę, a to budowało przez lata pewne nawyki, z który-

mi walczyć niełatwo. Są wśród lekarzy i tacy, którzy nie powinni wykonywać tego zawodu. Ale publiczne wyrażanie braku zaufania do całego środowiska lekarskiego to dramat! Poprzez ustawowy system kar, m.in. za źle wypełnioną receptę, budujemy fatalną atmosferę.

CHUDZIŃSKI: Ale czy ta grupa zawodowa ma prawo do uderzających w pacjentów form protestu?

POPIELA: Nie. Uważam, że lekarz nie ma prawa strajkować, bo nie jest to zgodne z przysięgą Hipokratesa. Natomiast system finansowania leków to sprawa państwa i nigdzie w kodeksie etycznym lekarza nie jest napisane, że ma załatwiać za państwo jakieś obowiązki administracyjne kosztem czasu, jaki ma poświęcić choremu. Mamy pieniądze na ciągle rozrastającą się administrację, a nie możemy zbudować spójnego systemu określającego sposób finansowania leków? Nic nie pomoże przemianowanie NFZ na Kasę Chorych. Wyjściem byłoby zlikwidowanie monopolu ubezpieczeń, bo konkurencja różnych „kas chorych” spowoduje poprawę jakości usług i obniżkę ich cen.

RATKOWSKI: Ale wtedy możemy mieć kasy chorych dla bogatych i zdrowych, oraz inne, dla chorych, starych i ubogich!

POPIELA: A dziś ma Pan jakieś gwarancje? Nikt się przecież nie zajmuje jakością leczenia, tylko wszyscy dyskutujemy o biurokracji! System ubezpieczeń dobrze zbudowany powoduje, że nikt nie wydaje pieniędzy za usługi źle wykonane.

W USA, dzięki reformie Obama każdy ma mieć prawo do opieki na poziomie „county hospital”, czyli szpitala powiatowego. Ale pozostaje problem wysokospecjalistycznych procedur i tu potrzebne jest dodatkowe ubezpieczenie. Tymczasem my się w Polsce rozbijamy o rzeczy podstawowe. Z jednej strony jest afera o to, czy NFZ ma płacić 60 tys. tygodniowo za leczenie onkologiczne jakiegoś konkretnego pacjenta, a z drugiej strony szef NFZ chwali się, że zaoszczędził na lekach 800 milionów pod hasłem „uszczelniania systemu”. Więc może zacznijmy od z informatyzowania tego sławetnego „systemu”, żeby każda czynność medyczna była zarejestrowana, a potem przystąpmy do jego uszczelniania i głębszych reform.

CHUDZIŃSKI: Dziękujemy Panu Profesorowi za rozmowę.

Rozmawiali:
Edward Chudziński
Stefan Cieplý
Filip Ratkowski

Kraków, 3 lipca 2012 r.

ANDRZEJ KURZ

EUROPA, PRZYSZŁOŚĆ, POLSKA LEWICA

(o konferencji „Kuźnicy”, 19 maja 2012 r.)

Jest radością samą w sobie spotkać się znowu w tak wielkim gronie kuźniczan i ich znakomitych przyjaciół. A w dodatku porozmawiać o sprawach związanych z naszą obywatelską odpowiedzialnością i ideowym wyborem.

Dla dzisiejszej rozmowy, w której nikt z zaproszonych nie odmówił udziału, (czasem tylko nie mógł do Krakowa dojechać), nakreśliliśmy szerokie ramy tematyczne, ogarniające obszary najbardziej nas zajmujące: **Europa, przyszłość, polska lewica**. Istnieje między nimi głęboki związek. Nasza dobra przyszłość zależy przecież od wysiłku Polaków, ale tylko takiego, który łączy się solidarnie z wysiłkiem całej Europy i od naszego w tym solidarnym działaniu miejsca. A postulowana przez lewicę i przez nią gwarantowana ludzka i społeczna sprawiedliwość i prawość też ma europejski, jeśli nie globalny wymiar i uwarunkowanie.

„Kuźnica” może być dumna, że w dzisiejszej debacie znaleźli się wśród nas, a i przekazali nam wcześniej swe opinie wybitni ludzie lewicy, którzy odegrali tak wielką rolę w integracji Polski ze współczesną Europą i w przygotowaniu referendalnej decyzji polskiego społeczeństwa o przystąpieniu do Unii Europejskiej ze wszystkimi tego konsekwencjami. Uczestniczą bowiem w naszym spotkaniu mężowie stanu, którzy podpisali podstawowe w tej sprawie akty o wadze historycznej, nasi przyjaciele – Aleksander Kwaśniewski i Włodzimierz Cimoszewicz. Trzeci z nich, Leszek Miller, przysłał nam list, w którym – żałując, że nie może osobiście uczestniczyć w debacie – wyraża optymistyczne przekonanie, iż nasza dyskusja „udzieli odpowiedzi na wiele pytań i wyzwania, jakie przed Polską i europejską lewicą stawia zmieniająca się dynamicznie współczesność”. Cieszy się też, „że debata będzie się odbywać w sprzyjającym lewicy czasie i okolicznościach – sukcesu w wyborach prezydenckich we Francji, co jest dobrym sygnałem dla naszego kraju i innych państw, iż lewicowe programy mogą stanowić atrakcyjne dla obywateli alternatywy”.

Jesteśmy świadomi, że kiedy zastanawiamy się nad przyszłością Europy, myślimy nie tylko o Unii Europejskiej. W kręgu naszych rozważań mieści się i ta Europa, która do Unii tylko aspiruje, albo i nie aspiruje – Ukraina i Turcja, całe Bałkany, a może nawet Izrael i Palestyna, ale przede wszystkim Rosja, która ciągnąc cała do europejskiej cywilizacji sięga nie tylko, jak mówił de Gaulle po Ural, lecz po Władywostok. Pamię-

tajmy o tym, tak jak pamiętamy, że Europa to właśnie przede wszystkim cywilizacja i kultura, a w tym gospodarka, polityka i prawo.

* * *

Radość i satysfakcję sprawia nam także to, że możemy obradować w samym sercu Krakowa – jego Rynku Głównym – i w domu, którego posady należą do najstarszych w naszym mieście wybudowanych przed ośmiu niemal wiekami, w roku lokalizacji Krakowa na prawie magdeburskim, tzn. na prawnym gruncie europejskiej idei samorządności miejskiej. W dodatku, w sali ozdobionej przez pracującego przez wiele lat w Polsce artysty przełomu XVII i XVIII w., a kształconego w Rzymie Włocha, Baltazara Fontanę.

Wprawdzie przed kilkunastu laty, na jednym z pierwszych naszych majowych sympozjów, bardzo wówczas młody animator lewicowych myślicieli i manifestantów, skupionych wokół „Krytyki Politycznej”, Sławomir Sierakowski krytykował nas (w zgodzie z nazwą tego znakomitego pisma) za snobistyczne niemal przywiązanie do krakowskiej starzyny, ale może już z biegiem lat zmienił tę młodzieńczą opinię.

Dziękujemy więc obecnemu wśród nas gospodarzowi miasta – Jackowi Majchrowskiemu i dyrekcji Muzeum Historycznego za udostępnienie nam tej pięknej sali.

Znajdę się też zapewne w duchu krakowskiej i kuźniczańskiej tradycji, jeśli wspomnę na wstępie naszego spotkania, że jedna w najważniejszych w pejzażu Krakowa postaci, nasz przyjaciel, uczonec, znawca antyku, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, pisarz, a w przeszłości i minister kultury i sztuki w najlepszym jej okresie i poseł na Sejm III Rzeczypospolitej – Aleksander Krawczuk – skończy za parę dni lat 90. Składamy mu życzenia wciąż wielkiej formy intelektualnej i werwy twórczej, a także dobrego zdrowia.

* * *

Przygotowując się do dzisiejszej debaty, poprosiliśmy dwóch lewicowych myślicieli i przyjaciół „Kuźnicy” – Zygmunta Baumana i Aleksandra Kwaśniewskiego – o pisemne rozważania, wprowadzające nas do dyskusji. Artykuł Aleksandra Kwaśniewskiego zdążyliśmy już wydrukować w poprzednim numerze „Zdania” (*Patrząc w przyszłość*, nr 1-2/2012), a w tym publikujemy tekst Zygmunta Baumana, rozdany w maju wśród uczestników naszego spotkania.

ZYGMUNT BAUMAN

CZY PRZYSZŁOŚĆ MA LEWICĘ?

Co powiem, będzie heretyckie; nawiasem mówiąc, wolę herezję od ortodoksji, bo historia jest cmentarzy-
skiem ortodoksji, a dzisiejsze herezje jeszcze na wynie-
sienie do rangi ortodoksji czekają...

Chciałbym zastanowić się tu głośno nad tym, co się właściwie z lewicą stało, dlaczego znalazła się w tak głębokim kryzysie i jakie są szanse, że się stamtąd wydostanie. Tych kilka nieuporządkowanych re-
fleksji to także spełnienie pewnego mojego marzenia: mówienia o tych sprawach w środowisku, które ciągle jeszcze trwa w trosce o te co mniej apetyczne, wołające o pilną i nieustającą naprawę cechy świata – w trosce, jaka sprowadziła poniekąd przynajmniej spośród tu zebranych do „Kuźnicy” 40 lat temu.

To prawda, że spada liczba ludzi, którzy na pytania ankieterów odpowiadają, że mają poglądy lewicowe. Nie jest to jednak najważniejszy aspekt kryzysu. Są i inne, o wiele poważniejsze. W jednym zdaniu zawarł je parę lat temu ówczesny kanclerz niemiecki Schröder w twierdzeniu, iż nieprawdą jest, jakoby istniała „ekonomika kapitalistyczna” i „socjalistyczna”, i że jego zdaniem istnieje jeno ekonomika dobra albo zła. Taka opinia wyraża pogląd, że w gruncie rzeczy lewica nie ma już świata nic od siebie do zakomunikowania poza tym, że chce uczyć się od ich głosicieli zasad kapitalistycznego rynku, by wcielić je w życie sprawniej i gorliwiej niż to czynili ich projektanci i dotychczasowi praktycy.

W tym samym mniej więcej czasie, a dokładnie 9 czerwca 2009 roku Jose Saramago, wielki człowiek, wybitny portugalski pisarz, zanotował w swoim dzienniku, że „ruch, który w przeszłości reprezentował jedne z największych nadziei ludzkości, z czasem stracił rolę, jaką dotąd odgrywał”. I podsumowuje tę swoją obserwację zdaniem, że ów ruch „sprzedał się prawicy”! To gorzkie stwierdzenie, bo przecież nie idzie tu o jakieś doraźne zmiany kursu politycznego czy o zmianę poglądów któregoś z intelektualnych autorytetów, ale o coś znacznie poważniejszego.

Gdy nam się coś w praktykach ruchu nie podoba, naszym pierwszym odruchem jest żądanie zmiany jego przywódców. Obserwuję takie rozważania choćby obecnie w polskiej prasie: kto z pretendentów do lewicowego przywództwa ma większe szanse albo czy pomaszerają 1 maja razem czy osobno... Ba, gdyby sprawy były tak proste i łatwo było z zapaści się wykaraskać. Niestety, są i tak głębokie przyczyny zapaści, jakich kadryl na szczycie sam przez się nie sięgnie.

Próbę odpowiedzi na pytanie co stało się z lewicą w szerokiej, globalnej skali, chciałbym przedstawić w kilku punktach.

Pierwszy z nich to refleksja na temat konsekwencji zniknięcia komunizmu z politycznej areny. Praktycznie od końca XIX wieku to komunizm właśnie ustalał „porządek dzienny” dla reszty politycznego świata. Komunizm był punktem odniesienia, na który z nadzieją lub niepokojem, ufnie lub podejrzliwie reszta świata spoglądała, z tego co zobaczyła wyciągając wnioski co jej robić należy. To właśnie komunizm narzucił reszcie świata podjęcie z entuzjazmem czy bez takich zadań jak walka z niedolą, upokorzeniem i upośledzeniem ludzkim, jak właściwa rekompensata za rolę klasy robotniczej w procesie tworzenia ludzkich bogactw, jak problemy społecznej równości i sprawiedliwości, prawa do edukacji dla wszystkich, powszechnego prawa do opieki zdrowotnej, bezpiecznej starości czy ubezpieczenia społecznego na wypadek poniesionej indywidualnie życiowej klęski.

Wielki to był „porządek dnia” i faktem jest, że nie decydowała o jego wadze tylko siła militarna systemu czy istnienie granic najeżonych rakietami, bo już znacznie wcześniej, od chwili gdy „widmo komunizmu” zaczęło krążyć nad Europą, świat musiał się z lewicą liczyć i robić wszystko, by zmierzyć się z ową alternatywą, poczując ją za śmiertelne dla siebie niebezpieczeństwo.

I trzeba przyznać, że owa „reszta świata” robiła to z większym powodzeniem niż komunizm sam! Najlepsze, czego „w kwestii socjalnej” dokonała, jak wprowadzenie praw fabrycznych, znaczne polepszenie bytu robotniczego, podniesienie standardu życia, zalegalizowanie organizacji robotniczej samoobrony, ruchów społecznych powodowanych owymi socjalistycznymi pragnieniami, to wszystko miało na celu zmniejszenie groźby przewrotu komunistycznego, której spełnienia nagminnie się w przeciwnym wypadku na zachodzie spodziewano. W rezultacie (jak to ujął ostatnio Roberto Toscano, włoski socjolog polityczny, który spędził większość życia jako dyplomata – był m. in. ambasadorem w Iranie w czasie najgorętszych wydarzeń rewolucyjnych, a teraz wykłada w Madrycie): komunizm był bardzo dobrą rzeczą dla wszystkich ludzi, z wyjątkiem tych, którzy mieli pecha żyć w jego systemie...

Tak czy inaczej to właśnie komunizm wyznaczał porządek dzienny przemian społecznych na świecie. Dziś sytuacja się odwróciła o 180 stopni i cała energia tego co jeszcze z lewicy zostało, skupiona jest na tym, by udowodnić, że robi to samo co prawica czyni wyzbywając się jedno za drugim zadań, do jakich istnienie komunizmu ją zmuszało – tyle że robi to sprawniej... Własnego programu lewica nie ma, albo tyle go ma co kot napłakał; sprowadza się on do garstki haseł obliczonych na zażeganie bieżącego kryzysu i wygranie najbliższych wyborów. O budowie alternatywy dla schorzałego i nieprzyjawnego ludziom systemu społecznego nie ma mowy.

Druga sprawa, która uderzyła lewicę bardzo poważnie, to zjawisko ogólne i przez nią niezawinione, a mianowicie rozwój „mocy” i „polityki”. Jeśli „mocą” jest możliwość robienia rzeczy, to zadaniem „polityki” jest określić, jakie to rzeczy powinny być zrobione. I tylko połączenie „mocy” z „polityką” daje rezultaty i tworzy kwalifikacje po temu, by powodować realne, dalekosiężne przemiany w świecie.

Dziś jesteśmy świadkami rosnącej impotencji państwa, kurczenia się możliwości organów państwowych i to właśnie z powodu owego rozwoju. Znaczna część mocy wyparowała w przestrzeń globalną, przestrzeń dotąd wolną od politycznej kurateli. Mamy w rezultacie z jednej strony moc uwolnioną od politycznego nadzoru i przewodnictwa, a z drugiej politykę cierpiącą na chroniczny niedobór mocy (proszę nie mylić koalicji międzynarodowych, a ściślej mówiąc międzyrządowych czy międzyministerialnych z instytucjami globalnymi; zebranie kilku, kilkunastu, a nawet kilkudziesięciu słabosilnych rządów nie stwarza możliwości realnego przeciwstawienia się mocy rozproszonej dziś w globalnej „przestrzeni przepływów” poza zasięgiem któregośkolwiek z nich) Pytaniem najtrudniejszym dziś do odpowiedzenia, i z tego tytułu odbierającym chęć zastanawiania się nad tym „co by tu należało zrobić?”, jest pytanie „kto to zrobi?”. Nie widać instytucji, które mogłyby podjąć się zadań o charakterze globalnym – a najistotniejsze zadania, meta-zadania zaiste, są dziś w swej istocie globalne.

Doszlśmy w ten sposób do trzeciego zjawiska, które możemy nazwać „kryzysem agencji”, czyli takiego organu działającego, który potrafiłby skomasować rozproszone interesy, idee, ciągoty, intencje, pragnienia, marzenia i przekuć je w zdolną do zintegrowanego a skutecznego działania siłę zbiorową. Konstrukcja tak rozumianych agencji, jedynych jakie byłyby w stanie sprostać ogromowi zadań, które stoją dziś przed społeczeństwami, jeszcze się w gruncie rzeczy nie zaczęła. Zapożyczając się u Antonia Gramsciego używam dla opisu obecnego stanu rzeczy pojęcia „interregnum”. Po raz pierwszy o sytuacji interregnum donosi autor historii Rzymu „od założenia miasta” Tytus Liwiusz pisząc o kryzysie, jaki nastąpił po śmierci pierwszego rzymskiego króla Romulusa. Romulus panował nad Rzymianami przez 37 lat, a 37 lat to była przeciętna długość życia w owym okresie w Rzymie; gdy nagle zniknął ze sceny, tylko bardzo niewielu Rzymian pamiętało świat, który by romulusowego rozkazodawstwa i niepodważalnego autorytetu nie zawierał. Jednoznaczne a wiążące instrukcje przychodziły dotąd z jedyne go źródła, które teraz znikło... Nie wiadomo było, kto zastąpi Romulusa ani czy w ogóle ktoś zastąpić go może? Przez Romulusa stanowiące prawa już pod jego nieobecność nie obowiązywały, a nowych jeszcze nie sformułowano. Gramsci treść pojęcia „interregnum” uogólnił i zaktualizował: interregnum to okres, kiedy stare sposoby działania przestają funkcjonować, a nowe jeszcze są w najlepszym przypadku w biurze projektowym, a w najgorszym tam nawet jeszcze nie dotarły. Nie ma więc w interregnum agencji, która zdolna by była realizować ambitne pomysły na przyszłość, co sprawia wrazenie, że ideologia socjalistyczna, która była traktowana całkiem poważnie jako recepta na alternatywny świat, jest dziś jedynie jakimś utopijnym rojeniem.

Myślę też, i to jest punkt czwarty, że jedną z najważniejszych przyczyn, iż rozmyślanie o modelu lepszego społeczeństwa nie jest dzisiaj w modzie i mało kto się do tego kwapi, wynika stąd, że w podświadomości ciągle tkwi stare wyobrażenie o tym, co kieruje losami świata. Myślmy więc w kategoriach łączenia „mocy” i „polityki”, a tymczasem jedno od drugiego oddaliło się na niewyobrażalną niegdyś odległość i sposobu na ich ponowny ożenek nie widać. Czy nie trzeba zatem wymyślić innej od dotychczasowych dróg i innych dróg spróbować? Takimi próbami może być na przykład to co się zdarzyło na kairskim placu Tahrir, albo okupowanie Wall Street, czy w Polsce manifestacja w sprawie ACTA, albo wreszcie „Movimiento los indignados” w Hiszpanii. Nowy obyczaj wychodzenia na place publiczne, rozbijania tam namiotów na dłuższy pobyt, przesiadywania tak długo, aż się dobijemy swego, to próba znalezienia na oślep, po omacku, alternatywnych sposobów działania w sytuacji, kiedy wędnie zaufanie do państwa i rośnie wątpliwość, że można się po nim porządnej roboty spodziewać. Zanika nadzieja, że zbawienie przyjdzie z góry – może zbawienie się ziści, gdy sami się jego spełnieniem zajmujemy? Przestrzegalbym przed wyciąganiem równie optymistycznych co pochopnych i przedwczesnych wniosków z eksperymentów. Przypomnę, że rok temu entuzjasmowaliśmy się tak zwaną „Arabską wiosną”, a od tego minęła już jesień i zima a wciąż czekamy na „Arabskie lato”... Ruchy alternatywne jak dotąd udowodniły jedynie, że mogą się pozbyć tego, co wszyscy uczestnicy, bez względu na dzielące ich poglądy na inne kwestie, uważają zgodnie za rzecz nie do przyjęcia czy zniesienia, np. coś się nazywa Mubarak, Kaddafi, czy ACTA. Ale w ten sposób tylko oczyszczają pole pod budowę czegoś innego... Ale czego?! Żaden ruch nie wstawił się jak dotąd wzniesieniem budynku na placu, jaki mu się udało opustoszyć. Nawet opustoszyć ów plac niewielu się udało. Giełda nowojorska, okupowana w przekonaniu okupantów, była pierwszą z giełd światowych (nieokupowanych...), która osiągnęła poziom przewyższający notowania przedkryzysowe. Chyba ona, w odróżnieniu od gazetowych poszukiwaczy sensacji i socjologów głodnych odkryć, nie zauważyła, że była pod okupacją...

Kolej przejść więc do kwestii socjologicznych – to punkt, jak się zdaje, piąty. Co się stało z tak zwanym elektoratem lewicy? Z ludźmi, którzy byli naturalną glebą dla zasiewu lewicowych ziaren, dla ich kiełkowania i kwitnienia; z kategorią ludzi, na których „można było liczyć”, że z naturalnego ich odruchu poprą lewicową alternatywę dla życia? Zacznę od tego, że zmieniła się zasadniczo i liczebność, i waga społeczna, i morfologia podstawowego elektoratu lewicy, jakim była klasa robotnicza. Klasa robotnicza przechodzi dziś ten sam proces, jaki w XIX stuleciu przeszli robotnicy rolni, którzy stulecie zaczęli od tego, że byli dziewięćdziesięcioma procentami ludności, a skończyli dziewięćdziesięcioma procentami. Za czasów Marksa spodziewali się wszyscy lub niemal wszyscy współcześni, że świat zmierza ku temu, że wszyscy będą albo robotnikami, albo ich szefami, a dla trzeciej kategorii miejsca się już nie znajdzie. Dziś widać, że przemysłowa klasa robotnicza odchodzi w przeszłość. Jeśli jeszcze nie, to daleko od Europy, w tzw. krajach rozwijających się, ale prawdopodobnie w momencie, kiedy pierwotna akumulacja kapitału dobiegnie końca i tanieość siły roboczej przestanie zniechęcać do inwestycji w maszynię,

to i tam klasa robotnicza zacznie maleć w oczach. Powiada się dziś chyba pół żartem ale i pewnie bardziej niż na wpół serio, że w zakładzie przemysłowym przyszłości zatrudniony będzie jeden człowiek i jeden pies. Człowiek będzie po to, żeby karmić psa, a pies będzie pilnował, żeby człowiek niczego nie dotykał. (Co do sytuacji w Polsce, warto przytoczyć dowcipne a trafne stwierdzenie Edwina Bendyka z jego *Buntu sieci*: „Wielkoprzemysłowa klasa robotnicza, której gniew pogrzebał realny socjalizm, sama musiała odejść wraz ze starym systemem na śmietnik historii, by przez przypadek ten sam gniew nie zahamował rozwoju kapitalizmu”...)

Tezy postawione przez Marksa, a potem rozwinięte przez Lenina, wsparte były na oczekiwaniu dalszej centralizacji, kondensacji kapitału i koncentracji produkcji. I te solidne fabryki, o których mówię, że należą do „solidnej nowoczesności”, były w istocie fabrykami „solidarności” (to już chyba punkt szósty). Ta solidarność była nie tyle ideologią, ile refleksją nad rzeczywistością, czy po prostu refleksem rzeczywistości. Każdy z robotników miał swego nieczulego czy wręcz okrutnego majstra i gdy się zbierali wieczorami przy piwie, a potem także na zebraniach związkowych, to dochodzili do wniosku, że wszyscy ludzie władzy są podobni, i że nie chodzi o to, żeby zamienić jednego drugim, ale o to, by zasadniczo zmienić system. Poza tym dochodzili do wniosku, który sam się narzucał, że jeśli zewrą szeregi i pomaszują ramię przy ramieniu i łokieć przy łokciu, to ze zbieraniń upośledzonych a samotnych i bezbronnych staną się potężną mocą, której właściciele czy zarządcy będą się po prostu bali.

Tak było w warunkach „solidnej nowoczesności”. Henry Ford stynął z tego, że był niesłychanie przebiegłym kapitalistą i rozsądnym człowiekiem w swych kalkulacjach. Nieprzypadkowo grał rolę guru amerykańskiego kapitalizmu i nie tylko amerykańskiego. I ten oto człowiek w latach dwudziestych podwoił uposażenie swoich robotników, co wywołało prawdziwą panikę w amerykańskich kręgach biznesowych. Podniósł zarobki, gdy tendencje w całym kraju były odwrotne, bo wychodzenie z kryzysu polegało wówczas (jak i dziś...) na obcinaniu płac i zwalnianiu ludzi z pracy. Oblegany przez dziennikarzy Ford odpowiadał na ich indagacje, że podwoił zarobki, bo chce, żeby robotnicy kupowali jego samochody. Oczywiście był to żart, bo ileż samochodów mogli robotnicy kupić? A koszta produkcji podwojenie płac poważnie nadwyrężyło. Jaki był więc cel tego manewru? Zależność między kapitalistą a robotnikami była relacją obustronną. Robotnicze środki do życia zależały od Forda, ale też bogactwo Forda było od nich uzależnione. Ford nie mógł jak współcześni menedżerowie spakować manatków, gdy tylko sytuacja robi się gorąca i nie można uśmierzyć niezadowolonych. Dzisiejszy menedżer w takiej sytuacji dotyka paru obrazków na swoim iPadzie i przenosi kapitał w inne strony, gdzie nie ma związków zawodowych, gdzie rządy są bardziej posłuszne, gdzie robotnicy są mniej hardzi i gotowi są czyścić wychodki za znacznie mniejszą płacę niż ci tu, na miejscu. W czasach Henry’ego Forda-seniora fabryki były masywne, ciężkie, kapitał utopiony był w murach i w maszynach, którą niełatwo było przetransportować. Był to układ podobny tradycyjnemu małżeństwu... Trzeba więc było jakoś się dogadywać. Usiąść przy wspólnym stole, porozmawiać, nawet się pokłócić, ale szukać rozwiązania do przyję-

cia dla obu stron. I tak też było przez lat kilkadziesiąt i w Ameryce, i w Europie. „Okrągły stół” nie był wynalazkiem 1989 roku, przy takim stole „collective bargaining”, czyli zbiorowego targowania się zasiadali wspólnie przedstawiciele wszystkich zainteresowanych stron i dogadywali się znośnych do przyjęcia kompromisów.

Dziś wzajemność zależności została jednostronnie zerwana, bo kapitał ma całkowitą swobodę przenoszenia się z miejsca na miejsce i nie jest skrępowany ani wielkością swojej maszynarii, ani przepisami państwowymi zabraniającymi wywozu kapitału – ma więc w ręku atut, którego robotnicy nie posiadają. Właściciele mogą powiedzieć „*baj-baj*, a my pójdziemy tam, gdzie trawka zieleńsza”. I to jest powód, dla którego tak niewielu pracowników zapisuje się dziś do związku zawodowego i dlatego tak rzadko się zdarza, by związki zawodowe decydowały się na strajk. Hardo się stawiając dopraszają się bieda, która polega na tym, że kapitał się wynosi, a ludzie pozostają bez pracy.

Fabryka „fordowska” była naturalną fabryką solidarności, podobnie jak Stocznia Gdańska, Stocznia Szczecińska, czy Zakłady Cegielskiego. Współczesne fabryki przynajmniej w naszym kręgu kulturowym są, przeciwnie, fabrykami konkurencyjności i wzajemnej podejrzliwości.

Warto pamiętać o aferze z firmą Enron, która okazała się szczytem korupcji, ale zanim to odkryto, czołowy organ amerykańskiego biznesu „Fortune” przedstawiał ją światowym trustom jako przykład do naśladowania, wychwalając jej sposoby prowadzenia spraw. Jednym z tych sposobów było rutynowe wymawianie pracy co pół roku 30 procentom załogi. Zwalniano ich nie dlatego, że każdego półrocza akurat co trzeci robotnik okazywał się nieprzydatny albo coś zbroił; chodziło o uświadomienie całej reszcie załogi, że kolega po fachu jest konkurentem, a nie sojusznikiem, i że każdy musi się wysilać bardziej niż jego sąsiad w pracy, aby to sąsiad, a nie on padł ofiarą następnej rundy cięć.

Taki sposób postępowania rzeczywiście się upowszechnił i staje się w niektórych korporacjach regułą! Dzisiejsi menedżerowie nie lubią nauki o zarządzaniu pewnie dlatego, że kojarzy się z nią niezłomność zasad, a więc ograniczenie improwizacji. Dziś idealnym modelem prowadzenia biznesu jest skanowanie ciągle zmieniających się możliwości i wykorzystywanie nowych szans, jakie akurat się nadarzają. Gdyby się trzymać raz przyjętych zasad, swoboda manewru byłaby ograniczona, posiadacze akcji mogliby uznać takie zarządzanie za konserwatywne i wymienić zespół kierowniczy.

Tuż przed wybuchem II wojny światowej James Burnham opublikował książkę *Rewolucja menedżerów*, która miała być polemiką z Marksem i marksizmem; Marks twierdził, że ten rządzi, kto jest właścicielem środków produkcji, a Burnham dowodził, zresztą słusznie, że tak się wcale nie stało, bo zarządzanie jest zajęciem bardzo kłopotliwym, a zarządzający przyjmuje na swoje barki odpowiedzialność za wyniki działania gospodarczego. O wiele wygodniej jest wynająć do tego opłacanych specjalistów. Kapitałści wynajęli menedżerów, a ci zaś wyzyskali powierzoną im władzę dla zredukowania swych najemców do roli rentierów...

James Burnham nie wyciągnął wszakże wniosków ze swej obserwacji i nie przewidział, że przejąwszy rządy z rąk właścicieli środków produkcji przekształconych w posiadaczy akcji giełdowych zarządcy postanowią

uwolnić się od kłopotliwych sporów z pracownikami i od nieprzespanych nocy, i wymyślą sposoby na to, by znaczną część tych uciążliwości zniwelować. Wymyślili *outsourcing* lub *hiving off* – zlecenie zadań wyspecjalizowanym firmom pozazakładowym, *subsidiarising* – czyli składanie odpowiedzialności na podwładnych, czy *contracting out* – czyli wyprzedawanie funkcji bądź zadań przedsiębiorstwa i realizowanie ich drogą transakcji rynkowych, a nie drogą zwierzchnictwa i bez przyjmowania odpowiedzialności za wyniki.

Rezultatem jest to co się nazywa „deregulacją”. To jest takie neutralne z pozoru słowo, którego wyrazistszym (i uczciwszym) zastępstwem byłaby „dezorganizacja”. Kryje się bowiem za nim rozproszenie odpowiedzialności i zastąpienie względnie przewidywalnych bo ustrukturalizowanych sytuacji, sytuacjami nieprzewidywalnymi, przepełnionymi niepewnością, brakiem znajomości jutra itp. Przy dezorganizacji każdy staje się gospodarzem własnego losu – choć w sensie dokładnie odwrotnym do sensu tradycyjnego, jakie czyniło „gospodarzenie własnym losem” czynnością wzniosłą i pożądaną. Dziś należałoby raczej mówić o byciu skazanym na kaprysy losu: idzie wszak o to, że za każde potknięcie odpowiada się samemu i nie ma ani na kogo się skarżyć, ani do kogo... W takiej sytuacji „zwieranie szeregów”, stanie ramię w ramię traci sens. Nie widać, w jaki sposób z połączenia jednostkowych interesów miałyby wynikać jakaś większa szansa ich realizacji.

Do tego trzeba dodać jeszcze jeden element. Oto Władysław Inoziemcew, który zaczynał jako ostatni redaktor „Kommunista”, a teraz redaguje najbardziej wpływowe w Rosji pismo naukowo-polityczne „Swobodnaja Mysl” i kieruje rosyjskim Centrum Badań nad Społeczeństwem Postindustrialnym, w artykule pt. *Upadek wielkiej idei* zwraca uwagę na to, co się stało z etycznymi fundamentami socjalizmu. Jak wiadomo Marks oskarżał kapitalizm o marnotrawstwo energii społecznej, ale też i o łamanie zasad sprawiedliwości. Robotnicy wytwarzają bogactwo, z czym wszyscy współcześni Marksowi ekonomiści się zgadzali, ale dostawali za to w zamian nie udział w wytworzonym przez siebie bogactwie, lecz tylko płacę niezbędną dla odnowienia zużytej siły roboczej. Jak później wyjaśnił Jürgen Habermas, nie dostawali nawet tyle. Żaden kapitalista nie był w stanie opłacić pełnych kosztów odtwarzania zużytej siły roboczej, trzeba było dla jej oplatania mobilizacji zasobów społecznych – przemocy w postaci polityki podatkowej państwa. Wedle *Kryzysu Legitymacji* Habermasa podstawowym ogniwem samoodtwarzania się kapitalizmu jest „spotkanie kapitału z pracą”, w jakim dochodzi do transakcji handlowej między nimi. „Praca” (ściślej mówiąc – siła robocza, jaka była jej obietnicą) musiała być wystarczająco atrakcyjna, by kapitał skłonny był ją nabyć i był w stanie opłacić nabytek wedle bieżącej ceny rynkowej. Ale cena odtwarzania siły roboczej rosła nieustannie. Rosły koszty ochrony zdrowia, edukacji, należytego odżywienia, przyzwoitych warunków mieszkalnych, higieny otoczenia. Na spełnienie wszystkich tych warunków atrakcyjności siły roboczej dla jej kapitalistycznych nabywców musiało łożyć państwo budując szpitale, osiedla robotnicze, wprowadzające powszechną i, proszę zwrócić uwagę, *bezpłatną* edukację, itp.

Sytuacja ta należy do przeszłości. Jeśli spojrzeć na listy najbogatszych ludzi na świecie publikowane

systematycznie przez „Fortune”, to łatwo zauważyć, że przemysłowców na nich tylu, co kot napłakał. Najbogatsi ludzie świata to dziś nie ci, co żyją z eksploatacji siły roboczej, czyli nieekwiwalentnej wymiany. Zastąpili ich w gronie największych bogaczy ludzie, których usługi ludzkie z własnej i nieprzymuszonej woli gotowi są opłacać, nie zważając – jeżeli tylko mogą sobie na to pozwolić – na koszty... Jeśli w społeczeństwie wytwórców opisanym przez Marksa, a później Habermasa podstawową cegiełką kapitalistycznego systemu było spotkanie kapitału z pracą, to dzisiaj taką cegiełką jest spotkanie towaru z klientem.

Jak sugerował Louis Althusser – społeczeństwo „interpeluje” swoich członków w pewnych specyficznych dłań rolach. W czasach przez Marksa opisanym członkowie społeczeństwa byli „interpelowani” w ich roli producentów i żołnierzy armii imperialnych. Dziś jesteśmy „interpelowani” w roli konsumentów. W momentach kryzysowych nie powołujemy żołnierzy do podboju kolejnych krain ani robotników do zwiększenia produkcji, lecz wzywamy konsumentów, by wrócili do sklepów, sięgnęli po swoje karty kredytowe i zaciągnęli kolejne długi. Ale jaki wpływ „wszystko to” ma na losy etycznych fundamentów socjalizmu?

O ile można powiedzieć, że grabież części lub całości wartości dodatkowej wytwarzanej przez robotników jest niesprawiedliwością, to czy niesprawiedliwością jest też wyrzucanie sprawnego i-Pada numer 1, bo pojawił się i-Pad numer 2? Do wielomiliardowych fortun Billa Gate-sa czy Marka Zuckerberga i wielomilionowego bogactwa piłkarzy, piosenkarzy i innych modnych celebrytów do-kładamy się z własnej woli, nie zmuszani ekonomicznym przymusem... Tradycyjny atut lewicy, postulat sprawiedliwego rozdziału pospólnie wytwarzanego dobra, stracił wiele ze swojej mocy przekonywania...

* * *

Co więc znaczy dziś „być na lewicy”? Są dwa szeroko przyjęte, i oba złe, sposoby.

Jeden to zgoda na „porządek dnia” ustalany przez prawicę – z dołączeniem obietnicy, że „my to zrobimy lepiej”. Sprawniej? Napotykać na mniejszy opór społeczny? Nie brudząc rąk prawicy i nie zmuszając jej do odstąpienia przyłbicy? Zważmy, że najbardziej drastyczne posunięcia w rozmontowywaniu państwa socjalnego były dziełem rządów socjaldemokratycznych. Arcymistrzem tej pseudolewicowej ekwilibrystyki czy prestidigitatorstwa był w Anglii Tony Blair. Prorokinią i misjonarzem religii neoliberalnej była Margaret Thatcher, a religię tę uczynił państwową, zinstytucjonalizował, solidnie okopał łamiąc opór starowierców i heretyków, i zmuszając nawróconych do potulności dopiero jej następcę, Tony Blair. Spełnił zatem swą obietnicę – robił to samo co ona, tylko sprawniej i z mniejszym dla niej kosztem. Powążył się na rzeczy, na które ona powążyć się nie śmiała albo i nie mogła...

Drugi sposób, w jaki próbuje się konstruować lewicę, to tak zwana „tęczowa koalicja”. Zakłada się w tej koncepcji, że jeśli się zgromadzi pod jednym parasolem wszystkich niezadowolonych, bez względu na to, co im doskwiera, a więc na powód ich zadowolenia, powstanie potężna siła polityczna. Ba, wśród niezadowolonych istnieją bardzo ostre konflikty interesów i postulatów, i wyobrażanie sobie np. takiej lewicy, która składałaby

się z jednej strony z dyskryminowanych promotorów małżeństw jedнопłciowych, a z drugiej z dyskryminowanej mniejszości pakistańskiej jest receptą na rozpad i bezsilę, nie na integrację i moc efektywnego działania. Koncepcja „tęczowej koalicji” musi owocować rozmywaniem lewicowej tożsamości, rozmazaniem jej programu, a i obezwładnieniem postulowanej „siły politycznej” już w momencie jej narodzin.

A przecież jest coś, co odróżniało i i nadal odróżnia lewicowość od wszystkich innych nastawień politycznych, co nic nie straciło na aktualności także i w dzisiejszych, jakże odmienionych warunkach, a i nieprędko tę aktualność, jeśli w ogóle kiedykolwiek, straci... Można owe „coś” przedstawić w postaci dwu niewzruszonych, nie podlegających kompromisom zasad, od pierwszej chwili określających sens i powołanie lewicy.

Pierwsza zasada głosi, że wspólnota odpowiedzialna jest za los wszystkich swych członków; a konkretnie że obowiązkiem wspólnoty jest ubezpieczenie jej członków przed ciosami losu i życiowym niepowodzeniem, i wynikającym z nich upośledzeniem i upokorzeniem. Ukoronowaniem tej koncepcji był jak wiadomo model społeczeństwa popularnie zwany „państwem dobrobytu” (choć to niefortunne miano, zacierające istotę rzeczy, jako że w modelu tym szło nie tyle o wzbogacenie bytu, ile o uznanie współzależności członków wspólnoty, powszechności prawa do społecznego uznania i godnego życia, oraz o wynikający stąd postulat wspólnotowej solidarności. Opowiadam się zatem za inną nazwą dla omawianego tu modelu: „państwo socjalne”.)

Druga zasada (nauczyłem się jej od Stanisława Ossowskiego) głosi, że podobnie jak nośności mostu nie można mierzyć przeciętną wytrzymałością filarów, ale nośnością najstabszego z nich, nie wolno obliczać jakości społeczeństwa rozmiarami PKB, a więc średnią dochodów, ale sytuacją życiową najstabszego jego sektora.

Te dwie zasady są nadal nieodłączne od pojęcia lewicy. Są nadal jej cechami definiującymi i rzecz w tym, by do nich przymierzać nowe problemy właściwe naszym czasom globalizacji i zmienionej natury dominacji społecznej, jak i nowej treści społecznego upośledzenia i niesprawiedliwości.

Pierwszym takim problemem jest problem nierówności, zjawiska nienowego wprowadzie, ale nowego nabierającego dziś kształtu. W toku pierwszych 30 lat po II wojnie światowej (obdarzonych retrospektywnie na Zachodzie mianem „glorious thirties”), zdawało się obserwatorom, że udało się tendencji do nierówności okiełznać i nadać im nieprzekraczalne limity. Niematy, że powtórzyć, był tu wkład unoszącego się nad światem kapitalistycznym „widma komunizmu” zmuszającego do starań o zapewnienie warstwom upośledzonym znośnego przynajmniej bytu. A nadto, co ustawiało ów zamiar ponad podziałami politycznymi, było wzmocnione doświadczeniami wojennymi przekonanie, że moc państwa i narodu mierzy się mocą jego siły roboczej i żołnierskiej, a więc utrzymywanie armii rezerwowej robotników/żołnierzy w dobrym stanie i zapewnienie im w tym celu dachu nad głową, przyzwoitego pożywienia, opieki zdrowotnej i dostępu do oświaty jest kwestią rozsądku i elementarnego patriotyzmu, a nie partyjno-politycznych preferencji.

Procesy globalizacji sytuację radykalnie odmieniły. Jak już wspominałem, uniezależniły kapitał finansowy i produkcyjny od miejscowej siły roboczej, a więc i zwol-

niły go od troski o jej dobrostan. Dopracowywanie się reguł możliwych do przyjęcia dla obu stron konfliktu interesów, a w tym i dystrybucyjnego kompromisu, straciło z punktu widzenia kapitału sens w obliczu opcji przeniesienia się na obszary o tańszej i potulniejszej, bo pozbawionej środków ochrony siły roboczej. Tym samym znikły pobudki do limitowania społecznej nierówności, co znalazło swój wyraz w niepoahamowanej tendencji do tzw. „deregulowania” rynku pracy jako jedyne go dostępnego państwu sposobu na powstrzymanie kapitału przed ucieczką na bardziej mu posłuszne i dla niego gościnnie tereny. Nierówność po względnie krótkim okresie kurczenia się zaczęła znów rosnać, i to w niespotykanym wcześniej tempie, osiągając rozmiary do niedawna niewyobrażalne politykom i takie, o jakich filozofom społecznym się nie śniło. Co gorsza, w warunkach niewspółmierności zglobalizowanych już ekonomicznych mocy i nadal lokalnej polityki nie widać sił zdolnych wzrost nierówności zahamować czy choćby utrzymać w politycznie ustanowionych ryzach. Wzrost nierówności wyrasta dziś z procesów globalnych (dokonujących się w „przestrzeni przepływów”) – i li tylko globalne środki mają szansę jego ukrócenia.

Kolejne zagadnienie to diasporyzacja świata, która postępuje nieuchronnie bez względu na to, co by zapowiadali i obiecywali politycy próbujący zbić kapitał na ludzkiej obawie przed obcymi. Po pierwsze, biznes będzie pierwszą siłą, która nie zgodzi się na ograniczenie imigracji zarobkowej, skoro potrzebuje ludzi do niewdzięcznych prac przy możliwie najniższych płacach, a – po drugie – jak obliczają demografowie, z 400 mln Europejczyków liczba ich zmniejszy się do 242 milionów w ciągu najbliższych 50 lat, jeżeli nie sprowadzimy dodatkowo 30 mln przybyszów z innych kontynentów. Bez nich nie uda się utrzymać stylu życia, za którym rzekomo stoimy murem i którego niełatwo byłoby się nam wyrzec. Napływ obcych będzie więc trwał bez względu na polityczne opory.

W „solidnej” fazie nowoczesności odpowiedzią na obecność obcego w środowisku był zamiar, żądanie i obowiązki „asymilacji” („upodobnienia”). Metaforycznie przeniesiony z nauk biologicznych na stosunki społeczne koncept ów wywołuje wizję pokrewną procesowi przerobu spożytych w pokarmie ciał obcych na tkanki nieodróżnialne od własnych. Spodziewano się, że obcość potrwa niewiele dłużej niż trawienie i przyswajanie pożywienia. Nie odczuwano więc potrzeby wypracowywania sztuki życia z obcymi na stałe. Dzisiaj już wiemy, że obecność „obcych” w naszym otoczeniu nie zniknie w dającej się przewidzieć przyszłości. Z wielu przyczyn, m.in. dlatego, że nie pojmujemy dziś dziejów kultury jako drabiny hierarchicznej z własną naszą kulturą na szczycie – drabiny, po której ci z niższych szczebli winni się wspinać. W naszym wielocentrowym świecie musimy chcąc nie chcąc przystać na to, że istnieje wiele równowartościowych sposobów bycia człowiekiem i różnorodność form życia trwać będzie, jak to już dawno temu Gottlob Efraim Lessing przewidział, jak długo ród ludzki istnieć będzie na ziemi. Wypracowanie *modus co-vivendi* z różnorodnością stało się koniecznym warunkiem przetrwania. Turcy sprowadzeni przed laty do Niemiec jako *Gastarbeiter* nie widzą dziś powodu, dla którego nie mogliby być lojalnymi obywatelami Niemiec nie przestając być Turkami i nie rezygnującymi ze

swoich obyczajów, tradycji i sposobu życia... Masowa migracja nie jest wprawdzie zjawiskiem nowym, towarzyszy ona życiu nowoczesnemu od jego narodzin, ale rodzaj wynikłych z niej dziś problemów społecznych jest bezprecedensowy i zastał nas nieprzygotowanymi do ich rozwiązywania.

Dwieście lat temu tylko europejski zakątek globu „unowocześniał się”, a więc tylko w Europie produkowano ludzi zbędnych, nieznanymi społeczeństwu przednowoczesnym. Mogła więc Europa znaleźć, a i zastosować w praktyce globalne rozwiązanie dla swego lokalnie wyprodukowanego problemu: ludzie, dla których z tych czy innych powodów nie można znaleźć miejsca w kraju, w jakim przyszli na świat, nadawali się znakomicie do rekrutacji armii kolonialnych oraz podboju, administracji i kolonizacji terenów zamorskich, postrzeganych z racji ich słabości jako ziemie niczyje, wołające o zagospodarowanie. Imperializm i kolonializm były właśnie takim *globalnym* rozwiązaniem dla lokalnego *europejskiego* kłopotu. Około 50 mln Europejczyków przeniosło się w takiej czy innej roli z Europy do obu Ameryk, Australii, Nowej Zelandii, południowej Afryki. To była na owe czasy olbrzymia masa ludzi. Dziś wszystkie zakątki planety wciągnięte są w orbitę nowoczesności i wszędzie produkuje się ludzi zbędnych – ale opcje, którymi dysponowała Europa 200 lat temu, nie są dziś dla późnych przybyszów do nowoczesności dostępne. Nie mogą oni eksportować swych nadwyżek ludnościowych przeobraziwszy je w armie ekspedycyjne i zagarniać ziem rzekomo niczyich, powołując się na swoją wyższość cywilizacyjną, a polegając na swej wyższości militarnej.

Wreszcie trzeci nader ważny, a do niedawna niezauważany problem, to granice konsumeryzmu i limit wytrzymałości kuli ziemskiej. Wedle niektórych obliczeń, rozciągnięcie na resztę planety standardów i stylu konsumpcji praktykowanej w tzw. „krajach rozwiniętych” wymagałoby zasobów pięciu, a nie jednej planety. Jako że nie zanoszą się na pozyskanie czterech dodatkowych ziemopodobnych planet, obecnie panująca formuła szczęścia i dobrobytu odwołująca się wyłącznie do nieprzerwanego wzrostu konsumpcji wymagać będzie pilnie radykalnej rewizji. Nowoczesność nie nauczyła się inaczej reagować na problemy społeczne niż drogą powiększania bochenka miast zmiany sposobu jego podziału; ale ograniczanie konsumpcyjnych motywów i nastawień nie na długo pozostać może kwestią dobrowolnego wyboru. Pozostawienie kultury konsumeryzmu w jej obecnej postaci przeobrazi niechybnie owe ograniczenie w konieczność, którą zlekceważyć można tylko na własną zgubę.

* * *

Przedstawione wyżej staro-nowe wyzwania zapowiadają czasy pełne konfliktów społecznych, dla których lewica, jak i wszyscy inni aktorzy pretendujący do ról na scenie politycznej będą zmuszeni szukać rozwiązań. Jak dotąd, zorganizowana w partie polityczne lewica zadania się nie podjęła, i siłą inercji ogranicza swoje zainteresowania do dat najbliższych wyborów parlamentarnych.

Nasi dziadowie i pradziadowie borykali się, skutecznie, z zadaniem rozciągnięcia integracji społecznej oraz ludzkiej solidarności i opartego na niej współdziałania z lokalnej społeczności, parafii, gminy czy rodowego

majątku do znacznie większe obszary państwa/narodu. Nie obeszło się przy tym bez konfliktów, niemniej dla ich współczesnych przeraźliwych i uciążliwych dla pokoleń je przeżywających, niż są dla nas wyzwania przez nas przeżywane. Trzeba było całego dziewiętnastego stulecia, by rosnące w siłę i ambicje państwo nowoczesne zdołało okiełznać niczym niehamowaną swawolę biznesu, jakiemu udało się (jak to Max Weber poniewczasie zauważył) wydostać z pod kurateli rodziny, cechu i wspólnoty lokalnej, i osiąść na terenach politycznie niezagospodarowanych. Rozszerzenie politycznej integracji i postulatu społecznej solidarności z gminy do poziomu „całości wyobrażanej” państwa/narodu okazało się zamiarem trudnym do spełnienia, jako że jedynymi liczącymi się siłami zdolnymi do działania na tym wysokim szczeblu były właśnie te w rozszerzeniu politycznej kontroli niezainteresowane i zdecydowanie wszelkim krokom w jej kierunku przeciwnie...

Lewica nie ma dziś niestety śmiałości powiedzieć otwarcie swym współobywatelom, w tym także i własnemu elektoratowi, że stoją oni jak i cała reszta ludzkiego rodu przed zadaniem powtórzenia wielkiego dokonania naszych przodków z ery narodo-budownictwa; tyle że dokonać im jego przyjdzie na nieporównanie większą, bo planetarnie-ludzkościową, skalę. Brak jej cnót odwagi, uporu, i niewiedzącej nadziei, w które to cnoty jej przodkowie wyposażeni byli w bród.

* * *

Na zakończenie osobista refleksja.

Chwilami czuję się tak, jak musielibyśmy się czuć pierwsi socjaliści z XIX wieku. Byli w drobnej mniejszości, na marginesie politycznego życia, o wygrywaniu wyborów, a często-gęsto i o samym udziale w wyborach nie mieli co marzyć; co rozważniejsi wśród nich stawiali na „pracę u podstaw”, do której zakasując rękawy z energią się zabierali – za oświatę i propagandę, budzenie sumień i niekończące się debaty z pospolitym rozsądkiem, jak i przez budowanie gdzie i jak się da kolejnych przyczółków mostowych dla przyszłości. Takimi przyczółkami-wysepkami były w Anglii choćby spółdzielnia spożywców narodzona w przemysłowym miasteczku Rochdale czy bractwa pomocy wzajemnej albo spółdzielcze kasy taniach kredytów, pleniące się w swoim czasie w Wielkopolsce jak grzyby po deszczu...

Nie mówię, że od tego samego należy dziś po raz wtóry zaczynać; wskazuję tylko na uderzające podobieństwo dwu sytuacji i ich psychicznych refleksów. Jesteśmy dziś, jak byli nasi przodkowie sprzed dwustu laty, w sytuacji żołądka, z jakiego wyrósł ma (może?, wienien?) stuletni dąb. No ale na szczęście dla nas i reszty ludzkiego gatunku, jeśli jesteśmy żołądziami, to obdarzonymi zdolnością myślenia i wyboru...

Zadanie, jakie nas czeka, nie da się zrealizować od dziś do daty następnych wyborów. Budowa gościnniejszego dla człowieczeństwa świata ludzkiego to nie słońce z rozpuszczalną kawą. Na efekty przyjdzie poczekać i nikt nam nie powie, jak długo. A i nikt nie zagwarantuje sukcesu. Sukces od porażki oddzieli obecność lub brak dalekosiężnej perspektywy i skrojonej na jej miarę cierpliwości i determinacji. No i długowieczność, a może i nieśmiertelność nadziei.

HIERONIM KUBIAK

PRZYSZŁOŚĆ PARTII LEWICOWYCH W ZMIENIAJĄCEJ SIĘ EUROPIE

Uwagi wstępne

Problem, zawarty w tytule tego eseju, nie istnieje *sam przez się*, z natury, lecz wynika z ludzkich działań oraz zgody na wartości i normy prawa pozytywnego współdeterminujące stan oraz kierunek zmian rzeczywistości społecznej. Jeśli tak, to aby go rozwiązać musimy – idąc śladem Anthony Giddens'a – *zrozumieć, w jaki sposób w wyniku ludzkich interwencji i konfliktów powstaje historia, która zarazem stwarza człowieka, wywołując [jednocześnie] niezamierzone i nieprzewidziane skutki*¹. Aby osiągnąć ten stan, nasze poznanie musi cechować *realizm bez oportunistu, odwaga bez fanatyzmu, wolność bez dowolności, patriotyzm bez megalomanii*². I jeszcze jeden, może nawet kluczowy, warunek. Choć wielu z nas różni ideowe wybory i polityczne afiliacje, to jednak nie możemy się różnić *pod względem rzetelności w poszukiwaniu prawdy*. Tylko ona prowadzi do niezgody na czarno-białą wizję świata i umożliwia *przetłamanie bezradności wobec rzeczywistości*.

Kierunek ewolucji partii politycznych

Partie polityczne nie są zawieszane w próżni. U podłoża ich działań i ewolucji leżą przestanki, niezależne od tożsamości ideowej partii i analogiczne pod wieloma względami. Istota partii politycznych zawiera się bowiem w zorganizowanym działaniu na rzecz zdobycia władzy politycznej lub, przynajmniej, skutecznego (z punktu widzenia potrzeb i wartości wyborców danej partii) wpływu na decyzje podejmowane przez państwo. Zatem, partie są zawsze (wprost lub pośrednio) zależne od stanu struktury społecznej oraz systemu politycznego, w ramach którego spełniają swe funkcje. A te – struktury społeczne i systemy polityczne – jak wiadomo ulegają zmianom pod wpływem wielu czynników, w tym od samych partii niezależnych.

Dodać w tym miejscu warto, iż procesowi powstawania pierwowzorów współczesnych partii politycznych nie towarzyszyło w kręgach intelektualnych bynajmniej przekonanie, iż staną się one skutecznym środkiem rozwiązywania konfliktów i dochodzenia do wartości wspólnych (inaczej: racji publicznej). Przeciwnie, sądzono że będą wywierały destrukcyjny wpływ na stan państw, w których istnieją. Znamienna pod tym względem jest m. in. opinia Davida Hume'a.

W VIII eseju zatytułowanym *Of Parties in General* pisał on tak: *W tym samym stopniu jak twórcy państw powinni być szanowani przez ludzi, twórcy sekt i facji [partii] powinni budzić wstręt i być nienawidzeni. Dlaczego? Ponieważ wpływ facji [partii] jest odwrotny niż prawa. Facje obalają rządy, czynią prawo bezsilnym i rodzą zapalczywe animozje pomiędzy ludźmi należącymi do tego samego narodu, zamiast skłaniać ich do wzajemnej pomocy i obrony. I co czyni założycieli partii jeszcze bardziej odrażającymi, gdy raz zapuszczą one korzenie w państwie, to trudno je później wykarzcować (...) i choć żaden rząd nie jest od nich całkowicie wolny, to trzeba wyznać, iż powstają one dużo łatwiej i szybciej zdobywają zwolenników w rządach wolnych [demokratycznych]*³.

Teoretycy zajmujący się europejskimi partiami politycznymi twierdzą, że w procesie ich powstawania, działania i późniejszych przekształceń należy wyróżnić cztery fazy. Każda z nich charakteryzuje się swoistym dla siebie typem partii. Wyróżnione fazy są jednak ważne nie tylko ze względu na właściwy im proces stawiania się partii, lecz także swoisty bagaż polityczny, jaki tworzyły dla partii historycznie późniejszych. Fazę pierwszą określa się jako fazę partii elit (partii kadrowych). Drugą – partii masowych, trzecią – partii wyborczych (*catch-all parties*) i czwartą – partii kartelowych. Wszystkie cztery typy różnią się między sobą głównie ze względu na czas powstania, stopień inkluzyjności społeczno-politycznej, zakres dystrybucji zasobów politycznie istotnych, zasadnicze cele polityki, bazę współzawodnictwa partyjnego, wzory współzawodnictwa wyborczego, podstawowe źródło zasobów partyjnych, relacje pomiędzy zwykłymi członkami i elitami partyjnymi, charakter członkostwa, partyjnych kanałów wewnętrznej komunikacji, usytuowania partii pomiędzy społeczeństwem obywatelskim i państwem oraz styl reprezentowania partii

Partie elitarne/kadrowe powstawały w początkach XIX w. w krajach, w których istniały już załazki parlamentarizmu. Charakteryzowały się one: niską inkluzją społeczno-polityczną, wysoce ograniczonym dostępem do politycznie istotnych zasobów, ograniczeniem celów politycznych do rozdzielania przywilejów, współzawodnictwem partyjnym w kręgu osób o przypisanych statusach, brakiem pracy wewnątrzpartyjnej o istotnym znaczeniu, małą liczbą członków, osobistymi kanałami

¹ Anthony Giddens, *Socjologia. Zwięzłe, lecz krytyczne wprowadzenie*. Wyd. Zysk i S-ka, Poznań 1998, s. 172.

² Adam Michnik, *Lekcja odebrana od Zbigniewa Brzezińskiego*, „Gazeta Wyborcza”, 19. 05. 2006, s. 23.

³ David Hume, *Essays. Moral, Political, and Literary*. Liberty Classics, Indianapolis, Indiana 1985, s. 55.

mi informacji, niewyraźnym rozgraniczeniem pomiędzy państwem i politycznie istotną częścią społeczeństwa obywatelskiego.

Partie masowe powstawały i rozwijały się w latach 1880-1960 równoległe do procesu dojrzewania w określonych krajach następujących po sobie postaci kapitalizmu, zmieniającej się struktury społecznej, powstawania nowych klas społecznych oraz nowych konfliktów społecznych, obejmowania prawami wyborczymi coraz to nowych kategorii społecznych i wiekowych, upowszechnienia – przynajmniej w warstwie symbolicznej – praw człowieka, scholaryzacji i rozwoju środków masowej komunikacji, rozszerzania funkcji państwa opiekuńczego o nowe rodzaje polityki społecznej, ewolucji ku nieznanym wcześniej postaciom parlamentarnej demokracji. Same partie masowe należą w zasadzie do sfery społeczeństwa obywatelskiego – najpierw jako jego przedstawiciele, a następnie jako jego ważny segment. W tej fazie powstają również liczące się w sferze publicznej, a także – poprzez udział w wyborach parlamentarnych – państwowej partii lewicowe: skrajne (zmierzające do przejęcia władzy przez rewolucję i radykalną zmianę stosunków własnościowych), umiarkowane, postulujące działania w ramach obowiązującego prawa i demokratycznych procedur jego zmiany, a także anarchistyczne. Niektóre z nich już w końcu XIX w. posiadały ponad milion członków rekrutujących się zwłaszcza z szeregów klasy robotniczej. W procesie gwałtownego wzrostu partii robotniczych nie sposób nie zauważyć istotnego paradoksu – proletariatu, podstawowa baza rekrutacyjna tych partii rósł w siłę pod wpływem rozwoju kapitalizmu; jednocześnie ta nowa siła społeczno-polityczna poszukiwała coraz intensywniej alternatywy antykapitalistycznej. Szukała nowej wizji życia społecznego, zabezpieczenia własnych praw, a zwłaszcza bezpieczeństwa pracy, przeciwstawiała się przemocy strukturalnej, mobilizowała miliony, umacniała poczucie własnej tożsamości i siły, płaciła składki, posiadała własne kanały komunikacji.

Partie wyborcze szczególnie silne jako zbiorowi aktorzy życia społecznego po II wojnie światowej, to efekt bezpośredni narodzin w krajach najwyżej rozwiniętych nowego społeczeństwa przemysłowego. Praca wymaga coraz większych kompetencji. Wzrasta poziom kapitału ludzkiego. Rozwijają się warstwy zaliczane do klas średnich. Rozbudowie ulegają kanały komunikacji; teraz to już nie tylko druk i radio, lecz także telewizja. W samych partiach zmianie ulega charakter członkostwa: maleje liczba, w niektórych przypadkach nawet drastycznie, formalnych członków w dawnym rozumieniu, ale wzrastają liczbowo i stabilizują się stałe („żelazne”) elektoraty. Członkiem partii jest teraz ten, kto na nią głosuje. Wzmacniają się ponadto partyjne aparaty. To one, złożone w coraz większym stopniu z zawodowych w rozumieniu Maxa Webera⁴ polityków, szukają teraz dostępu do publicznych środków masowej komunikacji, stają się „twarzami partii”. Te zmienione pod względem składu i funkcji partie, często utrzymujące się z środków wypłacanych im przez państwo po przekroczeniu ustalonego progu w wyborach parlamentarnych, stają się teraz zbiorowymi pośrednikami

(agentami, brokerami) pomiędzy społeczeństwem obywatelskim a państwem.

Wreszcie partie kartelowe znajdujące się jeszcze w wielu krajach *in statu nascendi*, to nowa jakość w rozwiniętych parlamentarnych demokracjach i społeczeństwach opisywanych coraz częściej jako „społeczeństwa wiedzy”. Członkowie takich partii – jeszcze wyraźniej niż w przypadku partii wyborczych – to przede wszystkim jednostki, a nie całości społeczne, stali wyborcy oraz partyjny aparat traktujący wykonywane przez siebie czynności w kategoriach zawodu. Jeśli taka partia odnosi sukces wyborczy i ma swoich posłów, to otrzymuje także środki z budżetu państwa i utrzymuje się z nich. Jej podstawowym obowiązkiem jest stworzenie i podtrzymanie własnego mitu eksponującego umiejętność działania na rzecz państwa (nawet jeśli jest to prostacka mistyfikacja). W ten sposób partia nie jest już tylko łącznikiem pomiędzy określonymi segmentami społeczeństwa obywatelskiego i państwem (jak to miało miejsce w przypadku partii masowych i wyborczych), lecz wychodzi do obudowy państwa⁵.

Choć w polskim przypadku jest zapewne jeszcze daleko do tego stanu, to jednak samego procesu przejścia od jednej fazy rozwoju partii do drugiej (czy od jednego typu do drugiego) nie można zlekceważyć. Choćby dlatego, że tak usytuowana partia musi dysponować aparatem, który nie traktuje pracy partyjnej przez analogię do biura pośrednictwa pracy, lecz składa się z ludzi już wcześniej spełnionych w rolach wymagających wiedzy i doświadczenia. Innymi słowy traktujących politykę jako odpowiedzialny zawód, a nie jedyną szansę na „godziwe” zarobki.

Partie kartelowe pod wieloma względami, np. liczby członków, koncentracji programu na ściśle określonych kwestiach, wykorzystania przestrzeni wirtualnej (zarówno w kontaktach wewnętrznych, jak i jako środka oddziaływania na opinię publiczną) przypominają współczesne NGO'sy⁶.

Wspomniane typy partii dodatkowo dzielą się – mówiąc najogólniej – na trzy kategorie ogólne: partii lewicowych, usytuowanych w centrum oraz partii pravicowych. Podstawę zaliczenia określonej partii do tej lub innej kategorii tworzą z reguły ich profile programowe oraz prowadzona przez nie polityka. Profile programowe najczęściej mają trzy wymiary: 1) ekonomiczny, 2) polityczny i 3) kulturowy. O treści pierwszego z nich, ekonomicznego, decyduje stanowisko w następujących kwestiach: Co zdaniem danej partii gwarantuje dynamizm gospodarczy: rynek czy państwo? Za jakim typem własności opowiadają się jej liderzy i członkowie: społecznym, prywatnym czy mieszanym? Jaki poziom zysku uważają za sprawiedliwy? Jaki poziom bezrobocia jest dopuszczalny? Który z kapitałów – narodowy czy międzynarodowy – jest ważniejszy? W jakim stopniu narodowa przestrzeń ekonomiczna powinna być otwarta?

W wymiarze drugim, politycznym, o tożsamości partii rozstrzyga jej stosunek do pakietów praw człowieka

⁵ Richard S. Katz i Peter Mair, *Changing Models of Party Organization and Party Democracy. The Emergence of the Cartel Party*. „Party Politics”, vol. 1/no 1. January 1995, s. 5-28 oraz Peter Mair, *Party System Change. Approaches and Interpretations*. Clarendon Press, Oxford 1998, Part II, Persistence and Change, s. 19-44.

⁶ Claus Offe, *New Social Movements: Challenging the Boundaries of Institutional Politics*, „Social Research”, vol. 52, no 4/1985 oraz Alain Touraine, *An Introduction to the Study of Social Movements*, „Social Research”, vol. 52, no 4/1985).

⁴ Max Weber, *Polityka jako zawód i powołanie*. Społeczny Instytut Wydawniczy ZNAK, Kraków oraz Fundacja im. Stefana Batorego, Warszawa 1998, s. 55-110.

(ONZ i Europejskiego), Karty Praw Podstawowych Unii Europejskiej, zrewidowanej Europejskiej Karty Społecznej (opracowanej i przyjętej w 1998 r. przez Radę Europy), zasad podziału władzy i typu rządu, sposobu pojmowania równości wobec prawa, charakteru ordynacji wyborczej oraz roli państwa w kreowaniu i realizacji polityki społecznej.

Treść wymiaru trzeciego, kulturowego, tworzą: stosunek do tradycji, sposób pojmowania tożsamości zbiorowej, percepcja obcych oraz rola kościołów i religii w życiu publicznym. Przedstawione tu trzy wymiary podziałów partii politycznych zaproponował Arend Lijphart⁷.

Elementy programowe partii politycznych, także tych stosunkowo niewielkich, zyskują na znaczeniu zwłaszcza w warunkach ostrych kryzysów, gdy także duże warstwy społeczne gwałtownie potrzebują prostych, przekonujących wyjaśnień, a nie są przygotowane do przyjęcia wyników skomplikowanych, choć jednocześnie racjonalnych analiz. Przekonującym przykładem są polityczne kariery takich partii jak np. Vlaams Blok w Belgii, Front Narodowy we Francji, Partia Wolności w Holandii, Schweizerische Volkspartei (SVP) w Szwajcarii, Narodowodemokratyczna Partia Niemiec (NPD), faszystująca partia Złoty Świt w Grecji, Nowa Demokracja w Szwecji, Partia Postępu w Norwegii i Danii, włoska Liga Północna czy Wolnościowa Partia w Austrii. Zwolennikom tych partii odpowiedź na wszystkie ważne pytania podsuwa ksenofobia. Odpowiedzialnym za całe zło jest *obcy*. Imigrant, i to niezależnie od tego czy legalny, czy nielegalny. Gdy przepędzimy imigrantów, to nie tylko zmniejszą się wydatki na pomoc socjalną, lecz także zwiększy się ilość wolnych miejsc pracy (zob. liczne Raporty Human Rights Watch).

Proces dziejowy, którego zbiorowymi podmiotami są także partie polityczne, tworzy nie tylko podstawy do dumy, lecz również traumatyczne obciążenie, zwłaszcza jeśli zmiany są rozległe, zachodzą nagle, mają głęboki i zarazem radykalny charakter (związany np. z przełomem ustrojowym)⁸. Ten typ doświadczenia w warunkach polskich mają zwłaszcza największe i zarazem najstarsze partie lewicowe. Podejmowane przez nie próby naprawy „realnego socjalizmu” (zwłaszcza w latach pięćdziesiątych, siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX w.) upoważniają do wyprowadzenia następujących pięciu wniosków ogólnych:

1) władzę można zdobyć siłą, ale wyłącznie siłą nie da się jej sprawować. Rewolucyjna legitymizacja, zrodzona m. in. z reformy rolnej i awansu edukacyjnego całej generacji, wyczerpuje się, jeśli ludzie ze swych nowych możliwości nie są w stanie zrobić racjonalnego użytku. A to nie jest możliwe w warunkach ograniczonej suwerenności państwa, braku wolności jednostki ludzkiej i upartyjnionej / upaństwowionej myśli;

2) nie wystarczy mieć program reform. Trzeba go jeszcze we właściwym czasie zrealizować – z własnej woli, a nie pod naciskiem zrewoltowanych mas. W polskich warunkach historycznych ów czas minął prawdopodobnie w 1957 r. Co więcej, reformy mają charakter

ciągły. Nigdy więc nie kończą się, bo życie społeczne nie po prostu *trwa*, lecz *staje się*. Trzeba ponadto pogodzić się z faktem, iż wszystkie efekty reform są do końca nieprzewidywalne m. in. dlatego, że ludzkie dzieje stanowią nie tylko wypadkową działań celowych, lecz również ich nieprzewidywalnych skutków oraz procesów żywiołowych;

3) układ, w którym władza dąży do zachowania *status quo*, a istotna część społeczeństwa ten stan kontestuje, nie ma żadnych szans na przetrwanie;

4) największym wrogiem każdej władzy, a także partii politycznej jest jej własne doktrynerstwo, zwłaszcza zamknięte w ramy tzw. programu politycznego. Tym bardziej wtedy, gdy zostanie upaństwowione, a na jego straży – w imię *Maison d'Etat* - stanie aparat przemocy;

5) naprawdę ważne są tylko *małe zmiany, które będą miały wielkie skutki*⁹.

Inny z wielkich Europejczyków, zmarły w 1955 r. Jose Ortega y Gasset, sformułował tę myśl jeszcze wyraziściej. W *Rozmyślaniach o Europie*¹⁰ napisał po prostu tak: *programy polityczne nigdy nie są zbudowane z autentycznych idei, lecz składają się jedynie z „izmów” – i odwrotnie, kiedy coś zbliża się do „izmu”, znaczy to, że nie jest już rzeczą autentyczną, ale że obróciło się i zdegradowało w program*.

Kierunki zmian współczesnej Europy

Europejskie procesy integracyjne, analogicznie zresztą jak wszystkie istotne procesy współczesnego świata, nie mają charakteru linearnego. Co więcej, pod wpływem rozwoju nowoczesnych mediów obrazy w naszej świadomości coraz częściej komponowane są z izolowanych faktów, a nie racjonalnej zadumy koniecznej do weryfikacji ich sensu. Dlatego też wystarczająco wstrząs wywołane przez kryzys gospodarczy, aby w wielu krajach odżyły ze zdwojoną siłą dawne nastroje antyintegracyjne. Oto David Cameron, premier Wielkiej Brytanii po europejskim szczycie w Brukseli (29 czerwca 2012 r.) pisze w „Sunday Telegraph” (początek lipca 2012 r.): *całe dziedziny dotyczące zagadnień społecznych, czasu pracy i spraw wewnętrznych nie powinny być elementem unijnego ustawodawstwa, lecz zostać z niego wyłączone*. Czym wobec tego ma być Unia Europejska? *W zasadzie strefą wolnego handlu*. Wtórzuje mu Geert Wilders. W manifestie swej partii skierowanym 3 lipca br. do potencjalnych wyborców (wybory parlamentarne mają się odbyć jesienią 2012 r.) pisze: *Ich Bruksela – nasza Holandia (...) Wydostańmy się z bagna, wydostańmy się z euro, wydostańmy się z UE*. I tylko głos Giorgio Napolitano, prezydenta Włoch, brzmi inaczej. *Europejczycy to tylko 7 proc. ludności świata. Albo nam się uda działać razem, albo znajdziemy się na marginesie*¹¹.

Współcześnie, u progu ery postwestfalskiej, jeśli narody-państwa nie stworzą struktur transpaństwowych i nie włączą się do ponadnarodowych systemów, jeśli pozostaną twierdzami rodzino-katolicko-chłopskich wartości (lub ich ekwiwalentu w innych kodach ideologicznych), to zostaną zmarginalizowane, staną

⁷ Arend Lijphart, *Democracies: Patterns of Majoritarian and Consensus Government in Twenty One Countries*. New Haven, Conn. 1984 r.

⁸ Piotr Sztompka, *Socjologia. Analiza społeczeństwa*. Wydawnictwo Znak, Kraków 2002, s.454-472).

⁹ Ralf Dahrendorf, 1999 r.

¹⁰ Jose Ortega y Gasset, *Rozmyślania o Europie*, Wydawnictwo Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2006, s. 68-69.

¹¹ W rozmowie z Adamem Michnikiem, „Gazeta Wyborcza” 9-10. 06, s. 26.

się peryferyjnymi skansenami globalnego systemu. Będą skazane na zagładę tym razem z własnej woli i winy.

Problemy, wobec których staje współczesny świat to: 1) powiększająca się z roku na rok polaryzacja biegunów bogactwa i biedy, 2) pustoszenie wielkich obszarów Ziemi, 3) trwające od lat (Irak, Afganistan) i nowe zbrojne konflikty międzynarodowe oraz wojny domowe (Arabska Wiosna, Syria, kraje afrykańskie), 4) proliferacja broni masowej zagłady (jądrowej, biologicznej, chemicznej), 5) rozwój zorganizowanych przestępczych karteli (handlujących na światową skalę narkotykami, bronią, ludźmi), 6) nowe formy terroryzmu (w tym motywowane etnicznie i religijnie).

W wymiarze państw narodowych do rangi problemu urasta: 1) rozpad dawnych wspólnot (opartych na więziach krwi, habitusie oraz / lub wyborze wartości) i zastępowanie ich przez upodmiotowione jednostki, wyposażone nawet w prawo do dochodzenia swych racji w procesach przeciwko własnemu państwu (przed międzynarodowymi trybunałami, komisjami i agendami wyspecjalizowanych organizacji międzynarodowych), 2) spadek dzietności rodzin, 3) internacjonalizacja prawa wewnętrznego, obiegu informacji i wymiany dóbr kultury symbolicznej, 4) załamanie autarkii narodowych gospodarek oraz globalizacja rynku finansowego, 5) transnarodowa natura współczesnych problemów ekologicznych (związanych z ochroną ziemi, powietrza i wody), 6) malejąca zdolność samodzielnego przeciwstawienia się zagrożeniom militarnym i terrorystycznym.

Jeszcze inne kwestie wiążą się z:

1) przejściem do gospodarki nadsymbolicznej, dezaktualizującym dotychczasowe wyobrażenia o rynku pracy oraz bezrobociu. Efektywna i zarazem konkurencyjna wobec innych praca w warunkach *spoteczeństwa trzeciej fali* wymaga stałej alokacji wiedzy, produkcji informacji, pomnażania kapitału ludzkiego, w tym poprzez wymianę międzynarodową. W tych nowych warunkach ludzie wiedzy stają się podstawą innowacyjności i, tym samym efektywności państwa. A tylko takie państwo jest w stanie sprostać międzynarodowej konkurencji¹²;

2) gwałtownym nasileniem się procesów migracyjnych i ich skutków (zarówno dla krajów emigracji, jak i dla krajów imigracyjnych) tak pod względem materialnym jak i kulturowym. Pod wpływem procesów migracyjnych – w ramach kontynentu europejskiego, a także innych kontynentów – kraje europejskie stają się wielokulturowe. I nie chodzi tu tylko o Szwajcarię (w której w 2008 r. liczba cudzoziemców przekroczyła 1/5 ogółu mieszkańców¹³), Niemcy (z ich dziedzicznym od ponad pół wieku problemem islamskich *gastarbeiterów*) czy kraje skandynawskie, lecz także Wielką Brytanię. W Brytanii, jak pisze Adam Szostkiewicz, *czynnych jest ok. 1700 meczetów, tyle samo co ostatnio zamkniętych kościołów anglikańskich z powodu braku wiernych, proboszcza lub funduszy na utrzymanie świątyni*¹⁴.

¹² Alvin Toffler, *Zmiana władzy. Wiedza, bogactwo i przemoc u progu XXI stulecia*, Wyd. Zysk i S-ka, Poznań 2003, część szósta, s. 530-641.

¹³ Andrzej Porębski, *Wielokulturowość Szwajcarii na rozdrożu*, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2010, s. 203.

¹⁴ Adam Szostkiewicz, *Lordowie Allaha*, „Polityka” nr 23 [2861], 5-12.06. 2012, s. 58-60.

Sumę pozytywnych skutków procesów integracyjnych widać zwłaszcza w krajach przyjętych do UE w 2004 r. Aby się o tym przekonać, wystarczy zajrzeć do danych Dyrekcji Generalnej ds. Budżetu UE. Wg tych źródeł Polska w latach 2007-2013 wniosła do budżetu UE z tytułu składek ok. 22 mld euro, a otrzymała od UE 87 mld. Środki te, 65 mld euro, największe jakimi spoza swego budżetu dysponowała Polska w tak krótkim czasie w całej swej historii, przeznaczono na rozwój wsi i rolnictwa, rozwój regionalny oraz ośrodków miejskich, firm małych i dużych (w tym podejmujących działania gospodarcze po raz pierwszy) oraz rozwój kapitału ludzkiego. W liczbach procentowych najwięcej przeznaczono na wsparcie konkurencyjności i spójności (44,2 proc.) oraz na rozwój zasobów naturalnych i rozwój obszarów wiejskich i gospodarkę rolną (43 proc.). Pamiętać jednak trzeba, że Polska w skali UE przeznacza nadal najmniejsze – w stosunku do wielkości własnego PKB – środki na edukację, badania naukowe i rozwój, a polska gospodarka na tle Unii nie jest dostatecznie innowacyjna. Na rynku unijnym konkurujemy przede wszystkim niskim kosztem pracy żywej. Ponadto w porównaniu z obywatelami pozostałych 26 krajów unijnych Polacy pracują najdłużej, a zarabiają najmniej, przy czym wobec wielu z nich – częściej niż w innych krajach UE – łamane są unijne standardy zatrudnienia (zwłaszcza stosowane w „umowach czasowych” oraz „śmieciowych”).

W wymiarze politycznym i społecznym odnotować jednak należy także zjawiska ujemne wywołane przez procesy integracyjne. Należą do nich m.in.: spadek członkostwa w partiach politycznych, rozpad tradycyjnych więzi pomiędzy partiami i związkami zawodowymi, atomizacja życia społecznego i związany z nią, przynajmniej w pewnym stopniu, kryzys kościelności. Wątpić jednak należy, czy są to tylko skutki integracji, czy także, a może nawet przede wszystkim pochodne głównego nurtu procesów cywilizacyjnych. Ich znaczenie potwierdza szczególnie przekonująco spadek kościelności.

Kryzys kościelności

Unia nie prowadzi wojen religijnych, a wszelkie postacie nietolerancji i „mowy nienawiści” są prawnie zakazane. Ostatnio (luty 2012 r.) w Strasburgu Europejski Trybunał Praw Człowieka (ETPC) orzekł w jednej z takich spraw, a mianowicie w sprawie skierowanej przeciwko siedmiu członkom szwedzkiej organizacji o nazwie Młodzież Narodowa. Wg tego orzeczenia za zakazaną „mowę nienawiści” może być uznane nie tylko nawoływanie do ataku, ale również „wyrażanie pogardy” wobec innych¹⁵.

W świetle cytowanego orzeczenia za przypadek mowy nienawiści uznać należy m. in. wypowiedź Leszka Millera skierowaną do zasiadających w Sejmie III RP posłów Ruchu Palikota. Określił ich z sejmowej trybuny mianem „naćpana hołota”. Do próbującego załagodzić tę sytuację posła Marka Borowskiego powiedział publicznie: *wcale nie puścili mi nerwy, wypowiedziałem swoje słowa z pełną świadomością*. Znana jest także opinia Marka Edelmana o politykach: *To banda łobuzów – ci, którzy rządzą i rządzą, bo oni rządzą przed wojną też. Do władzy zawsze się dorywają najgorsi*

¹⁵ „Gazeta Wyborcza”, 13.02.2012, s. 6.

ludzie. W tym kraju, który jest romantyczny, płaczący, zaradny, do władzy dochodzi wszystko co najgorsze. Trzeba się wstydić za to, co jest moje¹⁶

Wg dostępnych danych spadek kościelności szczególnie widoczny jest w Norwegii i w Niemczech. Choć Kościół ewangelicko-luterski ma w Danii charakter państwowy, a 88 proc. Duńczyków formalnie należy do tego Kościoła, to już w początkach ostatniej dekady XX w. w mszach regularnie uczestniczyło tylko 2 proc. spośród nich. Większość z 2352 duńskich kościołów stoi pusta. W Kopenhadze 15 z 75 budynków kościelnych proponowano zamknąć. Wyniki badań nad subiektywną religijnością ujawniły, że 32 proc. Duńczyków nie wierzy w Boga, a religijność pozostałych ma najczęściej prywatny charakter: nie prowadzi do powstawania wspólnot religijnych, nie zgłasza zapotrzebowania na duchownych i nie poszukuje dogmatycznych definicji dla swych przekonań religijnych. Dlaczego tak jest? Duńczycy z reguły mówią, iż *Kościół jako instytucja nie odpowiada na wezwania współczesności i codzienne problemy społeczeństwa. Dlatego świątynie stoją puste*¹⁷.

RFN. Liczba mieszkańców w Niemczech w 2005 r. wynosiła ok. 82 mln, w tym 26,1 mln. katolików (32 proc. ogółu mieszkańców) i 25,8 mln. protestantów (31 proc. ogółu). Wg danych episkopatu co niedziela chodzi do kościoła tylko 4 mln. katolików i 1 mln. protestantów. Przy czym proces spadku liczby wiernych uczestniczących w praktykach religijnych ma charakter progresywny. W ciągu ostatnich 15 lat liczba katolików systematycznie praktykujących zmniejszyła się o 9 proc. Dane z roku 2010 dowodzą, iż w ciągu ostatnich 20 lat ubyło 4 mln. wiernych, liczba dzieci chrzczonych spadła z 290 tysięcy do 170 tys., a liczba małżeństw kościelnych ze 110 tys. do 50 tysięcy. Część pustych budynków kościelnych zamieniono, podobnie jak stare budynki fabryczne, na tzw. *lofty*, w tym sale gimnastyczne.

A jak na tym tle jest w Polsce? Sytuacja również zmienia się, ale w znacznie wolniejszym tempie. Jeżeli jeszcze w latach osiemdziesiątych XX w. w mszach niedzielnych uczestniczyło ok. 50 proc. wszystkich katolików, to trzydzieści lat później, w pierwszej dekadzie XXI w. udział ten spadł do 41 procent. Jednocześnie państwo nadal z budżetu (z tzw. funduszu kościelnego) opłaca ubezpieczenia społeczne i zdrowotne zakonników klauzury oraz 80 proc. pozostałych duchownych wszystkich wyznań, którzy nie są ubezpieczeni z innych źródeł.

Analizując te dane warto zwrócić uwagę, że u podstaw przemian religijności, zwłaszcza w wysoko rozwiniętych społeczeństwach poprzemysłowych (krajach tzw. starej Unii) leży nie agresja wobec Kościołów ze strony „osobistych nieprzyjaciół Pana Boga”, lecz żywiołowo narastający spadek zapotrzebowania na religijność i motywowane nią obrzędy. Religijność przesuwana jest zatem ze sfery publicznej do sfery prywatnej. I, *a contrario*, proces ten ulega zatrzymaniu czy nawet w pewnych szczególnych warunkach odwróceniu, gdy z jakichś powodów w życiu publicznym wybuchają nastroje dawno zapomnianych „wojen religijnych”.

Zmienia się ponadto treść przestania religijnego. Wszędzie tam, gdzie utrzymał się klimat intelektualny Watykanu II i generowana przez ów klimat wrażliwość na krzywdę ludzką, opinie propagowane przez Kościoły i ruchy społeczne, a nawet partie polityczne motywowane katolicką nauką społeczną, współbrzmia pod wieloma względami (a zwłaszcza w kwestiach polityki społecznej) z hasłami partii lewicowych. Dla przykładu, encyklika Pawła VI *Populorum progressio* z 26 marca 1967 r. tak definiuje dążenia ludzkie:

*Uwolnić się od nędzy, zapewnić sobie środki do życia, zdrowia i stałe zatrudnienia; zdobyć pełniejszy udział w odpowiedzialności, wyzwolić się od ucisku i warunków obrażających godność człowieka; zdobyć lepsze wykształcenie; jednym słowem więcej robić, więcej umieć i więcej mieć, żeby więcej znaczyć: oto dążenia dzisiejszych ludzi, podczas gdy tak wielu spośród nich skazanych jest na życie w warunkach uniemożliwiających realizację tych słuszych pragnień*¹⁸.

W paragrafie 34 tej samej encykliki znajdziemy jeszcze m. in. następujące przesłanie:

*Ostateczną racją, na której musi się opierać każdy program rozwoju gospodarczego, jest służba osobie ludzkiej. Winien on zatem zdążać do zmniejszenia nierówności, zwalczać dyskryminację, uwalniać ludzi od różnych form poddaństwa, czynić ich zdolnymi do tego, by byli w stanie sami rozwijać własną pomysłowość materialną, postęp moralny i zdolności duchowe. W słowie rozwój zawiera się troska tak o postęp społeczny, jak i o wzrost gospodarczy (...) Ekonomia i technika tracą wszelki sens, jeśli nie przyczyniają się do doskonalenia człowieka, któremu służą. A człowiek o tyle jest naprawdę człowiekiem, o ile panuje nad swymi czynami i osądzając ich wartość, sam jest autorem własnego postępu*¹⁹.

I jeszcze zdanie o kapitalizmie w jego obecnej postaci: *Kapitalizm liberalny (...) w tych nowych warunkach w życie społeczeństw zakradły się bezpodstawne teorie, w myśl których uważa się zysk za zasadniczy bodziec postępu gospodarczego, konkurencję za najwyższe prawo ekonomii, a prywatną własność środków produkcji za prawo absolutne, nieznaną ograniczeń ani związanych z nim zobowiązań społecznych. Ten niepokonany liberalizm prowadził do dyktatury potężonej słusznie przez Piusa XI jako „źródło międzynarodowego imperializmu finansowego”*²⁰.

Również w kwestii „mowy nienawiści” pojawił się nowy ton w wypowiedzi biskupa polowego Wojska Polskiego Józefa Guzdzka. Stwierdził on: *Nie organizujemy publicznych debat, w których krzyk zastępuje myślenie. Ważniejsza jest siła argumentu niż siła głosu, chęć zaistnienia za wszelką cenę*²¹.

Do czego musi się odnieść współczesna lewica?

Dzisiejsze środowiska lewicowe, te partyjne i te coraz częściej nienależące do żadnej partii muszą przede wszystkim pamiętać, że giną strukturalne podstawy, które stanowiły o sile starej lewicy. Jak twierdzi wielu analityków współczesności (m. in. Zygmunt Bauman,

¹⁶ Rozmowa Adama Michnika z Markiem Edelmanem, „Gazeta Wyborcza” 28-29.04.2012, s. 29; M. Edelman miał wtedy 93 lata.

¹⁷ „Gazeta Wyborcza”, 30-31.07.1994, s. 10.

¹⁸ Encykliki Jana XXIII, Pawła VI, Jana Pawła II. *Populorum progressio*, część I, *O integralny rozwój człowieka*, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1981, s. 231.

¹⁹ *ibidem*, s. 249.

²⁰ *ibidem*, s. 243.

²¹ „Polityka” nr 19, 9 – 15.05.2012, s. 122.

Ulrich Beck, Alvin Toffler) ginie wytworzony przez kapitalizm proletariatu. Ginie, bowiem dawne zapotrzebowanie na ten typ siły roboczej, jaki był mu potrzebny w fazie wczesnego rozwoju, już nie istnieje. Co więcej, wytworzone pod wpływem dawnego zapotrzebowania milionowe rzesze pracowników fizycznych teraz stają się już tylko ciężarem. Musi się więc z dawną siłą roboczą gwałtownie rozstać. Paradoks historii polega więc na tym, że to nie klasa robotnicza unicestwia swego byłego demurga, lecz odwrotnie: *kapitalizm znosi klasę robotniczą*. Anihilacja klasy robotniczej staje się faktem, bo jest funkcją zmian gwałtownie zachodzących w *społeczeństwie trzeciej fali*, nowych czynników determinujących gospodarkę i jej zapotrzebowanie na pracę. W efekcie nadsymboliczna gospodarka oparta o wiedzę dezaktualizuje nasze wcześniejsze wyobrażenia nie tylko o pracy, ale i o bezrobociu.²²

Czy kapitalizm przetrwa *finansową* fazę swego rozwoju, czy raczej obecna dynamika procesu dziejowego wyłoni nowy typ ustroju o specyficznej dla niego gospodarce, właściwych mu stosunkach społecznych, wartościach, normach i instytucjach politycznych? Urodzony w 1946 r. Belg, Paul Jarion (antropolog i ekonomista, specjalista w zakresie sztucznej inteligencji, profesor Uniwersytetu w Brukseli) twierdzi, że nie jest nieprawdopodobny drugi człon tej alternatywy, ponieważ w obecnej fazie kapitalizm gubi swą cechę konstytutywną, jaką przez wieki była jego wyjątkowa zdolność do samoregulacji. Dlaczego gubi? Bo kapitalizm finansowy, ze względu na cechującą go złożoność i niestabilność *cierpi obecnie na tę samą chorobę, która powaliła jego komunistycznego rywala: próg złożoności*. Konfrontowana z *progiem złożoności* dawna *umiejętność samoregulacji* traci swe sprawcze możliwości i ulega anihilacji.²³

Kenneth Rogoff (urodzony w 1953 r. Amerykanin, mistrz szachowy, ekonomista wielokrotnie nagradzany, specjalista w zakresie polityki publicznej, profesor Harvard University) twierdzi natomiast, że rzecz całą należy przemyśleć od nowa, a zwłaszcza imperatywy wzrostu, bo dotychczas nie dysponujemy żadnym realnym zamiennikiem dla współczesnego kapitalizmu. Zatem alternatywą dla dominujących obecnie paradygmatów jest na razie tylko inna forma kapitalizmu. Jaka? To zasadnicze pytanie pozostaje nadal bez racjonalnej odpowiedzi.²⁴

Brak całościowej wizji nie zwalnia jednak od odpowiedzi na pytania częściowe, ważne *hic et nunc*. A jest ich co najmniej kilkanaście. Najczęściej dotyczą one:

1) współczesnej roli państwa. Czy jego model ma wyrastać ze wspólnych zasad radzenia sobie z indywidualnymi niepowodzeniami, nawiązując np. do jednego z istniejących już archetypów państwa opiekuńczego, czy też odwrotnie, winien uważać drastyczną polaryzację biegunów bogactwa i nędzy za chorobę endemiczną ludzkości, swoiste *malum necessarium* (w rozumieniu Erazma z Rotterdamu), na które nie ma ratunku?

2) diagnozy ogniw społecznie najsłabszych i racjonalnej analizy skuteczności stosowanych współcześnie polityk społecznych oraz socjalnych,

3) przyczyn trwania uprzedzeń rasowych religijnych, etnicznych i narodowych oraz możliwości ich trwałego eliminowania,

4) sposobów znoszenia przyczyn nierówności pomiędzy kobietami i mężczyznami w życiu rodzinnym, na rynku pracy oraz w życiu publicznym,

5) równego traktowania trwałych związków hetero- i homoseksualnych,

6) możliwości przeciwdziałania przemocy strukturalnej, zwłaszcza w dostępności do wszystkich poziomów systemu szkolnego,

7) źródeł siły i słabości dzisiejszych państw (monoi wielonarodowych),

8) relacji pomiędzy wolnym rynkiem, pracą i zasadami sprawiedliwości społecznej. Czy kapitał może pozostać niezależny i przenosić się tam, gdzie siła robocza jest tańsza?

9) natury procesów globalizacyjnych. Czy są one rzeczywistą szansą rozwojową dla wszystkich, czy przede wszystkim wygodnym usprawiedliwieniem dla ukrytych mechanizmów generujących zysk dla kapitalizmu finansowego oraz nierówności społeczne (na poziomie jednostkowym, a także narodów-państw)?

10) procesów migracyjnych i ksenofobicznych lęków przed imigrantami,

11) imigracji jako skutecznego środka zapełniającego zwiększającą się „dziurę demograficzną” w krajach najwyżej rozwiniętych,

12) zjawiska diasporyzacji i multikulturyzacji, w tym sztuki współżycia z obcymi,

13) narastającego konsumpcjonizmu i jego całościowych skutków dla współczesnych społeczeństw,

14) bezpośrednich związków pomiędzy rozwojem gospodarczym a demokracją polityczną,

15) możliwości racjonalnego tworzenia wizji przyszłości na podstawie badań nad współczesnością,

16) konieczności jednoczesnego odpowiadania na dwa pytania: *co* zamierzamy osiągnąć oraz *jak* dany cel jest osiągalny,

17) procesu obumierania dotychczasowych i powstania nowych systemów wartości,

18) sposobów skutecznego przeciwdziałania korupcji dyskursu politycznego oraz „mowie nienawiści”.

Jedną z pierwszych list zjawisk, wartości i idei, do których musi odnieść się współczesna lewica, a w szczególności socjaldemokracja zbudował Anthony Giddens i adresował ją do brytyjskiej Labour Party. Lista, ważna *notabene* pod pewnymi względami dla wszystkich współczesnych orientacji ideowo-politycznych, wymienia pięć zjawisk: globalizację (jej istotę i implikacje), rozpad dawnych wspólnot i postępującą indywidualizację, zużycie się dotychczasowego podziału na lewicę i prawicę, odchodzenie od tradycyjnego modelu demokracji oraz nasilanie się problemów ekologicznych²⁵.

Po ich krytycznej analizie Giddens buduje dla Labour Party program *trzeciej drogi*, różny zarówno od kapitalizmu (zwłaszcza w wersji klasycznego thatcheryzmu), jak i środkowoeuropejskiego „realnego socjalizmu”, ale jednocześnie łączący w spójną całość sprawdzone w codziennym doświadczeniu elementy każdego z tamtych dwu systemów. *Trzecia droga* wspiera się na

²² Alvin Toffler, *Zmiana władzy. Wiedza, bogactwo i przemoc u progu XXI stulecia*. Wydawnictwo Zysk i S-ka, Poznań 2003, s. 114.

²³ Paul Jarion, *Le capitalisme a l'agonie*. Fayard, Paris 2011.

²⁴ Carmen M. Reinhart, Kenneth Rogoff, *This Time is Different. Eight Centuries of Financial Folly*. Princeton University Press, 2009.

²⁵ Anthony Giddens, *The Third Way. The Renewal of Social Democracy*. Polity Press, Cambridge 1998, s.27-28.

sześciu centralnych wartościach: równości, ochronie słabszych, wolności pojętej jako autonomia, prawach ściśle powiązanych z odpowiedzialnością, demokracji jako podstawie władzy politycznej, pluralizmie kosmopolitarnym oraz konserwatyzmie filozoficznym²⁶

Wybrane wartości wspiera o wnioski wynikające z racjonalnego (a więc wolnego od ideowych zacieźrzeżeń) oglądu programu starej lewicy. Twierdzi, że „stary” program opierał się na zgodzie na daleko idącą ingerencję państwa w życie społeczne i ekonomiczne, dominację państwa nad społeczeństwem obywatelskim, kolektywizmie, zarządzaniu potrzebami wg paradygmatu Keynesa oraz imperatywów korporacjonizmu, zaufaniu do rynków (łączyjących elementy własności prywatnej z własnością społeczną i państwową), pełnym zatrudnieniu, silnym egalitaryzmie, rozbudowanym programie państwa opiekuńczego, linearnej modernizacji, niskiej świadomości ekologicznej oraz działalności w kontekście świata dwubiegunowego (zarówno pod względem politycznym, jak i ekonomicznym, a także militarnym)²⁷.

Opierając się o dokonany wybór wartości centralnych oraz biorąc pod uwagę wyniki analizy doświadczeń „starej lewicy”, a także wyniki własnej obserwacji uczestniczącej otaczającego go świata Anthony Giddens, socjolog z zawodu i nauczyciel akademicki proponuje Labour Party program zakładający: 1) powstanie na scenie politycznej nowego radykalnego centrum, 2) rozwój nowego demokratycznego państwa, działającego na rzecz dobra wszystkich, a więc bez wrogów, 3) wspieranie aktywnego społeczeństwa obywatelskiego partnerskiego wobec państwa (inspirowanego ożywioną działalnością wspólnot i samorządów lokalnych, rozwojem trzeciego sektora, chroniącego lokalną sferę publiczną, przeciwdziałającego, wspólnie z lokalnymi wspólnotami, przestępczości), 4) umacnianie się demokratycznej rodziny (wspartej równością emocjonalną i partnerstwem seksualnym, wspólnotą praw i obowiązków, współpracą wszystkich, kontraktem rodzicielskim na całe życie, autorytetem rodziców opartym na negocjacji w sytuacjach trudnych, zobowiązaniami dzieci wobec rodziców), 5) powstanie nowej gospodarki (mieszanej, otwartej na wszystkie typy własności) oraz 6) równość jako zasadę sprzyjającą inkluzji społecznej²⁸.

Nawet jeżeli po analizie stanu współczesnego społeczeństwa brytyjskiego dojdziemy do wniosku, że propozycja Anthony Giddensa także nie stała się kluczem ułatwiającym rozwiązanie wszystkich konfliktowych problemów, jakie niesie z sobą współczesność (m. in. nie zapewniła Labour Party wyborczego zwycięstwa), to i tak trzeba zgodzić się, iż była ona odważną próbą zintegrowania w spójną całość zasad już zweryfikowanych przez życie z nowymi ideami, wartościami i wzorami zachowań. Ponadto pozwoliła jeszcze raz pomyśleć o mądrej zasadzie: *Życie polityczne jest niczym bez ideałów, ale ideały są puste jeśli nie wiążą się z realnymi możliwościami*²⁹.

Zamiast ostatecznej konkluzji

Współczesne społeczeństwa europejskie, w tym polskie, stają dziś twarzą w twarz z wieloma problema-

mi, na rozwiązanie których nie mają recepty. Ulegają atomizacji, miejsce dawnych wspólnot w dużym stopniu zajmują upodmiotowione jednostki, w tradycyjnych habitusach pojawiają się coraz liczniej obcy, podejmowane przez tyle lat próby przeciwdziałania biedzie nie przynoszą oczekiwanego sukcesu, szybko narasta kryzys kościelności, członkostwo w tradycyjnych (i dawniej wielkich) partiach spada, a jednocześnie powstają setki małych partyjek (Mieczysław Rakowski nazywał je „partiami kanapowymi”) oraz dziesiątki tysięcy organizacji pozarządowych (NGO-sów), nie wiadomo jak sobie w praktyce poradzić z obywatelstwem europejskim, ciężar kryzysu rozpoczętego kilka lat temu w USA coraz silniej dobija się do naszych bram. Choć Grecy, Włosi, Francuzi i ostatnio Hiszpanie protestują „przeciw ślepym cięciom budżetowym”, w milionowych manifestacjach na ulicach dziesiątek miast „wyklinają polityków i bankierów” to i tak ciągle nie wiadomo, czy z tych protestów wrośnie racjonalne rozwiązanie rzeczywistych problemów.

Poczucie niesprawiedliwości i doznanych krzywd zawsze tworzy klimat sprzyjający demagogii i populizmowi (tak lewicowemu, jak i prawicowemu). Racjonalizm „długiego marszu”, ale w dobrym kierunku, broniący się siłą argumentu, a nie argumentem siły, zbyt szybko bywa w tych warunkach zastępowany przez żądanie radykalne typu: „już, zaraz, natychmiast”. „Jeśli nie my, to kto”?

Trudno się jednak temu dziwić, bo przecież *ludzie nie są wolni, jeśli społeczne nierówności hamują ich szanse* (jak Richard Roty, sędziwi amerykański filozof). *Durate causa, durate effectus* – dopóki trwa przyczyna, trwa i skutek. Do usuwania przyczyn potrzebna jest jednak wiedza o ich naturze i pragmatyczne umiejętności. I ta pierwsza i te drugie nie rodzą się na przysłowiowym kamieniu, lecz są ściśle związane z poziomem kultury obywatelskiej budowanym przez dziesiątki lat. A do tego wszystkiego trzeba pamiętać, o czym pisałem już wcześniej, że proces dziejowy ma charakter meandryczny. Aby powstały społeczeństwa obywatelskie i demokratyczne państwa prawa kierujące się wykształconym przez doświadczenie poczuciem *dobra wspólnego*, ideą *racji wspólnej*, złożone z obywateli wolnych i równych, mających te same szanse startu w wyścigu o kapitał ludzki, sprawiedliwe, wielobarwne, otwarte na różne kultury i tolerancyjne wobec ich nosicieli, na to wszystko potrzeba czasu.

Partie polityczne z woli wyborców raz wygrywają, raz przegrywają. Raz zwyciężają socjaldemokraci (*vide* Francois Holland), kiedy indziej ich przeciwnicy. W sumie chodzi współcześnie o tysiące zbiorowych podmiotów życia publicznego. Jednak ich oczekiwana rola powinna polegać nie tylko na tym, aby przez wybory dostać się do władzy. Trzeba jeszcze, aby umiały zorganizować życie intelektualne tak, by partię było stać na wieloczynnikowe racjonalne analizy, odpowiadające nie tylko na sondażowe pytania o to kto w danej chwili jakie ma poparcie, lecz jak – jeśli to w ogóle możliwe – zrealizować składane wyborcom obietnice. Nie wystarczy przecież powiedzieć, że chcemy, aby ilość miejsc pracy, wydajność i płace rosły, dług publiczny był umiarkowany (lub nawet mały), nasze towary mogły konkurować (także na innych rynkach, np. z towarami brazylijskimi, lub chińskimi), szkoły – dostępne dla

²⁶ ibidem, s. 66.

²⁷ ibidem, s. 2-7.

²⁸ ibidem, s. 70.

²⁹ ibidem, s. 2.

wszystkich – były na poziomie światowym, a do lekarzy nie stało się w kolejkach, czy zapisywało na listy kolejkowe, jak dwadzieścia lat temu w gospodarce wiecznych niedoborów. Pisząc pół żartem, pół serio, w społeczeństwach informacyjnych i gospodarkach opartych na wiedzy, w czasie wolnym od sprawowania władzy trzeba się po prostu sprawdzić, zobaczyć, czy partyjne obietnice są w ogóle realne i jeśli tak, to za jaką cenę? I kto będzie gotów ponieść nieuchronne koszty? I czy w ogóle możliwa jest sensowna polityka gospodarcza, nie mówiąc o społecznej, bez aktywnej roli państwa?

Wg wizji nakreślonej przez Leszka Millera na V Kongresie SLD (wiosna 2012 r.) „Polska ma być sprawiedliwa, bogata, wielobarwna, pogodna”, a kraj ma stać się „państwem prawa, demokracji, równych szans, tolerancji”. Ponadto SLD pragnie zbudować prawdziwą i mocną „alternatywę dla prawicy”. Stworzyć formację, która będzie zdolna do przejęcia władzy i jej sprawowania „z pożytkiem dla państwa polskiego i społeczeństwa”. Piękne to cele, tylko dlaczego nie towarzyszy im racjonalna refleksja nad tym, *jak i kiedy* są / będą one osiągalne. *Co bez jak* dzieli już nawet mniej niż przysłowiowy jeden krok, także wtedy, gdy, jak wynika z niektórych sondaży, elektorat potencjalnych wyborców SLD liczy od 25 do 30 procent ogółu wyborców.

Mądre programy partyjne, to znaczy takie, które poświęcają więcej uwagi nie celom, lecz środkom koniecznym do ich osiągnięcia, to ważny element kształtowania świadomości zbiorowej i takich działań w czasie teraźniejszym, aby ich skutki mogły także sensownie ujawnić się w czasie przyszłym. Dziś, widziane

z tej perspektywy, to usuwanie przyczyn, które blokują pożądany stan jutra.

Kiedyś funkcję mobilizującą wysiłek zbiorowy pełniły wróżby. Wieki później prognozy długoterminowe. Pierwsze i drugie, choć pochodziły z tak odmiennego czasu, miały jednak pewną wspólną właściwość – nie spełniały się. A jednak nadal zarówno w prywatnej, jak i publicznej sferze są one nieodzowne. Marcus Tullius Cicerro (106-43 r. p.n.e.) pisał, że nie zna żadnego narodu, *ani pośród wykształconych i oświeconych, ani pośród dzikich i nieokrzesanych, który by nie wierzył, że przyszłość można przewidzieć*. To prawda. My też należymy do tych, którzy z wielu powodów pragną wiedzieć, co będzie dalej i co trzeba zrobić, aby mieć nie tylko usprawiedliwienie, lecz przede wszystkim wpływ na bieg wypadków.

Czasami niektórzy z nas takich prognoz, nie tylko zresztą ostrzegawczych, oczekują od programów partyjnych. Często mniej ezoterycznych od tych powstających w uniwersyteckich murach. Ich twórcy są współcześnie w daleko lepszej sytuacji od swych poprzedników. Dlaczego? Bo mogą wesprzeć swoje wizje alternatywami, racjonalnie przygotowując odbiorców na wielowymiarowy i także wielokierunkowy bieg wypadków. W przedstawicielskich demokracjach, gdy nie wszyscy są dostatecznie przygotowani do wypełniania ról publicznych (i, co więcej, sami wiedzą, iż tak jest, choć demonstrują, że jest inaczej), mądre partie, wbrew XVIII-wiecznym opiniom Davida Huma, są jednak potrzebne. Oczywiście, jeśli zasługują na to, aby je określić mianem *mądre*.

HIERONIM KUBIAK



Fot. Filip Ratkowski

JANUSZ REYKOWSKI

OCZYWISTE PYTANIA, TRUDNE ODPOWIEDZI

Zwycięstwo Francois Hollande’a spowodowało w środowiskach lewicowych przyływ nadziei na zwycięstwo lewicy w innych krajach, także w Polsce. Ale co to właściwie znaczy „zwycięstwo lewicy”?

Termin ten zapożyczony z języka sprawozdawców politycznych przypomina język korespondentów wojennych. Słuchając ich można wyobrazić sobie, że jakaś armia pod dowództwem generała Hollande’a pokonała armię przeciwnika – generała Sarkozy’ego zdobywając terytoria, łupy, zaprowadzając swoje porządki. Wydaje się, że niektórzy ludzie tak właśnie myślą o polityce. Dla nich „zwycięstwo lewicy” to po prostu fakt powrotu do władzy ekipy określanej jako lewicowa.

Wiemy, że w wielu krajach mimo zmiany rządów, w polityce zmienia się niewiele. Czasami nie jest w ogóle jasne, czym się wyróżnia ekipa lewicowa od prawicowej. Tłumaczy się to tym, że realia współczesnego kapitalizmu bardzo ograniczają zakres możliwych politycznych wyborów. Nic więc dziwnego, że w Polsce, do dziś trwają spory, czy rząd SLD prowadził politykę lewicową. A czy lewicowa z nazwy Komunistyczna Partia Chin prowadzi lewicową politykę?

Środowiskom lewicowym nie chodzi po prostu o zmianę ekip, chodzi o coś więcej – oczekują zasadniczych zmian prowadzonej polityki. Jakże to miałyby być zmiany? Czy można je sprowadzić do przesunięć polityki podatkowej, wprowadzenia związków partnerskich, refundacji *in vitro*, ograniczenia wpływów Kościoła itp.?

Pytania o lewicową politykę dotyczą, w rzeczy samej, tożsamości lewicy, tego, czym ona jest we współczesnym świecie.

Punktem wyjścia odpowiedzi na te pytania jest stwierdzenie, że fundamentalne różnice między lewicą i prawicą dotyczą dwóch obszarów: sfery interesów i sfery mentalności (sposobu myślenia o świecie).

Sfera interesów

Mówiąc o sferze interesów często skupiamy się na lewicowym projekcie socjalnym. W projekcie takim chodzi na ogół o wprowadzanie mniej lub bardziej ograniczonych korekt do istniejących zasad podziału bogactwa. Ale przeciwieństwo między lewicą a prawicą „w sferze interesów” dotyczy czegoś bardziej podstawowego. Wynika ono z faktu, że we współczesnym świecie, tak jak we wszystkich historycznie znanych społeczeństwach, które przekroczyły stadium wspólnoty pierwotnej, istnieją głębokie różnice między ludźmi w zakresie dostępu do zasobów materialnych, do władzy, do środków społecznego komunikowania się.

Różnice te dają przewagę jednym ludziom nad innymi. Ideologie polityczne mogą te różnice legitymi-

zować uznając je za naturalne i uzasadniać politykę, która zmierza do zachowania stosunków społecznych na tych różnicach opartych lub też mogą uznawać je za społecznie wytworzone i uzasadniać politykę, która dąży do ich przewycięzania. Te pierwsze określa się zwykle jako prawicowe¹, a te drugie – jako lewicowe. Różne postulaty i programy lewicy, takie jak żądanie poszerzenia sfery publicznej, umocnienie praw pracowniczych, opieka społeczna są tego dążenia przejawem

Praktyczna realizacja celów lewicy nasuwa różne problemy i dylematy. Pierwszy dylemat, przed którym staje partia lewicowa wynika z faktu, że realizacja lewicowej polityki musi wiązać się z większą lub mniejszą ingerencją w procesy rynkowe. Ale, jak pokazuje praktyka, zbyt daleko idąca ingerencja w te procesy może przyczynić się do pogorszenia gospodarczej efektywności. Efektywność gospodarcza uzależniona w niewielkim stopniu od poziomu ekonomicznej wolności jest podstawą polepszenia warunków bytu szerokich rzesz społeczeństwa. Jak więc pogodzić cele lewicowej polityki społecznej z gospodarczą efektywnością? Jak dotychczas udaje się to dobrze realizować w niewielu krajach.

Inną trudnością, na którą natrafia praktyczna realizacja celów lewicy jest opór potężnych społecznych sił. Jak się okazuje, mogą jej się sprzeciwiać nie tylko warstwy uprzywilejowane, ale również i ci, którzy do uprzywilejowanych nie należą. Jednym z ostatnich, szczególnie wyrazistych przykładów tej sytuacji jest masowy sprzeciw, z jakim spotkał się program opieki zdrowotnej Baracka Obamy, choć jego założenia wydają się być korzystne dla bardzo szerokich kręgów amerykańskiego społeczeństwa.

Mechanizmy demokratycznego kapitalizmu mogą być skutecznie wykorzystywane do blokowania lewicowych reform. Tego rodzaju sytuacja stawia przed twórcami i realizatorami lewicowej polityki wielkie pytania o to, jakim zmianom powinny być poddane mechanizmy demokratycznego kapitalizmu, aby cele polityczne lewicy rzeczywiście dało się realizować.

Sfera mentalności (sposobu myślenia)

Zasadnicze różnice między prawicą a lewicą dotyczą sposobu myślenia o świecie, a więc sfery światopoglądowej czy sfery mentalności. Sądzę, że źródeł tych różnic szukać można w odmiennym pojmowaniu społecznej wspólnoty i stosunków między jednostką

¹ Polityka prawicowa nie zawsze broni istniejącego zróżnicowania. Może przeciwstawiać się zróżnicowaniom, które powstają jako wynik specyficznej społecznej inżynierii, przede wszystkim takim, które wprowadziła polityka społeczna krajów socjalistycznych

a wspólnotą. Można powiedzieć, że chodzi tu o różnice sposobu zakorzenienia w rzeczywistości społecznej. Myślenie prawicowe zakotwiczone jest w tradycyjnym ujmowaniu wspólnoty jako pewnej całości moralnej wyodrębnionej na podstawie więzów krwi, wspólnoty wierzeń, języka i terytorium. Zakłada ono zdecydowany prymat wspólnoty (społeczeństwa) nad jednostką – ujęcie lewicowe opiera się na uznaniu praw jednostki, których wspólnota nie może zakwestionować.² W ujęciu lewicowym, granice wspólnoty moralnej ulegają znacznemu poszerzeniu – ma ona charakter wspólnoty obywatelskiej.

Tradycyjne ujmowanie wspólnoty ma pewne istotne implikacje dla myślenia moralnego i przekonania o źródłach prawdy, dla koncepcji ładu społecznego, władzy i społecznej kontroli, dla ujmowania stosunków swoich – obcych.

Myślenie moralne. W myśleniu prawicowym kategorie dobra i zła rozpatrywane są w relacji do dobra własnej wspólnoty. Najważniejszym celem moralnym jest pomyślność własnej wspólnoty (rodziny, Kościoła, narodu czy państwa). Pomyślność ujmowana tak w kategoriach materialnych jak symbolicznych, a więc chodzi nie tylko o wartości materialne, ale także o dobre imię. Przykładem takiego sposobu myślenia była reakcja kręgów prawicowych na „Raport Anodiny”. Z ich perspektywy najważniejszym zadaniem rządu nie było ustalenie prawdy lecz obrona dobrego imienia Polaków, któremu krytyczna ocena lotu i załogi polskiego samolotu miała zagrażać.

Ujmowanie źródeł prawdy. W ujęciu prawicowym podstawowym źródłem prawdy jest tradycja i tradycyjne społeczne autorytety – najważniejszą ich ostoją jest religia, jej święte księgi i kapłani. W niektórych przypadkach wiąże się to z odrzuceniem wiedzy naukowej, jak np. wśród protestanckich fundamentalistów w Stanach Zjednoczonych, którzy zwalczają teorię ewolucji. W społecznościach, w których religia zastąpiła lub uzupełniona została ideologią polityczną źródłem prawdy staje się ideologiczna doktryna, jej główni twórcy i interpretatorzy. W ujęciu lewicowym źródła prawdy poszukuje się w racjonalnym poznaniu świata, przede wszystkim w nauce.

Podstawy ładu społecznego. Myślenie prawicowe podstawę ładu społecznego uznaje społeczną hierarchię opartą na „naturalnych” kryteriach – klasowych, etnicznych, genderowych itp. Współczesna mutacja wyobrażenia o naturalnych źródłach społecznej hierarchii przybiera formę przekonania, że różnice społecznego statusu wynikają z różnic we wrodzonych cechach ludzi – „każdy uzyskuje to, na co zasłużył”. Stanowisko to ilustruje zacytowana przez znaną amerykańską dziennikarkę C. Freelanad wypowiedź jednego z jej rozmówców – multimilionera: „Jeśli człowiek nie jest oligarchą, to znaczy, że jest z nim coś nie w porządku.... Każdy ma te same warunki początkowe, każdy może osiągnąć taką pozycję”. (2011). Wiąże się z tym autorytarny sposób ujmowania władzy. W tradycyjnych wspólnotach wielkie znaczenia miała pozycja „wodza” – osoby, która pełniła rolę przywódczą. Był on najwyższym autorytetem, któremu często przypisywa-

no cechy boskie. Również i we współczesnych formach prawicowego myślenia spotyka się przejawy wiary w charyzmatycznego wodza („Jarosław Polską zbaw”) i przekonanie o jego niepodważalnym autorytecie. W ujęciu lewicowym przekonanie o równości wszystkich ludzi jest fundamentalną zasadą społecznej organizacji, a władza pojmowana jest w sposób demokratyczny.

Sposoby zapewnienia bezpieczeństwa i społecznej kontroli. Ważną cechą prawicowego myślenia jest wiara w przemoc jako sposób na utrzymanie ładu i ochronę wspólnoty. Cechą prawicowego myślenia jest preferencja dla surowych kar, przekonanie, że metodami nadzoru i policyjnej kontroli można dobrze poradzić sobie ze wszystkimi społecznymi patologiami (por. stosunek do kary śmierci, do polityki karnej). Towarzyszy temu znaczny stopień przyzwolenia dla posługiwania się przemocą w różnych sferach życia – w wychowaniu, w politycznej rywalizacji (prawicowe bojówki), w zwalczaniu naruszeń prawa, w stosunkach międzynarodowych (militaryzm) itp.

Stosunki swoi-obcy. Obcy traktowani są w zasadzie jako „coś gorszego” – przysługuje im niższy status (chyba że przyznano im prawa gościa lub sojusznika). Inne grupy, inne wspólnoty postrzegane są jako zagrożenie lub jako źródło korzyści. Aby przed obcymi się zabezpieczyć lub osiągnąć z nich korzyści trzeba dysponować siłą i umieć użyć siły do tego, aby zdobyć nad nimi przewagę (por. stosunek J. Kaczyńskiego do UE). W ujęciu lewicowym ostrość podziałów swoich-obcych jest znacznie osłabiona, ponieważ stosunek do innych może być bardziej zindywidualizowany – zależy od ich postaw i zachowań. Zakłada się respekt dla cudzych praw, dla praw „obcych”.

Opisywane tu przeciwstawienie myślenia lewicowego i prawicowego nie oddaje poprawnie rzeczywistych różnic, jakie występują między ludźmi, ponieważ w umysłach poszczególnych jednostek mogą współistnieć zupełnie przeciwne zasady. Ponadto ogólne zasady bywają modyfikowane w zależności od okoliczności. W czystych formach przedstawione tu sposoby myślenia występują nie tak często. Niemniej, szczególnie w bardziej radykalnych kręgach prawicowych, prawicowe formy myślenia mogą występować z dużą wyrazistością. Formy te wydają się być głęboko zakotwiczone w tradycji – nawet w bardzo dawnej, charakterystycznej dla kultur archaicznych, choć dzisiaj znacznie zmodyfikowane.

Co sprawia, że mimo tak wielu zmian, jakim ludzkość podlegała, pewne formy i zasady myślenia wykazują wielką żywotność i nadal mają bardzo znaczny wpływ na społeczne i polityczne zachowania ludzi?

Uwarunkowania prawicowej mentalności

Podsumowując liczne badania nad psychologicznymi korelatami konserwatyzmu różni autorzy (np. Jost, Glaser, Kruglanski, Sullovy) dochodzą do wniosku, że można zidentyfikować pewien mechanizm, który sprzyja podtrzymywaniu i utrwalaniu konserwatywnej (prawicowej) mentalności – prawicowego sposobu myślenia. Otóż ten sposób myślenia ułatwia adaptację w świecie, który jawi się jako zagrażający, skomplikowany, niestabilny, niepewny. Niepokój, napięcie czy lęk jako reakcja na sytuację egzystencjalnej niepewności mogą być skutecznie redukowane właśnie dzięki silnej identyfika-

² W formie skrajnej prymat wspólnoty może wiązać się z całkowitą negacją praw jednostki (tak jak w totalitaryzmie), a prymat jednostki – z całkowitą negacją praw wspólnoty (skrajny indywidualizm).

cji z określoną wspólnotą i przyjęciu koncepcji świata, która usuwa niepewność – dostarcza jasnych i jednoznacznych kryteriów dobra i zła, prawdy i fałszu, wyższości i niższości. Dzięki wierze, że jest się członkiem wspólnoty, której przywódca ma odpowiednią wiedzę i odpowiednią moc, aby skutecznie walczyć o jej dobro.

Są pewne cechy umysłu, które sprzyjają takiej formie adaptacji w sytuacji egzystencjalnego zagrożenia. Wymienia się tu tzw. potrzebę domknięcia (czyli nietolerancję na niedobór informacji i skłonność do szybkiego konstruowania wyjaśnień), dogmatyzm, zamkniętość poznawczą i in. Ostatnie doniesienia z badań neurofizjologicznych zdają się wskazywać, że pewne cechy mentalności mogą wiązać się z określonymi właściwościami mózgu.

Konserwatywne nastawienie sprzyjające prawicowej ideologii nie musi być dobrze utrwalone, niezmienną strukturą (choć czasami jest). Jest to raczej pewien stan umysłu, który w pewnych sytuacjach życiowych uzyskuje większą lub mniejszą kontrolę nad funkcjonowaniem człowieka. Innymi słowy może się nasilać lub słabnąć. Dane wskazują, że nasila się w sytuacjach społecznego zagrożenia – konfliktu, kryzysu, społecznych niepokojów, wojny.

Pewną szczególną okolicznością, która może go nasilać jest wyraziste uświadamianie śmierci (tzw. *mortality salience*). W badaniach eksperymentalnych pokazano, że nawet chwilowe zwiększenie owej wyrazistości śmierci sprzyja identyfikacji z podstawowymi wspólnotami i zwiększa nietolerancję wobec obcych. U nas w Polsce na szeroką skalę zjawisko to mogliśmy obserwować po katastrofie smoleńskiej. Tragedia ta przyczyniła się do znacznego uwyrażnienia w umysłach ludzi zjawiska śmierci, któremu towarzyszył na masową skalę wzrost identyfikacji z narodową wspólnotą i ogromne zintensyfikowanie przejawów prawicowego myślenia.

Opisane tu zależności wyjaśniają nam pewien paradoks. Mimo że do obecnego kryzysu ekonomicznego doszło w głównej mierze dzięki polityce prowadzonej przez wielki kapitał, przede wszystkim kapitał finansowy, polityce, której autorką i promotorką była prawica, to jednak nastroje społeczne przechyliły się w prawo, tak w Stanach Zjednoczonych (dobitny przykład – rozwój Tea Party i zwycięstwo wyborcze radykalnego nurtu Partii Republikańskiej), jak w Europie, gdzie obserwuje się – w różnych krajach – wzrost nacjonalizmu i prawicowego radykalizmu. Prawicowe myślenie umacnia się w sytuacji narastającego, egzystencjalnego zagrożenia.

Politycy pewnie zdają sobie jakoś sprawę z tych zależności. Dlatego w Polsce ci, którzy dążą do poszerzenia prawicowego elektoratu z taką uporczywością odwołują się do katastrofy smoleńskiej, posługują się wojenną retoryką, starają się wzbudzić w społeczeństwie niepokój i poczucie wielkiego zagrożenia.

* * *

Rozważania powyższe zwracały uwagę na fakt, że podział na lewicę i prawicę nie przebiega wyłącznie wzdłuż linii interesów – jest on także ugruntowany w mentalności. Ale tak się składa, że prawicowa mentalność, u podstaw której leży dążenie do zachowania tradycyjnych stosunków społecznych dobrze nadaje

się do tego, aby legitymizować przywileje tzw. górnych warstw społeczeństwa. Tak więc mentalność prawicowa i interesy ekonomicznych elit mogą się zbiegać. Jest to kolejny paradoks – myślenie tradycyjne rozpowszechnione jest wśród upośledzonych grup społecznych i te same grupy mogą występować w obronie stosunków, które ich upośledzenie podtrzymują.

Trzeba tu dodać pewne zastrzeżenie: teoretyczne różnice między prawicą i lewicą – różnice interesów i różnice mentalności – nie są tym samym, co różnice między lewicowymi i prawicowymi partiami. Nieraz przekonujemy się, że u ludzi deklarujących lewicowe stanowisko i u działaczy lewicowych partii można napotkać różne przejawy prawicowego myślenia, acz w zmodyfikowanej formie, np. takie jak wiara w charyzmatycznego przywódcę, preferencja dla represyjnych metod, ostry podział swoi-obcy i in.

Główne konkluzje

Analiza, którą starałem się tu przedstawić, miała zwrócić uwagę na to, że pojęcie „zwycięstwo lewicy” może mieć bardzo ubogą treść, jeśli jest ono odwołane do prostego politycznego faktu – utworzenia rządu przez partię, która jest określana jako lewicowa. Sprawą centralną jest bowiem odpowiedź na pytanie, jakie rzeczywiste zmiany polityczne i społeczne zwycięstwo to za sobą pociąga. Innymi słowy kwestią najważniejszą nie jest samo zdobycie władzy, lecz to co z tą władzą zostanie zrobione.

Tu nasuwa się pytanie: czy cele partii lewicowej sprowadzają się do wprowadzania pewnej korekty do istniejących zasad dystrybucji bogactwa (np. przez politykę podatkową) i ochrony praw niektórych grup społecznych, czy też chodzi o coś więcej – o taką modyfikację mechanizmów gospodarczych, aby powstrzymać i odwrócić proces narastania społecznych nierówności, skutecznie zapobiegać ekonomicznym katastrofom, ograniczać społeczne źródła niepewności ludzkiej kondycji.

Nasuwa się także pytanie, w jaki sposób lewica ma odnosić się do istniejących w społeczeństwie różnic mentalności. Czy ma uznać, że istnieje nieprzebrana przepaść między lewicowym i prawicowym myśleniem i że po dwóch stronach tej przepaści stoją naprzeciw siebie „wrogie obozy” skazane na wieczną walkę, czy też dążyć do przewyżnienia tych sprzeczności? Lewica nie ma przecież powodu, aby kwestionować wagę tradycyjnych więzi i tradycyjnych wspólnot, ale musi dążyć do tego, aby związek z tymi wspólnotami nie był traktowany jako powód do wykluczania innych grup. Rozumiejąc, że tendencja do wykluczania, puntywność i inne cechy radykalnej prawicowej mentalności są pewnym sposobem radzenia sobie z zagrożeniami istniejącymi we współczesnym świecie, musi zmierzać do tego, aby zagrożenia te ograniczać. Dlatego staje także przed poważnym pytaniem, jak można tego dokonać?

Pytania tu sformułowane łatwo zadać, ale znacznie trudniej znaleźć na nie odpowiedzi. Można mieć nadzieję, że szanse znajdowania tych odpowiedzi powiększą się, kiedy do ich poszukiwania włączą się młodsze pokolenia.

JANUSZ REYKOWSKI

WŁODZIMIERZ CIMOSZEWICZ

LEWICA MUSI POZYSKAĆ WYKSZTAŁCONĄ, OTWARTĄ NA ŚWIAT CZĘŚĆ SPOŁECZEŃSTWA

Pan prof. Reykowski w wypowiedzi na temat reformy ubezpieczeń zdrowotnych w USA wspominał, że przy okazji ujawniają się mechanizmy demokratycznego kapitalizmu, które blokują proces reformy. Mam wrażenie, że to ryzykowna teza. Można wprawdzie podjąć próbę dowodzenia, że opór republikanów przeciw tej reformie ma jakieś tam powiązania ze sferami biznesu medycznego i ubezpieczeniowego. Być może, ale podejrzewam, że to normalne wykorzystanie demokratycznej procedury, która wyraża pogląd, że większość nie ma ochoty płacić na mniejszość i daje temu wyraz.

Nie sądzę też, żeby immanentną cechą prawicy była skłonność do nadużywania procedury karnej, co mamy za złe, bardzo słusznie zresztą, panu Kaczyńskiemu czy panu Ziobro. Odnoszę jednak wrażenie, że polityka karna pana Łukaszenki jest taka sama. Nie chodzi więc tu o to, czy ktoś jest lewicowy czy prawicowy, ale o autorytaryzm!

Człowiek, który za moich czasów kierował polskim więziennictwem, autor wielu publikacji i autor wspaniałej reformy polskiego więziennictwa Paweł Moczydłowski wielokrotnie przypomina, że restrykcyjna polityka karna w ZSRR, dziś Rosji czy w Stanach Zjednoczonych była i jest w założeniach identyczna. Trzymanie milionów ludzi za kratami wcale nie oznacza, że jest tam bezpieczniej niż w innych krajach i że system penitencjarny jest skuteczniejszy.

Przed rozpoczęciem tego spotkania, w kawiarence na dole rozmawialiśmy z Aleksandrem Kwaśniewskim, jakie kwestie chcemy poruszyć i ponieważ przypadło mi wystąpić po Aleksandrze – od razu informuję, że z wieloma jego tezami się zgadzam. Choć nie ze wszystkimi.

Zgadzam się na przykład, że skala wielokierunkowych przemian, jakie dokonują się w świecie, jest czymś, na czym powinniśmy opierać dalsze rozumowanie – rozważania, czym jest Europa, jaka powinna być, wobec jakich problemów, szans, zagrożeń stoi i będzie stała, i jakie powinno być w tym wszystkim miejsce lewicy.

I tak bardzo ważnym elementem tych zmian na płaszczyźnie ekonomicznej jest to, co charakteryzuje, napędza, wzmacnia i co wynika z gospodarki globalnej – czyli gigantyczne przepływy inwestycyjne. Oczywiście pieniądze płyną od bogatszych do biedniejszych i z pozoru mogłoby się wydawać, że to nic innego jak nowy wariant wykorzystywania tych biedniejszych przez bogatszych, ale powstała przecież sytuacja, która zdaje się w tych bogatszych uderzać rykoszetem. Oto powstające na tej podstawie nowe gospodarki zyskują przewagę konkurencyjną, zwłaszcza w obszarze starych, tradycyjnych sektorów ekonomicznych.

Prawdą jest, że ciągle jeszcze Unia Europejska i Stany Zjednoczone wytwarzają około 42 proc. światowego PKB, Chiny wytwarzają w tej chwili około 7-8 proc.

i z tego punktu widzenia, w takim ujęciu globalnym można by powiedzieć, że wszystko jest w porządku. Problem jednak polega na tym, jaka jest dynamika tego procesu, jak szybko zachodzą zmiany.

Chiny dwa lata temu stały się największym eksporterem i w istocie drugą gospodarką świata. Mimo obserwowanego spowolnienia, różnych problemów, mimo rosnącej ceny siły roboczej przy zmniejszającej się liczbie ludzi poszukujących pracy, nadal utrzymują bardzo znaczącą przewagę w tempie wzrostu rozwoju gospodarczego. Nie wątpię, że wkrótce, w skali 15 lat staną się największą gospodarką świata. Na to ludzie, którzy starają się zachować trzeźwość umysłu i nie zamierzają ulegać panice mówią, że przecież Chińczyków jest tak wielu, że w przeliczeniu „na głowę” są grubo od nas biedniejsi, pojawiają się tam wkrótce poważne wewnętrzne problemy i w związku z tym jeszcze przez długie lata będą słabsi.

Nie chcę tu rozwijać wątku dotyczącego „nowych gospodarek”, zwłaszcza Chin, powiem tylko, że tydzień temu w Krakowie odbyły się obrady Polsko-Brytyjskiego Okrągłego Stołu. Przez dwa dni dyskutowaliśmy w Willi Decjusza o Europie i o świecie. I proszę sobie wyobrazić, że jakieś 60 proc. czasu Polacy i Anglicy poświęcili Chinom. To bardzo charakterystyczne! Brałem udział w takich dyskusjach kilkanaście lat temu i wtedy mówiliśmy wyłącznie o tym, czego Polska oczekuje od Wielkiej Brytanii. W tej chwili nie padło ani jedno słowo na ten temat!

Nie wolno nam więc bagatelizować globalnych zjawisk i pojawienia się „nowych gospodarek”. Tymczasem Unia Europejska i Stany Zjednoczone od kilkunastu lat generują gigantyczne niedobory w wymianie handlowej, rzędu setek miliardów dolarów czy euro. Trzy lata temu USA wygenerowały straty rzędu 296 mld. USD! W przypadku Unii jest to około 350 mld euro rocznie. To oznacza importowanie ludzkiej pracy, oznacza, że w tych obszarach, które są specjalnością „nowych gospodarek”, kraje te skutecznie rywalizują z państwami wysoko rozwiniętymi w tworzeniu miejsc pracy. W „starych krajach”, wiemy o tym też z polskiego doświadczenia, po prostu pewne firmy „wyparowują”, zabierając ze sobą setki tysięcy miejsc pracy. Rodzi to poważne, szybko rosnące konsekwencje społeczne i polityczne. To jest punkt odniesienia, o którym nie wolno nam zapominać. Jeśli do tego dodamy, że ta konkurencja nie odbywa się na warunkach uczciwych, bo wiele państw wysoko rozwiniętych, być może mając jakieś wyrzuty sumienia za kolonializm, traktuje tamte gospodarki w sposób preferencyjny, to rysuje się nam obraz dość groźny.

Chiny zostały przyjęte do Światowej Organizacji Handlu (WTO) bez zmuszenia ich, by zastosowały się do uczciwej polityki kursowej. Yuan jest co najmniej od 20 lat niedowartościowany co najmniej na poziomie

30 proc., co wykoślawia warunki konkurencji, a dzieje się to za przyzwoleniem wszystkich członków WTO, bo przecież, aby przyjąć kogokolwiek do tej organizacji, trzeba jednomyślniej decyzji wszystkich. Każde państwo ma prawo weta. Tak więc zaakceptowaliśmy Chiny, jakie są w organizacji, która wymaga przestrzegania pewnych reguł rywalizacji ekonomicznej.

Teraz w Unii Europejskiej zrodził się, sygnowany przez dwóch komisarzy projekt, by Komisja mogła blokować dostęp do przetargów publicznych na terenie UE firmom pochodzącym z państw, które nie przestrzegają zasad wolności dostępu do takich przetargów i blokują dostęp do nich firmom zagranicznym. Chodzi o niewymienione z nazwy Chiny, bo to jest właśnie taki przypadek. Ale oto Komisja projekt odrzuca. Nie ma woli przyjmowania mechanizmów, które by stosowano jako reakcję na agresywne zachowania ekonomiczne.

Jeżeli do tego dodamy znaną wszystkim sytuację demograficzną Europy i jeżeli będziemy pamiętali o ogromnych kłopotach, jakie mamy z imigracją już w tej chwili (a musimy być gotowi na zaakceptowanie znacznie większej imigracji w przyszłości), to powinniśmy poczuć się zatroskani.

Tymczasem Europa dotknięta kryzysem ekonomicznym i finansowym, ze zrozumiałych powodów koncentruje uwagę właśnie na tych, kryzysowych zagadnieniach, a więc patrzy na świat w krótkiej perspektywie, odnosząc się do bezpośrednich przyczyn obecnego kryzysu, nieco bagatelizując przyczyny głębsze i nie dostrzegając całego kontekstu wydarzeń. Odwołam się tu do przykładu mi najbliższego – do mojej ukochanej Puszczy Białowieskiej. Kiedyś zaczęła się tu groźna inwazja kornika – z przyczyn pierwotnie dla leśników niezrozumiałych. Okazało się, że to skutek melioracji dokonanych po stronie białoruskiej. W wyniku melioracji obniżył się poziom wód gruntowych, stare drzewa osłabły i zostały zaatakowane przez szkodniki. Tak więc gdybyśmy chcieli, oglądając naszą gospodarkę, koncentrować się wyłącznie na objawach, to trudno byłoby dostrzec i usunąć przyczynę.

Czy Europa ma więc w tej sytuacji szanse wybrnięcia z kłopotów? Tak, ma szanse, bo ciągle utrzymujemy przewagę w zakresie potencjału i poziomu badawczo-naukowego, co wynika z wyższego średnio wykształcenia naszych społeczeństw. „Nowym krajom” szalenie trudno będzie nas w krótkim czasie dogonić. Zrobią oczywiście wszystko, by to osiągnąć, ale nie jest to sprawa łatwa, bo potencjału naukowego nie tworzy się wyłącznie dzięki zainwestowaniu w szkoły wyższe. To oczywiście czynnik niesłychanie ważny, ale wiemy, że trzeba dziesięcioleci i wielu znakomitych umysłów, by taki potencjał stworzyć. Jeśli nawet zainwestuje się w średnie wykształcenie 600 milionów pracujących zawodowo Chińczyków, to i tak długo jeszcze nie będą mogli z nami rywalizować. To obszar naszej przewagi, który pozwala zachować dystans, skupiać się na gospodarce opartej na wiedzy, a więc dostarczającej bardziej skomplikowanych i złożonych produktów, które z kolei pozwalają uzyskać wyższe profity. Dobre przygotowanie pozwala naszym społeczeństwom łatwiej adaptować się do nowych sytuacji. Lepiej wykształceni ludzie są pracownikami bardziej elastycznymi.

Problem jednak polega na tym, że nasi współobywatele w ogromnej większości nie dostrzegają zmian, jakie zachodzą na naszych oczach, nie rozumieją powagi ani istoty sytuacji i chcą w najprostszy sposób, niejako

spontanicznie obronić maksimum tego (najlepiej obronić wszystko) co zostało dotąd osiągnięte. Chcą bronić *status quo*. Jednak trzeba sobie uświadomić, że to niemożliwe! Nie da się zachować tego wszystkiego – ustaleń, systemów i mechanizmów, zwyczajów i rynkowych zachowań, jakie dotąd ukształtowały się w gospodarce czy na rynku pracy krajów rozwiniętych, do których zalicza się i Polska.

Mam wrażenie, że w gruncie rzeczy żadna siła polityczna w Europie nie ma pomysłu, jak się w tej sytuacji zachować. Nie ma go lewica, nie ma też prawica, która ucieka w stronę rygoryzmu finansowego. Lewica mówi, ale dość ogólnikowo, o potrzebie wzrostu, natomiast nie przekłada się to na konkretne inicjatywy i konkretne pomysły. Wydaje się, że mająca otwartą głowę, myśląca, nie ulegająca stereotypom lewica ma teoretycznie większe szanse odnalezienia się w tej nowej sytuacji, bo nie jest więźniem przeszłości. Musi jednak sobie uprzytomnić potrzebę szukania nowych odpowiedzi.

Można założyć z dużym prawdopodobieństwem, że stare recepty nie będą się sprawdzały w nowych okolicznościach, w jakich się już dziś znajdujemy. Tymczasem, niestety, w moim przekonaniu, lewica generalnie usiłuje wpisać się w dość powszechny, instynktowny opór przeciw zmianom. Odwołuje się do starych recept i chce bronić tego wszystkiego, co Europa dotąd osiągnęła. To jest oczywiście politycznie kuszące i społecznie ważne, jednak obawiam się, że takie odruchy nie zawsze są dyktowane dostateczną wiedzą, wyobraźnią i są wystarczająco odpowiedzialne. Lewica często niebezpiecznie zbliża się do populizmu reagując w ten bezrefleksyjny sposób na zmiany, do których przecież musimy się przygotować.

Musimy więc przede wszystkim dostrzec, zrozumieć co się dzieje, zrozumieć, że wszystko co dzieje się u nas jest silnie, coraz silniej, powiązane ze zmianami zachodzącymi globalnie. Po drugie, trzeba zwrócić się do społeczeństwa, trzeba to ludziom wyjaśniać! (Społeczeństwo amerykańskie tradycyjnie nie jest zainteresowane światem, ale dla swoich egoistycznych geopolitycznie zakorzenionych przyczyn lepiej jest zorientowane w procesie przemian zewnętrznych niż społeczeństwa europejskie.)

Moim zdaniem trzeba zachować ogromną dozę odpowiedzialności formułując różne propozycje i postulaty, bo żyjemy w okresie szczególnym, w okresie podwyższonego ryzyka. Tutaj trzeba myśleć nie w skali konkretnego zakładu pracy, branży czy narodu, ale w skali całych społeczeństw i całej Europy. Nie wolno stosować bardzo kuszącej w tych trudnych czasach polityki opartej na zasadzie dzielenia – różnicowania! Trzeba raczej kierować się postulatem uzgadniania różnych interesów, a więc szukania kompromisów, zamiast różnicowania i rozdzielania.

Mówię o tym w kontekście konkretnych postulatów, jakie padły na ostatnim kongresie SLD, nawiązując do hasła podniesienia podatków od najbogatszych, które są traktowane ostatnio jako probierz lewicowości. Boję się, że będziemy się teraz na lewicy europejskiej licytowali: 70 proc. jak chce Hollande, czy 50 proc., jak chce Miller... W moim przekonaniu ani tak, ani tak, jeśli podatek taki nie ma bardzo wyraźnego uzasadnienia i nie ma posłużyć dla rozwiązywania konkretnych problemów. Jeśli to ma się odbywać tylko pod ogólnym hasłem „sprawiedliwość społecznej” – będzie to najlepsza recepta, by odpychać od lewicy znaczną część społeczeństwa. Sami będziemy wytwarzać opór, kłopot, który nie jest niezbędną pochod-

na działań służących rozwiązywaniu konkretnych problemów. To właśnie element populizmu, który się pojawia w pomysłach lewicy.

A przecież gdzie indziej leży sedno sprawy. Musimy robić wszystko, by wzmacniać potencjał naukowo-techniczny Europy, czyli tam właśnie kierować większe nakłady. Co to oznacza „większe nakłady”? My, którzy byliśmy w rządzie, którzy budowaliśmy budżety państwa, powinniśmy mieć odwagę powiedzieć głośno, że jeśli mamy gdzieś dać więcej, to w innym miejscu musimy dać mniej. Musimy mieć odwagę mówienia, że trzeba zmieniać strukturę gospodarki, jeśli mamy rozwijać pewne sektory, musimy – niestety – zawęzić sektory inne. Politycznie jest to bardzo trudne, bo wygaszanie tradycyjnych sektorów gospodarki oznacza złe wiadomości dla ludzi, którzy całymi rodzinami są z nimi związane i wręcz są ich patriotami. Ale tylko i wyłącznie w ten sposób można na dłuższą metę budować swój wizerunek jako ugrupowania poważnego, odpowiedzialnego, rozumiejącego świat, autentycznie troszczącego się o ludzi, ale też zdolnego do podejmowania ryzyka, a przez to ugrupowania wiarygodnego. To nie tylko polski problem. Bez zdobycia przez europejską lewicę opinii wiarygodnego, poważnego środowiska, będzie bardzo trudno odzyskać poparcie polityczne społeczeństw, w tym także społeczeństwa polskiego.

Dlaczego w czasie kryzysu wielu ludzi przynajmniej w państwach europejskich instynktownie zwracało się w kierunku prawicy? Bo mieli do niej zaufanie w dziedzinie ekonomicznej! Obawiali się lekkiej ręki do wydawania pieniędzy przez środowiska lewicowe. Dzisiaj sytuacja się zmienia, bo ludzie są rozczarowani, bo ten kryzys trwa dłużej, bo więcej jest poobijanych, poszkodowanych i teraz ludzie szukają alternatywy – nadziei. Tymczasem nie mają wyboru, chyba że jest jak w Grecji, gdzie wyborcy poszukując rozpaczliwie szansy między tradycyjną lewicą i tradycyjną prawicą sięgnęli po ludzi „znikąd”, nawet jeśli oni mogą zniszczyć ich własne państwo.

Wreszcie nie wolno nam liczyć na łatwe i mechaniczne skutki tego, co wydarzyło się ostatnio w kilku państwach europejskich. To że prezydentem Francji został wybrany Hollande, jest w większym stopniu skutkiem tego, jak złym prezydentem był Sarkozy, niż tego, że wzrosła wielka fala poparcia dla lewicy. Nawet jeśli ta fala w różnych państwach będzie się wznosić, to wcale nie oznacza, że pojawi się ona i w Polsce, i doprowadzi do istotnych zmian już teraz, w krótkiej perspektywie.

My musimy, powtarzam to wielokrotnie, odnaleźć zdolność do komunikowania się z bardzo dużą częścią społeczeństwa, a ponieważ Polska nie jest generalnie skłonna do nastrojów radykalnych, ta większość sytuuje się pośrodku. W środku przekonania, w środku poglądów, opinii, interesów... Poważnym błędem polskiej lewicy ostatnich lat, skazującym ją na marginalizację, jest radykalne przesunięcie się na lewo. Lewica próbuje komunikować się przede wszystkim z elektoratem socjalnym i w moim przekonaniu popełnia błąd, bo dużej części tych ludzi związanych z PiS-em nie jest w stanie odzyskać, natomiast nie potrafi nawiązać rozmowy z tą częścią społeczeństwa, zwłaszcza młodego, które jest jakże różne od nas wszystkich swoich poprzedników. Jest ono o wiele lepiej wykształcone. Pamiętajmy, że mamy w tej chwili jeden z najwyższych na świecie wskaźników skolaryzacji na poziomie wyższym, ponadnaturalnym. Wedle

ostatniego spisu powszechnego 17,5 proc. Polaków ma wykształcenie wyższe. Musimy się komunikować właśnie z tymi ludźmi, bo tylko oni mogą zapewnić wzrost poparcia wyborczego dla lewicy.

Ale to wymaga oczywiście pewnej zmiany logiki zarówno myśli jak i taktyki politycznej środowisk lewicowych. Lewica musi zbudować realny program rządzenia, a nie kolejną wersję programu propagandowego przygotowanego dlatego, że się odbywa jakiś zjazd czy kongres. Jeśli nie będziemy w stanie przedstawić takiego programu, będzie bardzo trudno przekonać do siebie społeczeństwo; nikogo nie przekonamy, że lewica jest rzeczywiście przygotowana do rządzenia i że powinna przekroczyć ten tak marginalny poziom poparcia, jaki miała od wielu lat.

I wreszcie lewica polska mogłaby, a nawet powinna odgrywać szczególną rolę w dwóch obszarach spraw – we wszystkim tym co się wiąże z przyszłością Europy oraz z prawami i wolnościami indywidualnymi. Z tego wszystkiego co dotąd powiedzieliśmy wynika, że Europa, bez większej jedności w sensie politycznym, bez wspólnej polityki zagranicznej, będzie przegrywała w tym świecie zwiększonej konkurencji. To oczywiście wymaga poszerzonej dyskusji o zmniejszającej się roli państwa narodowego. Prawica tego oczywiście nie podejmie, będzie takie próby blokowała i jest to zadanie dla lewicy.

W moim przekonaniu można dla tych spraw znaleźć rosnące zrozumienie właśnie w tej lepiej wykształconej, bardziej otwartej na świat części społeczeństwa. Z tymi ludźmi trzeba rozmawiać. Wreszcie lewica jest w tej sferze o tyle wiarygodna, że rzeczywiście w bardzo dużym stopniu dzięki lewicy Polska jest w Unii Europejskiej, a ponad 80 proc. ludzi w naszym społeczeństwie jest zadowolonych z tego faktu.

Wreszcie obrona praw i wolności rozumianych liberalnie. Dziś mamy do czynienia z oczywistą ofensywą konserwatywnego myślenia o tych sprawach i z dominacją specyficznego stosunku do tego, w jaki sposób państwo powinno te wolności ograniczać np. przy okazji walki z przestępczością. Skala ograniczeń praw i wolności, i skala nieprawidłowości w funkcjonowaniu instytucji naszego państwa, w tym wymiaru sprawiedliwości, prokuratury i sądów, już w tej chwili przekracza granice tolerancji! Liczba instalowanych w Polsce podsłuchów sytuuje nas w tej chwili w liczbie państw autorytarnych co do metody sprawowania władzy, a nie państw demokratycznych. Nonszalancja, z jaką służby specjalne inwigilują ludzi jest niedopuszczalna. Dziś nasza „klasa polityczna” uważa, że jeśli pojawia się jakiś problem, patologia, to trzeba problem rozwiązywać za pośrednictwem służb poszerzając coraz bardziej ich uprawnienia. Doszliśmy w tym do sytuacji dramatycznej, bo oto mamy już kilkanaście służb wyposażonych w daleko idące uprawnienia ograniczające prawa i wolności obywatelskie.

W obrębie tej problematyki znajduje się wielki potencjał służący komunikowaniu się z tą częścią społeczeństwa, która problem rozumie i która jest tym poruszona. Nikt inny niż lewica tej kwestii nie podejmie.

Moim zdaniem budując w ten sposób program, i tak konstruując płaszczyzny porozumienia ze społeczeństwem, można odzyskać dla lewicy poparcie, o które w Polsce jest trudniej chyba niż gdziekolwiek indziej w Europie.

ANDRZEJ WALICKI

CZY MOŻLIWY JEST LIBERALIZM LEWICOWY?

Liberalizm lewicowy od dawna jest rzeczywistością. Główny nurt myśli liberalnej ewoluował w kierunku lewicowym, w wieku XX lewica liberalna dostarczyła intelektualnych podstaw ideowego konsensusu, na którym oparto się demokratyczne państwo opiekuńcze. Przy wszystkich swych niedoskonałościach, które z taką mocą ujawniły się w latach 70., zapisało się ono w historii jako „złoty wiek kapitalizmu”, albo raczej „złoty wiek liberalnej demokracji rynkowej”. To drugie określenie wydaje się ściślejsze, trudno bowiem abstrahować dziś od wyraźnego konfliktu między spuścizną państwa opiekuńczego a interesami oligarchii kapitalistycznych, usilnie pracujących nad jego demontażem.

Państwo opiekuńcze nie było czymś zakończonym. Było zaledwie pierwszym krokiem w kierunku wskazywanym przez najbardziej dalekowzrocznych myślicieli liberalnych, od J.S. Milla do Johna Rawlsa. Załamanie się konsensusu, na którym się opierało, miało charakter rewolucyjnej zmiany paradygmatu, a więc zmiany nagłej i całościowej, nieuzasadnionej na gruncie stopniowego gromadzenia doświadczeń i powiększania wiedzy empirycznej. Odnotujemy jednak, że tylko w „postkomunistycznej” części Europy zaowocowało to totalnym zawłaszczeniem terminu „liberalizm” przez „neoliberalną” prawicę. W Stanach Zjednoczonych „liberalizm” nadal ma konotację centrolewicową, a więc kojarzy się z reformami społecznymi ograniczającymi autokrację „wolnego rynku”. W demokracjach zachodnioeuropejskich, zwłaszcza w Wielkiej Brytanii, liberalizm polityczny lub „bezprzymiotnikowy” wyraźnie odzielił się od wolnorynkowego ekonomizmu. W książce przedstawiającej najnowszy stan wiedzy o przedmiocie czytamy na ten temat:

„Zasadniczą wartością, na jakiej wspiera się dominująca w nowoczesnych zachodnich demokracjach postać liberalizmu politycznego i teoria polityczna, jest równość, nie wolność. (...) Jednym z powodów usprawiedliwiających przyjęcie takiej perspektywy jest fakt, że znacznie bardziej libertariańskie rozumienie liberalizmu zostało z czasem przyswojone, i to zarówno w sferze teorii, jak i praktyki przez nowoczesny konserwatyzm”.¹

Jest to oczywiście duża przesada i rażąca jednostronność. Autor powołuje się na Rawlsa, ale ignoruje nie tylko liberalizm przed-Rawlsowski, lecz również głośzoną przez samego Rawlsa zasadę „prymatu wolności”.² Warto jednak odnotować ten głos jako ilustrację skrajnie negatywnej reakcji demokratycznych liberałów na „neoliberalną” apologię prorynkowej wolności. Z podobną (choć odwrotną) jednostronnością mieliśmy do czynienia w Polsce, gdzie wielu poważnych nawet publicystów prezentowało jako Biblię liberalizmu dzieła Hayeka, a wzorową praktyczną realizację idei liberalnych widziało w reformach Leszka Balcerowicza.

Ustalenie ponad wszelką wątpliwość, że lewicowy liberalizm jest nie tylko możliwością ale również realnością i ma na swym koncie wielkie historyczne sukcesy, nie zmienia jednak faktu, że byliśmy świadkami jego porażki, zdumiewającej niezdolności do obrony przed brutalną ofensywą prawicy, a nawet gotowości godzenia się z własną marginalizacją. Jest to, notabene, świadectwem jego autentycznej lewicowości, czyli przynależności do formacji, która po tzw. „upadku komunizmu” poczuła się przegrana i straciła na jakiś czas wiarę w siebie.

Najbardziej chyba odrażającą cechą zwycięskiej ideologii „neoliberalnej” (vel „neokonserwatywnej”) jest intencja godzenia dogmatyki wolnorynkowej z „wartościami rodzinnymi”, proklamowanymi w USA przez Ronalda Reagana, a w Anglii przez Margaret Thatcher (która, jak wiadomo, nie wahała się głosić, że realnie istnieją tylko rodziny i jednostki, społeczeństwo natomiast jest fikcją). W katolickiej Polsce przybrało to formy wręcz karykaturalne. Kościół nie protestuje przeciw „dzikiemu” rynkowi (nie zważając na katolicką „naukę społeczną”, usystematyzowaną i zradykalizowaną przez Jana Pawła II), ale za to broni się z podziwu godną zaciekleścią przed jakąkolwiek liberalizacją prawa do aborcji, dopuszczeniem praktyki *in vitro* itp. Wolnorynkowcy z centrum im. Adama Smitha nie wstydziły się stwierdzić, że dobrym rozwiązaniem problemu zabezpieczenia na starość mógłby być „model azjatycki”, czyli liczenie w wieku emery-

sprawiedliwej dystrybucji własności i dostępu do zasobów wobec rosnących nierówności materialnych”. Uznał to za wyróżnik „współczesnego liberalizmu politycznego”, łączącego „troskę o równe prawa podstawowe z wymogiem równego dostępu do podstawowego zestawu zasobów ekonomicznych” (s. 99).

² Tamże, s. 13

¹ Paul Kelly, *Liberalizm*. Seria „Key Concepts”. Warszawa 2007, s. 74–75. Rozwijając tę myśl, autor odrzucił po kolei wszystkie dogmaty tzw. „klasycznego liberalizmu”, przede wszystkim nienaruszalność prawa własności. Proklamował natomiast „potrzebę

talnym na pomoc dzieci, oraz, oczywiście, przywrócenie tradycyjnego modelu rodziny wielopokoleniowej. Klerykałni konserwatyści głosili nawet, że uniezależnienie się od wsparcia rodzinnego dzięki ubezpieczeniom społecznym osłabiło więzi rodzinne, a więc redukcja emerytur zbawiennie wpłynie na moralność publiczną. Oczywiście mówiło się też o zastąpieniu uprawnień dobroczynnością, ksiądz Rydzyk wzbudzał nadzieje na wsparcie w parafiach. Miłość do wolnego rynku często okazywała się wprost proporcjonalna do nienawiści wobec feminizmu oraz nietolerancji wobec niekonwencjonalnych form życia płciowego. Konfuzja terminologiczna była tak wielka, że Janusz Korwin-Mikke, łączący w swej ideologii paleologiczny konserwatyzm z libertariańską apologią wolnego rynku, uchodził w oczach wielu za najbardziej konsekwentnego przedstawiciela liberalizmu.

Historycznie jednak rynek nie był sojusznikiem tradycjonalizmu. Był siłą emancypującą jednostki, rozrywającą tradycyjne więzi rodzinne, religijne i obyczajowe. Rozluźniał organiczne więzi typu *Gemeinschaft*, zastępując je zależnością izolowanych osobników ludzkich od bezosobowych reguł wymiany i kontraktu. Wspólnota oparta na jednomyślności, czyli jednakowych wyobrażeniach o Dobru, ustępowała miejsca współzależności i kooperacji opartej na ustalonych zasadach gry. Więzy rodzinne, rodowe i klanowe, lokalne i cechowe, zakładające ścisłą wzajemną kontrolę społeczną, grupowe rytuały i zasada bezwzględnie autorytarnego podporządkowania, zastępowane były dzięki relacjom rynkowym więziami „poziomymi” i porządkiem pluralistycznym, cementowanym nie wyobrażeniami zbiorowymi i wspólnotą kolektywnych celów, lecz regułami, zasadami współżycia, umożliwiającymi koegzystencję i współdziałanie zindywidualizowanych jednostek. Dialekty ściśle lokalne i kulturę mówioną, nie istniejącą poza bezpośrednim interakcyjnym kontekstem, zastępował stopniowo język ogólnospołeczny (vel „narodowy”) i kultura druku. Był to olbrzymi postęp procesu indywidualizacji i racjonalizacji świadomości, opisany w klasycznych dziełach socjologicznych Tönniesa, Webera, Durkheima i Simmela, a w czasach nam bliższych przez Ernesta Gellnera.

Analogiczną rolę odegrało suwerenne scentralizowane państwo postfeudalne. Wbrew utartym stereotypom, bardzo mocno zakorzenionym w Polsce, absolutyzm państwowy był nie wrogiem, lecz sprzymierzeńcem indywidualizacji, torował bowiem drogę wyzwoleniu jednostek spod tyranii tradycjonalistycznego kolektywizmu. Doskonale zanalizował to Michael Oakeshott dowodząc, że wolność jednostki wymaga powstania władzy politycznej wyposażonej w trzy atrybuty: (1) musi to być władza jednolita i najwyższa, tylko bowiem koncentracja autorytetu w jednym centrum umożliwia jednostce ucieczkę spod wspólnotowej presji rodziny, gildii, kościoła i wspólnoty lokalnej; (2) musi to być władza suwerenna, niezwiązana zwyczajową preskrypcją, a więc zdolna znosić dawne prawa i tworzyć nowe; i wreszcie (3) musi to być władza dostatecznie potężna, aby zabezpieczyć porządek, ale nie aż tak potężna, aby stać się dla jednostek rzeczywistym zagrożeniem w prywatnej sferze ich życia³.

Głównym przeciwnikiem indywidualizmu był w tej optyce nie polityczny autorytaryzm, lecz tradycjonalistyczny kolektywizm. Dlatego właśnie do współtwórców brytyjskiej tradycji liberalnej zaliczany jest ideolog absolutyzmu, Thomas Hobbes.

Konserwatywni romantycy niemieccy, a także rosyjscy, doskonale rozumieli to współgranie rynku i państwa jako sił „atomizujących” (indywidualizujących) tradycjonalistyczne społeczeństwo⁴. Wzrost siły nowoczesnego państwa współdziałał z rozwojem relacji rynkowych w rozluźnianiu więzi „organicznymi”, zastępowaniu ich więziami racjonalizowanymi, kontraktualnymi, indywidualizującymi ludzi i umożliwiającymi pionową i poziomą mobilność wyemancypowanych jednostek. Prototypem takiego rozwoju był starożytny Rzym, o czym pisali zarówno ideologowie romantycznego konserwatyizmu, jak i klasycy socjologii (Tönnies i Weber)⁵.

Oceny tego procesu były diametralnie różne. Z punktu widzenia tradycjonalistów i konserwatywnych romantyków był to rozkładowy proces „atomizacji społecznej”, torujący drogę rewolucyjnym katastrofom, triumfowi bezdusznej, mechanicznej i bezbożnej cywilizacji, a w dalszej perspektywie totalnemu nihilizmowi i zagładzie ludzkości. Z punktu widzenia liberałów był to natomiast proces emancypacyjny, wyzwalaający jednostki od partykularnych więzów tradycjonalnych wspólnot, torujący drogę uniwersalnemu zwycięstwu wolności. Modernizacja gospodarcza i polityczna były ważną częścią tego procesu, ale jego najgłębszą istotą miała być wolność jednostki – centralna wartość liberalizmu.

Dorobek dwudziestowiecznych badaczy problemów nacjonalizmu pozwala uzupełnić ten obraz analizą nowoczesnego procesu narodotwórczego – co jest, jak sądzę, szczególnie ważne dla Polaków. Wzrost znaczenia nowoczesnej wspólnoty narodowej ukazany został jako wprost proporcjonalny do zmniejszenia roli wspólnot lokalnych, a więc sprzyjający procesowi emancypacji jednostek. Nowoczesny naród nie jest bowiem organiczną wspólnotą typu *Gemeinschaft*, wykluczającą pluralizm i ujednostkowienie. Wprost przeciwnie: wedle trafnej formuły francuskiego teoretyka, Louisa Dumonta, jest on formą uspołecznienia odpowiadającą procesowi indywidualizacji, „wspólnotą ludzi uważających się za jednostki”⁶. Nie jest więc grupą etniczną, plemieniem ani sekciarską grupą wyznawców; jest (lub powinien być) „wspólnotą wspólnot”, spluralizowaną, niejednomyślną, maksymalnie pojemną, wewnątrznie zróżnicowaną kulturowo i mieszczącą w sobie różne rodzaje historycznej pamięci, a mimo to wewnętrznie spójną, inkluzywną, jednoczącą jednostki nie tylko przestrzennie, synchronicznie, lecz również diachronicznie, czasowo, w mocnym przeżywaniu wspólnego historycznego losu.

Innymi słowy, nowoczesny naród jest czymś więcej niż Rawlsowski system kooperacji w oparciu o zgodność co do zasad i procedur, ale nie przypomina

³ M. Oakeshott, *Rationalism in Politics and Other Essays*, nowe wyd. Indianapolis 1991, s. 368–369.

⁴ Pisałem o tym w książce o romantycznym konserwatyźmie rosyjskich słowianofilów: *W kręgu konserwatywnej utopii. Struktura i przemiany rosyjskiego słowianofilstwa*, nowe wyd. PWN, Warszawa 2002 (pierwsze wyd. 1964), s. 117–129 i 193–195.

⁵ Tamże, s. 98–100 i 126–127.

⁶ L. Dumont, *Essai sur l'individualisme. Une perspective anthropologique sur l'idéologie moderne*, Paris 1983, s. 20–21.

na także jednomyślniej, ponadindywidualnej wspólnoty, dławiącej jednostki przez narzucanie im na każdym kroku rzekomej jednakowości myśli i celów. Już nie tradycjonalizm typu *Gemeinschaft*, ale także nie tylko zbiór jednostek połączonych jedynie przestrzeganiem uzgodnionych prawnie zasad współżycia. Nazwałem to „nacionalizmem liberalnym” i obstaruję przy tej nazwie (mającej zresztą prawa obywatelstwa w literaturze przedmiotu)⁷. Więź narodową tak pojętą uważam za nieredukowalną do utilitaryzmu, a więc zasadniczo różną od współzależności egoistycznych interesów, ale jednocześnie zupełnie niewspółmierną z antyindywidualistyczną wspólnotą tradycjonalizmu.

Doskonałym podbudowaniem koncepcji „liberalnego nacionalizmu” jest wprowadzone przez Johna Deweya pojęcie „Wielkiej Wspólnoty”, przeciwstawione „Wielkiemu Społeczeństwu”. W odróżnieniu od „Wielkiego Społeczeństwa”, czyli współzależności jednostek połączonych jedynie więziami ekonomicznymi, wynikającymi z podziału pracy i wymiany rynkowej, „Wielka Wspólnota” zintegrowana jest nie tylko przez współzależność jej członków, ale także przez więzi moralne i emocjonalne, będące funkcją poczucia wspólnej przynależności⁸. Ale w przeciwieństwie do zamkniętych wspólnot tradycjonalistycznych, których członkowie znają się i wzajemnie kontrolują, jest to wspólnota szeroka i pojemna, pozwalająca jednostkom zachować odrębność, anonimowość i swobodę ruchu. Poczucie przynależności wyraża się w niej w trosce o zapewnienie każdemu adekwatnego bezpieczeństwa społecznego, a nie w wymuszaniu wspólnotowych rytuałów, gorsetu obyczajowego, oraz (zwłaszcza!) jednakowości poglądów. Ideologowie „nowego liberalizmu”, począwszy od Hobhouse’a, tak właśnie wyobrażali sobie nowoczesne, demokratyczne i opiekuńcze państwo narodowe⁹.

W Polsce niestety dominowało do niedawna zupełnie inne zrozumienie nacionalizmu. W wersji wylansowanej przez ideologów Narodowej Demokracji, której różne odmiany zdominowały polską myśl wieku dwudziestego, był to nacionalizm integralny o funkcjach obronno-mobilizacyjnych. Legitymizował on dyktat moralny, wywierany przez „narodową elitę” na „nieuświadomioną narodowo” masę, głosił bezwzględny egoizm narodowy oraz ideologię nieustannej krucjaty przeciwko mniejszościom, a także przeciwko Polakom niepełnowartościowym, „nominalnym” tylko, nie umiejącym podporządkować się surowej dyscyplinie bezwzględnej walki o narodowe interesy. Ma się rozumieć, do tej zwalczanej kategorii zaliczano w pierwszym rzędzie patriotów o poglądach liberalno-demokratycznych.

Tradycję tę trzeba rozumieć, a nie jedynie potępiać. Ale należy wyraźnie zdać sobie sprawę, że nie tylko jej formy ekstremistyczne, ale również najwartościowsze jej elementy wymagają przezwyciężenia, przestały bowiem być potrzebne i funkcjonalne. Ważne jest dziś odnalezienie form solidarności odpowiednich dla społeczeństwa „ujednostkowanego”, czyli takich, które

uzupełniałyby liberalizm (zgodnie z jego wewnętrzną ewolucją) wartościami komunitarnymi, a jednocześnie eliminowały możliwość „trybalistycznego” zwyrodnienia narodowych lojalności.

W realizowaniu tych postulatów nic nie pomoże reanimowanie tradycjonalizmu! Wbrew głosicielom pogodzenia fundamentalizmu rynkowego z „modelem azjatyckim” nie ma powrotu do bezpieczeństwa zapewnianego niegdyś przez wielopokoleniową rodzinę i tradycyjne więzi społeczne – choćby nawet popierali to z całych sił pseudoliberalni wolnorynkowcy. Liberalat nie może zachwalać zależności jednostki od tradycyjnej rodziny i wychowywania pod tym kątem własnych dzieci. Może natomiast zalecać bezpieczeństwo zbiorowe, gwarantowane przez demokratyczne i opiekuńcze państwo. Zgoda, że liberalne państwa opiekuńcze, zwłaszcza w krajach wieloetnicznych, podlegały niekorzystnym deformacjom, ale w żadnym wypadku nie podważa to zasady powszechnego ubezpieczenia emerytalnego, niezależnego od giełdy (choć nie wyklucza to dodatkowych ubezpieczeń prywatnych), obliczanego nie „kapitałowo”, czyli wedle indywidualnych wkładów, lecz jako określona część średniej krajowej, ustalona konstytucyjnie lub uchwałą parlamentu. Tylko wtedy bowiem obywatele kraju mogą mieć odwagę ryzykowania, przejawiania inicjatywy, czuć się wolni i bezpieczni zarazem.

Młodzież polska jest dziś indywidualistyczna. Nie zawsze tak było. W epoce demokracji szlacheckiej Polska była w gruncie rzeczy (co wnikliwie podkreślał Norwid) federacją szlacheckich rodzin i sąsiedztw; pod zaborami rodziny były główną transmisją pielęgnowanych wartości i tradycji; w dużej mierze było tak również w PRL – to rodziny właśnie były wtedy alternatywą szkoły, indoktrynacji ideologicznej, państwowego patriotyzmu i oficjalnej pamięci zbiorowej. Ale to było i już nie wróci. Młode, internetowe pokolenie z rodzinnego tradycjonalizmu definitywnie wyrosło i nie mają szans próby odwrócenia tej ewolucji.

Zjawisko „prekariatu”, czyli stworzona przez „neoliberalną” rewolucję warstwa ludzi bez stałej pracy i związanych z nią ciężko wywalczonych uprawnień, jest wciąż niedoceniane jako straszliwa groźba dla ustroju i stabilizacji społecznej jako takiej. Nie doceniają tej groźby nawet ofiary tej regresywnej ewolucji, są bowiem w olbrzymiej większości ludźmi młodymi, wołającymi jeszcze nie troszczyć się zbytnio o sprawę braku zabezpieczenia na stare lata. Ale naprawdę nie można przecież wyobrazić sobie realizacji scenariusza emerytur „kapitałowych”, czyli planowego oszczędzania przez całe życie na własną starość. Prezydent G.W. Bush myślał o stopniowym zlikwidowaniu *Social Security*, argumentując, że gra na giełdzie jest bardziej opłacalna niż płacenie składek, ale ludzie przytomni od razu uświadomili mu, że tylko znikoma mniejszość mogłaby to akceptować. Murzyni i Latynosi odpadliby od razu, „niebieskie kołnierzyki”, czyli ludzie pracy fizycznej w większości też, a więc składki na prywatne fundusze emerytalne płaciłaby tylko niewielka po purytańsku zdyscyplinowana biała mniejszość. Kwestia społeczna powróciłaby wówczas jako krwawiąca rana, bo tylko przymusowe ubezpieczenie społeczne w miarę skutecznie rozwiązywało problem starych ludzi bez środków do życia. Na korzyść Busha

⁷ Patrz A. Walicki, *Czy możliwy jest nacionalizm liberalny?*, w: A. Walicki, *Polskie zmagania z wolnością. Widziane z boku*, Universitas, Kraków 2000. Pierwodruk w „Znaku”, nr 3, 1997.

⁸ J. Dewey, *The Public and its Problems*, Chicago 1954. Por. G.F. Gaus, *The Modern Liberal Theory of Man*, London–Canberra–New York 1983, s. 84–85.

⁹ Patrz G.F. Gaus, *The Modern Liberal Theory of Man*, s. 85–90.

powiedzieć trzeba, że zrozumiał to szybko i odłożył swój projekt do lamusa.

System ubezpieczeniowo-opiekuńczy jest jednak nie tylko niezbędnym remedium na społeczną katastrofę; jest także pozytywną więzią obywatelską, podstawą mocnej integracji z własnym państwem. Kanadyjczycy na przykład dumni są ze swego państwa opiekuńczego, widzą w nim ważny składnik swej obywatelskiej tożsamości, pozytywnie odróżniający ich kraj od wielkiego sąsiada – Stanów Zjednoczonych. Jest to wzór do naśladowania: trzeba dążyć do tego, aby również Polacy czuli się we własnym kraju bezpieczniej i lepiej niż za granicą, aby czerpali dumę nie z demontażu instytucji opiekuńczych, lecz z ich rozkwitu.

Prawdą jest, że liberalne państwo opiekuńcze zdegenerowało się w wielu wypadkach w biurokratyczny paternalizm, ale miało to przyczyny bardzo konkretne, niemające nic wspólnego z samą istotą systemu powszechnych ubezpieczeń zdrowotnych i emerytalnych oraz bezpłatnej i świeckiej edukacji. Autorytarny paternalizm ograniczający wolność podopiecznych był głęboko sprzeczny z istotnymi cechami Keynesowskiego państwa dobrobytu. Było ono, co warto przypomnieć, programowo „antywiktoriańskie” nie tylko w opozycji do ideologii wolnego rynku, ale również w sprawach wolności osobistej i swobody obyczajowej. Sam Keynes łączył ostrą krytykę złudzeń wolnorynkowych z mocnym zaangażowaniem na rzecz antypurytańskiej rewolucji moralnej. Energicznie opowiadał się za swobodą obyczajową broniąc pluralizm orientacji seksualnych i niekonwencjonalnych form życia płciowego¹⁰. Było to w jego czasach typową konfiguracją idei, zwolennicy liberalnego państwa opiekuńczego starali się bowiem rekompensować pewne ograniczenia wolności gospodarczej rozszerzaniem podmiotowych praw obywateli w pozaeconomicznych dziedzinach życia. W ten sposób odrzucenie wiktoriańskiego dziedzictwa w gospodarce łączyło się w naturalny sposób z odrzucaniem obłudnych rygorów wiktoriańskiej obyczajowości. Rzuca to ciekawe światło na odwrotną tendencję współczesnej nam wolnorynkowej prawicy, usiłującej łączyć skrajny liberalizm ekonomiczny z obyczajowym konserwatyzmem.

Dla uniknięcia nieporozumień trzeba mocno podkreślić, że liberalne państwo opiekuńcze było także demokracją rynkową. Określenie „rynkowy” nie jest bowiem zarezerwowane dla ustrojów, w których rynek traktowany jest jako realny suweren, a brak jakichkolwiek interwencji w relacje rynkowe uważany jest za najważniejszy miernik wolności. Państwo opiekuńcze nie uważało wolności rynku za najwyższą wartość podlegającą szczególnej ochronie, ale mimo to reprezentowało gospodarkę nie nakazową przecież, lecz mieszaną i wyraźnie zdominowaną przez rynek jako system relacji opartych na swobodzie produkcji i wymiany. I tak być powinno. Wolność *homo economicus* nie jest bowiem wartością najwyższą i autoteliczną; jest tylko częścią czasem mniej, czasem bardziej ważną integralnej wolności człowieka. Hasło „wolności rynku” nie może uzasadniać manipulowania rynkiem w interesach tej czy innej grupy oligarchów. Ale nie ma też powrotu do ideału gospodarki bezrynkowej, mimo że propagował go najprzenikliwszy krytyk kapitalizmu, Karol Marks. Rynek powinien pozostać jako matryca swobodnej,

zindywidualizowanej kooperacji, skorelowanej z racjonalną kontrolą tych dziedzin życia gospodarczego, które w interesie ogólnospołecznym niezbędnie wymagają świadomego sterowania.

Z całokształtu niniejszych rozważań wynika, moim zdaniem, wniosek, że w jakiejś formie państwo opiekuńcze, oparte na zasadzie powszechności ubezpieczeń, musi powrócić pod groźbą katastrofalnego społecznego regresu.

Przed współczesną lewicą zarówno liberalną, jak socjaldemokratyczną, stoją dziś dwa problemy: (1) społeczny, czyli niezbędne zahamowanie erozji bezpieczeństwa i wyścigu nierówności oraz (2) obyczajowy, czyli obrona coraz większej potrzeby wolności indywidualnej przed naporem sztucznie reanimowanego tradycjonalizmu. Wbrew pozorom są to sprawy najściślej ze sobą połączone, obie bowiem uzasadniają postulat powrotu do liberalnego państwa opiekuńczego. Tylko państwowość bowiem, antyautorytarna i zaangażowana w promowanie sprawiedliwości społecznej może uniezależnić się od presji zarówno neoliberalnych „rynków”, jak tradycjonalistycznego kościoła, zabezpieczając zarówno przyzwoite minimum bezpieczeństwa społecznego, jak i rozsądne maksimum indywidualnej wolności.

Zygmunt Bauman wyraził opinię, że „nie ma już większej nadziei, aby państwo zaczęło ponownie świadczyć dawne usługi w zakresie pewności i bezpieczeństwa. Zakres swobody państwa w doborze polityki kurczy się, ograniczany przez moce globalne wyposażone w potężne narzędzia nacisku, takie jak eksterytorialność, błyskawiczność działania i zdolność do natychmiastowej ucieczki. Kara za naruszenie nowego globalnego porządku jest bezlitosna, niezwłoczna i wymierzana na miejscu. Odmowa przestrzegania globalnych reguł gry jest okrutnie karany przestępstwem, a rządy państw muszą się wystrzegać jego popełnienia, gdyż w odróżnieniu od mocy globalnych „przywiązane są do miejsca» i nie mogą się wymknąć karze”¹¹.

Ignorować te ostrzeżenia byłoby w najwyższym stopniu nierozsądne, ale mimo to nie w pełni podzielam Baumanowski pesymizm. Przekonany jestem, że systemy gospodarczo-polityczne nie mogą istnieć bez określonego minimum społecznej legitymizacji. Jeśli głębokiego kryzysu legitymizacyjnego nie przetrwał radziecki komunizm, to nie przetrwa go również neoliberalny kapitalizm. Dominacja wpływów neoliberalnej prawicy okaże się wówczas incydentem, „wypadkiem po drodze”, a powrót do takiej czy innej formy antyautorytarnego państwa opiekuńczego uznany zostanie za niepodlegającą dyskusji oczywistość. Oczywiście jest bowiem, że rozwój liberalnego indywidualizmu jest nie do powstrzymania, a potrzeba rozsądnego bezpieczeństwa będzie wzrastać. Już dziś oczywiste jest, że wolność i bezpieczeństwo są wartościami nie konkurencyjnymi, lecz nierozłącznymi, nie ma bowiem wolności w warunkach nieustannego zagrożenia i strachu, a lekcję bezpieczeństwa gwarantowanego przez despotyzm przerabialiśmy już niejednokrotnie.

ANDRZEJ WALICKI

Rozdział z książki *Od projektu komunistycznego do neoliberalnej utopii*, która ukaże się w 2013 roku, wyd. Universitas.

¹⁰ Patrz J.G. Merquior, *Liberalism. Old and New*, s. 116–117.

¹¹ Z. Bauman, *Płynna nowoczesność*, Kraków 2006, s. 287–288.

HENRYK DOMAŃSKI

PRZENIKANIE SIĘ WŁAŚCICIELI I INTELIGENCJI

Motoryczną siłą struktur rynkowych w Polsce mieli być specjaliści w nowych zawodach, czyli „nowa” inteligencja, i właściciele firm poza rolnictwem. Jak zmienił się skład społeczny inteligencji i właścicieli, i czy w ogóle się zmienił? Co oznaczało to dla „jakości” społeczeństwa polskiego oraz czego można w związku z tym oczekiwać na przyszłość? Analizując ścieżki rekrutacji do tych pozycji można ustalić, czy właściciele i inteligencja charakteryzują się teraz większą spójnością niż kiedyś, czego wskaźnikiem byłaby przewaga ich samorekrutacji nad procesami napływu, czy też było odwrotnie i bariery ruchliwości między tymi kategoriami ulegały rozmyciu.

Odpowiedzi na te pytania dostarczają analizy prowadzone na danych z badań ogólnopolskich z lat 1988-2011.¹ Zaczniemy od zwrócenia uwagi na wysoką stabilność struktury społecznej rozumianej jako przewaga samorekrutacji nad strumieniami napływu. W latach 1988-1994 odsetek osób niezmiennych przynależności społeczno-zawodowej – w ramach podziału na wyższych kierowników i specjalistów, niższych pracowników umysłowych, właścicieli, robotników i rolników – wynosił dla całego społeczeństwa 85,2 proc. W latach 1994-1999 nieznacznie zmniejszył się on – do 82,5 proc. – zwiększając się w latach 1999-2005 do 90,4 proc., i ponownie zmniejszając się w latach 2005-2011 do 82,9 proc. Zastosowany tu podział identyfikuje podstawowe segmenty struktury społecznej, różniące się pod względem stosunku do własności środków produkcji i pozycji rynkowej, co pozwala traktować go jako odzwierciedlenie struktury klasowo-warstwowej.

Należy zauważyć rzecz oczywistą, którą jednak warto podkreślić, że wniosek o stabilności odnosi się tylko do podstawowych podziałów społecznych. Jednak nie oznacza on bynajmniej jakiegoś totalnego zastoju. W tym samym czasie wielu ludzi zmieniało pozycje przemieszczając się w ramach tych kategorii na krótkich dystansach, np. goniec mógł zostać magazynierem,

ślusarz – brygadziwą, pakowaczka – sprzedawczynią sklepową, a konduktor mógł awansować na kierownika pociągu. Nie zmienia to faktu, że ruchliwość krótkodystansowa nie przyczynia się do większych zmian w sile barier społecznych, stratyfikacji, nierównościach dochodów, ani też w świadomości społecznej. Do tego potrzebna jest ruchliwość długodystansowa, podobna do tej z lat 50. ubiegłego stulecia, polegająca np. na masowym przechodzeniu rolników do zawodów umysłowych, co mogłoby powodować osłabienie ogólnego poziomu religijności, czy przełamać raczej konserwatywny stosunek społeczeństwa polskiego do spraw obyczajowych, związanych z oceną homoseksualizmu i życiem rodzinnym, albo też być czynnikiem sprzyjającym zwiększeniu się poparcia dla władzy.

Jeżeli wcześniejsza przynależność społeczno-zawodowa mogła tu stanowić jakąś podstawę predykcji, to wyżsi kierownicy i specjaliści mieli bardziej jednolite oblicze społeczne w latach 1988-1999 – odsetki samorekrutacji kształtowały się wśród nich wtedy na poziomie 88-96. Na każdym 10 inteligentów, 8-9 należało do tej kategorii już we wcześniejszym okresie. Zapewne wynikało to w jakimś stopniu z charakterystycznych cech tych profesji – prawników, lekarzy, psychologów, inżynierów, dziennikarzy, artystów, akademików, nauczycieli szkół średnich i księży. We wszystkich krajach kategoria ta zaliczana jest do tzw. *dead-end jobs*, co przetłumaczyłbym jako zawody „zamykające drogę odwrotu”. Wyróżniającą ich cechą jest ciągłość kariery – warunkiem ich wykonywania jest posiadanie specjalistycznych kwalifikacji, których uzyskanie wymaga wysiłku, trwa długo i związane jest na ogół z dokonywaniem inwestycji finansowych, co do których panuje przekonanie, że powinny się zwrócić. W dłuższej perspektywie np. zawód prawnika zapewnia wysokie zarobki, otaczany jest wysokim prestiżem i otwiera dostęp do wysokich stanowisk. Są to uniwersalne prawidłowości i trudno oczekiwać, że inaczej jest w Polsce.

W latach 1999-2011 napływ do tej kategorii jakby trochę się zwiększył. W 2005 roku odsetek wyższych kierowników i specjalistów wśród tych, którzy byli nimi w 1999 roku wyniósł 77, a w 2011 – 73 proc. Kategoria ta uległa więc pewnemu otwarciu, co mogło być m.in. konsekwencją zadziałania zwiększonego zapotrzebo-

¹ Podstawą tej analizy jest porównanie czterech klasycznych tabel ruchliwości charakteryzujących przemieszczenia w strukturze społecznej w latach: 1988-1994, 1994-1999, 1999-2005 i 2005-2011. Dane pochodzą z z dwóch badań. Badania zrealizowanego w 1994 roku na ogólnopolskiej próbie 3521 osób powyżej 17 lat, które było częścią międzynarodowego projektu Social Stratification in Europe after 1989 i z ogólnopolskiego badania zrealizowanego w 2011 roku.

wania na specjalistów i kadry menedżerskie – w większości dyrektorów przedsiębiorstw i instytucji państwowych. Po latach застоju rynek pracy zaczął tworzyć te najbardziej rozwojowe pozycje, pobudzając ruchliwość społeczną. Głównym kanałem napływu do zawodów inteligentnych stali się niżsi pracownicy umysłowi, obejmujący m.in. pielęgniarki, techników, referentów, sekretarki i innych pracowników biurowych, a ponadto szeroką kategorię sprzedawców sklepowych i szeregowych pracowników w usługach. Niżsi pracownicy umysłowi usytuowani są w bezpośrednim sąsiedztwie inteligencji, a na pewno lokują się wobec niej bliżej niż robotnicy i kategoria rolników, stąd też fala tego napływu nie powinna była zasadniczo osłabić zwartości wyższych kierowników i specjalistów jako segmentu struktury społecznej.

Większy napływ miał miejsce do właścicieli poza rolnictwem. Faktem wymagającym podkreślenia jest to, że kategoria ta zawsze charakteryzowała się silnymi fluktuacjami, czego świadectwem był niski odsetek samorekrutacji, niezależnie od tego czy był to PRL, czy system rynkowy. W 1994 roku odsetek ten wynosił 36 proc. – tylko tylu było w tej kategorii właścicieli z 1988 roku. Tak wysoka ruchliwość mogła być rezultatem zniesienia prawnych ograniczeń rozwoju przedsiębiorczości w tym przełomowym okresie, a równocześnie wiele nowych firm bankrutowało, a na ich miejscu tworzyły się nowe. W świetle tych danych tendencja ta utrzymywała się do 1999 roku, w którym to czasie odsetek samorekrutacji właścicieli obniżył się do 26 proc. Świadectwem pewnego ustabilizowania się ich sytuacji mógł być wzrost tego odsetka w latach 1999-2005 do 38 proc., ale już w latach 2005-2011 ustąpiła ona kolejnemu spadkowi zmniejszając się do 7 proc. Znamionowało to prawie całkowity brak ciągłości kariery zawodowej właścicieli i brak ich zakorzenienia w strukturze społecznej – jakkolwiek by to ująć.

Nawiązując do znanych teorii należałoby stwierdzić, że pozytywną stroną tego procesu jest udrożnienie kanałów dostępu do kategorii właścicieli, utożsamianej z dostatkami, niezależnością i innymi korzyściami płynącymi z polegania na sobie. Z kolei negatywnym tego aspektem jest brak stabilności i mentalność „turysty”, które – generalnie ujmując – nie sprzyjają kształtowaniu się profesjonalnego podejścia. Postawy te powinny jednak w jakimś stopniu zależeć od struktury tego napływu, od tego, kim byli późniejsi właściciele, z jakich się rekrutowali pozycji?

Okazuje się, że we wzorach napływu do właścicieli dokonał się pewien zwrot, a jeżeli nie zwrot, to przynajmniej wahnięcie. W PRL członkowie tej kategorii rekrutowali się częściej z klas niższych niż z niższych pracowników umysłowych i inteligencji. Nie inaczej było na przełomie lat 90. i na przełomie stuleci. W 1994 roku odsetek byłych robotników wśród właścicieli stanowił 34,8 proc., dwukrotnie mniej osób napłynęło z kategorii wyższych kierowników i specjalistów (18,3 proc.), 7,7 proc. z niższych pracowników umysłowych i 2,7 proc. z rolników, co wskazywałoby na stosunkowo niski kapitał edukacyjno-kulturowy prywatnych przedsiębiorców, podobnie jak na Węgrzech i w Czechach, ale inaczej niż np. w Słowacji i Rosji. W Słowacji samorekrutacja właścicieli kształtowała się na poziomie 14,1 proc., ale odsetek byłych menedżerów i specja-

listów wynosił 32,8 proc. i we wszystkich społeczeństwach postkomunistycznych był stosunkowo najwyższy. Niżsi pracownicy umysłowi stanowili w 10,7 proc., robotnicy wykwalifikowani i niewykwalifikowani – 40,5 proc., a robotnicy rolni i właściciele gospodarstw – 1,9 proc.

Jeszcze większe przesunięcie w kierunku robotników wystąpiło do 2005 roku. Właścicielami było 43,7 proc. osób mających za sobą pewien staż w zawodach robotniczych i pracujących w rolnictwie, podczas gdy relatywny udział osób wywodzących się z niższych pracowników umysłowych i inteligencji wynosił 18,7 proc. Zwrot, który dokonał się w następnym okresie, polegał na odwróceniu się tych proporcji na rzecz kategorii o wyższym statusie społecznym. Głównym zapleczem właścicieli stali się pracownicy umysłowi – byli technicy, referenci, a prawdopodobnie w największym zakresie sprzedawcy. W 2011 roku stanowili oni aż 57,1 proc. właścicieli z 2005 roku. W tym samym czasie wzrósł również udział byłych kierowników i specjalistów (do 14,3 proc.). Kategorie te wyparły właścicieli o rodowodzie robotniczym, których odsetek zmniejszył się do 14,3 proc.

Zgodnie z logiką stratyfikacji społecznej, efektem tego przesunięcia było upodobnienie się właścicieli do „białych kołnierzyków” i inteligencji pod względem różnych wyznaczników stylu życia i postaw. Nie mam danych, które pozwoliłyby to dokładnie ustalić, ale podobnie jak nowa inteligencja, właściciele powinni stać się bardziej proeuropejscy, otwarci na zmiany i tolerancyjni wobec mniejszości etnicznych. W porównaniu z właścicielami zdominowanymi przez reprezentantów klas niższych powinni się również cechować mniejszą religijnością, a równocześnie większym poparciem dla eutanazji, małżeństw partnerskich, aborcji, homoseksualizmu i zapłodnienia *in vitro*. Pochodzenie z kategorii specjalistów predestynuje ich do jeszcze większej akceptacji stosunków rynkowych, popierania polityki ograniczania wydatków socjalnych i nierówności dochodów, które pozwalają uwydatnić tym kategoriom wysoki status społeczny.

Istotne jest to, że przemieszczenia te mogą stanowić podłoże kształtowania się nowej hierarchii klasowej. Inteligencja i pracownicy umysłowi sytuowali się zawsze powyżej właścicieli pod względem różnych orientacji i cech stylu życia, pomijając oczywiście ich średnio wyższe zarobki.² Kategorie te dzielił pewien dystans społeczny w dziedzinie wzorów kultury i systemów wartości, który może się w związku z tymi przemieszczeniami zacierać. Wyłaniająca się z tych ustaleń tendencja do rekrutacji właścicieli z zawodów umysłowych nie musi być trwałym zjawiskiem, jednak jeżeli będzie kontynuowana, to wspólne pochodzenie i doświadczenia zawodowe tych kategorii staną się elementem łączącym je silniej niż dotąd. Konsekwencją tego byłoby kształtowanie się wśród właścicieli orientacji upodabniających ich do nowych klas średnich, a z drugiej strony sprzyjałoby to pogłębianiu się dystansów oddzielających ich od klas niższych. ■

² H. Domański. 2008. Dystanse inteligencji w stosunku do innych kategorii społecznych ze względu na położenie materialne, pozycję rynkową, prestiż, samoocenę pozycji i stosunek do polityki, ss. 292-324. W: Henryk Domański (red.), *Inteligencja w Polsce. Specjaliści, klerkowie, klasa średnia?* Warszawa: IFIS PAN.

ZDZISŁAW SADOWSKI

KRYZYS, PAŃSTWO I MY

Po paru latach walki z kryzysem nasza Europa znów zaczęła pogrążyć się w recesji. To oznacza spadek produkcji, wzrost bezrobocia, a w rezultacie odczuwalne zwiększenie trudności życiowych dla uboższej części ludności. To wpływa i na Polskę. Można było lekceważyć dawno wygłaszane przez premiera zapowiedzi, że będą narastały trudności. Przyszedł czas na konkrety. Następuje i u nas spowolnienie wzrostu gospodarczego, już wyraźnie przedstawione w projekcie budżetu państwa na rok 2013.

To spowolnienie wzrostu do około 2 proc. rocznie jest z upodobaniem nazywane kryzysem. Ciekawe, że ludzie tak łatwo ulegają zbitkom pojęciowym, jeśli się im je wciąż powtarza. Polska nie jest w kryzysie, a spowolnienie to nie kryzys. Wielki kryzys uderzył w kraje wysokorozwinięte w latach 2008 i 2009, ale Polska go nie odczuła, dotknęły nas tylko pewne jego zawirowania. Teraz w Europie wróciła kolejna fala kryzysu, ale pod względem wzrostu gospodarczego Polska jest wciąż w lepszej sytuacji od niemal wszystkich krajów Unii.

Mimo to zapanował nastrój kryzysowy i – jak świat światem w każdym prawdziwym kryzysie – szuka się sprawców. Wzrok automatycznie kieruje się na państwo. Państwo i rząd to oczywiście adresaci pretensji. Dlaczego państwo nie umie nas zabezpieczyć przed pogorszeniem sytuacji materialnej? Dlaczego nie potrafi zapewnić szybszego wzrostu gospodarczego i miejsc pracy? Dlaczego dopuszcza do wzrostu cen benzyny, żywności i lekarstw? Skoro rząd przystaje na spowolnienie, to znaczy, że nie daje sobie rady. Trzeba go zmienić na kogoś, kto potrafi należycie zadbać o interesy narodu. Trzeba walczyć, wychodzić na ulice i żądać szybkich zmian.

Takie nastroje występują w różnych krajach i udzielają się niektórym grupom także i u nas. Choć Polska obecna dotychczas nie zaznała prawdziwego kryzysu, trzeba pamiętać, że i bez kryzysu znaczna część społeczeństwa żyje w biedzie, a w ostatnich latach duże grupy niezamożnych obywateli były nękane kolejnymi powodziami i kataklizmami klimatycznymi, tracąc domy i dorobek życia. Zamożniejszych trapiły wahania kursu złotego i kłopoty z powodu podrożenia franka szwajcarskiego, a także kolejne liczne bankructwa agencji turystycznych i w końcu oszukańcza afera Amber Gold.

Łatwo jest obwiniać państwo i rząd. Z pewnością znajdują się do tego powody. Ale ani w gospodarce, ani w życiu społecznym państwo nie decyduje o wszystkim. Odgrywa tylko określoną, ograniczoną rolę. W polskim społeczeństwie wciąż żyje znaczna liczba osób

pamiętających czasy, kiedy państwo z rządzącą partią na czele dominowało we wszystkich niemal dziedzinach życia. Ale od dwudziestu lat tak już nie jest.

Spełnione zostało powszechne pragnienie dołączenia do kapitalistycznej gospodarki rynkowej. Państwo nie wyznacza jej sposobu działania, a tylko w niej uczestniczy. To nie państwo określa kształtowanie się koniunktury gospodarczej w Europie i na świecie. Koniunktura wynika z działania ekonomicznych praw rynku, których ani państwo, ani nikt zmienić nie potrafi. Państwo może korzystać z wysoce korzystnej koniunktury, jak u nas w latach 2004-2007, albo musi szukać najlepszego sposobu dostosowywania się do niesprzyjających okoliczności, jak po wybuchu światowego kryzysu roku 2008. Jak dotychczas, to dostosowywanie się wychodziło nam bardzo dobrze. Oczywiście byłoby lepiej mieć szybszy wzrost, a w spowolnieniu pewna liczba osób rzeczywiście doznaje strat. Ale wzrostu nie osiąga się na żądanie. Niektórzy chcą, aby państwo pobudzało wzrost przez zwiększenie wydatków. Powołują się na ważną teorię Keynesa o finansowaniu inwestycji z deficytu budżetowego. Zapominają tylko, że Keynes nikomu nie zalecał nieograniczonego zwiększania długu państwa.

Trzeba więc poważnie zastanowić się nad tym, czego mamy, możemy i powinniśmy oczekiwać od państwa. Co to jest państwo? To organizacja niezbędna do wypełniania w porozumieniu ze społeczeństwem i dla jego potrzeb szeregu funkcji, których obywatele nie mogą spełniać we własnym zakresie: tworzenia instytucjonalnych form życia społecznego, utrzymywania porządku publicznego, obrony kraju oraz przyczyniania się do ogólnego rozwoju. Dla ich wypełniania tworzy się rozległy układ władzy obejmujący władzę ustawodawczą, wykonawczą i sądowniczą. Działa on za pomocą wielkiego urzędniczego aparatu administracyjnego oraz struktur samorządu terytorialnego. To ogromna maszyna złożona z mnóstwa podzespołów, w której jest bardzo dużo miejsca na błędy i uchybienia. Pojawiają się one ciągle w procesie rozwoju społeczeństwa. Jest to przecież proces nieustannych zmian, do których trzeba się ciągle dostosowywać, rozpoznawać wciąż nowe wyzwania i znajdować właściwe odpowiedzi pasujące do pragnień społeczeństwa.

A te pragnienia są różne, czego chcą jedni, budzi sprzeciw drugich. Chciałoby się, żeby wszystkie organy państwa były zawsze sprawne, nie tylko w sensie decyzyjnym, lecz także wykonawczym, z którym mamy do czynienia na co dzień. To jednak jest w praktyce nieosiągalne. W rezultacie wciąż na coś narzekamy:

na rozmaite przepisy prawne, które wbrew intencjom okazują się nonsensowne, na harce tak zwanych polityków w parlamencie i organach samorządowych, na bezmyślność i opieszałość funkcjonariuszy, na niesprawność prokuratorów i wymiaru sprawiedliwości. I pewnie często mamy rację.

Ale za tymi narzekaniami i niesprawnościami trzeba dostrzegać coś bardziej podstawowego i znacznie ważniejszego. Chodzi o zasadę sterowania państwem, czyli rządzenia. Są dwa przeciwstawne sposoby sterowania państwem, a między nimi całe mnóstwo rozwiązań pośrednich. Te dwa podstawowe to sposób liberalny, w którym rząd dba o uzgadnianie wszystkich pociągnięć ze społeczeństwem i jest wrażliwy na jego opinie, i sposób autorytarny, czyli dyktatorski, w którym władza organizuje życie społeczeństwa według swoich wyobrażeń. W doświadczeniu polskim ten drugi system otrzymał dosadną ale wyrazistą nazwę zamordyzmu. Społeczeństwo ma zawsze wybór: liberalizm czy zamordyzm?

Świat rozwinięty wypowiada się od dawna za rozwiązaniami liberalnymi, ale w praktyce rozmaitych krajów dzieje się różnie, a poszczególni ludzie mają różne poglądy. Liberalny sposób rządzenia jest w bieżących działaniach mniej sprawny, przygotowanie i docieranie decyzji trwa długo, w wielu sprawach przyjmuje się rozwiązania kompromisowe.

W systemach autorytarnych decyzje są podejmowane szybko i sprawnie, a ich realizację zapewniają odpowiednie służby. Chodzi tylko o to, jakie to są decyzje. Dlaczego mamy wierzyć kandydatom na wodzów narodu? Otóż bywa tak, że wiele osób pragnących z pełnym uzasadnieniem sprawności i porządku, a rozdrażnionych przez rozlązłe rządy liberalne, w trudnych sytuacjach gospodarczych ulega skłonności do zaufania zapowiedziom przyszłych dyktatorów.

W rezultacie wybór, o którym mowa, jest dokonywany niezbyt świadomie. Wybierając Hitlera Niemcy nie zdawali sobie sprawy z tego, że czeka ich straszliwy nazistowski totalizm. Stalina społeczeństwo nie wybrało, on doszedł do władzy w następstwie bolszewickiej rewolucji, która miała przynieść wspaniały, nowy ustrój, oparty na powszechnym braterstwie i solidarnej współpracy, a co przyniosła, to wiemy.

Reżimy dyktatorskie na ogół tworzą wokół siebie mit programu ogólnej szczęśliwości, dbają też o to, aby wysunąć na czoło postać wodza wzbudzającą publiczne zainteresowanie, a potem – dzięki umiejętnej propagandzie – uznanie, sympatię i zaufanie. Nośnym hasłem staje się zazwyczaj solidaryzm. Nie należy go mylić z piękną tradycją pierwszej „Solidarności”, kiedy nowopowstały niezależny związek zawodowy przyjął taką nazwę dla przeciwstawienia się panującemu reżimowi autorytarnemu. Solidaryzm to kierunek społeczno-polityczny głoszący ideę nadrzędności dobra wspólnoty nad interesami poszczególnych obywateli. Nietrudno zauważyć użyteczność tej idei dla reżimów autorytarnych, które właśnie pretendują do roli wyrazi-cieli dobra wspólnoty. Solidaryzm staje się uzasadnieniem dla popierania reżimu. Niektórym ludziom może to odpowiadać, ale inni trzszczą się raczej o swobody obywatelskie, w których zapewnieniu pomagają koncepcje liberalne.

Liberalizm za najważniejsze uznaje prawa jednostki i buduje swoją koncepcję państwa na tej zasadzie. Problem sposobu rządzenia państwem polega tu na tym, jak pogodzić troskę o wolności obywatelskie, które prowadzą do różnic poglądów i do nieustannych sporów, z dążeniem do sprawności działania państwa.

Szukając odpowiedzi na to pytanie lubię nawiązać do Bertranda Russella, według którego podstawowym zadaniem państwa zawsze było i jest dbanie o dwie sprawy: o bezpieczeństwo i sprawiedliwość. Dotyczy to wszystkich epok historycznych, ale w różnych okresach te dwa zadania bywały bardzo różnie pojmowane. Dopiero u progu ery kapitalizmu wielki myśliciel szkocki Adam Smith, podejmując główną myśl liberalizmu, że życie społeczne powinno kształtować się w wyniku działań wolnych obywateli, skonkretyzował jej zastosowanie do życia praktycznego i stworzył koncepcję liberalnej gospodarki rynkowej opartej na demokratycznym ustroju politycznym. Za bardzo ważną sferą działania wolnych obywateli uznał rynek (czyli w naszych czasach całokształt stosunków handlowych między samodzielnymi podmiotami gospodarującymi). Na rynku obywatele swobodnie wymieniają produkty swej pracy, a te ich działania kształtują ogólną sytuację gospodarczą i społeczną. Jeśli zapewnić im pełną swobodę działania przy właściwych regułach gry, to system taki zapewni zarówno optymalne wykorzystanie zasobów w interesie całego społeczeństwa, jak też sprawiedliwy podział wyników. Rolą państwa jest określenie reguł gry i zapewnienie wszystkim uczestnikom równości wobec prawa. W takim systemie, jak sądził, sprawiedliwość powinna realizować się automatycznie przez efektywne działanie „niewidzialnej ręki” rynku, przynoszące korzyść wszystkim uczestnikom gry rynkowej. Natomiast do państwa należy troska o bezpieczeństwo, realizowana przez ochronę prywatnej własności i przedsiębiorczości oraz prawideł gry rynkowej. Nauka ekonomii powstała jako teoria działania tego optymalnego systemu.

W tym oczekiwaniu Smith mocno się przeliczył. System wolnorynkowy rzeczywiście zapewnił światu wspaniały rozwój, ale okazał się daleki od optymalności, bo nie potrafił zapewnić ani sprawiedliwości społecznej, ani stabilności koniunktury. To właśnie dlatego od dawna trwa szukanie sposobów jego ulepszenia. Skutki rozwiązania, polegającego na pełnym zastąpieniu rynku przez państwo (czyli ostatecznie przez decyzje urzędników) przeżywali na własnej skórze mieszkańcy ZSRR, a także PRL-u w ustroju narzuconym nam przez ZSRR. Z takim skutkiem, że powszechnie zapragnęli powrotu do systemu rynkowego i zostało to w końcu zrobione dużym kosztem społecznym. Nie przyniosło jednak trwałego zadowolenia, bo mamy w Polsce ogromne zróżnicowanie dochodowe, wiele biedy i trwające przez lata poważne bezrobocie.

Świat szuka lepszych rozwiązań w różny sposób. W reakcji na bieżące znaczne trudności gospodarcze związane z kryzysami naftowymi, w latach 1980. nastąpił wielki nawrót do idei całkowitej swobody rynkowej. W gospodarce światowej zwyciężyła doktryna zwana neoliberalizmem, według której rolę państwa powinno się ograniczyć do minimum. Nawet politykę pieniężną

powinien prowadzić całkowicie niezależny od rządu bank centralny.

Neoliberalowie nie mieli racji. Zlekceważyli całe doświadczenie 200 lat i potrzebę szukania nowych rozwiązań. Pod ich rządami swobodnie działający system rynkowy doprowadził w ciągu ostatniego ćwierćwiecza do wielkich wynaturzeń, z którymi dzisiaj trudno dać sobie radę. Gospodarka światowa dostała się we władanie kapitału finansowego i rynków finansowych. Głównym zajęciem uczestników rynku stało się nieustanne szukanie najkorzystniejszych lokat kapitału, co nadało systemowi rynkowemu cechy kasyna gry.

Mimo wspaniałego postępu nauki i techniki, i wielu ułatwień w technicznych warunkach życia tak działający system rynkowy doprowadził do tego, że perspektywy rozwoju świata budzą coraz więcej niepokoju. Od wielu już lat uczeni tworzą długookresowe analizy narastających zagrożeń. Wynika z nich, że świat znajduje się na drodze do stopniowego pogarszania się ogólnej sytuacji gospodarczej, na co – jak dotąd – nie można znaleźć uzgodnionej odpowiedzi. Nie budzi to jednak niepokoju większości obywateli, bo na ogół nie bardzo troszczą się o świat myśląc przede wszystkim o własnym podwórku. Nie bardzo też obchodzi ich odległa przyszłość, bo niepokoją się o dzień dzisiejszy i o to, co ich czeka w najbliższym czasie.

W kręgach decyzyjnych przyjmuje się jednak świadomość tego, że współczesny model gospodarki rynkowej łączy rynkowe mechanizmy alokacyjne ze wspomagającym i korygującym działaniem polityki państwa. W wyniku procesów integracyjnych część zadań przypadających państwu jest realizowana w rosnącej mierze przez układy ponadpaństwowe, to jednak nie zmienia natury problemu. Rynek jest niezbędny jako podstawowy regulator, a państwo (lub wspólnota państw) jako regulator wspomagający. W trosce o bezpieczeństwo państwo musi podejmować działania dotyczące ochrony klimatu oraz zaopatrzenia w wodę i żywność. W trosce o sprawiedliwość musi korygować podział dbając o najbardziej potrzebujących i nie dopuszczając do nadmiernego rozwarstwienia ludności. W tej ostatniej sprawie ważnego przykładu dostarczają kraje skandynawskie, które w sposób najbardziej konsekwentny stosują od lat koncepcję tzw. państwa opiekuńczego bez negatywnych następstw dla wzrostu gospodarczego.

Dobrze, ale co z naszym spowolnieniem? Czy naprawdę nie można przyspieszyć wzrostu i zadbać szybko o miejsca pracy? Otóż wizje przełamania nad Wisłą, Bugiem i Odrą skutków spadku koniunktury to sennie marzenia nie do spełnienia. Najlepsze co można osiągnąć, to uporczywa obrona naszego spowolnienia, aby nie przeszło w recesję. Z wysokim bezrobociem żyjemy od lat dwudziestu i nagłe budzenie się do tego problemu pod wpływem spowolnienia jest dosyć śmieszne, bo były do tego lepsze momenty. Bezrobocie jest bardzo trudnym problemem, wymaga troski, wymaga uwzględnienia wszystkich kwestii związanych z „szarą strefą” i wymaga na pewno przygotowania programu na czas poprawy gospodarczej, aby osiągnąć więcej niż potrafi sam mechanizm rynkowy. Teraz musimy racjonalnie przetrwać czas spowolnienia, które nie jest kryzysem.

TOMASZ NAŁĘCZ

KWESTIA

Wkrótce minie ćwierć wieku od chwili, gdy Polska odzyskała suwerenność państwową w jej pełnym wymiarze, a przecież trzeba stwierdzić, że proces kształtowania ładu demokratycznego nie został jeszcze ostatecznie zakończony i ciągle, szczególnie na skrajnej prawicy, budzą się niebezpieczne demony. Przyda się nam zatem wycieczka w przeszłość, bo choć „historia to nauczycielka życia”, to dalece nie wszyscy chcą tej nauczycielki słuchać z równą uwagą.

Ze szczególnym nabożeństwem odnosimy się dziś do doświadczeń Polski międzywojennej, a przecież w okresie II RP kreacja form ustrojowych nie powiodła się w pełni, system nie został ostatecznie ukształtowany, a ład demokratyczny uległ destabilizacji. To winno być to dla nas pewną istotną przestrogą.

Tak przed wojną jak i dziś ważnym elementem tego ładu politycznego była instytucja prezydentury, wokół której toczyły się fundamentalne spory dotyczące przede wszystkim jej możliwości i perspektyw w obrębie konstytucyjnego podziału władzy. Także i dziś spory te są aktualne i np. ponawiane są pomysły wyposażenia rządu w pełnię władzy w kanclerskim stylu i sprowadzenia roli prezydenta RP do funkcji reprezentacyjnych, symbolicznych, jak choćby u naszych zachodnich sąsiadów. Tak więc warto poczynić wycieczkę w przeszłość, w lata II Rzeczypospolitej.

Paradoks Naczelnika

Wrzenie, jakie ogarnęło Europę u schyłku I wojny światowej spowodowało, że z ogromną siłą ujawniły się w społeczeństwach, w tym także i w polskim rozmaite nurty lewicowe, zdobywające dla siebie ogromne polityczne przestrzenie. I tak, dominujący pomysł na konstrukcję odradzającego się państwa polskiego był pomysłem środowisk lewicy, czyli PPS wspieranej przez PSL Wyzwolenie i pewne środowiska centrowe. Prawica, albo jak Narodowa Demokracja orientująca się na skompromitowane „panslawistyczne” pomysły, albo jak konserwatyści galicyjscy zapatrzona w model austro-węgierski, nie była w stanie zaproponować żadnej nowej formuły. Inicjatywę przejęli działacze lewicy. To ludowiec, brygadier Roja stał się wsparciem dla działającej w Galicji Polskiej Komisji Likwidacyjnej, to Daszyński powołał do życia w Lublinie rząd Polskiej Republiki Ludowej. Doświadczenia politycznych sporów ostatniego roku wojny, kryzys przysięgowy w Legionach i osadzenie w Magdeburgu Józefa Piłsudskiego, opromieniły tego byłego działacza PPS nimbem wyjątkowego autorytetu.

A zatem, jakkolwiek by to brzmiało paradoksalnie, lewicowy „pomysł na Polskę” był pomysłem na państwo z silnym prezydentem jako zwornikiem instytucji politycznych. Lewica niepodległościowa bardzo przywiązana do idei suwerennego państwa zdawała so-

ODPOWIEDZIALNOŚCI

bie bowiem sprawę, że ta tworząca się Polska będzie roznoszona emocjami partyjnymi, także z lewej strony i antidotum na te zrozumiące w demokratycznym społeczeństwie partyjne narowy, miała być silna prezydentura. Był w tym także pewien egoistyczny interes, bo prezydenturę miał przecież objąć człowiek lewicy.

U zarania II RP funkcja prezydenta inaczej została nazwana, bo głowa państwa w nawiązaniu do tradycji kościuszkowskiej nosiła tytuł Naczelnika Państwa, jednak nazwa nie miała tu znaczenia. Tak więc gdy patrzyśmy na debaty konstytucyjne tamtego okresu, mamy do czynienia z pewnym paradoksem w skali Europy. W europejskiej tradycji to prawica była zwolenniczką silnej prezydentury stabilizującej państwo, a lewica zawsze jak mogła, osłabiała prezydenturę w przekonaniu, że silna prezydentura będzie narzędziem ograniczającym sferę wolności. W Polsce role się odwróciły – centrolewica forsowała silną prezydenturę i była propaństwowa, bo też miała bezkonkurencyjnego kandydata, a prawica jak mogła tę prezydenturę starała się zredukować do wymiaru symbolicznego, co jej się zresztą udało.

Naczelnik Państwa czy Wódz Naczelny?

Można się spierać, dlaczego pierwsze polskie wybory przyniosły generalnie rzecz biorąc sukces partiom centroprawicowym. Zapewne dominował strach przed chaosem ogarniającym nieodległą przecież Rosję i inne części byłego imperium Romanowów, ale zagrażającym także Niemcom, może decydował wpływ Kościoła czy poczucie solidaryzmu narodowego wobec odzyskania tak wyczekiwanej niepodległości, dość, że tak zwana „mała konstytucja”, czyli uchwała sejmu z lutego 1919 r. powierzająca Piłsudskiemu stanowisko Naczelnika Państwa zredukowała ową funkcję właśnie do wymiaru symbolicznego.

A przecież w wymiarze politycznym to się jednak nie udało, ponieważ Piłsudski był także naczelnym wodzem, a Polska przez zdecydowaną większość okresu, kiedy swą funkcję pełnił, prowadziła różne wojny. Jako naczelnik wódz miał więc Piłsudski ogromne możliwości wpływania na bieg spraw państwowych i jeśli dziś mówimy, że Naczelnik zdecydował o tym czy owym, to w istocie te decyzje podejmował właśnie wódz naczelny.

Tak czy inaczej ten początkowy okres był w Polsce międzywojennej okresem znaczącej roli głowy państwa co państwo stabilizowało, zwłaszcza że Piłsudski rozczarował swoich dawnych partyjnych kolegów i sprawował tę prezydenturę w interesie ponadpartyjnym – państwowym czy ogólnonarodowym, a nie swego środowiska politycznego. Zdawał sobie bowiem sprawę, że jeśli będzie działał wyjątkowo zgodnie z nadziejami swoich partyjnych kolegów, to wepchnie państwo

w nieszczęście, nie ma bowiem większego nieszczęścia dla prezydentury niż jej upartyjnienie.

Sprawa z czerwonym tramwajem

Najlepiej zresztą to widać po sławnym konflikcie z PPS o rząd Moraczewskiego. Z punktu widzenia interesu partyjnego Piłsudski zrobił rzecz niedopuszczalną, bo na dwa tygodnie przed wyborami zdymisjonował rząd skonstruowany przez środowiska, które go wyniosły do władzy i powołał rząd, który dziś, z perspektywy czasu należy uznać za rząd zgody narodowej. Jednak w powszechnej opinii i lewicy, i prawicy, i całej Polski był to niewątpliwie rząd prawicowy, z gwiazdą tej prawicy Ignacym Paderewskim.

Tu wypada wspomnieć, że ten ruch polityczny Piłsudskiego poprzedzony był przez próbę zamachu stanu płk. Januszajtisa. Zamach się nie powiódł, tym niemniej był sygnałem, że znaczna część tak potrzebnej odradzającej się Polsce kadry oficerskiej wywodzącej się ze środowisk prawicy jest w stanie doprowadzić do nieszczęścia. Rząd Paderewskiego takie niebezpieczeństwo likwidował, a oficerowie legionowi, ślepo posłuszni swemu Komendantowi skłonni byli na jego rozkaz przełknąć niejedno.

Piłsudski zrobił to w imię ustabilizowania sytuacji politycznej kraju i z głębokim przekonaniem, a historia potwierdziła, że stabilizowanie państwa jest korzystne dla demokracji i, co za tym idzie, dla lewicy, bo tylko w takich warunkach może ona skutecznie rywalizować o rząd dusz.

To znamienna scena! Po zlikwidowaniu próby zamachu (obyło się nawet bez mordobicia!) wydawało się, że rząd kapitana legionów i działacza PPS Jędrzeja Moraczewskiego utrzyma się dłużej. Tymczasem Naczelnik Państwa zdecydował inaczej. Kierownictwu PPS najpierw trudno było uwierzyć w ten nagły zwrot polityczny, potem przyszli do Belwederu tłumacząc, że przecież tak nie wolno... Na to Piłsudski oświadczył ze swą legendarną bezpośredniością: „w dupie mam to wszystko, nic mnie to nie obchodzi, liczy się tylko konferencja pokojowa [na której Polskę reprezentowali przede wszystkim ludzie Dmowskiego], liczy państwo! Nie jestem od prawicy, nie jestem od lewicy, chodzi o to, żeby budować silną Polskę, a przede wszystkim silną, sprawną w działaniu armię”. To był moment, gdy Piłsudski „Wysiadł z czerwonego tramwaju przy przystanku Niepodległość”.

Kwestia odpowiedzialności

I gdy patrzeć na prezydentów także w naszej III Rzeczypospolitej, to widać wyraźnie, że błyszczą te prezydentury, które tak właśnie funkcjonują. Myślę tu przede wszystkim o prezydenturze Aleksandra Kwaśniewskiego, moim zdaniem najwybitniejszej prezy-

denturze jeśli spojrzeć na ostatnie dwie dekady, i sprawowanej właśnie w takim duchu, że liczy się przede wszystkim interes państwowy. Warto tu przypomnieć jego wizytę u Giedroycia w Maisons-Lafitte, u człowieka, który był przecież od lewicy, delikatnie mówiąc, mocno zdystansowany.

Jasne, że jak się dokładnie popatrzy, to prezydentura Kwaśniewskiego okaże się prezydenturą życzliwie kibicującą lewicy, gdy jest ona u władzy i w ak-samitnych rękawiczkach przyduszająca, w czasie „kohabitacji” rząd prawicowej konkurencji, ale jednak jest to, generalnie rzecz biorąc, robione w interesie państwa.

Kwaśniewski zachowywał się więc jak Piłsudski i gdy stawał przed dylematem „własny obóz” albo „interes państwa”, zawsze wybierał interes państwa. Najlepszym przykładem było zachowanie wobec rządu Leszka Millera, kiedy prezydent doszedł do wniosku, że dalsze trwanie tego rządu będzie podkopywało fundamenty państwa, nie mówiąc już o tym, że był też głęboko przekonany, iż to trwanie rządu będzie też podkopywało pozycje lewicy. Ten rząd już nie rządził, tylko trwał. Można się spierać, czy wówczas nie byłoby lepszym wyjściem rozpoznanie przedterminowych wyborów, ale dziś to problem przebrzmiały, podobnie jak dylematy Piłsudskiego, czy rząd Moraczewskiego otrzyma od Dmowskiego, który wówczas w Paryżu rozdawał karty, wsparcie w postaci Błękitnej Armii gen. Hallera.

Prawica wpisana w demokrację

Tak więc bez zamachu stanu prawica znalazła się u władzy i obawiając się prezydentury sprawowanej przez politycznego konkurenta, doprowadziła najpierw w Małej Konstytucji, a potem w Konstytucji Marcowej do zredukowaniu urzędu prezydenckiego do wymiaru symbolicznego. Nie przypuszczała jednak, że w gruncie rzeczy strzeliła sobie nawet nie w stopę, ale zgoła wyżej nawet niż w kolano, bo prezydentura, która by stabilizowała państwo, jego ład konstytucyjny i demokratyczny, była wówczas potrzebna przede wszystkim prawicy! Wyraźnie było to widać w czasie zamachu majowego. W tej siłowej ulicznej konfrontacji lewica czy piłsudczycy mieli przewagę. Za nimi były związki zawodowe, fabryki, ulica, a nawet komuniści!

Można by sobie jedynie pofantazjować, jak by wyglądały losy buntu Piłsudskiego, gdyby prezydent Wojciechowski miał większe uprawnienia konstytucyjne, mocniejszą pozycję budowaną przez lata prezydentury – także w oparciu o te uprawnienia. Jak by się potoczyły losy rebelii? Wojciechowski, choć przegrany w tym starciu, też urasta do rangi wielkiego męża stanu, który podejmuje decyzje ponad politycznymi sympatiami, a nawet ponad osobistą przyjaźnią. Bo przecież Wojciechowski nienawidził endecji i był jak najgorszego zdania o rządzie Witosła! Jako działacz lewicy, w pewnym okresie członek PPS, działacz spółdzielczy sympatyzował z Piłsudskim, ale nie miał wątpliwości, że gdy chodziło o jego funkcję – prezydenta strażnika konstytucji, wyjścia nie ma! Nie było w tym momencie miejsca na osobiste sympatie czy osobiste poglądy. To przecież jego postawa zdecydowała, że rząd zdecydował się podjąć walkę i zamach nie zakończył się po krótkiej demonstracji zbrojnej już

po kilkudziesięciu minutach, wielkim triumfem Piłsudskiego. Dość przypomnieć słynne spotkanie na moście.

System bez oparcia

Bez autentycznego, wspartego szeroką gamą realnych uprawnień autorytetu prezydenta Rzeczypospolitej, rządy parlamentarne były, jak się miało okazać, nie do obronienia! Dalsze losy Polski pomajowej pokazują zresztą wyraziście, jak bez silnego prezydenta degeneruje się system polityczny.

Bo oto profesor Ignacy Mościcki, człowiek bez wątplenia wybitny, naukowiec o międzynarodowym autorytecie, pięknie wyglądający, niemal tak przystojny i godny jak Andrzej Olechowski, jako prezydent okazał się wydmuszką – atrapą. Był całkowicie bezwolny, jak powój owijający się wokół tyczki, że odwołam się do niezbyt fortunnej wypowiedzi Ignacego Daszyńskiego o sprawie polskiej i Habsburgach, ot zwykle narzędzie w rękach Piłsudskiego.

Na podstawie szeregu wypowiedzi i zachowań Ignacego Mościckiego można by napisać dzieło o tym, jak nie powinna wyglądać prezydentura! Nie był to zapewne czynnik rozstrzygający, ale praktyczne wyeliminowanie z polskiego życia politycznego prezydentury jako bytu realnego było elementem degeneracji systemu i coraz głębszego osuwania się, najpierw ku półdyktaturze, a potem pełnej dyktaturze.

I nie ma tu nic do rzeczy celebra wokół urzędu prezydenta, bo i sam Piłsudski, i piłsudczycy jak mogli tak budowali pseudoautorytet Ignacego Mościckiego. Sam Piłsudski chodził zawsze trzy kroki za prezydentem, zawsze salutował z uszanowaniem, bo prezydent to Majestat Rzeczypospolitej. Tyle tylko, że to był teatr, komedia dla maluczkich, taka jak organizowanie tabunów „chrześnych synów prezydenta RP”. Rzeczywista rola prezydenta była zerowa.

Pierwsza kohabitacja

Gdy więc patrzemy na szanse pierwszych lat II Rzeczypospolitej i potem na ewolucję systemu, to brak prezydentury jako strażnika konstytucji, pewnego rozjemcy, opoki, o którą od czasu do czasu rozbijają się nadmiernie wzburzone partyjne fale, daje się wyraźnie zauważyć.

To doświadczenie z przeszłości zostało też zweryfikowane w III Rzeczypospolitej. Prezydentura obecna też była pomyślana nie jako stabilizator państwa, a jako stabilizator władzy, która miała świadomość, że brak jej autentycznego poparcia narodu. To był kompromisowy pomysł Okrągłego Stołu na prezydenta PRL-owskiego i ludzie z „Solidarności” świetnie wiedzieli, że chodzi o generała Jaruzelskiego. Takie usytuowanie funkcji prezydenta, to był w gruncie rzeczy klucz do umowy, ten element porozumienia, który minimalizował ryzyko i pozwalał ze spokojem patrzeć na nader umiarkowane w zamyśle dopuszczenie do rządu dotychczasowej opozycji. Chodziło, powiedzmy to sobie wprost, o dopuszczenie do kłopotów z rządem związanych, a nie do rzeczywistej władzy, która miała spoczywać w ręku prezydenta – w dodatku prezydenta Jaruzelskiego. Tak więc kształt prezydentury był nie tyle pomysłem na stabilizowanie państwa, co na stabilizowanie kręgów władzy.

Tymczasem, a to się dziś nie przebija do narracji historycznej, generał Jaruzelski sprawował swój urząd w zupełnie innym duchu – nie było w dziejach Polski prezydenta, który by w kohabitacji, bo to przecież była pierwsza kohabitacja, tak zgodnie współpracował z rządem. Premier Mazowiecki miał w Jaruzelskim nie przeciwnika czy rywala, a więc kłopot, ale osobę, na którą mógł zawsze liczyć. Zresztą obaj panowie wspominając ówczesną współpracę, mówią o sobie z najwyższym szacunkiem. Owszem, doszło do jednej konfrontacji, tak zresztą przeprowadzonej przez generała, żeby bronić pewnej idei, ale jej nie obronił, to była obrona święta 22 lipca. Rzecz, delikatnie mówiąc, drugorzędna.

Dlatego m.in. mój szef przed spotkaniem z Miedwiediewem zaprosił obok innych byłych prezydentów, także Wojciecha Jaruzelskiego. Kiedy rozmawialiśmy o tym podkreślałem, że to decyzja mądra ale ryzykowana i nie wiadomo jak zostanie przyjęta przez politycznych oponentów. To była osobista decyzja Komorowskiego, który działał tu w imię ciągłości III RP. Zapraszał nie autora stanu wojennego, ale prezydenta suwerennej Rzeczypospolitej – prezydenta pierwszego roku wolności. I myślę, że doczekamy się w tej sprawie w pełni wyrazistej deklaracji Bronisława Komorowskiego, choć boję się, że będą to smutne okoliczności...

Epoka falandyzacji

Sytuacja ta, z gruntu korzystna dla państwa, okazała się jednak wkrótce nie do utrzymania. Potem była prezydentura Lecha Wałęsy i litościwie przemilczę ten fakt, bo nie była to prezydentura stabilizująca państwo, to zresztą był pomysł na inny ład ustrojowy i właśnie Wałęsa umiał wykorzystać ten pomysł okrągłostołowy, by podjąć próbę budowy zupełnie nowej rzeczywistości ustrojowej i politycznej przy pomocy swych współpracowników. Tutaj trzeba wspomnieć Lecha Falandyusza, ale przecież nie tylko jego. Była to próba budowy systemu prezydenckiego metodami niemożliwymi do zaakceptowania, bo niekonstytucyjnymi *a via factis*, co było wysoce demoralizujące dla przecież raczkującej dopiero polskiej demokracji.

Potem, w latach 1993-1995 mieliśmy pewnie niebezpieczeństwo, że polska lewica, SLD, pójdzie drogą endecji i nie mogąc odebrać Wałęsie prezydentury, tak jak endecja nie mogła odebrać jej Piłsudskiemu, zdecyduje się odrzec ją z wszelkich kompetencji – szczególnie tych dotyczących resortów siłowych. Była więc groźba, że prezydenturę skroi się na miarę konstytucji marcowej, bo lewica miała tu poparcie środowisk centrowych nieco zdetonowanych stylem sprawowania urzędu przez Wałęsę. Przypomnijmy, jak zapisał się w annałach prawa jego doradca w tej dziedzinie, skądinąd wybitny prawnik, prof. Lech Falandyusz.

Ten kto daje i zabiera...

Tym razem jednak Pan Bóg czuwał nad Polską i w 1995 roku Kwaśniewski wybory prezydenckie wygrał. Teraz to co przewodniczący Komisji Konstytucyjnej Aleksander Kwaśniewski prezydenturze zabrał, jego następcą Włodzimierz Cimoszewicz i profesor Mazurkiewicz prezydentowi Aleksandrowi Kwaśniewskiemu przywracali. W związku z tym prezydentura w 1995 roku miała znów taki wymiar, jaki pewnie ma-

rzyłby się polskiej lewicy w latach dwudziestych. Lwia część władzy spoczywała w ręku parlamentu i wyłanianego przez parlament rządu, ale jednak prezydent miał pewne istotne kompetencje, weto i możliwość odwołania się do Trybunału Konstytucyjnego, które pozwalały mu uruchamiać jakieś działania, gdy uważał, że większość parlamentarna zapędza się w ślepią uliczkę.

Gdy popatrzy się zresztą na prezydenturę Aleksandra Kwaśniewskiego, to okaże się, że w większym stopniu decydowała wówczas pewna filozofia sprawowania urzędu niż podstawa konstytucyjna. Trudno było odróżnić np. te dwa łady konstytucyjne, choć przecież lata 1995-1997 to zupełnie inne warunki sprawowania urzędu niż kolejnych lat osiem, już pod rządami nowej Konstytucji. A ta nowa Ustawa Zasadnicza była aktem stabilizującym państwo, budującym pewną sumę spraw wspólnych, co zresztą owocowało ogromnym poparciem dla Aleksandra Kwaśniewskiego, bo w gruncie rzeczy taka prezydentura jest oczekiwana przez większość Polaków. Przy całym zróżnicowaniu partyjnym chcą Polacy mieć jakiś stały punkt oparcia połączony z urzędem prezydenta wybieranego w wyborach powszechnych. Było fenomenem tej prezydentury, jak szybko znaczna część oponentów Kwaśniewskiego z 1995 roku uznała go za swojego prezydenta, za prezydenta Polski, którego nie kontestowała. To była oczywiście także kwestia pewnych cech charakteru Aleksandra Kwaśniewskiego, ale też sposobu sprawowania urzędu.

Pół czwartej RP

Potem nastąpiła prezydentura Lecha Kaczyńskiego, wyraźnie kontrastowa w stosunku do prezydentury Kwaśniewskiego, bardzo mocno osadzona we współpracy z obozem, który wyniósł go do władzy, prezydentura skrajnie upartyjniona.

Nie odmawiam prezydentowi Kaczyńskiemu dobrych intencji, jestem przekonany, że uważał, iż poza PiS-em nie ma Polski. Robił to, myślę, ze szczerego, dobrego serca, tyle tylko, że niecała Polska ten pogląd podzielała, bo dalece niecała Polska była PiS-owska. W tej sytuacji, siłą rzeczy, z głębi serca przyznając rację PiS-owi nie mógł prezydent pełnić roli koncyliacyjnej, ponadpartyjnej prezydentury. Mając do wyboru zapis Konstytucji i pogląd brata, prezydent Kaczyński z reguły wybierał pogląd partyjny. To sprawiło, że jeżeli za Aleksandra Kwaśniewskiego zaufanie do prezydenta mieściło się w stanach górnych, to za Lecha Kaczyńskiego prezydentura straciła swój autorytet i urząd ten przestał być instytucją o najwyższym zaufaniu społecznym.

To się zmieniło przy Bolesławie Komorowskim, który wrócił do tego sposobu sprawowania urzędu, jaki prezentował Aleksander Kwaśniewski. Nie chodzi tu o poglądy, bo Aleksander Kwaśniewski to człowiek lewicy, a Bronisław Komorowski prawicy i w wielu kwestiach gdyby badać indywidualne poglądy obywatela Kwaśniewskiego i obywatela Komorowskiego, to dzieliłoby ich bardzo wiele. Gdy jednak chodzi o sprawowanie urzędu, to ich filozofia jest bardzo podobna, że prezydent powinien lepiej szybciej, niż później, przeciąć pewnowinę ze swoim obozem politycznym, musi urząd sprawować myśląc o całej Rzeczypospolitej, nawet bardziej

myśląc o tych, którzy go w wyborach nie poparli, niż o swoich stronnikach, że musi być szczególnie impregnowany na pokusę wspierania swojego obozu tam, gdzie ten chce coś zrobić „na skróty”, na granicy Konstytucji, bo coś, co jest na granicy prawa, z reguły jest już poza tą granicą i tam prezydent powinien mówić – nie!

Zbudować coś własnego?

Te dwie prezydentury różni także całkowite impregnowanie Bronisława Komorowskiego na pokusę budowania własnego bytu partyjnego czy politycznego. Nie obyło się to też bez wpływu negatywnych doświadczeń prezydentury Kwaśniewskiego. Wielu z nas zna Aleksandra Kwaśniewskiego, zna jego marzenia o „kompromisie historycznym”, o budowie nowej formacji... Nic z tego nie wyszło, bo nie mogło wyjść. Nawet człowiek o tak wybitnej osobowości i tak zręczny jak Aleksander Kwaśniewski, gdy chce wykorzystać swoją pozycję w sprawie „nieprezydenckiej” czyli nie dla koncyliacji czy szukania porozumienia, tylko dla zbudowania na boku czegoś partyjnego, przy wszystkich swoich niewątpliwych talentach nie odnosi sukcesu.

Nie tylko z tych powodów, ale także z tych powodów i pod wpływem pewnych obserwacji, bo tylko głupcy się nie uczą na cudzych błędach, prezydent Komorowski na takie pokusy jest impregnowany. Wprawdzie dziennikarzom trudno w to uwierzyć i ciągle coś tam niuchają, szukają jakiejś intrygi partyjnej w prezydenckiej Kancelarii, to przecież takie dywagacje nie mają nic wspólnego z rzeczywistością. Dało się na przykład usłyszeć takie głosy, gdy prezydent przyjął w Pałacu Francois Hollande’a, kandydata we francuskich wyborach prezydenckich. Tymczasem głównym sprawcą tego wydarzenia był premier, który odmawiając przyjęcia takiego gościa, niejako przekazał go prezydentowi. Nie można było zachować się inaczej wobec człowieka, który miał już wówczas pięćdziesięcioprocentową szansę zostania głową państwa francuskiego, a dziś jest właśnie prezydentem. Nie było więc w tym śladu konkurencji między dwoma pałacami, a przeciwnie, wyraz harmonijnej współpracy.

Nic na skróty...

Może się jednak wydawać, że w miarę krzepnięcia naszej demokracji i polskiego ładu konstytucyjnego potrzeba takiego neutralnego sposobu sprawowania urzędu prezydenta będzie obumierała, ale co do szybkiego „krzepnięcia demokracji” mam pewne wątpliwości. Bo wcale mi się nie wydaje, żeby ład demokratyczny był dziś bardziej stabilny niż dziesięć lat temu. To przecież zaledwie siedem lat temu byliśmy pełni niepokoju, co z Polską demokracją będzie dalej? Mamy przecież nieodległy węgierski przykład, a to co działo się w latach 2005-2007 wszystkim nam uświadomiło, że droga „od maja do Brześcia” wcale nie jest nie do powtórzenia. Że to, co Polska raz przeszła i na czym się boleśnie poparzyła, może się powtórzyć, choć powtórzyć nie powinno!

Wydaje się więc, że w przewidywalnej polskiej przyszłości tak właśnie pomyślana polska prezydentura jest i będzie bardzo przydatna zwłaszcza dla tych, którzy jak polska lewica myślą o stabilności demokracji, o stabilności Polski obywatelskiej związanej do wolności, demokracji i sprawiedliwości,

Polski mającej pełną świadomość, że te wartości zawsze tracą, jeśli chce się jakieś cele osiągać na skróty. Doświadczenia i duże podobieństwa w sposobie sprawowania prezydentury przez lewicowego Kwaśniewskiego i prawicowego Bronisława Komorowskiego wykazują, że bardziej chodzi tu o filozofię sprawowania urzędu niż o poglądy osoby ten urząd sprawującej. W pewnym sensie jest to więc prezydentura w typie prezydentury Piłsudskiego, choć Piłsudski nie należał do ludzi, którzy unikaliby dróg „na skróty”, ale nigdy przecież nie decydował się na takie posunięcia w interesie własnym czy w interesie swego politycznego zaplecza.

Zaskoczenia i zamyślenia

Generalnie stosunek Komorowskiego do postaci Marszałka jest skomplikowany. Z jednej strony Komorowski to ten prezydent III RP, który (pomijając Jaruzelskiego), czuje się najbardziej z armią związany i to jest bardzo autentyczne. Czasem pogadujemy sobie o przeszłości i przyszłości, i wtedy okazuje się, jak bardzo Komorowski, wywodzący się przecież z Litwy jak Piłsudski, jest piłsudczykiem z ducha. I tak oto jeszcze niedawno, gdybym miał go osadzić na osi historycznej, to byłbym mógł go określić tylko jako piłsudczyka i byłbym głęboko przekonany o swojej racji, gdybym nie słuchał jego wystąpienia na pogrzebie Wiesława Chrzanowskiego. W bardzo krótkim, ale też bardzo wzruszającym, jak to na pogrzebach wystąpieniu oddał hołd Polsce narodowo-demokratycznej. Nie tej pałkarskiej, nie ONR-owskiej, ale nad grobem ostatniego polskiego narodowego demokratty w dobrym tego słowa znaczeniu złożył hołd obronie polskości, ratowaniu substancji narodowej, wczepianiu się pazurami w ziemię, w religię, jak już nie można uratować niczego więcej... Zaskoczył mnie, bo tego po nim nie oczekiwałem i zaskoczył całe środowisko endeckie, które spodziewało się kilku okrągłych zdań hołdu dla zmarłego, a tymczasem znalazło w ustach prezydenta uznanie dla narodowej koncepcji obrony polskości.

Patrząc na codzienne zachowania prezydenta znajduję w nich wiele takiej właśnie endeckiej trzeźwości, szczególnie w odniesieniu do tkanki narodowej, na której kanwie można wiele zaznaczyć, oczywiście z całkowitym odrzuceniem pałkarstwa, nietolerancji, antysemityzmu tego zidiociałego już Dmowskiego z lat trzydziestych. Wynika z tego m.in. że w Polsce nie rządzą już, jak pod koniec II RP, dwie trumny – Piłsudskiego i Dmowskiego, to zupełnie inna Polska, która wymaga jednak ciągłego doskonalenia mechanizmów demokracji, a taką wolę widzę właśnie u Bronisława Komorowskiego. Takie jest zresztą, jak sądzę, źródło mojej obecności w Kancelarii prawicowego prezydenta, bo przecież jestem człowiekiem lewicy, legitymację PZPR zachowałem do samego końca, reprezentowałem koalicję SLD-UP w sejmie, wspierałem rząd Leszka Millera nawet w sprawach Iraku czy Afganistanu, na które dziś patrzę inaczej... Jest bowiem Komorowski na pewno prezydentem wszystkich Polaków i jak pamiętam, do głosowania na niego w drugiej turze zwywała także „Kuznica”. Myślę, że to nie była pomyłka.

TOMASZ NAŁĘCZ

KRYSTYNA SKARŻYŃSKA

DLACZEGO POLACY SŁABO LEGITYMIZUJĄ EKONOMICZNE I POLITYCZNE *STATUS QUO*?

Relacje między Polakami a państwem, czy systemem ekonomicznym i politycznym, w ramach którego funkcjonują jego instytucje, nie są łatwe do jednoznacznego opisanie. Z jednej strony dlatego, że rzeczywiście są one – z różnych powodów – dość skomplikowane i zróżnicowane. Z drugiej – że w publicznym dyskursie istnieją na ten temat dość wyraźnie artykułowane sprzeczne opinie. Jedni mówią, że Polacy zawsze byli i są takimi indywidualistami, że każdy system daje im zbyt mało indywidualnej swobody, a zbyt dużo wymagań i ograniczeń, by mogli go w pełni zaakceptować i uznać w pełni za „swój”; inni natomiast dowodzą, że potrzebujemy wspólnoty, tęsknimy za takim państwem, które chroni swoich obywateli, daje im bezpieczeństwo socjalne, pracę, opiekę zdrowotną i równy dla wszystkich dostęp do edukacji. Ponieważ nowy ład nie zaspokaja tych potrzeb – Polacy nie spostrzegają go jako moralnie słusznego. Między tymi dwiema opiniami nie ma rzeczowej dyskusji na argumenty, dużo jest emocji i politycznej poprawności (rozumianej głównie jako lojalność wobec partyjnych kolegów).

Przez obie dekady systematycznie zbierałam dane empiryczne na temat oczekiwań Polaków wobec najpierw nowego, potem coraz bardziej „zasiedzanego” w Polsce porządku społecznego, zaufania do różnych instytucji oraz moralnej legitymizacji systemu, czyli oceny aktualnego systemu jako sprawiedliwego i moralnego, a więc godnego uznania jego reguł i podporządkowania się im. Najbardziej klarowny obraz naszych relacji z systemem wyłania się z badań nad legitymizacją ekonomicznego i politycznego *status quo*. Większość Polaków (w r. 2011 – 80 procent losowej reprezentatywnej próby dorosłych) uważa, że „system polityczny nie działa tak, jak powinien”, „nie jest sprawiedliwy” (zdaniem 72 procent), „nie daje równych szans” (71 procent). Ponadto nie jest też w opinii większości systemem merytokratycznym, ponieważ nie uwzględnia rozmaitych zasług czy „wkładów” obywateli (tak myśli 60 procent Polaków), a aktualna polityka „nie służy realizacji dobrych celów” (68 procent). Wcześniej było jeszcze gorzej,

zwłaszcza badanie przełomu roku 2004/2005 wskazywało na powszechną krytykę działania systemu politycznego (90 proc. respondentów oceniało wtedy, że system „nie działa tak, jak powinien”).

Chociaż niektórzy traktują te dane głównie jako dowód stałej tendencji Polaków do narzekania, proponuję popatrzeć na nie poważniej, jako na sygnał kryzysu aktualnego sposobu sprawowania demokratycznej władzy. Zwłaszcza jeżeli doda się do tego obrazu wysoką nieufność wobec demokratycznych instytucji, przede wszystkim wobec partii politycznych i sejmu.

Moralna legitymizacja aktualnego porządku politycznego może być traktowana jako czynnik stabilizujący ten porządek, wzmacniający tendencję do aktywności na jego rozwój, doskonalenie i obronę systemu – gdy jest z różnych powodów zagrożony. Dzieje się tak dlatego, że uznanie aktualnego ładu za moralnie słuszny przynosi poważne gratyfikacje obywatelom legitymizującym określony porządek.

Po pierwsze, jeżeli system zgodny jest z akceptowanymi wartościami, daje to przyjemne uczucie konsonansu, który z kolei prowadzi do pozytywnych zachowań wobec wymagań systemu. Przy dysonansie między wartościami obywateli a wymaganiami systemu o takie prosystemowe, spontaniczne zachowania jest o wiele trudniej. Po drugie, system moralnie legitymizowany jest dla ludzi przewidywalny: obywatele wiedzą, czego należy oczekiwać od państwa i jego instytucji oraz co i jak mogą zrobić (nie naruszając ani własnych wartości, ani reguł systemu), aby poprawić lub utrzymać swoją pozycję w tym systemie i żyć względnie bezpiecznie. Po trzecie, w legitymizowanym porządku społecznym status jednostki, zajmowana pozycja ekonomiczna i prestiż, są uznawane za sprawiedliwe, a przez to – bardziej akceptowalne nawet wtedy, gdy są to pozycje niższe czy nie zaspokajające aspiracji danej jednostki. Można więc powiedzieć, że im więcej obywateli legitymizuje aktualny system, tym społeczeństwo nie tylko jest bardziej lojalne wobec niego, ale także jest bardziej zintegrowane i mniej skonfliktowane. Kryzys legitymizacji występuje wtedy, gdy kultura danego społeczeństwa, czyli system akcepto-

wanych przekonań i wartości, jest istotnie rozbieżna, „nie pasuje” do wymagań stawianych przez aktualny porządek polityczny i ekonomiczny.

Czy rzeczywiście mamy dzisiaj w Polsce z tak rozumianym kryzysem systemu, wynikającym z niedopasowania kulturowych wartości do wymagań demokratycznego kapitalizmu? Czy duży procent odpowiedzi wskazujących na poczucie niesprawiedliwości i złą politykę świadczy o braku akceptacji ogólnych reguł aktualnego systemu, czy raczej o braku wyraźnych reguł i procedur postępowania różnych publicznych instytucji, o złym funkcjonowaniu tych instytucji oraz osób, które je reprezentują – czyli o nieakceptowanym przez Polaków sposobie implementacji reguł demokracji i kapitalizmu? Badania empiryczne nie dostarczają bezpośredniej odpowiedzi na te pytania. Możemy jednak pokazać – na podstawie replikowanych wyników badań przekonań i postaw Polaków – kto legitymizuje *status quo* w Polsce, a kto ma moralne wątpliwości co do aktualnego porządku oraz skąd bierze się jego moralna aprobata, a skąd nieufność i delegitymizacja.

Treść poglądów gospodarczych i światopogląd

W Polsce, podobnie jak w USA czy w Kanadzie, moralna legitymizacja aktualnego porządku ekonomicznego i politycznego w niewielkim stopniu lub wcale nie zależy od zmiennych statusu społeczno-demograficznego (zamożności, wykształcenia, płci, miejsca zamieszkania). U nas jedynie wiek respondentów istotnie (choć słabo) wiąże się z poziomem legitymizacji: osoby starsze wyżej legitymizują moralnie aktualny system niż osoby młodsze. Aktualny ład w Polsce jest tym silniej legitymizowany, im bardziej akceptowane są liberalne przekonania dotyczące ekonomii i nierówności. Im bardziej ktoś zgadza się z opiniami, że duże różnice w dochodach są niezbędne dla zapewnienia w Polsce dobrobytu, że najbogatsi płacą zbyt duże podatki, że znaczna większość przemysłu powinna być w prywatnych rękach a państwo nie powinno mieć wpływu ani na gospodarkę, ani na redystrybucję dochodów – tym silniej przekonany jest o sprawiedliwości aktualnego porządku. Jest to dość oczywisty wynik: jeżeli przekonania obywateli i główne kierunki polityki państwa czy cele danego systemu są zbliżone – nie ma dysonansu poznawczego, który utrudniałby uznanie aktualnego ładu za sprawiedliwy.

Jednak dwadzieścia lat budowy nowego, kapitalistycznego, rynkowego ładu nie zaowocowało poważnymi zmianami przekonań ekonomicznych Polaków. Pod koniec pierwszej dekady XXI w. poglądy większości Polaków na gospodarkę daleko odbiegały od liberalnych. W moich badaniach w r. 2008 średni poziom akceptacji liberalizmu ekonomicznego wynosił 2,50 w skali od 1 do 7, a przeciętne odchylenie od średniej 0,82, co oznacza odrzucenie liberalnych poglądów (Skarzyńska i Henne, 2011). Dwa lata później w badaniach prowadzonych przez Andrzeja Koźmińskiego i Krzysztofa Zagórskiego na podobnej reprezentatywnej próbie dorosłych Polaków, silna konkurencja była podobnie oceniana co takie aspekty interwencjonizmu państwowego, jak: zmniejszenie nierówności dochodów ludności, pomoc państwa słabszym przedsiębiorstwom i całym gałęziom gospodarki, wysokie opodat-

kowanie najlepiej zarabiających osób i przedsiębiorstw oraz znaczne wydatki państwa na cele socjalne (Koźmiński i Zagórski, 2011).

Akceptacja zasad liberalnej gospodarki jest silniejsza wśród wyżej wykształconych – mężczyzn, osób mieszkających w dużych miastach niż wśród niżej wykształconych, kobiet i mieszkańców wsi oraz małych miejscowości. Wymienione zmienne położenia społeczne mają więc pośredni wpływ na poziom moralnej legitymizacji *status quo* w Polsce. Jednak nawet przy kontroli tych czynników silniejsze związki istnieją między akceptacją liberalnego porządku a zaufaniem do ludzi i poczuciem szczęścia: liberalne przekonania są bardziej wyraźne wśród tych Polaków, którzy mają większe zaufanie do innych ludzi oraz tych, którzy są bardziej szczęśliwi. Te ustalenia wydają się zgodne z tym, co obserwują badacze uwarunkowań liberalnych postaw wśród innych społeczeństw.

Większej uwagi wymaga inny wynik, wskazujący silny, negatywny związek między akceptacją ekonomicznego liberalizmu a akceptacją takiej wiązki przekonań, które można określić jako pozytywistyczne lub związane z protestancką etyką pracy (traktowaną przez lata jako etyczną podstawę kapitalizmu). Okazuje się, że im bardziej ktoś zgadza się z tym, że „Bez oszczędzania nie ma rozwoju”, „Niepunktualność, niesolidność w pracy są grzechem i źle świadczą o moralności człowieka”, „Aby być bogatym, trzeba się dobrze napracować lub mieć spore talenty”, „Sukces w każdej dziedzinie życia jest pochodną współzawodnictwa” – tym niżej akceptuje (a właściwie bardziej odrzuca) liberalne przekonania ekonomiczne, podkreślające pozytywne znaczenie nierówności, ograniczenie roli państwa w gospodarce i rolę rynku. Co więcej, w kilku badaniach (prowadzonych od 2004 roku zarówno na ogólnopolskiej reprezentatywnej próbie dorosłych, jak i wśród studentów, pracowników banków i nauczycieli) te pozytywistyczne przekonania prowadziły do delegitymizacji moralnej aktualnego porządku społecznego w Polsce. Wydaje się, że jest to sygnał tego, że w potocznej percepcji Polaków aktualny system (czy bardziej precyzyjnie: implementacja kapitalizmu w Polsce) odbiega od zasad, na których powinien się opierać. Podobne odczucia sygnalizują badacze postaw społecznych w innych krajach, co sugeruje, że nie jest to tylko kwestia specyfiki polskiego kapitalizmu, ale raczej ogólniejszy problem zmian w systemie, który przestaje opierać się za zasadach merytokratycznych.

Moralna legitymizacja aktualnego ładu ekonomicznego i politycznego w Polsce wiąże się także (choć słabiej) z tradycyjnym, narodowo-katolickim światopoglądem. Im bardziej ktoś akceptuje konserwatywne wartości rodzinne i tradycyjny patriotyzm, podkreśla przywiązanie do religii i rolę Kościoła katolickiego w państwie – tym silniej legitymizuje aktualny porządek. Warto jednak pamiętać, że jest to wynik z r. 2008, przed katastrofą smoleńską, po której stosunek części osób o tradycyjnym światopoglądzie do aktualnego porządku politycznego uległ poważnej zmianie. Tradycyjny światopogląd jest negatywnie skorelowany z ekonomicznym liberalizmem, co jest jakąś naszą specyfiką, natomiast większej akceptacji prawicowych przekonań ekonomicznych towarzyszy odrzucenie tra-

dycyjnego światopoglądu. W USA i europejskich demokracjach zachodnich te dwie grupy przekonań są pozytywnie związane.

Konserwatywizm światopoglądowy jest u nas dość silnie związany z czynnikami społeczno-demograficznymi. Jest tym silniejszy, im niższe wykształcenie, starszy wiek, mniejsza miejscowość. Jest także wyraźnie większy wśród kobiet niż wśród mężczyzn. Te same dwa rodzaje przekonań dotyczących świata społecznego – zaufanie do ludzi i przekonania pozytywistyczne, które różnicowały poziom ekonomicznego liberalizmu, związane są także z nasileniem konserwatywnego światopoglądu. Ale związek ten ma odmienny charakter: konserwatywne przekonania światopoglądowe są tym silniejsze, im niższe zaufanie do ludzi i im wyższe przekonania pozytywistyczne.

Zestawienie czynników społeczno-demograficznych i psychologicznych, które różnicują treść poglądów ekonomicznych i światopoglądowych mających znaczenie dla moralnej legitymizacji aktualnego ładu społecznego w Polsce pokazuje, dlaczego tak niski jest jej poziom. Mało jest bowiem Polaków, którzy jednocześnie są liberałami w sferze gospodarki oraz konserwatywnymi w sferze światopoglądu. Liberalna polityka ekonomiczna z dużą dbałością o to, by osoby o konserwatywnych przekonaniach światopoglądowych czuły się szczególnie docenione – nie przynosi więc pozytywnych skutków dla powszechnej legitymizacji systemu. Niewiele osób jest taką polityką usatysfakcjonowanych, a dla wielu – wzbudza ona poważne poczucie zagrożenia.

Percepcja relacji społecznych jako wrogich i antagonistycznych

W roku 2011 poziom moralnej legitymizacji ładu gospodarczo-politycznego był tym niższy, im bardziej świat społeczny wydawał się ludziom zagrażający, mało przewidywalny, ludzie – egoistyczni i pełni wrogości wobec innych, a relacje społeczne widziane są jako oparte na walce i rywalizacji, w której nie ma miejsca na jakiegokolwiek dobro wspólne. Ci, którzy widzą życie społeczne w Polsce jako grę o sumie zerowej, w której wygrana jednych oznacza wyłączenie klęskę innych, a bogacenie się jednostek nie przyczynia się w najmniejszej mierze do polepszenia poziomu życia innych obywateli – nie czują się w dzisiejszej Polsce bezpiecznie i uważają aktualny porządek za niesprawiedliwy, a politykę – jako nieprowadzącą do pożądanego celu.

Innymi słowy – delegitymizują moralnie istniejący w Polsce porządek. Jeżeli patrzemy na moralną legitymizację status quo jako przejaw pewnego konserwatywnego, to opisany wcześniej wynik „nie pasuje” do psychologicznych teorii konserwatywności. Jedną z najnowszych, wspartą poważnymi dowodami empirycznymi koncepcją konserwatywności przekonuje, iż istotnym psychologicznym źródłem konserwatywności jest poczucie zagrożenia (por. Jost, Glaser, Kruglanski i Sulloway, 2003). Zgodnie z tym stanowiskiem – osoby z silniejszym poczuciem zagrożenia powinny bardziej legitymizować istniejący ład społeczny, ponieważ stabilizacja systemu daje większe bezpieczeństwo niż poważna jego zmiana.

Jak pisałam na początku tego artykułu, legitymizowany system pozwala zachować ludziom poczucie

kontroli nad swoim losem, znajomość akceptowanych reguł systemu zwiększa szanse sukcesu, zmniejsza ryzykowność wielu działań, daje także podstawę akceptacji swojego położenia (zarówno lepszego, jak i gorszego) w systemie. Dzieje się tak albo dlatego, że porządek ekonomiczny i polityczny w Polsce nie redukuje poczucia społecznego zagrożenia (na przykład dlatego, że jego reguły nie są wystarczająco jasne lub rażąco łamane), albo diagnozowane w badaniach negatywne przekonania o życiu społecznym w Polsce są *implicitnie* związane z istotą aktualnego systemu i traktowane jako jego pochodna czy konsekwencja. Możliwa jest także trzecia interpretacja: wizja antagonistycznych i wrogich relacji społecznych dla niektórych osób nie ma żadnego związku z realnym systemem społecznym: bazuje nie na ich indywidualnym doświadczeniu, ale na innych, bardziej podstawowych, utwalonych przekonaniach lub jest pochodną autorytarnej osobowości, albo wpływu propagandy mediów i opozycji.

Dwa pierwsze powody wiążące przekonania o „złym, wrogim świecie” z delegitymizacją systemu nie są ze sobą sprzeczne. Ludzie reagują na to, co ich spotyka, gdy chcą załatwić swoje sprawy w urzędzie, w sądzie, przy próbach leczenia siebie lub swoich bliskich, czy gdy jadą na wakacje Polskimi Kolejami Państwowymi. Doskonalenie działania państwa w tych sferach życia jest konieczne, zgadzają się z tym wszystkie siły polityczne. Trzeba także przyznać, że kolejne ekipy rządzące w Polsce przez ostatnie lata robiły i robią – z różnymi skutkami – reformy, których celem jest poprawienie jakości życia społecznego. Jednak decyzje, co i jak w tej sferze zrobić w zbyt małym stopniu są rzeczywiście ustalane poprzez szerokie społeczne konsultacje.

Obywatele nie mają poczucia, że w ważnych sprawach mogą o czymś współdecydować. Z drugiej strony – wielu Polaków (zbyt wielu, jak na potrzeby demokratycznego państwa) nie chce zabierać głosu w sprawach publicznych, niechętnie manifestuje swoje opinie inaczej niż w rozmowach z przyjaciółmi, sprowadza swoje obywatelstwo do udziału w wyborach (jak wiadomo nawet taki łatwy udział demokracji nie jest u nas powszechny). Wskaźniki konwencjonalnej partycypacji obywatelskiej są u nas najniższe w Europie. Moim zdaniem to także jest efektem słabej moralnej legitymizacji aktualnego porządku i przejawem błędnego koła: nie jest tak, jak powinno być (lub jak chcemy, żeby było), więc wycofuję się z publicznego zabierania głosu oraz nie uczestniczę w wyborach, w rezultacie jestem coraz bardziej rozczarowany i delegitymizuję cały system. Skoro oceniam go jako moralnie wątpliwy, przestaję w nim uczestniczyć.

Może być też tak, że wielu Polaków uznało, że nowy system jest o niebo lepszy od poprzedniego pod względem gospodarczym. Jeżeli tak, to jest także słuszny i należy go chronić. Ale do czasu – gdy pojawią się sygnały, że w ekonomii coś dzieje się złego – nasila się krytyka całego porządku także z moralnego punktu widzenia. Zjawisko to obserwowane i opisywane jest w wielu krajach i w różnych systemach.

Złe osobiste doświadczenia z aktualnym porządkiem społecznym mogą być interpretowane jako przejaw nie tyle immanentnych cech demokratycznego

kapitalizmu, ile raczej jako przejaw złej implementacji jego reguł, ludzkich błędów, niestaranności czy braku pewnych cnót moralnych różnego rodzaju przedstawicieli tego systemu. Gdyby tylko tak było, delegitymizacja moralna *status quo* w Polsce nie byłaby tak silnie artykułowana.

Poczucie zagrożenia prowadzące do wycofywania moralnego poparcia dla aktualnego ładu ekonomiczno-politycznego bierze się jednak nie tylko z osobistych złych doświadczeń z systemem. Zasadnicze znaczenie dla wzbudzenia poczucia zagrożenia i delegitymizacji systemu ma sposób funkcjonowania znacznej części politycznej elity. Gdy każdy błąd przedstawicieli państwa (na różnych jego szczeblach) jest interpretowany jako dowód złych intencji, gdy każda próba naprawiania jest krytykowana zanim sprawdzi się, jak ona zadziałała, gdy legalnie wybrany w demokratycznych wyborach prezydent i premier są traktowani jak osoby, które zajmują owe stanowiska „przez przypadek” – powstaje wrażenie, że to cały system jest zły, skoro pozwala na tak daleko idące nieprawości.

Co więcej, prawicowa opozycja nie tylko rozumie politykę jako bezpardonową walkę o władzę i wszelkimi sposobami chce zniszczyć moralnie aktualnie rządzących (a nie tylko wygrać kolejne demokratyczne wybory), ale także kwestionuje moralnie tryb zmiany systemu politycznego w Polsce, czyli rozmowy Okrągłego Stołu i konsekwencje porozumienia elit z roku 1989. To co dla wielu Polaków jest źródłem radości i dumy, dla Jarosława Kaczyńskiego i jego partii jest źródłem zła w polskiej polityce, „powodem wadliwej konfiguracji polskich instytucji publicznych” (cyt. za Wasilewski, 2010, str.35). Skoro największa opozycyjna partia delegitymizuje sposób wychodzenia z poprzedniego, niedemokratycznego i niechcianego systemu, obiecuje swoim zwolennikom unieważnienie czy odwrócenie politycznych i ekonomicznych skutków wyborów dokonywanych przez społeczeństwo w pierwszych kilkunastu latach transformacji, to w konsekwencji przyczynia się do tego, że przynajmniej część społeczeństwa kwestionuje moralne aspekty politycznego i ekonomicznego *status quo* w Polsce. Zwłaszcza że przekaz opozycji jest bardziej emocjonalny, zmasowany, powtarzany codziennie we wszystkich mediach, a opis rzeczywistości z pozycji rządzących oraz zadowolonych z dzisiejszej Polski (choć krytykujących wiele dziedzin naszego życia) obywateli – racjonalny, nieśmiały, pozostający bez medialnego echa.

Silnie negatywna asymetria w pokazywaniu dzisiejszej Polski widoczna we wszystkich popularnych mediach, faworyzowanie polityków i komentatorów, którzy niewiele wiedzą o świecie, ale głośno krzyczą na rządzących i używają politycznych memów łatwych do podchwycenia przez dziennikarzy sprawia, że Polacy coraz bardziej prywatyzują swoje życie. Coraz więcej osób wycofuje się z aktywnego uczestnictwa w publicznym życiu, swoje obywatelstwo ogranicza do posługiwania się polskim paszportem i płacenia podatków (ale już niekoniecznie płacenia abonamentu radiowo-telewizyjnego, bowiem nie chce wspierać głupoty i szmiry).

W życiu publicznym coraz wyraźniej uczestniczą ludzie, którzy nie rozumieją demokracji, nie cenią i nie

przestrzegają jej zasad, a kierują się własnym interesem ekonomicznym, potrzebą władzy. Cechy temperamentu – bardziej niż wartości – popychają dzisiaj Polaków do społecznego działania. Co więcej, młodzi i wykształceni częściej biorą udział w politycznych i publicznych aktywnościach, gdy bardziej akceptują wizję świata społecznego jako miejsca bezwzględnej rywalizacji, przyzwalającej na wykorzystywanie innych ludzi (Skarżyńska, Henne, 2012).

W czasach ostrego konfliktu politycznego oraz przy poważnym kryzysie ekonomicznym osobowościowe charakterystyki politycznych przywódców nabierają większego znaczenia niż w czasach względnie ustabilizowanych. Także moralna legitymizacja całego porządku politycznego i ekonomicznego w Polsce istotnie zależy od zaufania do polityków. Zaufanie zdobywa się przez realizację konkretnych zadań, które są potrzebne ludziom do łatwiejszego życia. Ale i poprzez budowanie klimatu względnego bezpieczeństwa.

Retoryka wskazująca odwiecznych wrogów Polski, powszechność układów i spisków, straszenie zapaścią ekonomiczną i utratą niepodległości – nie służy budowie zaufania do państwowych instytucji i ich przedstawicieli. Jest także kontrskuteczna wobec celów stawianych przez straszących. Na przykład zamiast zachęcić młodych do pozostania w Polsce, popycha ich ku emigracji; chcą wiać jak najszybciej z tego piekła. Wielu młodych po kilku miesiącach przebywania poza Polską spostrzega, jak niszcząca dla ich psychicznego komfortu, chęci do pracy, a nawet decyzji o urodzeniu dziecka jest polityczna wojna. Choć zamierzali szybko wracać – zostają na dłużej.

Wygląda na to, że moralna akceptacja aktualnego porządku politycznego i ekonomicznego w Polsce ma różne przesłanki. Przekonania większości Polaków są odległe od liberalizmu ekonomicznego. Prowadząc politykę ekonomiczną w demokratycznym kraju nie można tego lekceważyć. Elity władzy mają autonomię w swoich działaniach, ale ogranicza je treść masowych przekonań. Gdy te przekonania są kwestionowane, w zbyt małym stopniu uwzględniane w programach i w konkretnych decyzjach – tracą władzę, a cały system przestaje być moralnie słuszny dla obywateli. Innymi słowy: aby polityczny i ekonomiczny porządek był moralnie legitymizowany, jego ideologia, a przede wszystkim implementacja powinny uwzględniać utrwalone przekonania, będące częścią kultury danego społeczeństwa.

Problem polega na tym, że we współczesnym społeczeństwie nie ma jednego powszechnie akceptowanego systemu przekonań. Rządzące elity muszą więc tak sprawować daną im przez społeczeństwo władzę, by nie wzbudzać lęków u tych, których przekonania odbiegają od dominującego nurtu. Jeżeli demokratycznie wybrana władza nie chce lub nie potrafi skutecznie koordynować odmiennych interesów, potrzeb i wartości różnych grup społecznych – przestaje być akceptowana, traci społeczne poparcie. Krótkie historie rządów Olszewskiego i Kaczyńskiego są na to empirycznym dowodem.

KRYSTYNA SKARŻYŃSKA

(Instytut Psychologii PAN i Szkoła Wyższa Psychologii Społecznej)

PAWEŁ KOZŁOWSKI

POLSKA TRANSFORMACJA OCZAMI TADEUSZA KOWALIKA

Tytuł wyznacza perspektywę tego zapisanego drukiem obrazu. A właściwie szkicu do obrazu. Ważny jest w nim zarówno podmiot, jak i przedmiot, autor, czyli Tadeusz Kowalik oraz Polska i jej transformacja. Ja staram się być jedynie rekonstruktorem, po trosze także kopistą.

Tadeusz Kowalik umarł niedawno, bez mała wczoraj. Był profesorem nauk humanistycznych i nauk ekonomicznych. Taką stosowano niegdyś terminologię i pełną tytulaturę. Kowalik tytulatury nie lubił, ale do tej pasował jak ulał. Ekonomię lokował właśnie pośród humanistyki. Najważniejsi byli dla niego ludzie, ich życie, pomyślność, rozwój. Wszyscy ludzie, teraz.

Szczególną uwagę i troskę poświęcał tym, którzy egzystują najskromniej. Biednym. W ten sposób patrzył na świat, także na Polskę. Szczególnie na Polskę. Na tej podstawie oceniał zmiany. Wszędzie, zwłaszcza u nas. Transformacja była dla niego częścią tych zmian. Przebiegały one w Polsce wcześniej, bo historia nigdy nie zamarła. Lata 70. różniły się od dziesięciolecia wcześniejszego, a to od poprzedniego. Przełom październikowy był dla Kowalika bardzo ważny. Szczególną wagę miało jednak powstanie „Solidarności”. Oba wydarzenia stanowiły kluczowe momenty w historii, takie, które formują pokolenia. Tadeusz Kowalik był w środku tych wydarzeń, należał do inicjatorów i uczestników. W obu przypadkach liczył na lepsze konsekwencje społeczne.

Transformację można opisać, przedstawić jej obraz. Utworzyła system, który co prawda jest w ruchu, ale wszystkie współczesne systemy społeczne mają swoją dynamikę. W każdym razie to nie kolejny, ciągle trwający tzw. okres przejściowy, który jeszcze nie wydał swoich słodkich owoców. Przeciwnie – one są i mają gorzki smak. Polska transformacja ma w oczach Tadeusza Kowalika kilka miejsc kluczowych, ośrodków, które budują całość. Ostrzej je widać w opozycji do innych miejsc, spoza systemu. Zresztą to jest metoda wielu intelektualnych analiz Kowalika. On był polemistą.

Zacznijmy jednak od końca, od puenty lub od podpisu całości. Zdaniem Kowalika powstał system, w którym dla wielu „nie ma ani pracy, ani tanich mieszkań”. Dotyczy to szczególnie młodych, co nie oznacza, że wyłącznie ich. W 1996 roku napisał, że w „w Polsce powstał jeden z najbardziej niesprawiedliwych ustrojów społeczno-ekonomicznych Europy drugiej połowy

XX wieku”. Mało efektywny gospodarczo i bolesny społecznie.

Wymieńmy kilka właściwości tak ocenianego systemu. Wróćmy do początku. Mogło być inaczej. Istniały inne możliwości, teraz są również. Alternatywy są zawsze. Głosiciele jednej drogi rozwoju, zarówno stalinowscy marksiści, jak i neoliberalni leseferyści kamuflują rzeczywistość i uzasadniają swój wybór rzekomym brakiem innych rozwiązań.

Polska miała różne drogi przed sobą. Kowalik wielokrotnie je wskazywał – głównie dlatego napisał swoje dzieło pt. Systemy gospodarcze. Szczególnie przywiązany był do systemu skandynawskiego. W Polsce przedstawiano, zarówno przed 1989 rokiem, jak i później, program zmian prowadzących do budowy takiego systemu. Został odrzucony przez decydentów. Kowalik w związku z tym mówi o „ideowej klęsce Mazowieckiego”, przy czym źródło tej klęski widzi w nim właśnie i w jego otoczeniu. W każdym razie nie w zewnętrznych wobec niego koniecznościach. Warunki były co prawda niesprzyjające, presja neoliberalno-konserwatywna silna, ale nie bezwzględnie determinująca. Powołuje się na głębokie analizy, odmienne prognozy i programy alternatywne. Poleca je. Wskazuje. Zwłaszcza na teksty Kazimierza Łaskiego, swojego przyjaciela, wybitnego ekonomisty od lat związanego z poważnym instytutem badawczym w Wiedniu.

Również ekonomiści krajowi przedstawiali alternatywne rozwiązania, modele i drogi polityki gospodarczej. Nie mieli jednak gdzie mówić o nich głośno, nie mieli wpływu na rzeczywisty bieg wydarzeń. Kowalik nie używa takich określeń, ale do opisu tej sytuacji (podkreślmy, że szczególnie ważnej) pasuje zarówno termin „represyjna tolerancja”, jak „przemoc symboliczna”. Także – z innej perspektywy – „propaganda sukcesu”. Zagłuszały one fakt, „że – to już stwierdzenie Kowalika – było dostatecznie wiele przesłanek, by nie »wybierać« po linii najmniejszego oporu neoliberalnej, anglosaskiej koncepcji ustrojowej”. Dodajmy, że gdy w końcu pierwszego dziesięciolecia XXI wieku zaczął się do dzisiaj trwający kryzys finansowy i gospodarczy, to okazał się on wyrazem autodestrukcji systemu neoliberalnego, a nie skandynawskiego.

Kryzysy finansowe, recesja, deflacja omijają kraje systemu skandynawskiego. Tadeusz Kowalik dowodzi, że nieprzypadkowo. A dokonywane tam zmiany nie oznaczają rezygnacji z modelu, nie prowadzą

do wyzbycia się tożsamości. Przeciwnie. One respektują tożsamość modelu i traktują ją jako trwałą, pozytywną wartość. W Polsce – pisze Kowalik – została „zignorowana lekcja szwedzka”.

Wybór ma swoje podłoże. Tworzą je idee i ruchy społeczne. W Polsce – mówi Kowalik – wybrano idee politycznie i społecznie konserwatywne, promujące anachroniczną gospodarkę i także społeczeństwo. Zapoczątkowana przez „Solidarność” rewolucyjna zmiana stała się kontrrewolucją. Te idee mają swoich autorów i u nas naśladowców. Gorzej niż naśladowców, bo nadgorliwców, „pierwszych uczniów w klasie”. Kowalik wskazuje na F. Hayeka, M. Friedmana, monetarystów, neoliberalistów, ekonomię neoklasyczną głównego nurtu, twórców i propagatorów konsensusu waszyngtońskiego. U nas L. Balcerowicza, S. Gomułkę i innych. Pomińmy pozostałe nazwiska, Kowalik te przytoczone wymienia często, inne też, choć rzadziej. Ważniejsze są idee pozytywne i ich autorzy. Tamte tworzą kontrast z tymi drugimi, godnymi polecenia. Ich szereg jest długi, zaczyna się od M. Kaleckiego, J.M. Keynesa i K. Polanyiego przez W. Brusa od czasu rewizjonistycznego, J. Rawlsa po A. Sena, J. Stiglitz, P. Krugmana i K. Łaskiego do dzisiaj. Wszyscy oni nie ulegają idealizacji wolnego rynku, nie dostrzegają jego jakoby opatrnościowych cech, podkreślają konieczność współdziałania państwa i rynku, znaczenie interwencjonizmu, stymulowania popytu itp. rzeczy nazywanych keynesizmem, państwem opiekuńczym, ekonomią popytu, itp. Te terminy nie są synonimami, ale treściowo są sobie bliskie, bo z różnych stron pokazują to samo. Tymczasem polska transformacja ożywiła idee pierwszej grupy autorów, które musiały doprowadzić do niepotrzebnej recesji, szoku, dużego i trwałego bezrobocia, polaryzacji i innych tego rodzaju cech. Je wszystkie, powiązane ze sobą, nazwałem kiedyś „społeczeństwem dewiacyjnym”, a Kowalik z aprobatą i uznaniem przyjął ten termin.

Wybór idei jest ważny, ale niewystarczający. Trzeba te idee wcielić w życie. One zmieniają świat ludzkimi czynami. Znaczenie ma liczba mnoga: liczy się ludzka zbiorowość. Tadeusz Kowalik wskazywał na rolę ruchów społecznych. Podkreślał niegdyś wagę samorządów pracowniczych, szczególnie jednak późniejszej „Solidarności”. Bez niej jako ruchu społecznego nie byłoby transformacji. Ale – podkreślał równie grubo – gdyby ona miała być zgodna z początkową, obowiązującą w „Solidarności” ideą, to powinna być inna. Efekt realny jest rezultatem apostazji, wręcz zdrady dokonanej przez tych, którzy stali się sternikami zmian. Zaś członkowie ruchu społecznego napędzającego zmiany stali się największymi przegranymi. Realny konflikt społeczny został zastąpiony przez fałszywy, wywołany przez etniczny nacjonalizm, lustrowanie, szukanie „prawdziwych Polaków”, deklaracyjnych patriotów, polityczno-religijnych współwyznawców. Opisał to Dawid Ost i nazwał „klęską Solidarności”. Kowalik wielokrotnie powołuje się na tę książkę, identyfikując się z jej treścią.

Powinniśmy – daje wielokrotnie do zrozumienia Kowalik – zachować intelektualny krytycyzm, nie ulegać hegemonii wolnorynkowych mitów i presji obwieszczanego sukcesu. Trzeba dostrzegać realną postać istniejącego systemu w Polsce. Zdawać sobie sprawę

z najważniejszych przyczyn złego stanu rzeczy. A decydujący był grzech pierworodny – kierunek nadany Polsce po wyborach parlamentarnych w 1989 roku. To wówczas zaczęto budować z sukcesem ten „jeden z najbardziej niesprawiedliwych ustrojów”, a nie później, gdy kolejne ekipy, „inni”, zaczęli psuć. Na początku było kilka realnych dróg do wyboru. Ale wybór zablokowano, zamykając usta oponentom deprecjonującymi i fałszywymi etykietkami. Niektórym także krępując głowy.

Istniejąca w Polsce postać kapitalizmu uformowała realne społeczeństwo. Kowalik analizuje je wielokrotnie. Krzyczy o jego cechach, głośniej i dobitniej chyba nie można. Pokazuje palcem na istniejące u nas długotrwałe bezrobocie, które powstało i niejako zostało powołane przez nowy system, a właściwie przez jego elitę. System, który z punktu widzenia ekonomicznego tworzony miał być za pomocą akumulacji pierwotnej. Uznano bowiem, że wszystko trzeba zaczynać od początku. Zastaną gospodarkę nie traktowano jako narodowego majątku, ale jako obciążenie. Kowalik w związku z tym dla kontrastu wskazuje inny niż Skandynawia wzór pozytywny: Japonię i azjatyckie tygrysy. Państwa te odrzuciły po II wojnie światowej drogę pierwotnej akumulacji i odniosły sukces. Wynik godny naśladowania.

Sformułowano w Polsce fałszywą alternatywę: państwo albo rynek. Wybrano wolny rynek bez państwa. To miał być ideał, w praktyce jednak używano państwa, tyle że do ustanawiania wolnego rynku. Tymczasem w dobrze funkcjonujących systemach gospodarczych mamy do czynienia z koniunkcją. Również coraz więcej ludzi oczekuje obecności państwa w gospodarce. W Polsce także. Z pograniczami ekonomii i socjologii związany jest problem własności. Nasz system miał opierać się wyłącznie na własności prywatnej, jedynie „prawdziwej”, osiąganą w dużej mierze zabiegami reprivatyzacyjnymi. Głoszono ich chwałę, nie bacząc na to, że mówienie o świętości własności ośmieszało sacrum, podobnie jak podejmowane próby cofania czasu historycznego. Odrzucono sens istnienia własności zbiorowej, także wartości sektora publicznego. Nie dostrzeżono faktu, że własność oznacza też władzę. Duża własność daje dużą władzę. Nie tylko psuje demokrację, ale również przeczy wolnemu rynkowi jako dostępnemu dla wszystkich na równych prawach miejscu spotkań producentów i konsumentów.

Szczególnie dramatyczna w nowym systemie w Polsce jest skala różnicowania dochodowego. Ona rośnie. Teraz każdy, kto kontaktuje się z rzeczywistością, to widzi. Kowalik dostrzegał ją od początku, alarmował, kwestionował uważanie jej za normę lub za konieczność. Bodaj we wszystkich swoich tekstach z ostatniego ćwierćwiecza pisze szerzej lub krócej, ale zawsze wyraźnie o negatywnych i groźnych właściwościach obecnych nierówności. Przypomina, że ich przeciwieństwem praktycznym nie jest pełny egalitaryzm, ale nierówności umiarkowane, znacznie mniejsze niż u nas.

Nierówności dochodowe są ważnym problemem z wielu powodów. Oto niektóre z nich. Oznaczają one, że część społeczeństwa nie korzysta lub korzysta w nieproporcjonalnie małym stopniu z owoców wzrostu gospodarczego. Jeśli ci ludzie znajdują się w kręgu ubóstwa, to dyskryminacja ma rozleglejszą postać, obejmuje również uczestnictwo w kulturze, oświacie,

ochronie zdrowia, skracając długość życia. Podkopuje także podstawy instytucji politycznych liberalnej demokracji. Zakładają one przecież równość obywateli. To co innego niż równość dochodowa, ale jest z nią związana. Trzeba mieć bowiem warunki materialne, muszą być respektowane prawa socjalne, by móc korzystać z wolności i praw politycznych.

Nierówności związane są także z problemem jakości życia. Jeśli gospodarka ma służyć społeczeństwu, a nie odwrotnie, to kluczowe jest właśnie pytanie o jakość życia, a nie o wzrost PKB. Otóż najczęściej, jak wynika z badań, ludzie wiążą poczucie szczęścia z życiem w otoczeniu dość egalitarnym. Czują się lepiej w społeczeństwach o niewielkim zróżnicowaniu dochodowym. I tu wraca walor wzoru skandynawskiego. Poza tym, a może przede wszystkim, nierówności rozrywają społeczeństwo, dzielą je na garstkę zamożnych i getta ubogich. W każdym większym polskim mieście można obejrzeć blokowiska, upadające kamienice oraz popatrzeć zza zasieków na osiedla apartamentowców. Rodzi się frustracja, w wielu dojrzeewa poczucie niesprawiedliwości.

Przerwijmy opis Polski widzianej oczyma Tadeusza Kowalika. Ten obraz nie jest kompletny, ale chyba wystarczająco bogaty, byśmy mogli sami wypełnić jego brakujące fragmenty. Kowalik robi to w swoich tekstach, aż po napisane niedawno. Część z nich ukazuje się pod koniec roku wspólnym staraniem Instytutu Nauk Ekonomicznych PAN i Polskiego Towarzystwa

Ekonomicznego, w ostatniej przygotowanej przez Niego książce. Zatytułował ją *O lepszy ład społeczno-ekonomiczny*.

Tadeusz Kowalik porównuje polską rzeczywistość do obowiązującej od 1997 roku Konstytucji. W ten sposób odnosi się nie tylko do znaczenia słów, ale też do powagi państwa prawa. Konstytucję traktuje serio. Podkreśla, że nie jest ona realizowana. Nie chodzi przy tym o odstępstwa drobne, ale o odmienne podstawy aksjologiczne tworzonej realnie rzeczywistości i papierowego zapisu. Wskazuje, że rewindykacja treści Konstytucji może być fundamentem nowego ruchu społecznego, który powinien zmienić Polskę. Taka jest jedna z konkluzji rozważań Kowalika, ostatni pod nimi podpis. Zgłoszone postulaty i realistyczne marzenia. Wcześniej sformułował uzasadnienie, będące zarazem diagnozą. Napisał: „Polski kapitalizm charakteryzuje się masowym bezrobociem, dużą warstwą ludzi żyjących w ubóstwie, wysokimi i ciągle rosnącymi rozpiętościami płacowymi i dochodowymi. Na drugim biegunie znajduje się zróżnicowana co do charakteru i zasobności warstwa właścicieli kapitału i dysponentów władzy o silnej, klientelistycznej lub otwarcie korupcyjnej więzi między nimi. Oba te bieguny to rezultat nie tyle żywiołowych procesów rynkowych, co świadomej działalności szeroko pojętej władzy i administracji”. Autor ten fragment swoich *Systemów gospodarczych* podkreślił.

PAWEŁ KOZŁOWSKI

Ż E G N A M Y

Profesora

TADEUSZA KOWALIKA

wybitnego ekonomistę i humanistę,
Człowieka Lewicy,
wiernego jej całe życie,
laureata „Kowadła”.

Stowarzyszenie „Kuźnica”
Redakcja „ZDANIA”

MARCIN KULA

O MICHALE KALECKIM¹

Między wspomnieniami a badaniem historycznym

Nauki humanistyczne i społeczne w Polsce okresu komunizmu to temat wciąż czekający na pogłębione badania². Generalnie były one tym gorsze, im bliżej sytuowały się bieżącej rzeczywistości, polityki oraz ideologii. Socjologię jako dyscyplinę w ogóle zlikwidowano w okresie stalinowskim, co może wyszło jej zresztą na dobre, gdyż uniknęła najgorszych kompromisów. Filozofia przeżyła ciężkie chwile. W historii lepsze były subdyscypliny zajmujące się epokami dawnymi. Jednocześnie nawet w najbardziej zdawałoby się odległym od zainteresowań władz lub/i ideologów fragmencie nauki mogły pojawiać się obszary politycznie delikatne. Skoro genetyka w ZSRR mogła stać się fundamentalnie ważna politycznie, to znaczy, że wszystko mogło stać się ważne. W polskiej historiografii w jakimś momencie istotne stało się np. udowodnienie, że ziemia, które Polska uzyskała po wojnie kosztem Niemiec, były polskie przed wiekami.

Jednocześnie nawet w najbardziej politycznie eksponowanych dyscyplinach zawsze znajdowali się przytomniejsi naukowcy, którzy nie zapominali, że nauka jest zjawiskiem odmiennym od polityki. Często uciekali oni ku politycznie mniej drażliwym obszarom swojej dyscypliny, ku historii badanych zjawisk bądź/i ku historii samej dyscypliny.

¹ Niniejszy artykuł został napisany z przeznaczeniem do książki dedykowanej Tadeuszowi Kowalikowi, przygotowywanej w Anglii przez prof. Jana Toporowskiego. Publikując jego polską wersję wkrótce po śmierci prof. Kowalika, tym bardziej czynię to z myślą o Nim. W tekście podejmuję niektóre wątki z mojego postowia do: Ignacy Sachs, *Trzeci brzeg. W poszukiwaniu ekorozwoju*, Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2011). Wzbogacenie postowia stało się możliwe dzięki pomocy dr Małgorzaty Mazurek oraz dr. Krzysztofa Smolany. Dziękuję dr Mazurek za informacje o jej poszukiwaniach materiałów archiwalnych, dotyczących Michała Kaleckiego, oraz za udostępnienie kopii kilku z nich. Dr. Smolanie dziękuję za wskazanie teczki osobowej Michała Kaleckiego w zespole Ministerstwa Edukacji Narodowej w Archiwum Akt Nowych w Warszawie. Niestety zarówno badania wymienionych osób, jak moje własne, potwierdziły, że w Polsce zachowało się mało akt archiwalnych odnoszących się do prof. Kaleckiego. Można powiedzieć, że zdumiewająco mało jak na pozycję, jaką zajmował on w życiu naukowym, akademickim oraz w państwowych instytucjach kierujących gospodarką.

² Z istniejących, podejmujących całość problematyki, por.: John Connolly, *Captive University. The Sovietization of East German, Czech and Polish higher education. 1945-1956*, The University of North Carolina Press, Chapel Hill, London 2000; Ryszard Herczyński, *Spętana nauka. Opozycja intelektualna w Polsce 1945-1970*, Semp, Warszawa 2008.

Dwa zjawiska sprzyjały zachowywaniu relatywnie przyzwoitego poziomu wielu nauk w Polsce: funkcjonowanie w okresie komunistycznym naukowców wykształconych przed wojną, wśród nich także lewicowych, którzy, nawet jeśli odsunięci od nauki w okresie stalinowskim, na ogół wrócili po liberalizacji 1956 r. Drugą okoliczność to wznowienie kontaktów zagranicznych przez polskich naukowców po 1956 r. My jeździliśmy na Zachód i do nas przyjeżdżano. Czytaliśmy zachodnią literaturę, a niemało jej w Polsce tłumaczono. Po latach byliśmy zaskoczeni, jak wielu naszych zawodowych kolegów z Litwy, Ukrainy, Białorusi oraz z Rosji zna język polski. Często nauczyli się go właśnie po to, by czytać literaturę wydawaną w Polsce i uzyskać w ten sposób okno na świat. Tak czy inaczej zmiany 1956 r. były bardzo istotne dla uratowania nauki polskiej.

* * *

Ekonomia w okresie komunistycznym znalazła się w sytuacji trudnej. Ze swej natury była jedną z bardziej uwikłanych w politykę oraz w ideologię nauk społecznych. Cała teoretyczna konstrukcja Marksa stała się dogmatem trudnym do ominięcia. Połączenie ekonomii jako nauki z praktyką działań gospodarczych, gdzie decyzje też były warunkowane dogmatami, wikało ją z kolei w bieżącą politykę. Wielu komunistycznych urzędników uważało się za znawców ekonomii, co też nie ułatwiało funkcjonowania nauki. Dla wielu naukowców komunizm otworzył zaś możliwości ich korumpacji. Pozwolił im robić niedobre kariery w aparacie partyjnym lub/i państwowym, a także w nauce – jako pożądanym przez władzę „swoim” naukowcom. Na to wszystko nakładały się zjawiska ogólnie niekorzystne w życiu intelektualnym – z ograniczeniami swobód wypowiedzi na czele³.

W ekonomii, jak wszędzie, wielkie zmiany przyniosło przesilenie polityczne 1956 r. Ono samo w jakiejś części wynikało z ujawnienia się bezsensu zasad ekonomicznych, którymi kierowano gospodarką

³ M.in.: Aleksandra Witczak Haugstad, *A Discipline Divided. Polish Economists and the Communist Regime. 1945-1960*, praca doktorska, promotor György Péteri, Faculty of History and Arts, Norwegian University of Science and Technology, Trondheim 2008.

w okresie stalinowskim. Jej stan po okresie planu 6-letniego (1949-1955) był fatalny, a Polacy sfrustrowani. Demonstrujący robotnicy Poznania (1956) stanowili forpocztę narastającej fali. Obawa przed jej wzrostem była zresztą jednym z istotnych czynników, dla których władze skłoniły się do zmian. Innym czynnikiem był zespół zjawisk politycznych zapoczątkowanych w ZSRR XX Zjazdem KPZR.

Liberalizacja, jaka nastąpiła po 1956 r., umożliwiła renesans myśli ekonomicznej. Stan gospodarki oraz oczywisty absurd dotychczasowych metod kierowania nią stwarzały podniecie do różnorodnej refleksji. Słowem-kłuczem okresu stało się słowo „reforma” – także, a może nade wszystko reforma w gospodarce. Generalną tendencją było odejście od tego, co nazywano wówczas „księżycową ekonomią”, w kierunku przyglądania się otaczającej sytuacji. Oskar Lange zwracał wtedy uwagę na potrzebę rozwinięcia badań nad rzeczywistymi dochodami ludności. Niedługo później Michał Kalecki jako przewodniczący Komitetu Badań nad Zagadnieniami Społecznymi Polskiej Ludowej Polskiej Akademii Nauk (od 1962) zainspirował prace nad zagadnieniem przestępczości, zwłaszcza gospodarczej, oraz nad porównaniem dochodów robotników i pracowników umysłowych z okresem międzywojennym. Pytany później o drogę, jaką doszedł do ustaleń, jakie publikował w swoich pracach o ekonomii socjalizmu, Kalecki odpowiedział, że siedział na zebraniach w Komisji Planowania przy Radzie Ministrów i usiłował zrozumieć, jak to wszystko działa (lub nie działa). Rzeczywiście stworzył koncepcję trzymającą się rzeczywistości, nie „księżycową”.

Dla okresu renesansu polskiej nauki ekonomii po 1956 r. charakterystyczne było kilka zjawisk. W imię jej usensownienia zjednoczyli się ludzie o bardzo różnej proveniencji, np. Czesław Bobrowski, szef powojennego Urzędu Planowania, potem emigrant polityczny, oraz Włodzimierz Brus, swego czasu zagorzały krytyk Urzędu oraz samego Bobrowskiego. Wystąpili w tej grupie Oskar Lange, czyli czołowy komunistyczny polityk, Michał Kalecki, który z komunizmem miał bardzo mało wspólnego, czy Edward Lipiński, przedwojenny socjalista, w okresie stalinowskim zajmujący się historią myśli ekonomicznej (najpewniej nie tylko z zainteresowania, ale z poczucia trudności zajmowania się ekonomią współczesną). Był wśród tych ludzi Kazimierz Łaski, swego czasu silnie związany z komunizmem, potem bardzo przytomny ekonomista. Był Jerzy Tepicht, w swoim czasie pracownik aparatu partyjnego zajmujący się m.in. kolektywizacją rolnictwa, a następnie organizator Instytutu Ekonomiki Rolnej, placówki zastużonej dla zrozumienia rzeczywistego stanu chłopskiej wsi. Był Tadeusz Kowalik, od młodych lat związany z Polską Zjednoczoną Partią Robotniczą (komunistyczną), w tym czasie już znienubiany przez władze jako „rewizjonista”. Wiele mówiący był skład Rady Ekonomicznej, krótkotrwałej instytucji powołanej przez władze po 1956 r. dla rozważenia kierunków reform, a następnie *de facto* zlikwidowanej. Jej przewodniczącym był Lange, faktycznie kierował tym ciałem Bobrowski, Kalecki w nim uczestniczył.

Wszyscy wymienieni byli ludźmi w szerokim sensie tego słowa lewicowymi. Prawica raczej nie miała

złudzeń co do możliwości usensownienia gospodarki. Pewno też trudniej jej było działać nawet w okresie relatywnej liberalizacji. Wymienieni naukowcy byli środowiskiem ludzi nie mających przesadnych złudzeń co do stanu gospodarczego Polski międzywojennej. Byli środowiskiem ludzi naznaczonych doświadczeniem wielkiego kryzysu, w swoim czasie przeświadczonych o potrzebie przeprowadzenia różnorodnych reform w Polsce oraz o potrzebie prowadzenia aktywnej, wspieranej przez państwo polityki rozwoju. Nie kwestionowali oni istoty planowania gospodarczego, raczej jego głęboką ułomność w wydaniu komunistycznym. Kalecki był „zwolennikiem centralnego planowania, opartego na własnej koncepcji. Według niego centralne planowanie powinno być procesem opartym na połączeniu demokratycznej, oddolnej presji, z odgórnym porządkowaniem postulatów”⁴. W kontekście zagadnień rozwoju gospodarczego Kalecki mawiał, że socjalizm ma niewątpliwie większe możliwości mobilizacyjne, aczkolwiek równie niewątpliwie nie chciał mobilizacji metodami stosowanymi w realnym socjalizmie i w imię osiągnięcia nierealnych celów.

Środowisko, o którym mowa, wciąż snuło raczej koncepcje usensownienia socjalizmu niż wyjścia z tego systemu – co byłoby zresztą wówczas całkowicie nierealistyczne. Było to środowisko silnie pragmatyczne. Gotowe było współpracować z różnymi władzami i proponować rozwiązania sensowne w ramach tego, co w danej sytuacji rysowało się jako możliwe. Legenda głosi, że Kalecki został kiedyś w Indiach zapytany, dlaczego nie proponuje rozwiązań radykalniejszych niż te, które zasugerował. Miał podobno odpowiedzieć: – Bowiem do przeprowadzania rewolucji nie zaprasza się cudzoziemskich doradców. – Czesław Bobrowski doradzał płk. Houari Boumediene w Algierii, choć nie był to, jak wiadomo, wzór demokracji. W późniejszym okresie tenże Bobrowski podjął się doradzania gen. Jaruzelskiemu. Wywołało to zdziwienie wielu z nas nastawionych źle do generała jako autora stanu wojennego w Polsce w 1981 r. Na pytania o swoje motywy Bobrowski miał odpowiedzieć: – Boumediene nie był lepszy. – Sprawia wrażenie, że ci ludzie byli gotowi doradzać i formułować swoje koncepcje, póki mogli uczciwie mówić, co uważali za słuszne. Parokrotne podawanie się Kaleckiego do dymisji w różnych okresach życia było z tego punktu widzenia charakterystyczne. W życiorysie przez siebie spisany w 1965 r. Kalecki skrótkowo przedstawił motywy, którymi się za każdym razem kierował. Zaczął od podania się w 1937 r. do dymisji z warszawskiego Instytutu Koniunktur, gdzie wówczas pracował (sam przebywał wtedy, od 1936 r., za granicą na stypendium Rockefellera):

„W listopadzie r. 1937 dwaj moi koledzy w Instytucie Badania Koniunktur, Ludwik Landau i Marek Breit zostali wydaleny z powodu komunikatu o sytuacji gospodarczej, którego byli autorami. Solidaryzując się z nimi podałem się do dymisji ze stanowiska zajmowanego przeze mnie w tym Instytucie. Uzasadniłem ten krok

⁴ Zdzisław Sadowski, *Przez ciekawe czasy. Rozmowy z Pawłem Kozłowskim o życiu, ludziach i zdarzeniach*, Polskie Towarzystwo Ekonomiczne, Instytut Nauk Ekonomicznych Polskiej Akademii Nauk, Warszawa 2011, s. 182.

w listach do gazet uniemożliwieniem obiektywnej naukowej pracy przez takie potraktowanie moich kolegów”.

Do następnej dymisji Kalecki podał się po wojnie, pracując w Sekretariacie ONZ. Pisał o tym:

„W końcu r. 1953 Rząd Meksykański wystąpił do Sekretariatu ONZ z prośbą o przysłanie mnie jako rzeczoznawcy w ramach pomocy technicznej. Prośbę odrzucono ze względu jakoby na niemożność wyzbycia się mojej pracy na okres kilkumiesięczny. Było jednak zupełnie jasne, że prawdziwe motywy były natury czysto politycznej.

Wkrótce spotkałem się z podobnymi tendencjami w zakresie mojej pracy bieżącej. Na wiosnę w roku 1954 zniekształcono całkowicie, mimo moich protestów, rozdział o Chińskiej Republice Ludowej w Światowym Sprawozdaniu Gospodarczym (Chińską Republiką wprowadziłem do Sprawozdania w r. 1950 i już wtedy napotykało to na poważne trudności). Wkrótce potem, wykorzystując odbywającą się reorganizację Sekretariatu ONZ utracono w dużym stopniu mój wpływ na opracowanie sprawozdania o światowej sytuacji gospodarczej. W tych warunkach uważałem, że moja praca w Sekretariacie ONZ nie może być nadal owocna. Wobec tego, za zgodą Rządu PRL, podałem się do dymisji w końcu roku 1954 i powróciłem do Kraju”⁵.

O kolejnej dymisji Kaleckiego – z 1968 r. – będzie niżej.

Również inne osoby w środowisku, tu prezentowane, miały granice zachowań, których starały się nie przekraczać. Nawet jeżeli były członkami PZPR (Kalecki nie był nigdy), to na ogół nie przypominały żadnego z dwóch typów komunistów charakterystycznych dla partii komunistycznych u władzy: nie były ani fanatykami, ani karierowiczami dbającymi zwłaszcza o własny interes oraz o ustrój jako zapewniający realizację tego interesu. Prawda, że po 1956 r. cała partia podlegała głębokim, choć mało zauważanym zmianom. Typ fanatyków na ogół w ogóle odchodził w przeszłość, do głosu dochodzili arywiści, a dominowali liczbowo nie mając wielkiego znaczenia przeciętni ludzie, faktycznie mało związani z komunizmem. Partia zmieniała się w związek administratorów i dyrektorów.

Odnosi się wrażenie, że środowisko, o którym mowa, myślało w stylu lewicy zachodniej (jeśli na chwilę przyjąć, że był on jednoznaczny). Charakterystyczne zresztą, że kilka znaczących osób z tego środowiska żyło przez pewien czas na Zachodzie – na ogół jako emigranci, którzy znaleźli się poza krajem w różnych zresztą okolicznościach. Sam Kalecki od 1936 r. do 1954 r. pracował za granicą (z kwartalną przerwą na pobyt w Polsce w 1946 r.).

Charakterystyczne, że osoby z tego środowiska, które były w PZPR, często same z niej wystąpiły lub zostały wyrzucone. Kilka osób odegrało z czasem

⁵ Życiorys przechowywany jest w archiwum Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie; został mi udostępniony w kopii przez dr Małgorzatę Mazurek. Do trudności Kaleckiego z włączeniem Chin do raportu o światowej sytuacji gospodarczej nawiązuje w kontekście własnych, o wiele późniejszych doświadczeń z tą samą sprawą Zdzisław Sadowski (op. cit., s. 178-179).

znaczącą rolę w opozycji demokratycznej, strajku gdańskim 1980 r. i w odejściu Polski od komunizmu.

* * *

Renesans ekonomii jako nauki po 1956 r., podobnie jak ówczesny renesans innych nauk społecznych miał swoje ograniczenia. Władze nigdy nie pozwoliły otwarcie naruszyć imponderabiliów założeń marksizmu i ustroju. Pilnowały także zasady przyjaźni z ZSRR, którą to przyjaźń pojmowały bardzo szeroko, obejmując jej zasadami pewne ustalenia w zakresie nauki. Stanowisko władz pociągało wręcz ataki przeciw naukowcom sytuującym się szczególnie daleko od dogmatycznego marksizmu, demonstracyjnie występującym przeciw niemu lub przeciw „mądrości” PZPR. Nawet w najbardziej liberalnym okresie życia naukowego w PRL było ono w pewnym stopniu skrępowane.

Jednocześnie granice swobód po 1956 r. były nieporównywalnie większe niż w okresie stalinowskim. Władze sporo tolerowały, zwłaszcza jeśli ktoś nie występował bezpośrednio przeciwko nim, jeśli miał niezależny autorytet (w Polsce to się jednak zdarzało) i jeśli nie usiłował trafić do szerszej publiczności ze swymi tezami. Nadto w Polsce, w tych komunistycznych władzach jednak było trochę przytomniejszych ludzi zdających sobie sprawę, kto był dobrym naukowcem; trochę zresztą potrzebowano takich ludzi ze względu na opinię wewnętrzną i zagraniczną. Czasem, tolerując ich, usiłowano ich „modelować”. Gdy na kimś zależało, kto w sposób oczywisty nie był związany z ustrojem, mówiono o nim „postępowy”. Czasem, zwłaszcza gdy był cień zaczepienia, mówiono nawet „marksista” (kto był marksistą i tak zawsze decydowała partia, a kryteria decyzji nie miały wiele wspólnego z filozofią). Gdy więc na Senacie Wyższej Szkoły Ekonomicznej we Wrocławiu (obecnie Uniwersytet Ekonomiczny we Wrocławiu) w 1965 r. stanęła sprawa doktoratu honorowego dla prof. Kaleckiego, zgłaszający wniosek Wydział Ekonomiki Przedsiębiorstw w niepodpisanej charakterystyce kandydata napisał o jego *Próbie teorii koniunktury*: „Głęboko antykapitalistyczna w swych założeniach teoria może być uważana za rozwinięcie pewnych idei Marksa, podanych przezeń w III tomie »Kapitału«”⁶. Zostawmy na boku, czy sam Kalecki by się zgodził z taką charakterystyką. Może autor dokumentu był przekonany o jej słuszności. Jedno i drugie było jednak drugorzędne. Ważniejsze, że uchwycono wygodny pretekst, by uzasadnić wniosek o uhonorowanie Kaleckiego.

Kalecki był władzom wygodny, potrzebny, może przytomniejszy wśród tych władz wiedzieli, jak poważny był to naukowiec. Nie był człowiekiem establishmentu. Naoczny świadek pisze o jednym z jego referatów:

„Po przyjeździe do kraju wystąpił na pamiętnym Zjeździe Ekonomistów w 1956 r. z referatem o teorii wzrostu gospodarczego. Referat wzbudził sensację, bo nie miał nic wspólnego z obowiązującą doktryną marksistowską, ukazując zupełnie inne zasady myślenia”⁷.

⁶ Załącznik do Wyciągu z protokołu posiedzenia Senatu Wyższej Szkoły Ekonomicznej we Wrocławiu z dn. 4 VI 1965 r. (Archiwum Akt Nowych Archives of New Files, akta Ministerstwa Edukacji Narodowej, sygnatura 1957).

⁷ Zdzisław Sadowski, op. cit., s. 179.

Jednocześnie tenże Kalecki otrzymał Nagrodę Państwową w 1966 r., dr h.c. Uniwersytetu Warszawskiego w 1964 r., dr h.c. Wyższej Szkoły Ekonomicznej we Wrocławiu w 1965 r. (na przyznanie doktoratu honorowego przez uczelnie władze też musiały wyrazić zgodę). Był Kalecki odznaczony bardzo wysokim komunistycznym odznaczeniem Sztandaru Pracy (1964). Co nie najmniej ważne, w latach 1955-1957 pracował w Urzędzie Rady Ministrów jako radca I zastępcy Prezesa RM, zaś w latach 1957-1964 w Komisji Planowania przy Radzie Ministrów – początkowo jako przewodniczący Komisji Planu Perspektywicznego, następnie jako doradca naukowy przewodniczącego Komisji Planowania. W latach 1957-1964 był przewodniczącym polskiej delegacji do Komisji Ekonomicznej Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej.

Jeżeli się przyjęło wtedy w Polsce pewne reguły gry, można było relatywnie sensownie funkcjonować i nawet dużo zrobić – także w nauce. Nauka zresztą różnicowała się. Nawet jeśli nie wszystkie jej tendencje znalazły otwartą reprezentację, to w ramach tej samej nauki ekonomii występował Michał Kalecki i jego wierny oponent Bronisław Minc (popierany przynajmniej przez sztywniejszą część władz, człowiek o dokonaniach naukowych dziś zapomnianych). W końcu w nauce ekonomii funkcjonowali z jednej strony uczeni tak znani jak Kalecki i Lange, a z drugiej strony ekonomiści szkół partyjnych, którzy powtarzali parę leninowskich kanonów jako prawdy świeckiej wiary.

* * *

Dla losów ekonomii po 1956 r. istotne było, że elita partyjna, która wówczas objęła władzę, choć przytomniejsza od stalinowskiej, stosunkowo szybko zaczęła wyhamowywać myśl o reformie gospodarczej. Ten czynnik musiał uderzać w ekonomię jako naukę obok szerszego ograniczania liberalizmu uderzającego w wiele dyscyplin naukowych. Refleksja ekonomiczna, zwłaszcza szersza i mniej techniczna, stawała się niewygodna. Nigdy w gospodarce nie powrócono do planowania tak sztywnego jak w stalinizmie i do najgorszych absurdów, jak nie powrócono do represji politycznych najgorszego typu – ale żywione w 1956 r. nadzieje na szerokie zmiany stopniowo stawały się wspomnieniem, zresztą intensywnie zacieranym przez władze.

Mniej więcej w tym czasie przyszła niepodległość Afryki, rewolucja kubańska, oraz wielka fala zainteresowania Trzecim Światem w nauce światowej. W ramach tej fali sam zetknąłem się z ekonomią i specyficznie z Michałem Kaleckim. Będąc z wykształcenia historykiem i socjologiem zainteresowałem się Trzecim Światem – a to moje zainteresowanie trafiło na moment powstania Międzyuczelnianego Zakładu Problemowego Gospodarki Krajów Słabo Rozwiniętych Center of Research on Underdeveloped Economies przy Uniwersytecie Warszawskim oraz Szkole Głównej Planowania i Statystyki Central School of Planning and Statistics (dziś Szkoła Główna Handlowa Warsaw School of Economics). Owym zakładem kierował Ignacy Sachs, a przewodniczącym Rady Naukowej był Michał Kalecki⁹. W tym zakładzie podjąłem studia

doktoranckie (1965), które zresztą ukończyłem gdzie indziej ze względu na wstrząsy polityczne, o których niżej.

Problematyka Trzeciego Świata stworzyła nowe pole refleksji dla rozbudzonego, a wówczas już hamowanego środowiska polskich ekonomistów. Po pierwsze, były to zagadnienia nieznane, ważne i ciekawe⁹. Po drugie, wciąż obracaliśmy się w kręgu zagadnień rozwoju – a więc pozostawaliśmy w ramach dotychczasowych zainteresowań, acz na innym terenie i w innych realiach (co czyniło sprawy tym ciekawszymi). Przy ich badaniu wyraźnie rysowała się potrzeba interdyscyplinarności – mocno obecna w zakładzie pod ręką Sachsa – co otwierało pole dla współpracy np. historyków. Po trzecie, w ramach tej problematyki dawały się uratować różne lewicowe przemyślenia z zakresu ekonomii. Było oczywiste, że w krajach gospodarczo słabo rozwiniętych etatyzm i planowanie będą aktualne. Po czwarte, we wszystkich przemyśleniach i działaniach, także tych lewicowych i planistycznych, w wypadku krajów Trzeciego Świata można było wziąć pod uwagę realną rzeczywistość, z czym uczciwi ekonomiści często mieli kłopoty w Polsce.

Wielu polskich ekonomistów, także Kalecki, jeździło wówczas jako doradcy do różnych krajów gospodarczo słabo rozwiniętych. Sam Kalecki był w takim charakterze w Indiach w 1950 r. i na Kubie w 1960 r. (w innych okresach pracował też w innych krajach). W jego otoczeniu w Warszawie opracowywano wówczas ćwiczebne plany gospodarcze dla różnych takich krajów. Nie proponowano im, wzorem dogmatycznego marksizmu w ekonomii, rozbudowy ciężkiej metalurgii jako recepty. Brano pod uwagę realia, w tym czynniki instytucjonalne. Ciekawa była zwłaszcza próba wypracowania strategii dla Mongolii, bardzo trudna ze względu na tamtejsze warunki oraz na ogromne koszty transportu obciążające każdy eksport. Grupa zajmująca się tym zagadnieniem zwróciła uwagę, że rozwinięta w Mongolii hodowla może być źródłem surowców potrzebnych dla przemysłu farmaceutycznego, a jednocześnie produkty tego przemysłu są na tyle lekkie, wygodne do transportu i wartościowe, że ich eksport miałby sens. Elementem mozaiki była ówczesna polityczna ochrona rynku państw socjalistycznych, dzięki czemu mongolskie farmaceutyki miałyby rynek. Bez spełnienia tego warunku takie pomysły oczywiście nie miałyby sensu – jak późniejsze, rzeczywiste kubańskie plany rozwoju przemysłu farmaceutycznego miałyby wielkie szanse powodzenia.

Przyjrzenie się rzeczywistości podobnie stanowiło punkt wyjścia myśli Kaleckiego o Kubie. Był pod silnym negatywnym wrażeniem przekazanej mu przez Kubańczyków informacji, że w ramach walki z monokulturą zaczęli niszczyć plantacje trzciny cukrowej. Zapytał gospodarzy z czego, niezależnie od projektowanego na przyszłość profilu gospodarki, zamierzają żyć tu i teraz. Potem miał jednoznaczne zdanie na temat podwyższenia przez Kubańczyków wszystkich wskaźników planu, który dla nich opracował jako rzekomo zbyt mało rewolucyjnych i optymistycznych.

⁹ Kopia powołania Kaleckiego na tę funkcję z datą 31 I 1962 znajduje się w aktach Ministerstwa (AAN, MEN, 1957).

⁹ „Była to w owym czasie bardzo żywa problematyka w ekonomii światowej, a u nas interesowali się nią ludzie, którzy chcieli odechnąć od gospodarki socjalistycznej” (Z. Sadowski, op. cit., s. 177).

Charakterystyczne było zainteresowanie Kaleckiego wojenną gospodarką Wietnamu – jako doświadczeniem wiele mówiącym o możliwościach mobilizacji czynników gospodarczych w czasach pokojowych.

Co ważne, planowanie postulowane w środowisku Kaleckiego w większym stopniu miało charakter refleksji nad strategią niż socjalistycznego planowania zbytu kapusty w każdym sklepie na rogu. Charakterystyczne było stanowisko Kaleckiego w kwestii roli kapitału zagranicznego. W tym czasie, kiedy dogmaty były tak ważne w świecie socjalistycznym, mawiał, że kapitał zagraniczny sam w sobie nie jest ani dobry, ani zły, a wszystko zależy od tego, jak działa z punktu widzenia pożądanego kierunku rozwoju kraju. Planowanie w tym wydaniu nie miało być narzucaniem czegokolwiek komukolwiek. Kalecki mawiał, że dobrym doradcą jest ten, kto tak doradza, że któregoś ranka premier-gospodarz budzi się z przekonaniem, iż sam wpadł na dobry pomysł.

Był jeszcze jeden czynnik, który kraje gospodarczo słabo rozwinięte czynił polem tematycznym nie tylko atrakcyjnym, ale w pewnym sensie wygodnym. Mianowicie władze komunistyczne mniej przejmowały się kierunkiem refleksji polskich ekonomistów w odniesieniu do Trzeciego Świata, niż do świata komunistycznego, w tym Polski. Wprawdzie wszystko co działo się w Trzecim Świecie usiłowały interpretować jako idące po myśli komunizmu i potwierdzające jego ideologię, ale to już nie były czasy, gdy historia Francji w wydaniu sowieckim przypominała historię Madagaskaru i odwrotnie. Nawet w bardziej bezpośrednio dotykających komunizm sprawach uznano już, że w ramach zasadniczych prawidłowości drogi mogą być jednak różne. Elity komunistyczne wyczuwały, że realia trzecioświatowe są odmienne i nie negowały już tego przed samym sobą. To już nie był czas, gdy władze radzieckie domagały się od radzieckich muzułmanów dostaw wieprzowiny. Stąd w odniesieniu do krajów gospodarczo słabo rozwiniętych Kalecki mógł wypracować swoją koncepcję ustrojów pośrednich, a Kalecki i Sachs koncepcję gospodarki mieszanej. Możliwe było też wypracowanie koncepcji barier wzrostu, z których Ignacy Sachs rozpracowywał barierę handlu zagranicznego. Były możliwe prace nad rolą wyboru technik dla rozwoju (Zofia Dobrska) czy refleksja na temat roli państwa w rozwoju gospodarczym (Ignacy Sachs), czy – powiedzmy – koncepcja wzrostu podstępnego (Ignacy Sachs).

Refleksja odnosząca się do krajów gospodarczo słabo rozwiniętych była ułatwiona z jeszcze jednego punktu widzenia. ZSRR i krajom obozu zależało wówczas na kontaktach z Trzecim Światem. Zmierzały do tego na wielu płaszczyznach. Potrafiły działać w tym kierunku ostrożnie i przytomnie. To już nie były czasy, gdy sprowadzano do Moskwy cudzoziemców wyłącznie po to, by wykorzystać propagandowo najbardziej znamienitych spośród nich, albo by ich szkolić na instruktorów rewolucji bądź/i wywiadowców. W czasach, o których mowa, po to też ich pewno sprowadzano, ale prowadzono również inne działania. W ich ramach powstało więc wówczas w Warszawie kilka placówek badawczych zajmujących się Trzecim Światem, m.in. wspomniany już Zakład profesora Sachsa oraz seminarium Michała

Kaleckiego, w którym uczestniczyli znaczący ekonomiści polscy, a nieraz też zachodni. Obok zakładu działał Wyższy Kurs Planowania Gospodarczego dla Planistów i Ekonomistów z krajów gospodarczo mniej rozwiniętych, Advanced Course in National Economic Planning for Economists and Planners from developing countries. Przyjeżdżali nań młodzi ekonomiści z krajów Trzeciego Świata. Władze wiedziały, że jeśli mają oni przyjeżdżać, to kurs nie może być szkoleniem politycznym, czy po prostu głupotą, jakie aplikowano na niejednym kursie wówczas w Polsce. Doszło do mnie, jak to kiedyś nawet wysocy przedstawiciele władz hamowali zapędy niektórych naukowców wierznych PZPR, by uczynić program kursu bardziej zgodny ze standardem komunistycznym. Wiceminister Eugenia Krassowska powiedziała wówczas, że wobec młodzieży z Trzeciego Świata trzeba być bardzo delikatnym (z czego płynął niewypowiedziany wniosek, że polską młodzież można indoktrynować prościej, ale to już zostawmy na boku).

To, że kursanci do nas przyjeżdżali, było zastęgą nie tylko wykładów kursu, ale także niezłej intelektualnej opinii, jaką wciąż cieszyła się wówczas Warszawa. Była socjalistyczna, a jednocześnie intelektualnie ciekawsza niż wiele innych stolic krajów obozu. Do Warszawy przyjeżdżali przedstawiciele różnych nauk społecznych, nieraz zresztą zapraszani do wykładów na kursie. Inna sprawa, że wrażenia miewali różne. Seymour Martin Lipset w Warszawie powiedział, że wprawdzie kapitalizm popełnia błędy socjalne, ale socjalizm – kapitalne. Okazał się prawdziwym prorokiem.

* * *

Faza ożywienia nauk społecznych po 1956 r. kończyła się w Polsce stopniowo. Mocny i na parę lat trwały cios zadała jej dopiero antyintelektualna i antyżydowska kampania przeprowadzona przez władze w 1968 r. Przyniosła ona m.in. rozbitcie omawianego ośrodka refleksji nad Trzecim Światem. Wspomniany zakład oraz kurs dla cudzoziemców objęli ludzie, którzy ze względu na swój dorobek nie zostaną zapamiętani w nauce. Idąca wtedy w górę fala naukowców lub pseudonaukowców miała ułatwiony awans, bowiem władze promowały ludzi, którzy z uwagi na mierne zdolności lub/i umiejętności nie mogli się wpiąć przebić, a w 1968 r. stali się wygodni. Kalecki nazwał kiedyś ówczesną wymianę personelu na SGPiS-ie „rewoltą sfrustrowanych adiunktów”. Szczególne ułatwienie dla awansowanych polegało na zniesieniu obowiązku uzyskiwania stopnia zwanego w Polsce (podobnie jak w Niemczech) habilitacją. Kalecki mawiał wtedy, że nie może być za utrzymaniem habilitacji, bowiem sam nie ma ani habilitacji, ani doktoratu, ani magisterium (z powodów życiowych nie ukończył sformalizowanych studiów wyższych). „Dlaczego jednak – pytał – teraz awansują najgłupszych?”¹⁰.

W ramach zmian wprowadzanych w 1968 r. formuła zakładu zmieniła się. Na miejscu ośrodka afiliowanego do UW i SGPiS powstał Instytut Gospodarki Krajów Rozwijających się, związany z samą SGPiS¹¹.

¹⁰ Cyt. z pamięci.

¹¹ O „Marcu” w SGPiS por. *Historia Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie 1906-2006*, red. Wojciech Morawski, SGH, Warszawa 2006

Wszyscy lub prawie wszyscy z tego środowiska zostaliśmy wyrzuceni z uczelni – w dobrym wypadku z argumentem, że dana osoba nie nadaje się do pracy naukowej (szczęśliwie nie politycznego!). Sachs, pozbawiony kierownictwa zakładu i potraktowany na SGPiS-ie jak najgorzej, wyemigrował. Wielu z nas z biegiem lat utrzymało się w nauce. Sam znalazłem się w sytuacji wyjątkowo dobrej. Ponieważ byłem doktorantem, więc nie byłem pracownikiem – a zatem nie podlegałem praktycznie automatycznemu wyrzucaniu. Napisałem do rektora, że pracę doktorską skończyłem. Doktorat uzyskałem w Instytucie Historii Polskiej Akademii Nauk.

Kalecki zrezygnował z udziału w kursie dla cudzoziemców po przemówieniu Gomułki na Kongresie Związków Zawodowych 19 czerwca 1967 r. Ówczesny przywódca PZPR ostro powiedział wówczas, że część obywateli polskich żydowskiego pochodzenia manifestowała sympatię w obliczu zwycięstwa Izraela w wojnie sześciodniowej. Użył nawet określenia „V kolumna” (teoretycznie w jego ujęciu syjonistyczna, w praktyce żydowska). Ten fragment przemówienia nie został wprawdzie przedrukowany w prasie, ale sygnał został dany. Kalecki powiedział wówczas rektorowi, prof. Wiesławowi Sadowskiemu, że nie będzie firmował kursu przy akompaniamencie pomówień o bycie „piątą kolumną” (żydowską kolumną). Podanie o dymisję z profesury w SGPiS-ie złożył 8 października 1968 r. Brzmiało:

„Po podsumowaniu szeregu wypadków, które zaszły na terenie Szkoły Głównej Planowania i Statystyki w roku akademickim 1967/68, postanowiłem ustąpić z tej uczelni jeszcze w bieżącym roku akademickim, a nie w przyszłym, po ukończeniu 70 lat.

Wobec tego proszę o zwolnienie mnie z zajmowanego stanowiska profesora zwyczajnego w Szkole Głównej Planowania i Statystyki z datą 30 IX 1968”.¹²

Jak była mowa wyżej, nie było to pierwsze doświadczenie podania się Kaleckiego do dymisji.

Minister przychylił się, rzecz jasna, do prośby profesora. Gdy Kalecki otrzymał pismo ze zgodą na jego przejście na emeryturę, wyciągnął z biurka dwie przygotowane bombonierki. Jedną dał sprzątacze, która zamiałała jego gabinet, a drugą kelnerce, która mu przynosiła herbatę do stolika w uczelnianym klubie. Nasadził kapelusz na głowę i wyszedł z SGPiS-u. Nikt go nie żegnał.

Na SGPiS-ie nie zapomniano jednak o Kaleckim. Zrobiono jeszcze sesję mającą charakter sądu nad nim – sądu, którego można się było wstydzić¹³. Kalecki przyszedł na konferencję, wysłuchał atakujących go referatów. Odpowiadał krótko – oświadczył, że po raz pierwszy uczestniczy w konferencji, która jest klasycznym polowaniem na czarownice i wyszedł z sali¹⁴. Gdy w Warszawie „nieznani sprawcy” pobili wtedy na uli-

cy jednego z opozycjonistów, Kalecki zaczął chodzić z laseczką. Zważywszy na filigranowość jego postaci, mała szansa, by mógł się nią obronić. Szczęśliwie nie musiał.

Gdy zmarł 17 kwietnia 1970 r. minister Oświaty i Szkolnictwa Wyższego (Henryk Jabłoński) przesłał „wyrazy żalu z powodu zgonu emerytowanego prof. dr Michała Kaleckiego, wybitnego uczonego i długoletniego pracownika naukowo-dydaktycznego uczelni” do rektora i Senatu SGPiS. Również do wdo- wy przesłał „wyrazy żalu” z powodu zgonu „wybitnego uczonego i zasłużonego dla nauki polskiej i szkolnictwa wyższego pracownika”. W publikowanym nekrologu, podpisanym przez ministra, powiedziano: „Zmarły był wybitnym uczonym w dziedzinie teorii wzrostu gospodarczego, doradcą międzynarodowych oraz krajowych organizacji i instytucji ekonomicznych. Nauka polska traci w Nim zasłużonego uczonego”.

Pozytywne słowa tłumaczyły się łatwo. W 1970 r. kampania z 1968 r. trochę już odchodziła w przeszłość, a niektórzy może nawet woleliby zapomnieć o roli, jaką sami w niej odegrali. Najłatwiej było pokazać się w lepszym świetle w stosunku do osoby zmarłej, która już nic nie mogła powiedzieć. W 1971 r. na łamach partyjnego czasopisma teoretycznego „Nowe Drogi” ukazał się artykuł prof. SGPiS i przyszłego ministra Janusza Górskiego, ostrożnie doceniający dorobek Michała Kaleckiego i jego szkoły w zakresie teorii wzrostu gospodarki socjalistycznej. Tekst sformułowany był ostrożnie i nie całkiem jednoznacznie pozytywnie, ale stanowił niewątpliwą sygnal zmian.

Od początku 1971 r. krajem rządził już nowy przywódca komunistyczny, Edward Gierek. Po rozróbie z inteligencją w 1968 r. oraz po krwawym rozbiciu strajków na Wybrzeżu w końcu 1971 r., co nastąpiło jeszcze pod rządami Władysława Gomułki, Gierek chciał rozpocząć nową epokę. Skądinąd to, co część aktywu partyjnego chciała osiągnąć w 1968 r., już zostało osiągnięte. Kogo chciano wyeliminować z PZPR, z pracy, z pozycji naukowej, wręcz z kraju, tego już wyeliminowano. Kto chciał zająć miejsce wyrzuconych, awansować w nauce kosztem wyrzuconych, już awansował. Można było podjąć dalsze życie jakby nigdy nic.

* * *

Utrzymałem z profesorem kontakt aż do śmierci. Poczytuję sobie za zaszczyt, iż w okresie, gdy funkcjonował już tylko w domu, powstała jedna nasza wspólna publikacja. Miałem wrażenie, że Kalecki miał chyba u schyłku życia poczucie, iż ekonomia jako nauka idzie w kierunku innym niż on pragnął. Nie lubił ekonomii dogmatycznie neoliberalnej, z modelami i receptami rzekomo stosującymi się od Labradoru do Ziemi Ognistej oraz od Sydney do Anchorage. Nie dożył momentu, gdy w Cambridge ukazały się jego dzieła zebrane, a hołd oddała mu Joan Robinson. W Polsce zresztą też jego dzieła zebrane ukazały się w latach 1979-1988¹⁵.

MARCIN KULA

¹⁵ Obydwa wydania ukazały się w godnym uwagi opracowaniu prof. Jerzego Osiatyńskiego. Tamże można znaleźć kalendarium życia prof. Kaleckiego.

(rozdział *W kręgu wydarzeń marcowych 1968 r.* pióra Łukasza Dwilewicz, s. 219-245).

¹² AAN, MEN, 1957.

¹³ O tej konferencji: *Historia Szkoły Głównej Handlowej...*, s. 232-233; *Koźmiński. Reaktywacja*, rozmowy spisała Ewa Barlik, Poltext, Warszawa 2011, s. 30, 80.

¹⁴ *Historia Szkoły Głównej Handlowej...*, s. 233 (rozdział pióra Łukasza Dwilewicz).

URSZULA MARKOWSKA-MANISTA

POMOC DLA AFRYKI

„Wszystko sprowadza się naprawdę do tego: całe życie jest ze sobą powiązane. Jesteśmy złapani w sieć wzajemności, z której nie można uciec (...). Cokolwiek dotyka kogoś bezpośrednio, wpływa na nas pośrednio. Zostaliśmy stworzeni do życia razem z powodu współzależnej konstrukcji rzeczywistości”.
Martin Luther King
(wypowiedź podczas wigilijnego kazania z roku 1967)

Pomoc rozwojowa jest zespołem zróżnicowanych działań kierowanych przez kraje rozwinięte do krajów rozwijających się w celu przezwyciężenia globalnej luki rozwojowej, redukcji ubóstwa eliminacji problemów głodu. Wśród najważniejszych zagadnień polityki rozwojowej Wspólnoty w odniesieniu do priorytetów polskiej prezydencji w Radzie UE oraz priorytetów pozostałych państw członkowskich Unii Europejskiej znalazły się: demokracja władzy i prawa człowieka, energia, migracje, Milenijne Cele Rozwoju (MDG), pokój i bezpieczeństwo, pomoc humanitarna, środowisko i zrównoważony rozwój oraz woda.¹

Zgodnie z definicją Unii Europejskiej pomoc humanitarna polega w dużym uproszczeniu na niesieniu pomocy (ratowaniu i ochronie życia) w czasie klęsk i katastrof spowodowanych warunkami naturalnymi lub wywołanych działalnością człowieka. Jej zakres obejmuje również „udzielanie koniecznej pomocy i wsparcia ludziom narażonym na długotrwałe kryzysy oraz pomoc w tzw. »zapomnianych kryzysach«; przeprowadzanie krótkoterminowych prac związanych z odbudową i rekonstrukcją, szczególnie w zakresie infrastruktury i sprzętu, w ścisłej współpracy z instytucjami lokalnymi, biorąc pod uwagę, o ile to możliwe, długoterminowe cele rozwoju; pokonywanie trudności związanych z konsekwencjami migracji ludności (uchodźcy, przesiedleńcy i repatrianci), spowodowanymi przez klęski żywiołowe lub katastrofy wywołane działalnością człowieka; działania na rzecz zapobiegania katastrofom oraz ograniczania ich skutków”².

Za oficjalną definicję pomocy rozwojowej uznaje się natomiast definicję przyjętą przez Komitet Pomocy Rozwojowej Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (*OECD Development Assistance Committee, OECD DAC*³). Zgodnie z tą definicją w skład Oficjalnej

Pomocy Rozwojowej (*Official Development Assistance, ODA*) wchodzi „darowizny i pożyczki przekazane krajom rozwijającym się przez oficjalne instytucje rządowe państw dawców lub organizacje międzynarodowe mające na celu wsparcie rozwoju gospodarczego i dobrobytu w tych krajach. Aby pożyczka uznana była za pomoc rozwojową, musi zawierać element darowizny o wartości przynajmniej 25 proc.”⁴ Do ODA zaliczana jest również „pomoc techniczna (*technical assistance*) mająca na celu rozwój zasobów ludzkich, podniesienie kwalifikacji oraz możliwości technicznych i produkcyjnych krajów globalnego Południa. Polega m.in. na przekazywaniu wiedzy (lub w szerszym sensie *know-how*) i doświadczeń za pośrednictwem szkoleń, delegowania ekspertów, inicjowania badań i/lub pokrywania wynikających z tego kosztów.”⁵ Warunkiem zaklasyfikowania pomocy jako OPR jest ulokowanie kraju-biorcy pomocy na liście ustalonej przez Komitet Pomocy Rozwojowej OECD.⁶

Pomoc rozwojowa i pomoc humanitarna, a wraz z nimi ich aktorzy (donatorzy i biorcy) znalazły się dziś na rozdrożu z nowymi dylematami i wyzwaniem przemian społeczno-kulturowych, gospodarczych i polityki międzynarodowej. Ich niejednorodnym procesom towarzyszą nowe zmiany i perturbacje, jak choćby problem kryzysu w krajach Unii Europejskiej, Arabska Wiosna Ludów, przemiany polityczne i kryzys humanitarny w Rogu Afryki. Równie istotnymi odniesieniami są: nasilenie się migracji zewnętrznych i wewnętrznych na starym kontynencie oraz problemy finansowego niedoinwestowania i niewydolności sektorów i mechanizmów wspierających rozwój i zapewniających respektowanie praw obywateli państw globalnej Północy i globalnego Południa.

¹ [za:] P. Bagiński, *Polityka współpracy rozwojowej Unii Europejskiej w kontekście polskiej prezydencji w Radzie UE w 2011 r.* Przewodnik dla Posłów i Senatorów, PAH, Warszawa 2011.

² Rozporządzenie Rady (WE) nr 1257/96 z dnia 20 czerwca 1996 r. dotyczące pomocy humanitarnej, Dz.U. L 163 z 2.7.1996, str. 1-6.

³ OECD DAC jest forum skupiającym głównych donatorów z krajów rozwiniętych, należących do OECD.

⁴ Raport *Polska Współpraca rozwojowa 2010*, Grupa Zagranica, 2011, s. 4

⁵ Z tej kategorii wyłączone zostały granty oraz pożyczki na cele militarne. Do Oficjalnej Pomocy Rozwojowej nie są zaliczane darowizny i kredyty na cele wojskowe. Źródło: *Raport Polska pomoc rozwojowa 2010*, Grupa Zagranica, 2011, s. 4.

⁶ *Raport Polska Współpraca Rozwojowa 2010*, op.cit., s. 4.

Pomoc rozwojowa – od momentu powstania⁷ – odzwierciedlała główne trendy i wpływy polityki międzynarodowej. Mimo wieloletnich prac nad stworzeniem zasad i mechanizmów systemu efektywnej pomocy rozwojowej, działania pomocowe podmiotów zaangażowanych w pomoc rozwojową nierzadko kończą się fiaskiem – nie wypełniają swych celów ściśle skorelowanych z realizacją nienaruszalnego prawa człowieka do rozwoju.⁸

Dziś pomoc rozwojowa jest w pewnym sensie lustrem odbijającym zaawansowanie globalnych zależności i wpływów. Jest również matrycą sukcesów i porażek związanych z zaangażowaniem państw bogatszych w kwestie funkcjonowania państw biednych, które to zaangażowanie nie odbywa się w duchu równości, lecz kosztem nierówności i dysfunkcyjności społeczeństw⁹. W procesie pomagania ujawniają się wpływy kluczowych dla krajów globalnego Południa i globalnej Północy przemian. Z raportów publikowanych w trakcie i po realizacji projektów oraz wytworów stanowiących rezultat trwałych przeprowadzonych działań (filmy, blogi, książki, artykuły, albumy) poznajemy sfery, wymiary życia beneficjentów (często postrzeganych w kategoriach „egzotycznych” zbiorowości), możliwości rozwoju społeczności oddalonych od naszej europejskiej cywilizacji terytorialnie, kulturowo czy światopoglądowo.

Drugim członem pomocy rozwojowej jest implementowanie jej działań w postaci edukacji rozwojowej (komponent edukacji globalnej¹⁰) w społeczeństwie donatora. Z założenia mają one tłumaczyć przyczyny i złożoność problemów współczesnego świata, ukazać zależności istniejące pomiędzy współczesnymi Polakami i Polkami a np. Kenijkami i Kenijczykami czy uchodźcami i uchodźczyniami zamieszkującymi w Dadaab bądź ubogimi w Kiberze w Nairobi; choć powinny sięgać znacznie głębiej i niwelować błędy w podejściu do pomocy i edukacji rozwojowej (np. europocentryzm, ludyczność i folklor, brak perspektywy porównawczej w obrazowaniu danego zagadnienia). Taki kształt polityki pomocowej i edukacyjnej może skutkować jednostronnym uzasadnianiem przyczyn i sposobów rozwiązywania problemów współczesnego świata.

Przełożenie społeczne edukacji rozwojowej skierowanej do społeczeństwa donatora ma przyczyniać się do wzrostu świadomości, „pobudzać do krytycznej i świadomej refleksji nad własnym stylem życia i codziennymi wyborami, które w kontekście globalnym wywierają pozytywny bądź negatywny wpływ na jakość życia ludzi w innych krajach”¹¹. Finalnym rezultatem, jak wskazuje

dalsza część definicji edukacji rozwojowej MSZ, będzie osobiste zaangażowanie w przeciwdziałanie ubóstwu i aktywna partycypacja w procesie konstruowania globalnego społeczeństwa w oparciu o zasady solidarności, równości oraz współpracy.¹² Takie są założenia.

Wdrażanie postulatów edukacji rozwojowej oparte o przywołane – skonstruowane na bazie realizacji zadań polityki rozwojowej – definicje, nie jest i nie będzie zadaniem łatwym, biorąc pod uwagę praktyczną nieobecność edukacji rozwojowej w formalnym kształceniu nauczycieli i pedagogów w Polsce oraz brak spójnych z nową podstawą programową narzędzi do jej realizacji. Również niska świadomość społeczna i wiedza Polaków dotycząca m.in. położenia geograficznego, ścieżek aktualnego rozwoju, kulturowych ram społecznych zachowań, zróżnicowania kulturowego, społecznego czy etnicznego państw (biorców) z kontynentu azjatyckiego czy afrykańskiego oraz zawężenie listy państw biorców polskiej pomocy rozwojowej do kilku priorytetowych regionów, komplikują przełożenie zapisów na praktyczne działania i ich rezultaty, a tym samym progres. Osobnym pytaniem pozostaje utopijna natura tego typu edukacji, w przedmiocie której realizowane może być „wszystko” co uda się objaśnić jako treść jej przekazu.

Wokół pomocy rozwojowej narosło wiele mitów. W dyskursie publicznym pojawiają się tak argumenty nie mające poparcia w rzeczywistości, jak i kwestie ukazujące czarną stronę międzynarodowego pomagania „w białych rękawiczkach”, pułapki „fałszywego” humanitaryzmu, sprowadzające pomoc do transakcji dostawcy z nabywcą, „przemysłu pomocowego” czy realizacji postulatów „niezrównoważonego” rozwoju.

Również pomoc humanitarna, której celem jest chwilowe zażegnanie zaistniałego kryzysu, nie może w dłuższej perspektywie pomóc w rozwiązaniu napiętrzących się problemów. Dezaprobatę międzynarodowej pomocy kierowanej do beneficjentów w państwach kontynentu afrykańskiego wyraża w swej książce zambijska ekonomistka Dambisa Moyo stwierdzając, że pomoc humanitarna nie działa i nigdy w obecnym kształcie nie będzie działać, gdyż to ona stanowi problem.¹³ Trudno, jak pisze Dariusz Rosiak „znaleźć bezkrytycznych zwolenników pomocy, co jest wielkim osiągnięciem ludzi, zwłaszcza z krajów ubogich, którzy w ciągu ostatniej dekady pisali i mówili o tym, że przemysł pomocowy jest zabójczy dla rozwoju ich gospodarek, niszczy podstawową więź między rządzonymi a rządzącymi, na jakiej opierać się powinna każda władza, i utrzymuje setki milionów ludzi w trwałym uzależnieniu od Zachodu”¹⁴.

⁷ Genezę pomocy rozwojowej omawia: Jarecka-Stępień K., *Geneza i ewolucja pomocy rozwojowej*, [w:] Ł. Fyderek i in. (red.), *Wprowadzenie do problematyki pomocy rozwojowej*, Kraków 2010, ss. 21-59. Genezę polskiej pomocy rozwojowej przedstawia: M. Proczek, *Polska Pomoc Rozwojowa*, [w:] E. Latoszek (red.), *Pomoc rozwojowa dla krajów rozwijających się na przełomie XX i XXI wieku*, Oficyna Wydawnicza SGH, Warszawa 2010.

⁸ Szerzej o rozwoju jako nienaruszalnym prawie człowieka: Deklaracja ONZ o Prawie do Rozwoju, 1986, Artykuł 1 oraz: A. Sengupta, *The human right to development*, Oxford Development Studies, Vol. 32, June 2004.

⁹ Por. R. Wilkinson, K. Pickett, *Duch równości*, Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2011.

¹⁰ Więcej: Global Education Guidelines Concepts and Methodologies on global education for educators and policy Makers, Developed by the Global Education Week Network in coordination with the North-South Centre of the Council of Europe, Lisbon, 2008.

¹¹ Definicja MSZ, źródło: http://www.polskapomoc.gov.pl/Edukacja_razwojowa,695.html

¹² Forum Edukacji Rozwojowej postuluje się następującą definicją: „edukacja rozwojowa jest procesem aktywnego uczenia się, oparte o wartościach: solidarności, równości, włączania i współpracy. Sprawia ona, że ludzie przechodzą od podstawowej wiedzy o najważniejszych sprawach dotyczących rozwoju międzynarodowego i zrównoważonego rozwoju, poprzez zrozumienie przyczyn i skutków spraw światowych do osobistego zaangażowania i świadomego działania. Edukacja rozwojowa sprzyja pełnemu uczestnictwu wszystkich obywateli w usuwaniu ubóstwa na świecie, i walce z wykluczeniem. Jej zadaniem jest też wpływanie na to, aby polityka międzynarodowa i polityki w poszczególnych krajach były bardziej sprawiedliwe i bardziej oparte na równowadze ekonomicznej, społecznej i ekologicznej oraz na prawach człowieka”. Źródło: Instytut Globalnej Odpowiedzialności: <http://www.igo.org.pl/amigo/edukacja-rozwojowa.php>

¹³ D. Moyo, *Dead Aid: Why aid is not working and how there is another way for Africa*, Penguin Group, London, 2009.

¹⁴ D. Rosiak, *Jak nie pomagać Afryce*, „Rzeczpospolita” 07-01-2012, <http://www.rp.pl/artku/61991,787498-Jak-nie-pomaga-Afryce.html>

(Nie)efektywność pomocy i wielość aktorów jej udzielających (obecnie na świecie istnieje ponad 37 tysięcy międzynarodowych organizacji *non profit*) generuje potrzebę zmian dotyczących opracowania kryteriów skutecznej analizy oddziaływania, przemodelowania archaicznego sposobu planowania i implementacji, wiarygodnych intencji, przejrzystości podejmowanych akcji, długofalowej i spójnej wizji zaangażowania pomocowego w krajach globalnego Południa oraz zmiany niewydolnego systemu ewaluacji.

Analiza skuteczności działań pomocy rozwojowej pozwala dziś zaobserwować postępy w rozwoju beneficjentów kraju, nie daje jednak obiektywnych ocen wysiłków każdej z zaangażowanych organizacji pomocowych i nie uwzględnia niezależnych ocen ich starań i potrzeby ponoszenia odpowiedzialności za skutki działań realizowanych.¹⁵ Nie zawsze też udaje się wykryć finansowanie akcji, które szkodzą, zamiast pomagać. Badania prowadzone w Kenii i w Indiach¹⁶ pokazują, że instytucje i organizacje pomocowe „powinny (...) poszukiwać interwencji, które działają, posługując się oceną naukową tego, co działa.”¹⁷

CZY ZMIERZAMY W DOBRYM KIERUNKU?

Programy humanitarne nie zawsze idą w parze z bardziej trwałymi programami i projektami rozwojowymi. Łatwo można przekazać (przetransportować) artykuły pierwszej potrzeby: kuchenki, koce czy namioty uchodźcom do regionu ogarniętego wojną domową bądź dotkniętego suszą. Sztuką jest znalezienie i wdrażanie systemowych rozwiązań prowadzących do wygaszenia problemów, pokojowych *conflict solutions*, podejmowania działań zgodnych ze specyfiką danego miejsca przy znacznej pomocy (zaangażowaniu) ludności, której ten problem dotyczy.

Aktywizacja i wsparcie drobnych rolników – mieszkańców Mali w ich dążeniach do samostanowienia i stowarzyszania się w celu podejmowania walki o prawo do ziemi i jej uprawy pomogłaby napędzić lokalną gospodarkę i przyczyniłaby się do produkcji oraz konsumpcji rodzimej żywności. W kraju w większości utrzymującym się z rolnictwa gospodarkę napędzają drobni rolnicy. Dzięki ich pracy społeczeństwo staje się bardziej niezależne od importu i może inwestować o wiele więcej pieniędzy we własny rozwój. To istotny, rzadko podejmowany krok uniezależnienia od pomocy, w której ugrzęźli miliony pasterzy czy rolników. Tego typu przykłady można mnożyć. Wieloletnie „eksperymenty” pomocowe wskazują jednak dość klarownie, że mimo dobrych intencji zależność od pomocy zabija mechanizm samodzielności i przedsiębiorczości, niszczy lokalny rynek.

Pomoc kierowana do kraju biorcy powinna odpowiadać na faktyczne problemy mieszkańców. Zamiast zwalczać realne przyczyny głodu w Somalii czy Etiopii organizacje międzynarodowe obrały ważną, kluczową

w danym momencie, lecz najprostszą ścieżkę wsparcia. Zgodnie z przesłaniem zapewnienia *bezpieczeństwa żywnościowego* zaopatrywały głodujących ludzi w doraźną, podstawową pomoc żywnościową. Badania wykazały, że kluczową przyczyną braku żywności w Etiopii była polityka rządów polegająca na przymusowych wysiedleniach ludności.¹⁸ Operacje humanitarne nie mogą „uzależniać populacji od systemu pomocy, zakłócać funkcjonowania rynków handlowych, wystawiać korzystających z pomocy na ryzyko podczas jej otrzymywania, mieć zbyt dużego wpływu na środowisko i zasoby naturalne”.¹⁹

Specyfika obozów dla uchodźców w kompleksie Dadaab (państwa w państwie) pokazuje, że zastosowane czasowe rozwiązania uzależniają od pomocy i nie skutkują rezultatami długofalowymi. Mogą również paraliżować pomocową politykę rozwojową oraz rozwój społeczny w regionie, a niekiedy prowadzić do patologii.

Nie wszystkie programy pomocowe spełniają minimalne standardy humanitarne. Ideologia jednostronności pomocowej sprawia, że uchodźcy jako beneficjenci są pozbawieni podstawowych praw i możliwości aktywnego zaangażowania się w pomoc, co zmniejsza ich szanse na samowystarczalność i samodzielność w dalszej perspektywie czasowej. Tysiące ludzi pierwszego i drugiego pokolenia uchodźców zawieszonych w próżni, uzależnionych od pomocy humanitarnej i działań rozwojowych prowadzonych przez sztab pracowników NGOs, w warunkach obozowych próbuje organizować sobie namiastkę domu. Przenosząc i powielając wzory kultury projektują struktury oraz rozwiązania typowe dla kraju pochodzenia w miejscu przebywania. To może generować konflikty w środowiskach lokalnych oraz prowadzić do wewnętrznych nieporozumień i dewiacji społecznych. Dlatego tak istotne wydaje się zastąpienie działań *ad hoc* przedsięwzięciami opartymi o długofalowy plan, który skutkowałby poprawą jakości pomocy poprzez realizację pomocy programowej.

„Uszczęśliwianie siłą sprowadza, jak wykazuje rachunek, sto do ośmiuset razy więcej nieszczęść niż powstrzymanie się od wszelkiej aktywności”,²⁰ Parafrazując słowa Stanisława Lema, lepiej byłoby nic nie robić niż szkodzić. Jednak czy przy rozpedzonej maszynie uszczęśliwiania jest to dziś możliwe? O ile pomoc rozwojowa w dzisiejszym kształcie leży w interesie wybranych podmiotów o tyle efektywna pomoc rozwojowa jest w interesie wszystkich obywateli państw globalnej Północy, co czyni ją nie tylko moralnym zobowiązaniem, wynikającym z etycznego nakazu wsparcia słabszych (szczególnie gdy jest się często przyczyną ich trudnej sytuacji, będącej np. wynikiem procesów kolonialnych, dekolonizacji, skutków zimnej wojny czy oddziaływań międzynarodowej polityki gospodarczej).

Zastosowanie skutecznych rozwiązań i środków naprawczych może przyczynić się do niwelowania napływu do Europy rzesz sfrustrowanych migrantów traktowanych w kategoriach „ludzi zbędnych”, którzy

¹⁵ Pod znakiem zapytania pozostaje również perspektywa czasowa obejmująca rzeczywistość, długofalową efektywność działań pomocowych.

¹⁶ E. Duflo, M. Kremer, *Use of Randomization in the Evaluation of Development Effectiveness*, [w:] G. Pitman, O. Feinstein, G. Ingram (red.), *Evaluating Development Effectiveness*. World Bank Series on Evaluation, New Brunswick, NJ Transaction Publishers, 2005, ss. 205-232.

¹⁷ W. Easterly, *Brzemie białego człowieka*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa, 2008, s. 307.

¹⁸ D., *A Bed for the Night: Humanitarianism in Crisis*, New York, Simon and Schuster, 2002, s. 39-40.

¹⁹ Komunikat Komisji do Rady oraz Parlamentu Europejskiego z dnia 31 marca 2010 r. dotyczący „Pomocy humanitarnej w zakresie żywności” [COM(2010) 126 wersja ostateczna – nieopublikowany w Dzienniku Urzędowym].

²⁰ S. Lem, *Altruizyna, czyli opowieść prawdziwa o tym, jak pustelnik Dobrycy kosmos uszczęśliwić zapragnął i co z tego wynikło* [w:] Cyberiada, Kraków, Wydawnictwo Literackie, 2002, s. 201-223.

kierując się przykładem działań pomocowych realizowanych w ich krajach pochodzenia postrzegają Unię Europejską jako „Mekkę dobrobytu”.

Skuteczność i efektywność nowych rozwiązań, poparta pragmatyzmem i analizą tysięcy wdrażanych od dziesiątek lat praktyk pomocowych powinna również przyczynić się do zahamowania problemów związanych ze zmianami klimatycznymi,²¹ a powiązanych z procesami pomocowymi. W kontekście zmian klimatycznych i ich wpływu na funkcjonowanie człowieka warto poddać analizie statystyki i mapę głodu FAO²² oraz raporty OXFAM-u i Chatham House: Królewskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych *A Billion Hungry People* czy *The Feeding of the Nine Billion*.

Pałapka uszczęśliwiania na siłę skonstruowana na fundamencie własnego modelu pomagania, systemu wartości oraz modelu indywidualnej i społecznej szczęśliwości odzwierciedla się w roszczeniowym podejściu beneficjentów danego projektu, w ich apatii społecznej i eskalującej pretensjonalności. Przyzwyczajając do czasowego otrzymywania przyszłowiowej „ryby” niezależnymi od pomocy, osłabiamy ich wiedzę związaną z umiejętnym zarzuceniem „wędkę” i samodzielnym radzeniem sobie z przeciwnościami codzienności.

CUDZE – NASZE WŁASNOŚCI

Adam Leszczyński pisze, że „w Afryce nie sprawdzają się zachodnie recepty – ani gospodarcze, ani polityczne. Nigdy zresztą się nie sprawdzały, a próby ich stosowania przynosiły bardzo często efekty przeciwne do zamierzonych”.²³ W 2004 roku przebywając w Republice Środkowoafrykańskiej usłyszałam historię o negatywnych skutkach nieprzemyślanego, jednostronnego pomagania. Pewna europejska organizacja zebrała fundusze na szczytny cel: budowę szkoły podstawowej w jednej z wiosek ulokowanych w pasie lasu równikowego. Projekt był odpowiedzią na potrzebę dostępu dzieci do edukacji i zmniejszenie analfabetyzmu w regionie, gdyż popołudniami odbywać się tam miały zajęcia dla dorosłych. Budynek szkoły został wybudowany i oddany rodzicom i dzieciom przez Europejczyków w porze suchej. Kiedy nadeszła pora deszczowa, pod wpływem silnych opadów nieszczęsny dach zaczął przeciekać. Dyrektor szkoły powiadomił o problemie wolontariuszy, którzy pozostawali tam na kilkuletnim kontrakcie. Wolontariusze zwrócili się z prośbą o naprawę dachu do rodziców. Jednak dorośli zignorowali problem. Ogromna dziura w dachu uniemożliwiła prowadzenie lekcji. Na pytanie wolontariuszy, dlaczego nikt nie zareagował i w porę nie usunął przeszkody, starszyzna odpowiedziała: „skoro to biali zbudowali budynek, to biali powinni załatać dziurę w dachu”. Przytoczona historia wskazuje na potrzebę współpracy ze społecznością lokalną w przygotowaniu i realizacji działań w projektach infrastrukturalnych i miękkich, tak aby nie tworzyć barier i nie budować szkół, przychodni czy mieszkań, które po zakończeniu działań benefi-

cjenci potraktują jak hotele, za które nie będą się czuć odpowiedzialni.

Analizy podobnych przypadków związanych z budową studni, sprowadzaniem protez, tematyką szkoleń czy wdrażaniem nowatorskich rozwiązań edukacyjnych wskazują na potrzebę wprowadzania możliwych usprawnień i eliminację błędów oraz uwzględniania we wszystkich podejmowanych działaniach czynnika ludzkiego. Zza stosu dokumentów maszyny biurokratycznej niekiedy trudno dostrzec człowieka, nawet jeżeli stanowi centrum wszystkich zaprojektowanych działań. Niezbędne są działania wykluczające brak profesjonalizmu, nieadekwatne obranie priorytetów, niekompatybilne sprofilowanie instytucji, organizacji *non profit* czy nieumiejętność ograniczenia pola działań do jednego czy dwóch sektorów (zdrowie, edukacja, demokracja i prawa człowieka, ekologia, itd.) i specjalizowanie się we wszystkim. Problem jednak w tym, że aby tak się stało, potrzebne jest uczciwe dokumentowanie niepowodzeń i błędów w realizacji projektów oraz przejrzysty monitoring, nie mający charakteru wycieczki turystycznej.

W tym miejscu pojawia się pytanie o cechy dobrego projektu pomocy rozwojowej. Z pewnością taki projekt odpowiada na potrzeby środowiska beneficjentów, do których jest skierowany, bierze pod uwagę specyfikę kulturową, społeczną i polityczną (relacje międzyludzkie, relacje władzy, wartości, itd.), nie prowadzi do dychotomii, lecz opiera się na partnerskich i przepelnionych wzajemnym szacunkiem oraz zrozumieniem (jeżeli takie zrozumienie jest możliwe ze względu na odmiennosc) relacjach pomiędzy donatorem a stroną, której udzielana jest pomoc. Stara się korzystać z materiałów, zasobów i kapitału ludzkiego strony, do której kierowana jest pomoc, maksymalnie aktywizuje beneficjentów docelowych i środowisko odbiorców pośrednich. Stara się przewidzieć i wyeliminować wszelkie ewentualne negatywne skutki działań w jak najdalszej perspektywie czasowej. Z uwagi na zmiany klimatyczne i ochronę środowiska uwzględnia wielorakie powiązania między środowiskiem naturalnym a sposobem życia danej społeczności (np. nomadów w Rogu Afryki czy w krajach Afryki Środkowej). W niektórych regionach Rogu Afryki zdolność ludzi związana z radzeniem sobie z suszą została naruszona przez politykę zarządzania ziemią, która ogranicza dostęp do pastwisk i uniemożliwia wypasanie bydła oraz w wyniku działań pomocowych, których długoletnie mechanizmy trwania zachęciły i/lub zmusiły jednostki i grupy (nie mające większego wyboru) do udania się po pomoc do przepelnionych obozów dla uchodźców.

Dbłość o minimalizację śladu ekologicznego pomocy jest kluczowa z uwagi na sytuację w regionach, w których realizowane są projekty zakładające napływ produktów z zewnątrz.²⁴ Projekty to nie tylko pozytywna zmiana, bowiem w miejscach, w których utylizacja śmieci nie jest praktykowana, nieznana jest kultura ekologiczna, pozostawiają po sobie również trwałe ślady w postaci odpadów, stając się nowym elementem krajobrazu. Chodzi tu zarówno o niską świadomość społeczną i wiedzę o skali problemów oraz przewidywalnych skutkach działań, które w danym przedziale

²¹ U. Markowska-Manista, A. Niedźwiedzka-Wardak, *Wpływ zmian klimatycznych na życie mieszkańców krajów rozwijających się. Wokół problematyki wdrażania edukacji globalnej na uczelni wyższej*, [w:] L. Karski, I. Grochowska (red.), *Zmiany klimatu a społeczeństwo*, Wydawnictwo C. H. Beck, Warszawa 2010, ss. 241-255.

²² Mapa głodu FAO: <http://www.fao.org/economic/ess/food-security-statistics/fao-hunger-map/en>

²³ A. Leszczyński, *Afryka bez pomysłu. Czekając na cud*, „Polityka” nr 2470 / 2004-09-18, s. 13-17.

²⁴ Van Ypersele J.P., i in. (red.), *Changements climatiques. Impasses et perspectives*, Points de vue du Sud, CentreTricontinental, Vol. XIII, 2006.

czasowym przynoszą korzyść, jak i sytuację osób, których działania mają na celu pomoc i wsparcie poszczególnych grup i społeczności. Paradoksalnie, bowiem bezrefleksyjne działania mieszkańców biednych krajów przyczyniają się również do destabilizacji równowagi klimatu i dewastacji stanowiących bogactwo całej ludzkości dóbr przyrodniczych.²⁵

KTO CZERPIE KORZYŚCI Z POMOCY ROZWOJOWEJ?

Potencjalne korzyści, jakie niesie krajom donatorom realizacja działań pomocy rozwojowej, nie kończą się na możliwości wzajemnego uczenia się od siebie, poznawania kultur, przełamywania barier i stereotypów. Projektowane rozwiązania zawierające przekazywanie produktów (komputery, leki, żywność, ubrania) czy wdrożenia danej technologii (panele słoneczne, zbiorniki na wodę, zestawy do gotowania, przenośne minioalety, batony energetyczne, itd.) są ważną częścią poszukiwania nowych rynków zbytu. Niekiedy w myśl zasady „zmniejszania różnicy cywilizacyjnej, jaka dzieli państwa Afryki i Europy czy Ameryki Północnej” produkty używane, dary „dla biednych” przekazane misjonarzom czy fundacjom docierają do odbiorców z państw afrykańskich i tam zasilają śmietniska bądź miejskie rowy. Przykładem ofiar pomocy humanitarnej kierowanej w wyniku suszy są głodujący Somalijczycy, do których „trafiły preparaty przeczyszczające, kuracje odchudzające, środki zapobiegające zatwardzeniu oraz koce elektryczne”.²⁶

Niekiedy procedury przesyłania i przekazywania pomocy wiążą się z nadużyciami, w wyniku których państwa kontynentu afrykańskiego stają się śmietnikami przestarzałych, nie nadających się do użytku w Europie technologii czy rynkami zbytu produktów, które po pewnym czasie uzależniają rynek odbiorców, bądź degradują lokalną gospodarkę, wykluczając zasady sprawiedliwego handlu i przyczyniają się do destrukcyjnej polityki lokalnej względem środowiska naturalnego. Logika globalnej gospodarki zorientowana jest na każdego konsumenta, a „warunkiem *sine qua non* jej przetrwania” – jak pisze Zygmunt Bauman – „jest szybkie i wciąż przyspieszane odprawianie sprzedanych i nabytych produktów na wysypiska śmieci”.²⁷

Zdarza się, że w związku z realizacją infrastrukturalnych projektów rozwojowych powstają szkoły, choć po zakończeniu działań nie ma kadry, która mogłaby w nich prowadzić zajęcia lekcyjne. Sprowadzane są sprzęty kuchenne, odzież, choć taniej i z pożytkiem dla społeczności lokalnej byłoby wyprodukować je na miejscu i sprzedać miejscowym sklepikarzom, bądź zakupić od pobliskich handlarzy. Warto nadmienić, że część lokalnych produktów jest wytwarzana z naturalnych surowców, a przez to mniej szkodliwa dla człowieka i środowiska.

Przy akcjach pomocy humanitarnej w Rwandzie, Demokratycznej Republice Konga, Sierra Leone, Somalii słychać było o chronicznych zaniedbaniach i nieadekwatnym wsparciu oraz dylematach i bezradności pracowników organizacji. Nie każde działanie mające

charakter bezinteresownej pomocy nakierowane jest na ludzkie dobro pozbawione politycznych podtekstów czy finansowych motywacji.

Część pomocowych inwestycji realizowanych w Afryce określana jest dziś mianem biznesu. Konieczna wydaje się więc zmiana perspektywy postrzegania pomocy rozwojowej, która nie jest już dziewiczą dobroczynnością, lecz strategiczną inwestycją krajów rozwiniętych w krajach rozwijających się.²⁸ Przemodelowania wymaga importowana ideologia pomagania zastępująca wielokrotnie np. filozofię Ubuntu czy kontekstowo odbiegająca od przyjętych kodów kulturowych. Również dobór słownictwa pozwalającego zdiagnozować, w którym momencie w pomaganiu kończy się filantropia, a w którym rozpoczyna biznes wydaje się niezbędnym ogniwem procesu modyfikacji.

AKTORZY POMAGANIA

Istotne znaczenie dla skuteczności i pomyślniej realizacji oraz osiągnięcia długotrwałych rezultatów projektów rozwojowych ma angażowanie profesjonalistów – tak koordynatora jak i zespołu realizatorów poszczególnych działań. Ich doświadczenie, wiedza, kompetencje i umiejętności mogą przyczynić się do zainicjowania zamierzonych zadań w momentach kryzysowych. Po drugie, w przeciwieństwie do osób bez doświadczenia „fachowcy w terenie odkrywają projekty, które dostarczają prawdziwych korzyści ubogim”.²⁹ Wysyłanie dwudziestokilkuletniej kobiety do koordynacji biura i realizacji projektów w środowisku tradycyjnej, patriarchalnej społeczności zakładające codzienną konfrontację z kulturą, z którą wcześniej nie miała bezpośredniej styczności, nie jest krokiem profesjonalnym i przyczyniającym się do powodzenia działań. Wyzwania i dylematy realizacji projektów pomocowych w środowiskach zróżnicowanych kulturowo dotyczą zarówno osób pomocników przybywających z zewnątrz jak i społeczności biorców. Po zakończeniu projektu pracownicy i wolontariusze wraz z walizką doświadczeń powrócą do kraju pochodzenia, podejmując kolejne wyzwania, zaś beneficjenci pozostaną na miejscu z bagażem zdobytych doświadczeń i opinii.

Rokrocznie, jak wspomina Rosiak, wzrasta liczba „piratów humanitarnych”, których szeregi zasilają organizacje i jednostki. Ich działalność spotyka się głównie w państwach niewydolnych politycznie, o słabej władzy, która nie jest w stanie zastosować mechanizmów kontroli i rozliczeń realizowanych na jej terytorium przedsięwzięć.

Sam proces zarządzania różnorodnością kulturową bez przygotowania, niejako „po omacku”, kiedy dopiero na miejscu uczymy się kultury, odbija się na jakości pracy zespołu oraz relacjach z beneficjentami. Choć specyfika europejskiej pomocy prowadzi do realizacji działań zgodnie z regulaminem i sztywnymi ramami wniosku, to w fazie implementacji jednak mamy do czynienia z licznymi zaburzeniami i koniecznością modyfikacji działań. W tej wielokulturowej siatce powiązań i zderzeń odbiorcy – beneficjenci i dawcy kreują świat

²⁵ Fragment cyt. z: Markowska-Manista U., Niedźwiedzka-Wardak A., *Wpływ zmian klimatycznych...*, op.cit., s. 243.

²⁶ Poltman L., *Karawana kryzysu. Za kulisami przemysłu pomocy humanitarnej*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2011, s. 76.

²⁷ Bauman Z., *Kultura w płynnej nowoczesności*, Wydawnictwo AGO-RA S.A., Warszawa, 2011, s. 41.

²⁸ Por. L.Baj w rozmowie z Ngozi Okonjo-Iweala, *Pomaganie się optać. Polska powinna dzielić się z innymi*, Więcej! http://wyborcza.biz/biznes/1,101562,8992908,Pomaganie_sie_oplaca_Polska_powinna_dzielic_sie_z.html#ixzz24s8oC2ia

²⁹ W. Easterly, *Brzemień białego człowieka*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa, 2008, s. 149.

własnych wyobrażeń współpracy i wcielają go w życie doświadczając sukcesów oraz porażek. Powodzenia w implementacji zamierzonych działań nie da się zaplanować, mimo to ważne jest fachowe przygotowanie już na etapie planowania, by zminimalizować trudności i negatywne skutki działań oraz możliwość modyfikacji pewnych elementów projektu w trakcie jego realizacji.

Kluczowa w materii pomocy rozwojowej jest nie tylko diagnoza potrzeb i sytuacji czy analiza kulturowa, ale również długotrwała, udokumentowana współpraca z partnerami lokalnymi, jakość i przejrzystość relacji, w tym komunikacji międzykulturowej w obrębie zróżnicowanego narodowo i językowo zespołu. Istotne jest również lokowanie i napędzanie kapitału w środowisku realizacji projektu, co wiąże się z wydatkowaniem funduszy i zakupem produktów w kraju biorcy. Zakup żywności przez organizacje pomocowe na miejscu, w Mogadiszu podczas suszy w 2011 na pewien czas napędził koniunkturę i małymi krokami przyczynił się do poprawy sytuacji ekonomicznej części społeczności miasta.

Aby „paczka pozornego szczęścia” przewidziana na sześć kolejnych miesięcy trwania projektu pomocowego nie stała się puszką Pandory, niezbędne są działania aktywizujące i włączające kraje Południa w działania naprawcze i w obieg światowej gospodarki. To może odbywać się poprzez otwarcie rynków europejskich na tańsze produkty z krajów globalnego Południa, respektowanie zasad sprawiedliwego handlu (*fair trade*), wspieranie programów inwestycyjnych bądź umożliwienie państwom kontynentu afrykańskiego wejścia na światowe rynki finansowe.

Również „tworzenie przez UE i państwa członkowskie instrumentów finansowych *ad hoc* nie sprzyja przejrzystości i spójności unijnego systemu pomocowego; szczególnie jest to widoczne w Afryce, gdzie mamy do czynienia z prawdziwą mozaiką różnego rodzaju ram politycznych oraz instrumentów i programów pomocowych”.³⁰

Pomoc rozwojowa potrzebuje modernizacji i ewaluacji, na co w raporcie *Polska współpraca rozwojowa 2010* zwracają uwagę organizacje pozarządowe stowarzyszone w Grupie Zagranica. Potrzeba dokonania zmian (nowa jakość ale stare błędy) obejmuje również proces monitorowania oraz usprawnienie narzędzi niezbędnych do diagnozowania jej jakości i rezultatów. Wymaga również współpracy z uczelniami wyższymi, placówkami badawczymi, a więc obecności i zaangażowania krajowych i zagranicznych badaczy, specjalistów w danej dziedzinie wiedzy i w płaszczyźnie interdyscyplinarnej.³¹ Podejmowanie współpracy pomiędzy instytucjami wdrażającymi projekty pomocowe oraz ośrodkami naukowymi i korzystanie z dorobku badaczy, wyników ich badań, metodologii i technologii zwiększa szansę trwałości projektu i osiągnięcia zakładanych rezultatów. Współpraca międzysektorowa pozwala uniknąć wielu błędów już na starcie, przed

przygotowaniem projektu, którego idea z założenia jest cenna sama w sobie.

POLACY O POLSKIEJ POMOCY ROZWOJOWEJ

Prowadzone na zlecenie MSZ w ostatnich latach badania obrazują stosunek Polaków do polskiej pomocy rozwojowej. Wyniki badań z 2009 roku wskazują, że zdecydowanie większość (83 proc.) Polaków zgadzała się z twierdzeniem, że Polska powinna udzielać pomocy rozwojowej krajom słabiej rozwiniętym. 28 proc. zgadzało się z tym zdecydowanie, a dalsze 55 proc. raczej się zgadzało. Tylko 12 proc. respondentów było przeciwnych polskiej pomocy rozwojowej, w tym 4 proc. zdecydowanie, zaś 5 proc. badanych nie miało na ten temat zdania.³²

Badania OBOP z 2011 roku wskazują, że większość (78 proc.) ankietowanych Polaków wyraża przekonanie, że Polska powinna wspomagać rozwój państw słabiej rozwiniętych.³³ To w porównaniu z wynikami z 2004 roku zdecydowanie większa grupa (polską pomoc rozwojową popierało wtedy 63 proc. respondentów), jednak mniejsza niż w 2008 roku (84 proc.).

Badani popierający zaangażowanie Polski w pomoc rozwojową w 2011 roku są zdania, że mamy moralny obowiązek pomagać krajom biedniejszym (52 proc.). Na drugim miejscu uplasowała się odpowiedź, że skoro bogatsze państwa nam pomagały, to teraz my powinniśmy pomóc państwom biedniejszym (42 proc.). Ponad połowa badanych uważa, że Polska powinna przede wszystkim pomagać krajom Afryki (59 proc.). Na drugim miejscu z mniejszą częstotliwością wymieniane są Ukraina i Białoruś. Polska powinna je wspomagać zgodnie z opinią 25 proc. respondentów. Wśród argumentów przeciwników udzielania przez Polskę pomocy rozwojowej znalazły się m.in.: „Polska jest krajem zbyt biednym, by pomagać innym”, „powinniśmy najpierw rozwiązać nasze własne problemy” (po 62 proc.).

Istotne są również dane dotyczące dostępu do informacji o pomocy rozwojowej. 40 proc. ankietowanych miało w ciągu ostatnich dwóch, trzech miesięcy styczność z informacjami o pomocy Polski kierowanej do innych krajów. Telewizja była najważniejszym źródłem informacji o pomocy udzielanej przez Polskę innym krajom dla 86 proc. osób, które miały kontakt z takimi informacjami. Badania wykazały, że w 2011 roku Polacy najczęściej mieli kontakt z informacjami o pomocy dla Afryki (23 proc.) oraz ofiar kataklizmów (22 proc.). 16 proc. spośród badanych spotkało się z ogólnymi informacjami o pomocy humanitarnej i pomocy kierowanej do ubogich. W porównaniu z 2010 rokiem z 85 do 90 wzrosła przeciętna liczba państw, które uważane są za biedniejsze od Polski. Postrzegamy swoją sytuację wyraźnie lepiej niż w 2005 roku, kiedy średnia liczba biedniejszych państw szacowana przez respondentów wynosiła 79.

Wśród największych wyzwań stojących na drodze rozwoju krajów słabiej rozwiniętych jest zdaniem Polaków dostęp do wody pitnej (54 proc.). Ponad dwie piąte (42 proc.) respondentów wskazało choroby zakaźne (w tym HIV/AIDS). Niewiele mniej (39 proc.) wymie-

³⁰ P. Bagiński, *Polityka współpracy rozwojowej Unii Europejskiej w kontekście polskiej prezydencji w Radzie UE w 2011 r. Przewodnik dla Posłów i Senatorów*, PAH, Warszawa, Wydanie I, 2011, s. 60.

³¹ Por. *Nauka Dla Polskiej Pomocy Rozwojowej. Krótki przewodnik dla pracowników instytucji naukowych i badawczych oraz realizatorów projektów rozwojowych*, Fundacja Partners Polska 2009. 6 lutego 2009 r. w Warszawie odbyła się konferencja *Nauka dla pomocy rozwojowej*, której celem było nawiązanie współpracy między instytucjami wdrażającymi projekty pomocowe oraz ośrodkami naukowymi.

³² Wyniki badania TNS OBOP dla Ministerstwa Spraw Zagranicznych, na zlecenie Departamentu Współpracy Rozwojowej MSZ, Warszawa, grudzień 2009, s. 6.

³³ Wyniki badania TNS OBOP przeprowadzonego w dniach 17–21 listopada 2011 roku na zlecenie Departamentu Współpracy Rozwojowej Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

niło niezdolność do wytworzenia wystarczającej ilości żywności, a co trzeci ankietowany wskazał na konflikty zbrojne i inne konflikty wewnętrzne.

W porównaniu z ubiegłymi latami obserwowalny jest nieznaczny spadek poparcia dla udzielania przez Polskę pomocy rozwojowej innym krajom. Może to mieć związek z obawami o własną sytuację materialną wynikającymi z kryzysu ekonomicznego.³⁴ Nie mamy też długich tradycji pomagania. Dla przykładu podajmy, że całkowita wartość pomocy zagranicznej (wydatki kwalifikowane jako ODA) udzielonej przez Polskę w 2009 roku wyniosła 1.158 mln PLN (372,69 mln USD), czyli 0,09 proc. DNB natomiast w 2010 roku wyniosła 1,139 mld PLN (377,42 mln USD), czyli 0,08 proc. DNB. W Wielkiej Brytanii natomiast w latach 2004/2005 na rozwój przeznaczano 0,4 proc. PKB. W roku 2013 ten wskaźnik ma wzrosnąć do poziomu 0,7 proc. PKB.³⁵

DYLEMATY POMAGANIA

Do największych przeszkód w realizacji dobrych projektów pomocowych należy krótka perspektywa czasowa grantów powiązana z obowiązkiem zamknięcia wydatkowania funduszy publicznych w danym roku budżetowym. Drugą przeszkodą jest pojawiająca się neutralna treść sprawozdań z projektów, nie odzwierciedlająca doświadczeń w toku ich realizacji problemów i barier. Owa nieobecna w raportach sprawozdawczych treść przekłada się na brak wiedzy o konieczności modyfikacji procedur grantowych. Wyścigom o granty, rywalizacji o beneficjentów towarzyszą niekiedy skomplikowane problemy natury etycznej, brak zdystansowania i racjonalnego spojrzenia na wysiłek, jakiego wymaga podjęcie realizacji danego działania w zupełnie odmiennym środowisku.

Poszukiwanie nowej koncepcji rozwoju nie jest żadnym *novum*, to cecha charakterystyczna dla kilku ostatnich dziesięcioleci. Efektywność międzynarodowej współpracy na rzecz rozwoju staje się więc coraz ważniejszym zagadnieniem. Jest rozpatrywana, jak pisze Bartosz Sobotka, „przez pryzmat komplementarności i podziału pracy, które na przestrzeni ostatnich lat przybrały postać katalogu następujących zasad: własności, dostosowania, harmonizacji, wspólnej odpowiedzialności oraz zarządzania opartego na wynikach, a ich przestrzeganie ma przyczynić się do wyeliminowania ubóstwa na świecie”.³⁶

Jednak wiele słuszych założeń i wniosków wynikających z procedur i praktyk organów międzynarodowych zajmujących się pomocą rozwojową, nie jest realizowanych w praktyce lub nośne hasła i związane z nimi działania *pro poor growth* (rozwój na rzecz ubogich) nie zawsze odnoszą zamierzony skutek. Nie zawsze też w zastanych warunkach możliwa jest jakakolwiek poprawa sytuacji i realizacja MDG, co pomimo wdrożonych działań obrazuje utrzymująca się niska poprawa warunków sanitarnych, niska przeżywalność dzieci i utrzymująca się na bardzo wysokim poziomie

w wielu częściach świata śmiertelność matek. Najsmutniejszym paradoksem pomocy rozwojowej jest to, że MDG są wzajemnie sprzeczne i niemożliwe do realizacji szczególnie przy założeniu nie ingerowania w kulturę danej społeczności (np. zahamowanie umieralności dzieci i kobiet bez ograniczenia dzietności spowoduje niespotykane dotąd w danym miejscu problemy związane z przeludnieniem).

Mija 12 lat od przyjęcia Milenijnych Celów Rozwoju (MDG) wyznaczonych w Deklaracji Milenijnej ONZ z 2000 roku.³⁷ Wyznaczają one kierunki rozwoju w ośmiu kluczowych obszarach: ubóstwa oraz głodu, szkolnictwa podstawowego, równouprawnienia kobiet, śmiertelności dzieci, zdrowia matek, walki z chorobami, środowiska naturalnego oraz globalnego partnerstwa na rzecz rozwoju. Bilans dokonań na polu dążenia do ich realizacji (zakończenie przewidziano na rok 2015) jest raczej negatywny, a w niektórych obszarach wciąż utrzymuje się sytuacja kryzysowa. Tu pojawia się pytanie o skuteczność pomocy rozwojowej i systemowość działań zmierzających do jej poprawy.³⁸

Słowa-klucze o nośnej treści: międzynarodowa współpraca na rzecz rozwoju, pomoc rozwojowa, efektywność pomocy, Milenijne Cele Rozwoju (MDG) zawarte są w opisie niemal każdego projektu nakierowanego na działania wspierające beneficjentów w krajach rozwijających się na kontynencie afrykańskim. Nie zawsze jednak ich interpretacja i rozumienie zgodne z europejską wykładnią są możliwe do przełożenia i zastosowania w specyficznym środowisku beneficjentów, bez uszczerbku w relacjach, bądź konfliktów w grupach, do których owe rozwiązywania nie zostały skierowane. Przykładem są projekty kierowane od 1991 roku do uchodźców w jednym z największych na świecie kompleksów obozów dla uchodźców w Dadaab (Kenia), nie uwzględniające sytuacji rdzennych mieszkańców Dadaab. Kompleks Dadaab jest obecnie domem dla trzech pokoleń uchodźców somalijskich. Uchodźcy z terenów Somalii stanowią tam według danych OCHA z 2011 roku ok. 90 proc. wszystkich mieszkańców. „W 1991 r. pierwsi uchodźcy ułożyli sobie relacje z mieszkańcami Dadaab według tradycyjnych praw. Przemęcały ich obie strony: za złamanie kogoś ręki płacono 1500 kenijskich szylingów (ok. 12 euro), za gwałt – cztery krowy lub »odszkodowawcze« małżeństwo z ofiarą. Ale wraz z napływem coraz większej liczby ludzi pojawiały się nowe problemy, których nie daje się tak łatwo rozsądzić: wycinanie lasów i zużywanie wody, kradzieże zwierząt lub wypasanie swoich na terenach należących do miejscowych. W obozach wzrosła przestępczość, a Kenijczycy zaczęli oskarżać uchodźców o wojenne dziedziczenie. – Tylko w tym roku zabito w obozach 21 osób. (...) Większość przestępstw popełniają młodzi ludzie, dla których nie ma ani szkół, ani pracy”.³⁹ Codziennosc miejscowości i pobliskich obozów odświeżania formy różnicowania, dyskryminacji oraz wykluczenia

³⁴ Na podstawie nieprzetworzonych i/lub częściowo przetworzonych danych uzyskanych z Departamentu Współpracy Rozwojowej badań TNS OBOP przeprowadzonych w dniach 17–21 listopada 2011 r na zlecenie DWR Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

³⁵ *Eliminating world poverty - making governance work for people*, DFID 2006.

³⁶ B. Sobotka, *Efektywność pomocy rozwojowej*, Annales UMCS Sectio K: Politologia, tom XVI.2/2009, s. 163.

³⁷ Deklaracja Milenijna Narodów Zjednoczonych przyjęta 8 sierpnia 2000 roku.

³⁸ Pisze o tym: P. Bagiński, *Problemy skuteczności pomocy rozwojowej i działania zmierzające do jej poprawy*, [w:] P. Bagiński, K. Czapliska, J. Szczyciński (red.), *Międzynarodowa współpraca na rzecz rozwoju*, Polskie Wydawnictwo Ekonomiczne, Warszawa 2009, ss. 161-186.

³⁹ Fagotto M., *Ziemia głodnych ludzi*, „Gazeta Wyborcza”, 28 sierpień 2011, http://wyborcza.pl/1,76842,10106999,Ziemia_glodnych_ludzi.html

społecznego nie tylko młodych somalijskich uchodźców, ale również dzieci i miejscowej młodzieży, obywateli zamieszkujących w północno-wschodniej prowincji Kenii. W regionie, w którym znajduje się kompleks obozów, na jednego lokalnego mieszkańca przypada obecnie trzech uciekinierów z Somalii, a różnice w poziomie życia i dostępie do dóbr są niekiedy znaczące, co powoduje migrację młodych ludzi do obozów.

Pomoc kierowana do obozu jest niezbędna, lecz uzależniona. Dane pracowników UNESCO z 2011 roku wskazują, że ponad 7 tysięcy dzieci urodzonych w Da-daab w ciągu 20 lat istnienia kompleksu nie poznało innego życia niż obozowe. Obozy dla uchodźców to swoiste *terra nullius*, których mieszkańcy – nie mając możliwości powrotu do ojczyzny – nie mają prawa opuszczać.

REŻYSERIA POMOCY

Asymetryczna problematyka rozwoju zajmuje ważne miejsce w polityce międzynarodowej. Między innymi za sprawą nowoczesnej technologii informacyjnej staliśmy się bezpośrednimi świadkami procesów zachodzących w najbardziej odległych regionach świata, co zobowiązuje nas – obywateli demokratycznych państw rozwiniętych – do zabierania głosu w obronie uciskanych, marginalizowanych, dyskryminowanych.

Pomoc rozwojowa kierowana z zewnątrz i realizowana przez zespoły pracowników z państw Europy czy Ameryki Północnej w krajach globalnego Południa jest coraz częściej traktowana z dużą podejrzliwością. Z jednej strony gwarantuje otwarcie na świat, dopływ środków na realizację istotnego dla rozwoju danej społeczności zadania, działania mające na celu wprowadzenie pożądanej zmiany. Z drugiej, jawi się jako czynnik izolujący, zaburzający relacje i wewnętrzne międzyetniczne funkcjonowanie, dezintegrujący otoczenie społeczno-kulturowe, które nie jest bezpośrednio zaangażowane w działania projektowe np. w odniesieniu do europejskiej wizji demokracji czy praw człowieka. Jest również postrzegana jako zadanie, które może się łatwo wymknąć i w różnorodnych sytuacjach wymyka się spod kontroli.⁴⁰ Linda Polman w książce *Karawana kryzysu...* pisze o przemyśle pomocy humanitarnej, który (niekontrolowany) zezwala na przekraczanie i łamanie praw. Dziennikarka opisuje przypadki wywożenia za granicę i adopcji okaleczonych dzieci, po amputacji kończyn z obozu w Sierra Leone. Pomimo iż część dzieci miała rodziców (co było gwarantem ich pozostania w obozie), zostały zabrane za granicę, gdyż zdaniem przedstawicieli organizacji humanitarnych tylko tam mogły uzyskać fachową pomoc i leczenie.⁴¹

Innym przykładem naruszeń towarzyszących pomocy humanitarnej i rozwojowej są medialne manipulacje biedą i ułomnością poszkodowanych: „Przybywający dyplomaci kazali się fotografować w momentach okazywania ofiarom współczucia” a „dziennikarze z całego świata rzucili się na historie okaleczonych jak pitbulle na stadko przedszkolaków”.⁴² Reklama z okaleczonymi dziećmi, na wpół nagimi, wychudzonymi uciekinierkami tulącymi do wychudłych piersi dziecko, rozpaczającymi

po stracie bliskich kobietami staje się dzwignią humanitarnego handlu, napędza koniunkturę. Jest częścią gorączki medialnej powodowanej presją okoliczności, gdyż nie wszyscy mogą pojawić się na czas na miejscu kataklizmu, który tak jak nagle się pojawił, równie szybko zniknie. Głód, gwałt, masakra i wojna to najlepiej sprzedające się i kupowane obrazy i informacje w świecie zachodniej konsumpcji.

Nie każdy może też sprzedać dochodowe zdjęcie na rynku medialnym. Jednak to „fotograf jest właścicielem zdjęcia. On wybiera odpowiedni moment. (...) Robienie 3000 zdjęć nie ma sensu. Wystarczą dwa albo trzy zdjęcia. Dlatego trzeba wybierać najcięższe przypadki. (...) Temu maluchowi wystają żebra. Oglądając je można od razu pojąć powagę sytuacji. Takie zdjęcia się sprzedają. Musicie umiejętnie wybierać tematykę fotografii”. To fragment dialogu z filmu *Enjoy Poverty* R. Martensa, w którym autor odsłania m.in. kulisy ubóstwa ludności w Demokratycznej Republice Konga. Ubóstwo traktowane jest zdaniem Martensa w kategoriach zasobu naturalnego krajów uznanych za ubogie i w kategoriach produktu konsumpcyjnego w krajach uznanych za bogate.

W humanitarnej gospodarce biedy i wojny zdjęcie niedożywionego dziecka wielokrotnie przebija cenę ślubnej fotografii. W zamieszczonym zdjęciu do artykułu *Starvation pornography: How many skinny babies can you show me?*⁴³ kobieta trzyma niedożywione dziecko. Scena rozgrywa się 13 lipca 2011 roku na oddziale szpitala w dzielnicy Wajir, 800 km (500 mil) na północ od Nairobi, stolicy Kenii. W tle, jak pisze autorka, słychać głos brytyjskiego producenta: „Podnieś rękę, abyśmy mogli zobaczyć jak ono jest wychudzone”. W cywilizacji obrazu to fotografia wygrywa ze słowem sprawiając, że zapamiętujemy nastrój, tło i twarze.

Niezrozumienie kontekstów, różnic i położenia danej grupy ludności czy sytuacyjności prowadzić może do strachu przed innością i mniejszościami.⁴⁴ Jednostronne wizerunki ukazujące owych odległych Innych i Obcych chwytają za serce, zmuszają do podjęcia naprawczych rozwiązań, ale zafatyszowują i wypaczają rzeczywistość dehumanizując całe grupy, społeczności i populacje, których przypadkowi reprezentanci figurują na fotografiach. Ci biedni, głodni, ginący w bezsensownych i barbarzyńskich konfliktach i wojnach ludzie jawią się więc jako „bezwolne stworzenia” w dużej mierze same winne swojemu losowi. Ich naturalistyczne wizerunki wplecione w cykl reklam bądź programów informacyjnych nie prowokują. Mówiąc w skrócie, kraje globalnego Południa akceptują wizerunki pomocy i implementują je na większe zbiorowości mieszkańców danego kraju bądź kontynentu. Wzbudzenie litoski skutkując krótkotrwałym zainteresowaniem i szczerzejszą ręką nie prowadzi w konsekwencji do niczego dobrego. Nie wszyscy możemy pojechać i zobaczyć z bliska rzeczywistość poszkodowanych w wyniku suszy, wojny domowej czy ludobójstwa. Nie jest to jednocześnie rozwiązane konieczne i pożądane w świecie, w którym przysługuje nam prawo do rzetelnej informacji.

⁴⁰ Pomoc bywa kierowana do krajów źle zarządzanych, w których - z uwagi na korupcję - dochodzi do zaprzepaszczenia znacznej części środków i/lub uzależnienia od pomocy (*aid disease*).

⁴¹ Polman L., *Karawana kryzysu*, op.cit., s. 89-126.

⁴² Polman L., *Karawana kryzysu*, op.cit., s. 92-93.

⁴³ K. Migiro, *Starvation pornography: How many skinny babies can you show me?* 18 July 2011: <http://www.trust.org/alertnet/news/starvation-pornography-how-many-skinny-babies-can-you-show-me/>

⁴⁴ Por. A. Appadurai, *Strach przed mniejszościami. Esej o geografii gnienu*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2009.

W wyścigu o fundusze słowo i obraz konkurują ze sobą, walczą o uwagę widza, słuchacza, czytelnika. Mając świadomość tego oraz uwzględniając obecną praktykę Instytut Globalnej Odpowiedzialności w ramach programu pomocy zagranicznej Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP w 2008 r. przygotował poradnik *Jak mówić o większości świata* zawierający omówienie *Kodeksu postępowania w sprawie obrazów i wiadomości*⁴⁵. Jest to kompendium wiedzy o zasadach rzetelnego informowania o krajach i mieszkańcach Globalnego Południa skierowane do teoretyków i praktyków, pracowników organizacji zajmujących się edukacją globalną, współpracą rozwojową, krajami globalnego Południa, akcjami pomocowymi i projektami rozwojowymi.

Państwa Globalnego Południa nigdy nie stanowiły i obecnie – mimo nazwy – nie stanowią jednorodnej grupy. Różnice w ich funkcjonowaniu, regionalnej aktywności i obecności na międzynarodowej arenie są widoczne w wielkości i jakości otrzymywanej pomocy humanitarnej i rozwojowej, a także w stopniu realizacji poszczególnych MDG i podejmowaniu wyzwań rozwojowych. Zmiany i przeobrażenia, jakie zachodzą w wyniku współpracy międzynarodowej dotyczącej kwestii ekonomicznych czy społecznych, dokonują się na wiele sposobów i pod wpływem różnorodnych uwarunkowań. Również priorytety i problemy rozwojowe poszczególnych państw globalnego Południa na kontynencie afrykańskim uwarunkowane są wieloma zróżnicowanymi czynnikami, których nie można pominąć projektując wsparcie. Zagadnienia rozwojowe kluczowe dla państw biorców pomocy w Rogu Afryki, czy w Afryce Środkowej związane są z podstawowymi potrzebami człowieka, stanowiącymi punkt wyjścia do analiz i rozważań dotyczących ich rozwoju społecznego, politycznego, kulturowego. W dalszej mierze dotyczą kontekstów, otoczenia i temporalności oraz kwestii wyznaczających indywidualne możliwości rozwoju w danym środowisku.⁴⁶

O zależności i nierówności globalnej oraz o wyzwaniach rozwojowych współczesnego świata mówi się wiele. Coraz częściej głosy te podnoszone są w związku z realizacją projektów pomocy rozwojowej. Pomimo podejmowanych działań realia społeczne, gospodarcze, kulturowe czy polityczne państw rozwijających się lub przechodzących transformację ustrojową nie są wystarczająco znane i rozpoznawane przez wiele odpowiedzialnych za projekty rozwojowe i pomocowe instytucji i organizacji pozarządowych. Same procesy rozwojowe dokonujące się w krajach biorcach pomocy wpisanych na listę ODA⁴⁷ bardzo często pokazywane są w kontekście szerszych wydarzeń politycznych, zaś ocena poziomu rozwoju danego kraju bywa związana z polityką w stosunku do danego regionu. Równie problematyczne pozostają kwestie spójności polityki na rzecz rozwoju (*policy coherence for development, PCD*) stanowiące nieodłączny element agendy efektywności. Wprowadzenie zasad PCD, jak wskazuje Sobotka, „wymaga bowiem podjęcia działań wykracza-

jących daleko poza program pomocy rozwojowej *sensu stricto* i dokonania umiejętnych dostosowań w zakresie polityki handlowej, rolnej, ekologicznej, inwestycyjnej, migracyjnej oraz w zakresie bezpieczeństwa”⁴⁸.

Pomoc dla mieszkańców krajów biorców nie będąca pomocą uzależniającą jest ważna dla ich rozwoju. Wiele z realizowanych np. na Kaukazie Południowym czy byłych krajach ZSRR projektów jest kluczowych dla dalszego rozwoju lokalnych społeczności i przyczynia się do podnoszenia standardów życia oraz aktywizacji mieszkańców danego obszaru. Czy jednak dokonujemy oceny wpływu, aby uzyskać informacje jak (o ile) wpływają one na długofalowy rozwój krajów biorców?

W raporcie Banku Światowego i Międzynarodowego Funduszu Walutowego z 2008 roku wskazano, że większości państw na kontynencie afrykańskim nie udało się osiągnąć zakładanych Milenijnych Celów Rozwoju. Cel nr 1 „wyeliminowanie skrajnego ubóstwa i głodu poprzez zmniejszenie o połowę liczby ludzi, których dochód nie przekracza 1 dolara dziennie” do roku 2015 najprawdopodobniej nie zostanie zrealizowany, choć w wielu państwach Afryki Subsaharyjskiej dokonuje się znaczący wzrost gospodarczy. Zredukowanie poziomu skrajnego ubóstwa o połowę nie jest możliwe w krajach o tak znacznych dysproporcjach społecznych jak Demokratyczna Republika Konga, Sierra Leone, Republika Środkowoafrykańska, Uganda czy Sudan Południowy. Różnice te uwidaczniają się w inflacji, podwyżkach cen żywności, poziomie dochodu narodowego, stopie bezrobocia, dostępie do praw i ich respektowaniu, swobód obywatelskich osób przynależących do różnych grup etnicznych, dostępie do wody pitnej, służby zdrowia, leków, edukacji czy dóbr kultury.

Kolejnym ważnym czynnikiem jest asymetryczność społeczno-ekonomiczna – stale pogłębiające się dysproporcje pomiędzy państwami bogatej Północy a państwami biednego Południa (te przemiany zachodzą też wewnątrz państw). Zdłużone, dotknięte kryzysem państwa kontynentu afrykańskiego nie były i nie są w stanie zadbać o swoich obywateli. To skutkuje spadkiem tempa rozwoju gospodarczego i zmniejszeniem się PKB.

Warto jednak nadmienić, że nie wszystkie państwa afrykańskie korzystają i chcą korzystać z dobroczynnych działań państw globalnej Północy. Rozwój warunkowany wolnym rynkiem zostaje zahamowany długotrwałą pomocą zagraniczną i kredytami, które po okresie kolonialnym otorbiły większość państw afrykańskich.

W wielu krajach określanymi jako nierozwinięte trudno zauważyć jakiegokolwiek postępy czy choćby przełom związany z realizacją MDG. Ich społeczności, które od dłuższego czasu borykają się z problemem niedożywienia i zwiększonej śmiertelności, nie zawsze, wskutek eskalacji konfliktów czy trwających wojen domowych, zerwanych stosunków dyplomatycznych i związanych z tą sytuacją zagrożeń, mogą liczyć na wsparcie pomocowe (Somalia). Problemатyczne pozostaje również kryterium doboru krajów docelowych pomocy i współpracy, które w wielu konkursach nie obejmuje wszystkich państw biorców pomocy znajdujących się w zestawieniach krajów niedemokratycznych Freedom House i DAC OECD.

⁴⁵ <http://www.igo.org.pl/pobierz/kodeks-w-sprawie-obrazow-i-wiadomosci-dot-krajow-poludnia.pdf>

⁴⁶ Por.: Wprowadzenie [w:], K. Górak-Sosnowska (red.) i in., *W stronę rozwoju. Drogi Azji i Afryki*, ibidem, Łódź 2009, s. 8.

⁴⁷ Lista biorców pomocy rozwojowej według OECD DAC: <http://www.msz.gov.pl/files/docs/konkursy/20090226POMOC/Lista%20ODA.pdf> Lista państw - biorców pomocy ODA liczy ok. 150 państw, to zdecydowana większość krajów świata. Polska również należała do tej grupy państw.

⁴⁸ B. Sobotka, *Efektywność pomocy rozwojowej*, op.cit., s. 171.

PRIORYTETY POLSKIEJ POMOCY

Niewielka ilość środków, jakimi dysponuje polska pomoc, ogranicza wsparcie wybranych państw związanych z priorytetami polityki zagranicznej Polski. Dotychczasowe działania – jak wynika z dyskusji nad projektem ustawy o pomocy rozwojowej i projektem planu wieloletniego – były prowadzone zbyt szeroko.

W roku 2011 MSZ we współpracy z częścią organizacji *non profit* (były to chętne do udziału w konsultacjach społecznych organizacje zrzeszone głównie przy Grupie Zagranica) przygotowywało nowe zasady rozdzielania pomocy. Jednym z zastosowanych kryteriów jest ważności dla Polski krajów biorców ze względów politycznych czy historycznych. W toku działań został również przygotowany dokument z ostateczną listą priorytetów, który ma stanowić podstawę funkcjonowania pomocy rozwojowej przez najbliższe kilka lat oraz plan współpracy rozwojowej MSZ na rok 2012. Warto zaznaczyć, że w 2010 roku nastąpiło niewiele zmian strategicznych, które przełożyłyby się na wzrost ilości i jakości polskiej pomocy kierowanej do państw biorców.

W dokumencie zostały określone regiony priorytetowe dla polskiej pomocy rozwojowej. Pierwszym z nich są państwa Partnerstwa Wschodniego. Projekty kierowane do tej grupy powinny uwzględniać działania pośrednio przyczyniające się do wzmacniania demokracji i społeczeństwa obywatelskiego oraz szeroko rozumianej poprawy bytu mieszkańców. Drugim regionem, w którym zaplanowano działania na rzecz szeroko rozumianej poprawy bytu mieszkańców są państwa Afryki Wschodniej⁴⁹, kilka biedniejszych państw Azji Środkowej i Autonomia Palestyńska.

Aktualny podział nie uwzględnia wszystkich postulatów, jakie pojawiły się w toku negocjacji. Jako kraj UE nie jesteśmy w stanie pomagać wszędzie, gdzie byłoby to pożądane; nie na tym opiera się specyfika pomocy rozwojowej. Czy założenia, skuteczność i przejrzystość naszej pomocy są jednak skorelowane z wcześniejszą obecnością i aktywnością Polski, a więc doświadczeniem i współpracą w regionach priorytetowych? Każdy akt pomagania wiąże się przecież z wieloma czynnikami ułatwiającymi bądź utrudniającymi realizację założonych celów. Od ponad dziesięciolecie – jak wskazuje Paweł Bagiński, „uczestniczymy w spotkaniach dawców pomocy na forum ONZ, OECD, a od 2004 r. Unii Europejskiej. Na kolejnych konferencjach (Paryż, Akra i Busan) zgadzamy się, że trzeba dostosować wsparcie do potrzeb krajów rozwijających się oraz w pierwszej kolejności wykorzystywać lokalne zasoby i instytucje, a także, że należy zapewnić przejrzystość pomocy i planować ją długoterminowo, uproszczyć procedury, wreszcie zwracać uwagę na długoterminowe skutki działań pomocowych. I dalej, nie wiedzieć czemu, robimy wszystko po swojemu”.⁵⁰

ZAMIAST ZAKOŃCZENIA

Obecnie największym donorem pomocy rozwojowej na świecie pozostaje Unia Europejska. Pomoc bilateralna skierowana do całej Afryki w ramach ODA w roku 2009 wyniosła 27 mld USD (w tym dla Afryki

Subsaharyjskiej – 24 mld USD). Natomiast wielostronna pomoc organizacji międzynarodowych wyniosła około 16 mld USD (zdecydowana większość została skierowana do subsaharyjskiej części kontynentu). 65 proc. wszystkich środków przekazała Unia Europejska (sześć z 10 największych darczyńców ODA w Afryce to kraje członkowskie UE).⁵¹ Jak wynika z dyrektyw unijnych, co najmniej połowa dodatkowych środków na pomoc rozwojową, zgromadzonych w wyniku przyjęcia nowych zobowiązań krajów unijnych, kierowanych będzie do państw na kontynencie afrykańskim.

Polska jako członek Unii zobowiązała się do znacznego zwiększenia środków przeznaczanych na pomoc oraz poprawy jakości współpracy rozwojowej, co wiąże się z dostosowaniem RP do standardów wypracowanych przez społeczność międzynarodową. „Polska pomoc *Anno Domini* 2012 to już setki projektów i setki milionów złotych rocznie. (...) Nie przestając być biorcą środków pomocowych, sami zaczynamy być zauważalnym donatorem”.⁵² Jednak na rozwój innych krajów przekazujemy zaledwie 0,08 proc. DNB, jest to jeden z najniższych wskaźników w UE.

Pomimo zwiększania środków i intensyfikacji działań pomocowych „społeczeństwa zamieszkujące naszą planetę żyją w dwóch kontrastowo różnych kulturach: w kulturze konsumeryzmu – a więc luksusu, obfitości, nadmiaru oraz/albo w kulturze ubóstwa, tj. niedostatku wszystkiego, lęku o jutro, pustego żołądka, braku szans i perspektyw. Granica między tymi dwoma kulturami (...) to najważniejsza i najbardziej dramatyczna granica dzieląca dziś planetę”.⁵³

Czy pomoce humanitarna i rozwojowa powinny opierać się na niwelowaniu cierpienia, wsparciu zmierzającym do zaspokajania podstawowych potrzeb czy na budowaniu ram szczęśliwości mieszkańców w krajach globalnego Południa? Prognozy nie są optymistyczne. W pierwszej dwudziestce najszczęśliwszych państw świata na ostatniej pozycji ulokowała się wyspa Seszele, nie znalazło się natomiast żadne z afrykańskich państw położonych na kontynencie. Na trzech ostatnich miejscach w rankingu uplasowały się Demokratyczna Republika Konga, Zimbabwe i Burundi.

Pomoc humanitarna i rozwojowa nie rozwiążą podstawowych problemów najuboższych mieszkańców państw kontynentu afrykańskiego. Zbyt długo uczymy się jej udzielania wychodząc z założenia, że pomaganie i wsparcie są działaniami poprawiającymi nastrój pomagającemu (*negative-state relief model*). Sprawmy więc, aby działania pomocowe nie przyczyniały się do pogłębiania nierówności oraz marginalizacji, degradacji czy wykluczenia tysięcy docelowych beneficjentów projektów, a nas nie stawiwały w złym świetle błędów, niedociągnięć i porażek wynikających z testowania świata mieszkańców globalnego Południa, na który spoglądamy z wierzchołka drabiny rozwiniętych krajów globalnej Północy.

URSZULA MARKOWSKA-MANISTA

⁴⁹ Pomoc krajom afrykańskim mieści się w priorytetach wielu państw UE oraz w oficjalnym programie pomocowym EuropeAid: <http://ec.europa.eu/europeaid/>

⁵⁰ P. Bagiński, *Skończmy pomocową podstawówkę*, „Gazeta Wyborcza” 03-02-2012, http://wyborcza.pl/1,76842,11079355,Skonczmy_pomocowa_podstawowke.html#ixzz1n3Y2iw2

⁵¹ Dane za: K. Zajączkowski, *Polityka Unii Europejskiej wobec Afryki. Implikacje dla Polski, Debata*, Materiały Społecznego Zespołu Ekspertów przy Przewodniczącym Sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych, nr 6, kwiecień 2011.

⁵² P. Bagiński, op.cit.

⁵³ R. Kapuściński, *Lapidarium III*, Warszawa, Czytelnik, 1997, s. 151-152.

JAN WASZKIEWICZ

TOŻSAMOŚĆ, DIALOG I WSPÓŁPRACA

(na przykładzie Dolnego Śląska)

Kontekst

W końcu 1998 roku, po ośmiu latach dyskusji i przymiarek wystartował drugi etap polskiej reformy samorządowej. Jego zasadniczym elementem było utworzenie, w miejsce 49 dawnych, czysto rządowych (to znaczy znajdujących się w rękach administracji państwowej) województw utworzono 16 nowych, samorządowo-państwowych województw. Tak się złożyło, że piszący te słowa został przez sejmik wybrany na stanowisko marszałka. Pierwszego marszałka województwa dolnośląskiego!

Zanim opiszę koncepcje i dokonania dorocznego Forum Politycznego i Gospodarczego muszę cofnąć się do sytuacji regionu w tamtym historycznym momencie. Forum bowiem wynikało z próby jej sprostaniu. Toteż od odpowiedzi na pytanie, na ile to się udało, zależy ocena sensowności opisywanego przedsięwzięcia.

Wśród rozlicznych problemów, przed jakimi stanęły nowo utworzone województwa, na czoło wysuwały się trzy¹. Konieczne było zintegrowanie nowych obszarów administracyjnych, pobudzenie regionalnej tożsamości współobywateli i wypracowanie zrębów wizji czy też strategii rozwoju. Mówiąc krócej, trzeba było sprawić, by region rzeczywiście istniał (a nie był tylko administracyjnym bytem), by był dla swoich obywateli czymś ważnym i by było wiadomo, w jakim kierunku będzie się rozwijał. Szczególnie trudne było to w przypadku Dolnego Śląska. Ze swoją mieszaniną ludności napływowej o bardzo różnych korzeniach i brakami w głębszym zakorzenieniu, Dolny Śląsk nie mógł marzyć ani o poczuciu integralności, ani o zbyt silnym przywiązaniu mieszkańców. W obu tych sprawach nie można było odwołać się do znanych wszystkim schematów czy stereotypów (co było w pełni możliwe w Wielkopolsce, Małopolsce, czy Mazowszu, a po części również na Śląsku czy na Opolszczyźnie²).

Podobnie było i z wizjami rozwojowymi. Te również zaczepte są w przeszłości. Z przeszłości pochodzą też najsilniejsze uwarunkowania takie jak kształt sieci osiedleńczej czy infrastruktury komunikacyjnej. W tej kwestii też na Dolnym Śląsku nie można było skorzystać z podpowiedzi przeszłości. Wystarczy przypomnieć o berlinocentrycznej sieci transportowej na tym terenie i o szalenie skomplikowanym dojeździe do stolicy Polski... Tak czy owak w regionie musieliśmy się poczuć bardziej

u siebie i samodzielnie wyznaczyć kierunki jego rozwoju³. A dogadanie się w tych kwestiach nie było łatwe.

Dolny Śląsk sklejono z obszarów należących do aż sześciu wcześniejszych województw. Cztery z nich (jeleńskie, legnickie, wałbrzyskie i wrocławskie) weszły w całość. Z województwa leszczyńskiego wrócił do Dolnego Śląska powiat górowski (bardzo źle skomunikowany z resztą regionu), a z kaliskiego – kilka gmin w powiecie sycowskim⁴. Integracja szła z oporami – tliła się wręcz irredenta. Legnica, Wałbrzych czy Jelenia Góra brały aktywny udział w dyskusjach o tworzeniu nowych województw, ale występowały w nich z własnymi pomysłami, których wspólnym mianownikiem była obrona niepodległości przed imperialistycznymi zakusami Wrocławia. Na szczęście razem z województwami powołano do życia powiaty, a nowe powiatowe miasta (jak choćby Kłodzko czy Bolesławiec) zadowolone były z nowego (choć pamiętanego z dawniejszej przeszłości) statusu i nie miały zamiaru powracać do dawnej zależności. Z Wrocławiem było im bardziej „po drodze” niż z niedawnymi wojewódzkimi metropoliami. Dialog w układzie terytorialnym był więc trudny i pękał w różnych układach.

Sprawę komplikowały jeszcze podziały merytoryczne (czy sektorowe). Język, logika działania, uwarunkowania i ograniczenia, a nawet uznawane wartości (czy może stopień ich oczywistości) zmieniają się po przekroczeniu granicy dzielącej różne grupy. Piszący jest tego świadomy nie tylko ze względu na zawodowe zainteresowanie problemami komunikacji społecznej. Funkcjonując w różnych okresach życia w środowisku (a raczej różnych środowiskach) naukowców, polityków, administracji i biznesu doświadczał tego na własnej skórze. Żeby region stał się rzeczywistym podmiotem działań politycznych konieczne było wytworzenie regionalnej elity – pewnej wspólnoty pochodzących z różnych środowisk osób mających opiniotwórcze zdolności, mogących oddziaływać na swoje otoczenie tak, by identyfikowało się ono z regionalnym dobrem wspólnym. Oczywiście można było wszystko pozostawić czasowi, ale naturalne procesy można przecież czasem przyspieszyć i zintensyfikować. I czasem trzeba próbować. Tym razem mieliśmy do czynienia z taką właśnie sytuacją. Pomijam własną niecierpliwość, bo były też inne uwarunkowania. Konieczność

¹ Z praktycznego punktu widzenia najważniejsze było co innego – utworzenie urzędu i obsada stanowisk, przejmowanie od państwa podległych samorządowi instytucji (oczywiście bez odpowiednich środków), zapewnianie politycznego poparcia dla zarządu i jego inicjatyw, reagowanie na problemy i sytuacje podzucane przez los...

² Warto przypomnieć heroiczną walkę mieszkańców Opolszczyzny o zachowanie ich województwa.

³ Oczywiście też było, że nie mamy co liczyć na Warszawę. Znajomość dolnośląskich realiów jest tam niemal żadna. Co gorsze, nawet rezydujący tam przedstawiciele dolnośląskich elit wykorzeniają się dziwnie szybko.

⁴ Były jeszcze obszary należące historycznie do Dolnego Śląska, które pozostały poza jego granicami. Warto oczywiście, by brały one udział w debacie o przyszłości regionu (nawet bez imperialistycznych intencji z naszej strony).

(również ustawowa) stworzenia dokumentów strategicznych programujących rozwój regionu w ciągu kilkuletniej przyszłości była czymś, co dialog wymuszało i nadawało mu sensowny kierunek (nie przesądzało za to kwestii jego zasięgu). Tak właśnie zrodziła się idea Forum.

Koncepcja

Pomysł był prosty, realizowany zresztą w różnych miejscach, jak choćby w Davos, któremu spotkania w Krzyżowej zawdzięczają nazwę „forum”. Chodziło o zorganizowanie cyklicznych spotkań dolnośląskiej elity poświęconych ważnym dla regionu kwestiom oraz umożliwienie w ramach tych spotkań swobodnej wymiany myśli, idei, pomysłów tak, by w jej trakcie przedstawiciele różnych obszarów, profesji, opcji nauczyli się rozmawiać między sobą, zorientowali się, że rozmawiać jest o czym i że warto to robić. Z tak nakreślonego celu wynikało kilka praktycznych przesłanek.

Nauka dialogu wymaga czasu. Forum musiało być więc wydarzeniem kilkudniowym zorganizowanym z dala od miejsca pracy czy codziennej aktywności uczestników. Wykluczony więc był Wrocław i jego bezpośrednie otoczenie (ważni uczestnicy zostaliby niemal natychmiast odwołani do swoich niecierpiących zwłoki spraw). Najlepsze byłoby jakieś odległe Davos i w tym kierunku szły pierwsze poszukiwania lokalizacji. Niestety, w tej fazie nie pojawił się żaden wiarygodny partner ze strony samorządów lokalnych (a na Dolnym Śląsku nie brakuje miejsc porównywalnych ze szwajcarskim pierwowzorem). Partner zaś spoza Urzędu Marszałkowskiego był niezbędny. Jeśli bowiem forum miało być miejscem dyskusji niezbyt sformalizowanej i spotkań zupełnie nieformalnych, to jego głównym organizatorem nie mogła być administracja realizująca widzimisię swojego szefa. Żądać od administracji czegoś takiego jest równie bez sensu, jak oczekiwanie, że krowa zacznie fruwać. Urzędy mają swoją logikę działania, kryteria racjonalności, zasady wydawania pieniędzy i masę zalet, które jednak miały się nijak do koncepcji forum. Trzeba było znaleźć partnera, który podchwyci i zrealizuje ideę i to z minimalnym wkładem środków publicznych (których wojewódzki samorząd w tamtym okresie po prostu nie miał).

Znalezienie współpracownika i to biorącego na siebie główny ciężar działań organizacyjnych nie było rzeczą łatwą. Realizacja cudzych idei jest zadaniem równie niewdzięcznym, jak wychowywanie cudzych dzieci. Chciałem, by mój partner sam wpadł na mój pomysł. Rozmowy prowadziłem więc w stylu. „Tak sobie myślę, że dobrze by było, by u nas, na Dolnym Śląsku... Coś w rodzaju Davos...”... W odpowiedzi od kilku osób słyszałem „Oj, dobrze by było!” – i żadnego błysku w oku, żadnego rozwinięcia idei, żadnego „To by można tak...”.

Potencjalna lista rozmówców była długa. Zacząłem od burmistrzów. Nic z tego. Kolej przyszła więc na organizacje biznesowe. W kolejce były uczelnie i NGOsy. Jednakże do tego nie doszło. Trzecią organizacją biznesową był BCC. Wpadł do mnie ówczesny kanclerz Dolnośląskiej Łoży, mój bliski znajomy (a obecnie bliski przyjaciel) Janiśław Muszyński. Znaliśmy się od lat. Razem zakładaliśmy Dolnośląskie Towarzystwo Gospodarcze. Doradzałem mu, gdy był pierwszym po przełomie wrocławskim wojewodą i razem marzyliśmy wówczas o reintegracji Dolnego Śląska. Toteż rozmowa szła nam dobrze. Gdy poruszyłem sprawę forum, nie skończyłem

jeszcze pierwszego zdania, gdy pojawiła się upragniona reakcja: „Robimy!” i posypały się pomysły. Od tamtego momentu obsadzone zostały dwa stanowiska, które z godnością piastujemy do dziś. Obaj jesteśmy INICJATORAMI FORUM, to mamy wklepane w wizytówki i identyfikatory (nie tylko na forum) i z tego tytułu zajmujemy się wszystkim, co z forum się wiąże⁵.

Bardzo szybko rozwiązał się też (sam!) problem miejsca. W czasie spotkania, w zupełnie innej sprawie, z ówczesnym dyrektorem Fundacji dla Porozumienia Europejskiego „Krzyżowa” Edwardem Wąsiewiczem okazało się, że jest to kolejny idealny partner. Zespół pałacowy w Krzyżowej (nieopodal Świdnicy), na terenie którego odbyła się pamiętna msza pojednania polsko-niemieckiego jest wprost wymarzone miejsce spełniającym wszystkie oczekiwania. Leży blisko centrum województwa, wystarczająco daleko od Wrocławia, dysponował odpowiednią liczbą miejsc hotelowych⁶ i przestrzeniami potrzebnymi do prowadzenia obrad plenarnych i w grupach problemowych.

Tu docieramy do kolejnego założenia całego przedsięwzięcia. Musi być na nim reprezentowana szeroka gama form dyskursu – referaty i dyskusje panelowe prowadzone przez znane osoby, dyskusje w grupach problemowych dające szansę zabrania głosu każdemu uczestnikowi, swobodne spotkania kulturalne i jeszcze swobodniejsze – w czasie wieczornych recepcji... Musi być też przyjęta jakaś centralna problematyka spotkania, żeby wszystko nie za bardzo się rozlało. Przy tym tematyka musi być szeroka, nie za bardzo wkraczająca w konkrety (konkretne przedsięwzięcia zaczynają dzielić – ktoś jest wygrany, ktoś przegrywa, ktoś się angażuje, ktoś zostaje na boku...).

Tak zakrojone, powiedzmy na dwa czy trzy dni przedsięwzięcie musi kosztować. Oczywiście skromnie zakrojoną imprezę dla, powiedzmy, kilkunastu osób, można było (nawet wówczas) sfinansować ze środków Urzędu Marszałkowskiego. Trudno jednak byłoby wówczas uzasadnić, dlaczego ustalono taką właśnie listę uczestników (chętnych do udziału w darmowej imprezie byłoby więcej niż zezwalałyby środki). Co więcej, wszystko, co byłoby na takim spotkaniu osiągnięte, nie bawiłoby specjalnie nawet wybrańców. Nie ceni się bowiem tego, co dostaje się za darmo, a choćby drobne wpisowe znakomicie poprawia opinię o sensowności przedsięwzięcia. Toteż przyjęto, że uczestnicy powinni opłacić swój udział. Ze względu na rozmaity ich status od początku założono, że uczestnicy ze sfer biznesowych płacić będą więcej niż inne grupy. Na pokrycie kosztu gości specjalnych i specjalnych wydarzeń trzeba było organizować środki sponsorskie.

Jak przy każdym biznesplanie trzeba było określić „docelową grupę” – tych, do których kierujemy zaproszenie do uczestnictwa w forum. Przyjmując zasadę pełnej odpłatności mogliśmy sobie śmiało powiedzieć: niech przyjeżdża każdy, kto chce i potwierdzi swoją wolę odpowiednią wpłatą. Niemniej nawet działania promocyjne musiały być ściślej zaadresowane. Zdecydowaliśmy się na dwie grupy o podstawowym znaczeniu: regionalnych polityków wszystkich szczebli (od gminy po władze cen-

⁵ Kiedy prasa napisała, że forum ma dwóch ojców, to moja złośliwa małżonka zapyłała: „To kim jest w takim razie jego mać?”.

⁶ Na początek, bo w kolejnych latach trzeba było angażować hotele w coraz większym promieniu.

tralne) i dolnośląski biznes. Wynikało to z zainteresowań inicjatorów. Te grupy i jakość współpracy między nimi mają też bezspornie największe znaczenie dla rozwoju regionu. Dodatkowo im właśnie szczególnie brakuje dobrych miejsc dla prowadzenia dialogu i zaakceptowanej społecznie jego formuły.

Każdy kontakt między biznesem i polityką budzi podejrzliwość i pomówienia o korupcję (nie zawsze bezzasadne), spotkania towarzyskie rodzą sensację, żadne miejsce (a wypróbowano nawet cementarz) nie wydaje się dla nich dobre. A dialog jest potrzebny i trudny. Każda z tych grup działa w innej logice, podlega innym uwarunkowaniom, afirmuje inne wartości. Te różnice powodują nieporozumienia, które z kolei również interpretowane bywają w pokrętny (a może prostacki?) sposób. Publiczny dialog na oczach innych (w tym mediów), a więc pod społeczną kontrolą, na tematy niezbyt praktyczne, ale ważne dla wszystkich – to mogła być droga do lepszego zrozumienia. Trzecią grupą uczestników była administracja samorządowa również wszystkich szczebli, którą traktowaliśmy jako naturalne poszerzenie i zaplecze lokalnej polityki. Taki – polityczny i gospodarczy – zakres forum zaakcentowany został w jego nazwie. Nie zdecydowaliśmy się na zbytnie poszerzenie formuły (choć od początku jasne było, że wśród uczestników będą też przedstawiciele mediów, świata nauki i sektora organizacji pozarządowych). Ani tematycznie, ani personalnie forum nie można było zbytnio rozdymać. I Krzyżowa, i trzydniowy okres miały wyraźne granice. Toteż wbrew naciskom i wbrew coraz liczniejszemu uczestnictwu osób spoza głównych grup, formuła forum pozostała niezmienną do dziś.

Pozostało jeszcze uzgodnić temat pierwszego forum i jego termin. Ostatecznie odbyło się ono w dniach 5-7 listopada 1999 roku, a więc w pierwszym roku funkcjonowania nowego województwa i mniej więcej w rok po moim wyborze na stanowisko marszałka. Nie było to złe tempo. Tematyka nasuwała się sama – była to strategia województwa, do konstrukcji której właśnie samorząd przystępował. Warto było na samym początku tej pracy poznać opinie najważniejszych aktorów regionalnych działań i posłuchać ich pomysłów dotyczących przyszłości regionu. Warto też było regionalnym elitom zadać temat, który w wyjątkowym stopniu zachęcał do zadumy nad regionalnym dobrem wspólnym. Początek listopada (czasem późny październik) stał się tradycyjnym terminem spotkań w Krzyżowej. W tym roku spotykamy się tam po raz trzynasty.

Forum pierwsze i jedenaście kolejnych

Tak więc pierwsze Dolnośląskie Forum Polityczne i Gospodarcze w Krzyżowej odbyło się w listopadzie 1999 roku. Wzięło w nim udział około 300 osób, co było niewątpliwym sukcesem. Dokładnej liczby nie sposób ustalić, ponieważ rotacja uczestników była bardzo duża, część z nich pojawiała się na krótko, bądź uczestniczyła w forum z przerwami, nie wprowadzono też zbyt rygorystycznej kontroli uczestników (co musiałoby odbić się niekorzystnie na swobodnej atmosferze obrad). Podawane w odniesieniu do tego i kolejnych spotkań liczby są więc wynikiem oszacowania na podstawie rejestracji i wniesionych opłat, wydanych materiałów i posiłków czy stopnia załoczenia pomieszczeń.

Oto problematyka i liczba uczestników poszczególnych forów.

- 1999 – Strategia rozwoju regionu, 300,
- 2000 – Dolnośląski rynek pracy, 400,
- 2001 – Wiedza – instrument kształtowania przyszłości regionu, 500,
- 2002 – Europejska przyszłość Dolnego Śląska (500),
- 2003 – Jak zmniejszyć dystans dzielący Dolny Śląsk od Unii Europejskiej?, 700,
- 2004 – Kapitał społeczny Dolnego Śląska, 850,
- 2005 – Dolny Śląsk obszarem wolności, 800,
- 2006 – Dolny Śląsk 2020 – dobre miejsce do życia, 750,
- 2007 – Kreatywny Dolny Śląsk – ku kreatywnej Europie, 800,
- 2008 – Dolny Śląsk w perspektywie zmian pokoleniowych, 800,
- 2009 – Dolny Śląsk, ziemia polsko-niemieckiego pojednania, 900,
- 2010 – Technika i technologia – impulsy rozwojowe, 650,
- 2011 – Dolny Śląsk na mapie Europy.

Jak widać, liczba uczestników ostatecznie ustabilizowała się na poziomie 700-800 osób z tym, że wyraźnie mniejsze jest zainteresowanie forum w latach wyborów do samorządu. Trudno jest wówczas o dobry termin. Albo trwa kampania, albo zmiana warty, albo lizanie ran po wyborczej bijatyce – tak czy owak zainteresowanie samorządów ogólnymi tematami w takim okresie dramatycznie się zmniejsza. Niemniej nawet w najbardziej chudym 2010 roku uczestnictwo było znacznie większe niż mogliśmy przypuszczać, gdy forum było inicjowane. Ale rok wcześniej uczestników było aż za wielu. Wiązało się to z połączeniem forum z obchodami 20-lecia słynnej mszy pojednania, z przekazywanym sobie przez premierów Polski i Niemiec znakiem pokoju (jedną z ważniejszych ikon Jesieni Ludów 1989 roku). Więcej było gości oficjalnych, i więcej takich, którzy chcieli uczestniczyć w ważnym (również medialnie) wydarzeniu.

Wśród uczestników przeważają reprezentanci życia gospodarczego (50 proc.), blisko jedną trzecią stanowiła przedstawiciele regionalnej polityki i administracji, 10 proc. to przedstawiciele NGO-sów. Reszta to VIP-y, media, pomagający w obsłudze wolontariusze. Geograficzny rozkład uczestników nie jest jednorodny. Blisko połowę stanowią wrocławianie, sporo jest uczestników z podregionu wałbrzyskiego (gdzie forum się odbywa). Śladowe ilości przyjeżdżają z odległych powiatów – górowskiego czy zgorzeleckiego. Z roku na rok rośnie liczba gości z dalszych okolic – z zagranicznych regionów współpracujących z Dolnym Śląskiem, z innych województw⁷, nawet z samej Warszawy.

Co do zasadniczej problematyki spotkań (która nigdy nie zajmuje więcej niż z 20-30 proc. czasu) to chyba nie musimy jej się wstydić. Były to problemy ważne dla Dolnego Śląska, a podejmowaliśmy je wyprzedzając bieg wydarzeń i szerokie zainteresowanie opinii publicznej. O udziale w UE i przygotowaniu do absorpcji środków mówiliśmy przed akcesją, o roli wiedzy w rozwoju niedługo po przyjęciu Strategii Lizbońskiej, a o zmianie pokoleniowej – przed kryzysem systemu emerytalnego. Rolą techniki i technologii zapewne zajmie się opinia publiczna i politycy dopiero za czas jakiś.

⁷ Goście z innych stron Polski zawsze stwierdzają, że impreza nasza jest udana i że w ich regionie też by się coś takiego przydało. Na razie naśladowców nie widać, mimo prostoty pomysłu. Może więc pozytywne uwagi są jedynie wyrazem grzeczności naszych gości?

Forum stopniowo wypracowało schemat rozłożenia akcentów w czasie. Trwa mniej więcej trzy doby. Zaczyna się w piątkowe (a od dwóch lat w czwartkowe) popołudnie, które poświęcone jest na oficjalne wystąpienia (władze wojewódzkie, ważni goście, patron forum, jeśli zdecyduje się na nie przyjechać), wykład zaproszonego specjalnego gościa i dyskusję panelową związaną z tematyką forum. A jest kogo posłuchać. Gośćmi byli przecież m.in. prof. Jerzy Hausner, Robert Gwiazdowski, Marek Goliszewski, minister Stefan Meller, premier Kazimierz Marcinkiewicz, Christian Wulf jeszcze jako premier Dolnej Saksonii, a nie prezydent Niemiec, premier Saksonii Stanisław Tilich... Bywali ambasadorzy Niemiec, Irlandii, Holandii, Ukrainy, członkowie polskiego rządu, parlamentarzyści i europosłowie... Patronami forum byli wicepremier Jerzy Hausner, Danuta Hubner, premier Jarosław Kaczyński, profesor Adam Kleiber, marszałek Bronisław Komorowski (razem z przewodniczącym Bundestagu Norbertem Lammertem)...

Od dwóch lat, skracając czas dla bizantyjskiej części obrad wygoszpodarowano pierwszego wieczoru miejsce dla dyskusji panelowych. Były to dyskusje o tym, do czego zmierza Europa, a w obradach brali udział m.in. polscy i niemieccy znawcy przedmiotu z profesorami Antonim Kuklińskim i Romanem Galarem na czele (jakieś uzupełnienie tej dyskusji stanowią kolejne, w ostatnim dniu, o roli regionów w konstrukcji Europy z Janem Olbrychem i dyrektorem wykonawczym Zgromadzenia Regionów Europy Hansem Klippem)... Pierwszy dzień, podobnie jak i dzień następny kończy wieczór towarzyski, w czasie którego można oczywiście zabawić się, ale też przelamać lody, nieformalnie i po przyjacielsku pogadać w przeróżnych konfiguracjach (na ogół dość przypadkowych).

Drugi dzień poświęcony jest problemom gospodarczym i tradycyjnie już zawiera mocne akcenty związane z polsko-niemiecką współpracą. Obecni są polscy i niemieccy specjaliści, wręczana Polsko-Niemiecka Nagroda Gospodarcza oraz Dolnośląskie Nagrody Gospodarcze... W ubiegłym roku jedna z dyskusji dotyczyła wchodzenia Polski do strefy euro i głosy specjalistów (R. Gwiazdowski, prof. Georg Milbradt i in.) brzmiały niezwykle ozywco na tle zwykłych w tym temacie połajanek. Druga debata – bezpieczeństwa energetycznego (ten temat drążony jest na forum od wielu lat). Popołudnie drugiego dnia to obrady w kilku grupach tematycznych, których liczba i tematyka zmienia się z roku na rok zgodnie z oczekiwaniami uczestników. Obgadywane są tematy społeczne, gospodarcze, ekologiczne...

Trzeci dzień, a raczej jedynie jego przedpołudnie, to zakończenie forum. Zwykle zawarta jest w nim kolejna debata na samorządowe tematy, prezentowana jakaś inicjatywa czy przedsięwzięcie nie mieszczące się w głównym nurcie obrad (na przykład edukacyjna, kulturalna, naukowa), omawiane są wyniki prac poszczególnych grup, tworzony zgrab komunikatu końcowego (ostateczną wersję przyjmuje Rada Forum w dwa miesiące po jego zakończeniu).

Tak mniej więcej wygląda schemat intensywnie wykorzystanych trzech dni spotkań w Krzyżowej. A ich efekty?

Rezultaty

Nie jest łatwo ocenić efekty. Biorąc pod uwagę fakt, że uczestnicy nie są w żaden sposób zaganiani, ba – na-

wet płacą za swoje uczestnictwo, to liczny udział świadczy, że forum jest ludziom do czegoś potrzebne. Coś im daje. Co? Nie wiadomo. Nikt nie ma obowiązku spowiadać się z tego organizatorom. Nawet sam nie musi być tego świadomy. Nie mamy więc pojęcia ile, a tym bardziej które z realizowanych na Dolnym Śląsku przedsięwzięć zapoczątkowane zostały dzięki kontaktom nawiązanym w czasie forum, czy podchwyconym tam idom. Niemniej niektóre przedsięwzięcia są ewidentnie z forum związane, a pewne efekty potwierdzają postronni obserwatorzy. Oto kilka z nich:

Bezpośrednie efekty

Każde forum owocuje pewną liczbą dezyderatów, uwag, postulatów kierowanych do różnych władz. Wszystkie one są odnotowywane i przekazywane właściwym adresatom (nawet jeśli są to opinie jednostkowe). Jeśli w jakiejś kwestii osiągnięty zostaje konsens, wnioskowi nadawana jest odpowiednia ranga i jest on nie tylko przekazywany, ale robi się to z pewną natrączywością. O pełnym monitorowaniu i profesjonalnym lobbowaniu nie ma niestety mowy – organizatorzy forum nie mają ku temu ani organizacyjnych, ani finansowych możliwości. Oczywiście komunikat z obrad z najważniejszymi postulatami przekazywany jest mediom (które forum poświęcają sporo życzliwej uwagi).

Inicjatywy pochodne

Jednakże przyświecająca naszym obradom idea jest daleka od zwykłej, wschodnioeuropejskiej perspektywy. Owszem, interesuje nas postępowanie władz, recenzujemy je i wysuwamy pod ich adresem jakieś dezyderaty. Jednakże ważniejsza jest refleksja, co my możemy na Dolnym Śląsku zrobić w danej sprawie, jak przyczynić się do rozwiązania problemu czy nadania odpowiedniego impulsu biegowi spraw. Taki namysł prowadzi do formułowania programów działania i powstawanie kolejnych inicjatyw. Tak więc forum zaowocowało między innymi przedsięwzięciami takimi jak:

→ Dolnośląski Certyfikat Gospodarczy stanowiący potwierdzenie jakości funkcjonowania przedsiębiorstwa pod względem gospodarczym, technologicznym, środowiskowym, społecznym. Certyfikaty te uzyskały już dziesiątki firm, niektóre wielokrotnie,

→ Dolnośląska Nagroda Gospodarcza przyznawana nielicznym, naprawdę wybitnym przedsiębiorstwom i osobistościom życia gospodarczego,

→ Polsko-Niemiecka Nagroda Gospodarcza przyznawana polskim i niemieckim przedsiębiorcom za wyjątkowo interesujące działania na rzecz zbliżenia polsko-niemieckiego w gospodarce i za jej pośrednictwem. Dotychczas nagrodę wręczono dwukrotnie i jej laureatami zostali Henryk Preussner (inwestor, kluczowy udziałowiec w Zakładach Chemicznych „Rokita” w Brzegu Dolnym) i rodzina von Küsterów, właściciele pałacu w Łomnicy,

→ Deklaracja *Europa Quo Vadis?* wzywająca do obywatelskiej refleksji nad przyszłością Europy i idąca w ślad za nią międzynarodowa konferencja na ten temat. Kolejna – w czerwcu tego roku,

→ Grupa refleksji nad energetyką na Dolnym Śląsku. Jest to systematycznie pracująca grupa polskich i niemieckich ekspertów (rodzaj *think tanku*) nadająca różne aspekty energetyki i bezpieczeństwa energetycznego przygranicznych regionów Polski i Niemiec. Jest to *de facto* jedna z grup roboczych forum z 2009 roku, która

nie tylko nie zakończyła swojej pracy, ale przekształciła się w interesującą kolejną inicjatywę,

➔ Dolnośląskie Centrum Bezpieczeństwa Energetycznego. Idea zrodzona na forum kilka lat temu, obecnie w stanie realizacji.

Było też kilka inicjatyw, które nieźle rokowały, ale w końcu nie zostały zrealizowane (Dolnośląska Karta Śmieciowa, Porozumienie na rzecz zrównoważonego rozwoju regionu) i takie, które są na tyle świeżej daty, że trudno cokolwiek powiedzieć o ich przyszłym losie (Dolnośląska nagroda za wkład w technikę i technologię)...

Instytucjonalizacja dialogu

Forum obrasta też służącymi mu strukturami. Trzeba pamiętać, że nominalna struktura organizująca tak wielkie przedsięwzięcie jest bardzo niewielka. Jest dwóch inicjatorów, z których jeden był w stanie zatrudnić we własnym (niezbyt liczebnym) przedsiębiorstwie dwie osoby „chodzące” za sprawami forum. To cała struktura wykonawcza. Oczywiście nie byłaby ona w stanie przeprowadzić takiego wydarzenia, gdyby nie firmy i instytucje, które przejęły na siebie odpowiedzialność za taki czy inny obszar działań. Jest to już stały zestaw świetnie rozumiejących się partnerów, którzy – w czasie bezpośrednio przed forum i do jego zakończenia – stanowią niebagatelną strukturę zapewniającą wyżywienie, obsługę medialną, zapewniającą nagłośnienie i bezpieczeństwo, organizującą współpracę z mediami itd. Do tego dochodzą wolontariusze zajmujący się recepcją uczestników i obsługą obrad w grupach i masą innych spraw.

Forum ma też swoją radę, w skład której weszły zaproszone przez inicjatorów instytucje i osobistości, od marszałka, wojewody i Konsulatu Niemiec, przez organizację pracodawców, prezydentów niektórych miast i rektorów dolnośląskich uczelni po reprezentantów niektórych ważnych przedsiębiorstw i NGO-sów stale uczestniczących forum. Jest o znaczne, kilkudziesięcioosobowe gremium ludzi starających się o to, żeby forum wypadło jak najlepiej i przyniosło możliwie ciekawe efekty.

Niektóre grupy robocze zawiązują się znacznie przed forum i debata Krzyżowej stanowi podsumowanie i rozwinięcie kwestii dobrze znanych uczestnikom. Zdarzają się też sytuacje odwrotne, kiedy to debata podjęta na forum nie kończy się wraz z jego zamknięciem, a uczestnicy grupy spotykają się i dyskutują nadal. Taka była geneza Grupy Refleksji nad Przyszłością Dolnego Śląska, która spotyka się od czasu do czasu żeby przedyskutować najważniejsze, strategiczne problemy regionu.

Strategiczna perspektywa

Każde ze spotkań Krzyżowej koncentrowało się na strategicznych problemach regionu i, co podkreśla wielu uczestników, pomagało rozpoznać problemy, uzyskać konsens co do ich rangowania, poszukiwać jakichś dróg ich rozwiązania. Nie przypadkiem zaczęliśmy od strategii dla województwa, w rok później została ona przyjęta, pomimo ostrych politycznych kontrowersji. Obrady w roku 2001 zapoczątkowały dyskusję o innowacyjności regionu, a więc tworzyły grunt pod Dolnośląską Strategię Innowacji przyjętą w 2005 roku. Pojęcie kapitału społecznego było tematem forum w 2004 roku, a stało się kluczową kategorią dla nowej strategii Wrocławia (2006) i Świdnicy (2009). Podobne przykłady można mnożyć...

Wspólny język i podzielane opinie

Pośród rezultatów forum najbardziej dla nas interesujące jest, choć i najtrudniej mierzalne, na ile wpłynęło

ono na te elementy sytuacji społecznej, na które miało być odpowiedzią. To znaczy w jakim zakresie wpłynęło ono na rozbudowę społecznej tkanki regionu, na poczucie identyfikacji regionalnych elit z regionem i regionalnym dobrem wspólnym, wreszcie – na jakość dialogu, czy szerzej dyskursu w obrębie regionalnych elit. Nie ma tu wyraźnych niewątpliwych wskaźników, na które można by się powołać, choć istnieją jakieś pośrednie wskaźniki. Dla przykładu, trzy lata temu, w czasie forum dowiedzieliśmy się od koreańskiego inwestora, że jednym z powodów jego inwestycyjnej decyzji o ulokowaniu poważnej inwestycji w okolicach Wrocławia było to, że jego rozmówcy z różnych środowisk i sektorów władzy mówili mu podobne rzeczy, wytaczali podobne argumenty i wysuwali zbieżne zastrzeżenia. Czyniło to sytuację i bardziej przewidywalną, i rokującą nadzieję na stabilność. Również zwiększało wiarygodność formułowanej oferty. Pod tym względem Dolny Śląsk pozytywnie odróżniał się od innych branych pod uwagę lokalizacji. Nie jest wykluczone, że bez wcześniejszych rozmów i dyskusji w czasie forum efekt nie byłby tak uderzający.

Drugi przykład, to debata panelowa, która odbyła się na forum w 2009 roku. Jej celem było podsumowanie 10 lat funkcjonowania samorządowego województwa, a uczestniczyli dotychczasowi marszałkowie. WSZYSCY marszałkowie. Przypadł mi w udziale zaszczyt moderowania dyskusji i muszę powiedzieć, że samo jej zorganizowanie było pewnym wyzwaniem. W ciągu 10 lat region miał sześciu marszałków z bardzo różnych politycznych opcji. Ponieważ w czasie każdej z kadencji dochodziło do zmian na tym stanowisku, widać, że układ polityczny nie był stabilny i że walka polityczna toczyła się niemal bez przerwy. Co ważniejsze, każdy z nas tracił stanowisko oskarżony przez następcę o przeróżne przewinienia i braki, z których nieudolność była zarzutem najbardziej oczywistym (i jeszcze mieszczącym się w granicach przyzwoitości).

Otóż siedliśmy razem za stołem i ktoś z obserwatorów z innego końca Polski zauważył ze zdziwieniem, że u nich byłoby to nie do pomyślenia. Co więcej okazało się, że dość podobnie widzimy problemy i uwarunkowania rozwoju województwa, że nasz pogląd na to, co jest do zrobienia jest bardzo zbieżny. Mogliśmy też o tych sprawach rozmawiać nie przywołując osobistych i partyjnych animozji. To też wzbudziło pewne zainteresowanie, a nawet podziw postronnych obserwatorów. Mnie to nie dziwiło. Przynajmniej raz do roku spotykaliśmy się przecież w Krzyżowej i w czasie formalnych i nieformalnych rozmów mogliśmy jakoś zniwelować emocjonalne napięcia...

Niedowierzanie i odrobina podziwu ze strony postronnych obserwatorów, to obok licznego uczestnictwa najlepszy dowód na to, że Dolnośląskie Forum Polityczne i Gospodarcze w Krzyżowej jest imprezą wartą uwagi i wartą wysiłku, jaki trzeba włożyć w to, żeby powtarzało się ono z nudną regularnością. A poczucie dolnośląskiej tożsamości? Chyba też ma się lepiej niż przed dwunastu laty. Jaki w tym udział spotkań w Krzyżowej? Nie wiem, ale raz do roku jest jasne, że Dolny Śląsk nie jest tylko administracyjną fikcją. Uczestnicy forum znają się (albo chętnie poznają), myślą o sobie i wypowiadają się używając zaimka „MY”, a kiedy mówią „U NAS”, to właśnie Dolny Śląsk mają na myśli.

I właśnie o to chodziło.

JAN WASZKIEWICZ

KRZYSZTOF MROZIEWICZ

SADHU

Mąż w czerwono-karminowej albo marchewkowo-ceglastej oponce, ze strąkami sfilcowanych włosów i pomalowanym czołem, o kiju, z żebraczą miseczką i ludzką czaszką do picia wody to święty mąż hinduizmu. Wieczny wędrowiec, który może zatrzymać się w jednym miejscu tylko na kilka nocy. Nie może opuszczać swego kraju. Za granicą, w stolicy Kalifornii, Sacramento spotykamy więcej sikhów niż w ich świętym mieście Amritsarze. Na ulicach Amsterdamu tańczy więcej wyznawców Krśny (Hare Krśna) niż wokół „Watykanu” kriśnaitów w Delhi. W Londynie mieszka więcej hindusów niż w Bombaju, ale autokreacje ortodoksów chodzą po ulicach i drogach tylko w Indiach.

Mówi się i pisze, że ich liczba oscyluje w granicach 4 milionów, co na miliard dwieście milionów Indusów jest ułamkiem mikroskopijnym, ale rzucającym się w oczy ze względu na ekstrawagancję, ostentację oraz wyraźną inność. Są to ludzie, którzy utrzymują, iż posiadli nadnaturalne moce. Nazwijmy ich chwilowo *siddhis*.

Patanjali, jeden z najstarszych autorytetów w dziedzinie gramatyki sanskryckiej i jogi (200-500 r. n.e.) twierdził, że z mocami można się narodzić. Pocięzał pozostałych, że moce daje się także osiągnąć za pomocą narkotyków i lekarstw oraz dzięki wyrzeczeniom i treningom, zwłaszcza w zakresie Hatha Yogi. Adeptci doznają po drodze iluminacji. Stają się świętymi ascetami, dobrymi ludźmi *sadhus*. Dany jest im dostęp do wiedzy. Wielkie moce (w sumie osiem, wielkie osiem hinduskiej arytmetyki¹) to: 1. *anima* – zdolność do miniaturyzacji ciała, które może zmieścić się w atomie, 2. *mahima* – zdolność powiększenia się do nieskończoności, tak że w osobie mocarnego pomieszczą się wszystkie galaktyki i kosmosy, 3. *laghima* – zdolność zredukowania swojej masy do zera, co umożliwi lewitację, 4. *garima* – zdolność powiększenia własnej wagi do nieskończoności, 5. *prapti* – możność przemieszczania się na dowolne odległości, tak aby dało się dotknąć księżyca, 6. *prakama* – zdolność stworzenia czegokolwiek, co chcemy mieć, 7. *vasitva* – zdolność kontrolowania wszelkich stworów oraz przeszłości, teraźniejszości i przyszłości (kołowa koncepcja czasu)², 8. *isitva* – zdolność tworzenia wszystkiego z czasem włącznie³. Nie potrzeba żadnej z tych ośmiu mocy, żeby wyrwać się z koła narodzin i śmierci co oznacza nirwanę, czyli zbawienie, największe szczęście w życiu Hindusa.

Ten czy ów sadhu zna poprzednie i następne żywoty swoje i innych. Zna języki ptaków, bestii, wężów, ryb i insektów. Potrafi słyszeć, jak trawa rośnie i widzieć, jak

gwiazda powstaje. Ma końskie zdrowie (koń wcale nie jest okazem zdrowia) oraz zdolność wybijania wszystkich zarazków i pasożytów. Ma niezwykle talenty i zdolności seksualne. Potrafi podzielić ciało na tysiąc części, żeby móc obcować z tysiącem kobiet naraz. Jest w stanie wniknąć w ciało innego człowieka, żeby poznać jego myśli, przeszłość, przyszłość i żonę.

Trudno przyjąć, jak przyjmują sami sadhus, że brudny, zmęczony, ledwo żywy włóczęga włada nadludzkimi mocami. Oni w to wierzą. Nawet wtedy, kiedy siadają na motocyklu marki „yezdi” i rozmawiają przez telefon komórkowy, czego ascetom nie wolno.

Praktykujący jogini z Europy twierdzą, że im samym nie przydarzyło się nic nadnaturalnego, chociaż bardzo się o to starali.

Tymczasem po drogach i bezdrożach Indii krążą tysiące bosonogich piechurów w kolorowych płachtach, którymi owijają się jak kobiety. Większość z nich idzie w Himalaje, gdzie są święte góry jak Kailash, albo do świętego miasta Varanasi (Benares, najstarsze obok Damaszku i Niniwy zamieszkane miejsce na Ziemi). Część z nich zmierza ku wodom świętych rzek – Gangesu i Jamuny. Sadhus wędrują po Indiach od czasów prearyjskich, byli więc znani starożytnym Grekom, Rzymianom, Persom, muzułmanom, Europejczykom a teraz są znani turystom. W swoich wierzeniach mieszają z hinduizmem naleciałości mitologiczne czy raczej baśniowe, które pochodzą od Egipcjan, Scytów, Mezopotamczyków, Chińczyków, Tybetańczyków i wyznawców islamu. Czczą bogów z panteonu hinduskiego dokonując w świecie mitów samowolnych przekształceń. Zachowują się jak ludzie pomyleni i często nimi są. Używają przydomka *pagal*, co znaczy wariat.

W Indiach istnieją tysiące szkół sadhus. Każda kieruje się własnym programem wyznań i ascetyzmu. Szkoły mają charakter lokalny. Na określonym terenie rządzi guru dzierżący władzę najwyższą. Inicjacja następuje w wieku lat 12. Zmienia się imię. Nowe złożone jest z trzech części, z których pierwsza to hołd dla wybranego boga. Konieczne są rekwizyty: głowa powinna być upodobniona – w miarę możliwości – do fallusa. Potrzebne są: trójząb, kostur, wachlarz z pawich piór, żebracza miseczka z połowy skorupy orzecha kokosowego, szmaciny na genitalia i naczynie do picia. Sadhu ma przy sobie metalową namiastkę *yoni*, czyli organu kobiecego i bransoletę lub łańcuch obciskający penisa, co ma symbolizować panowanie świętego nad seksem. Czasami penis zawiązany jest na kiju. Owi – jak mówiliśmy – wariaci bywają przykryci kołtunami lub są kompletnie łysi, lecz wtedy brodę pozostawiają na swoim miejscu. O szatach już wspominałem. Są jednak sadhus odziani w powietrze albo w popiół pochodzący z miejsca kremacji zwłok. Noszą ze sobą proste, prymitywne bębenki, jednostronne „skrzypce” i piszczałki. Niektórzy potrafią jednak grać na

¹ W arytmetyce indyjskiej nie dziesięć a osiem odgrywało podstawową rolę, bo jeśli ktoś miał czegoś osiem, to miał wszystko, czego mu było potrzeba. A szesnaście to było dwa razy wszystko. Więcej na ten temat w: K.Mroziewicz, *Čakra. Kołowa historia Indii*, Branta Bydgoszcz-Warszawa 2006, s.17.

² K.Mroziewicz, *Čakra... op.cit*

³ Benjamin Walker, *Hindu Word*, Munshiram Manoharlal Publishers Pvt.Ltd. New Delhi 1983, vol. II p.394.

instrumentach koncertowych i czynią to profesjonalnie. Dotyczy to przede wszystkim „pasterzy” grających nocami ragi na fletach.

Małżeństwo sadhu nie jest zakazane. Seks jest niechętnie dopuszczalny. Żonami bywają zwykle wdowy niechciane przez rodziny zmarłych mężów. Czasami same stają się ascetkami i cudotwórczyniami. Sadhu-asceta może mieć żonę, lecz seks uprawia zazwyczaj po kryjomu. Także ze swoimi uczennicami, które pełnią rolę służebnic pańskich, *devadasis*. Kiedy *devadasi* jest już stara i brzydka, święty mąż rozwodzi się z nią i wystawia zaświadczenie, że dobrze służyła bogu. Nadaje jej imię żony Viśnu, Lakshmi. I szuka nowej kandydatki. Znajduje ją bez trudu. Bywają i tacy sadhus, co utrzymują haremy. O seksie w tym towarzystwie nie rozmawia się. A okazji nie brakuje, gdyż dopuszczalne są spotkania towarzyskie świętych mężów i to raz dziennie.

Święci obojga płci zarabiają na życie leczeniem kobiet z bezpłodności, tłumaczeniem snów i wróżbiarstwem. Niektórzy sprzedają amulety oraz miniaturowe *yonis* i *lingas* czyli wyobrażenia organów płciowych kobiecych i męskich. W zawiniątkach mają na sprzedaż tygrysie pazury, niedźwiedzie zęby, rogi nosorożca, kości umarłych i różańce z kulek rudraszu. Dokonują egzorcyzmów, czarują, śpiewają, wykluwają tatuaże, leczą ziołami i własnej roboty lekarstwami, popisują się zaklaniem węzłów, demonstrują sztuki małp z wędrownego „cyrku”. „Cyrzczku” właściwie. Robią i sprzedają talizmany chroniące przed niebezpieczeństwem, złymi duchami i gwarantujące powodzenie u kobiet. Zebrzą. Jedni akceptują datki tylko od braminów. Innym wszystko jedno. Jedzą w swoim gronie lub z byle kim. Jedni są wegetarianami, inni spożywają wszystko z wieprzowiną i – uwaga! – wołowiną włącznie. Bywają i tacy, którym zdarza się pożywić resztkami pieczonej nogi ludzkiej ze stosu całopalnego. O taki ochłap walczą z psami. W większości są uzależnieni od alkoholu lub gandzi, czyli indyjskiej rośliny halucynogennej. Powinni z góry znać datę swojej śmierci. Na wszelki wypadek zakopują się żywcem. Samobójstwo prawnie w Indiach zakazane, praktykują dość często. Od kremacji raczej stronią, bo ciało ascety nie wymaga oczyszczenia w ogniu.

Świat sadhus ciągnie się od obszarów ascezy i medytacji po przemoc i krew. Na wyżynie Topovan (4000 m n.p.m) nad źródłami Gangesu, u stóp sześciotysięcznej, spiczastej góry Shivaling (Penis Shivy), która „nie puszcza”, spotkałem 17-letniego chłopaczynę w cienkim sweterku i kłapkach, który tam medytował od wiosny do połowy jesieni. Jadł to, co mu zostawili himalaiści. Ponieważ przychodzili na Topovan rzadko, to i sadhu jadł rzadko. Bardzo lubił herbatę. Ale herbatą nie wyżyje. Jak udawało mu się przetrwać tych kilka miesięcy? Najbliższe schronisko położone było o dzień drogi.

W drodze na Topovan, jeszcze przed Krowim Py-skiem, który wyrzuca spod lodowca skłębione wody Gangesu, za mostem na Bhagirathi, wśród skał siedział sadhu z siwym kołtunem na głowie i czytał święte księgi hindusów. Zapewne *Mahabharatę*. Usłyszałem buczenie samolotu. Skąd w górach samolot? Nagle przewodnik-tragarz wyrznął muła w tyłek, zwierzę skoczyło, my z nim i za chwilę potężna belka mostu została złamana jak zapałka. Po przyczółku przeszła lawina błotna, która porwała ze sobą wszystko z wyjątkiem sadhu, który jak gdyby nigdy nic czytał sobie dalej *Mahabharatę*. Ci dwaj

święci mężowie zapewne dalecy byli od świata przemocy. Ale w Malabarze na południu Indii znane są przypadki wywabiania przez sadhu ciężarnych kobiet z domów, rozcinania im brzuchów, wyrywania płodu i wyciskania zeń „oleju”, którego potem używa się do różnych zabiegów magicznych.

Sadhus dzielą się na wyznawców Śivy i Viśnu.

Wyznawcy Viśnu różnią się od potworów z Malabaru dobrocią i łagodnością. Lecz nie w stosunku do konkurencji, to znaczy śiwaitów i muzułmanów. *Sadhu – wiśnuita może zapukać do drzwi tylko wtedy, kiedy dym z kamina przestał się unosić. Może prosić tylko o r e s z t k i jedzenia. Nie wolno mu zebrać przed domem madirapaji-pijącego alkohol (sam nie pije), mansahariego – jedzącego mięso (sam pości), mordercy (nie zabija), kryminalisty (nie popełnia przestępstw) lub człowieka, który nie ma dziecka. Bo jeśli nie ma dziecka to może nie mieć i strawy. Każde użebране jedzenie dzieli na cztery części. Jedną porcję przeznaczają dla zwierząt, drugą dla tego, kto by z nim zjadł, trzecią i czwartą pochłania sam.(...) Spać może w świątyni lub na miejscu kremacji. Każdego dnia przeznaczają osiem godzin na modlitwy (nie ma zegarka) recytując pierwszą, nadaną mu przez nauczyciela i mistrza, czyli guru, mantrę. Śpi lub odpoczywa pięć godzin, lecz nie w dzień. Dwie godziny przeznaczają na ablucje, a pozostałe dziewięć na studia lub dyskusje. Inicjacja odbywa się nad Gangesem. Stare ubrania wrzuca się do wody, nowe farbowane są na szafranowo, ceremonia ma charakter pogrzebowy – grzebie się resztki dotychczasowego człowieka, żeby narodził się sadhu. Inicjacja może się odbywać każdego roku. Lecz sadhu nagi, ćwiczony w sztukach walki, może wchodzić w życie świętego tylko co dwanaście lat w czasie Wielkiej Kąpiel⁴.*

Sadhus-wiśnuici mają na czole pionowe kreski lub deformowaną na różne sposoby literę U.

Z kolei sadhu-śivaici malują nad oczami trzy kreski poziome, co oznacza trzy aspekty wiary. Wyznają teizm i postępują się zdrowym rozsądkiem. Varanasi (Benares) jest ich stolicą. Mimo że każdy hindus chce umrzeć w Varanasi i tam być spalonym, żeby pod postacią popiołu dostać się do Gangesu, to jednak niektórzy sadhus – wyznawcy Śivy idą do grobu na siedząco w pozycji lotosu. Dzielą się na nieskończoną liczbę sekt. Są tacy, co noszą broń, a inni tylko święte księgi. Jedni jedzą wszystko, inni są ścisłymi wegetarianami. Część, podobnie jak u wiśnuitów, pije alkohol i pali opium. Niektórzy zajmują się astrologią lub innymi oszustwami. W Nepalu – do niedawna konstytucyjnym królestwie hindu-jeden z ascetów miał prawo znaczyć czoło monarchy⁵, który jest wcieleniem Krśny. Jedna z nepalskich sekt je zgniłe ludzkie mięso, ale nie może brać do ust koniny. Niektórzy asceci mieszają swoje ekskrementy z wodą, roztwór cedzą przez szatę i to co przeciekło traktują jako napój, który ma podtrzymać ich duchowy alert.

W południowych Indiach mieszkają śivaici – wyznawcy fallusa. Noszą na szyi srebrne pudełeczko, w którym ukryta jest kamienna *linga*. Może być z drogiego kamienia. Jeśli pudełeczko zginie, następuje śmierć duchowa nosiciela. Dotyczy to też kobiet. Nie wierzą w wyższość kasty braminów. Lingaici, wyznawcy fallusa, jak wszyst-

⁴ Jest to Kumbha Mela, Zgromadzenie Dżbanu. Por. *Čakra*, op.cit. s.114.

⁵ T.C. Majupuria, R. Kumar, *Sadhus & Saints of Nepal&India*, Tecpress Books, Bangkok, b.r.wyd. p.106-107.

ko w hinduizmie, dzielą się nad podsektę, które dzielą się na podsektę i końca temu nie ma. Członkowie jednej z podsekt uważani za intelektualistów sami siebie uważają za inkarnację Śivy. „Jestem Śiva” – tak się przedstawiają.

Grozę budzi obecność wśród sekt Drogi Radości (Ananda Margis). To faszyzujące ugrupowanie bengalskie z komunistyczno-marksistowskiej Kalkuty ma na koncie morderstwa popełniane po to, by zdobyć głowy jako materiał na czaszki, z którymi tańczą po ulicach.

W grupie wiśnuitów znajdziemy podsektę, która celebrowała świętą sylabę hinduizmu „Om”. Om – inaczej aum: a,u,m – to symbol Brahmana, najwyższej duszy, natomiast poszczególne litery odpowiadają Brahmie, Śiwie i Viśnu. Sadhus mamrocza „om” na wydechu przez całe swoje życie, niekiedy nawet bez przerwy. Oczy wpatrzone są w kropkę na czole, *bindu*. Ommmmm, ommmmm, ommmmm. Taka medytacja prowadzi do transu, a trans do szczęścia.

Viśnu to protektor, a Śiva – niszczyciel. Stąd różnice w podejściu sadhus do świata. Viśnuici, podobnie jak Śivaici mają swoje centra szkoleń paramilitarnych i wdają się w krwawe bitwy z konkurentami, zwłaszcza w dniach Kumbha Mela.

Filozoficzne koncepcje dzielące, a właściwie szatkujące świat sadhus to z jednej strony wiara w Boga-Absolut, a z drugiej w absolutny sceptycyzm.

Wszyscy sadhus powinni być ascetami, którzy odrzucają bogactwo, seks i kulturę zachodnią, przy czym Zachodem dla hindusów z Indii jest już Afganistan, nie mówiąc o Iranie czyli Persji. Nie wolno im mieć czegośkolwiek, nawet zmartwień. Asceci polegają na sobie samych, są nieustraszeni i pewni siebie. Śpią w twardej łóżkach, budzą się przed świtem, ich ablucje graniczą z torturami. Mam na myśli zwłaszcza czyszczenie nosa tasiemką i żołądka szmatą. Modły i medytacje to treść dnia.

W cytowanej tu książce nepalskich autorów cała strona poświęcona jest fryzurze, a właściwie depilacji. Natomiast nie ma słowa o kołtunach i strąkach. Kąpiel nie służy ciału. Służy duszy, którą czyści świętą wodą. Najlepiej myje i płucze Kumbha Mela, Zgromadzenie Dzbanu. Raz na 12 lat w miejscu zwanym Prajaga (Allahabad), gdzie Yamuna wpływa do Gangesu, a podziemna rzeka Saraswati łączy się z ich wodami na powierzchni, hindusi, a zwłaszcza sadhus, dokonują świętej kąpeli. Liczba zgromadzonych w Allahabadzie i jednocześnie wchodzących do rzeki, idzie w miliony. Czas ablucji trwa miesiąc. Pielgrzymi sprawiają, że rzeka występuje z brzegów. Sami natomiast tratują się i zabijają. Liczba ofiar idzie w tysiące. Woda zmywa wszystkie grzechy. Oczyściła nawet Brahme, Stwórcę, który wszedł do rzeki, zanim zaczął swoje dzieło. Kąpiel w dniach Kumbha Mela warta jest tyle co 10 milionów zwykłych kąpeli w świętych miejscach. Zgromadzenie jest zapewne największym tłumem, jaki zbiera się na świecie w jednym miejscu w tym samym czasie. Rekordowe Dzbany polewały świętą wodą Gangesu 30 milionów hindusów (w roku 1989), w tym ogromną rzeszę sadhus.

Kumbha Mela doczekała się monografii naukowych. Jest taką *Prajaga* D.P.Dubeya, antropologa, profesora z Allahabadu czyli *Prajagi* (Prajogi właściwie) wydana nakładem Aryan Books International w New Delhi w 2001 r. W indeksie nie ma terminu „sadhu”. Uczennice sadhus doczekały się socjologicznych rozpraw na swój

temat – na przykład dysertacji Jogana Shankara, socjologa, profesora z Mysore, o kulcie służebnic Boga (*Devadasi Cult*, Ashish Publishing House w New Delhi 1994). W indeksie nie ma słowa „sadhu”. W monumentalnym słowniku hinduizmu (*A Dictionary of Hinduism. Its Mythology, Folklore and Development 1500 B.C.-A.D.1500* M.&J.Stutley Heritage Publishers New Delhi 1986) nie ma słowa „sadhu”. Widocznie jest to albo lekceważony albo traktowany z protekcjonalnym przymrużeniem oka, jak samo zjawisko, wybryk hinduistyczno-językowy. Upominał się o świętych mężów dopiero fotografik Rajesh Bedi, autor monografii o tytule *Sadhus. The Holy Men of India*⁶. Na zdjęciach widać więcej, niż w dziełach pisanych. Na obwolucie portret: twarz posmarowana grubą warstwą błota z popiołu funeralnego, które zaschło w białe strupy. Włosy posmarowane są tym bagnem również. Na czole wielki czerwony trójkąt ułożony podstawą równoległą do linii oczu. Oznacza to śivaite. Ale trójkąt wyciągnięty jest wierzchołkiem leżącym naprzeciwko podstawy do pionu, co oznacza wiśnuitę. Ale sadhu ramiona ma gołe, pewnie cały jest nagi, a więc wyznaje Śiwę. W strąki wplótł sobie pocięte girlandy z białych i czerwonych kwiatów. Pali torf trzymając w zamkniętej dłoni róg-fikę. Wrażenie robią wielkie rozkładówki: kilkuset nagich sadhus w eskorcie konnej policji zmierzają do Gangesu. Wśród nich naga kobieta, hinduska Lady Godiva na wystrojonym i wystraszonej koniu. Pielgrzymi dookoła niej wędrują pieszo. Na tym polega istota pielgrzymki nawet tej na Jasną Górę. Że używamy nóg (w butach, bosych, czasem kolan). Ale u celu wędrowki, a tym jest woda, uprzywilejowani wsiadają na dostępne ich statusowi wehikuly. Jedni (jedne?) ostatni etap pielgrzymki przebywają konno. Inni „słonno” (na słoniu). Jeszcze inni wystrojonym automobilem „ambassador” z fabryki Birla. Bedi fotografował także pielgrzymujące wielbłądy. Opiszmy ten album: mędrzec pośród spalonych trupów. Grubas z potężnym brzuchem, z którego tłuszcz zdaje się płynąć do ognia, przy którym sadhu się grzeje. Guru błogosławi dziewczynkę ze wsi, może przyszłą Godivę. Przed siedzącym w pozycji lotosu nagim mędrcom – kupka rupii w banknotach i monetach. Wiejskie kobiety też przyjmują błogosławieństwo nagiego męża, lekarstwem na bezpłodność nie pogardzając.

Rajesh Bedi spędził 14 lat w aśramie koło Hardwaru i jest z lekka nawiedzony: *sadhu to esencja ludzkiej egzystencji, wspólnota z boskością, dziewictwo* – napisał. Wędrował z nimi, podglądał i pstrykał. Sfotografował Khadeshwariego z Ayodhyi, miejsca narodzin Ramy, która jako święte miasto hinduizmu jest przedmiotem krwawego konfliktu z muzułmanami, bo też uważają ją za święte miejsce: zburzyli kiedyś świątynię Ramy i postawili tam meczet. Wyrzynają się nawzajem co kilka lat, więc z tym dziewictwem to lekka przesada. Khadeshwari ślubował, że będzie stał na jednej nodze 12 lat. I stoi. Chyba też śpi albo go niosą do łóżka z desek, bo spać na stojąco umie tylko koń. Na innym zdjęciu wyznawca Viśnu od 18 lat pali w glinianym naczyniu na głowie krowie łajno czyli – jak mówią indolodzy – święty krowieniec. Potrzebny mu kontakt ciała z ogniem.

Bedi był traktowany jak sadhu, dlatego pozwalał mu fotografować rekwizyty nigdy nie demonstrowane np. kolczyk z kości słoniowej wielkości talerza lub miskę

⁶ Rajesh B e d i, op.cit. Brijbasi Printers Private Limited, New Delhi 1991.

z ludzkiej czaszki, z której je się papkę w pobliżu dymiących stosów kremacyjnych.

Kiedy taka chmara ludzi przybywa do Prajagi, żeby wejść do świętej wody, logistyczne problemy przekraczają wszelkie możliwości administracji Allahabadu. Trzeba wydzielić miasteczko dla pielgrzymów. Bagatela – miasteczko wielkości Meksyku, Rio, Tokio, Bombaju czy Kalkuty! Z restauracjami nie ma problemu bo sadhu żywią się we własnym zakresie. Ale trzeba dostarczyć im takiej samej liczby mieszkańców, jak ta pielgrzymia, żeby przybysze mieli u kogo żebrać. Żebraków jest kilka razy więcej niż mieszkańców. Defekacja po jedzeniu też musi się gdzieś odbywać. Tu podstawowe zasady higieny nie wchodzi w grę. Szpitale, miejsca kremacji *ad hoc*, ktoś tam przecież mimochodem umrze w tym tłumie lub zostanie zadeptany albo zabity – wszystko to stanowi problem nie do rozwiązania. Gdzie na przykład wyznaczać cmentarze dla sadhus? Niektórych chowa się na siedząco. A poczty, sklepy, parkingi dla rowerów, posterunki policji, cała krótko mówiąc infrastruktura? Miasto wydaje ogrom rupii, zarabia niewiele. Na sadhu zarobić niepodobna.

Wróćmy do opisu świętych mężów, choć portretowanie ich fotoaparatem ma głęboki sens. Dwaj cytowani tu nepalscy autorzy zgodnie z hinduskim zwyczajem dzielenia wszystkiego na najdrobniejsze atomy dostrzegają najpierw cztery rodzaje ascetów. Są to:

1. Święci jako tacy, którzy zawdzięczają swoją pozycję znajomości jogi, medytacji i filozofii religii.
2. Asceci-hipokryci, wilki w owczej skórze.
3. Bezlitośni żebracy.
4. Włóczędzy, którzy terroryzując hindusów wzbudzają ich szacunek wynikający ze strachu.

Zajmując się pierwszą kategorią dostrzeżemy:

Rishis (Riszych) czyli świętych antycznych, staroświeckich;

Munich, którzy zajmują się wyłącznie kontemplacją i medytacją;

Yatis, którzy bezwzględnie kontrolują samych siebie; takich ludzi, jak Gandhi, którym przyznawany jest tytuł i status Mahatmy, Wielkiej Duszy. Tworzą oni mikrokosmos Boga wokół siebie;

którzy wiodą właściwe życie. Człowiek posługujący się prawdą (Satya), bezwzględnie (Ahimsa), uprzejmością, wielkodusznością, altruizmem i zdolnością przebaczenia nazywa się Dharmatma;

Sannyasi, który odrzuca świat, rodzinę i posiadanie.

SADHU, człowiek uprzejmy, który spieszy drugiemu z pomocą. Chodzi nago lub ubiera cokolwiek. Sadhu nigdy nie traci zimnej krwi, nigdy się nie złości. Bieda nigdy się go nie ima. Jest litościwy i współczujący. Nie żywi nienawiści. Nie myśli w kategoriach „ja”, „moje”. Jest odważny, zawsze kontent, zawsze kontroluje umysł, panuje nad sobą, prowadzi życie poświęcone Bogu, nie przejmuje się światem, świat nie przejmuje się nim, jest wolny od radości, niecierpliwości, lęku i wzburzenia, nie łudzi się żadną nadzieją, jest czysty, obca mu samolubność, jest cichy, bezdomny, nie myli się w sądach, a Bóg jest jego jedynym celem.

Kobieta-sadhu znana jest sadhvi. Dotyczy jej to samo co mężczyzny. Sadhu rekrutuje swoich uczniów i utrzymuje ich nie wiadomo z czego. Jeśli posiadał nadnaturalną moc, jest godny nazwy sadhu tym bardziej. Mówi się o nim także: Yogi lub Yogin (wyzwolony), Swami (samouk), Nath (pan, bóg), Siddha (mistrz jogi i sztuk ma-

gicznych), Bhagat (wyznawca), Tyagi (ten, kto odrzuca świat), Virakta (jedyny, który pozostał z rodziny i który je tylko to, co mu dadzą. Nie prosi), Topasvi (okalecza się), Guru (nauczyciel), Mandaleshwar (wyształcony wielki pan), Mahant (zwierzchnik klasztoru), Baba (szanowany starzec-asceta), Paramhansa (musi przejść 12 lat prób. Jeden z najwyższych stopni wtajemniczenia), Hermit (zadaje sobie tortury), Raval (przepowiadacz przyszłości), Saraswati (uczony).

Na liście ascetów zestawionej przez nepalskich badaczy mamy co najmniej trzech hochsztaplerów, których autorzy nie dezawuuują: Maharisziego Mahesza Yogi (nauczyciela lewitacji), Rajnisia Osho (propagatora hinduistycznego seksu wyzwolonego, posiadacza setki Rolls-Royce'ów i tysiąca Rolexów), Sai Babę, który wzrokiem wygina łyżki). Hohnsztaplerów tych ułaskawia także Stanisław Tokarski w: *Jogini i wspólnoty. Nowoczesna recepcja hinduizmu*⁷.

Sadhus wierzą w równość i są przeciwni podziałom kastowym. Nie płacą za bilety w pociągach (nie wiadomo, jakim prawem pielgrzymują w wagonach?). Jest to wymierający gatunek, bo nowe i nowoczesne społeczeństwo nie uważa tego sposobu życia za właściwy dla siebie. Ale szanse na przetrwanie – z drugiej strony należy upatrywać w tym, że przeżyją nie asceci, lecz ci Indusi, którzy ich wspierają pieniądzem, pożywieniem, podarunkiem. Wedle ksiąg ascetów – darczyńcy będą szczęśliwi. Jest ich niewielu, nie więcej niż ascetów, bo namówić Indusa, żeby sięgnął do kieszeni – nie sposób. Ta więc droga do szczęścia jest bardzo wąska, bo darczyńców jest tylu co kot napłakał.

Na liście 300 przymiotów, które autor *Brewiarza dyplomatycznego* z XVII wieku wypisał dla potrzeb ludzi o zawodach publicznych, znajdują się wszystkie, którymi musi legitymować się prawdziwy sadhu, m.in.:

8. Człowiek, który się nie unosi, 46. Hamować odruchy niechęci, 64. Zmartwień sobie oszczędzać, 92. Duch winien górować nad wszystkim, 128. Odwaga nieustraszona, 157. W ocenie ludzi się nie mylić, 219. Umieć się prawdą posłużyć, 263. Nie trzeba mieć na własność wiele spośród rzeczy, które sprawiają przyjemność, 300. Żyć świętobliwie⁸.

* * *

W kulturze indyjskiej nie historia i pamięć odegrały rolę, lecz natura, to znaczy góry Himalaje i Hindukusz, śniegi i wody, czyli Ganges i ocean. Politeizm w takim świecie jest normą podczas gdy monoteizm wykreowany został przez brak wielkich gór i wód. Pustynie, czyli brak wszystkiego, więc Bliski Wschód, skąd pochodzi monoteizm judeo-chrześcijańsko-islamski, stały się ojczyzną monoteizmu. Hinduska droga poszukiwań od politeizmu do monoteizmu utknęła na monizmie. Że natura wszelkiego bytu jest jednorodna. Monizm jako podstawę badań przyjęli Feuerbach i Marks. Człowiek, Bóg i świat stanowią jedność – uczył Adi Shankaracharya w VIII w n.e. Panteon hinduski mieści się wraz z całym światem w jednym człowieku. Dlatego sadhu jest filozoficznie i biologicznie tak wspaniale samowystarczalnym.

KRZYSZTOF MROZIEWICZ

⁷ Stanisław Tokarski, *Jogini i wspólnoty. Nowoczesna recepcja hinduizmu*, Ossolineum, Wrocław-Warszawa-Kraków-Gdańsk-Łódź 1987.

⁸ Baltazar Gracjan, (jezuita hiszpański), *Brewiarz dyplomatyczny*, PAX Warszawa 2004, s.11-27.

MARTA ZABŁOCKA

CZARNE KLAWISZE OLIVETTIEGO

(florencie Yin i Yang)

Przez Piazza San Giovanni przemyka tuż koło pozłacanych drzwi Baptysterium i marmurowych ścian Duomo, wzdłuż ulic którymi przechadzali się Giotto, Dante, Paolo Uccello czy Machiavelli. Zostawia za sobą tłum kroczący przez najstarszy Most Złotników i ciasne uliczki przy Arno wychodzące wprost na Uffizi. Na zacienionych dachami kamiennych pasażach słychać stukot jej obcasów, widać rozwiane czarne włosy. Na stacji kolejowej Frenze Santa Maria Novella zatrzymuje się trzymając w rękach ciężkie pudło. W środku maszyna Olivetti Lestera³². To dziwne, że właśnie wybrała maszynę do pisania pozbawioną znaku wykrzyknika, przecież tak bardzo lubiła krzyczeń w swoich tekstach. **Oriana Fallaci** była jej wierna do końca swoich dni.

Tuż za nią przybiegł młodszy kolega. On też z maszyną do pisania, lecz nie pisze jeszcze na niej. Zatrudniony w turyńskiej firmie rodziny Olivetti najpierw pracuje przy taśmie montażowej, a następnie wyrusza w świat, by rekrutować nowych pracowników. Zatrudniony w firmie produkującej maszyny do pisania i kalkulatory odwiedza Danię, Portugalię, Niemcy, Holandię. Aż zdarza mu się służbowy wyjazd do Afryki Południowej. Stamtąd **Tiziano Terzani** wraca z napisanym tekstem dziennikarskim. Publikacja artykułu *L’Africa divisa (Podzielona Afryka)* w „Astrolabio” otwiera mu karierę reporterską.

Mijanie w Czasie

Zanim wyruszą, muszą opuścić swoje florenckie domy. Terzani uciekł od nadopiekuńczej matki Liny i nieśmiałego tokarza Gerardo. Od domu, w którym nie było książek ani wygodki, a kąpano się w jednej wannie, bo nie było bieżącej wody. Od lombardu Góra Litości na Via del Porcellana, gdzie matka zastawiała pościel z wyhaftowanym monogramem T. Od upokorzenia i rodzinnej biedy, choć dzieciństwo małego Tiziano zdawało się być szczęśliwe. Niedzielne spacery w odświętym czystym ubraniu miały zrekompensovować zakaz zabawy z innymi chłopcami (krzyk matki: bo się pobrudzisz!). Wiedział, że musi wyrwać się z tego ograniczonego świata. O innym świecie dowiedział się od największego kłamcy w rodzinie, kuzyna ojca, który na co dzień zajmował się zbieraniem końskich odchodów. Wcielony do marynarki trafił na okręt wojenny pływający na Morzu Śródziemnym. Po powrocie ten prawdziwy marynarz, ale i też potworny kłamczuch zaszczępił w Tiziano ciekawość innego świata. Choćby takiego, w którym ryby podpływały do burty i zjadały ci z nogi grube wetniane skarpety. Najpierw

uciekł w świat wyobraźni, potem zaczął uciekać tramwajami do śródmieścia Florencji, potem wsiadł do pociągu, by wyruszyć dalej.

Fallaci ucieka też od biedy w domu, od wojny, strachu, głodu, rozpaczy. Od dzieciństwa zatrutego przez walkę z wrogiem u boku dorosłych. Od rozbawionego głosu ojca Eduardo i współczujących słów matki Toski. Od przeszłości, która i tak ją dopadnie w trakcie pisania ostatniej książki, wielkiej sagi rodzinnej *Kapelusz cały w czereśniach*. To *opus magnum* Fallaci pisane przez ostatnie dziesięć lat życia, a opisujące ród sięgający XVIII wieku. Zawiera w sobie jak w soczewce charaktery przodków i praszczurów, od których albo ucieka, albo w których się zakochuje. Uwielbia Caterinę – krnąbrną, ekstrawaganczką prawnuczkę heretyczki, która wyjdzie za Carla jedynie pod warunkiem, że nauczy ją czytać i pisać. Odpycha od siebie Montserrat – lituje się nad jej sierocym losem, nad życiem z prostym korsarzem Francesco, cierpi wraz z nią, gdy czterej synowie toną w morzu. Popada w szaleństwo, grywa na lutni, by wskrzesić umarłych. Nie potrafi zrozumieć pięknej Teresy, żony Gaspara, kochanki jego brata Giovanna. Zakochuje się w Anastasii – niezwykłej prababce, córce wandejskiej dziewczyny z Turynu i młodego powstańca z Krakowa. To po niej nosi imię – Oriana Anastasia Talide. To ona była inteligentną feministką, paliła jak mężczyzna, tańczyła walca, porzuciła córkę Giacomo, uciekła do Nowego Jorku, strzelała do Indian, grywała w karty i prowadziła saloon. Prowokacyjna z wyzywającą bezczelnością, żyła w czasach, gdy w trosce o przyzwoitość posuwano się do zasłaniania nóg stołowych, a na nagie posągi nakładano listki figowe. Po niej Oriana odziedziczyła charakter awanturnicy chcącej doświadczyć wszystkiego. Opisywanie rodzinnej historii stało się w pewnej chwili dla Fallaci natręctwem. Spuszcza ze smyczy wyobraźnię tam, gdzie archiwa, kroniki i biblioteki milczały. Pisze: *Kochani, nieszczęśliwi, biedni praprapradziadkowie, którzy przekazali mi swoje dramaty i chromosomy: chciałabym uściskać ich w chwili, gdy mają się odnaleźć i przyczynić się do mojej przyszłej egzystencji, do mojego odważnego pojawienia się w Czasie¹, wierząc, że w każdym z opisanych przez nią krewnych jest częśćka jej Ja, które nie pojawiłoby się na świecie, gdyby nie zbieżność pewnych zdarzeń. Z jednej strony w każdym praszczurze jest ona, z drugiej spisane dzieje to jej dziecko najukochańsze, pozamykane w kremowych teczkach; maszynopis ręcznie numerowany zabierany w każdą podróż w ciemnobrązowej torbie.*

¹ O. Fallaci, *Kapelusz cały w czereśniach*. Przełożyli: J. Mikołajewski i M. Woźniak, Kraków 2012, s. 329.

Zanim Oriana wyruszy w literacką podróż do domu, musi z niego odejść. Najpierw rozpoczynając studia medyczne, potem rzucając je po lekcji anatomii, by dzięki wpływowemu stryjowi zacząć pisać kroniki kryminalne w lokalnej prasie. W 1950 roku przenosi się do Mediolanu, gdzie zaczyna pisać do „Epoki”, potem do „L'Europeo”, później do „Corriere della Sera”, której jest wierna aż po grób.

Do trzewi rzeczywistości

Kiedy redaktor pyta się, czy chcesz pojechać dookoła świata? nie zastanawia się długo, myśli o podróży niczym Fogg w osiemdziesiąt dni. Kiedy słyszy temat: kobiety, dziwi się myśląc, że stawia się je obok innych tematów dziennikarskich jak polityka czy sport. Zgadza się i wyrusza, by móc spojrzeć w oczy przez firankę długich rzęs zakwieconej na co dzień żonie Zarabi Ahmed Hussana z Pakistanu. By porozmawiać o przemianach w statusie indyjskich kobiet z Rajkumari Amrit Kaur, siedemdziesięcioletnią panią minister zdrowia w rządzie Nehru. Han Suyin, chińską pisarkę odwiedza w Singapurze. Autorkę, jednego z najbardziej popularnych romanów *Rzecz wszechwspaniała*, zapyta nie tylko o adaptację filmową, ale też o zmiany, jakie zachodzą wśród obywateli Państwa Środka. Zaczepi prostytutkę w klubie Metropol, by móc z nią porozmawiać przez dwadzieścia minut za pięć dolarów. Dzięki Sumiko Mikimoto spróbuje rozwiązać tajemnicę japońskich inscenizowanych randek. W ten sposób powstanie zbiór reportaży *The Useless Sex (Niepotrzebna pleć, 1961²)* opisujących kobiecą rewolucję, którą Oriana Fallaci miała okazję oglądać i opisywać podróżując od bazaru w Karaczi do nowojorskiej kawiarni. To doświadczenie obudziło zapewne w dziennikarce determinację w poszukiwaniach drażliwych i trudnych tematów, odwagę do zadawania krępujących pytań, bezkompromisowość w wygłaszaniu komentarzy. I być może to sprawiło, że przeprowadzając wywiady z Goldą Meir i Indirą Gandhi była dla nich łagodna (w porównaniu z Henrym Kissingerem, Hajle Selasją, Jasirem Arafatem i innymi rozmówcami z tomu *Wywiad z historią, 1978-2008*).

Tak rozpoczęła dojrzałą karierę, jako najstłyniejsza włoska korespondentka wojenna na frontach w Wietnamie, Laosie, Kambodży, Libanie, Iranie czy na Bliskim Wschodzie. Jaka moc pchała ją na pierwszą linię walk? *Właśnie dlatego, że na wojnie się ginie, a przynajmniej można dostać kulę między żebra, człowiek czuje że żyje?* – tak opowiadała o swojej pracy w wywiadzie dla „Sterna” w 1992 roku³. Ta niszczycielska siła, która determinowała jej waleczność i brawurę na froncie, łączyła się z drugą rolą publiczną. Była pisarką, nawet wówczas (jak twierdzą jej współpracownicy), gdy pisała teksty dziennikarskie. *Wiesz dobrze, powieść zawsze mnie pociągała, ponieważ jest pojemnikiem, gdzie możesz umieścić jednocześnie rzeczywistość i fikcję, dialektykę i poezję, idee i uczucia. (...) mieszanina tego wszystkiego pozwala na ukazanie prawdy prawdziwszej od prawdziwej prawdy. Prawdy wymyślonej na nowo, uogólnionej, z którą każdy się utożsamia i w której się rozpoznaje⁴* – pisze Profesor, jeden z bohaterów powieści *Inszallah*, którego można by

nazwać *alter ego* samej autorki. Fallaci opisuje walki włoskiego kontyngentu wojskowego z szyicką sektą Dzieci Boga w Libanie igrając z gatunkiem, prawdą historyczną, dziennikarską rzetelnością. Bo na kartach tej książki jest ona również *dziennikarką z Sajgonu, fantasmagoryczną statystką, która (...) kręci się wśród nas, pilnie nasłuchuje, wytrzeszcza oczy i coś notuje⁵*. Cóż za ironia ze strony Oriany – tam gdzie świat rządzi się prawami fikcji literackiej, tam ona odnajduje prawdę prawdziwszą, zaś w tekstach dziennikarskich kroczy ona po cienkiej linii między obiektywnością relacji prasowych a relatywizmem postrzeganej rzeczywistości. W obu przypadkach bardziej lub mniej odkrywa siebie, własną tożsamość, na którą wchodzi różne składowe.

Terzani trafił do wyśnionych przez siebie Chin dosyć określną drogą. Najpierw sinologia na Uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku, potem kontrakt z „Der Spiegel” na relacje z Wietnamu i Indochin. Miał wtedy 33 lata i zaczął karierę dziennikarską myśląc o sobie: *mając sześć milionów czytelników w Niemczech, wydawało mi się, że mam wielką misję do spełnienia. Tylko pomyśl: piszesz coś innego niż wszyscy i zmieniasz opinię publiczną⁶*. Jest jednym z pierwszych dziennikarzy, którzy bezpośrednio kontaktowali się z Wietkongiem, dociera przez mangrowce i Mekong pełen krokodyli do partyzantów, robi im zdjęcia, poznaje i opisuje. Czuje w sobie prawie że boski pierwiastek, niepodważalne prawo do opisywania własnej prawdy. To dawało mu siłę, by relacjonować sytuację w kambodżańskich wioskach tuż po bombardowaniach dywanowych. Dziennikarska podróż to patrzenie na życie, zanurzenie się w świecie na tyle głęboko, by nie czuć się obcym. Tak jak wtedy, gdy w Peszawarze kupuje dywan, zaczyna rozmowę, zostaje zaproszony do sklepu, potem do domu na kolację – poznaje ludzi, ich dzieje, kraj. Opowiada historie z zaangażowaniem, sercem.

Kiedy w 1980 r. dociera w końcu do Chin (oczekiwał wyjazdu od 1967) przestaje być Tiziano Terzanim, jest Dengiem Tiannuo. Chciał zmniejszyć w ten sposób dystans, jaki stwarzał będąc cudzoziemcem. Zagląda pekińczykom do ich ciasnych domów, ogląda pracę hycyli wypełniających w bestialski sposób nakaz zabijania wszystkich psów, dociera do jałowego, straszego miasta Sinkiang na pograniczu z ZSRR, kąpie hodowlane świerszcze w filiżance letniej herbaty i umieszcza swoje dzieci (jedenastoletni Falco i dziewięcioletnia Saskia) w publicznej chińskiej szkole. I choć widziane przez wiele lat z daleka Chiny wydawały mu się krajem twórczym, to rzeczywistość okazała się mniej piękna od marzeń. Jak pisze w *Zakazanych wrotach: sen Denga Tiannuo był koszmarem dla Chin⁷*. Sen skończył się wydaleniem po czterech latach pracy. Za co? Za posiadanie plakatu Mao z Muzeum Wiktorii i Alberta w Londynie, na którym zawiesił mały krucyfiks, za rysunek swoich dzieci przedstawiający Tiziano jako chińskie bóstwo. Za to staje się zakładnikiem Denga Xiaopinga. Poddano go reedukacji, wymuszono zapłacenie grzywny i oznajmiono: *nie pasujesz już do życia w Chinach⁸*.

Terzani nie stara się być obiektywny, czego najwyższy wraz daje w książce *W Azji* (1998), którą kończy

² O. Fallaci, *The Useless Sex*. Translated from the Italian by P. Swinglehurst, London 1967.

³ M. Jędrasik, *Oriana Fallaci. Wściekłość*. W: <http://kobieta.gazeta.pl/wysokie-obcasy/2029020,53662,619367.html>

⁴ O. Fallaci, *Inszallah*. Przełożyła J. Ugniewska. Warszawa 1993, s. 229.

⁵ Ibidem, s. 232.

⁶ T. Terzani, *Koniec jest moim początkiem*. Przełożyła I. Banach. Poznań 2010, s. 90.

⁷ T. Terzani, *Zakazane wrota*. Przełożył K. Żaboklicki. Warszawa 2011, s. 14.

⁸ Ibidem, s. 355.

swoją reporterską karierę. Opisany tam pobyt w Japonii wyniszczył go, doprowadził do depresji, wyczerpał. Najczarniejszy obraz życia związany był z wycuciem rozdźwięku między tym, czego chciał, a tym, kim był i kim miał zostać. Równowagę odnalazł w kolejnej podróży, w byciu drodze, w bliskości życia z innymi. To w Indiach odnalazł porządek świata, Ghandyjską wolność, zrozumiał iluzję polityki i rewolucji. Dociera do Swamiego, mistrza aśramy, a potem do Starca w Himalajach, który uczy go jak zatrzymać się w życiu, jak uciszyć myśli, jak oddać się przede wszystkim samemu sobie. Tiziano mówi: *jestem florentczykiem, który szukał czegoś nowego, i który tu i tam zdobył wiele różnych doświadczeń*⁹.

Listy z dwóch różnych światów

Dotykam ich życia językiem. Muskam biografie ustami, nadgryzam zębami, smakuję. Egzotyczne przyprawy doprowadzają do zawrotu głowy. Pieprz, kardamon, pędy bambusa, sos sojowy, śliskie potwory morskie. Wszystko to pływa w filiżance zielonej herbaty. Początkowa świeżość obserwacji i wrażeń z Wietnamu, Chin czy Japonii z biegiem lat pracy dziennikarskiej nie ulegała zatraceniu. Terzani nie gorzknieje, nie traci smaku nawet wtedy, gdy podąża śladami wroźby o swojej śmierci czy kiedy walczy z nowotworem. Zyskuje spokój i delikatność.

Jad Fallaci nabiera tymczasem charakterystycznego smaku. Z doświadczenia na frontach wojennych, wiedzy i wniosków z licznych rozmów, pracy korespondentki i powieściopisarki umysł nabrał mocy czerwonego wina. Wino to mocne, lecz w smaku cierpkie. Każda z jej książek to pomnik egocentryzmu. Zamilkła na piętnaście lat pracując nad rodzinną sagą, by w jeden wrześniey poranek stać się dzieckiem z andersenowskiej baśni, które z odwagą potrafi krzyknąć, że król jest nagi. Szowinistka własnego narodu złościła się na dźwięk włoskich cykad.

Opublikowane artykuły Oriany Fallaci zamieszczone w tomie *Wściekłość i duma* (2001) wzniecają intelektualną pożogę, którą próbuje na łamach gazety ugasić... Tiziano Terzani. Ona – feministka, narcyz, sumienie dekady zderza się z nim – pogodnym pacyfistą, empatycznym tłumaczem świata. Ona profetycznie wyznacza rok 2017 na datę, gdy Europa będzie w całości muzułmańska. Oślepią gniewem otwiera publiczną dyskusję o zbyt tolerancyjnych Europejczykach względem mniejszości muzułmańskiej, która przywłaszcza bezceremonialnie przestrzeń kulturową i społeczną. Ostrzega przed życiem w Eurabii. Chce zmącić umysły stetryczających intelektualistów ze Starego Kontynentu. Wyzywa od zaślepionych krótkowzrocznością i głupotą politycznie poprawnych.

Tuż po tej publikacji Terzani pisze do Fallaci list z Florencji. Staje w obronie tych, których swoim esejem pozbawiła nadziei. Zadaje retoryczne pytanie: *Czy na pewno myślisz, że przemoc jest najlepszym sposobem pokonania przemocy?*¹⁰ Sugeruje, by z empatią odnosić się do każdego, bez względu na to co znajduje się u niego na talerzu: żaba, świnia, chleb czy czosnek. Skłania do podejmowania decyzji kierując się moralnością, a nie własnym interesem. By uczyć dzieci uczciwości, a nie sprytu. Orianie zaleca zatrzymanie się, wyciszenie, powrót do natury, nabranie innego dystansu do świata niż

ten, który tworzy pisząc nienawistne artykuły w szklanym nowojorskim wieżowcu.

Ryszard Kapuściński w trakcie wykładu w Bibliotece Europea w Rzymie (2006) porównywał dziennikarstwo tej florenckiej pary. Zauważył on strach Oriany przed wielokulturowym światem, w którym się nie potrafiła odnaleźć. Dlatego rozważała tylko jedno wyjście: rozdzielić – Tiziano odwrotnie, jedynie dzięki zbliżeniu i próbie zrozumienia widział szansę na porozumienie.

Fallaci przypominała słowa Mieczysława Rakowskiego, że w *polityce nawet anioł staje się dziwką*¹¹ – komentując, że polityka dla niej to kariera, przywileje, próżność i żądza władzy. – Pisząc na coś się przydaję, uprawiam misję jako obowiązek – tłumaczy dziennikarka fakt, że politykę uprawia piórem. Terzani w tym samym momencie jest zupełnie gdzie indziej. Nie musi już podejmować wielkich decyzji, nie płynie z nurtem rzeki historii. Ma tę przewagę, że stoi obok na brzegu i może się tylko przyglądać jej biegowi. Odpowiedzialny za swoje słowa wciąż poszukuje prawdy wątpiąc jednak w odnalezienie jej w faktach.

W wywiadzie dla „New Yorkera” (maj 2006) Fallaci wspomina o projekcie budowy meczetu w toskańskiej gminie Colle Val d’Elsa, gdzie znajduje się jej letni domek. Grozi na łamach pisma, że jeśli dojdzie do realizacji, to sama zwróci się do swoich dawnych kolegów-anarchistów o kilka lasek dynamitu. Mówi: *W krajobrazie Giotta nie ma miejsca na 24-metrowy minaret*. Terzani też nie szczędzi ostrych słów pod adresem Florencji *miało pazerne, turystyczna prostytutka*¹², to jednak widzi przyczynę takiego stanu nie w emigrantach z Albanii, Senegal czy Pakistanu, lecz w procesie globalizacji, niepożądanym sile rynku i zwulgaryzowaniu świata.

Zwielokrotniona śmierć

Oboje przezroczyci jak papier welinowy, na którym zmarszczki i przebarwienia skóry wypisały koleje losów. Blizny po walkach na froncie, w sercu, na ciele. Ona drobna i krucha w walce z Obcym wystawiła krwistoczerwone pazury. Orze nimi własną skórę do krwi by poczuć, że żyje. Przekorna wojowniczką stojąca w oknie kliniki na Piazza Indipendenza ze strzelbą, by bronić życia. W niebieskich oczach odbijają się krople deszczu. W dniu jej ostatniej walki Florencja obudziła się we łzach. On też wrócił do swojej kolebki. Tu w matczynych objęciach Florencji słucha kołyszącego się rytmu dzwonnicy i leśnej kukułki. Ogarnia go spokój. Po licznych próbach walki z Obcym, gdy chciał Go pokonać dzięki tybetańskim i chińskim medykom, poddaje się Jego woli.

Oboje umierali wielokrotnie, niezliczoną ilość razy strach mroził ich umysły, zatrzymywał rytm serc. Fallaci uchodzi z życiem pierwszy raz zapewne w czasie II wojny światowej, kiedy jako nastolatka bawiła się w antyfaszystowski ruch oporu Giustizia e Libertà przemycając granaty w główkach sałaty. Kiedy biegała pod bombami i przeskakiwała przez ciała tych, którzy nie biegali dość szybko. Potem wielokrotnie ryzykuje będąc korespondentką wojenną w Wietnamie, Kambodży, Bangladeszu, Jordanii czy w Libanie. To doprowadza ją aż do kostnicy. W 1968 roku w trakcie demonstracji na placu Trzech Kultur w Meksyku policja otwiera ogień do studentów,

⁹ T. Terzani, *Koniec jest...*, op.cit. s. 519.

¹⁰ T. Terzani, *Listy przeciwko wojnie*. Przełożyła Joanna Wachowska – Finlaison. Warszawa 2012, s. 37.

¹¹ O. Fallaci, *Wywiad z sobą samą. Apokalipsa*. Przełożyła J. Wajs. Warszawa 2005, s. 63.

¹² T. Terzani, *Listy...*, op. cit., s. 52.

wówczas Oriana zostaje ranna. Podobno tak ciężko, że uznano ją za zmarłą i umieszczono wśród ciał zamordowanych.

Śmierć to marnotrawstwo – krzyczy wiedząc, że nie pożyje zbyt długo, zadowolona ze swojej starości, która przyniosła ważne dla niej poczucie wolności. Przestaje wreszcie martwić się o rodziców, profesorów, redaktorów naczelnych gazet. Oswobodziła się od niezyciowych sądów, jakie padają pod jej adresem i od konsekwencji własnych wyborów. Teraz ma wolność absolutną, którą podstępnie atakuje Obcy. Pożera ją, traci siły, czasami nie może sama utrzymać się na nogach. Nigdy nie mówi: „Chciałabym cofnąć czas i zacząć wszystko od początku”. Z olbrzymią żarliwością nienawidzi śmierci, lecz się jej nie boi. Mówi o niej: *Nienawidzę jej bardziej niż mogłabym nienawidzić człowieka, a wobec tych, którzy otaczają ją kultem, żywię bezbrzeżną pogardę. (...) Prawdą jest, że choć znam ją dobrze, nie rozumiem Śmierci. Rozumiem tylko, że jest częścią Życia i że bez tego marnotrawstwa, za jakie uważam Śmierć, Życie by nie istniało.*¹³ Liczyła na to, że umrze jak Emily Brönte – stojąc, obierając ziemniaki. Że zamiast upaść na ziemię, pozostanie wyprostowana jak toskański cyprys, z nożykiem do obierania warzyw w jednej ręce i szarym ziemniakiem w drugiej. Że umrze stojąc, trzymając w dłoni papieros virginia circles i dmuchając dymem prosto w twarz drania, który zagnieżdził się w jej płucach. Że wystawi swój rozdwojony język i jeszcze raz zasycy.

Na drzwiach swojego ostatniego domu w Ketchup w Idaho Ernest Hemingway zawiesił tabliczkę z napisem: WIZYTY NIESPODZIEWANE NIEMILE WIDZIANE. Terzani jest grzeczniejszy, na ogrodzeniu umieścił: WSZYSTKIE WIZYTY BEZ WYJĄTKU SĄ MI NIEMIŁE. Dlaczego? – Bo odszedłem do wnętrza samego siebie – odpowiada Martinowi, brytyjskiemu przyjacielowi z czasów Wietnamu, który odwiedza go w Orsigni. Teraz, tuż przed śmiercią nikt go już nie odwiedza za wyjątkiem podjadających kosańce jeżozwierzy, borsuków, dzików, wilków i jeleni. Pogodny, pogodzony ze sobą, w doskonałym stanie ducha przebywa w odosobnieniu, w wybudowanej na skraju toskańskiego ogródka gompy, czyli odpowiednika buddyjskiego klasztoru będącego jednocześnie ośrodkiem studiów. *Wszystko, co widzę czekając na koniec, zamyka koło. Wiesz, był taki wspinały mistrz zen i w pewnym momencie życia ktoś go zapytał: „Jaki jest sens wszystkiego?” Mędrzec wziął pędzelek, zanurzył go w chińskim tuszu i narysował koło. To moje marzenie. Piękne, prawda? Zamknąć koło.*¹⁴

Lecz zanim dotrze do spokoju ducha, będzie się bał. Tak jak wtedy, gdy ginął w Bangkoku dziennikarz Neil Davis, gdy żołnierze siedzący na czołgu sądzili, że jego telekamera to bazuka. W ten sposób sfilmował własną śmierć. (Choć już w 1880 roku francuski fizjolog Etienne Jules Marey zbudował aparat fotograficzny do złudzenia podobny do strzelby, w bębenu znajdował się film. Pomysłodawca pisał: *Mam karabin, który nie ma w sobie nic z zabójcy.*) Terzani zbliżał się wówczas do linii frontu i słyszał ostrzegawcze słowa chłopców z patrolu, że sto metrów od nich celują do niego Czerwoni Khmerzy. Pięćdziesiąt metrów dalej przed nim był Neil

Davis i filmował. Bał się też wtedy, gdy próbował się dostać do zdobytego przez Khmerów 17 kwietnia 1975 roku Phnom Penh. Został przez nich złapany gdy tylko przekroczył granicę z Tajlandią. Z początku wierzył w dziennikarski immunitet, nietykalność. Ale w momencie, gdy kazano mu stanąć przed murem, a porywczy osiemnastolatek zaczął wymachiwać mu przed oczami chińskim pistoletem, zwątpił. Przestraszył się. Uśmiech – tak jak Ryszardowi Kapuścińskiemu w podobnych sytuacjach – i zielony włoski paszport uratował Terzaniemu życie. To zdarzenie uświadomiło mu, jak bezużyteczną brawurą bywa jego zawodowa misja, jak niefrasobliwość może przynieść śmierć. Wizualizował sobie scenę, gdy do ukochanej żony Angeli któryś z kolegów dziennikarzy przyszedłby, wziąłby na stronę i zaczął mówić: „Mam ci coś do powiedzenia... Został rozstrzelany na rynku w Pipet”. Nagle wojna stała się nie spełnieniem chłopięcej przygody, lecz bezsensowną przemocą, odczłowieniem, które dotknęło go aż zbyt boleśnie.

„Strzeż się! Istnieje wielkie ryzyko, że umrzesz w roku 1993. Dlatego nie wolno ci w tym roku latać. Ani razu!” – usłyszał Terzani wiosną 1976 z ust starego Chińczyka. I mimo początkowego lekceważenia zdecydował się na roczną pracę dziennikarza poruszającego się lądem i morzem. Mimo że przepowiadano mu śmierć, odżył! Po miesiącach życia w japońskim kaftanie bezpieczeństwa, na skraju depresji Tiziano Terzani kołyszając się na statku, usypiając w rytm wystukiwany przez koła zamachowe pociągu z Tajlandii do Europy, odwiedzając po drodze innych wróżbitów i magów, by dowiedzieć się o swą przyszłość – dziennikarz odnalazł życiową równowagę. Amulet towarzyszący mu w czasie tej niezwyklej podróży, czyli pigułka prozacu dał po powrocie do domu swojemu staremu choremu psu Baoli, który wyżarł całe pudełko i umarł szczęśliwy.

Tuż przed śmiercią wszystko porzuca, oddaje, podarowuje, przywołując słowa żony, że nikt nie wynalazł jeszcze trumny z bagażnikiem. To pozwala mu żyć lekko, bez zbędnego bagażu, nie trzymać się życia kurczowo, pazurami. Oswaja śmierć myślą, że umieramy co wieczór zamykając oczy do snu. Wręcz czeka ze zniecierpliwieniem, bo nie tylko przyniesie to ulgę, lecz także będzie okazją na ostatnią już pracę dziennikarską. Śmierć widział u innych, sam jej do końca nie przeżył – teraz będzie szansa na zaspokojenie reporterskiej ciekawości.

Kiedy on porzuca notes i pióro, by zacząć ratować ofiary Czerwonych Khmerów, ona zawiera sfingowany czteromiesięczny ślub z irańskim tłumaczem, by móc wspólnie pracować nad wywiadem z Chomeinim. Kiedy on wśród tybetańskich praktyk i chińskich medyków szuka nadziei na dłuższe życie, ją znajdujemy żywą w kostnicy wśród zimnych trupów. Żona, córka, syn, krewni i przyjaciele stoją nad jego kamieniem nagrobnym nierozłączni i bliscy przez całe jego życie. Koło niej nie ma nikogo. Na lewo od jej mogiły leży ukochany Panagulis, matka, ojciec, siostra. Pochowana w kostiumie, z wojskowym zegarkiem na ręce, w białej trumnie jest sama. On w rajskim Orsigna odprowadzony zostaje przez najbliższych jego sercu. Przy niej trzy żółte róże i egzemplarz „Coriere della Sera”, przy nim kamień z zagłębieniem na wodę, którą piją ptaki. Razem – Yin i Yang włoskiego dziennikarstwa.

MARTA ZABŁOCKA

¹³ Ibidem, s. 169.

¹⁴ T. Terzani, *Koniec jest...*, op.cit., s. 218.

JAN GÜNTNER

POPIÓŁ TWOICH WŁOSÓW

– JAK W ANTYCZNEJ TRAGEDII

Motto:

*Czarne mleko poranku pijemy cię nocą
Pijemy w południe o świcie pijemy cię wieczór
Pijemy pijemy
Człowiek mieszka w tym domu złoto twoich włosów Małgorzato
Popiół twoich włosów Sulamit ten człowiek się bawi z węzami*

*Krzyczy słodziej zagrajcie śmierć ta śmierć jest mistrzem z Niemiec
Krzyczy ciemniej ciągnijcie po skrzypkach a z dymem wzleciecie
w powietrze
Grób wtedy macie w chmurach tam się nie leży ciasno*

*Czarne mleko poranku pijemy cię nocą
Pijemy w południe śmierć jest mistrzem z Niemiec
Pijemy cię wieczór o świcie pijemy pijemy
Śmierć jest mistrzem z Niemiec niebieskie ma oko
Trafi cię kulą z ołowiu trafi celnie głęboko*

*Człowiek mieszka w tym domu złoto twoich włosów Małgorzato
Psy swoje na nas poszczuje grobem obdarzy w powietrzu
Z węzami się bawi i marzy śmierć jest mistrzem z Niemiec*

*Złoto twoich włosów Małgorzato
Popiół twoich włosów Sulamit*

Paul Celan, *Fuga śmierci* (fragment), przeł. Stanisław Jerzy Lec

Osoby:

Paul (Paul Celan vel Antschel, Anġel) – Żyd, poeta surrealistyczny;
Inge (Ingeborg Bachmann) – poetka, pisarka, filozofka, córka nazisty, jego kochanka;
Max (Max Frisch) – b. architekt, pisarz humanista, kochanek Ingi;
Gisèle (Gisèle Celan de Lestrangle) – malarka, graficzka, grawerka, żona Paula, matka jego dzieci;
Chór antyczny – liczni poeci i pisarze, żywi i martwi, oprawcy i ofiary, oszczercy, dziennikarze – kibice, gawiedz żądna sensacji;
Miejsce akcji: „Rodzinna Europa”;
Czas akcji: dla poszczególnych postaci różny, już przeszły, dokonany

Paul Celan urodził się w Czerniowcach 23 XI 1920 r. Ziemia, na której przyszedł na świat nazywała się Transistria („Illiria, albo co chcesz”) i daremnie szukalibyśmy jej na mapach.

Do drugiego rozbioru Polski (styczeń 1793) była to część Podola pomiędzy Bugiem a Dniestrem, należąca do Rzeczypospolitej. Po rozbiorach było to już Cesarstwo Rosji; po rewolucji październikowej – Związek Radziecki, a od 1924 roku Autonomiczna Mołdawska Republika Socjalistyczna. Ziemia ta nosi też inne nazwy: Pridnestrowje, Stînga Nistrului. To szmat ziemi ok. 350 x 120 km o powierzchni 42 000 km kw., rzadko zaludnionej przez dwa miliony ludzi, aż po Odessę.



Żyła na niej mozaika narodów: Ukraińców, Rosjan, Polaków, ok. 130 000 Niemców czarnomorskich, i około 300 000 Żydów. Dziś to południowo-zachodnia część Ukrainy i mniejsza część Moldowy, czy Mołdawii. Po zajęciu Transistrii przez Rumunię, a potem przez Niemcy hitlerowskie, w sierpniu 1941 roku, na rozkaz Iona Antonescu, samozwańczego *conducatora* Rumunii, narzędzia Trzeciej Rzeszy, skazanego na śmierć za zbrodnie wojenne, deportowano z tych ziem Żydów, pochodzących głównie z Besarabii i Bukowiny. Deportacje trwały od września 1941 do jesieni 1942 r. Większość Żydów, którym udało się przeżyć masakrę, pędzono do różnych miejsc kaźni w marszach śmierci (wg źródeł niemieckich 185 000 osób) do setki miejscowości, by zamknąć ich w gettach i obozach pracy przymusowej, a także zlikwidować fizycznie w obozach śmierci, z których najbardziej znana była Bogdanowka. Podczas strasznej zimy 1941/1942 r. dziesiątki tysięcy Żydów i Cyganów pozostawionych swemu losowi zmarło z wycieńczenia, chorób, z głodu (ok. 90 000). Bez tego skrótu geografii

i historii tych ziem nie da się zrozumieć twórczości poety i dalszych jego losów.

Urodził się jako jedynek w Szypticach koło Czerniowiec, w zamożnej rodzinie żydowskiej, mówiącej po niemiecku (rodzice: Leon Antschel-Treitler i Friederike z d. Schragger, miłośniczka Goethego, Schillera, Heinego i Lenaua). Uczęszczał do szkoły hebrajskiej, potem do gimnazjum w Czerniowcach i w 1938 roku zdał maturę. W 1938 w Tours (Francja) rozpoczął studia medyczne. W 1939 roku wrócił do Czerniowiec, aby kontynuować studia romanistyczne. Po zajęciu Czerniowiec przez Armię Czerwoną w 1940 roku, nadal studiował. Gdy w 1941 wojska rumuńskie, a potem niemieckie zajęły Czerniowce, Paul znalazł się obozie pracy przymusowej. Miejscowych Żydów zamknięto w getcie, gdzie ojciec zmarł na tyfus, a matkę zastrzelono.

Zdarzenia te stały się dla Celana na całe życie źródłem głębokiej traumy, kładąc się cieniem na całą jego twórczość literackiej, epistolograficznej i zdrowiu psychicznym poety, na jego późniejszych losach i dramatach życiowych. Obwiniał się o śmierć rodziców, których przecież nie był w stanie ocalić. Przetrzymany w różnych obozach pracy, wrócił w grudniu 1944 roku do Czerniowiec po zajęciu ich przez Armię Radziecką w sierpniu 1944, by podjąć przerwane studia. W latach 1945-1947 zamieszkał w Bukareszcie pracując jako lektor i tłumacz. Przez Budapeszt przedostał się do Wiednia, gdzie zarejestrował się jako *dipis*.

Dziś to słowo wymaga wyjaśnienia: *dipis* (od skrótownicy angielskiego *DPs, displaced persons*) – określenie stosowane przez Amerykanów wobec osób, które w wyniku wojny znalazły się poza swoim państwem i zamierzają się repatriować lub znaleźć nową ojczyznę, czego nie są w stanie samodzielnie dokonać). *Dipisi* rekrutowali się z wywiezionych na roboty przymusowe do Niemiec więźniów obozów koncentracyjnych z Europy Wschodniej, uchodźców i uciekinierów. Umieszczano ich w specjalnych obozach (w tzw. *Trizonii*). Pod koniec 1945 roku przebywało w nich ponad 7 milionów osób. Jeszcze trzy lata po wojnie na terenie Niemiec Zachodnich, Austrii i Włoch istniało ok. 500 takich obozów, w których przebywało 800 000 uchodźców.

Ingeborg Bachmann (pseudonim Ruth Keller) – poetka, eseistka, germanistka. Urodziła się w Klagenfurcie



25 VI 1926 r. Inge miała dwoje młodszego rodzeństwa: siostrę Isolde (ur. 1928), brata Heinza (ur. 1939) i ojca, gorliwego austriackiego nazistę od 1932 roku, jakich było setki tysięcy w Republice Austrii, zmobilizowanego wraz z wybuchem wojny w 1939 roku. Dla Ingeborg ten dawca życia był źródłem poczucia winy, które towarzyszyło pisarce przez całą twórczość i feministyczną działalność publiczną. Od października 1946 r. uczęszczała na uniwersytet; kontynuuje studia w Innsbrucku i Grazu; w 1950 roku uzyskuje tytuł doktora pracą *Die kritische Aufnahme der Existentialphilosophie Martin Heideggers – Rezeption krytyczna filozofii egzystencjalnej Martina Heideggera*.

Bachmann i Celan poznali się 16 maja 1948 roku w Wiedniu, w domu malarza Edgara Jené. Ona miała 22, on 28 lat. 16 maja 1948 r. spotkali się po raz pierwszy. W kilka dni później zaczęła się ich związek miłosny. To wiemy z czulej dedykacji na albumie Matisse'a ofiarowanym jej przez Paula i z wiersza *W Egipcie*, dedykowanym 22-letniej dziewczynie, napisanym w stylistyce hebrajskich 10 przykazań. Znajomość z Żydem, ofiarą nazistów, wywarła na Ingeborgie głębokie wrażenie. Tropy ich więzi emocjonalnej odnajdziemy w jej powieści *Malina* (Frankfurt a.M.: Suhrkamp; 1971).

Iwan Malina, jedyny mężczyzna, a zarazem stały partner zna przeszłość bezimienną, zakochaną w nim kobiety. Trwa przy niej w chwilach najtrudniejszych zapałów, depresyjnych faz walki z chorobą. Ich związek to wzajemnie zrozumienie, więź intelektualna, wsparcie psychiczne i opieka. Tłem burzliwych przeżyć emocjonalnych dziewczyny, ofiary autokratycznego dominującego charakteru chorego psychicznie ojca-alkoholika jest nienawiść, bo wykorzystywał ją seksualnie wypaczając trwale jej dziecięcą, a potem dziewczęcą psychikę. Fakty i wątki zaczerpnięte z biografii autorki, tworzą szansę utożsamienia się z kreacją doznań, żyjącej dla Maliny, kobiety-ofiary, obnażonej w swojej chorobie, czego świadkiem, odbiorcą, a zarazem towarzyszem życia jest ów tajemniczy Malina, jej jedyny mężczyzna, dający miłość i poczucie bezpieczeństwa i własnej osobowości, tylko przy nim nie grozi. Chora psychicznie kobieta, kochana, kochająca, skrzywdzona przez mężczyznę marzy i taknie idealnej miłości w idealnym świecie.

Jest jeszcze w tej powieści jedna rzecz, mistyczna, prawie prorocza koincydencja: bohaterka *Maliny* ginie w płomieniach na końcu powieści. W nocy z 25 na 26 września 1973 roku Ingeborg Bachmann, półprzytomna z powodu nadmiernego zażywania barbituranów, od których była uzależniona, zasnęła z zapalonym papierosem; znaleziono ją po pożarze, z ciężkimi oparzeniami, Zmarła 17 października 1973 w klinice w Rzymie wskutek tego wypadku. Było dochodzenie policyjne, które umorzono w 1974 roku.

Max Frisch urodzony 15 V 1911 w Zurychu, zmarł 4 IV 1991 r. także w Zurychu) – szwajcarski pisarz, dramaturg i architekt.

Był synem architekta. Początkowo zaczął studiować germanistykę na uniwersytecie w Zurychu, lecz po śmierci ojca ze względów materialnych musiał przerwać studia. Pracował w redakcji gazety „Neue Zürcher Zeitung”. W latach 1933-1935 podróżował po wschodniej i południowej Europie, a także po raz pierwszy odwiedził Niemcy. W latach 1936-1941 studiował architekturę, po

ukończeniu studiów z sukcesami zajął się architekturą i otworzył własne biuro architektoniczne. W 1955 r. ostatecznie zamknął je i od tej pory zajmował się wyłącznie twórczością literacką. W toku swej kariery wielokrotnie nagradzany, między innymi w 1989 został uhonorowany nagrodą im. Hermanna Hessego. W swojej twórczości Max Frisch atakuje faszyzm i inne przejawy totalitaryzmu. Przedstawia sytuację współczesnego człowieka z jego uwarunkowaniami i ograniczeniami społecznymi oraz wpływ na jego życie technokratycznej cywilizacji. W 1947 poznał w Zurychu Bertolta Brechta.

Max Frisch uczestniczył w 1948 r. w Kongresie Obrońców Pokoju we Wrocławiu, a w roku 1951 wyjechał na stypendium Rockefellera do USA. Utrzymywał kontakty z zespołem filmowym „Kamera” prowadzonym przez Jerzego Bossaka. Zachwycony scenariuszem, będącym adaptacją *Homo Faber* autorstwa Wojciecha Hasa, chciał ów film z nim realizować. Główną rolę miał zagrać Anthony Quinn. Frisch twierdził, iż adaptacja Viscontiego nie dorównuje finezji adaptacji hasowskiej. Z niewiadomych przyczyn do realizacji filmu nie doszło. Kontaktami Maxa Frischa z twórcami polskimi, a w szczególności z Jerzym Bossakiem zajmuje się obecnie Małgorzata Burzyńska-Keller.

W 1958 r. poznał Ingeborg Bachmann, która przyjechała dla niego do Zurychu. Związek w 1962 roku zakończył się rozstaniem. W Archiwum Maxa Frischa w Zurychu znajduje się około 250 odręcznych listów, jak i kopie listów Maxa do Ingeborg. Spadkobiercy nie decydują się jeszcze na ich opublikowanie.

W Polsce powstało wiele prac dotyczących twórczości Frischa. Problemem osamotnienia głównego bohatera zajmowała się prof. Olga Dobijanka-Witczakowa (*Bohater powieści Maksa Frischa*.) Wpływ, jaki miała tragedia grecka na twórczość epicką Frischa opisała Grażyna Rompel-Kwiatkowska w *Elementach tragedii antycznej w powieściach Maksa Frischa*.

Gisèle Lestrangle vel Gisèle de Lestrangle, a po ślubie Gisèle Celan-Lestrangle; paryżanka, urodzona 19 III 1927 roku. Studiowała w Paryżu rysunek i malarstwo, a następnie w atelier Friedländera grawerstwo. Wyszła za mąż za poetę Paula Celana – poznała go w listopadzie, w grudniu 1952 roku zawarli małżeństwo. Z tego związku narodziło się dwoje dzieci: córka Françoise, (ur. 1953, zmarła zaraz po urodzeniu) oraz syn Eric (ur. 1955). Jako grafik, ilustrowała dzieła wielu słynnych poetów. Wiele jej prac znajdziemy w wydaniach tomików wierszy Paula Celana. Kryzysy nerwowe i inne powody osobiste sprawiły, że od 1967 roku Gisèle i Paul Celan zdecydowali się zamieszkać oddzielnie.

Chór antyczny: recytuje liczne *stasimon*; pierwsze o **Grupie 47:**

Z inicjatywy Hansa Wernera Richtera (1908-1993) i Alfreda Anderscha (1914-1980) po wojnie na rynku zachodniemieckim pojawił się lewicowy dziennik „Der Ruf”. Przekonania polityczne redaktorów, komentarze aktualnych wydarzeń w powojennych Niemczech, krytyka władz okupacyjnych, wątki dotyczące przyszłości społeczno-politycznej Niemiec, potrzeba istnienia pomostu między Wschodem i Zachodem w postaci neutralnych, socjalistycznych Niemiec wzbudziły gniew władz okupacyjnych. Ponieważ istniała amerykańska cenzura wojskowa oskarżono „Der Ruf” o ciągłe naruszanie zale-

ceń cenzury i 1 kwietnia 1947 r. wydano nakaz konfiskaty pisma i zakaz jego dalszego druku.

Reakcją na te zdarzenia wśród młodych pisarzy niemieckich stało się powołanie do życia luźnego stowarzyszenia autorów, do których wezwanie skierował Werner Weyrauch (1904-1980). Od tego czasu, z inicjatywy Ilse Aichinger (ur. 1921), Heinricha Bölla, Güntera Eicha i Güntera Grassa wielu przyszłych koryfeuszów literatury niemieckiej spotykało się jesienią każdego (do 1967) roku celem omówienia i czytania nowych utworów i przyznawania najbardziej pożądanego nagród literackich w tamtych czasach. Do tego grona m.in. przynależeli Paul Celan i Ingeborg Bachmann. W 1968 roku planowano odbycie spotkania w Pradze. Przeszkodziło temu zajęcie ówczesnej Czechosłowacji przez wojska Paktu Warszawskiego. Uczestnicy Grupy 47, jej krytycy, spory i polemiki, kroniki i dzieje, należą dziś do historii, a ciekawscy pedanci bez trudu znajdą szczegóły w internecie.

Chór Antyczny w następnym *stasimon* snuje opowieść o **Złej Wdowie i Zawistnym Krytyku**, którego podejrzewa o antysemityzm:

W wydawnictwie Suhrkamp, Barbara Wiedemann opublikowała blisko 1000-stronicową dokumentację *Paul Celan. Die Goll-Affäre. Dokumente zu einer Infamie – Afera Goll. Dokumenty infamii*. Claire Goll, wdowa po Yvanie Gollu, w celu przywłaszczenia sobie praw autorskich Celana rzuciła na niego fałszywe oskarżenie o plagiat. We Wiedniu, w 1948 roku ukazał się tom wierszy Celana *Der Sand aus den Urnen (Piasek z urn)* W tomiku był pierwodruk wiersza *Fuga śmierci*. Tom zawierał ilustracje Edgara Jené; ze względu na wielką liczbę błędów drukarskich i niezadowolenie autora z charakteru ilustracji, książkę wycofano na życzenie Celana i dano na makaturę. Ocalało kilka egzemplarzy. Oskarżenie o plagiat przez pisarkę Żydówkę, wdowę po pisarzu Żydzie, stało się pretekstem do niewybrednej kampanii zniechęcającej Celana. Zawiała sprawa, dla Celana źródło udręki i katalizator późniejszej choroby psychicznej, toczyła się b. długo przed sądami, była źródłem żłośliwych pomówień, szeroko komentowanych nie tylko w kołach literackich, bo żywiła się tym i prasa brukowa.

Wracam jednak do Barbary Wiedemann i pedantycznej dokumentacji jednego z najsmutniejszych rozdziałów powojennej literatury niemieckiej: pierwsza wizyta Celana na prośbę jego mentora i przyjaciela (Alfreda Margul-Sperbera) w 1950 roku, by odwiedził obłożnie chorego Yvana Golla, i zadośćuczynił jego prośbie o przetłumaczenie na niemiecki jego francuskich wierszy, stała się jej początkiem. Aby możliwie lapidarnie streścić jej dowód prawdy, powołam się na świadectwo Johna Felstinera, zawarte w jego monografii o Celanie pt. *Paul Celan, Poeta, ocalony, Żyd*, Wydawnictwo Austeria, Kraków- Budapeszt 2012 (pomijam przypisy Felstinera):

W listopadzie 1949 roku Celan wręczył Gollowi i jego żonie egzemplarz *Der Sand aus den Urnen - Piasek z urn* i (wedle Claire Goll) „żałił się im, że jest niezrozumiany jako poeta. Yvan Goll, umierający w paryskim szpitalu, polubił Celana i jego wiersze”. Na krótko przed śmiercią zaczął znów pisać po niemiecku i prosił poetę o przetłumaczenie jego francuskich wierszy na niemiecki. Celan obiecał to i przygotował trzy zbiory, które jednak nigdy się nie ukazały, jako że Claire Goll oznajmiła później, iż nosiły zbyt wyraźne „ślady” Celana (s. 93).

[Celan miał żal –JG], że „odkryli go antysemitę”, poetę wciąż jeszcze boląca krytyka Curta Hohoffa. W 1954 r., tuż po opublikowaniu przez Claire Goll listu otwartego, w którym oskarżała poetę o plagiat, Hohoff napisał: „Trudno przedrzeć się w poezji Celana, pośmiertnego ucznia Yvana Golla, przez ambitną, wysoce literacką frazeologię”. Nadał on swojemu artykułowi tytuł *Dźwięki fletu w próżni*. Rok później Hohoff publicznie wznosił swe oskarżenie, nadpisując wersy Golla ponad podobnymi Celana, którego „styl jest już używany, czasem poetycko nadużywany” (s. 139).

Kiedy Celan przygotowywał audycję radiową na temat Osipa Mandelsztama oskarżenie o plagiat odżyło, Wdowa po Yvanie Gollu w 1960 r. w paryskiej „L'Arche”, Claire Goll ogłosiła artykuł *Czego nie wiemy o Paulu Celanie*. Twierdziła, że Celan dokonał „powierzchnowych i nieudolnych” przekładów francuskiej poezji Golla i że „wściekła ambicja” nie pozwoliła mu pogodzić się z odrzuceniem ich przez szwajcarskiego wydawcę. Te bezpodstawne oskarżenia zabolaly Celana jako człowieka i jako pisarza. Zresztą uważał on, iż Claire Goll cytowała „paralelne fragmenty” wraz z plotkami na temat „mistrza plagiatu”. Jej twierdzenia były nie tylko bezpodstawne, lecz oparte na błędnych cytatach i nieprawdziwej chronologii. Przykłady pochodzące jakoby z celanowskiego wydania *Mohn und Gedächtnis* (*Mak i pamięć*) z 1952 roku, i „całkowicie odpowiadające” fragmentom z tomu Yvana Golla z 1951 roku, w istocie były cytatami z pierwszego zbioru Celana, *Der Sand aus den Urnen* – (*Piasek z urn*), który podarował Gollowi w 1949 roku. Ale mleko się rozlało (s. 210).

W tym samym czasie społeczność literacka niemal jednogłośnie odrzuciła zarzut plagiatu. Niemiecka Akademia Języka i Literatury spotkała się pod koniec kwietnia 1960 roku i zdecydowała o obronie Celana, zawiadamiając go o przyznaniu mu prestiżowej Nagrody Büchnera w tym samym roku. Marie Luize Kaschnitz, Ingeborg Bachmann i Klaus Demus, jak i Peter Szondi, Hans Magnus Enzensberger, Walter Jens oraz austriacki PEN Club odpierali zarzuty „Die Zeit” 9 czerwca 1961 r. porównał oskarżenie Celana do sprawy Dreyfusa (s. 211).

Ale ta ciężka zniewaga wywołała w Celanie zbyt wiele lęków dotyczących wojny, wygnania, Niemiec, i samej poezji, doprowadzając go do rozstroju nerwowego. Poeta nigdy się z tego nie podniósł.

[W 1967 roku - JG] Niemiecka Akademia Literatury i Języka obiektywnie, (choć poniewczasie) opublikowała „uzupełnienia” do „uniewinnienia” z 1961 roku w sprawie plagiatowej, rozpętanej przez Claire Goll (s. 327)

Zawistny krytyk Günter Blöcker w tym samym *stasimon* obraża grób rodziców Celana i hekatombę Ofiar Ostatecznego Rozwiązania (*Endlösung*). W poczytnym berlińskim dzienniku „Der Tagesspiegel” 11 X 1959 r. Blöcker zamieścił recenzję:

„Wiersze jako utwory graficzne

Tytuł nowego tomu wierszy Paula Celana *Sprachgitter* – [*Krata rozmównicy*] jest niezwykle trafny i zarazem demaskujący. Cieniutkie linijki tych wierszy są faktycznie kratą mowy. Pytanie tylko, co przez tę kratkę widać. Na to pytanie – jak zawsze w wypadku Celana – trudno odpowiedzieć, ponieważ w jego liryce rzadko tylko odpowiada jakiś przedmiot. Z reguły werbalny filigran wysnuwa się niczym pajęczka nić z samych gruczołów języka. Obfitość celanowskich metafor nie wywodzi się

z rzeczywistości ani jej nie służy. Jego obrazowy język żyje z własnej łaski. Na oczach czytelnika odbywa się coś w rodzaju prapoczęcia obrazów, które następnie składane są w rozczłonkowane płaszczyzny językowe. Decydujący jest nie ogląd, ale kombinatoryka.

Nawet wówczas, gdy Celan wprowadza do gry przyrodę, nie jest to nazywanie w sensie liryki natury. Kobierzec tymianku w wierszu *Sommerbericht* [*Sprawozdanie z lata*] nie tchnie odurzeniem, i nie pachnie – i można to powiedzieć o całej tej poezji. Braku konkretnej zmysłowości nie nagradza też muzykalność. Wprawdzie autor chętnie operuje muzycznymi terminami: sławetna *Todesfuge* [*Fuga śmierci*] (...) albo w niniejszym tomie *Engführung* [*Uciśnienie*]. Ale to raczej ćwiczenia kontrapunktu na papierze nutowym, albo na głuchych klawiszach – muzyka dla oczu, optyczne partytury [na niemą klawiaturę –JG]. (...)

Celan ma w stosunku do języka niemieckiego więcej swobody niż większość jego kolegów poetów. Być może wynika to z jego pochodzenia. Komunikacyjny charakter języka hamuje i obciąża go mniej niż innych. Ale to właśnie przywodzi jego działania w próżni. (...)

To było szczególnie obelżywe w stosunku do nowomianowanego wykładowcy języka niemieckiego w École Normale Supérieure, zajmującego się oczyszczaniem niemieczyny z LTI – *Lingua Tertii Imperii* (*łac.*), jak nazywał niemieczynę Trzeciej Rzeszy Victor Klemperer. Celana dotknęła także inna nieszczęsna recenzja Güntera Blöckera w „Tageszeitung” z 1959 roku, w której krytyk stwierdzał, że *Fuga śmierci* to „graficzny twór, w którym dźwięk nie rozwinął się do punktu, gdzie może przyjąć znaczenie sensotwórcze”. Wstrząśnięty tą głęboko niesprawiedliwą i wulgarną oceną poeta pisał do Ingeborg Bachmann: „Wiesz także – albo raczej: wiedziałaś kiedyś, – co próbowałem powiedzieć w *Fudze śmierci*. Wiesz – nie, wiedziałaś, – więc teraz muszę Ci o tym przypomnieć, – że *Fuga śmierci* jest dla mnie także tym: inskrypcją na grobie i grobem. Kto pisze o *Fudze śmierci* to, co napisał ten Blöcker, ten bezceści groby. Także moja matka ma tylko ten grób”.

To była potwarz. Uwagę o swobodzie w posługiwaniu się językiem niemieckim odebrał jako rasistowską, Niemczyzna, jej odmiana *hochdeutsch*, była jego językiem ojczystym. On, jego rodzice, Żydzi z Europy, byli ofiarami „nosicieli piękna języka niemieckiego”.

Chór światowych poetów wspiera moralnie Celana w tym samym *stasimon*: 45 poetów dzięki Celanowi przemówiło po niemiecku. Wśród nich Francuzi: Guillaume Appolinaire, Antonin Artaud, Charles Baudelaire, Paul Eluard, Stéphane Mallarmé, Henri Michaux, Artur Rimbaud, Jules Supervielle, Paul Valery; Rosjanie: Aleksander Błok, Welimir Chlebnikow, Sergej Jesienin, Jewgienij Jewtuszenko, Michaił Lermontow, Osip Mandelsztam, Anton Czechow i wielu innych książąt światowej poezji.

Czas serca: Ingegorg Bachmann & Paul Celan – Herzeit – Briefwechsel:

Dostajemy do ręki – zbiór kilkuset listów, jakie wymienili między sobą P. Celan, I. Bachmann, Max Frisch, Gisèle Celan de Lestrangé, który ukazał się w renomowanej oficynie wydawniczej Suhrkamp w 2008 roku. Choć początkowo zakładano różne terminy opublikowania tej korespondencji, po śmierci autorów listów,

Eric Celan, syn poety i spadkobierca jego praw autorskich, zdecydował się na druk będących w jego posiadaniu listów. W „Polityce” (16 XI 2008) Joanna Roszak napisała, jak się domyślam – z sugestii niestrudzonego propagatora wydarzeń kulturalnych i społecznych w Republice Federalnej Niemiec, Adama Krzemińskiego) obszerną recenzję tego wydarzenia:

„To nie mogła to być łatwa znajomość. Ingeborg Bachmann (ur. 1926), której ojciec należał do NSDAP, i Paul Celan (ur. 1920), którego rodzice pochodzenia żydowskiego zostali zgładzeni podczas II wojny światowej, 16 maja 1948 pierwszy raz spotkali się w Wiedniu. Cztery dni później zaczęła się ich związek. (...) Zbiór listów Ingeborg Bachmann i Paula Celana dwa miesiące temu ukazał się w Niemczech nakładem wydawnictwa Surkamp. Tytuł powtarza pierwsze słowo przytoczonego wiersza Paula Celana, »Köln, am Hof« (...) 31 października 1957 roku poeta pisał do Bachmann: »Jesteś powodem do życia, także dlatego, że pozostajesz usprawiedliwieniem mojego języka«. (...) [Ingeborg kierowała do niego słowa]: »piękna jest ta miłość, w której z tobą żyję, Jak często mogę mówić Paul...« Z Frankfurtu 9 grudnia 1957 informował ją w liście: »Mieszkam tu u Christopha Schwerina: nasze książki stoją koło siebie«”.

Niedługo potem, w listopadzie 2010 r. (Wydawnictwo a5) mamy tę pozycję po polsku dzięki wspaniałej pracy tłumaczki Małgorzaty Łukasiewicz. Obok zasłużonych dla literatury pięknej tłumaczek starszego pokolenia Edyty Sicińskiej i Marii Traczewskiej (i wielu innych) Małgorzata Łukasiewicz przekłada nie tylko beletrystykę, ale filozofię i wyrafinowaną esesystykę. Obok Simmla, Walsera, Bölla, Hessego, Süsskinda, bierze z równym powodzeniem na warsztat teksty Habermasa, Adorno, Horkheimera, Tönniesa, Gadamera, Nietzschego i korespondencję Tomasza Manna. Celan, Bachmann, Frisch – to wybitni poeci i pisarze. Przekazanie skomplikowanych tonacji emocjonalnych, niekiedy przekraczających granicę wytrzymałości psychicznej, czasem z głębi depresji, psychozy, ukrytych jeszcze zapowiedzi późniejszych tragedii wymaga nie lada sztuki pisarskiego. Czując brzemień odpowiedzialności Małgorzata Łukasiewicz wyjaśnia:

„Korespondencja Celana i Bachmann to poezja sama w sobie. – Nie potrafię wybrać listu najpiękniejszego, bądź najbardziej przeraźliwego, ponieważ wszystkie są wstrząsające. Pisane przez znakomitych poetów, z nutką lęku i niemożności wobec słowa pisanego. Czytając listy człowiek zastanawia się, czy miłość może udźwignąć brzemień, które życie im zafundowało”.

A wytrawny znawca i tłumacz wierszy Celana, znawca poezji niemieckiej, poeta Ryszard Krynicki wyznaje: „To historia miłości, ważna nie tylko dla czytelników poezji – przede wszystkim poezji języka niemieckiego, ale ważna w ogóle. Dzięki tej publikacji możemy zajrzeć w głąb serc Celana i Bachmann”.

W 1951 roku pierwszy raz Bachmann spotkała się z żoną poety, Gisèle Celan. Wcześniej autorka *Wielkiej niedźwiedzicy* pisała do ukochanego o jego żonie i ich synu, Eryku: „Kiedy muszę myśleć o niej i o dziecku, nie będę umiała ciebie przytulić”. 24 lipca 1952 roku on – pełen żalu – upominał się o list: „Czy naprawdę nie możesz do mnie napisać? [...] to jest lato

bez końca”. W listopadzie i grudniu 1956 Bachmann przebywała w Paryżu, bez wiedzy Celana. Ostatni raz spotkali się 25-27 listopada 1960 w Zurychu. Zawile relacje osobiste czworga korespondentów, splot wydarzeń europejskich, literackich i społecznych lat powojennych, czyni z tych listów zdumiewający opis świata duchowego i materialnego. W wielu miejscach dotyka spraw najboleśniejszych, stołu sekcyjnego.

10 maja 1970 roku Gisèle pisze do Ingeborgi: „(...) W czwartek, 16 kwietnia, mój syn Eric, który był jak zwykle na obiedzie z Paulem, zorientował się, że znowu bardzo z nim źle. Sama dzwoniłam do niego następnego dnia i aż do niedzieli 19 kwietnia przyjaciele, którzy próbowali się z nim skontaktować, potwierdzali mi tylko, że znowu przechodzi kryzys.

W nocy z niedzieli na poniedziałek 19/20, opuścił mieszkanie, aby już nigdy nie wrócić. Przez dwa tygodnie szukałam go wszędzie, nie miałam nadziei, że odnajdę go żywego. Policja znalazła go 1 maja, a więc prawie dwa tygodnie po tym strasznym kroku. Ja dowiedziałam się dopiero 4 maja.

Paul rzucił się do Sekwany. Wybrał śmierć najbardziej anonimową i najbardziej samotną.

Co więcej mogę powiedzieć, Ingeborg. Nie umiałam mu pomóc tak, jak tego chciałam.

W przyszłym miesiącu Eric skończy 15 lat.

Ściskam Panią, Gisèle Celan”.

Autorka *Wielkiej niedźwiedzicy* w 1951 roku pierwszy raz spotkała się z żoną poety, Gisèle Celan. Pod koniec 1961 roku Bachmann napisała do niego ostatni list, a 30 lipca 1967 Celan ostatni list do niej.

Na skrzydełku książki czytamy: „Czas serca» opowiada historię miłości. Długo ta miłość była wielką tajemnicą. Później stała się niewinną plotką. Teraz poznać możemy jej tajemnicę w zwierciadle listów, które pisali do siebie Ingeborg Bachmann i Paul Celan między 1948 a 1967 rokiem; listów, w swoim tragicznym blasku równie wyjątkowych, co niepokojących. Teraz wielorakie ślady, jakie zostawiła owa miłość w dziełach obojga poetów (...), przemówić może sama mowa uczucia, a to, co nam zdradza, jest raczej straszne niż piękne”.

Czas serca, jak słowami Paula Celana została nazwana ta książka, to opowieść o trudnej miłości, o rzadkich chwilach szczęścia, zwątpieniu, rozpacz i wyobcowaniu, a także o przejmujących losach obojga poetów, zakończonych w obu przypadkach tragiczną śmiercią. To bogate źródło wiedzy nie tylko na temat dramatycznej, wielokrotnie zawieszanej miłosnej relacji, pełnej i pięknych, i zadających rany słów. Paul Celan pożegnał się z życiem w 1970 roku poprzez samobójczą śmierć w Sekwanie, trzy lata później Ingeborg Bachmann usnęła w swoim rzymskim mieszkaniu z papierosem w łóżku.

Głęboko mylił się Teodor Adorno głosząc, że po holokauście uprawianie poezji lirycznej jest niemożliwe. Wielu autorów przywołanych w tym tekście własną twórczością obaliło tezę filozofa.

JAN GÜNTNER

Czas serca. Listy. Ingeborg Bachmann, Paul Celan. Przekład Małgorzata Łukasiewicz, Wydawnictwo a5, Kraków 2010.

WIERSZE

WIT JAWORSKI

List do Vesny Parun

W 1988 mówiłaś:

„Nie rozstaję się z Księżą Przemian
W której każdy chłop jest żołnierzem i poetą.”

W 1989 pisałaś:

„Mao! Nie wstawiaj się za nas.”

Jest maj 2011. To już rok po Twojej śmierci
Jego uczniowie nadal zbierają
Kwiecie maku z betonowej płyty
Pod Plandeką Niebios
Mówią o nich: „performersi”

Step

*(Improwizacja na tematy: wierszy W. Kandinsky'ego
Dźwięki, serii obrazów J. Pollocka Dźwięki w tra-
wie, prac A. Gorky'ego)*

Pamiętając nauki płynące ze wschodnich baśni
Przytknąłem ucho do schnącej trawy
Nadciągał wydarty Niebu modlitwą i klątwą
Deszcz
Usłyszałem piąty grzmot
Nad stepem zawisła chmura
Przebita promieniem słońca

Na toczonej przez robaki ziemi rozpoznałem;
Skrzydło pазia królowej
Skamieniałe skóry owcy i węża
Tycznę wilczycy

Chrobot myszy

Pisklę słowika pukające w skorupkę

Przywróciły wszystko do normy

Mark Rothko i kaplica artystów

Nad linią wiecznego śniegu półkula błękitu
Dobra Nowina i Światłość

Między górami a ochrą traw puszki czarnej farby
W niej żyjemy, myślimy...

Porzuć wiarę w letarg zgrzebnych płócien
W Pejzaż i Pismo

Przychodź na nizinę do kaplicy w Houston
Spójrz na prostokąty zaprawione popiołem
i wapnem

Może pojdziesz czym są dyndające cienie
Dlaczego piramida pustki

Dźwiga złamany obelisk Ziemi – dowód
przyjaźni

Potem udaj się szosą na południowy-zachód
Przez Victorię trafisz do Corpus Christi

Narastanie

(pamięci Witolda Skulicza)

Mgła szlam światła

Mija suche drzewo – oścień masztu, grań

Ślepe groty, przepaść iskier

Trawi naskalne inskrypcje

Echo – obelisk wiatru

„Chiński Tragarz”

(improvizacja na temat linorytu Jerzego Panka odbitego w Wuhan, 1954)

Główka zamyka horyzont – łuk ramion

Osadzona na barkach żerdź –

Kręgosłup batuty. Ciężarne kosze

Wąskie biodra, muskularne uda

Drażki goleni, mostek ciała

Wahadło

Tragarz – środek świata

Wegetująca matryca ziemi.

Nasłuchuje jak stygnie papier drogi

Szadz ciszy

W bielmie pustki węższy wywar życia

Słyszemy trzask kości

Brak światłocienia

Oto tragarz; Czarne jedno, mięksiz potu

Kabłąk Nieba

ROMAN WYSOGLĄD

broty

Henrykowi B.

w przyjaźni najgorszy jest banał

– jak na przykład literatura

poza tym wszystko inne jest

wymyślone

i nieistotne

Kilka słów

o latach znajomości (przyjaźni?)

Przez lata byłem święcie przekonany, iż nazwisko HENRYK BEREZA jest pseudonimem. Przynajmniej dla mnie tak brzmiało.

Pan Henryk odegrał w mojej „literackiej” egzystencji rolę nie do przecenienia. Począwszy od sławnego cyklu „Czytanie w maszynopisie”, w których to wiele razy moim początkującym próbom prozatorskim nie szczędził krytycznych uwag, ale – na szczęście dla mnie – „coś” w nich dostrzegł, aż do całkiem jakże celnych omówień powieści już wydrukowanych.

Złośliwcy, których jest w Polsce pewnie o wiele więcej, niż wynika to ze spisu powszechnego mieszkańców, zaliczyli mnie do tak zwanej „Stajni Berezy”, co poczuwam za zaszczyt. Należało nas to tej „stajni” kilkunastu pisarzy i poetów, ale raczej wstydzić się powinni ci, którzy dzierżawili „stajnię” obok naszej, która na szczęście z literaturą nie miała nic wspólnego, bardziej z zapaszkami, jaki się z niej wydobywał: nienawiści, zawiści i powszechnego dla tradycyjnej stajni gnoju.

Z Henrykiem Berезą przez wszystkie lata znajomości nie spotkaliśmy się ani razu poza Warszawą (Brwinów, piękna dziura wybrana jako miejsce osiedlenia państwa Bugajskich, zalicza się do wielkiej Warszawy).

Miał swoje sławne dziwactwa. Na przykład w redakcji „Twórczości”, stołowiec ZLP przy Krakowskim Przedmieściu, Czytelniku, wcześniej w Spatifie, gdzie przez lata się stołował, miał swoje ulubione „krzesło”, którego nikomu pod groźbą natychmiastowej egzekucji nie wolno było zająć.

Raz nieopatrznie (jeszcze wtedy nie znaliśmy się zbyt dobrze) ośmieliłem się wejść do Spatifu o godzinie 13:15 i zająć miejsce Henryka, który zjawił się do słownie sześć sekund później i z przerażaniem stwierdził, iż jego od lat ukochane miejsce „ktoś” ośmielił się zająć. Przez co najmniej najbliższe trzy tygodnie intensywnie mnie unikał jako nieodpowiedzialnego młodego pisarza, który ośmielił się nie znać reguł gry panującej w „warszawskiej” hierarchii, przynajmniej jeżeli idzie o zajmowanie miejsca przy południowych obiadach.

Poza tym ile razy wracał z Brwinowa z niedzielnych obiadów, wsiadał do podmiejskiego pociągu zaraz za kabiną maszynisty, chociaż pociąg liczył co najmniej kilka wagonów. I zawsze te czterdzieści minut podróży do Śródmieścia stał, nigdy nie zniżył się by usiąść, przecież w pociągu, którego składy ciągle się zmieniały nie posiadał „swojego miejsca”.

Dzisiaj po jego śmierci mam do siebie żal, iż o tyle rzeczy nie zdążyłem – albo jeszcze nie był czas – Go zapytać.

Ale już niedługo pewnie się spotkamy, i może być pewien, że tym razem nie zajmę (ani na sekundę) Jego krzesła (fotela), w którym już pewnie spokojnie zasiada. I z nieprawdopodobną erudycją i niespotykanym już dzisiaj poczuciem humoru żartuje z nas. Ku przestrodze, by nie tracić czasu na głupstwa.

Roman Wysogład

EDUARD STIEPANOWICZ KOCZERGIN. Urodził się 22 września 1937 roku w Leningradzie. Ojciec jako wróg ludu został rozstrzelany w 1939 roku. Matka, Polka Bronisława z domu Odyniec, jako żona szpiega została zesłana na Sybir, a Eduard trafił do obozów dziecięcych. W swoim debiucie literackim *Lalka anioła* z 2005 roku powraca do wspomnień dziecięcych, opisywanych w formie nowel, często zabawnych i ironicznych. Książka przetłumaczona została na niemiecki, norweski, polski (wyd. CEL, 2010), obecnie jest przygotowywana do druku w Anglii. Za tę książkę Koczergin dostał nagrody literackie w Rosji, a w Polsce kandydował (2011 r.) do nagrody Angelusa. W 2009 roku Koczergin wydał tom nowel, krótkich anegdot i opowiadań *Kreszczonnyje krestami* (stare określenie więźniów najgorszych ruskich więzień), w którym stara się zapisać czas, język, anegdoty z życia nizin rosyjskich okresu stalinowskiego. W dowód szacunku i uznania rosyjski Pen Club zaproponował mu członkostwo.

Nowe opowiadanie Koczergina *Goga z brązu* (*Miednyj Goga*) to spotkania i refleksje scenografa i przyjaciela snute przy pomniku Georgija Towstonogowa – jednego z najwybitniejszych twórców teatru, dyrektora i reżysera BDT (Bolszogo Dramatycznego Teatru, później Dramatycznego Akademickiego Teatru Bolszogo im. Maksima Gorkogo). To opowieści o wspólnej pracy, o meandrach czasu, o tajemnicach procesu twórczego i o kolizjach artysty z realiami dnia dzisiejszego. Jest to początek nowej książki Koczergina poświęconej problematyce teatralnej. Tu drukujemy fragment.

E. Koczergin jest absolwentem Instytutu Teatralnego im. A. Ostrowskiego w Leningradzie. Od 1972 roku do dziś pełni funkcję głównego scenografa BDT. Wyróżniony i uhonorowany wieloma nagrodami artystycznymi. Posiada tytuł Zasłużonego Artysty Rosji, członka Akademii Sztuk Pięknych Rosji, nagrody i odznaczenia państwowe ZSRR i Rosji. Jego twórczości plastycznej i scenograficznej poświęcono kilka monografii, albumów i opracowań. W 2007 roku w Muzeum Rosyjskim w Petersburgu zaprezentowano wielką wystawę monograficzną twórczości E. Koczergina. Profesor akademii sztuk pięknych i instytutu teatralnego w Petersburgu. Autor scenografii w Rosji i za granicą do ponad 250 inscenizacji, w tym do trzydziestu spektakli reżyserowanych przez G. Towstonogowa, m. in. słynnej *Historii konia*. Jest autorem scenografii do dwu przedstawień Lwa Dodina *Dom i Bracia i siostry*, od których zaczęła się światowa kariera Dodina i jego Teatru Europy. Drewnianą ścianę Koczergina w *Braciach i siostrach* porównywano do słynnej kurtyny Dawida Borowskiego w *Hamlecie*.

Eugeniusz Mielcarek

GOGA

(wspomnienia)

Stoisz po lewej stronie, cokolwiek w głębi, za domkiem Piotra I, zwrócony do niego przodem. Przez całe dwadzieścia lat spotykałem na swojej drodze ciebie: Towstonogowa. Nawet teraz, kiedy przybrałeś postać pomnika z brązu – dłuta najlepszego ucznia wielkiego Anikuszyna: Iwana Korniejewa – myślę o tobie, aby nie pograżyć się w narastającym (już nie co dzień, ale co godzinę) zalewie tandety i kiczu.

W dniu odsłonięcia twojego pomnika na początku października 2010 roku, w obecności licznie zgromadzonych ważnych przedstawicieli naszego miasta z panią gubernator na czele zrozumiałem, że będę przychodził do ciebie, żeby wspominać naszą przeszłość, porozmawiać o czasie obecnym, o teatrze, o życiu. O przyszłości nie będziemy mówić. Nie lubiłeś pustych marzeń, nie chciałeś mówić o tym, czego nie rozumiałeś. Uważałeś to wszystko za brednie.

Georgij Aleksandrowicz, tak cię nazywałem, kiedy żyłeś. A jak teraz mam się zwracać do ciebie, Miedzianego Towstonogowa? Oto stoisz w październikowym deszczu, mokniesz jak jakiś nieszczęsny petersburski bezdomny; i jeszcze ta marynareczka narzucona przez Wanię na twoje pochylone plecy i roboczy sweterek, na pewno przemoknięty na wylot – i ja mam zwracać się do ciebie z imienia i „otczestwa”: Georgiju Aleksandrowiczu? To brzmi jak obrazoburstwo. Właściwiej będzie nazywać cię Georgijem Miedzianym, a jeszcze lepiej – Gogą, jak nazywali cię bliscy. Tak będzie prościej i cieplej. Są podobne przykłady. Sam Aleksander Siergiejewicz Puszkina do Jeźdźca Miedzianego, imperatora Piotra I z pomnika, zwraca się „ty”. Także Puszkiniowski Don Juan zwraca się do kamiennego Komandora – „ty”. Tak więc sam Bóg pozwolił mi zwracać się do mojego „reżysera z brązu” na ty. Przystąpmy więc rozmowy!

Spotkanie pierwsze

Witaj Goga.

Przyszedłem do ciebie po dwóch tygodniach
odkąd stałeś się pomnikiem...

Jesień na całego szeleści już listowiem...

Dobrze, że dzień jest suchy...

Dawniej spotykaliśmy się w twoim gabinecie, albo
z Wołodią Kuwarinym przyjmowaliśmy cię
w pracowni makiet.

A teraz spotykamy się tylko na Piotrogrodzkiej.
Wołodia też odszedł...

EDUARD STIEPANOWICZ KOCZERGİN

Z BRAZU¹

scenografa – fragment)



GEORGIJ ALEKSANDROWICZ TOWSTONOGOW. Urodził się w 1915, zmarł 1989 roku. Rosyjski aktor, reżyser i pedagog. W 1938 r. ukończył studia teatralne i do 1946 r. reżyserował w Teatrze imienia A.S. Gribojedowa w Tbilisi, w latach 1946–1949 w moskiewskim Centralnym Teatrze Dziecięcym. W roku 1949 przeniósł się do Leningradu, gdzie od 1956 był głównym reżyserem, twórcą oryginalnego kierunku w sztuce teatru i równocześnie kierował Dramatycznym Akademickim Teatrem Wielkim imienia M. Gorkiego. Za jego rządów teatr sięgnął wyżyn sławy. Znany też z realizacji poza granicami ZSRR. Do najważniejszych spektakli Towstonogowa należą inscenizacje dramaturgii rosyjskiej, m.in.: *Idiota* według F.M. Dostojewskiego (1957), *Trzy siostry* (1964 i 1982) i *Wujaszek Wania* (1982) A.P. Czechowa, *Rewizor* N.W. Gogoła (1972), *Historia konia* według L.N. Tołstoja (1975). Towstonogow urodził się w Tbilisi – stąd gruzińskie zdrobnienie imienia: Goga, a także ironiczne odniesienie do „rodaka” – Berii.

Po tobie odeszło wielu ...

Ale dość o tym. Lepiej porozmawiajmy o naszej przeszłości.

Po raz pierwszy spotkałeś mnie – trzydziestoletniego scenografa teatralnego, niegdyś krzykacza bazarowego, podskakiewicza, złośliwca, głupca, wychowanka poprawczaków i karnych kolonii NKWD, którymi zarządzał twój współziomek, Ławrientij Beria – w 1967 roku w teatrze Komissarżewskiej, gdzie byłem głównym scenografem. Ty razem z Rubenem Agamirzjanem powierzyliście mi przygotowania scenografii do spektaklu *Ludzie i myszy* według Steinbecka. Wystawialiście ją w Instytucie jako pracę podyplomową waszego reżyserskiego roku. Nawiasem mówiąc, roku znakomitego, który kończyli – sławni w przyszłości – absolwenci: Kama Ginkas, Geta Janowska, Waldes Lencewiczus, Julij Dworkin. Z całą czwórką pracowałem dla teatrów Petersburga. Wspólnie z Lencewiczusem wystawiałem sztukę *Księżę i żebrak* według M. Twaina w teatrze Komissarżewskiej. Na tejże scenie robiłem scenografię dla J. Dworkina do spektaklu *Zakochany lew*. Dla Kamy Ginkas wykonałem dekoracje do dramatu M. Gorkiego *Spadkobiercy*, a dla Gety Janowskiej do *Smaku miodu* Shelagh Delaney². Po raz pierwszy zobaczyłeś moje prace u siebie, w Teatrze BDT³, w pracowni makiet do tych spektakli. Makiety wykonywał Władimir Kuwarin, późniejszy wicedyrektor teatru. Po próbach lubiłeś zająć tam, do Wołodii, na papierosa, po chwilę wytchnienia od pracy z aktorami. Wołodia odsprzedał ci mnie, razem z moimi „świeżymi karaluchami”, jak to określił.

Spektakl na Mochowej odniósł wielki sukces i postanowiłeś go przenieść na ulicę Rakowa, gdzie Agamirzjan niedawno został gospodarzem teatru. Scenografię do Steinbecka na studyjnej scenie instytutu robił mój kolega z roku, Walentin Sawczuk i oczywiście zaproponowałem mu wspólne stworzenie zupełnie nowej koncepcji scenografii. Dekoracja okazała się interesująca i spektakl miał wzięcie. Wielką w tym zasługę miał twój reżyserski wychowanek, Litwin Waldes Lencewiczus – utalentowany artysta, ale „partyzant”, bo całkowicie niezdolny do podporządkowania się komukolwiek. Główne założenie dekoracji było jednak moje i tobie spodobał się mój pomysł, żeby postacie spektaklu wychodziły „spod ziemi”. Zwróciłeś na mnie uwagę i powiedzieliś, że wkrótce zaproponujesz mi coś w swoim BDT. Taki był początek naszych relacji.

Sztuka *Ludzie i myszy* po trzydziestu przedstawieniach dla pełnej widowni została przez zawiadowców kultury w Pitrze zdjęta z repertuaru, ku wielkiemu rozgoryczeniu widzów i zespołu artystycznego. Okazało się mianowicie, że Steinbeck odbył lot wojskowym samolotem nad walczącym Wietnamem i w znanym czasopiśmie amerykańskim opublikował potem coś nieprzychylnego

¹ / W oryginale *Miednyj Goga*. W nawiązaniu do pomnika miedzianego jeźdźca (dłuta Falconeta) w Sankt Petersburgu i poematu A. Puszkina *Miednyj wsadnik* (*Jeździec miedziany*) – odnoszącego się do cara Piotra I, zresztą w polemice z A. Mickiewiczem. Metafora: Piotr I zreformował rosyjskie imperium – adresat liryczny zreformował rosyjski teatr.

² Sztuka teatralna oraz scenariusz do głośnego filmu, wyreżyserowanego (1961) przez Tony Richardsona (1928-1991), czołowego twórcę angielskiej filmowej „nowej fali”.

³ /BDT – Bolszoj Dramatyczeskij Teatr. Później: Dramatyczny Akademicki Teatr Wielki im. Gorkiego.

o naszym kraju – przyjaznym wszak wobec wszystkich. Ale w porządku, wystarczy tego na pierwsze spotkanie, pora iść dalej. Życie przecież trwa.

Spotkanie drugie

- Hej, pacanie, czemu rzucasz kamieniami w mojego Gogę?
- Bo pięknie dzwoni. No i wcale nie jest twój.
 - Jak to nie mój. Mój...
 - Jego zresztą nie boli...
- Jak to nie boli? Gdy cię uderzę kamieniem, wrzaśniesz z bólu.

Więc jak on dzwoni, to znaczy, że go boli.
Zjeżdżaj stąd, bo zawałam gliny.
Też znalazł się dzwonnik...

W naszych teatralnych opowieściach zawsze pojawia się pytanie – długo to, czy krótko? A ty nagle i nieoczekiwanie szybko zaproponowałaś mi zrobienie kostiumów do *Henryka IV* Szekspira. Nigdy wcześniej nie projektowałam kostiumów oddzielnie od dekoracji, więc byłam zdziwiony tą propozycją. Poza tym z moich zawodowych przecieków wynikało, że kostiomy do *Henryka* robi u ciebie Sofia Markowna Junowicz – „Sońka złota rączka”, jak na nią mówili peterscy artyści – artystka znakomita i ogólnie szanowana. Przed rozmową z tobą próbowałam dowiedzieć się, dlaczego obok Junowicz teatr chciał mieć u siebie również mnie. Okazało się, że ona już nie pracuje nad kostiumami do *Henryka*. Nie umiała wyobrazić sobie średniowiecznych morderców – rębaczy, i to ona mnie poleciła. Okazuje się więc, że dzięki niej zaproponowałaś mi, abym zaprojektował szekspirowskich rycerzy i ratował sytuację, bo wszystkie terminy już minęły. Zabójców udało mi się stworzyć łatwo, bo poznałem ich w dzieciństwie na własne oczy. Ale muszę przyznać, że opłaciłem ten wyczyn potem i krwią. Trzeba było poświęcić trzy nieprzespane noce z rządu. Praktycznie pięć dni tkwiłem w zamknięciu, zamieniając się w rysujący automat. Wyszło niemal sto dwadzieścia projektów, a rysunków bez liku. Prawa dłoń zbiełała z wysiłku, a palce zdrętwiały. Ale Bóg się zmiłował i zaakceptowałaś wszystkie moje propozycje, a zwłaszcza kolczugi wyplatane z konopnego sznura: rozwiązanie na ów czas wręcz prowokacyjne. Złożoność zadania polegała na tym, że twoje dekoracje wniesione do sali budowane były w układzie poziomym, przecinając i przytłaczając pionowe linie ludzkich sylwetek. Trzeba było znaleźć rozwiązanie i zlikwidować to zjawisko. Wymyślone przeze mnie kolczugi ze sznurka, rycerskie metalowe hełmy i wysokie skórzane buty wzmacniały sylwetki aktorów, dawały im wzrostu. One mnie uratowały, bo z twoimi dekoracjami spajały się organicznie.

Moja pierwsza praca w twoim teatrze była więc dla mnie trudna, ale po tej próbie zaproponowałaś mi przejście z teatru Komissarzewskiej do ciebie, na stanowisko głównego scenografa.

Na twojego *Henryka* naród bohatersko wystawał po bilety całymimi nocami. Spektakl wypadł wspaniale. Ze stolicy przyjeżdżały pełne wagony widzów, żeby zobaczyć Olega Borysowa w roli księcia Henry’ego, Lebediewa jako Falstaffa, Streżelczyka, Jurskiego, Kopielana, Basiłaszwilliego i innych twoich ulubionych aktorów.

Ciekawe zdarzenie towarzyszyło prezentacji spektaklu na pierwszej próbie kostiumowej. Wszyscy aktorzy z wyjątkiem Jefima Zacharowicza Kopielana przebrali się jak należało, on natomiast uczestniczył w próbie tylko w spodniej części kostiumu, bez głównej – wierzchniej zbroi rycerskiej. Początkowo siedziałem w sali za tobą, w fotelu w ósmym rzędzie. Zaraz po rozpoczęciu próby odwróciłeś się w moją stronę i spytałeś: „Edwardzie, czy kostium Kopielana nie jest gotowy?”. Odpowiedziałem: „Nie, jest gotowy”. Wtedy wezwałeś Maszę, kierowniczkę pracowni kostiumów i zapytałeś: „Maszo, gdzie jest kostium Kopielana?” A ona: „Wisi w toalecie”. Rozległo się twoje przeciągłe „Ta...a...a...a...k”. Potem przywołałeś kierownika zespołu aktorskiego, szacownego „wujaszka” Waleriana i spytałeś: „Walerianie Iwanowiczu, o co chodzi? Dlaczego Jefim nie jest w kostiumie?” Wszystkowiedzący Walerian wyjaśnił: „Jefimowi Zacharowiczowi w rymsztunku niewygodnie jest naprawiać samochód na podwórku”. Doczekawszy kulminacyjnego momentu sceny, w której występował Kopielan, nagle przerwałeś próbę i zadałeś mu pytanie: „Jefimie, dlaczego nie założyłeś dziś kostiumu? Wszyscy założyli a ty nie”. „Ciężko go nosić, Georgiju Aleksandrowiczu, bardzo ciężko”. „A nie ciężko ci, Fimo, strzyc wąsami po wszystkich studiach filmowych kraju? Próba skończona”. Na drugi dzień Jefim Kopielan wystąpił już w kostiumie.

Spotkanie trzecie

- Wybacz Goga, dawno cię nie odwiedzałem.
- Dzisiejsze mętniactwo wykańcza mnie.
- Próbuję odbić u obecnego szefostwa BGT naszych mistrzów rzemiosła, których ty z Kuwarinym skupiłeś na Fontance.
- Nowi mocodawcy teatralni ich krępują, śledzą, kiedy przychodzą do pracy, a kiedy wychodzą, ograniczają im czas wolny.
- Odradza się środowiskowe donosicielstwo i myślę, że nie tylko w działach technicznych.
- Ale wystarczy, o tym co złe, pomówimy później.

Kiedy w kwietniu 1972 roku przeszedłem do ciebie od Agarmizjana, powiedziałaś: „Edwardzie, ciebie w tym sezonie nie będę obarczała pracą. Przyjrzyj się teatrowi, zapoznasz się z całym repertuarem, zespołem aktorskim, działem realizatorskim, pracownikami, a potem rozpoczniemy pracę”. To zabrzmiało jakieś marzenie ze świata baśni. Takiej propozycji nigdy mi nie składał. Otrzymywać płacę i dosłownie nic nie wyszło. W maju zadzwoniła do mnie znowu do domu Sofia Markowna Junowicz i zakomunikowała nagle, że rezygnuje razem z Siergiejem Jurskim z pracy nad scenografią w teatrze BDT do *Moliera* Bułhakowa. „Edwardzie, ja jestem zmęczona współpracą z tym »genialnym reżyserem«. On oczekuje ode mnie, abym stworzyła na scenie kwadrat Malewicza. Rozumiesz to, diabli nadali, czego on się domaga, ten stuknięty na punkcie kwadratu człowiek? Po prostu nawiedzony jakiś. Odkrył dla siebie ten kwadrat, a teraz próbuje objąć go innym. Absurd, jak ja mu to rozwiążę w przestrzenisceny? Coonbędziesnimrobiłwciągutrzech godzin spektaklu? Czuję się starą ciotką wobec gwałtownych przewrotów. Edwardzie ja znów sprzedałam ciebie

do teatru Gogi. Mało czasu zostało, wybacz. Pamiętająca o Tobie, Sofia Markowna”.

Następnego dnia wezwałeś mnie do gabinetu i opowiedziałeś o kłopotach z Jurskim. Pamiętasz oczywiście, że poprosiłeś, abym delikatnie skierował wyobraźnię Siergieja Jurskiego z kwadratu Kazimira Malewicza na kwadrat Michaiła Bułhakowa. „Terminy moje i pana są napięte, a koncepcji spektaklu nie ma, po prostu bieda, prosba o pomoc Edwardzie”.

Znowu musiałem stanąć na głowie. Koniec końców udało mi się przekonać Siergieja Jurskiego, że scena w teatrze jest przestrzenią i każdy kwadrat zmienia się tu w sześcian. Czarny kwadrat Malewicza uchwalał się w projektach. Wykorzystujemy go jako płaszczyznę proporcjonalną i budujemy na nim figurę sześcienną z 12 siedmiometrowych pięciostopniowych srebrzystych kandelabrow na czarnym tle. „Bouton” – gaśniczy świec ma co gasić. W taki oto sposób powstało scenograficzne założenie tego wybitnego spektaklu zrealizowanego przez Siergieja Jurskiego. Dzięki ci, mój Miedziany Gogo za bułhakowski kwadrat. Z niego wyrósł nam sześcian teatru molierowskiego.

Powszechnie wiadomo, że do reżyserii Jurskiego się nie wtrącałeś. Jedyne co zrobiłeś, to ukształtowałeś rolę Ludwika XIV – Olega Basiłaszwili, ponieważ Jurskiemu-reżyserowi nie udawała się postać Króla. Obserwowałem, z jaką precyzją ją budowałeś – każde wyjście, obrót, ruch, niemal każda istotna fraza tekstu pod względem sensu i nawet intonacji była wypracowana. Dzięki temu spektakl Jurskiego wypadł znakomicie. Basiłaszwili natomiast pod względem aktorskim po prostu przyćmił Jurskiego w roli Moliera. Widownia wszystkie wejścia i wyjścia Króla-Słońce witała i żegnała oklaskami.

A teraz opowiem ci o smutnym losie dekoracji do Bułhakowskiego *Moliera*. Świeczniki były wykorzystywane w naszym teatrze jeszcze wiele lat po tym, kiedy już spektakl zszedł z repertuaru, a Jurski wykupił swój teatr i wyjechał do Moskwy. Stanowiły tło, gdy BDT odprowadzał w ostatnią drogę wszystkich wybitnych swoich współtwórców, z których wielu ukształtowałeś. Przekształcanie tej molierowskiej dekoracji w wystrój żałobny każdorazowo było dla mnie ciężkim przeżyciem – przecież stworzyłem ją nie w tym celu. Ale w teatrze nie było bardziej godnej scenografii dla ostatniego pożegnania wielkich mistrzów BDT niż bułhakowski Molier.

Pierwszym, którego żegnaliśmy na scenie BDT w blasku moich kandelabrow, był Jefim Kapielan.

I ciebie, Goga, żegnaliśmy na tle kompletu molierowskich świeczników, z arlekinem i markizą z intermedium naszego *Amadeusza*. Scena, proscenium i część widowni zasłane były kwiatami i wieńcami. Parter i loże wypełniali ludzie, tłum przelewał się do foyer, westybulu, zajmował nawet majowy bulwar Fontanki. Wydawało się, że cały Piter przyszedł, by po raz ostatni ci się pokłonić, pożegnać wielkiego mistrza, który stworzył jeden z najlepszych teatrów w kraju. Przez wiele dni nasza widownia pachniała kwiatami.

Spotkanie czwarte

- Co? O co pytałeś?
- Gdzie jest domek Piotra I?
- Tam, przed tobą.
- A co to za mężczyzna tu stoi?

- Reżyser Towstonogow.
- Dlaczego ty, a nie w kinie?
- On tam się nie zmieścił... Ale popatrz, z okna woła Piotr I...

Powiedziałbym ja temu profanowi, dlaczego ty tutaj stoisz... Dlaczego, dlaczego – a dlatego, że taki jest przydział. Dlatego, że ty tutaj żyłeś i tutaj zostawiłeś swoje siły. Prawda?

To, że pracowałeś z wybitnymi scenografami, a wśród nich z wielkim Tatlinem⁴ i rozumiałeś rolę scenografa w teatrze, a także wiedziałeś, że osiemdziesiąt procent informacji widz przyswaja oczami – bardzo pomagało. Sugestia, że scenografia winna bezwarunkowo wyrażać podstawowe idee dramaturgii i reżyserii, i stanowić wyraziste tło dla najważniejszych postaci na scenie, była dla mnie inspiracją. Wszystko to w naszych wspólnych spektaklach dzięki Bogu było obecne bez jakichkolwiek nacisków z twojej strony lub uporu z mojej. Dość szybko nawiązaliśmy porozumienie i pracowaliśmy wzajemnie się wspierając: ty mnie koncepcją reżyserską, ja ciebie – propozycją scenograficzną. Pamiętasz, jak niewyobrażalnie trudne zadanie narzuciłeś mi w spektaklu *Letnicy* M. Gorkiego? Zachciało ci się, żeby osoby występujące na scenie unosiły się w powietrzu, aby – jak to sugeruje jedna z głównych postaci tej sztuki – pływały w przestrzeni jak rybki w akwarium. Dla takiego efektu trzeba aktorów pozbawić na scenie własnego cienia i ziemskiego przyciągania. Spełnić taki kaprys można tylko pod wpływem nastroju straceńca. Zdecydowałem się na ryzykowny eksperyment, który równie dobrze mógł się nie udać. W teatrze dawno dostrzeżono, że dwa rodzaje tkaniny – tiul albo siatkowa firanka z oczkami jednakowej wielkości – zawieszona jedna za drugą równoległe do rampy wywołują nieprzyjemny dla oka morowy efekt optyczny⁵. Wymyśliłem nawet, jak tę denerwującą właściwość podporządkować postrzeganiu przez oko. W rezultacie osiągnąłem impresjonistyczny efekt naśladujący naturę. Dzięki zastosowaniu przezroczystego, falującego tła z dwóch siatek oraz zielonej pochylej płaszczyzny i znakomitemu mistrzostwu oświetleniowca Jewsieja Kutikowa, który skierował na scenę światła o jednakowym natężeniu i „ściągnął” cienie aktorów z zielonej pochylnej – dzięki temu „przyciąganie ziemskie” znikło. Powstało ogromne zielone akwarium, w którym postaci aktorów poruszały się jakby pływając. Twój diabelski zamysł sprowokował nowy pomysł artystyczny. Gdybyś nie podtrzymał we mnie wiary i nie podzielił ze mną ryzyka – nie byłoby piękna i tajemniczego uroku *Letników*.

A dziś przystąpić do jakiegokolwiek eksperymentu, a tym bardziej podjąć ryzyko, nie ma z kim. Interesujących zadań związanych z odbiorem wizualnym żaden reżyser teraz nie stawia. Od scenografów oczekuje się jedynie banalnej oprawy spektaklu, nic ponadto. Nie podejmowałeś się pracy nad spektaklem, jeżeli nie miałeś wizji artystycznej, która może poruszyć aktorów i umożliwić nawiązanie kontaktu z widownią. Widz BDT opuszczał teatr z przekazaniem mu przez ciebie sposobem odczytywania dramaturgii, ducha czasów, z okre-

⁴ Władimir Tatlin (1885-1953), malarz, architekt i scenograf, twórca rosyjskiego konstruktywizmu

⁵ Złudzenie wywołane przez zbyt gęstą siatkę lub tło punktowe

ślona wizją życia. Powiodło mi się dzięki tobie, Goga, bardzo mi się powiodło. Teraz nie znajdzie się nikogo podobnego do ciebie.

Wspominam jeszcze jeden epizod związany z wystawieniem *Letników*. Kaprysy i niesubordynację aktorów na próbach przezwycięzałeś humorem lub swoimi własnymi a nietypowymi reakcjami, trudnymi do naśladowania przez większość teatralnych współbraci, którzy często w takich sytuacjach „radzą” sobie sięgając po metody poniżające ludzką godność.

Próby zbliżały się do końca. Z Kutikowem kończyliśmy ustawianie świateł przed premierą. Aktorzy uczęszczali na próbach przy pełnych dekoracjach i w scenicznych kostiumach. Według przyjętych w BDT zasad podczas prób końcowych aktorzy powinni swoją rolę znać na pamięć. Jedyne Władysław Ignatjewicz Strzelczyk tekstu nie opanował. Przez dwa dni z rzędu z tego powodu przerywałeś próby i zwracałeś mu uwagę. On dość emocjonalnie odpowiadał, że nie rozumie, dlaczego ma grać w tej scenie i że z tego powodu nie wychodzi mu z tekstem. Wszystkowiedzący Walerian Iwanowicz opowiedział ci o trwających dzień i noc zdjęciach Striża do jakiegoś głośnego filmu, właśnie powodu tekstu roli w *Letnikach* aktor nie miał się kiedy nauczyć.

Następnego dnia wcześniej przyszedłeś na próbę i poprosiłeś Jewsieja Kutikowa o pomoc w walce ze Strieżem. Jeżeli Władysław Ignatjewicz nie nauczył się roli i znowu wpadnie w histerię, to Jewsiej miał włączyć pełne oświetlenie tak, aby aktorzy na scenie nie widzieli co dzieje się na sali. Ty miałeś opuścić widownię. Po minucie Jewsiej miał stopniowo gasić światło kończąc na iluminatorach. – Niech Strzelczyk wyklóca się ze mną beze mnie – powiedziałaś – a kiedy zorientuje się, że w sali nikogo nie ma i zapyta gdzie się podziałem, odpowiedz, że dawno wyszedłem. – Swoją sekretarkę Jelenę Daniłównę powiadomiłeś, że wyjeżdżasz do domu.

Wszystko przebiegło zgodnie z przewidywaniami. Strzelczyk znów naraził się na twoje uwagi o nieopanowanym walcie. Kutikow włączył iluminatory na sto procent, wyszedłeś z sali niezauważony. Po minucie, dwu gdy zamknąłeś za sobą drzwi, Jewsiej wykonał wszystko zgodnie z umową. Skonfudowany Władysław Ignatjewicz zamilkł i nikogo nie widząc ciebie na sali zapytał Kutikowa: „Markowiczu, a gdzie szef?”. „A, tak...wstał i wyszedł” – usłyszał. Striż popędził na zaplecze, a tam ani śladu po tobie. Jelena Daniłowna zaproponowała mu, aby przyszedł do ciebie przed próbą. Następnego dnia dziesięć minut przed próbą Strzelczyk zdecydowanie wkroczył do Jeleny Daniłowny i zobaczył zamknięte drzwi twojego gabinetu. Zazwyczaj te drzwi nie były zamknięte. – O co chodzi, czy u niego w gabinecie ktoś jest? – zapytał. sekretarka odpowiedziała, że nie wie, ponieważ wychodziła do toalety. Po raz pierwszy w swoim życiu Władysław Ignatjewicz zapukał do twoich drzwi i jak gmin powiada, szybciej wyszedł niż wszedł. Na kolejnych próbach problemu z tekstem nie było.

Lubiłeś Władysława Ignatjewicza, bo też trudno go było nie lubić. Gdy już znalazł się na Olimpie sławy, nadal pozostawał najlepszym, najuczciwszym człowiekiem, bez wahania niosącym pomoc ludziom potrzebującym, bez jakiegokolwiek afiszowania się swoimi uczynkami. Stałem się świadkiem nieoczekiwanej sceny, jaka rozegrała się w pracowni makiet

teatru BDT. Władysław Ignatjewicz zaszedł po próbie do mojej pracowni, aby omówić swój sceniczny kostium do *Letników*. Po kilku minutach do pracowni weszła sprzątaczką naszego trzeciego piętra – drobna staruszka wyciągając ręce skierowała się wprost do Strzelczyka. Nieoczekiwanie upadła przed nim i wiejskim zwyczajem na kolanach zaczęła bić głową o podłogę, składając dziękczynienia „panu spośród panów” za dobro wyrządzone jej i synowi, inwalidzie wojennemu na wózku – za dwupokojowe mieszkanie, jakie otrzymali. Scena wprost z naszej głębokiej przeszłości. On podniósł staruszkę z podłogi, ucałował i powiedział, że mógł im pomóc dzięki temu, że jest deputowanym Rady Najwyższej ZSRR, czy może RFSRR. Takich wyrazów wdzięczności nie widziałem nigdy i nigdzie w ciągu całego swojego życia, a widziałem niejedno. Poczujęł spływającą łzę wzruszenia.

Nie da się porozmawiać o wszystkim. Goga, myślę, że to dość na dzisiaj. Do następnego spotkania, pozdrawiam...

Spotkanie piąte

Przyniosłem ci świeczkę, prosto z kościoła.

U nóg twoich

na Buhajewskim kamieniu postawię.

Wiatru nie ma, będzie płonąć długo.

Dziś Boże Narodzenie, co prawda moje katolickie. Ale to bez różnicy, nie sądzisz, Goga? Niech płonie.

Przy niej przeszłość powspominamy, ale o dniu dzisiejszym też porozmawiamy.

Przyszedłem do twojego teatru za czasów dyrektora Leonida Nikołajewicza Naricyna, którego wkrótce powołano na kierownicze stanowisko w miejskim urzędzie do spraw kultury. Naricyn – to znakomita postać, członek związku twórczych pracowników teatru i estrady. Walczył na froncie ideologicznym jako urzędnik z nadania partyjnego. Ale zachował ludzkie oblicze.

Drugim dyrektorem teatru zrobiono młodego działacza Obkomu Władimira Aleksandrowicza Wakulenko – „Wołodieczkę” jak go nazywaliśmy. Wcześniej był naczelnikiem wydziału handlu Komitetu Obwodowego partii. Nie wiadomo jakim był dyrektorem, przy tobie o to nietrudno, lecz człowiekiem był nie najgorszym, dbałym, podłości nikomu nie wyrządzał. Dzięki znajomościom w Obkomie przynosił cenne informacje. Dlaczego z teatru odszedł – nie pamiętam.

Następnym dyrektorem został wspaniały Giennadij Suchanow zwany przez nas „Krokodylem Gieną”. W młodości śpiewak operowy, o zachowanej aparycji godnej bohaterów operowych. Za jego czasów zmieniono wystrój dyrektorskiej strefy teatru przekształcając ją w solidne niemal ministerialne pomieszczenia.

Ale rzeczywistym gospodarzem byłeś ty. Wszyscy to rozumeli i darząc cię szacunkiem cokolwiek bali się. Panował żelazny porządek. O 8:30 rano na swoim stanowisku pojawiał się duch teatru, jego *maiordomo* »Stary Samuił« – Samuił Aponowicz Taksa, zastępca dyrektora. Od rana przeglądał wszystkie działy i pracownię scenograficzną teatru. Podobnie jak ty, w odróżnieniu od wielu innych głównych reżyserów rozlicznych teatrów i ich dyrektorów zwracał się do swoich pracowników i kierowników działów po imieniu i „otcze-

stwu” .Dokładny, obowiązkowy, oddany teatrowi. Samuś Aponowicz w bardzo szacownym wieku odszedł na emeryturę i wyjechał do Ameryki, by dożyć starości u syna, któremu powiodło się w życiu. Przed odjazdem obszedł wszystkie działy teatru, ściskając dłoń każdemu pracownikowi i zalewając się łzami. Długo w Ameryce nie pożył – umarł z tęsknoty za Bolszom Dramatycznym Teatrem.

O 9:00 pojawia się sekretarka dyrektora teatru. O 10:00 przychodzi i otwiera twój gabinet wierna pomocnica – Jelena Daniłowna. Tęgo porządku skrupulatnie przestrzegano, teatr pracował jak w zegarku. Wszystkie służby znajdowały się na swoich miejscach w określonym czasie.

A teraz dzwonicz i spróbuj znaleźć potrzebnego kierownika o 9:00, nawet o 10:00. Lepiej rozpocząć poszukiwania o 11:30, a przecież „podgrzewanie kotłów” zaczyna się o 8:00. Co robić? Odwieczny nasz problem i niezmienna odpowiedź: czekać, tracić czas albo przyzwyczaić się do wszystkiego i nie wychylać się przed czasem. W takiej sytuacji nie posuwamy się naprzód, lecz cofamy się pod każdym względem.

Nasze spektakle już nie cieszą się takim powodzeniem jak dawniej. Dawna publiczność BDT odeszła. Na widowni pojawili się zupełnie nowi ludzie, poszukujący innego teatru niż twój, Goga. Teraz w repertuarze mamy takie tytuły jak *Szkoła podatnika*. Ten sceniczny Wielki Kicz z zachwytem przyjmują obecni bywalcy tak zwanych salonów. Spośród nich mało kto trafiał do „naszego” BDT, teraz oni nadają ton. Rosyjski kapitalizm znacznie obniżył poziom kultury zwłaszcza w teatrze. Dokonało się to tak szybko, że nikt nawet obejrzyć się nie zdążył.

Artyści, w szerokim znaczeniu tego słowa doznali wstrząsu wobec nagłego zalewu bezguścia, prostactwa, otępienia. Okazało się, że maksyma „wszystko dozwolone” nie jest najlepszą kategorią w sprawach kultury. Ty Goga w porę odszedłeś od tych okropności do lepszego świata.

Co prawda są jeszcze tacy, którzy próbują zachować kulturalne oblicze teatru, ale śmiazków jest niewiele. Jeszcze pozostał i pracuje Lewa Dodin. Jego teatr co roku zgarnia niemal wszystkie „Złotyje sofity” za swoje spektakle. Za zasługi dla kultury teatralnej Europy teatr Dolina podniósł swój status i stał się Małym Teatrem Dramatycznym Europy.

W Petersburgu, dajmy na to, reżyserzy Butusow i Moguczij, w Moskwie teatr-studio Zenowacza i twój wychowankowie w zaawansowanym już wieku: K. Ginkas i G. Janowskaja, i jeszcze jeden, dwu „zabłąkanych wikingów”. Upłynie niewiele czasu, a nastąpi ostateczny „pomór stada”.

Nasz odwieczny konkurent – Puszkowski, a dziś Aleksandryjski Teatr pozostający zawsze w tyle za nami, dźwignął się mocno dzięki zasługom nowego gospodarza Walerija Fokina. Widownia jego teatru jest zawsze wypełniona, nie tak jak w naszym. Pochwalne recenzje piszą o nim znani krytycy teatralni. Jest dobrym organizatorem, nie lęka się powierzać reżyserii utalentowanemu, kontrowersyjnym inscenizatorom z Polski czy Litwy. Niektórzy dają mu fory, ale on jest prawdziwym strategiem. Nie byłem zwolennikiem jego reżyserii, wiesz przecież o tym, ale przyznaję że zdołał podnieść zainteresowanie publiczności w Aleksandryn-

ce, zrobić teatrowi wspaniałe publicity, dobrą reklamę, przywoiła renomę w Pitrze. To odważny człowiek, swoją odwagą zdobywa miasto.

Goga, obejrzałem wczoraj film o tobie. Dali mu niemądry tytuł: *Imperator*. Jakież to z ciebie imperator, artysta nie może być imperatorem, jeżeli nie jest z domu dla upośledzonych umysłowo. Oglądałem ten film po raz pierwszy. Nie wiedziałem, że w nim też zaistniałem.

Mówię w nim o tobie różne rzeczy, mówię także o naszym nieprzewidywalnym Grigoriju Wasiliewicz Romanowie „GeWo” – twoim prześladowcy. Film o dwu dnoch, z jednej strony to dobrze, że został nakręcony – ludzie, świadkowie przecież odchodzą, z drugiej zaś jest on cokolwiek przedwczesny. Wspaniale mówi o tobie Alisa Freindlih – z pełną swobodą, bez przydechów, uniesień. Godnie. Mądra cioteczka i wielka artystka. Dobry jest twój Oleg Basiaaszwili w charakterze prowadzącego. Mówi o tobie ciepło i z miłością. Pięknie, z humorem wspomina ciebie już starusienka Zina Szarko. Oglądałem kadry, tę podróż w chwalebna twoją i wielką BDT przeszłość, i bardzo posmutniałem. Smutno, że wszystko to odeszło i już nie powróci. Twojego teatru nie ma, został zniszczony. Spośród grona aktorów z tamtych czasów pozostało dwu, trzech gigantów znanych publiczności i kilku znanych ostatnio z tandetnych seriali, pozostali zniknęli. Widzowie twojego teatru odeszli, a i samego teatru zabrakło.

Z Fontanki przepędzili nas wszystkich. Budynek teatru przeznaczono do przebudowy, remontu, rewitalizacji?... Na jak długo? Czy w Rosji można to przeprowadzić? Koczujemy, błąkamy się po różnych domach kultury i innych obiektach w rodzaju byłego kinoteatru Wielikan. Już drugą premierę przygotowujemy w DK im. Gorkiego wybudowanym w latach dwudziestych XX w. dla masowych ideologicznych show. Wysiedlono nas wraz z pracownikami, znakomitą zbiorą dekoracji, garażem, hotelem. Z pomocą obecnego dyrektora technicznego, znanego we wszystkich teatrach w mieście, dekoracje zapakowaliśmy do metalowych kontenerów i przechowujemy je pod gołym niebem. Czy przetrwają zimę – jeden Bóg wie. Tak oto, mój Goga, mamy tylko rany, a nie Bolszoi Dramatycznej Teatr.

Jeszcze jedno ci powiem – postarzeliliśmy się wszyscy z tych, kto został.

A wam panowie autorzy i reżyserzy filmu powiem: jeżeli robicie dokument, to bądźcie, proszę, rzetelni. Nie wygadujcie o naszym Gogo byle głupstw. Używanego mercedesa, wielkie marzenie automobilisty Towstonogowa, kupił on dopiero na cztery lata przed śmiercią. Na to auto składał grosze ciężko pracując na Dzikim Zachodzie. Opadł na kierownicę właśnie tego zdrowiem i potem opłaconego starego mercedesa. Zderzył się z pomnikiem Suworowa, kiedy miał się zatrzymać na czerwonym świetle. A jeżeli chodzi o to, że zajął się kawiozem – to odrażające prostactwo, podobnie jak i wyzisko w tytule waszego filmu.

Wybacz Goga, że w twojej obecności zwymyślałem twoich „popularyzatorów” – dość już tych oszczerstw. Nagadałem ci cały worek różności, wybacz mi, Goga, jeśli coś... Następnym razem, jak Bóg da, powrócimy do naszych spektakli. Ciemno już, biegnę do domu.

EDUARD STIEPANOWICZ KOCZERGİN
Przełożyła Joanna Paluszek

ADAM KOMOROWSKI

CZAPKĄ DO ZIEMI

O twórczości Wiesława Myśliwskiego na Jego 80. urodziny

1. Kłopot

Pisanie o twórczości, a szczególnie o powieściach Wiesława Myśliwskiego, które w jego dorobku są najważniejsze, wikła piszącego w sytuację dość kłopotliwą. Kłopot polega na naruszeniu prywatnej, intymnej aury ich lektury. Mamy poczucie, że pisząc o jego powieściach obdzieramy je z owej intymnej, osobistej aury lektury, którą obdarowuje każdego ze swoich czytelników pozwalając mu na zachowanie pełnej suwerenności odczytań, wrażeń, doświadczeń i estetycznej satysfakcji. Tak jakbyśmy nieproszeni wchodzili z butami w strefę prywatnych, osobistych odczytań i konkretyzacji (jakby powiedział Roman Ingarden). Apodyktycznie szarogęsili się ze swoimi odczytaniem nachalnie obnosząc się z naszą domniemaną wrażliwością, smakiem czy mądrością.

Powieści Myśliwskiego przypominają o tym, że ich lektura w odróżnieniu od innych gatunków literackich ma charakter prywatny. Poezja, dramat, epopeja dobrze się mają w przestrzeni publicznej. Powieść się może bez niej obejść. Don Kichot, emblemat idealnego czytelnika obcuje z romansami rycerskimi w prywatnej przestrzeni swojego zagraconego dworku. W momencie gdy chce swoje lektury upublicznić, wyprowadzić na agorę, do świata, zaczynają się jego nieszczęścia.

Nie jest przypadkiem, że powieść uprawomocnia się jako gatunek literacki w czasie, gdy technika druku umożliwia coraz większej ilości ludzi posiadanie książki na własność. Ukochane wiersze, nawet epopeję możemy nauczyć się na pamięć, dramat możemy obejrzeć w teatrze. Natomiast powieść, którą już znalazła do nas drogę, chcemy mieć pod ręką podejrzewając, że ktoś może chcieć nas jej pozbawić, jak bakałarz i proboszcz dokonujący czystki w bibliotece Don Kichota. Tych, którzy wyrażają się sceptycznie o naszych ulubionych powieściach traktujemy jak intruzów, osobników wtrącających się do tego, co mamy za bardzo osobiste. Ten prywatny, osobisty aspekt lektury powieści, sprawia że tworzenie ich kanonu mija się z celem. Jedni nie rozstają się z Witoldem Gombrowiczem, a inni z Heleną Mniszkówną, jedni z Gabrielem Garcia Marquezem, a inni z Paulo Coelho, wielu powraca do lektury powieści, o których świat kultury zapomniał lub nie zauważył ich w ogóle. W wypadku powieści preferencje są zawsze indywidualne, nieprzewidywalne i obojętne wobec hierarchii artystycznych i estetycznych. Choć, paradoksalnie, bliskie temu co uważamy za ekspresję własnej osobowości, np. ubiór, podlegają modom.

Ta paradoksalna sytuacja powieści, w odróżnieniu od epopei, w kulturze Zachodu sprawia, że ich autorzy są rozdarci pomiędzy uległość modom i ryzykowną próbą wdarcia się w prywatność choćby jednego, ale wiernego czytelnika, obrabowania go z czegoś tak cennego jak czas. Usprawiedliwieniem dla tej psychicznej przemocy, kradzenia czasu, może być tylko, że to sam czytelnik tego chce i to on będzie decydować o poddaniu się nie modzie, ale konkretnemu dziełu. Wybierze, trafi na niego z wolnej i nieprzymuszonej woli po to, by się w swojej prywatności i suwerenności utwierdzić. Dlatego najważniejsze w naszym życiu są powieści, które sami dla siebie odkryliśmy. Powieści, które pozwalają nam przyjąć, że zostały napisane dla nas i tylko dla nas.

Krytykiem, który tę dialektykę lektury powieści doskonale rozumiał, był Henryk Bereza. W swoim tekście o *Kamieniu na kamieniu (Spełnienie)* pisał: „Dzieło Myśliwskiego będzie się rozkładać na czynniki pierwsze rozczwartuje się je i na nowo poskłada, skaże na skomplikowany, dwuznaczny i podejrzany żywot tak zwanych arcydzieł, bo czymś takim *Kamień na kamieniu* jest z całą pewnością. Z wszystkich arcydzieł najbardziej Kocham arcydzieła nieznanne, przeze mnie i – przy daremności wszelkiego apostołstwa literackiego – jakby tylko dla siebie odkryte... od *Ulisses*a i *Stu lat samotności* odziera mnie morze znanych i nieznanymi, przydatnymi i całkowicie bezużytecznych słów, którymi pastwią się nad nimi uczeni i głupcy”.

Problem polega na tym, jak pisać o powieściach Myśliwskiego, by tego najważniejszego, prywatnego i intymnego kontaktu z dziełem czytelnika (zwłaszcza potencjalnego) nie pozbawić, nie narazić na spłaszczenie, nie zawęzić bogactwa możliwych odczytań. Nie każdy jest Berezą, ale skoro jemu się udało, więc...

2. Jak inni czytają z daleka

Wieść to nieco przemilczana: angielski przekład *Kamienia na kamieniu* otrzymał w tym roku nagrodę (Best Translated Book Award, fundowaną przez Amazon) za najlepszą powieść obcą, która ukazała się w 2011 r. w USA. W poezji nagrodzony został przekład wierszy japońskiego poety Kiwao Nomury. Powieść doczekała się wielu recenzji w Anglii i Stanach Zjednoczonych, bodaj więcej aniżeli kompletny przekład *Dziennika Gombrowicza*, wydany w tym samym czasie w prestiżowym Yale University Press. Krytycy nie mogą się nachwalić autora przekładu, szefa katedry literatury porównawczej Indiana University, Billa Johnstona. Potwierdza to moc, z jaką

dzieła Myśliwskiego potrafią zawiązać indywidualnym czytelnikiem. Zazwyczaj unikający egzaltacji „The Times Literary Supplement” określił powieść jako „cud narracyjnego uwiedzenia”. „Uwiedzony” Johnston dokonał przekładu *con amore* i zdołał przekonać niewielkiego wydawcę z Brooklynu (Archipelago Books) do wydania powieści. To, że wydana bez zaplecza marketingowego zgiełku powieść polskiego autora w ogóle wydostała się z czyściska księgarskich magazynów i została zauważona nastroja optymistycznie. Świadczy o tym, że marketing i reklama nie zawiązały jeszcze całkowicie obiegiem kultury, że liczy się odwaga i pasja indywidualnego czytelnika, którym w tym wypadku okazał się utalentowany tłumacz. Szum wokół *Stone upon Stone*, sprawił, że tłumacz już nie musi walczyć o swojego pisarza. Wydanie przekładu *Traktatu o tuskaniu fasoli* zapowiadane jest na przyszły rok.

W całej tej historii zdumiewające jest nie tylko to, że Johnstonowi udało się przełożyć tę powieść, znaleźć dla jej polszczyzny odpowiednie rejestry w angielskim, że znalazła bez reklamy drogę do czytelników i krytyki, ale zaskakujący aspekt odczytywania tej powieści (którą większość z nas odczytywała jako hermetyczną w swoich polskich uwikłaniach) w perspektywie uniwersalnej. Dla mnie najbardziej zaskakujące było, że aż w trzech tekstach krytycznych o tej powieści pojawia się nazwisko pisarza, którego wcale byśmy z Myśliwskim nie kojarzyli, to jest Samuela Becketta. Nie jest tak, że krytycy piszą o jakimś wpływie Becketta na Myśliwskiego. Krytyk piszący o nieznanym w jego kraju obcym pisarzu zawsze ma zrozumiąć skłonność przybliżania go przez odwołanie się do czegoś mu bliskiego. Przywołanie Becketta ma jedynie przybliżyć czytelnikowi aurę powieści przez analogię z czymś mu znanym. Nie mogę odżałować, że nie doczekał tego Bereza, że nie dowiem się, co o takiej analogii by myślał.

Nic nie zmieni faktu, że Szymon Pietruszka znalazł się w towarzystwie bohaterów powieści Becketta: Mollaya, Murphy’ego i Watta. Rozwikłanie kłębaka, którym anglosascy krytycy połączyli Pietruszkę z beckettowskimi bohaterami dziwi nie dlatego, że różni ich zaplecze kulturowe, ostateczna chłopskość bohatera Myśliwskiego. Pewnej pomocy w rozwikłaniu tej zagadki zdaje się dostarczać Bereza gdy pisze: „W przeżyciu Szymona Pietruszki – tak się nazywa bohater i narrator *Kamienia na kamieniu* – wskrzesił mi Myśliwski pamięć znaczenia płaczu mojej matki, która w czasie mojego dzieciństwa więcej płakała się i śmiała niż mówiła”. To co łączy tych bohaterów jest dotarcie do granic rozpacz, rozpacz jako doświadczenie źródłowe wymykające się językowej ekspresji. Nie chodzi tutaj bynajmniej o jakąś apokalipsę. Literacka eksploracja apokalipsy nie napotyka na wielki opór języka. Apokaliptyczna pokusa dotyka wielu pisarzy i wieszczenie armagedonu nie napotyka na wielki opór języka, często jest banałem. Apokalipsa dotknąć ma wszystkich, natomiast rozpacz jest zawsze jednostkowa. Rozpacz katapultuje mnie z tłumy i czyni niemową, ponieważ jestem z nią sam na sam. Są jednak pisarze, którzy nie wekslują rozpacz apokalipsą. Docierają do granic języka i starają się coś opowiedzieć o człowieku, dla którego bardziej realny jest strach przed dentystą i bólem zębów aniżeli heideggerowski lęk (Angst) przed nicością, jak zanotował w *Dziennikach Gombrowicz*. Tak jest u Becketta i Myśliwskiego.

W naszej cywilizacji Zachodu rozpacz jest grzechem, depresja jest chorobą, a nie źródłowym doświadczeniem ludzkiej kondycji. Zrozpaczeni mają polykać prozac czy inne antydepresanty. Ale wielki Nachman z Braclawia nauczał swoich zwolenników czegoś innego. Rozpacz jest wielkim boskim darem, a ponieważ jest darem, musimy nauczyć się ją dawkować. Bez doświadczenia rozpacz nie wiemy bowiem o świecie nic. Nachman z Braclawia wątpił, czy w ogóle możemy bez niej być ludźmi. To rozpacz otwiera nas na doświadczenie bytu jako trwania. W rozpacz docieramy do granicy, stajemy na niej i widzimy, że wcale nie ma pewności, że dalej jest pustka i nicność. To byłoby jakieś rozwiązanie, jak sądził Jorge Luis Borges, ale zaraz dodawał, że nicność jest tylko domniemaniem. A Pietruszka kończy swoją narrację słowami: „Grób mam zamiar budować. Osiem kwater, żebyśmy się wszyscy pomieścili. Może Antek, Stasiék zechcą z nami leżeć. Mówi się, niech mu ziemia lekką będzie. To gdzie im będzie lżejsza. Mówi się, że gdzie człowiek się urodził, ziemia jego kołyską. I śmierć jakby cię z powrotem do niej tylko położyła. I buja cię, buja, aż stajesz się znów nienarodzony, nie poczęty”.

3. Kultura matka

W 1974 roku Pier Paolo Pasolini ogłosił list otwarty do Italo Calvino. Tekst ma tytuł, który jest zarazem deklaracją i manifestem: *Ograniczoność historii i bezmiar chłopskiego świata* (*Limitatezza della storia e immensità del mondo contadino*). Powodem listu było stwierdzenie Calvina, że Pasolini opłakuje zniknięcie malowniczych rustykalnych Włoch. „To, że tak wielu udaje że nie rozumie jest naturalne. To, że ty nie rozumiesz zadziwia mnie” – napisał. Zaskoczenie Pasoliniego musiało być wielkie, ponieważ Calvino uczynił wiele dla dokumentacji ludowych bajek włoskich, dowartościowania ludowej twórczości. A jednak to on niewiele zrozumiał, choćby z takiego tekstu Pasoliniego jak *Zniknięcie świetlików*. Inspirował się w swojej twórczości ludowymi opowieściami włoskich chłopów, ale nie dostrzegł tego, co Pasolini. Tego, że *Kres kultury chłopskiej* (by posłużyć się tytułem eseju Myśliwskiego) oznacza wyschnięcie źródła opowieści. Że z końcem kultury chłopskiej opowieść traci swoją więź z doświadczeniem. Opowiadanie staje się rozrywką elit i przestaje być próbą odnalezienia sensu w ludzkim doświadczeniu świata. By to zrozumieć, nie trzeba samemu mieć chłopskich zaszczości. Walter Benjamin, którego kontakt z chłopskim światem wyobraźni był żaden, rozumiał to doskonale, by wspomnieć tylko jego esej o Nikołaju Leskowie (*Narrator*).

„Ludzie ci (chłopi – przyp. AK) nie żyli w żadnym *Złotym Wieku* – pisze Pasolini – tak jak nie byli uwikłani, a jeśli to tylko formalnie, w jakąś malowniczą włoskość. Żyli w tym, co Chilanti nazwał *Wiekim Chleba*. Byli więc konsumentami dóbr ekstremalnie niezbędnych”. To w tym świecie permanentnego niedostatku okazało się, że opowieść jest dobrem „ekstremalnie niezbędnym” jak chleb.

W *Kresie kultury chłopskiej* Myśliwski jest jeszcze bardziej stanowczy niż Pasolini. Pisze: „Świadomości sztuki jako sztuki ta kultura nie miała. Wszystko było czynione z myślą o pożytku. Pożytek był pierwszą zasadą każdego ludzkiego działania. Była to kultura gospodarska, lecz zarazem gospodarna. Nie zmarnował się w niej żaden sen, żadna przestroga, żadne przecucie.

Wszystko coś znaczyło dla człowieka. Mimo przesyceńsania tragicznością z namaszczeniem traktowała dar istnienia”.

Jeśli mimo wszystko Myśliwski jest bardziej przekonujący w swoich przywołaniach kultury chłopskiej aniżeli Pasolini, wynika z faktu, że myślenie tego drugiego naznaczone było utopią. Pasolini wierzył, że gdzieś w Trzecim Świecie zachowały się enklawy, gdzie nic się nie marnuje, gdzie opowiadanie (literatura, choć niespisywana) nie jest rozrywką dla uprzywilejowanych nadmiarem wolnego czasu, ale przede wszystkim próbą nadania sensu. Choćby temu, że kot nam przebiegł drogę. Myśliwski takim optymistą już nie jest. Kultury, które nie wytwarzają śmieci (a to jest główny wyznacznik tych chłopskich cywilizacji, gdzie nic się nie marnuje) znikły. W osadach w Amazonii sam widziałem śmieci, choć było ich mniej niż na dzisiejszej polskiej wsi.

Nie chodzi więc o tęsknotę za światem doskwierającego niedostatku. Problem polega na konstatacji kulturowego tąpnięcia, wręcz cywilizacyjnej mutacji. Najogólniej można powiedzieć, że na deprecjacji istnienia jako naturalnie uwikłanego w brak. Miary jakości życia szybkością dostępu do dóbr/towarów, a nie jako trwania, istnienia, deprecjacji zwłoki. A przecież zarówno dla judaizmu i chrześcijaństwa czas dany nam tu na ziemi był zawsze tylko zwłoką. Z rozwojem cywilizacji to doświadczenie czasu ulegało zamazaniu. Karol Marks pogodzenie się ze zwłoką nazwał w *Manifeście Komunistycznym* „idiotyzmem życia wiejskiego”. Dziś nawet ci, którzy na Marksie koty wieszają, w tej jednej sprawie są z nim zgodni. Zanurzenie się w czasie jako zwłoce traktowane jest jako słabość, błąd, niewykorzystana szansa. Oczekiwanie traci swój charakter źródłowego doświadczenia czasu. Mesjasz, spaśniający się pociąg i żona z obiadem zostają postawieni na równej płaszczyźnie. Zwłoka została cywilizacyjnie zdegradowana. Przecież nawet truskawki możemy kupić o każdej porze roku. Zwłoka to zakłócenie dostępu. A postęp cywilizacyjny mierzymy dziś szybkością dostępu. Zamiast oszczędzać, mamy wziąć kredyt, narzeczeństwo to anachronizm, niedostatek to nie ludzka kondycja ale zawiniony przez nas brak konkurencyjności.

Trzy wielkie powieści Myśliwskiego: *Kamień na kamieniu*, *Widnokrąg* i *Traktat o łuskaniu fasoli* są właśnie opowieściami o formatywnych funkcjach doświadczenia braku i zwłoki. Tego co kultury chłopskie uważały za naturalnie związane z ludzkim istnieniem, a co my uważamy za aberrację i z czym w konsekwencji nie potrafimy sobie radzić. Nie potrafimy już sobie cenić istnienia jako trwania i przetrwania. Chłopów już nie ma. Śmieci są wszędzie. Ale są też książki Myśliwskiego. Są roczniki redagowanych przez niego „Regionów”. Kultura matka nie miała tylko wyrodných synów.

4. Aesopica

W biografii Apoloniusza z Tiany napisanej przez Filostrata znajdujemy taką opowieść o Ezopie. Był on niewolnikiem i pasterzem, ale pragnął daru mądrości. Ilekroć pasał kozy obok świątyni Hermesa, składał tam skromną ofiarę z mleka. Wielu innych też pragnąc mądrości składało tam dużo bardziej bogate ofiary – ze złota, srebra czy kości słoniowej. Hermes postanowił obdarować składających ofiary. Jednemu dał filozofię, drugiemu astronomię, trzeciemu muzykę, czwartemu

poezję epicką, piątemu poezję jambiczną, szóstemu sztukę oratorską. Oczywiście o składającym ofiary najskromniejsze i najmniej spektakularne zapomniał. Ale kiedy powrócił na Olimp, przypomniał sobie o Ezopie. Postanowił obdarować go jedynym, co mu pozostało – sztuką opowiadania. Miał przy tym powiedzieć: „Dostajesz to, czego ja sam nauczyłem się pierwszy”.

Już u zarania cywilizacji Zachodu opowiadanie prozą w tym mieście zostaje przypisane klasom podporządkowanym, w tym wypadku wieśniakowi, niewolnikowi, pasterzowi Ezopowi. Wśród bajek Ezopa, które z oddali ponad 2500 lat przemawiają do nas, jest zatytułowana *Hermes i rzemieślnicy*. Przytaczam ją w przekładzie Anny M. Kornickiej: „Zeus polecił Hermesowi by wszystkim rzemieślnikom nasypał trucizny kłamstwa: ten rozkruszył i utarł ją, i po równej porcji usypał każdemu. Gdy wreszcie pozostał mu tylko sam szewc, a trucizny było jeszcze bez liku, wzięwszy cały zapas wszystko wytrząsnął na niego. Od tej pory tak się dzieje, że wszyscy rzemieślnicy kłamią, a najbardziej ze wszystkich – szewcy”.

Czytelnicy *Widnokręgu* pamiętają o zagubionym przez bohatera bucie, jego poszukiwaniach i w końcu heroicznej decyzji matki bohatera, która oddaje szewcowi swoją skórzaną przedwojenną torebkę, by ten zrobił z niej brakującego synowi buta. Kiedy szewc zjawia się z brakującym butem i wszyscy wydają się być zadowoleni z rozwiązania problemu, matka jest przekonana, że szewc kłamie, twierdząc że to skóra ta sama, którą mu dała. Nie daje się przekonać. Mijają lata, a sprawa szewskiego oszustwa u matki obsesyjnie powraca. To tylko jeden z licznych przykładów skrytych nacyrń połączonych łączących kulturę chłopską i twórczość Myśliwskiego z podglebiem kultury europejskiej, kultury Zachodu. Ta twórczość pokazuje nam, że im bliżej jesteśmy kultury matki, kultury chłopskiej, tym bliżej jesteśmy miejsca, skąd wszyscy w tej części świata jesteśmy – starożytnej Grecji. Nie ma dziś w literaturze polskiej pisarza bardziej zanurzonego w antyku niż Myśliwski. Przy całym podziwie dla twórczości Zbigniewa Herberta uważam, że jego zachwyt antykiem był dość powierzchownym gestem wyniosłej ekskluzywności. Kultury chłopskie Europy więcej mogą nam powiedzieć o ciągłości antycznej tradycji aniżeli najbardziej błyskotliwe ekfrazy. Aby Warburg, proponując pojęcie „formuły patosu”, rozumiał doskonale, że dziedziczenie tradycji, jej podstawowy kod nie jest zawarty w kulturze wysokiej, elitarniej, ale w codzienności. Polem, w którym codzienność jest najbardziej dowartościowana, gdzie jest niemal z wartością utożsamiona, są kultury chłopskie. Czym jest dziedzictwo antyku, więcej mówi nam *Na wysokiej poloninie* Stanisława Vincenza niż *Barbarzyńca w ogrodzie* Herberta. Calvino kompletnie nie rozumiał, że Pasolini nie tęsknił za malowniczą biedą i nędzą Friuli, gdzie spędził dzieciństwo i młodość. On wiedział, że to wśród friulańskich wieśniaków był bliższy konstelacji miejsca, gdzie cudem wybuchła europejska cywilizacja, aniżeli w Rzymie. W tym Rzymie, gdzie jak napisał przed stuleciami w swoim nieśmiertelnym sonecie *Les Antiquetes de Rome*, Joachim du Bellay: „Et rien de Rome en Rome n'aperçois”.

Ostentacyjna prowincjonalność prozy Myśliwskiego jest tylko sztafazerem, na który dajemy się nabrać. Kto nie rozumie, że to kultury chłopskie Europy przechowały

jej kod, jej DNA, jakby na przekór historii, nieustającej wojny domowej europejskich elit, dla których chłopi byli mięsem armatnim, powinien czytać Myśliwskiego.

5. Zniknięcie gwiazd

Jeszcze niedawno ludzie widzieli gwiazdy. Światła miast, wsi i miasteczek zgasiły gwiazdy. Tygodniami, miesiącami nie widzimy Drogi Mlecznej. Gwiazdy przestały nam towarzyszyć. Tymczasem człowiek patrząc w gwiazdy – o czym doskonale pamiętali starożytni – zyskiwał wgląd w coś więcej niż czysty opis fenomenów – zyskiwał pojęcie wieczności. Całkowita przewidywalność ruchu gwiazd, jego niezmienności i regularności tworzyła podstawę zrozumienia świata i natury bytu. Chłopi żyli w niedostatku, ale jednocześnie widzieli gwiazdy, my zamknięci w kokonie świata podsiężycowego utraciliśmy zdolność empatii wobec wszystkiego co doskonalsze

i niepoznane, które daje spojrzenie w gwiazdy. Poczucia obcowania z ładem, wiecznością i niezmiennością, poczucia, którego nie wzbudza w nas rzeczywistość ziemiska. Jesteśmy bogatsi niż chłopi, żyje się nam łatwiej, ale dokonaliśmy amputacji naszej wrażliwości i nie potrafimy oderwać własnych myśli od bezładu sublunarnego świata. Łudzimy się, że ekrany zastąpią nam niebo. Ale skoro bohaterom Myśliwskiego udaje się oderwać myśli od tego bezładu wzmocnionego rezonansem mediów, jest cię szansy w tej tajemnicy jego opowieści.

W liście z 1922 roku Wiktor Szklowski pisał do Romana Jacobsona: „Wiemy jak jest zrobione życie, a nawet jak są zrobione *Don Kichot* i samochód”. W kwestii samochodu się nie mylił, ale w pozostałych na pewno tak. Na szczęście.

ADAM KOMOROWSKI

Z GŁOSÓW KAMIENIEM KRZESANYCH (z anglosaskich recenzji)

W ojczystej Polsce, wyróżniająca się kariera Wiesława Myśliwskiego zaczyna się w latach 60. Nie jest on zbyt dobrze znany w angielskim świecie literackim, chociaż *Kamień na kamieniu* – druga z jego książek przełożonych na angielski w ostatnich dwudziestu latach – swoją grubością w tym wydaniu poraża. Ale czytelnik, który nie da się zastraszyć gabarytem, odkryje cud narracyjnego uwiedzenia, wyjątkowe podwójne arcydzieło opowiadania i przekładu.

Proza Myśliwskiego, przepelniona dowcipem i niemal przygodną intensywnością, przeskakuje raźnie z jednego rejestru emocjonalnego do innego, przyporządkowanego dramatycznej sile wykraczającej poza faktycznie drobny, główny wątek narracji. W tej kwestii jego pisarstwo skłania do porównań z takimi środkowo-europejskimi mistrzami dygresji jak Jaroslav Hašek czy Bohumil Hrabal. Ale repertuar emocji Myśliwskiego jest bogatszy aniżeli Haška, a jego anegdoty spletają się wzajemnie w większej skali aniżeli udało się to kiedykolwiek Hrabalowi...

W swoim przekładzie Bill Johnston porusza się pośród modulacji Myśliwskiego umiejętnie i z tym rodzajem lekkości, który jest świadectwem dogłębnego zrozumienia i dobrej roboty. Przez dziewięć długich, meandrycznych, hipnotycznych rozdziałów tekst upodabnia się do rozległego chłopskiego gospodarstwa, gdzie Szymek spędza dni, jedyne miejsce, w którym jego starania i prace w tym życiu mogą mieć trwałą wartość. Nie tak jak trzej jego bracia, którzy wszyscy zdrzyfowali „gdzieś” lub „tam” – to znaczy do miasta, gdzie nowoczesność już dawno zapomniała o chłopskim życiu. Szymek wierzy, że trzymanie się ziemi umożliwi mu kontakt z tym co wieczne. Bóg, ojczyzna, komunizm nigdy nie oddają tego co zabierają. Nieco podkpiwając z czytelnika, Myśliwski każe Szymkowi dziwować się słowem: „Naczyta się człowiek, naczyta, a potem i tak to wszystko do ziemi z nim pójdzie. Z ziemią co innego. W ziemi się narobi, ale ziemia pozostaje. A z czytania żeby choć linijka czy słowo”. (...) Najbardziej przekonującym i satysfakcjonującym czytelnika osiągnięciem

prozy Myśliwskiego jest perfekcyjna, doskonała ciągłość pomiędzy tragicznym i komicznym, pomiędzy życiem i śmiercią...

Benjamin Paloff, *Brama w polu*,
„The Times Literary Supplement”, 20 V 2011.

Dualizmy, którymi przetkane jest to dzieło życia jako pamięci: życie i śmierć, ziemia i niebo, bezbożność i wiara – ukierunkowują naszą świadomość, porządkują rozmaite wątki i tematy, kiedy narracja zmienia kierunek. (...) Takie ujęcie świadomości i mowy przypomina Becketta, jakkolwiek Myśliwski przejawia większe zaufanie do natury i tradycji, języka i możliwości ludzkiego porozumienia. Ta powieść sprawia, że czujemy się jakby w rzeczywistej, fizycznej obecności Szymka, który właśnie tobie opowiada historię swojego życia. Jest potwierdzeniem zarówno talentu Myśliwskiego, jak i tłumacza tego arcydzieła, Billa Johnstona.

Stephanie Seiker w „The Literary Review”,
marzec 2011.

„Kamień na kamieniu” jest jak list pisany do Boga. Tym jest w istocie. Zawiera nieprawdopodobny ładunek bólu, ale także swego rodzaju szczęścia. Jest przepelniony rzeczywistą mądrością. I wielkimi opowiadaniem.

Szczególnie zajmujące są opowieści Szymka o tym, jak udało mu się raz po raz uniknąć śmierci w partyzantce, ale takie są też jego opowieści o matce, historie o ojcu, opowiadki o miejscowych dziewczynach, opowiadania o ziemi, jedzeniu, świętach, o przycinaniu włosów, oberku, jego ulubionym tańcu. W samej rzeczy, każda z opowieści w tej książce jest wielką, afirmującą życie, a także afirmującą śmierć w tej mierze, w jakiej śmierć jest także częścią życia. Całkowita suma tych opowieści to wyjątkowa i doprawdy wspaniała powieść.

Jennifer Croft w „The Quarterly Conversation”,
7 III 2011.

(Wybrał AK)

STANISŁAW GĘBALA

NASZE CZYTANIE MROŻKA

Na wstępie muszę się usprawiedliwić z powodu świadomie popełnionego w tytule nietaktu, jakim jest pominięcie imienia pisarza. Nawiązuję w ten sposób (powtarzam: w pełni świadomie) do zwyczaju, który utarł się już w pierwszych latach błyskawicznie rosnącej popularności pisarza, wręcz zawłaszczonego przez czytelników i publiczność teatralną. W rzeczywistości społecznej, której najważniejszą cechą był nieprzeciętny konflikt między władzą a szarymi obywatelami, mający swe odbicie w przeciwstawieniu MY-ONI, jakiego dokonywaliśmy w codziennych rozmowach, określenie „nasz Mrozek” można było uznać za nader zaszczytne, jeśli wziąć pod uwagę, że „ich” były środki masowego przekazu, instytucje kulturalne i spory obszar literatury, nie licząc całego PRL-u – jednak Sławomir Mrozek, mówiąc eufemistycznie, nie był nim zachwycony. Ba! Z listu do Jana Błońskiego (napisanego już 19. października 1963 r. z Chiavari) dowiedzieliśmy się (po czterdziestu latach), że stało się ono dla pisarza nie do zniesienia:

„A cóż ja poradzę na to, że z organizmu mojego mnie swojactwo drażni i je dymam, lepiej się czuję, gdy nie swojak, bo wtedy sytuacja zewnętrzna bliższa jest prawdzie, to znaczy sytuacji wewnętrznej. Nigdy, w całym okresie lokalowym mojego życia, nie umiałem wykonywać odpowiednio fałszywego uśmiechu, kiedy każdy, tylko z tego tytułu, że stał przy tym samym barze co ja, miał już prawo bić mnie po plecach i domagać się brudzia. Ja dymam, kiedy, gdy wejść dokądś, zaraz do mnie z wyrazem jakimś takim, »O, przyszedł nasz Mrozek«, ja dlatego uciekłem z Krakowa, żeby nie być »nasz«, jedną z postaci, jak wieża Mariacka nasza. Swojskość, klawość, naszość, koleżkowatość, w tym od razu rozmywa się jakoś głupekowato wszystko, przede wszystkim odpowiedzialność osobista. Jaki nasz, co za nasz? – pytam. Czy ktoś przeżyje za mnie moje życie? Czy ktoś mi pomoże poradzić sobie ze sobą? Dlatego, gdy nie swojsko, ale obco, czuję sytuację czystsza psychologicznie i odpoczywam”.¹

Ciężko byłoby nam przełknąć tak gorzką pigułkę, gdyby nie stylizacja Gombrowiczowska. Ale również sama istota tego wyznania jest z ducha Gombrowicza.

Czytanie Mroźka bez wątpienia pomogło nam przeżyć PRL. Jego twórczość miała trudne do przecenienia znaczenie terapeutyczne, a ściślej psychoterapeutyczne. Umożliwiała dystansowanie się od absurdów tamtej codzienności i odświętności, dziwnie przemieszanych przez nachalność i prymitywizm ówczesnej propagandy, czyniącej ze świąt kościelnych dni pracy (np. poprzez ogłaszanie rozmaitych „czynów społecznych”), a z dni powszednich nieustannie święto, z powiewającymi flaga-

mi i politycznymi hasłami, które z biegiem czasu stawały się trwałym elementem miejskiego krajobrazu.

Psychoterapia przy pomocy Mroźka była najbardziej potrzebna w miejscach styku tzw. szarego obywatela z władzą, czyli z wszelkiego rodzaju urzędami i urzędnikami. Właśnie w takich sytuacjach najczęściej padały w naszych codziennych rozmowach słowa: „To jest jak z Mroźka!”, „Istny Mroźek!”, „Tego by nawet Mroźek nie wymyślił!”. I mimo że Mroźek nie karmił swoich czytelników fałszywą nadzieją na możliwość wygranej w starciu z władzą – wręcz przeciwnie: w swoich utworach rozwiewał nawet cień takiej nadziei, demonstrując w ich zakończeniach różne warianty nieuchronnej klęski (tu można by sporządzić długą listę tytułów choćby tylko sztuk scenicznych, poczynając od *Męczeństwa Piotra Ohey'a*, *Na pełnym morzu*, *Karola*, *Strip-tease'u*, poprzez *Tango*, po *Portret*) – to jednak na swój tragifarsowy sposób heroizował przegranych. A w każdym razie tak były czytane jego sztuki. W przeświadczeniu czytelników i widzów teatralnych bowiem Mroźek był zawsze z n a m i przeciw n i m.

Przeświadczeniem owym nie zdołał wstrząsnąć nawet fakt wyjazdu pisarza z kraju już w roku 1963 (nie nazywajmy tego emigracją, skoro sam tak długo i gorąco zaprzeczał, jakoby był emigrantem); inna rzecz, iż niewielu o tym fakcie wówczas wiedziało, a przesądziła o powszechnej niewiedzy – *horribile dictu!* – niepisana umowa z n i m i. Tak więc Mroźkowi nie udało się wyrwać nawet z potrzasku zaściankowej polityczności, czyli owego przeciwstawienia MY-ONI, nie mówiąc już o nie-realności zamiaru wyemigrowania poza Historię (przez wielkie „H”).

Do nielicznych wtajemniczonych w zamiary pisarza należeli jego przyjaciele, a zarazem wieloletni korespondenci. Zwykli czytelnicy w grube tomy tej korespondencji mogli zajrzeć dopiero w pierwszej dekadzie lat dwutysięcznych, znajdując tam np. takie zdanie w liście napisanym do Jana Błońskiego z Paryża 15 kwietnia 1986 roku: „Z Polski wyjechałem między innymi i po to, żeby uciec od nacisku polityczności i skrzywienia nią”² oraz następujące jego rozwinięcie w napisanym prawie dokładnie dwa lata później, 20 kwietnia 1988, liście do Wojciecha Skalmowskiego:

„Dość mam Historii. Jestem przez nią uwarunkowany aż do tak zwanego szpiku kości, aż do moich majaków sennych, od 1 września 1939. I jeżeli kiedykolwiek uda mi się poza nią wyemigrować, będzie to mój najważniejszy i finalny akt korekty mojego losu, takiego, jaki mi został zaprojektowany bez mojej wiedzy i zgody”.³

Oczywiście, taka korekta własnego losu jest niemożliwa. Niemożliwa jest również emigracja poza Historię,

¹ Jan Błoński, Sławomir Mrozek, *Listy 1963-1996*. Kraków 2004, s. 44.

² Tamże, s. 564.

³ Mrozek, Skalmowski, *Listy 1970-2003*. Kraków 2007, s. 632.

choć Mrożkowi niemal się udało – ale w okolicznościach, których nie mógł ani przewidzieć, ani sobie życzyć. Powracał z tej „emigracji” pisząc mozolnie, w ramach ćwiczeń terapeutycznych, swoją *Autobiografię* pod nowym nazwiskiem, czy raczej tylko imieniem, Baltazar. Przewycięzał afazję – która była skutkiem przebytego udaru mózgu – odnajdując się na powrót w Historii.

Przypomnijmy jednak początek 33-letniej emigracyjnej historii Mrożka. Ten początek został dobitnie zaznaczony w jego twórczości opowiadaniem *Moniza Clavier*, zawierającym portret emigranta właśnie. niewiele w naszej literaturze znaleźlibyśmy utworów dorównujących mu celnością. Kiedy został wreszcie opublikowany w kraju, natychmiast z ust do ust zaczęliśmy podawać sobie jeden cytat: „wybili, panie, za wolność wybili!”. Ta rozdzierająca skarga naszego rodaka, demonstrującego rozbawionemu towarzystwu w eleganckiej hotelowej restauracji w Wenecji lukę w swoim uzębieniu, powinna trafić do książki skrzydlatych słów, choć słowem-kluczem w *Monizie* – przynajmniej dla mnie – jest „natężyłem się”.

Natężanie ducha jest, jak wiadomo, naszą narodową specjalnością przynajmniej od romantyzmu, kiedy to Wieszcz uświadamiał nam – ustami Ducha w III części *Dziadów* – ogrom śpiącej w nas wewnętrznej mocy:

„Człowieku! gdybyś wiedział, jaka twoja władza!

.....

Ludzie! każdy z was mógłby, samotny, więziony,
Myślą i wiarą zwać i podźwigać trony”.

Otóż bohater *Monizy Clavier* obudził w sobie – „natężając się” – tę potęgę ducha i przemówił do stanowiącej przedmiot powszechnego uwielbienia gwiazdy światowego kina płynną angielszczyzną, mimo że nie znał tego języka. Jak widać, Mroźek zastosował odkrycie Wieszca do celów bardziej pragmatycznych niż zwalanie i podźwiganie tronów, które we współczesnym świecie stały się rzadką atrakcją turystyczną, podczas gdy znajomość angielskiego jest niezbędna i powszechnie wymagana.

Natężenie ducha umożliwia przekroczenie każdego progu możliwości, co bohater Mrożka odkrył już wcześniej; w kraju, w pospolitym barze, gdzie pospolici inteligenci (zapewne pracujący, gdyż w PRL-u w urzędowym słownictwie istniała taka kategoria: „inteligencja pracująca”) jadali pierogi. Nagle poczuł przemożne pragnienie rozdarcia choćby na moment otaczającej i wszechogarniającej zwyczajności:

„Natężyłem się więc okropnie, ile miałem sił. I stało się: zaśpiewałem. Ale nie tak zwyczajnie, jak to sobie człowiek czasem podśpiewuje. Zaśpiewałem pięknie, głosem niespodziewanie głębokim, cudnym, wibrującym. Głowę odrzuciłem do tyłu, nogę założyłem na nogę i łokciem wsparłem się o kontuar. Piosenka była włoska: »O sole mio«. Wszyscy spojrzeli na mnie z najwyższym zdumieniem. Nikt nie wiedział, że ja umiem tak śpiewać, ja także nie. Ja zaś śpiewałem lekko, swobodnie, bo przekroczyłem próg możliwości i niezmiernie szczęście mnie ogarnęło”.⁴

Kpina Mrożka była piekąca do żywego. W *Monizie Clavier* pokazał nasze sny o potędze groteskowo spełnione; w całym ich zawstydzającym infantylizmie. To opowiadanie, którego wartości autor tak dalece nie był pewien, że pisał w liście do Jana Błońskiego z Chiavari na przełomie listopada i grudnia 1963 z obawą, „czy

to nie jest grafomania”⁵ – trzeba postawić obok *Trans-Atlantyku* Witolda Gombrowicza.

Zawahałem się czy nazwać je arcydziełem, gdyż sam autor odnosił się do tego pojęcia niechętnie, wiążąc je z (nierzadko przypadkowym) sukcesem, którego zdobycie przekształca pisarza w konia wyścigowego:

„Leć i pisz arcydzieło i miej nowy sukces. (Biedny Witkacy, on nigdy nie miał sukcesu, on sam, osobiście za życia – czyżby był grafomanem?) Drugie arcydzieło, potem jeszcze większe arcydzieło, potem super-arcydzieło, a potem już zupełnie wyjątkowe, nad-super-arcydzieło. I tak dalej, i tak coraz lepiej, aż ku czemu, ku boskości? Zwariować można”.⁶

Tak ironizował prawie dziesięć lat po osiągnięciu oszałamiającego sukcesu przez *Tango*, obwołane natychmiast (a jakże!) arcydziełem. Aż trudno uwierzyć, że do nielicznych najsurowszych krytyków tej sztuki zaliczał się jeden ze wspomnianych przyjaciół-korespondentów, Stanisław Lem⁷. Jego opinia była jednak na tyle odosobniona, że – na szczęście – nie mogła wpłynąć na sceniczną karierę *Tanga*. Do obszernego tomu listów Lema i Mrożka sięgam wszakże nie po tę opinię, ale po wcześniejsze wyznaczenie dramaturgisty dotyczącej kwestii niezwykle intrygującej w jego twórczości, a mianowicie stosunku do Szekspira. Swoistą grę z Szekspirem prowadził Mroźek niemal od początku. Do moich ulubionych fragmentów należy np. ten z opowiadania *Interwał*, którego bohaterowie – Szatan-Maty i Gross-Pyton, niepokonani dotąd zapaśnicy, w czasie całonocnej przerwy w walce, która nie może zostać rozstrzygnięta z powodu absolutnej równości sił obu zawodników splecionych tak, że stanowią jedną bryłę mięśni – tworzą niejako od nowa cały dorobek duchowy ludzkości. Rzecz jasna, nie może w nim zabraknąć wielkiego monologu Hamleta, który w ich ustach brzmi następująco:

„- Pyton, co jest lepiej: być – czy też nie być? – zagadnął wreszcie Szatan-Maty.

- To zależy – na to z zastanowieniem Gross-Pyton. – Co jest szlachetniejsze – to znaczy przewycięzać trudności i mimo wszystko kontynuować, czy też sprowokować koniec, choćby za pomocą kawałka żelaza.

- Najgorszą jest ta niepewność – podjął Szatan-Maty przy niemym akompaniamencie świtu, który coraz wyraźniej wypełniał przestrzeń pod kopułą. – Bo nie wiadomo, co potem. Gdyby to było wiadome, to kto by znosił to dokuczanie ze strony osób o złym charakterze, nieposzanowanie prawa czy też bezczelność władzy”.⁸

Niemal w tym samym czasie, gdy tak złośliwie parodiował najstynniejszy z Szekspirowskich monologów, pisał do Stanisława Lema z Warszawy (5 lutego 1961):

„Był tu Old Vic, który nieuchronnie tłumaczy mi się jako »stary wic«, i grał *Makbeta*. Przyznam się do rzeczy strasznej: nie wzrusza mnie *Makbet*, nie obchodzi mnie bogactwo tego dramatu (»mięso« – tak to nazywają specjaliści – »tyle mięsa« – wykrzykują). Co więcej, nie wzrusza mnie Szekspir. Jezu! Nie powtarzaj nikomu. Całkowicie mnie nie śmieszają jego komedie, a dramatów

⁵ Tamże, s. 74.

⁶ Sławomir Mroźek, *Małe listy*, „Dialog”, 1974, nr 5.

⁷ Por. list z 14 lipca 1964 r. (Stanisław Lem, Sławomir Mroźek, *Listy 1956-1978*. Kraków 2011, s. 305-306.)

⁸ Sławomir Mroźek, *Opowiadania*. Kraków 1974, s. 266.

⁴ Sławomir Mroźek, *Dwa listy*. Kraków 1974, s. 16.

w ogóle nie rozumiem dzięki wrodzonej wadzie, to jest nieumiejętności koncentracji”.⁹

Najwyraźniej jednak ćwiczył umiejętność koncentracji właśnie na Szekspirze, skoro jeszcze na początku lat 90. w *Miłości na Krymie* wykorzystał fragmenty *Hamleta*, *Otella* i *Snu nocy letniej* we własnym przekładzie (o czym informuje w *Posłowie*). Ale już w *Tangu* jego gra z Szekspirem wychodziła daleko poza parodię, choć zdarzało się tam jeszcze zwykłe „przedrzeźnianie”, jak w słowach Ali na temat ślubu z Arturem: „Dla mnie może być albo nie być. I tak, jeżeli będę miała dziecko, to z tobą, a nie z księdzem. Więc o co chodzi?”.

Ale już odpowiedź Artura, parafrazująca słowa Hamleta z jego rozmowy z Rozenkrancem i Gildensternem, brzmi całkiem serio:

„Nic nie jest poważne samo w sobie, nie jest w ogóle żadne. Wszystko jest nijakie. Jeżeli sami nie nadamy rzeczom jakiegoś charakteru, utoniemy w tej nijakości. Musimy stworzyć jakieś znaczenia, jeżeli ich nie ma w naturze”.¹⁰

A oto wspomniane słowa Hamleta: „W rzeczy samej, nic nie jest złem ani dobrem samo przez się, tylko myśl nasza czyni to i owo takim”.¹¹ Odniesienia do Szekspira dawały możliwość wyjścia z naszej zaściankowej panpolityczności ku głębszej refleksji o kondycji ludzkiej. Mroźek-satyryk najwyraźniej przeistaczał się w Mroźka-filozofa, czego jednak przeciętny odbiorca nie dostrzegał, ograniczając się nadal do poszukiwania i rozszyfrowywania aluzji politycznych według niezmiennego schematu, który pisarz ośmieszał już w *Policyj*, w niezapomnianym monologu Sierżanta-Prowokatora, błyskotliwie analizującego frazę: „Proszę dwa małe piwa pod rząd”.

Niestety, ten sam los spotkał (dziesięć lat po *Tangu!*) *Emigrantów* – niewątpliwie arcydzieło, w którym Mroźek po raz pierwszy przejmując ucłowieczył swoich bohaterów (wcześniej zadowolając się karykaturalnymi marionetkami, służącymi do demonstrowania stereotypowych zachowań w sytuacjach kryjących w sobie istotne zagrożenia). W tej sztuce już pierwsze słowa kierują uwagę czytelnika ku filozoficznemu rozważaniu o sensie życia ludzkiego, które nieporadnie podejmuje XX, komunikujący dwukrotnie swojemu współlokatorowi: „Jezdem. [...] Jezdem.” – na co tamten, inteligent z pretensjami do miana intelektualisty, zdobywa się tylko na belferskie pouczenie: „Mówi się: jestem”. A przecież XX dokonał właśnie – zupełnie samodzielnie, bo przecież nie czytał Kartezjusza – odkrycia, że egzystencję ludzką konstituuje myślenie; w jego opowieści o przygodzie na dworcu powtórzy się zaraz bowiem aż kilkanaście razy „myślę sobie”. Słynna formuła *cogito ergo sum* została tu wprawdzie odwrócona, ale jest to bez wątpienia oryginalne odkrycie XX-a, człowieka najcięższej pracy fizycznej (odwołuję się tu do funkcjonującej w PRL-u kategorii „człowiek pracy”), którego umysł właśnie obudził się z uśpienia. A skoro już zaczął „myśleć sobie”, będzie stawiał nieustannie pytania; od na pozór dziecinnych typu: „Ty, dlaczego tu nie ma much?” po filozoficzne i futurologiczne w rodzaju: „A jak się to skończy?” („to”, czyli życie ludzkie na naszej planecie).

⁹ Tamże, s. 43.

¹⁰ Sławomir Mroźek, *Utwory sceniczne*, t. 2. Kraków 1973, s. 52.

¹¹ William Szekspir, *Dzieła dramatyczne*, t. 6. Warszawa 1973, s. 57 (*Hamlet* w przekładzie Józefa Paszkowskiego).

Jednego tylko tematu nie chce dotykać – polityki. Pod tym względem jest Polakiem nietypowym; ale ten jego lęk został dobrze umotywowany. XX posiada chłopską mentalność, która opierała się na paru prostych przeświadczeniach niezmiennych od pokoleń. Jedno z tych przeświadczeń artykułuje wprost w rozmowie: „Ja lubię mieć. Jak trzymam, to mam. A jak puszczę, to wypuszczę. Nie tak jest?”¹² Tak samo głęboko tkwi w nim zapewne przekonanie, że trzeba się trzymać z dala od polityki. Przekonanie – powtórzmy – podszyte lękiem, który polscy chłopci dziedziczyli z pokolenia na pokolenie. Jest w *Emigrantach* scena, w dużym stopniu pantomimiczna, którą możemy uznać za kwintesencję całych tomów studiów o historycznych uwarunkowaniach mentalności polskiego chłopca. Oto w trakcie rozmowy XX nabrął podejrzeń co do przyczyn emigracji swojego współlokatora: „XX (zniżając głos konfidencjonalnie) Ty jesteś polityczny?”

AA Można to i tak nazwać. (XX wstaje od stołu) A co, nie domyślałeś się? (XX idzie do drzwi, stoi odwrócony plecami do AA)

XX Teraz mi dopiero mówisz?

AA Myślałem, że to od początku było jasne.

XX uchyla ostrożnie drzwi, wygląda przez szparę, zamyka drzwi, wraca do stołu.

XX Jesteś na liście?

AA Prawdopodobnie. (XX stoi niezdecydowany) Dlaczego nie siadasz...

XX (siadając) Głupi byłem. (uderza się pięścią w czoło) Chociaż od razu coś mi się wydało podejrzane. Nic nie robi, do roboty nie chodzi, tylko leży w łóżku i czyta. Biała rączka, inteligent”.¹³

Wystarczy przypomnieć, że ta inwektywa miała rosyjski odpowiednik (*biełaruczka*), żeby poczuć dreszcz na plecach. Lepiej nie przywoływać upiorów z nieodległej jeszcze historii.

Sam Mroźek na przełomie lat 60. i 70. miał traumatyczne przygody z polityką, wobec której starał się – przynajmniej przez jakiś czas – stosować uniki, broniąc się przed samym określeniem „emigrant”. Wydarzenia roku 1968 zmusiły pisarza do jasnego (jak to się wówczas mówiło w języku oficjalnym) samookreślenia, na które władza odpowiedziała zakazem druku i wystawiania jego utworów. Przez prawie pięć lat Mroźek był nieobecny w naszym życiu kulturalnym. Co najmniej jeden rocznik młodych (wówczas) Polaków nie spotkał się w czasie cztero- lub pięcioletniej nauki w szkole średniej z jego nazwiskiem (o uczniach szkół podstawowych już nie wspominam). Szkół wyższych te zakazy cenzorskie nie sięgały, jeśli mogę wnioskować z własnych doświadczeń młodego (wówczas) nauczyciela akademickiego.

Po tej pięcioletniej przerwie objawił nam się nowy Mroźek, który przede wszystkim porzucał swoją dotychczasową domenę – groteskę. Zapowiedział to w liście do Konstantego Puzyny na temat *Rzeźni*:

„Domyślasz się chyba, jakbym ja to samo napisał dziesięć lat temu: rozbudowałbym »metaforę« do maksimum możliwości, wyciągnąłbym z niej maksymalną ilość sytuacji kontrastowych, konfliktowych, »napięciowych«, uniknąłbym tyrad i wykładów wprost, przypawiłbym maksymalnie groteskę i komizmem. Rzecz w tym, że obecnie, kiedy mi ktoś mówi o metaforze, ja nie roz-

¹² Sławomir Mroźek, *Utwory sceniczne nowe*. Kraków 1975, s. 119.

¹³ Tamże, s. 110.

zumiem, po co, i pytam: »Dobrze, ale dlaczego pan nie powie mi po prostu, o co panu chodzi«. A groteska mnie nudzi i smuci. Być może, z tej mojej nowej wrażliwości i ze starego nawyku wychodzi ni pies ni wydra.

Zdaje mi się, jakoś mi się wydaje, że obecnie ludzie chcą słuchać o sprawach poważnych serio, chcą mieć wrażenie, że ten, kto mówi, bierze odpowiedzialność za to, co mówi¹⁴.

Ten nowy Mroźek sięgnął wreszcie po wielkie doświadczenie, które go ukształtowało w dzieciństwie i na progu młodości, doświadczenie wojny. Zapowiedzię podjęcia tej tematyki był jeden z *Małych listów*, zatytułowany w wydaniu książkowym *Dzieci wojny*. Po raz chyba pierwszy, nie licząc publicystyki z początku lat pięćdziesiątych, pisarz przemówił tu jako przedstawiciel swojego pokolenia, używając zaimka „my” serio, bez zabarwienia parodystycznego. Posłuchajmy:

„Dla nas wojna nie była rozczarowaniem, ponieważ zastała nas dziećmi i nic jeszcze nie wiedzieliśmy o rozczarowaniu, ponieważ nic jeszcze nie wiedzieliśmy o nadziei. Nie więcej niż mogą wiedzieć rośliny. Do nadziei dojrzeliśmy podczas wojny. Z całą siłą naszej pierwszej nadziei oczekiwaliśmy zakończenia wojny. Ścisłej mówiąc: nie zakończenia wojny, ale początku nowego świata, jaki miał się z wojny wyłonić. Czekaliśmy na to bardziej niż dorośli. Dla nich to oznaczało kontynuację, chwilowo przerwana. Oczekiwali kontynuacji¹⁵.”

Jednak – to trzeba dobitnie podkreślić – jego twórczość nie poszła w kierunku autobiografizmu. Autobiografię pisał w listach – dużych (czasem wręcz ogromnych) i małych (zanim dramatyczne okoliczności życiowe nie zmusiły go do pisania *Autobiografii* pod imieniem Baltazar), a także w *Dzienniku*, który właśnie czytamy. W twórczości artystycznej pozostał kreationistą, wzbogacając literaturę polską jeśli nie o kolejne arcydzieła, to utwory z całą pewnością wybitne – scenariusz filmowy *Amor* i sztukę teatralną *Pieszko* zaliczoną przez Jana Błońskiego do dramaturgii epickiej. *Pieszko* ukazuje moment uznany przez autora w cytowanym wyżej *Małym liście* za najważniejszy w życiu jego pokolenia: koniec wojny, z którego ma się wyłonić początek nowego świata. Zdarzenia w *Amorze* toczą się na przelocie lata i jesieni 1944 roku. Już płonie ogarnięta powstaniem Warszawa, a kilkunastoletni chłopcy z „małego miasteczka w jednym z krajów Europy wschodniej”, jak czytamy we wstępnych didaskaliach, rwą się do jakiejś akcji zbrojnej przeciw zniechęconemu okupantowi. Tymczasem czternastoletni bohater siedzi przy stole wkuwając deklinację łacińskich rzeczowników.

Początek *Amora* jest genialny. Czternastoletni chłopiec siedzi przy stole i powtarza: „Exercitus-exercitus...” (jakżeby inaczej; trwa jeszcze wojna, w Warszawie nawet kilkuletnie dzieci walczą, są żołnierzami – w za dużych hełmach rzucają na czołgi butelki z benzyną), ale jego wzrok raz po raz ucieka za okno, gdzie młoda służąca rozwiesza prześcieradła na sznurze: *Spódnica unosi się wysoko na tęgim zadzie, odsłaniając grube uda. Odmienianie łacińskiego rzeczownika urywa się* – czytamy w didaskaliach. Pięćdziesięcioletnia kobieta, która jest ciotką chłopca, siedzi profilem do okna i nie widzi tego, co on. Denerwuje się:

„CIOTKA Nie umiesz.

CHŁOPIEC Umiesz.

CIOTKA Nie sprzeczasz się ze mną. Nie dość, że nie umiesz, to jeszcze się sprzeczasz¹⁶.”

Oczywiście, zaraz wygłosi umoralniającą reprimendę, usiłując zawstydzić chłopca i pobudzić jego uczucia patriotyczne. Zapewne do swojej poczciwej głowy nie dopuściłaby strasznej myśli, że miłość do ojczyzny jest z góry skazana na przegraną w zderzeniu z popędem seksualnym czternastoletka; nie mówiąc o myśli jeszcze straszniejszej, że nasza poczciwa literatura niejednokrotnie przedstawiała jako uniesienie patriotyczne to, co było w istocie żądzą przygód.

Amor bezlitośnie demistyfikuje naszą okupacyjną konspirację. Nie jest to jednak demistyfikacja poprzez kpinę, błazenadę czy groteskę, ale poprzez wnikliwą analizę psychologiczną. Jan Błoński stworzył kiedyś formułę Mroźek-filozof; szkoda jednak, że ciągle niedoceniony pozostaje Mroźek-psycholog. Mechanizm ludzkich zachowań, stereotypowość reakcji zawsze intrygowały pisarza, ale we wcześniejszym okresie jego twórczości (przed *Emigrantami*) owe mechanizmy i stereotypy zdawały się go interesować bardziej niż sami bohaterowie. Gdy swoje główne zainteresowanie przeniósł z sytuacji i zdarzeń na postacie, zyskały one psychologiczną pełnię; z marionetek stały się ludźmi.

W *Amorze* fascynujące są przede wszystkim interakcje; to co dzieje się między Chłopcem a Ciotką, Chłopcem a Rowerzystą, Chłopcem a Hauptmannem, Chłopcem a Rosemarie, ale także Ciotką a Hauptmannem, Hauptmannem a Rosemarie... Każda z tych postaci ma własną indywidualną psychikę; wrażliwość, sposób reagowania... Bez wątplenia Mroźek jako scenarzysta filmowy jest realistą; trzeba powiedzieć nawet więcej – jako twórca filmowy, bo przecież zrealizował także jako reżyser własny scenariusz, o którym to doświadczeniu opowiedział w jednym z *Małych listów*¹⁷.

Tak jak nie waham się stwierdzić, iż *Amor* jest właściwie gotowym filmem, zawartym w perfekcyjnie napisanym scenariuszu, podobnie *Pieszko* uważam za gotowy spektakl, zapisany w sztuce stanowiącej pełną partyturę teatralną. Mroźek zaczął kiedyś swoją przygodę z teatrem od polemik z inscenizatorami i reżyserami zawsze gotowymi do „wzbogacania” sztuki swoimi pomysłami¹⁸. Z biegiem lat i w miarę zdobywania dramaturgicznego doświadczenia zmienił autorską strategię, konkretyzując swoją wizję sceniczną w didaskaliach, obejmujących stopniowo pełny kształt spektaklu (wszystkie znaki teatralne).

W *Pieszko* Mroźek częściowo wraca do swego teatru marionetek, a nawet do konwencji szopki – szczególnie w pierwszych scenach, w których pojawiają się kolejne pary postaci: Ojciec i Syn, Superiusz i Pani, Baba i Dziewczyna. Później zjawia się jeszcze jedna dwójka, Porucznik Zieliński i Drab. Ostatnie dwie postacie, Grajek i Nauczyciel, funkcjonują oddzielnie. Sztuka rozbrzmiewa echemi *Wesela* Wyspiańskiego (od czasu do czasu pada dosłowny cytat), sztuk Witkacego (który zresztą sam występuje na scenie pod postacią Superiusza), a także Różewicza. Słychać tu także Fredrowski ośmiogłoskowiec, czasem w dialogach dzielony na pół, niczym w *Zemście*.

¹⁴ Sławomir Mroźek, *List na temat „Rzeźni”*. „Dialog”, 1973, nr 9.

¹⁵ Sławomir Mroźek, *Małe listy*. Kraków 1982, s. 186.

¹⁶ Sławomir Mroźek, *Amor*. Kraków 1979, s. 142.

¹⁷ Pt. *Film (Małe listy)*, s. 111-114).

¹⁸ Por. *Uwagi o ewentualnej inscenizacji*, otwierające Policję.

Piesz należy bez wątpienia do „sztuk dobrze skrojonych” – wprost po mistrzowsku. Instynkt teatralny nie zawodzi tu ani na chwilę autora, który swobodnie łączy najrozmaitsze konwencje, kontrastując np. naturalistyczną drastyczność niektórych scen z onirycznością czy neutralizując ostre wulgaryzmy rytmicznością i eufonią. Nader swobodnie czerpie przy tym inspiracje z różnych źródeł, przywołując choćby skojarzenia z pamiętnymi scenami ze światowej klasyki filmowej¹⁹.

Ta demonstracja mistrzostwa warsztatowego w *Piesz* zdaje się mieć szczególne uzasadnienie, którego możemy się domyślić analizując uważniej relację Superiusza (Witkacego) i Syna (trzeba dodać, że Jan Błoński widział w postaci Syna autoportret Sławomira Mrożka z tamtego czasu). Gdy Witkacy popełnił samobójstwo, Mrozek miał lat zaledwie dziewięć – za mało, żeby mógł uświadomić sobie wagę tego wydarzenia i przeczuć własne powołanie. W sztuce samobójstwo Witkacego zostaje przesunięte o kilka lat – następuje w ostatni dzień wojny, czy raczej noc go poprzedzającą. Syn-Mrozek ma już lat piętnaście i w pełni rozumie wymowę ostatniego spojrzenia Superiusza-Witkacego. Czy *Piesz* nie jest egzaminem mistrzowskim, zdawanym po upływie kilku dziesięcioleci przed duchem twórcy teorii Czystej Formy w teatrze?

Faktem jest, że najgłośniejsze sztuki Sławomira Mrożka z lat 80. i 90. wykazują wysoki stopień komplikacji formalnych. Tak jest np. w *Portrecie*, który autor musiał poprzedzić *Uwagami o chronologii*, z powodu przeskoków czasowych w akcji. Jeszcze wyższy stopień komplikacji zawiera *Miłość na Krymie*, wielka *summa* dramaturgii Mrożka, rozpięta między Szekspirem a Czechowem. Przede wszystkim autor domaga się w niej dużej przestrzeni, której w swoim teatrze dotąd nie potrzebował. W obszernych, kilkunastuaktowych didaskaliach, otwierających akt I a zatytułowanych *ARCHITEKTURA I URZĄDZENIE SCENY*, czytamy: „Im większa scena, im więcej przestrzeni, tym lepiej dla tej specyficznej sztuki. Ściśnięcie jej, stłoczenie, nie wyjdzie jej »na zdrowie«”.²⁰ Tak więc w ostatniej sztuce Mrozek opuszcza swój teatr kameralny i wchodzi na scenę teatru monumentalnego, budując na niej ogromne dekoracje i zaludniając prawdziwym tłumem postaci (w sumie dwudziestu), wśród których nie zabrakło nawet Katarzyny Wielkiej i Włodzimierza Lenina. Akcja obejmuje przeszło 80 lat, od roku 1910 do początku lat 90., ale niektórzy bohaterowie się nie starzejają.

Autorska wizja sceniczna została tu zapisana w najdrobniejszych szczegółach w nader rozbudowanych didaskaliach. Każdy z trzech aktów został poprzedzony opisem architektury i urządzenia sceny, a ponadto uwagami objaśniającymi akcję. Chciałoby się powiedzieć, że margines inwencji reżysera i scenografa został w nich dokładnie wymierzony. Mrozek znów, jak w swojej pierwszej sztuce – *Policji*, przestrzega realizatorów sztuki:

„Gdy o komizmie mowa, apel do inscenizatorów i aktorów: z komizmem proszę ostrożnie. Powtarzam, w pewnych sytuacjach jest on pożądany, w innych dozwolony, w jeszcze innych ani jedno, ani drugie. Nie wolno go stosować mechanicznie i monotonicznie”.²¹

¹⁹ Por. np. scenę 3 z siedzącą na środku postacią żołnierza, odwróconą tyłem do widza, z początkową sceną *Siódmej pieczęci* (Ingmar Bergman, *Scenariusze*, Warszawa 1977, s. 100. *Siódmą pieczęć* tłum. Kazimierz Młynarz).

²⁰ Sławomir Mrozek, *Miłość na Krymie*. Warszawa 1994, s. 13.

²¹ Tamże, *Posłowie*, s. 182-183.

Warto przypomnieć analogiczne przestrogi z *Policji*:

„Nie jest to także, broń Boże, komedia, w tym sensie, że nie wolno przeakcentować w niej dowcipów. O ile sztuka zawiera jakieś dowcipy, to są one tego rodzaju, że trzeba je mówić bez zapowiadania: »Uwaga, teraz mówię dowcip«”.²²

Ta obawa, która towarzyszyła, jak widać, całej – przeszło pięćdziesięcioletniej – karierze Mrożka-dramatopisarza warta jest chwili refleksji. Bo właśnie refleksji brakowało niejednokrotnie w naszym czytaniu (i oglądaniu na scenie) Mrożka, zagłuszonym zbyt często wybuchami śmiechu (żeby nie powiedzieć: rechotu) i komentarzami typu: „Ale IM dołożył!”. Zawłaszczanie Mrożka, to wręcz obrażające czasem pisarza powiedzenie: „nasz Mrozek”, zwalniało nas z wysiłku dociekania głębszych sensów i szerszego adresu jego twórczości, obejmującego NAS wszystkich.

Gdy po przeszło trzydziestoletniej emigracji Mrozek wrócił do kraju, usłyszał pytanie, które znakomicie punktuje cytowane tu wcześniej rozważania z listu do Jana Błońskiego na temat słów: „O, przyszedł nasz Mrozek”. Tamte słowa, jak pamiętamy, padały najczęściej w barze, natomiast to pytanie padło na ulicy; Polska w lutym 1997 roku była przecież już w pełni demokratyczna:

„»Panie Mrozek, po coś pan wrócił do tego dziadostwa?!« – zawołał do mnie pan stacjonujący przy ulicy Starowiśnej. Butelkę przechowywał w starej reklamówce, był zmęczony jak wszyscy panowie z jego sfery. Przedstawił jeśli nie ludu, to na pewno nie warstw wyższych, ani nawet średnich. [...]

Używając określenia »dziadostwo«, z pewnością nie miał na myśli siebie samego. Na pewno nie chciał przez to powiedzieć: »Panie Mrozek, po coś pan wrócił do mnie?« Siebie wykluczał z dziadostwa i dystansował się wobec niego. Zwrócił się do mnie jako jednostka wyjątkowa do wyjątkowej jednostki. My dwaj przeciwko dziadostwu. Jedyna nierównowaga między nami polegała na tym, że on nie miał szansy uciec od dziadostwa, a ja taką szansę miałem i dobrowolnie do niego wróciłem. W jego interpelacji była koleżeńska troska, łagodny wyrzut: »No i coś ty zrobił, kolego«. W domyśle: »...wróciłeś chyba tylko do głupoty«. Przedtem ja byłem górą, a teraz on, przynajmniej umyślowo, gdyż aby wrócić – on nigdy taki głupi by nie był”.²³

Nie było wyjścia – „nasz Mrozek”, pod koniec pierwszej dekady nowego stulecia i tysiąclecia, musiał znów uciekać od „tego dziadostwa”. Tym razem do Nicei.

STANISŁAW GĘBALA

PS. 23 marca 2012 roku Sławomir Mrozek otrzymał doktorat *honoris causa* Uniwersytetu Śląskiego. Uroczystość odbyła się (jakżeby inaczej!) w Teatrze im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach. Myślę, że ten tytuł zapewni Mu bezpieczniejszy dystans od menela ze Starowiśnej, który będzie się musiał zwracać teraz do Niego per „Panie doktorze Mrozek” (tytuły w Krakowie – wiadomo – rzecz święta). A owemu obywatelowi da przy okazji do myślenia; pewnie długo będzie się głowił, od jakich chorób jest taki doktor – *honoris causa*. Słowem znów będziemy mieli sytuację, jak z Mrożka...

²² *Utwory sceniczne*, t.1. Kraków 1973, s. 5-6.

²³ Sławomir Mrozek, *Dziennik powrotu*. Warszawa 2000, s. 72-73.

MARIAN STĘPIEŃ

BLASKI I CIENIE STAROŚCI

(O późnych wierszach Czesława Miłosza)

Miłosz i dawniej podejmował temat starości. Czynił to jako czuły obserwator starych ludzi, ich niepewnych ruchów, uwiędłych warg, niezdarnych wysiłków maskowania wędnącego ciała. By ująć się za ich dostojnością (*Stare kobiety*). Pod koniec wieku XX, wkraczając w ósmą dekadę swojego życia zaczyna pisać o starości własnej. Wokół niej będą osnute powstające teraz wiersze – aż do ostatnich szpitalnych zapisków.

Poeta, nieskory do odkrywania swojego prawdziwego oblicza; poeta, którego pisanie było „ochronną strategią zacierania śladów”, a „ekstazyjne pochwały istnienia mogły być tylko ćwiczeniami stylu” (*TO*)¹, który „całe zło XX wieku” zawarł w wierszu, odczytywanym jako pogodny obraz porzucenia wszelkich trosk, osiągnięcia harmonii pogodzenia się z życiem,² pod koniec życia, w ostatnich kilkunastu latach swej twórczości decyduje się uchylić przyłbicy, odsonić się:

Zbliża się pora wyznania
Oto się prawda odśłania
I twoje życie skłamane
Światu ma być pokazane.

(Daemones)

Chyba można – tutaj – bez większego ryzyka popełnienia interpretacyjnej pomyłki dostrzegać w podmiocie późnych wierszy Miłosza samego poetę, który teraz porzuca dotychczasową pośredniość, usuwa hamulce powściągnięte ton osobisty. Mówi o sobie i od siebie. Z rzadka i tylko w bardzo szczególnych przypadkach pojawiać się jeszcze może ironia, autoironia, sarkazm komplikujący sens poetyckiej wypowiedzi.

[...] w późnej starości
Widok się nieco uprościł,

Chciałbyś odprawiać pokutę,
Krok stawiasz, łydki się trzęsą
I trumny boi się mięso.

(Daemones)

Ale i tu pamiętać trzeba, że Miłosz – to charakterystyczne dla niego – coraz się odśłania, to znów ukrywa. Nie prowadził dziennika takiego jak na przykład Maria Dąbrowska czy Zofia Nałkowska, bo nie chciał się odśłaniać.³ Na pytanie, na ile podmiot liryczny w jego utworach można z nim utożsamiać opowiadał: „Jednym z najtrudniejszych zadań dla literaturoznawcy jest znalezienie odpowiedzi na to pytanie”.⁴

¹ W nawiasie po cytatach podaje się tytuł wiersza, z którego cytat pochodzi.

² Por. wiersz *Dar* i komentarz autora do niego w: Czesław Miłosz, *Antologia osobista. Wiersze, poematy, przekłady*. Kraków 1998, s. 60.

³ Zob. *Gdybym prowadził dziennik*. W: *Piesek przydrożny*. Kraków 1997, s. 92.

⁴ Czesław Miłosz, *Rozmowy polskie 1999–2004*, Kraków 2010, s. 256.

Starość jest czasem dokonywania bilansu życia i twórczości. Poeta przystępuje do dokonywania rachunku, podsumowania otwartego i szczerego. Jego wizja świata i ludzkiego w nim losu jest tragiczna. Wobec realnej rzeczywistości ludzkiej rosną wymagania stawiane własnej twórczości. Prowadzą, w obliczu problemów najważniejszych, do surowej samooceny.

Z własnych przewinień przyznaje się poeta przede wszystkim do grzechu pychy. Zawierała się w poczuciu odrębności, odmienności w stosunku do innych ludzi. Był osobny; wszędzie, gdzie było mu dane się znajdować, towarzyszyła mu świadomość, że nie jest „stąd”; przekonanie, że „skądś”, „skądinąd” się pojawił. „Skądś” przybył, maskował się, tonował swoją odrębność. „Gdziekolwiek jestem, na jakimkolwiek miejscu na ziemi, ukrywam przed ludźmi przekonanie, że n i e j e s t e m s t ą d” (*Gdziekolwiek* – podkreślenie Miłosza).

Czuł się powołany, szczególnie obdarzony, wyróżniony nadzwyczajną łaską. Takie myślenie o sobie wzbudzało poczucie dumy, którą od pychy dzieliła bardzo wąska granica. Stąd brało się poczucie grzechu i potrzeba wyznania się z tego, że wydawał się sobie piękny, szlachetny, niezwykle utalentowany. Zapowiedź spowiedzi, którą w istocie jest cała późna twórczość poetycka Miłosza zawiera wiersz *Modlitwa*:

Pod dziewięćdziesiątkę, i jeszcze z nadzieją
Że powiem, wypowiem, wykrztuszę.

Jeżeli nie przed ludźmi, to przed Tobą,
Który mnie karmiłeś miodem i piotunem.

[...]

Uwolnij mnie od win, prawdziwych i urojonych.
Daj pewność, że trzymałem się na Twoją chwałę.

Wyznaniu grzechu pychy, pragnieniu uwolnienia się od niej towarzyszy pamięć niesprawiedliwych ciósów zadanych mu przez kolegów po piórze, co może udaremnia pełną pokorę, ale musi być powiedziane w dokonywanym bilansie życia. Z myślą o tych, którzy kiedyś okrzyknęli go wyrodkiem i zdrajcą, a których nazwiska teraz „mecz porasta”, ostentacyjnie przyznaje się do swojej pychy:

Mieliście sporo racji, moi wrogowie,
Zgadując sobiepańskie urojenia drania:
Zadzierał nosa, wszystkich krytykował,
Zamiast żyć z nami szedł prosto do celu
Tej swojej sławy odgrodzony pychą.

(*Dziewięćdziesięcioletni poeta
podpisuje swoje książki*)

W swoich ostatnich latach Miłosz „zapuszcza się między widoki minionego czasu”, by znaleźć odpo-

wiedź na pytanie, co zrobił ze swoim życiem. Jest ona pesymistyczna:

Razem z moją epoką odchodzę przygotowany
na wyrok,
Który mnie policzy między jej fantomy.

(*Capri*)

Bo jednak, mimo swej pychy, poczucia odrębności, świadomości, że nie jest „stąd”, szedł na kompromis z przyjętymi obyczajami, ulegał absurdalnym konwencjom, utartym zwyczajom życia, chociaż widział ich bezsensowność. W wierszu *Do Allena Ginsberga* przyznaje, że jego życie nie było takie, jakiego by chciał. I gdyby miał i mógł je powtórzyć, nie udawałby, że może być taki jak inni, poświęciłby się tylko jednemu zadaniu: szukałby mądrości. Ale wówczas – ma świadomość niepokonalnej sprzeczności – nie mogłoby być ono wykonane (*Jedna wielka sprzeczność*).

To, z czym zwracał się do Ginsberga, powtórzył wprost w jednej z rozmów: „Nie jestem taki, jaki chciałbym być. Moje życie nie ułożyło się tak, jak bym chciał, żeby się ułożyło – według wysokich zasad moralnych”.⁵

Pod koniec życia oceniał swoją twórczość według wysokich kryteriów, którym ona – jego zdaniem – nie sprostała. Bo wbrew zapewnieniom, składanym obietnicom nie zawierała prawdy. W Archiwum Czesława Miłosza zachował się fragment zatytułowany *Sobowtór*. Podmiot w nim występujący, alter ego poety przyjmującego względem siebie pozycję zewnętrznego obserwatora i sędziego, ów sobowtór Miłosza zarzuca Miłoszowi – poecie, że nie wyraził w swych utworach poetyckich prawdziwego tragizmu swego czasu. Nie wyraził – do końca i bez zahamowań – swoich zwątpień, swej rozpaczki i przeżywanego wstydu: „Gdzie to znajdziesz u Miłosza? Obiecuje prawdę, a pomija tak dużo, że pisząc poezję czy prozę, przypomina kogoś, kto skacze z jednej kry na drugą i udaje, że nie ma czarnej wody pomiędzy nimi”.⁶

To jest owo TO, pisane dużymi literami, które jest tytułem wiersza otwierającego zbiór poezji wydanej w 2000 roku. Ten właśnie tom, zatytułowany *TO* otwiera rozdział poezji Miłosza, w którym zatrzymuje się on na starości własnej.

Czym było, czym jest owo TO, którego poeta nie podejmował się nazwać, a którym otworzył tom poezji rozpoczynający rozrachunek własnej biografii i twórczości w obliczu kończącego się życia? Zaledwie wyobrażenie o tym (a może ono być różne u różnych odbiorców poezji Miłosza) daje wyznanie poety:

Żebyśmy wreszcie powiedzieć mógł, co siedzi
we mnie.

Wykrzyknąć: ludzkie, okłamywałem was
Mówiąc, że tego we mnie nie ma
Kiedy TO jest tam ciągle, we dnie i w nocy.

(*TO*)

Owo TO nie zostaje w wierszu bezpośrednio nazwane. Mówi o nim kilka przybliżeń, które ukazują człowieka w skrajnie tragicznej sytuacji, w „natknięciu się na kamienny mur; i zrozumieniu, że ten mur nie ustąpi żadnym naszym błaganiom”. (*TO*)

Poeta nie podejmuje się tego nazwać. Dochodzi do rezygnacji, „pokornej zgody z samym sobą, niczym więcej”. Przeznaczenia nie da się zmienić. Pozostaje wstyd, że nic ponadto się nie umie. Jest się poetą, czyli

kimś, kto stale myśli o czym innym, którego roztargnienie doprowadza bliskich do rozpaczki, który „być może nie ma nawet ludzkich uczuć”. (*Zgoda*)

W rozmowie dodawał komentarz: „To oznacza kamienny mur, na który natrafiamy w życiu, sprawy, których nie możemy uniknąć. Kamiennosc, bezlitosność świata [...]. W tym wierszu przyznaję się do tego i mówię: ludzie, różne rzeczy pisałem i mówiłem, ale pod spodem zawsze była groza”.⁷

* * *

Starość nie oznacza obojętności na różne uroki życia. Wprawdzie – wobec wysokich wymagań od siebie i w świetle najwyższych i nieosiągalnych celów, z myślą o niespełnionych marzeniach o własnym życiu, nie można o nich, o tych urokach, myśleć bez szczypty ironii. Niemniej owe pokusy, jakich dostarcza zwykłe życie są też jego realnością, a przy tym łączą się z doznawaniem sensualnych przyjemności, co sprzyja zapomnianiu o wzniosłych postawach. Pociąga picie wina w tawernach, można zasmakować w przebywaniu w codziennym zgiełku i wrzawie, a tym bardziej w zapomnieniu się w miłości, jakby śmierć nie mogła nas doścignąć:

I cała twoja mądrość na nic
Choć na szukaniu życia zbiegło,
I nie wiesz teraz, co poradzić
Bo silny trunek, wielkie piękno
I szczęście, które żal zostawił.

(*Poeta siedemdziesięcioletni*)

Poeta miał ponad siedemdziesiąt lat, gdy w 1994 roku opublikował *Nieobjętą ziemię* z wierszami pełnymi wigoru, energii, zmysłowych doznań, przeżywania miłości, która dodawała mu sił twórczych. Jest w tych wierszach zapach kalifornijskiej zimy, ciepło płonącego kominka, smak dobrego alkoholu. Na wieść o śmierci w wieku siedemdziesięciu lat Aleksandra Rymkiewicza poeta zamysła się nad sobą:

Tak więc ja tu, kiedy dobiega końca
Stulecie i moje życie. Dumny z mojej siły,
A zawstydzony jasnością widzenia.

(*Zima*)

Mimo późnego wieku poeta czuje się gotowy „do dalszego biegu”, coraz doskonalej odbiera muzykę, dźwięki, barwy; myśli o „wielkim polowaniu z ogarami na sens niedosięzłego świata”. Motyw polowania, wielkich łowów powtórzy się później, pod sam koniec życia, w myślach o życiu pozagrobowym i wywoła skojarzenie z mitologią amerykańskich Indian, według której człowiek po śmierci znajduje szczęście w Krainie Wielkich Łowów.

O dużej i trwałej, sięgającej późnego wieku żywotności Czesława Miłosza świadczy, że w roku 2000, mając osiemdziesiąt dziewięć lat był w Wiedniu z wykładem, na ślubie wnuczki w Nowym Jorku, na pogrzebie Giedroycia w Paryżu, odbył kilka spotkań w Szwecji, pojechał do Wilna na spotkanie „nobilistów” i do Frankfurtu na Międzynarodowe Targi Książki.⁸

* * *

Twórca, poeta ma ten przywilej, że w starości, gdy myśli o swym odejściu, znajduje pocieszenie, że nie wszystko umiera. Zostaje po nim jego dzieło, księgi za-

⁵ Tamże, s. 128

⁶ Cyt. za: Andrzej Franaszek, *Miłosz. Biografia*. Kraków 2011, s. 691.

⁷ *Rozmowy polskie...*, jw., s.263.

⁸ Informacje te biorę z książki A. Franaszka *Miłosz. Biografia*, jw.

chowujące piękno i mądrość. Nadal w nich żyje. Trwa pamięć o nim. Kiedy Miłosz oddaje się takim rozmyśleniom, ma na uwadze mniej własne dzieło; raczej księgi w ogóle, księgozbiory przechowujące dorobek ludzkiej mądrości i sztuki, przenoszące go ponad i poza śmierć twórców. To co zostało zapisane, przetrwało nawet wojny, kataklizmy, pożary XX wieku.

Non omnis moriar, które przynosi zbliżającemu się do schyłku życia twórcy pocieszenie i poczucie spełnionego życia, w przypadku Miłosza nie ma tej uspokajającej siły, jaką się łączy z Horacjańską maksymą. Nie jest pewny swojej przewagi nad przeciętnymi ludźmi, których spotykał, a którzy nie pozostawili nic po sobie:

Jestem tutaj z pamięcią wielkiego złudzenia
Nie dumny. Niższy od waszego kręgu
Śmiertelnych monad, hołdowników ciała.

(Przewaga)

Pocieszycielska moc Horacjańskiej maksymy zostaje podważona zwątpieniem w tę hierarchię wartości, do której ona się odwoływała, co może mieć związek z czynionymi sobie pod koniec życia wyrzutami; ze świadomością ceny, jaką przychodziło poecie płacić za poetycką wielkość i sławę.

I co mi z tego, że nie cały zginę?
Że pozostawię dzieło, jeżeli rachunek
Niepewny. Nie wiem, może było warto.
Ale naprawdę nie tego ja chciałem.

(Przewaga)

* * *

Jasnymi chwilami starszego wieku są powroty do świata dzieciństwa. To starości jest dana zdolność dokładnego, wyraźnego widzenia świata, w którym spędzało się lata najmłodsze: ówczesnego otoczenia, przedmiotów, ich barwy, zapachu. Imion i nazwisk osób towarzyszących dzieciństwu oraz pamięć własnego samopoczucia i nastroju z tamtego czasu. Jakby powracała chłopięca wrażliwość, teraz dostarczająca staremu człowiekowi chwili szczęśliwości. Obecne w późnej poezji Miłosza powroty do świata dzieciństwa są poszukiwaniem schronienia przed wyrzutami towarzyszącymi rozpamiętywaniu własnej biografii. Można jej bowiem – wobec świata dziecięcej szczęśliwości i niewinności – nadać mniejsze znaczenie, a to przynosi ulgę.

Miłosz odnajduje siebie jako chłopca z łukiem zrobionym z gałęzi leszczyny, z którym się skradał „brzegiem baśni”. W trawach i kwiatach znajomych z dzieciństwa, gdy mógł do nich powrócić (nie tylko w wyobraźni, ale też w realnej rzeczywistości, bo to co wydawało się niemożliwe stało się możliwe w latach jego starości) zapłakał ze szczęścia.

Byłem szczęśliwy z moim łukiem skradając
się brzegiem baśni.
Co stało się ze mną później, zasługuje
na wzruszenie ramion.
I jest tylko biografią, to znaczy zmyśleniem.

(Do leszczyny)

„Dzieciństwo – mówił Miłosz – jest tym obszarem, w którym można szukać oparcia i wzmocnienia. Daje możliwość aprobaty świata”.⁹

Związana ze światem dzieciństwa postać matki jest znakiem ładu, harmonii, ukojenia niepokojów. Tylko ona umiałaby uciszyć wyrzuty sumienia, uspokoić

nękaną przez nie świadomość. Przynieść rozgrzeszającą, usprawiedliwiającą wszystko wytłumaczenie. Tylko ona potrafiłaby uspokoić poetę, przekonać go, że niepotrzebnie się dręczy; zrobił tyle w życiu, ile mógł. I zamknąłby się bilans życia. Ale kojące wspomnienie matki również budzi poczucie winy:

Matki nasze, którym nie odpłaciliśmy nigdy,
Zajęci żeglowaniem, wędrówką przez
kontynenty,
Winni i wyglądający przebaczenia.

(Stare kobiety)

Odwrotnością pojawiającego się w starości niepokoju, poczucia winy, niespełnienia, pamięci o nagannych zaniedbaniach, o krzywdach, nie tyle doznanych, ile przede wszystkim wyrządzonych, jest stan niezwyklej szczęśliwości, której wyobrażenie przynosi zapis *Obudzony*.

„W głębokiej starości, z pogarszającym się zdrowiem, obudziłem się w środku nocy i wtedy tego doznałem. Było to uczucie szczęścia tak olbrzymiego i doskonałego, że w życiu minionym istniały tylko jego zadatki. I to szczęście nie miało żadnych powodów. Nie usuwało świadomości i nie zniknęła przeszłość, którą w sobie nosiłem razem z moją zgrzyotą. Teraz nagle została włączona jako potrzebna część całości. Jakby jakiś głos mówił: »Nie martw się, wszystko odbyło się tak, jak być musiało, zrobiłeś, co tobie było wyznaczone i nie musisz już myśleć o rzeczach dawnych«. Spokój, który czułem, był spokojem zamknięcia rachunków i łączył się z myślą o śmierci. Szczęście po tej stronie było niby zapowiedź tego samego po drugiej stronie. Zdawałem sobie sprawę, że otrzymuję dar nieoczekiwany i nie mogłem pojąć, dlaczego spadła na mnie ta łaska”.¹⁰

Ten „dar nieoczekiwany”, o którym mowa w *Obudzonym* wywołuje już samym tym słowem skojarzenie z wierszem *Dar* ze zbioru *Gdzie słońce wschodzi i kędy zapada*. Jest bowiem *Obudzony*, podobnie jak tamten wiersz, pośrednim świadectwem cierpienia. Jest świadectwem tego, czego najbardziej poecie brakuje. Wiersz *Dar* pozornie świadczył o osiągniętej harmonii, pogodzeniu się z życiem, oderwaniu od wszelkich trosk, naprawdę ukazywał „całe zło XX wieku, tylko nie powiedziane, jakby ukryte za liniami”.¹¹

* * *

W ostatnich tomach poetyckich kieruje się Miłosz w stronę „drugiej przestrzeni”. *Druga przestrzeń* to tytuł, jaki nadał tomowi poezji wydanemu na dwa lata przed śmiercią, w 2002 roku. Zwracał się w nim ku transcendentnej, ku sprawom metafizycznym, ku niepokojącym zagadkom bytu, ku Bogu. Z uczuciem wdzięczności, z pokorą, ale również z trudnymi pytaniami. I ze swoim wahaniem między wiarą a zwątpieniem.

Kapłan z cyklu *Ksiądz Seweryn* utracił wiarę. Spełnia swe obowiązki, nie pozbywa się liturgicznych szat ze względu na swych podopiecznych, wiernych, którzy przychodzą do świątyni powodowani strachem przed śmiercią i bezradnością wobec problemów życia. Kapłan modli się codziennie o łaskę zrozumienia, bo chociaż w nią wątpi, widzi nieodzowność religii, której nie ma czym zastąpić. Nie ujawnia stanu swego umysłu z litością dla ludzi, z miłosierdzia, petycją dla nich współczucia. Podobnie jak Miłosz, który wyznał, że jest większym

⁹ *Rozmowy polskie...*, jw., s. 340.

¹⁰ Czesław Miłosz, *Wiersze*. Tom 5. Kraków 2009, s. 112.

¹¹ *Antologia osobista*, jw.

pesymistą niż pozwala to sobie wypowiedzieć, co ujął w wierszu *Jeżeli nie ma*, którego wnioski są polemiką z tą wizją świata bez Boga, jaką przedstawiał Dostojewski:

Jeżeli Boga nie ma,
To nie wszystko człowiekowi wolno.
Jest stróżem brata swego
I nie wolno mu brata swego zasmucać,
Opowiadając, że Boga nie ma.

Wiersze z *Drugiej przestrzeni* wypełnione są rozterkami, konfliktem między rozumem a wiarą. Poeta czuje obecność Boga. Dla niego to więcej znaczy niż racjonalny argument podważający wiarę w Jego istnienie. Ale nie może uwierzyć, że stworzył On świat tak bezlitosny, okrutny, obcy, nieprzyjazny ludziom. Myśl Miłosza nie może pogodzić się z biblijną wizją stworzenia świata:

Nie potrafię uwierzyć, że Ty tego chciałeś.
To musiała być jakaś przed-kosmiczna

katastrofa,

Zwycięstwo inercji niż Twoja wola.

(*Jak mogłeś*)

O trudnościach zachowania wiary, o lamencie z powodu jej utracenia, a więc utracenia „drugiej przestrzeni”, z którą wiązało się rajske ogrody, „niebiańskie pokoje”, zbawienie, życie pośmiertne w raju traktuje wiersz *Druga przestrzeń*. Bezpośrednio o sobie dodawał: „Mogę powiedzieć tyle, że w połowie jestem ateistą, w połowie człowiekiem wierzącym”.¹²

Do polskiego parafialnego katolicyzmu i jego praktyk; do przedstawicieli Kościoła pozbawionych szerszych horyzontów, nie podejmujących rzeczywistych dylematów przeżywanych przez ludzi, powtarzających infantylne opowiastki, adresuje poeta słowa: „Nie wystarczy szczebiot o słodkim dzieciątku Jezus na sianku”. (*Przepraszam*)

Niepokoje sumienia, doznawanie uczucia wdzięczności i świadomość popełnienia ciężkiego grzechu pychy, niepewność czy się sprostano otrzymanym darom, poczucie winy za spowodowane cierpienia i za zaniechania, w których świetle rozrachunek z własną biografią nie kończył się bilansem dodatnim („Czuł mocno swoje życie razem z jego winą / I bał się spotkać tych, którym wyrządził zło” – *Orfeusz i Eurydyka*), zwątpienie w dogmaty wiary stawiające opór rozumowi nie skłonnemu do rezygnacji z własnych uprawnień – to wszystko kierowało myśl poety do Boga i prowadziło do powstania trzeciego traktatu – po moralnym i poetyckim – *Traktatu teologicznego*.

Potrzebuję Boga, żeby mi przebaczył
Potrzebuję Boga miłosiernego.

(*Jak mogłem*)

Od dłuższego czasu Miłosz nosił się z zamiarem napisania takiego traktatu. „Od bardzo dawna – mówił – myślałem, że kiedyś uda mi się napisać trzeci traktat. Myślę, że w starości mi się udało stworzyć ten trzeci traktat, który jest bardzo inny niż tamte, ponieważ tamte pisane były wierszem metrycznym, ten nie – ale symetria nie musi być posunięta tak daleko”.¹³

W wierszu *Poeta, którego ochrzczono* opowiada Miłosz, jak wjeżdżając na obwodnicę, skąd jedno pasmo prowadziło do San Francisco, drugie do Sacramento, pomyślał, że musi kiedyś napisać traktat teologiczny dla odkupienia grzechu samolubnej pychy. Widział

w tym przywilej człowieka starego, zbliżającego się do schyłku życia. Podejmował się jego napisania nie ze strachu przed śmiercią. Miał on być formą dziękczynienia. U genezy *Traktatu teologicznego* jest uczucie wdzięczności, zawsze obecne w myślach poety, autora *Zdań*, wśród których znajduje się ważny dla zrozumienia postawy Miłosza aforyzm: „Czuł wdzięczność, więc nie mógłby w Boga nie wierzyć”.

Miłosz w wieku dojrzałym, „nieprędko, bo dopiero pod dziewięćdziesiątkę” dostrzegł potrzebę odzyskania „drugiej przestrzeni” wraz z Niebem, Piekłem, pojęciem grzechu. Pisze *Traktat teologiczny* w poszukiwaniu absolutnego punktu odniesienia, w przekonaniu, że jest on warunkiem powrotu do mowy rzeczywistego sensu, wobec którego „oddalają się wcześniejsze żywoty razem z ich udręką”. (*Późna dojrzałość*)

Wbrew temu, czego – jak o tym świadczą pierwsze recenzje *Drugiej przestrzeni* – oczekiwano i spodziewano się po *Traktacie teologicznym*, nie jest on pokornym, u schyłku życia, powrotem do Boga, nawróceniem się na wiarę katolicką. Więcej w *Traktacie* wątpliwości i potrzeby ich wyrażenia, niż gotowości bezkrytycznego pogodzenia się z Bogiem. Więcej otwartego mówienia o tym, czego się nie rozumie, niż oglądania się na religijną ortodoksję. Mniej tłumienia zwątpień, niż dokonywania do aktu wiary. Poeta pisze o sprawach, których nie rozumie i nie jest w stanie pojąć.

Dotyczy to tajemnicy Trójcy Świętej, Grzechu Pierworodnego, a także Odkupienia. Są to – jak pisze – dogmaty „opancerzone przeciw rozumowi”. Trudno mu uwierzyć, że wolna decyzja Adama sprowadziła śmierć na ludzi i zwierzęta. Nie umiał odsunąć wątpliwości co do zmartwychwstania ciał. Do *Orfeusza i Eurydyki* wprowadził słowa: „Nie umiejący płakać, płakał nad utratą // Ludzkich nadziei na z martwych powstanie”. Powrócił do tego w jednym z wywiadów: „To na pewno jedno z najbardziej tajemniczych miejsc chrześcijańskiego credo. Współczesny człowiek ma z tym credo ciągły kłopot. Staratem się, pisząc o tych sprawach, odtworzyć sytuację ludzi dzisiaj żyjących, która nie jest prosta. Niełatwo powiedzieć, że ktoś ma wiarę, a ktoś jej nie ma. Ilu dzisiaj ludzi waha się pomiędzy jednym a drugim, nie bardzo chcąc się wobec samego siebie przyznać”.¹⁴

Apeluje o zrozumienie dla ludzi małej wiary. Przyznaje się do swoich wahań. Sam jednego dnia wierzy, drugiego nie wierzy. „Wiedział, że musi wierzyć i nie umiał wierzyć”. (*Orfeusz i Eurydyka*). Ale przyznaje się, że mimo dystansu do bezkrytycznej wiary rozmodlonego tłumu, dobrze się czuje razem z nim w świątyni.

W dociekaniach początku świata dochodzi do pytania, na które nie znajduje odpowiedzi: kiedy w Królestwie Bożym dokonał się rozłam na dobro i zło? Nie jest w stanie pogodzić się z istnieniem ludzkiego cierpienia, tortur, konania długimi tygodniami, miesiącami, a bywa, że i latami. Istnienie ludzkiego cierpienia prowadzi Miłosza do zwątpienia w dobroć Boga, albo w Jego wszechmocność:

I godzimy się z takim porządkiem rzeczy?
Ale jak można godzić się na potworność?

Przywoity człowiek nie może

Wierzyć, że dobry Bóg chciał takiego świata.

(*Ogród ziemskich rozkoszy. Ziemia*)

¹² *Rozmowy polskie...*, jw., s. 435.

¹³ Tamże, s. 371.

¹⁴ *Brama do Hadesu*. Z Czesławem Miłoszem rozmawia Tomasz Fijałkowski. „Gazeta Wyborcza” 4-5 X 2003.

O sobie powie: „Mam bardzo silne poczucie istnienia zła i z tego powodu nie jestem ortodoksyjny. Ciągłe jest we mnie świadomość dwoistości”.¹⁵

Miłosza nie odstępowało pytanie, skąd wzięło się zło? Zajmuje ono dużo miejsca w *Traktacie teologicznym*, a także w innych wierszach, również w poetycko-filozoficznej polemice z Tadeuszem Różewiczem, który na pytanie *Unde malum?* odpowiadał w cyklu *Recykling*:

Skąd się bierze zło?
jak to skąd
z człowieka
zawsze z człowieka
i tylko z człowieka¹⁶

Miłosz nie zgadzał się z poglądem Różewicza. Jego zdaniem z człowiekiem łączy się świadomość zła, ale nie jego istnienie. Nie uświadamiane zło obecne jest w całym świecie przyrody. Odpowiadał:

Niestety panie Tadeuszu
dobra natura i zły człowiek
to romantyczny wynalazek
gdyby tak było
można by wytrzymać
ukazuje pan w ten sposób głębię
swego optymizmu

(*Unde malum*)

Problem zła, jego pochodzenia, jego miejsca i mocy w świecie ludzkim i w przyrodzie jest jedną z najważniejszych kwestii roztrząsanych przez poetę w ostatnich latach życia.

Jeżeli Bóg jest wszechmocny, może na to pozwolić,
Tylko jeśli założymy, że dobry nie jest.

(*Traktat teologiczny. 9. Nic z frywolności*)

I w nieco innym, swobodniejszym stylu, z odcieniem sarkastycznej ironii, o obecności zła panującego w przyrodzie i o ułatwionym tłumaczeniu jego pochodzenia:

Natura pożerająca, natura pożerana,
Dzień i noc czynna rzeźnia dymiąca od krwi.
I kto ją stworzył? Czyżby dobry bozia?

(*Do Pani Profesor w obronie honoru kota i nie tylko*)

Miłosz spierał się o to z amerykańskimi poetami, którzy w swym przychylnym stosunku do przyrody przypisywali jej wieczny ład, a w obcowaniu z nią doznawali religijnego, panteistycznego przeżycia. Miłosz niemniej wrażliwy na zjawiska przyrody nie odsuwał świadomości „bezlitosnej siły, która kryje się za cudem istnienia żywych stworzeń”.¹⁷ Widział panujące w przyrodzie „diabelskie zaiste urządzenie walki o byt, która rządzi prawo przeżywania najsilniejszych czy najlepiej przystosowanych”.¹⁸

Skoro istnieje zło przy boskiej wszechogarniającej miłości, to na czym polegają granice Bożej potęgi? Czym ograniczona jest wszechmocność miłosiernego Boga? Trudno Miłoszowi przyjąć wytłumaczenie istnienia zła i śmierci przez powołanie się na dogmat Grzechu Pierworodnego; to jeden z tych dogmatów, które stawiają szczególny opór rozumowi.

Gdy myśli o obecności zła w przyrodzie i wśród ludzi, którzy z jego istnieniem się godzą przyjmując je za

element naturalnego porządku świata, poeta dochodzi do wniosku zawierającego protest przeciw takiemu myśleniu:

Ktokolwiek uważa za normalny porządek rzeczy,
W którym silni triumfują, stabi giną, a życie
kończy się śmiercią,
Godzi się na diabelskie panowanie.

(*Traktat teologiczny. 14. Coś się narodził*)

Zło, jego obecność dostrzega Miłosz także w sobie. Dopuszcza więc, że piekło jest i jemu sądzone. Byłoby to piekło artystów stawiających doskonałość dzieła nad obowiązki małżonków, ojców, braci, współobywateli. Takie wyobrażenie piekła odzwierciedla treści prowadzonych przez poetę rozrachunków z własnym życiem. Miłosz na stare lata jest bardziej niż kiedykolwiek świadom tego grzechu. W tę świadomość wyposaża Orfeusza, gdy udaje się on do Eurydyki znajdującej się w szpitalnych prosektorium:

[...]Liryczni poeci
Mają zwykle, jak wiedział, zimne serca.
To niemal warunek. Doskonałość sztuki
Otrzymuje się w zamian za takie kalestwo.

To przede wszystkim doświadczenia drugiej wojny światowej w ich różnorodnych, okrutnych przejawach prowadzą myśl Miłosza ku manicheizmowi. Podobnie jak Stanisława Ossowskiego, który właśnie w środku wojny, w okupowanej Warszawie, w roku 1943, w roku powstania w getcie przeżywał „nastroje manichejskie”.¹⁹ Jak Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, którego daremnie arcybiskup Życkiński usiłował odciągać od manicheizmu. Autor *Innego świata* wyznawał: „Ja wierzę w istnienie zła w sposób manichejski. Uważam, że zło istnieje, a nie jest jedynie produktem nieobecności dobra, jak twierdził święty Augustyn [...]. Zło jest immanentne. Po prostu istnieje w świecie”.²⁰

W artykule *Objętość katolicyzmu* przypominał Miłosz poglądy Mariana Zdziechowskiego, który „nie umiał pogodzić świata jako absurdałnego, niezawinionego cierpienia wszystkich istot żywych z obrazem dobrotliwego Ojca”.²¹ O sobie zaś powiedział: „Moje instynkty są bardzo manichejskie, niewątpliwie”.²²

W wizji rozwijanej przez Miłosza wysoko nad ziemią obojętności jaśniej imię Boga, a cała ziemia jest w mocy śmierci, której panem jest diabeł, zwany Księciem Tego Świata. Jego władza jest potężna, a władztwo Boga ogranicza się do poszczególnych przypadków. To nie umniejsza uznania i uwielbienia Boga, wiary w niego, w jego istnienie, z takim wszakże komentarzem:

Wymawiam Twoje imię i wiem, że jesteś
bezbronny,
Ponieważ potęgą należy do Księcia tego
świata.

(*Sanctificetur*)

W dialogu *Metafizyczna pauza czyli pytania i odpowiedzi* jest taki fragment:

„Pytanie: Czy Ziemią zarządza diabeł?

Odpowiedź: Simone Weil powiada, że Bóg oddał wszystko bez wyjątku we władzę matematycznej ko-

¹⁵ *Rozmowy polskie...*, jw., s. 265.

¹⁶ Tadeusz Różewicz, *Zawsze fragment. Recykling*. Wrocław 1998, s. 117.

¹⁷ Zob. *List do Denise*, w: Czesław Miłosz, *O podróży w czasie*. Wybór, opracowanie i wstęp Joanna Gromek. Kraków 2010, s. 184.

¹⁸ Tamże, s. 80.

¹⁹ Zob. Stanisław Ossowski, *Z nastrojów manichejskich*. „Przegląd Kulturalny” 1959, nr 1.

²⁰ Gustaw Herling-Grudziński, Włodzimierz Bolecki, *Rozmowy w Neapolu*. Rozmowy przeprowadził i przygotował do druku Włodzimierz Bolecki. Warszawa 2000, s. 80.

²¹ *Podróże w czasie...*, jw., s. 84.

²² *Rozmowy polskie...*, jw., s. 628.

nieczności, a to jest domena, która należy do Księcia Tego Świata.

Pytanie: Co to znaczy?

Odpowiedź: Znaczą bezlitosność.²³

* * *

Dajmonion zniewalający poetę do ujmowania w słowa wszystkich poruszeń myśli i dokonywanych obserwacji nie opuszcza Miłosza również w dobie starzenia się, wędnięcia i zbliżania się do progu śmierci. Późne i najpóźniejsze jego wiersze są rezultatem autoanalizy biologicznej, obserwacji własnego ciała i zmian w nim zachodzących. Nie po to, by się uskarżać na dolegliwości. „Od ponad trzydziestu lat Miłosz ze starości robił temat (i to na ileż sposobów!), dawał sprawozdanie z powolnego zamykania się zmysłów, ale nie przyszło mu do głowy, żeby żebrać u czytelnika z tego powodu o litość” – zauważa jego sekretarka.²⁴

Właściwością późnej twórczości Miłosza jest obecność motywów wziętych z obserwowania własnego organizmu. Miniona pycha sprawnego ciała kontrastuje z nadchodzącą starczą ułomnością.

Starość oblepia nogi jak gęsta mgła,
Umysł broni się, ale to znaczy świadomość.

(Texas)

Miłosza – obserwatora człowieka interesuje pojawienie się i rozwój konfliktu umysłu z ciałem. Poezja Miłosza poświęcona starości jest „rozmową” między nimi, zmaganiem się jednego z drugim i nieuchronne godzenie się z nieustępliwością tego drugiego. Dochodzi także do satyrycznego spojrzenia na własne ciało, pojawienia się humoru, pewnego rozbawienia śmiesznością nieudolności własnego ciała, które przewraca się na równej drodze, nie chce wejść na schody powłóczącymi nogami, bo mięśnie już sflaczały, a wszelkie wyobrażenie o sobie zostaje poniżone spojrzeniem w lustro, widokiem utraty włosów i zębów.

Ja też lubiłem kiedyś patrzeć w lustro.

Aż sam przekonałem się, co znaczy odchodzić
»Drogą wszelkiego ciała«. I na nic protest.

Starzy ludzie już wiedzą, dlaczego cichną.²⁵

Miłosz obserwuje i opisuje jeszcze jedno ważne ludzkie doświadczenie, którego jest świadkiem i obiektem. Odnotowuje jak ciało i umysł przestają być jednością. Między umysłem a ciałem zarysowuje się rozdźwięk, dysharmonia. Poeta rejestruje objawy nieposłuszeństwa ciała względem umysłu, co dawniej nie występowało, a od pewnego czasu się pojawia i nasila.

Duch, umysł jest lotny, przed procesem starzenia się ocala go „wieczne i boskie zdziwienie”. Ciało w dzień podpira się laską; w śnie odbywa dalekie podróże i doznaje piękna świata.

Miłosz obserwował i opisywał, co się z nim dzieje do ostatnich dni. Pobytu w szpitalu, sny wolne od trosk, lęków, wyrzutów. Szukał w nich odpowiedzi na stawiane często pytanie „jak to jest z przekroczeniem ostatniego progu” (*Sala*).

W szpitalu nauczył się pokory. Zobaczył, że ludzkie organy: mięśnie, serca, narządy rodne, kości, czaszki są uniwersalne, jednakowe u wszystkich ludzi (*Głos*).

Do ostatnich dni zapisywał swoje życie. Dopóki starczyło słabnących sił, robił to sam, gdy już ich brakło – dyktował słowa swej sekretarce. Informował, jak zmienia się nasza świadomość w procesie umierania. Ciało staje się od nas niezależne. „Odbywają się podróże długie i w gorączce uciążliwe przez fantastyczne kontynenty, z których powrót wymaga niejakiego zamyślenia i czasu”.²⁶ Ten świat nie jest koherentny, a bytom w nim przypomnianym i wyobrażonym towarzyszy wielkie współczucie.

W miarę tracenia władzy umysłu nad ciałem dochodzi do rezygnacji z ambicji motorycznych, co nawet przynosi ulgę, bo oznacza rezygnację z walki z ciałem. To jednak demoralizuje, prowadzi do degeneracji woli człowieka. Pozostaje bezwład ciała przy jasności myślenia: „Piekielna kombinacja wymyślona chyba po to, żeby upokorzyć człowieka, bo upokorzenia są liczne”.²⁷

Do profesora Andrzeja Szczeklika mówi: „Trzeba koniecznie napisać nową książkę o umieraniu i o śmierci”. Po czterech dniach nieprzytomności zapamiętał coś, o czym opowiedział słowami, które Szczekliak tak scharakteryzował: „Wysłuchałem wielu opowiadań chorych reanimowanych ze śmierci klinicznej czy wychodzących ze śpiączki – i zawsze odnosiłem się do nich nadzwyczaj sceptycznie. Tym razem miałem wrażenie, że słyszę prawdziwą historię od kogoś obdarzonego fenomenalną pamięcią. Historię o tym, jak może być za brzegiem”.²⁸

Miłosz rozmyślał o życiu pozagrobowym, o własnym życiu po śmierci. „Jak daleko sięgam pamięcią – pisał – zawsze chciałem być w niebie” (*Niebo*), ale dopuszczał również myśl, że po śmierci nic nie ma. Uważał, że w takich chwilach przemawia do niego głos Nicości; wyobrażał sobie pokolenia idące pod ziemię razem ze swoimi złudzeniami. Buntował się przeciwko temu głosowi. Poparcie dla swego buntu znajdował w ludzkich dziełach, tworzeniu, odkryciach, wynalazkach. One wszystkie zrodziły się z buntu. Myśl o własnej twórczości jako owocu buntu kończy komentarzem: „Chyba jedyną winą autora jest wkraczanie na teren, gdzie roi się od pytań i jest niewiele odpowiedzi” (*Komentarz do wiersza »Niebo«*).

Gdy myślał o życiu pozagrobowym, przypominał sobie Williama Blake’a, który umierając w wieku osiemdziesięciu lat śpiewał triumfalne hymny, bo wiedział, że przenosi się do „krajiny wiecznych intelektualnych łowów, pogoni za nieustannie odnawiającym się sensem rzeczy” (*Niebiańskie*).

Poeta też by chciał wierzyć, że trafi do przestrzeni, gdzie będzie mógł dalej robić to, co zaczął na ziemi. Że trafi, jak Blake do Krainy Wiecznych Intelektualnych Łowów.

A co do ciała?

Niedługo skończy się cała parada,,
Co za różnica, wypada nie wypada.
Jak będą mnie u – i roz – bierali
Jakich dowiedzą się bio – detali
Nieżywemu niedźwiedziowi co do tego
Jak fotografować będą wypchanego.

(Po osiemdziesiątce)

MARIAN STĘPIEŃ

²³ Czesław Miłosz, *Metafizyczna pauza*. Wybór, opracowanie i wstęp Joanna Gromek. Kraków 1991, s. 92.

²⁴ Agnieszka Kosińska, *Rozmowy o Miłoszu*. Warszawa 2010.

²⁵ *Też lubiłem*, w: *Pieśń przydrożny*. Kraków 1997, s. 16.

²⁶ Za: A. Franaszek *Biografia...*, jw., s. 749.

²⁷ Tamże, s. 750.

²⁸ Tamże.

BOLESŁAW FARON

„KOWADŁO” DLA JULIANA KAWALCA

Wielce Szanowny Laureacie Honorowej Nagrody „Kowadła”, jaką Stowarzyszenie „Kuźnica” przyznaje wybitnym Polakom za ich zasługi, a zwłaszcza za niezależność myśli.

Drogi nam wszystkim Julianie!

Pozwólcie Państwo, że w tym wystąpieniu wykręcę nieco poza ramy poetyki laudacji i zawrę w nim parę zdań czysto literaturoznawczych¹. Mamy bowiem dzisiaj do czynienia z człowiekiem niezwykle zastępowym dla polskiej kultury, wieloletnim redaktorem, a przede wszystkim ze znakomitym pisarzem, autorem wielu tomów prozy, poezji, sztuk teatralnych, twórczości publicystycznej. Dorobku zakwalifikowanego przez krytyków do tzw. nurtu chłopskiego, twórczości wiejskiej, pisarstwa o ludzie. Krytycy literatury bardzo wysoko umieścili tę twórczość, a mianowicie obok Wiesława Myśliwskiego (w tym roku ukończył 80 lat), Tadeusza Nowaka (już nie żyje) i na dalszym planie Mariana Pilota (76 lat) czy Edwarda Redlińskiego (72 lata).

Z okazji 95 rocznicy urodzin, w jesieni ub. roku Julian Kawalec w wywiadzie, jakiego udzielił Leszkowi Konarskiemu w „Przeglądzie” (2011, nr 41), powiedział o swoich kolegach: „wszyscy już jesteśmy matuzalemami, literackimi dinozaurami. [...] Koniec pisarzy nurtu chłopskiego. Zabraknie świadków tamtych czasów, nie będzie też wsi. Wyszchnie źródło, z którego czerpaliśmy tematy. Jesteśmy chyba jednym z ostatnich krajów w Europie, w którym są pisarze zajmujący się problemami wiejskimi”. To bardzo smutne, to bardzo pesymistyczne stwierdzenie ale czy nie jest prawdziwe? „Tymczasem ja – powiada dalej – od dziecka wychowywany byłem w kulcie pracy na roli, która dawała chleb. Ten chleb był dla mnie zawsze symbolem chłopskiego trudu i mojej miłości do matki Ziemi”.

Pod koniec wywiadu powiada jednak:

„Trudno, cywilizacji nie powstrzymamy i do wszystkiego musimy się przyzwyczaić. Będzie *Ranczo* z Wilkowskimi zamiast Siedlikowa (miejsce urodzenia Pilota) i Wrzawy (Kawalca). Tematyka wiejska nie zaniknie. Każdy średnio zdolny pisarz potrafi napisać powieść z akcją rozgrywającą się na wsi. Tej literaturze zabraknie tylko autentyczności”.

Pierwszy tomik poetycki autor *Tańczącego Jastrzębia* pt. *Kochany smutek* wydał w 1992 roku w Krakowie ze wstępem Józefa Barana. Tekst swój zatytułował on *Słowo na powitanie poety*. Rozpoczyna od stwierdzenia, że przeobrażanie się poetów w prozaików jest zjawiskiem dość naturalnym. Przykładów na to znaj-

dziemy w literaturze sporo; dość wspomnieć Zofię Nałkowską, autorkę wielu tomów prozy, która debiutowała pod koniec XIX wieku wierszem *Pamiętam* i drukowała kilkanaście tego typu utworów w ówczesnej prasie. zjawisko odwrotne – jak stwierdza krakowski pisarz – należy raczej do rzadkości.

W trakcie lektury kolejnych tomów poezji Kawalca, a mianowicie *Te dni moje*, wydrukowane w 1994 roku, *Dom* z 1996 oraz *Wiersze zebrane* (2006), zadawałem sobie pytanie, czy rzeczywiście w latach dziewięćdziesiątych umarł prozaik a narodził się poeta – Julian Kawalec? Odpowiedź na to pytanie, wbrew pozorom, nie jest całkiem prosta.

Zanim w 1992 roku pojawił się debiutancki tomik poezji, Julian Kawalec był już autorem (jeżeli moja półka z jego książkami jest kompletna) ośmiu tomów opowiadań (nie licząc *Opowiadań wybranych*), jedenastu powieści, reportaży i paru sztuk scenicznych (napisanych we współpracy z Ryszardem Smożewskim). Dorobek – jak widać – pokaźny. O ówczesnej randze i pozycji pisarza decydowała zatem proza narracyjna z najgłośniejszymi utworami, jak *Ziemi przypisany* (1962), *Tańczący jastrząb* (1964), *Przepłyniesz rzekę* (1973) czy – ostatni przed poezjami tom opowiadań – *Gitara z rajskiej czereśni* (1990). Od pierwszych tomów Kawalec został życzliwie przyjęty przez krytykę literacką. Wśród wybitnych współczesnych epików wsi polskiej znalazł swoje odrębne miejsce. Wyróżniały go m.in. sentymentalny stosunek do wsi dzisiaj już odchodzącej, ubogiej, ze wszystkimi atrybutami wioski przedwojennych, dylematy jej mieszkańców przemierzających się masowo po wojnie do miasta i ... język. Tak, język! Nie miejsce tutaj na jego charakterystykę, czyniono to zresztą niejednokrotnie w różnych opracowaniach o Kawalcu. Można w nim było znaleźć ślady chłopskiej mowy (może jego matki?), echa chłopskich modlitw, pieśni kościelnych, itp. Ta proza miała niejednokrotnie rytm i intonację poetycką.

Po wielu latach nadszedł moment, kiedy doświadczony prozaik postanowił się zmierzyć z nową dlań formą pisarstwa, jak się to w dawnych poetykach mówiło, „mową wiązaną”, z poezją. Rezultaty tej decyzji zdemontował najpierw we wspomnianym już *Kochanym smutku*.

„Poezja Juliana z tomiku *Kochany smutek* – napisał Józef Baran we wstępie – zachowuje pewne cechy prozy Kawalca. Jest treściwa, brzemienista w treści czysto fabularne. Nade wszystko zaś – nie zdradza szarego koloru życia, sytuuje się blisko powszedniości, zwyczajności, zgrzebności, tuż nad ziemią. [...] są to raczej wiersze »obciążone« powinnością, wiersze samarytań-

skie, pochylone nad człowiekiem starym, pokrzywdzonym przez los i historię”.

To prawda! Kawalec pochyla się nad człowiekiem starym, w ogóle słowo to jest jakby słowem–kluczem tego tomiku („Drewno staremu zrobiło laskę”, „Starzec z laską”, „stary natręt”, „stary gaduła”, itp.), ale pisarz pochyla się nad wszystkim, co żyje (*Posłuchaj robaczka, Pożegnanie z psem*). Nie jestem pewien, czy autora *Kochanego smutku* można posądzić o postawę franciszkańską, ale w wielu wierszach z tego tomiku pobrzmiwają nuty, które nie odbiegają od filozofii Zakonnika z Asyżu. Ta fascynacja przyrodą prowadzi do jej pełnej antropomorfizacji w wierszu *Wszystko mówi*, w którym znalazło się też miejsce na często opiewane w prozie „Nikle źdźbło / Które co dopiero / Wytryśło z ziemi”. Poeta w tych wierszach czuje się odpowiedzialny za świat, a zwłaszcza za ludzi słabych i pokrzywdzonych. Staje w ich obronie, stąd obok starców znajdziemy tutaj również matkę poniżaną przez syna, kobiety z dziećmi. Odnoszę wrażenie, że jest on przekonany, iż głos poety może zaradzić złu. Naiwne? Czy możliwa jest w ogóle liryka bez takiej wiary?

Te dni moje kontynuują doświadczenia poetyckie debiutanckiego tomiku, znajdziemy tu również starość, problemy egzystencjalne i przyrodę. Nie jest to jednak powielanie tych samych tematów i tej samej formy. Ewokując swój świat, chłopskie doświadczenia, czerpiąc z ukształtowanych przed laty wyobrażeń prozaika, stara się Kawalec nadać im większy stopień liryzmu, głębiej rzeźbić w słowie, jak choćby w wierszu *Igraszki* (operowanie słowem „śmierć” i „śmieć”), czy w takim fragmencie *Ja i Ty*:

My, to jestem ja i ty
i nie ma na to sposobu
Abym mógł tak być z tobą
Jak z samym sobą

Nieodłącznym elementem Kawalcowej problematyki egzystencjalnej jest cierpienie, którego odebrać człowiekowi nie sposób, ono uszlachetnia, „hartuje”. „Nie okradaj nas z męki” napisze w wierszu *Do zwiedzającego wystawę rzeźb Igora Mitoraja*.

Tomik *Dom*. Czy teksty te można zakwalifikować do poezji. Rozpoczyna je i kończy utwór bez tytułu:

Wzięłem pod rękę dom
Zgrzybiałego starca
w słomianym kapeluszu na bakier
Poszedłem z nim na spacer
Żeby mu pokazać mury
i nagie place bez drzew...
[...]
Wszędzie go biorę z sobą
Wielu się dziwi
Niektórzy się śmieją...

Przytoczyłem tutaj dwie próbki tekstów Kawalca, które tworzą jakby ramę tomiku *Dom*, by potwierdzić, iż niczym nie odbiegają one od sygnalizowanych dwóch poprzednich. Ten sam typ nieco fabularyzowanej poezji, opowiadanie wierszem. Inaczej ma się rzecz z pozostałymi fragmentami tego zbioru. Składają się bowiem na nie wyimki z już publikowanych utworów prozatorskich, które w sumie dają liryczną opowieść o domu w imię stwierdzenia „dom to nie są tylko ściany”. Teksty te utwierdzać muszą w przekonaniu, że Kawalec – prozaik był w pewnym sensie także poetą, ale również

i w tym, iż Kawalec – poeta nie przestał być prozaikiem. W tym przeświadczeniu podtrzymuje mnie *Harfa Gorców*, którą teoretyk literatury będzie pewnie kwalifikował jako opowieść. W tym lirycznym opowiadaniu narratorskiego – pisarza z wędrowki czerwonym szlakiem z Rabki na Turbacz pojawiają się postaci mu towarzyszące, jak również przywoływane z pamięci. Całe jego fragmenty mogłyby się znaleźć w następnych poetyckich tomikach. Oto przykład:

„A więc na czerwonym szlaku rośnie i potężnieje bukowa harfa Gorców. Wygrywa na niej sławetny muzykant idący od Tatr, halny wiatr. Niepotrzebnie tu powiedziałem wiatr, wystarczyło powiedzieć jedno słowo – halny – i już wiadomo, że to ten szalony muzykant, który wywołuje u ludzi zawroty głowy i bicie serc, który idzie dołem i górą, i łączy ziemię z niebem”.

W tekstach prozatorskich, do jakich powrócił pisarz pod koniec lat dziewięćdziesiątych, takich jak *W złotym kolorze*, wspomniana *Harfa Gorców* (1999), *Powrót z nieba* (2008), *Czerwonym szlakiem na Turbacz* (2009) pozostaje w tym samym kręgu tematycznym późnej starości, w niektórych opowiadaniach ta tematyka się nawet zagęszcza, kwestie z nią związane artykułuje pisarz jeszcze dobitniej. W *Harfie Gorców* narrator poszukuje miejsca na umieranie w swej wędrowce na Turbacz:

„Dość już ćwicyłem umierania na ciepłym zboczku w pobliżu harfy Gorców. Ufny w dobroć nagiej ziemi i jej trawiastej pościeli szydziłem, o jak namiętnie szydziłem z wszelkich łóżek znajdujących się w domu”.

Tom Juliana Kawalca *Powrót z nieba i inne utwory* posiada wszelkie cechy twórczości senioralnej, o której wspominałem wcześniej. Stanowi kontynuację prozatorskich i poetyckich doświadczeń z lat dziewięćdziesiątych, a więc w nowy, XXI wiek wszedł sędziwy pisarz z bagażem doświadczeń z końca wieku. Oto wybrane przykłady. *Kocham was dzieci*, adresatem są najmłodszy, na których „czyha życie”. Przed nimi wszystko jest otwarte, a przede wszystkim czas i starość, co „skrada się na czworakach”. Powtarzają się też motywy pacyfistyczne, znane z wcześniejszych wierszy (*Wy z duszą*). W pełnym retoryki opowiadaniu z gorzką apostrofą „wy z duszą” padają słowa: „syn jednej matki zabija syna drugiej matki”. Mamy tutaj też *par excellence* teksty senioralne, jak *Przeprowadzka do dzieciństwa*, w których narrator nie chce zaakceptować swojego statusu starego człowieka, ucieka w czasy dzieciństwa. „Co ta starość – powiada – ze mną wyczynia”. Antropomorfizacja wierzby i rozmowa z nią ułatwia te powroty w przeszłość. A co z niej wyczarowuje pamięć: ciepło, matczyną chustę, chleb, źdźbła, rolniczy trud. Jest też opowiadanie, gdzie adresatem była matka, która jakby z tamtego świata pyta narratorskiego o jego drogę po jej śmierci. Wśród wyznań notuje pisarz i takie: „Wciąż grzebię się w tej starzyźnie, grzebanie w starzyźnie to jest moje pisanie, staram się ocalić rzeczy, które nie powinny się zestarzeć, które potrzebne są do poprawienia – a może powiedzieć – oczyszczenia z brudów dziś i teraz”. Wśród nawrotów do dzieciństwa są oczywiście dwie babcie, reprezentujące różne sposoby myślenia (*Dwie babcie, dwa światy*). I tu pojawia się słowo–klucz „starość przysłała”, „teraz w starości – to dziwne – widzę je wyraźniej”. A więc starość i pamięć, wspomnienie tworzą niejako jej nieodłączny atrybut.

Oczywiście, nie wszystkie opowiadania i wiersze utrzymane są w tej konwencji. Mamy tu prozę – by tak rzec – interwencyjną i moralną czy moralizatorską. Pisarz jest bowiem wrażliwy na wszelkie zło, drażni go współczesna cywilizacja, która gubi wartości, dla której człowiek pojedynczy niewiele znaczy, drażni go współczesne słownictwo, korupcja. Stara się zrozumieć dzisiejszy świat, ale go nie akceptuje. Są też opowiadania bardzo osobiste, jak te o zbawiennym wpływie alkoholu na samopoczucie człowieka. Pisze o tym nieśmiało jak by z zawstydzeniem, nie tak jak Jerzy Pilch, który w alkoholizmie widzi sposób na życie. W opowiadaniu *Tak się trochę pozwierzam* pisze: „nieco dłużej pomyślałem o wódce i doszedłem do wniosku, że dobrze, gdy ona jest, ale ode mnie zależy, czy stanie się przyjacielem czy wrogiem”. Ten sam motyw powraca w *Rozmowie z łóżkiem*, w którym na bezsenność dobry okazuje się kielich.

Pieśń Kawalca o starości, jego anatomia starości zawarta w *Powrocie z nieba i innych utworach* oraz w twórczości z lat dziewięćdziesiątych jest wszechstronna, wpisana w biografię pisarza. Znajdziemy tutaj i problem zaniku sił fizycznych, obumieranie organizmu, relacje między pełnią sił fizycznych, młodością a człowiekiem starym i charakterystyczne dlań nawroty we wspomnieniach do dzieciństwa i młodości, kwestie niedostosowania do nowoczesności, w końcu kategorię śmierci. Wobec tej ostatniej pisarz zachowuje raczej postawę stoicką, traktuje ją jako naturalną i nieuchronną, która dotyka tak przyrodę jak i człowieka. Buntuje się jednak przeciw bezsensownemu zadawaniu śmierci w czasie wojen, rewolucji czy aktów terrorystycznych.

Dla Kawalca sprawdzone wartości tkwią przede wszystkim w tym co tradycyjne, co posiada głęboko wrosnięte korzenie, współczesność i nowoczesność – jak wspominałem – cuda najnowszej technologii po prostu go przerażają, aczkolwiek z telefonu komórkowego od czasu do czasu korzysta. Ziemia rodzicielka jest dla niego świętością, a znalezione na ściernisku żdźbło znakiem życia. Pisarstwo autora *Tańczącego jastrzębia* porządkuje świat, wprowadza weń ład, czytelnika uspokaja, pozwala mu wierzyć w istotę człowieczeństwa.

Jest nasz pisarz wybitnym humanistą, który w czasach pędzącej cywilizacji, audio i e-booków każe nam dostrzec człowieka z jego problemami, troskami ale i radościami.

To wszystko przekonuje mnie, że decyzja „Kuźnicy”, by Kowadło przyznać nestorowi polskiej literatury, jest niezwykle trafna. Przez całe swoje twórcze życie jest on kowalem słowa, obrabia je, rzeźbi, wzmacnia jego wartość, by nam, czytelnikom dać powód do przemyśleń, do refleksji, a także – mimo trudnej, egzystencjalnej tematyki – powód do radości...

Gratuluję Ci, Julianie, z całego serca!

BOLESŁAW FARON

Kraków, dnia 27 czerwca 2012 roku

¹ Niektóre literaturoznawcze sformułowania tej laudacji w nieco odmiennie formie znalazły się w moich wcześniejszych artykułach: *Juliana Kawalca pieśń o starości*. w: *Okruchy. Szkice o literaturze i kulturze XX wieku*. Kraków 2005 oraz *Sędziwego pisarza opowiadania i wiersze z początku XXI wieku*. „Forum Myśli Wolnej”. 2008, nr 38-39.

Rada Stowarzyszenia „Kuźnica”

przyznaje

Honorową Nagrodę Kowadła

JULIANOWI KAWALCOWI

* z podziwem dla jego pięknego i pracowitego życia syna galicyjskiej wsi, który wyrósł na natchnionego mistrza polskiego słowa;

* w uznaniu wielkości i znaczenia jego pisarstwa skupionego nad trudnym losem pracujących na roli i w mieście, ich spotecznym awansem w minionym stuleciu;

* z zachwytem nad obrazem ziemi ojczystej i rodzinnego domu, zawsze obecnym w jego poezji i prozie;

* z miłością do najstarszego i najwierniejszego z nas, ludzi „Kuźnicy”.

Kraków, 27 czerwca 2012 r.

PAWEŁ KOZŁOWSKI

DZIENNIK

PROFESORA NADZWYCZAJNEGO

(część I)

Warszawę i Kraków łączy pociąg. Często z niego korzystam. W Warszawie, w drodze na dworzec kolejowy przechodzę przez galerię, czyli miejsce, gdzie jedni sprzedają, a inni nie kupują. Zajęci są oglądaniem. Sprawdzam przy stoisku zapachy męskich wód, namaszczam brwi oraz korzystam z toalety. Ostatnio była przed nią kolejka, co w mojej gospodarnej głowie wywołało refleksję o zakłóceniu równowagi między popytem a podażą. Pomyślałem, że to wpłynie na nastroje rynków. Jednak bilet kupiłem, w trakcie skomplikowanej transakcji kasjerka chciała ode mnie kartę seniora. Oświadczyłem przez mikrofon połączony z głośnikiem, za pomocą którego ją słyszałem słabo i z przerwami, a ona mnie w ogóle, że mam legitymację szkolną oraz miejską. Patrzyła mi na usta i zapewne dzięki ich ruchom zapłaciłem pięćdziesiąt procent mniej.

W przedziale siedziała starsza pani o wyglądzie młodszego pana, a obok niej wnuczek, którego pomyliłem z dziewczynką. Rozwiązywali krzyżówki. Mężczyzna w białej koszuli i czarnych spodniach przepychał przez korytarz wózek. Rozdawał soki jako dodatek do miejscówki, wybrałem kawę z herbatnikiem. Wypiłem szybko, bo nie nadawała się do picia. Zrobiłem się senny, przypomniał mi się wiersz Ważyka. Po korytarzu nikt nie chodził, choć czasem ktoś tam się pojawiał i mówił sam do siebie, czyli do telefonu przyklejonego do ucha. Słyszałem jakieś słowa o miłosnych planach oraz o dramatach codzienności, czyli o umowach i notowaniach. Usiłowałem deklamować sobie *Wagon*. Pani o wyglądzie pana zaproponowała mi tyk wody, najlepiej niegazowanej. Przeczytałem gazetę, żeby odróżnić czas podróży od czasu domowego; w Warszawie krajowych utworów dziennikarskich nie używam, by zachować kontakt z rzeczywistością. Dowiedziałem się z dzienników, ile zarabiają ci, którzy zarabiają dużo, przeczytałem, że ci, którzy nie mają pracy, nie będą jej mieli nadal, ale będzie ich więcej oraz że polscy piłkarze nożni chcą wyjść z grupy i że są reprezentacją narodu. Zastanawiałem się przez chwilę, dlaczego chcą opuścić grupę? Pojawił mi się w głowie obraz ich trenera, którego wypowiedzi świadczą zarówno o tym, że Polska jest krajem wielojęzycznym, jak i o tym, że chlubiśmy się tolerancją. U nas było niewiele stosów i nadal ich nie ma.

Dojeżdżaliśmy. Nad Krakowem unosił się duży balon, chyba nie na uwięzi. Zamknąłem oczy i zoba-

czyłem prezydenta oraz biskupów, trzymali się za ręce i tworzyli krąg. Jedno z jego ogniw nie miało brzucha. Stanęliśmy przy peronie. Tablica elektroniczna w wagonie wskazywała, że mamy szybkość 30 km na godzinę i jedziemy do Nowego Targu. Przez głośnik oznajmiono, że trzeba opuścić pociąg, bo to koniec trasy i załoga życzy miłej podróży. Wysiadłem i poszedłem do galerii. Okrążyłem wylewającą się skądś wodę, rozpoznałem fontannę. Minąłem toaletę oraz sklep z toaletowymi wodami. Przez chwilę wahałem się, w jakiej kolejności i z czego skorzystać. Kupiłem bilet powrotny, nikt nie chciał ode mnie karty seniora. Ucieszyłem się na widok Adama. Poszliśmy do Zwisu, zaczęła padać deszcz. Oglądaliśmy noszone po rynku parasolki i po ruchach bioder usiłowaliśmy zgadnąć kształt nosa i wielkość oczu kobiet. Udawało nam się zawsze, choć nie mogliśmy tego sprawdzić, bo parasolki wszystko zakrywały. Adam wstał, na chwilę poszedł obok, wrócił i deszcz przestał padać. Woda spływała do Wisły i dalej w kierunku Warszawy.

12.V.2012 r., godz. 16:03.

Nie pada, nie świeci.

Zgromadzenie

Rano wybrałem się na ważne zbiorowe spotkanie naszych uczonych. Nazwano je Zgromadzeniem. Było gorąco, więc włożyłem marynarkę w kolorze żółtym, trochę zgniłym. Nie odróżniała się od barwy niepodlewanych trawników i jakiejś pani, która w telewizji nazywa się Połem. Usłyszałem niedawno, że gdzieś na świecie ktoś nadał swojemu synowi imię Einstein. Chciałem wyglądać schludnie i w tym celu trzy dni wcześniej się ogoliłem. Pojechałem metrem do pętli autobusów, żeby się przesiąść. Zawsze na tym przystanku wychodzę niewłaściwym wyjściem, a więc postanowiłem wyciągnąć wnioski z doświadczeń błędnej przeszłości. Od razu wybrałem schody, które powinny prowadzić w złą stronę, bo miałem nadzieję, że okażą się dobre. Pierwszy raz jednak nie pomyliłem się i na powierzchni znalazłem się obok płotów okrążających jakąś budowę, na której nikogo nie było. Z dumą człowieka sukcesu dotarłem do przystanku autobusu. Znalazłem na nim przyjaciele, z którym umówiłem się wcześniej, ale spotkania nie potwierdziłem, by nie sprawić mu zawodu spóźnieniem lub pełną absencją. Na przystanku były trzy autobusy, my staliśmy

przy niewłaściwym. Dotarliśmy w końcu do naszego. Wszyscy w środku jechali w to samo miejsce, tzn. do Ogrodu Botanicznego.

W środku stali naukowcy w wieku chyba jeszcze przed dziewięćdziesiątką oraz siedzieli nieco młodszy, przedszkolacy, którzy nie skończyli 6 lat. Dzięki temu średnia nie przekraczała 45 lat. Ja wyglądam jak ci starsi, ale starałem się trzymać jak młodszy. Toczyły się dyskusje, poruszono sprawę gorąca w środku i temperatury na zewnątrz. Przyjaciel zabawiał mnie rozmową o emeryturach, on ma umysł niezależny. Nic nie rozumiałem, ale na szczęście mówił niewyraźnie i cicho, a więc nie słyszałem niczego. Co pewien czas potakiwałem na znak, że się zgadzam. Wysiedliśmy przed głównym wejściem do Ogrodu, czyli miejsca zgromadzenia. Okazało się zamknięte, znacznie większa następna brama była otwarta. Na miejscu, przy ogrodowych stolikach siedzieli wytworni panowie w czarnych garniturach, białych koszulach i ciemnych krawatach. To byli kierowcy. Teraz na drogach inni jeżdżą jak wariaci i jeśli nie ma się dużej ciężarówki, podróż staje się niebezpieczna. Ci widać przygotowali się na jej finisz, zdaje się, że w ogóle są teraz takie wymogi w stosunku do tych, którzy dużo jeżdżą. Wokół stali członkowie oraz, za przeproszeniem, członkinie. Zająłem miejsce w środku, tzn. w namiocie. Na stalowo-plastikowym foteliku położyłem jakąś książkę, którą dostałem i której nie będę czytał. Sprawdziłem, czy w indeksie nie ma mojego nazwiska, nie było indeksu. Słusznie. Wyszedłem na kawę bez trudności, bo wybrałem miejsce przy samym wyjściu. Na zebraniach lubię obserwować przyrodę, a zwłaszcza niebo. Wróciłem, usłyszałem pasjonującą dyskusję czy można przepisywać siebie samego i czy to jest karalne. Przypomniał mi się trudny okres dojrzewania. Wyszedłem. Podziwiałem w ogrodzie rododendrony oraz stawy z ceratowym niebieskim dnem. Przydałyby się takie dna w jeziorach, bo nie lubię mułu. Chodziłem trochę, nie chciałem siadać na ławce, żeby nie pognieść spodni, które starannie pozbawiłem kantów. Po powrocie usłyszałem referaty oraz chyba pasjonującą dyskusję. Nie mogłem poapać się o czym. (...) Występował chór mieszany. Miał urozmaicony repertuar, śpiewał starocie o miłości do boga i piosenki współczesne sprzed niecałych stu lat o miłości do człowieka chyba płci przeciwnej. Ten nowoczesny repertuar wykonywali w stylu gospel połączonym z choreografią kankana, choć bez podnoszenia nóg. Najbardziej podobał mi się dyrygent i kierownik chóru. Był kobietą, która stała tyłem. Przeżywałem sztukę, miałem ochotę wyłączyć fonię. Pierwsza część konferencji się skończyła i zaproszono nas do kolejki po jedzenie. Po godzinie zjadłem: dobre kartofle z dodatkami w sosie, których nie potrafię nazwać. Wypiłem z nadal eleganckimi kierowcami wino. Gawędziliśmy o wybranych zagadnieniach życia codziennego muchy owocówki oraz o polemikach Poppera z Carnapem. Ja jestem za falsyfikacjonizmem. Przeszedłem się po ogrodzie, poczułem ducha panteizmu, wróciłem zamyślony. Na miejscu doszedłem do siebie. Nie spóźniłem się, bo akurat mówił profesor, którego szczególnie lubię słuchać. Dźwięki, które wydaje, są łagodne i uspokajające, a treści nie ma, więc nic mnie nie rozprasza. Po nim zaczęły się wystąpienia oficjalne średnio ważnych ludzi reprezentujących prawdo-

podobnie dość ważne urzędy. Ciągłe nie umiem gwizdać na placach. Wyszedłem i przez las piechotą dotarłem do metra. Był to ładny i pożyteczny spacer. Las prawie pusty, czasem mijałem biegnących dla sportu w tym samym kierunku emerytów. Walczyli o życie i chyba nie mogli znaleźć drogi na zewnątrz. Wróciłem do domu, zadzwonił telefon, jakaś kobieta przedstawiła się i zapytała, czy nie przeszkadza. Odpowiedziałem, że przeszkadza. Chyba ją to nie zaskoczyło, bo mówiła dalej. Zaprosiła mnie do przychodni zdrowia oraz zachęciła do kupna hermetycznych garnków, których nie można otworzyć. Zdziwiło mnie, dlaczego uznafa, że to mnie zainteresuje. Po chwili przestałem się dziwić.

24.V.2012 r., godz. 14:48.

Słońce.

Przed podróżą

Postanowiłem wyjechać. Podróż miałem odbyć samochodem główną szosą na północ. Długo się przygotowywałem. Rozwahałem czy napisać testament, czy raczej odkurzyć mieszkanie. Ostatniej woli jednak nie spisałem. Nie dlatego, że nie wiem, czego chcę, ale dlatego, że lubię obserwować nasze społeczeństwo w działaniu. Kiedyś szczególnie wciągnęły mnie wspólnoty mieszkaniowe, później spostrzegłem, że inne okoliczności też są porywające. Teraz wyobraziłem sobie, jak moi spadkobiercy sami będą zbliżać się do porozumienia i jak to przedłuży pamięć o mnie. Może ona w ten sposób trwać kilkadziesiąt lat, a kto wie, czy później jeszcze się nie odnowi.

Zrezygnowałem również z odkurzania, bo to mogłoby prowadzić do umycia okien, a ja nie lubię ostrego światła. Umyłem sedes oraz umywalkę za pomocą niezawodnego szamponu do mycia włosów, który również im nadaje puszystość. Przypomniałem sobie, że czytałem niedawno o nowym wynalazku: wolno opadającej desce klozetowej. Teraz większość nowości techniki i kulinariów pochodzi albo z badań kosmosu, albo z tajnych laboratoriów wojskowych – wolno opadająca deska dla cywilów musiała więc być już wypróbowana w stanie nieważkości lub pod ostrzałem na poligonie. Jestem człowiekiem czynu i postanowiłem rzecz mieć natychmiast. Zawiązałem sobie krawat i poszedłem na zakupy. Obok mam aptekę, sklep i bank. W aptece deski nie było. (...) Poszedłem do sklepu o nazwie Minieuropa. Specjalizuje się on w towarach azjatyckich. Ekspedienta poprosiłem o deskę w rozmiarze mezo. Odpowiedział mi, że to nie jest sklep muzyczny. Musiałem szybko wyjść. W banku wyrazili nadzieję, że jestem zainteresowany nowymi produktami. Wyjaśniłem, że teraz moją głowę zaprzęta jedynie wolno opadająca deska klozetowa. Mężczyzna w czapce z daszkiem odprowadził mnie do drzwi. Okazało się, że jest agentem. Powiedziałem mu, że wygląda na prezesa.

Wolno opadającą deskę kupię sobie po powrocie. Przy okazji odkryłem w sobie drzemającą dotąd pierwotną potrzebę posiadania wolno opadającej pokrywy klozetowej. Będzie musiała ona opadać wolniej od deski. Wróciłem do domu i usiadłem na ubikacji. Rozmarzyłem się. Podróż przeżyłem o trzy dni.

9.VI.2012 r., godz. 21:34.

Chmury.

W podróży

Zadzwonili do mnie z jakiejś firmy i powiedzieli, że teraz będę mógł telefonować wszędzie za darmo. Zapłacę mniej niż 100 zł, bo tylko 99,98 zł miesięcznie. Zapytali mnie o datę urodzenia. Gdy ustalili, ile mam lat, tak mnie ujęli swoim odkryciem, że natychmiast przystałem na nowe warunki. Dotychczas nie miałem telefonu za darmo i musiałem płacić co miesiąc 90,70 zł. Jeśli dzwoniłem rano, rachunki były wyższe.

Kontynuowałem pakowanie. Zacząłem je trzy tygodnie wcześniej, bo lubię dobrze przygotować się do startu. Zdjąłem z krzesła wolno opadającą na dno deskę surfingową. Wcześniej przenieśliem z niej telewizor. Umieściłem go w wannie, żeby się nie kurzył. Kwiatki włożyłem do lodówki. Miałem kłopot z dużymi doniczkami, musiałem je zredukować. Wyłączyłem prąd. Uregulowałem na stałe lekki strumień wody płynącej z prysznica. Mieszkanie nie może się wysuszyć. Zastanawiałem się, czy okno zostawić otwarte, czy je zamknąć. Zapowiadają przelotne deszcze i burze, więc wybrałem rozwiązanie bezpieczne: duże okno postanowiłem otworzyć, dwa małe zamknąć. Na szczęście nie mam ich więcej. Zmoczyłem się tymi przygotowawcami i przełożyłem wyjazd o dwa dni.

Używam dużej samolotowej torby podróżnej, walizki i plecaka. Lubię porządek i dbam, żeby rzeczy nie były zgniecione. Wszystkie ubrania wkładam na siebie. Do walizki włożyłem łyżkę do butów, stopy włożyłem do wietnamskich japonów, do torby schowałem parasol i gumową kurtkę przeciwdeszczową. W plecaku umieściłem krem w pełni chroniący przed słońcem, bo zamierzam się opalać. Nauczyłem się otwierać puszki ze szprotkami nożem, więc nie biorę specjalnego klucza do konserw. Nie mogłem znaleźć ostrego noża, wziąłem nową żyletkę. Rozluźniłem się i postanowiłem wyjechać za trzy dni.

Wyszedłem z domu. W jednym ręku niosłem walizkę, w drugim plecak, a na plecy zarzuciłem torbę. Było przyjemnie, szedłem lekko. Wyobraziłem sobie, że jestem aktorem filmowym. Chciałem zapalić papierosa, ale nie palę papierosów. Wsiadłem do samochodu. W dłuższą podróż staram się wyjechać wcześniej. Zwykle wyruszam o 13.00, tym razem udało mi się odjechać już o 14.10. Włączyłem klimatyzację, otworzyłem okna, by się wywietrzyło, bo klimatyzacja wydziela zapach zabijający świeżość powietrza. Przypomniało mi się, że kilka lat temu widziałem motocyklistę, który miał w kierownicy umieszczony telewizor. Zainstaluję sobie telewizor w samochodzie, za kierownicą. Będzie skracać podróż. Wahałem się, czy w związku z tym nie zostać jeszcze kilka dni i ruszyć wyposażony, ale zrezygnowałem. Spieszę się.

Nacisnąłem nogę i samochód ruszył. Prowadzę bezpiecznie i na ogół hamuję. Kiedyś peszyły mnie czerwone światła, ale teraz przyzwyczałem się do nich. Na naszych szosach jest pełno wariatów, ja staram się jeździć jak najkrócej i planuję zawsze nie wlec się z prędkością mniejszą niż 190 km/h. Udaje mi się to jednak tylko w górach, gdy mogę rozpędzić samochód. Podróż przebiegała gładko. W radio znalazłem jakąś religijną stację, w której modlono się o deszcz. Dzwonili tam ludzie, zwłaszcza kobiety, i mówili, że starają się o krople. Włączyłem wycieraczki. Po kilkudziesięciu kilometrach radio przestało działać i mogłem wycieraczki wyłączyć. Spryskiwacza nie wy-

łączyłem, gdyż go nie mam. Przednia szyba zrobiła się matowa i zaczęła mnie chronić przed słońcem. Spotykałem jakieś samochody, nie wiem jakie, bo marki rozróżniam tylko po napisie. Minąłem busik z czerwonym krzyżem na drzwiach i niebieskim światłem na górze. Światło mrugało, a on strasznie buczał. Kiedyś policjant pokazał mi tak wyglądającą karetkę, ale to było na innej szosie. Raz było groźnie, bo jakiś kierowca przestrzegał przepisów. Blokował ruch i wywołał agresję innych. Chciałem zawołać policję, ale w telefonie odezwała się zegarynka. Dowiedziałem się, że jestem trochę spóźniony.

U nas drogi są tak zrobione, że upodobniły się do szlaków kolejowych. W środku szosy są specjalne szyny, tyle że wklęsłe. Nie trzeba więc trzymać się kierownicy. Dostosowane są do doświadczeń naszego społeczeństwa, które jest jednoklasowe, tzn. chłopsko-arystokratyczne. Przodkowie uprawiali jeździectwo, a ich konie same ciągnęły furę, na której oni spali po wypiciu z kolegą lampki bordeaux rocznik 32. Niektórzy woleli szampana, bo jedli ostrygi. Teraz prowadzą ich koleiny. Niestety, miejscowe wykonawstwo nie nadąża za myślą i te znakomite torowiska dostosowane są do pojazdów szerokich. Samochody o węższym rozstawie kół muszą trzymać się tylko połowy toru, jadą więc przechylone. Doświadczeni kierowcy wybierają lewą koleinę, bo wtedy siedzi się wygodniej, głową można oprzeć o drzwi, przymknąć jedno oko, a na słonecznych odcinkach również drugie. Komfort jak w pociągu, a nie ma konduktorów. (...)

Po drodze, chyba na 230. kilometrze minąłem samochód, który jechał po naszej stronie, tyle że w przeciwnym kierunku. Prowadził kolega, który kupił sobie angielski pojazd marki rover. Ma on kierownicę z prawej strony.

Kolega napisał podanie do ministra, w którym wyjaśnił, że w swoim roverze ma lepszą widoczność podczas jazdy lewą stroną. Dodał, że jeśli nie otrzyma odpowiedzi w ciągu 2 miesięcy, to uzna, że jego obywatelska prośba została pozytywnie rozpatrzona. Pismo uzupełnił informacją, że rozważa, na kogo głosować w czasie najbliższych wyborów. Minęły 2 lata i nie otrzymał odpowiedzi, a ponieważ jest prawnym rygorystą, jeździ lewą stroną i popiera rząd, który znalazł się już opozycji.

Na miejsce dojechałem bez przygód, było nudno jak to na ogół bywa w cieplarnianych warunkach. Raz tylko wjechałem w jakiś fragment prawie zbudowanej już autostrady, która prowadziła we właściwym kierunku, ale miała przeciwny zwrot. Zawróciliśmy szybko, bo na środku były krzaki, a nie bariery. W takim wypadku pamiętam zawsze o kierunkowskazie. Przed skretem w lewo najpierw mrugam światłem prawym, żeby oczyścić przestrzeń z tej strony, a później, w czasie skrętu w lewo włączam kierunkowskaz lewy, żeby inni docenili mój kunszt kierowcy. Zauważyłem, że wiele osób jeździ podobnie. Wsiadłem, a właściwie wysiedliśmy, bo okazało się, że obok siedziała koleżanka, która bardzo mi się podoba. Chwilami jestem nieśmiały. Zaparkowałem tyłem. Poczułem, że jestem na wakacjach. Z góry zaczęły spadać krople. Ktoś właśnie podlewał w moim nowym domu kwiaty w skrzynkach na parapecie.

18.VI.2012 r., godz. 23:04.

Pada.

Na miejscu

Jestem na wakacjach. Staram się nic nie robić, pi-szę i czytam. Mieszkam w Domu Pracy Twórczej, na terenie Parku Linowego. Świetnie się tu czuję. Całość jest funkcjonalnie urządzona, pozbawiona rzeczy niepotrzebnych. W pokoju nie ma biurka, którego obecność ujawnia we mnie zawsze potrzebę prasowania. Za oknem jeżdżą pociągi i czasem słychać ptaki. Na korytarzu bawią się dzieci. Gdy podrosną, przeniosą się do piwnic. W przedpokoju znajduje się duże lustro, które najpierw omijałem. Było jednak wszędzie. Coś mnie w nim raziło, chyba nie odbijało niczego sensownego. Zakryłem je prześcieradłem. Na dole przy-mocowałem, za pomocą haczyka z przyssawką, łyżkę do butów. Jest woda, elektryczność, czajnik oraz internet. Policzyłem i okazało się, że są dwa okna. Internet głównie nie działa, co mnie trochę martwi, bo lubię, jak wszystko jest gotowe do użytku. Internetem się nie posługuję, a więc jego faktyczna nieobecność przeszkadza mi z przyczyn zasadniczych.

Na wakacje zostawiam sobie lektury lekkie. Teraz są to *Próby* i *Wieczory petersburskie*. Wracam do nich. Poważnych gazet i telewizji w lecie nie używam, w innych porach roku też nie. Natomiast podziwiam sposób, w jaki na trzy tygodnie zdołano wyeliminować polityków z telewizji i radia. Mianowicie urządzono w Polsce międzypaństwowe rozgrywki futbolowe. Nazywają się one Mistrzostwami Europy albo jakoś podobnie. Przez ten czas w tzw. mediach mówiono wyłącznie o piłce nożnej. Eksperci, czasem ci sami, którzy wcześniej odkrywali głębię naszej polityki, teraz zastanawiali się, który piłkarz ma lewą, a który prawą nogę, kto kogo kryje oraz czy myśl trenerska obca jest lepsza od swojskiej. Zdania były podzielone. Zbudowano też kilka nowych stadionów, brzydkich, które określane są jako bardzo ładne. Wskazuje się ciągle, że powinienem być z nich dumny. Nie mogę. Szczególnie wciągały mnie analizy tego, co nazywano filozofią futbolu. Nic z nich nie rozumiałem. Szukałem odpowiednich haseł w słownikach filozoficznych, ale widać nie sięgałem do właściwych. Speszylem się, bo choć trochę wiem, czym nominalizm różni się od realizmu, a nawet czym są zdania atomowe, to uświadomiłem sobie, że z tego co najważniejsze nie wiem niczego. Słuchałem też wnikliwych rozważań mówiących, że Polska, która jest na ostatnim miejscu na liście futbolowej, może powinna zdobyć mistrzostwo. Mężczyzna, którego nazywają prezesem lub przewodniczącym jakiejś partii o mylącej nazwie ustalił, że wszystko zależy od woli. Może od wola? Kiedyś mówił, że wszystko zależy od wzroku. Chciał porazić pewnego przywódcę dużego państwa spojrzeniem. Chyba powinienem sprawdzić sobie tarczycę oraz oczy.

Tenże polityk ma wyrafinowaną strategię wyborczą, docenia wagę skuteczności. Dąży do obrzydzenia wszystkim wszystkiego i w ten sposób zrównania swoich szans z pozostałymi. Nikt nie będzie wtedy chodził do urny, on odda głos na kogoś z rodziny, ktoś z rodziny na niego i któryś z rodzinnych członków zwycięży miazdząco. Strategię tę przewodniczący lub prezes rozwija. Wywołuje rozmnażanie bezpłciowe przez pączkowanie i podział. Praktykuje je w tej części życia, która jest jego namiętnością. Nazywa ją, prawdopodobnie na serio, polityką. Rozmnażanie to polega na dzieleniu jednej partii na kilka, które zostają później obok siebie.

Jest ich w ten sposób więcej, ale stanowią jeden organizm. Powadzi prace nad podziałem wielokrotnionym, na kilkanaście lub kilkadziesiąt części podczas jednego aktu. Kiedyś kolega zapytał na lekcji nauczycielkę biologii, czy gdy dzieli się jądro, to ma z tego przyjemność. Ona się zaczerwieniła.

Czytam sobie, na zmianę, Montaigne'a lub de Maistre'a, moczę nogi w wodzie i zastanawiam się, którą ze specjalności kuchni miejscowej zjeść: hamburgera czy hot-doga. Zwracam też dyskretnie uwagę na panie, zwłaszcza na jedną, która codziennie inaczej się ubiera. Okres dojrzewania pokonała jak widać szczęśliwie, trochę mniej niż sto lat temu. Wydaje mi się, że stojący pod domem spory samochód bez okien z boku jest właśnie jej. Ma duży napis: „Prysznice, które przeżyją Ciebie” i obrazek, prawdopodobnie z prysznicem, który przeżywa.

Widziałem ostatnio dziką świnię z małymi. Bardzo ładne. Obok, po linach chodzili ludzie. Jeszcze wyżej unosiło się niebo.

20.VI.2012 r., godz. 17:56.

Słońce. Chmury.

Elegancja

Obudziłem się. Wziąłem jakąś książkę, chciałem ponownie zasnąć. Wybrałem w miękkiej oprawie, żeby była lekka. Gdy obudziłem się ponownie, zorientowałem się, że do snu potrzebowałem niecałej strony. Nie zwróciłem początkowo uwagi na tytuł. Teraz odkryłem, że książka ma dwóch recenzentów i autor dziękuje z wdzięcznością innym za pomoc. Przenikliwość polityczna lub umysłowa zmusiła mnie do pytania, czy wymienia wszystkich? A może za dużo. Rozważam założenie teczki. Szczególnie zastanowiło mnie podziękowanie dla psa. Chyba napiszę do prokuratury oraz do historyków. Sprawdziłem i okazało się, że mają ten sam adres. Uspokoilem się i zasnąłem ponownie. Niestety po chwili się obudziłem. Nie straciłem jednak otuchy, nadzieje pokładałem w sile oddziaływania polskiej literatury. Gdyby jej nie było, nie byłoby także jej badaczy. Chociaż nie, pomyliłem się. Błąd myślowy naprawiłem już na prawym boku. Zacząłem żałować, że nie nastawiłem budzika. Dochodziła 10.00, poderwałem się i nastawiłem budzik na 8.30. Nie lubię natarczywości dzwonka, chciałem mieć to już za sobą. Zasnąłem, żeby odpocząć. Obudziłem się, umiejętnie, stopniowo wstawałem. Musiałem. Przy okazji umyłem zęby kremem do golenia. Dobrze się pieni. Trzymam go pod lustrem, choć używam maszynki elektrycznej. Czasami, nie za często, bo skóra musi odpocząć.

Staram się dbać o wygląd i elegancję. Przywiązuję wagę do gustu. Po takim raptownym wstawaniu często nie wiem, jak się ubrać. Wczoraj rano otworzyłem telewizor. Polecali wtedy używać podpasek ze skrzydełkami. Widocznie miało być wietrznie. Polecali kupno samochodu. Przewidywali wilgoć. Nie lubię takiego klimatu, dzisiaj postanowiłem zmienić źródło informacji. Przyszło mi do głowy, że warto poznać rzeczywistość od jej lepszej strony. Zrobiłem sobie kawę, rozsunąłem puste doniczki na parapecie, wziąłem dwie poduszki pod łokcie i zacząłem kontaktować się wzrokowo ze światem. Nic nie włożyłem na siebie, nie chciałem ulegać wczorajszym sugestiom telewizji. Było ciepło i otwarte okno mi nie przeszkadzało.

Zauważyłem, że trochę inaczej noszą się niektóre kobiety i mężczyźni. W gronie tych pierwszych obowią-

zują krótkie nóżki. Powinny być grube. Liczy się właściwa ekspozycja. W związku z tym stosowane są krótkie spódniczki lub też krótkie spodenki. Zwróciła moją uwagę kobieta, na oko między 16 a 91 rokiem życia. Szła w krótkich majtkach, niżej miała okrągłe uda i tydki w formie buraka cukrowego. Wyżej starannie ułożyła fałdy ciała i naprężyła talię o obwodzie ud. Ustaliłem, że to model typu compact. Tył często bywa w nim wzmacniany, w ten sposób zarazem podnosi się i opada. Sugeruje solidność i niezawodność. Zdarzają się urozmaicenia wyrażające indywidualność. Zobaczyłem dość młodą kobietę, która założyła krótkie majtki, bo było ciepło. W związku z tym zrobiło jej się chłodno. Więc użyła pończoch. Było jej gorąco, ale pot chłodził jej twarz i szyję aż do pasa. Nie dostrzegłem ujścia strumyków.

Mężczyźni też chodzą w krótkich spodniach, ale dłuższych. Uznaniem cieszą się ucięte spodnie od piżamy albo fragment munduru komandosa, któremu mina przeciwpiechotna urwała dolną część. Zapewne podczas kolejnej misji pokojowej, którą prowadzimy. Na nogach mają klapki, a w nich skarpetki. U góry koszulka opina rozbudowany brzuch. Na T-shircie znajduje się napis, szczególnie cenione są dwa: „Metallica” i „Hells”. Ujął mnie rozbudowany horyzontalnie mężczyzna w wieku późnego emeryta. Powyżej pępka krępowiała go koszulka z napisem „Zeus”. Była w kolorze jasnyniebieskim. W rękę ścisnął teczkę i zmierzał do sklepu spożywczego. Przeszył mnie kontakt z bogiem.

Do noszonych w tym sezonie ubrań dopasowana jest odpowiednia linia kosmetyków. Firmy, zapewne po długich próbach, opracowały zapach naturalny. Ma on tę dodatkową właściwość, że indywidualności łączy we wspólnotę. Każdy nowoczesny człowiek pachnie podobnie i nieco odrębnie. Zapachy te utrzymują się przez dobę, a nawet przez następny dzień. Sądzę, że utrwalają się na jeszcze dłużej. Ostatnio siedziałem w autobu-

sie obok tak utrzymanego mężczyzny. Było ciepło, 50°C w zaokrągleniu, okna zamknięte, klimatyzacja niewłaściwa. Z mężczyzny spływały krople. Zapytałem go, czy to woda kolońska, czy toaletowa. Popatrzył na mnie z troską. Cieszyłem się przelaniem lodów w konwersacji. Zagadnąłem o nazwę firmy. Zakomunikował mi czule, że jak mi się nie podoba, to mogę wysiąść. Oferował mi pomoc. Odpowiedziałem, że bardzo mi się podoba i poczułem w sobie jakiś pierwotny instynkt. Wysiadłem.

Po takich badaniach i analizach w końcu się ubrałem. Dopasowałem klapki i skarpetki. Pod koszulkę włożyłem z przodu poduszkę, żeby przestrzegać linii. Na głowie umieściłem bejsbolówkę z napisem „Mleko”. Na T-shircie miałem przygotowany niedawno napis: „Idealna rynna”. Widziałem podobny we Władysławowie, na domku w kształcie baraku. Odnowiłem wtedy związek z Platonem i z całą kulturą antyczną. Postanowiłem nie ukrywać swego idealizmu. Koszulka jest czerwona, a napis niebieski, pasuje do błękitnych spodenek oraz niegdyś niebieskich, a obecnie przechodzących w szarą biel skarpetek.

Szedłem i próbowałem się zamyślić. Jak zwykle bezskutecznie. W gablotce ogłoszeń miejskich zobaczyłem skromny plakat z pegazem. Początkowo skojarzyłem go z czymś innym, a dokładniej z niczym. Z bliska okazało się, że to informacja o konkursie literackim z główną nagrodą w postaci „Złotych jaj koguta”. Zrobiłem się głodny i wstąpiłem na jajecznicę. Bar był obok jubilera. Do jubilera też wszedłem. Pomyślałem, że może sam sobie zafunduję taką nagrodę. Zapytałem, czy ma złote jaja. Musiałem szybko wyjść. Minąłem coś francuskiego i wpadłem do koleżanki.

9.VII.2012 r., godz. 11,43.

Słońce.

PAWEŁ KOZŁOWSKI

listy

Błąd w nazwisku

Szanowni Państwo,

w okresie świąt wielkanocnych odwiedziłam moją babcię, Elżbietę Komaniecką; pokazała mi artykuł o sobie umieszczony w piśmie „Zdanie”, w numerze 3-4 (150-151) 2011. Na stronie 128 jest właśnie ów artykuł, pod tytułem *Wiedza Pani K. i Pani G.*

Niestety jesteśmy nim bardzo rozczarowani w związku z tym, że w artykule znajduje się błąd w nazwisku rodowym babci, zamiast BRAUNER w artykule jest napisane: „Pani Elżbieta Komaniecka z domu Brunner”. Zaistniały błąd jest nie do przyjęcia, spowodował, że moja babcia poczuła się bardzo dotknięta i urażona.

Proszę wziąć pod uwagę, jak duży zasięg ma Państwa pismo, babcia otrzymuje telefony od znajomych, rodziny z Niemiec z pytaniem, dlaczego w artykule jest inne nazwisko. Proszę wczuć się w pozycję mojej 87-letniej babci, która tyle przeżyła, podzieliła się z Państwem kiedyś, w ramach przeprowadzanych przez Państwa wywiadów o autochtone, swoimi doświadczeniami oraz historią swojego życia, a Państwo wykorzystując to w artykule nie

potraficie jej uszanować i nie przywiązujecie wagi do prawdziwości podawanych danych.

Bardzo proszę o poprawienie popełnionego błędu.

Z poważaniem

Ewelina Kajda

OD AUTORÓW:

WPanie Elżbieta Komaniecka

i Ewelina Kajda:

Szanowna Pani Elżbieto, Miła Sąsiadko,
i Ty, Droga Ewelino,

Proszę, by Panie przyjęły nasze wspólne – moje i Zuzanny – przeprosiny za niedopuszczalną pomyłkę w pisowni nazwiska. Panieńskie nazwisko Pani Elżbiety brzmi: BRAUNER. Możemy zwalić błąd na komputer, który niestety wyprawia czasem najdziwniejsze rzeczy z pisownią nazwisk, a także nazw geograficznych. Nie umniejsza to oczywiście w niczym naszej osobistej winy za grzech niesprawdzenia ostatecznej wersji tekstu. Ufamy, że Panie nam wybaczą.

Z poważaniem i z wójtowickim pozdrowieniem
Krzysztof i Zuzanna Komorniccy

WŁADYSŁAW MARKIEWICZ

NIEMIECKIE ZMAGANIA Z NAZISTOWSKĄ PRZESZŁOŚCIĄ

Dzieło poznańskiej uczoney, Anny Wolff-Powęskiej, jeśli nie wcześniej, to przynajmniej równocześnie powinno być ukazane w Republice Federalnej Niemiec, albowiem jego problematyka dotyczy spraw, którymi od kilkudziesięciu lat ustawicznie intensywnie zajmuje się niemiecka historia najnowsza (*Zeitgeschichte*), politologia i socjologia oraz inne dyscypliny społeczne. Książka stanowi mianowicie – jak pisze autorka – próbę prześledzenia dróg i bezdroży trwających ponad sześćdziesiąt lat niemieckich zmagania z nazistowską przeszłością.

Z przesadną skromnością stwierdza Wolff-Powęska, iż praca obejmuje zaledwie część problemu specyfiki pamięci zbiorowej Niemców, gdy tymczasem czytelnikowi może się wydawać, że ma do czynienia z prawie kompletnym całościowym i w zasadzie wyczerpującym przedstawieniem zawłości procesu niemieckiego rozrachunku z przeszłością. Wskazaniem pewnych luk w rozprawie i propozycjom ich uzupełnienia poświęcona będzie niniejsze omówienie. Zajmę się przede wszystkim dominującą w monografii warstwą faktograficzno-historyczną i w związku z tym nie poświęcę wystarczająco dużo uwagi zawartym w niej licznym wątkom teoretyczno-analitycznym, przesadzającym o jej wysokim poziomie gnoseologicznym.

Już we *Wprowadzeniu* do swej książki autorka formułuje zbiór 11 tezowo ujętych uwarunkowań i okoliczności wpływających na podlegający ciągłym zmianom kształt zbiorowej pamięci niemieckiej dotyczącej nazizmu – jego genezy, treści, funkcjonowania, następstw, stereotypizacji, mitologizacji, upowszechnienia itp. Z wyjątkiem pierwszego rozdziału wszystkie następstwa stanowią właściwie rozwinięcie tych tez. Rozdział pierwszy pt. *Mnemozyna – matka muz* jest poświęcony rozważaniom na temat pamięci (a także zapomnienia) jako kategorii filozoficznej, socjologicznej, przede wszystkim jednak historiozoficznej i politologicznej. Rozwój dyscyplin naukowych zajmujących się pamięcią sprawia, że wiedza o współzależnościach zjawisk z zakresu szeroko rozumianej kultury staje się coraz obfitsza i gruntowniejsza. M.in. dotyczy to zależności i powiązań między kulturą pamięci kolektywnej a kreowaniem lub rozpowszechnianiem tożsamości narodowej kultury politycznej społeczeństwa. Sporo uwagi poświęca autorka związkowi wzajemnym między historią a polityką, czyli polityką historyczną (*Geschichtspolitik*) szeroko w Niemczech uprawianą. Nader interesujące są jej opinie na temat przeżywanego przez Niemcy bo-

omu muzealnego, który niektórzy uczeni traktują jako symptom kryzysu. Godne zapamiętania i zastosowania w praktyce są jej zalecenia dotyczące wzbogacenia warsztatu badawczego historyków drogą adaptacji osiągnięć innych nauk, kooperacji z literaturą piękną, sztuką i polityką oraz poszerzenia i intensyfikacji dialogu z historiografią innych krajów. Jakby się losy historyków i ich dyscypliny pod wpływem przeobrażeń zachodzących w świecie nie zmieniały pewne jest, że będą oni ludzkości zawsze potrzebni i że jak dotychczas o ich faktycznym znaczeniu decydować będą takie cechy osobowościowe twórców jak: uzdolnienia, pracowitość, nade wszystko zaś uczciwość badawcza i obywatelska.

Rozdział drugi tomu pt. *Między końcem a początkiem* ma znaczenie centralne. „Długotrwałość i intensywność z jaką narasta i opada fala pamięci i zapomnienia wokół dwunastu lat istnienia III Rzeszy – pisze Wolff-Powęska – zmusza do stawiania pytań o szczególność niemieckiej drogi, jej uwarunkowań i konsekwencji”. O niepowtarzalnej osobliwości położenia Niemców jako narodu i społeczeństwa w 1945 roku przesądziła II wojna światowa – jej wybuch, przebieg i zakończenie. W 1939 roku większość dojrzałej ludności Europy stanowili ludzie, którzy z autopsji znali i przeżyli I wojnę światową, i w związku z tym odruchowo porównywali z nią II wojnę. Zwłaszcza Niemcom wyniki tej konfrontacji wydawać się musiały czymś nieprawdopodobnym. Proklamowaniu I wojny towarzyszył niebываły entuzjazm, początek drugiej przyjęto chłodno; I wojna toczyła się (nie licząc epizodu prusko-wschodniego) poza granicami Niemiec, w drugiej doszło do totalnej klęski i okupacji całego terytorium państwa niemieckiego; podczas I wojny ginęło dziesięć tysięcy niemieckich żołnierzy, podczas II wojny tylko na wschodzie dwa tysiące. O bandyckiej osobliwości II wojny światowej świadczyły masowe zbrodnie popełnione przez nazistów w krajach okupowanych, przede wszystkim wymordowanie europejskich Żydów i Romów oraz stworzenie systemu obozów koncentracyjnych pełniących funkcje fabryk śmierci. Rozmiary stwierdzonych potwornych przestępstw były tak rozległe, że po prostu nie mieściły się w głowie, toteż reakcją społeczeństwa niemieckiego po poznaniu okrutnej prawdy było wyrafinowane milczenie.

Podążając starania odbudowy państwa i przywrócenia normalnych warunków bytowania jego obywatelom Niemcy zmuszeni byli w końcu odnieść się do dwunastoletniej epoki panowania narodowego socjalizmu.

Dla rozrachunku z niedawną przeszłością wynaleziono pojęcie „przewycięzanie przeszłości” – *Vergangenheitsbewältigung*. Autorka obszernie relacjonuje tarapaty, jakie wywołało w środowisku intelektualnym stosowanie tego rzekomo nazbyt wieloznacznego pojęcia i w końcu dochodzi do słusznego wniosku, że sposób interpretacji, używania i nadużywania *Vergangenheitsbewältigung* zależy od bardzo wielu czynników. „W tym sensie każda próba uporania się z nią może być przedmiotem krytyki, która jest jednocześnie elementem debaty. Przewyciężyć można następstwa narodowego socjalizmu – powiada – nie zaś przeszłości, której już nie ma”.

Moim zdaniem jest to konkluzja wymijająca, tymczasem sprawa wymaga absolutnie jednoznacznego, wyrazistego aż do bólu stanowiska. Otóż nazizm był zjawiskiem w historii jednorazowym, niepowtarzalnym z tej racji właśnie, że zdarzył się w Niemczech, czyli jednym z najbardziej cywilizowanych, oświeconych narodów świata, w narodzie poetów i filozofów, a także kompozytorów i wynalazców. Narody szukające dla siebie wzorców w procesie modernizacji znajdowały je najczęściej w Niemczech (m.in. Japonia). Światli Niemcy wcześniej zdali sobie sprawę z wyjątkowości zbrodni, jaką popełnili i postanowili znaleźć jej przyczynę podejmując badania nad „niemiecką drogą odrębną” (*Sonderweg*). Przez kilkadziesiąt lat najwybitniejsi historycy, politolodzy, psychologowie społeczni i socjologowie trudnili się nad znalezieniem odpowiedzi na pytanie: dlaczego to właśnie MY? Na dobrą sprawę zadowalającego rozstrzygnięcia dotychczas nie znaleziono i chyba trzeba pogodzić się z tym, że nigdy się nie znajdzie. A skoro tak sprawy się mają, to Niemcy muszą pogodzić się także z tym, że im *nie wolno* zapomnieć o ludobójstwie, że z ostrożności także wszystkie przyszłe pokolenia po wsze czasy *winny* zachować o nim pamięć.

Rozdział II kończy autorka oceną tzw. denazyfikacji, po której mocarstwa okupacyjne obiecywały sobie, że przystosuje Niemców do życia w sposób zgodny z wymogami demokracji i społeczeństwa obywatelskiego. W gruncie rzeczy przedsięwzięcie już chociażby z uwagi na jego rozmiary poniosło fiasko. Może zresztą na szczęście, gdyż – jak twierdził filozof Hermann Lübbe – „właśnie połowiczność powojennej denazyfikacji w zasadniczej mierze zapewniła sukces bońskiej demokracji; gruntowna denazyfikacja, na którą tak wielu liczyło, doprowadziłaby do ekspatriacji milionów i już na wstępie przysporzyłaby nowej władzy zawziętych wrogów typu weimarskiego”.

W rozdziale III *Podzielony naród, podzielona pamięć* omawia autorka komplikacje i trudności, z jakimi borykać się musieli Niemcy szukający swojej tożsamości narodowej w warunkach istnienia dwóch odrębnych państw, przynależących do dwóch wrogo do siebie nastawionych potężnych militarnych bloków, oddzielonych tzw. żelazną kurtyną. W NRD za ideologię legitymizującą to państwo przyjęto antyfaszizm, wykorzystując m.in. fakt, iż komuniści byli przez nazizm traktowani jako najbardziej nieprzejednani wrogowie Hitlera. Absolutnym niewypałem okazał się pomysł władz NRD kreowania tzw. narodu socjalistycznego w Niemczech Wschodnich, aczkolwiek w niektórych zachowaniach zbiorowych, m.in. w kibicowskim ruchu sportowym

można było w obydwu państwach niemieckich dostrzec pewne objawy odrębnych nacjonalizmów. W gruncie rzeczy infantylnymi okazały się też działania mające przywrócić historyczne zasługi osobistościom pruskim z początków XIX wieku.

Autorka nie podjęła próby syntetycznej oceny roli NRD w historii Niemiec, chociaż czytelnik raczej z jej opisów i analiz wyciągnie wnioski jednoznacznie negatywne. Z pewnością jednak nie podziela ona przekonania znanego berlińskiego dziennikarza i publicysty, który na pytanie: „Jak przyszli historycy odnotują fakt kilkudziesięcioletniego istnienia Niemieckiej Republiki Demokratycznej?” odpowiedział: „Krótkim przypisem, że coś takiego istniało”. Dziesięć lat po zjednoczeniu Niemiec 52 proc. ludności landów wschodnich wyżej oceniło jakość życia w NRD niż w nowej Republice Federalnej. Ślady tego dysonansu poznawczego w skali masowej są zresztą nadal w zjednoczonych Niemczech postrzegane i odczuwane. NRD nie była sympatycznym i życzliwym Polsce sojusznikiem, tym niemniej jednak powinniśmy we wdzięcznej pamięci zachować Układ Zgorzelecki RP–NRD z 6 lipca 1950 roku, gdyż dzięki jego formule granicznej Polsce było o wiele łatwiej zawrzeć w 1990 roku traktat graniczny ze zjednoczonymi Niemcami. W dobrej pamięci powinniśmy też zachować postawę polityków NRD, którzy w przeciwieństwie do swoich kolegów z RFN nie zgłaszali przeciwwskazań odnośnie do udziału Polski w pertraktacjach „Dwa + cztery”, a w trakcie samych pertraktacji z reguły głosowali tak jak przedstawiciele moceństw, a nie politycy zachodnioniemieccy.

Część druga rozdziału III poświęcona jest Republice Federalnej Niemiec. Autorka słusznie stwierdza, że nawet najlepszy reżyser nie byłby w stanie przygotować i zrealizować programu polegającego na ukształtowaniu od podstaw demokratycznego państwa i jednoczesnej transformacji kultury politycznej w miejsce zbrodniczej dyktatury i to wszystko w trakcie odbudowy zniszczonego kraju, przywracania na nowo więzi społecznych, integrowania różnych środowisk uwikłanych we współpracę z systemem nazistowskim i prowadzenia powszedniej polityki. W Niemczech Zachodnich to na pozór niemożliwe do spełnienia oczekiwania zostało urzeczywistnione. Oczywiście nie od razu, ale też w niezbyt odległym czasie.

A. Wolff-Powęska zrazu nie zajmuje się w swojej pracy procesem odbudowy i tworzenia nowego państwa w Niemczech Zachodnich, jej uwagę pochłaniają natomiast niemal całkowicie kwestie świadomości zbiorowej. Jej zdaniem cechą wyróżniającą Niemców aż do początków lat sześćdziesiątych jest przemożna chęć zapomnienia nazistowskiej przeszłości oraz tęsknota za jednością i harmonią. W pierwszej fazie istnienia zachodnioniemieckiego państwa – stwierdza autorka – w atmosferze społecznej dezorientacji nie znaleziono spójnej formuły pamięci. Nie znaleziono jej też później, a to z tej prostej przyczyny, że jej po prostu nie ma. Niemcy – jak już na to wskazywałem – nie są bowiem w stanie wyjaśnić ani sobie, ani światu przyczyn, które sprawiły, że oni właśnie wyhodowali nazizm, który stał się sprawcą największej zbrodni w dziejach ludzkości (Goldhagen 2012). Tym samym nazizm, hitleryzm stał się znamiem niemieckości i ktokolwiek deklaruje się jako niemiecki patriota, przyznaje się także siłą rzeczy

do więzi z przekłętymi wartościami narodowosocjalistycznymi. Pozbawienie się tego piętna możliwe jest tylko poza granicami niemieckości: patriotą niemieckim może być tylko Niemiec, który optuje za wspólnotą europejską, czyli za zastąpieniem przeżytej wąskonacjonalistycznej formuły szerszą nowocześniejszą ideą czegoś w rodzaju Stanów Zjednoczonych Europy.

Niemcy byli od początku, tj. od powstania Unii Zachodnioeuropejskiej i pozostali poprzez wszystkie kolejne fazy poszerzania się, umacniania i modyfikacji Wspólnoty Europejskiej najbardziej zdecydowanymi zwolennikami integracji europejskiej. Oni też stali się najgorliwszymi użytkownikami międzynarodowej turystyki. W latach sześćdziesiątych i później zarówno pod wpływem cudu gospodarczego, jak i zmian generacyjnych w społeczeństwie zachodniemieckim następuje zmiana klimatu politycznego, rodzi się ferment intelektualny, kończy się era panowania chadeków, a w 1969 roku po raz pierwszy władzę obejmują socjaldemokraci wraz z liberałami. Autorka obrazując przemiany, jakie zachodziły w postawach i zachowaniach społecznych w tym czasie zajmuje się ruchem studenckim i jego konfliktem z generacją wojenną; ogólnonarodową dyskusją, jaką wywołało wyświetlenie amerykańskiego czteroczęściowego filmu *Holocaust*; a jeszcze wcześniej dyskusją nad książką hamburskiego historyka Fritza Fischera *Sięgnięcie po władzę nad światem*, w której dowodził on odpowiedzialności cesarskiej Rzeszy za wywołanie pierwszej wojny światowej; przebiegiem procesów oskarżonych oprawców z Auschwitz przed sądem we Frankfurcie nad Menem w 1963-1964, a później esesmanów z Bełżca, Treblinki i Sobiboru. Nawiasem mówiąc, dzięki przyjacielowi, znanemu telewizyjnemu sprawozdawcy red. Henrykowi Kollatowi wziąłem udział w procesie morderców we Frankfurcie. Wytrzymałem tylko kilka godzin. Jako b. więzień Mauthausen-Gusen nie mogłem znieść pełnego buty, bezczelności i zarozumiałstwa zachowania zarówno oskarżonych, jak i obrońców, a także prokuratorów oraz świadków – b. więźniów, którzy wydawali się po prostu strasznie przerażeni.

W miarę jak RFN zyskiwała status „normalnego” liberalno-demokratycznego państwa należącego do czołówki najbardziej rozwiniętych krajów świata, coraz częściej zaczęto podejmować dyskusję nad tożsamością narodową Niemców i ich patriotyzmem. Jedną z najoryginalniejszych propozycji zgłosił publicysta Dolf Sternberger, który proklamował w 1982 r. tzw. patriotyzm konstytucyjny. Idea ta została entuzjastycznie przyjęta przez opinię publiczną, wkrótce nazwisko jej twórcy poszło w zapomnienie, a za głównych szermierzy patriotyzmu konstytucyjnego uznano Jürgena Habermasa i Ralfa Dahrendorfa. Wspólnota Niemców zrazu tylko w RFN, a później zjednoczonych w jednym państwie legitymuje się na bazie konstytucji, ustanawiającej porządek społeczno-polityczny oparty na zasadach demokracji, praworządności, równości i opiekuńczości. Republika Federalna jawi się w świetle kreatywnej siły, jaką jest Konstytucja jako wspólnota polityczna ze stosunkowo nieznaczną tylko symboliką narodową, interpretacją narodową i świadomością historyczno-narodową. Zakodowane w ustawie zasadniczej regulacje instytucjonalno-ustrojowe oraz wartości obywatelskie tworzą model zachowań narodowo-patriotycznych,

ów konstytucyjny patriotyzm właśnie, z którym mogą ale i powinni utożsamiać się współcześni Niemcy. Niewątpliwym zgrzytem w dyskusji nad stosunkiem narodu i państwa oraz patriotyzmem był tzw. „spór historyków” (*Historikerstreit*), który zakończył się jednak odrzuceniem też Ernsta Noltego.

Rozdział IV *Republika berlińska: maraton pamięci* przenosi nas całkowicie do Niemiec teraźniejszych. Po zjednoczeniu Niemcy po raz drugi w XX stuleciu stanęły wobec konieczności „przezwyciężenia przeszłości”; tym razem obiektem masowej czystki stał się represyjny system społeczno-polityczny NRD i panująca w nim kultura polityczna. Warunki, w jakich przeprowadzono denazyfikację w 1945 roku i lustrację w 1990 roku były z gruntu odmienne, toteż stopień i skala udratyzowania przebiegu i skutków lustracji były nieporównanie łagodniejsze niż próba rozliczenia się z nazizmem. Tym niemniej procesowi jednoczenia towarzyszyły zmiany w mentalności społecznej, które znajdowały swój wyraz w publicznych dyskusjach i kontrowersjach. Autorka wyróżnia cztery tematy, które jej zdaniem najsilniej oddziaływały na kształtowanie się tożsamości narodowej i samookreślenie nowopowstałego państwa, a także na poglądy dotyczące wojny i odpowiedzialności za jej potworne skutki.

Pierwszą debatą, która zrazu zasięgiem i ujawnioną okrutną prawdą zmieniła świadomość historyczną Niemców była wystawa poświęcona Wehrmachtowi zorganizowana przez hamburski Instytut Badań Społecznych pod nazwą *Wojna na wyniszczenie. Zbrodnie Wehrmachtu 1941-1944*. Prezentowano ją najpierw w latach 1995-1999 w 39 miastach niemieckich i austriackich i ponownie od końca 2001 roku. Zainteresowanie wystawą było olbrzymie, a reakcje na jej demaskatorską wymowę zgodnie z oczekiwaniami zróżnicowane. Część zwiedzających uznała ją za paszkwil szkodzący dobremu imieniu Niemiec, ale dla większości było to ujawnienie gorzkiej prawdy o bezmiarze zbrodni zwinionych przez naród niemiecki, którego wizytówką wyjątkowo reprezentacyjną był przecież Wehrmacht.

Równie szeroki rozgłos i podobnie dogłębne skutki psychospołecznego ujawnienia prawdy o zbrodniczym obliczu Wehrmachtu wywołało w RFN ukazanie się książki młodego amerykańskiego badacza Daniela Johna Goldhagena *Gorliwi kaci Hitlera* (1996). Oburzenie znacznej części społeczności niemieckiej wywołał fakt, że Goldhagen obwinia za holokaust nie hitlerowców ani nazistów czy niemieckich faszystów, lecz po prostu naród niemiecki i niemiecki antysemityzm. Autorka słusznie stwierdza, że w „sporze o Goldhagena nie chodziło tylko o metodologię i obronę historyków, tu chodziło o wszystkich Niemców, o wrażliwość polityczną Republiki Federalnej Niemiec”.

Wyjątkowo nieprzyjemny wydzwięk pozostawił po sobie kolejny incydent nawiązujący do debaty na temat niemieckiej tożsamości, a mianowicie przemówienie Martina Walsera, jednego z najwybitniejszych współczesnych pisarzy wygłoszone podczas odbioru Nagrody Pokojowej Niemieckich Księgarzy 11 października 1998 r. w słynnym kościele św. Pawła we Frankfurcie nad Menem. Otóż Walszer znany raczej jako zwolennik surowej moralnej lustracji zbrodni nazistowskich w uroczystych dla siebie okolicznościach wystąpił z niezwykle ostrym potępieniem przesadnego jego zdaniem

wytykania Niemcom Auschwitz oraz nadmiernej rytualizacji pamięci o Holocauście. Walszerowi odpowiedział Ignatz Bubis, przewodniczący Centralnej Rady Żydów w Niemczech 9 listopada 1998 r., po czym doszło do obfitej wymiany poglądów między stronnikami obydwu wiodących spór stron. Moim zdaniem rację miał oczywiście Bubis, gdyż – jak już o tym wspominałem – dopóki Niemcy nie znajdą odpowiedzi na pytanie, dlaczego właśnie oni są sprawcami ludobójstwa, dopóty po wsze czasy nie wolno im o tym zapomnieć.

Ostatnią przedstawioną przez autorkę relacją dotyczącą stosunku Niemców do własnej przeszłości stanowi problem upamiętnienia zbrodni Holocaustu w postaci budowy centralnego pomnika jego ofiar. Sprawą tą interesowałem się oczywiście, ale nie wciągała mnie ona szczególnie intensywnie. Autorka potrafiła ukazać wielowymiarowość tej najdłuższej – jak się okazuje – dysputy publicznej w RFN, racje przemawiające za i przeciw idei pomnika, argumenty świadczące o wysokiej kulturze politycznej i zdolności myślenia kategoriami racji stanu społeczeństwa jeszcze niedawno żyjącego w dwóch zwalczających się państwach. Podsumowując rozdział poświęcony debatom, które zmieniły Niemcy, Wolff-Powęska dochodzi do wniosku, że „trzeba historię przewycięzania przeszłości odczytywać również jako historię racjonalizacji Republiki Federalnej. Nie dlatego jakoby Republika Federalna przez to znów rozwinęła porównywalny z Rzeszą cesarską nacjonalistyczny *habitus*, lecz ponieważ poprzez pracę nad przeszłością jako podstawą legitymizacji poszukiwano i znaleziono nowy konsens narodowy; zgodność co do tego, co znaczy móc być Niemcem. Być Niemcem [...] znaczy zmagać się z przeszłością narodowosocjalistyczną”.

Ostatni piąty rozdział książki *Święta pamięci* poprzedza esej na temat pamięci jako rytuału, za szczególnym uwzględnieniem politycznego rytuału pamięci w kraju, który był ojczyzną nazizmu. Po zakończeniu II wojny światowej wybór wydarzeń historycznych godnych upamiętnienia oraz określenia rodzaju rytuału, który miał temu wyborowi towarzyszyć stanowił dla Niemców problem niebywale trudny, na dobrą sprawę nierozwiązywalny. Godne uczczenia daty historyczne są zazwyczaj radosne, usposabiają do optymizmu i dobrej nadziei, tymczasem udziałem Niemców po bezwarunkowej kapitulacji mógł być tylko wstyd, żałoba i pokuta. „Wszyscy – powiada autorka – duzi i mali przestępcy, winni i niewinni, prześladowani i ci, którzy we względnej stabilizacji przeżyli wojnę, wszyscy poszukiwali optymalnej strategii przetrwania”.

8 maja był postrzegany w pierwszej chwili bądź jako dzień druzgocącej klęski, bądź też jako wymarzony dzień wyzwolenia. Odnosi się to przede wszystkim do NRD, gdzie „dzień wyzwolenia” od początku stanowił element antyfaszystowskiej racji stanu oraz RFN, gdzie dzień ten zrazu ignorowano. W miarę upływu czasu, umacnianiu się pozycji polityczno-ekonomicznej Niemiec Zachodnich w Europie i w świecie następowała też zmiana stosunku RFN do rocznicy 8 maja. Nie przychodziło to łatwo i nie bez przykrych wpadek. Jedną z najżałośniejszych była wspólna wizyta kanclerza H. Kohla i prezydenta R. Reagana na cmentarzu wojskowym w Bitburgu, gdzie pochowanych było kilkudziesięciu SS-manów. Rocznicą zakończenia wojny w 1945 r. przeszła jednak do historii dzięki wspania-

temu przemówieniu prezydenta Republiki Federalnej Niemiec Richarda Weizsäckera w Bundestagu, w którym ten szlachetny i mądry człowiek proklamował dzień 8 maja 1945 r. jako święto wyzwolenia.

Pięćdziesiąta rocznica końca wojny obchodzona była już w Zjednoczonych Niemczech. Jednym z najbardziej spektakularnych jej wyróżników było znakomite przemówienie polskiego ministra spraw zagranicznych Władysława Bartoszewskiego w Bundestagu w dniu 28 kwietnia 1995 r. Dziesięć lat później cechą szczególną obchodów było poprzedzenie ich prawdziwą lawiną publikacji i manifestacji dotyczących niemieckich strat w czasie bombardowań angloamerykańskich zwłaszcza Drezna oraz ucieczki i ewakuacji ludności cywilnej ze Wschodu, w szczególności zatopienia „Wilhelma Gustloff’a” przez okręty radzieckie.

Drugim wydarzeniem, które w kalendarzu ważnych świąt narodowych zajęło w RFN wyróżnione miejsce jest tzw. noc kryształowa, która wydarzyła się 9 listopada 1938 roku. Autorka w sposób nad wyraz sugestywny przedstawiła tło i przebieg tego barbarzyńskiego aktu, który zapoczątkował proces „odżydzania”, tj. wykluczania Żydów z gospodarki, pozbawiania ich w sposób całkowicie samowolny majątku, oszczędności i pracy. W gruncie rzeczy pogrom listopadowy stanowił generalną próbę przed „ostatecznym rozwiązaniem”. Rzucała się zwłaszcza w oczy niebywała obłudność i tchórzostwo przedstawicieli opinii publicznej, w tym duchowieństwa katolickiego i ewangelickiego w ocenie rozwydrzenia uczestników antysemickich ekscesów, których tchórzliwie usprawiedliwiano. Wraz ze wzrostem znaczenia przypisywanego przez RFN Holocaustowi, również w kryształowej nocy zaczęto postrzegać donioślejsze wydarzenie historyczne oddziałujące na niemiecką tożsamość narodową.

Na zakończenie autorka podejmuje kwestię dla nas Polaków szczególnie doniosłą i wzbudzącą wielką gamę rozmaitych uczuć, ocen i wniosków, z reguły wolańskich o pomstę do nieba. Chodzi o sposób potraktowania przez Niemcy pierwszej ofiary ich wojennej napaści. Anna Wolff-Powęska stawia pytanie: „Dlaczego polityka hitlerowskich Niemiec w okupowanej Polsce, która przyniosła bezprzykładne wyniszczenie polskiej inteligencji, spustoszyła kraj i spowodowała niezliczone cierpienia i straty, pozostała poza sferą zainteresowań niemieckiego sąsiada (...) nie przebiła się do kulturowej pamięci Niemców?”. Autorka stara się odpowiedzieć na to pytanie, ale – takie odnoszę wrażenie – nie jest przekonana iż znalazła w pełni zadowalającą formułę. W 1989/1990 roku, tj. okresie polskiej transformacji ustrojowej i zjednoczenia Niemiec nastąpił ogromny postęp w zbliżeniu polsko-niemieckim, a nawet w pojednaniu dwóch niedawno zaciekle zwalczających się narodów. O tym, czy ta tendencja w pełni się urzeczywistni, zdecydować może tylko fakt, że – jak to podkreśla autorka – naród niemiecki, ale także inne narody, w tym także naród polski, ograniczą się do jednej z ról, jakie sobie przypisują – tej, którą wyznacza wspólnota odpowiedzialności (podkr. WM).

WŁADYSŁAW MARKIEWICZ

Warszawa, w lutym 2012r.

Anna Wolff-Powęska, *Pamięć – brzemię i uwolnienie. Niemcy wobec nazistowskiej przeszłości (1945-2010)*, Zys i S-ka Wydawnictwo, Poznań 2011, s. 583.

JAN BRONIEK

LITTERIS ET ARTIBUS CRACOVIAE. DLA KULTURY KRAKOWA

25-lecie Fundacji Kultury Polskiej

Piękny tytuł nadany przez Aleksandra Krawczuka wydanej niedawno monografii krakowskiej Filii Fundacji Kultury Polskiej w pełni oddaje sens i treść naszego działania w czasie 25 lat, jaki minął od powołania fundacji oraz jej krakowskiej filii.

Fundacja Kultury Polskiej jako pozarządowa organizacja założona została przez 234 najwybitniejszych polskich artystów, naukowców i animatorów kultury mieszkających w Polsce i za granicą, gdy gasła już omnipotencja państwa i zachodziła konieczność poszukania nowych sposobów finansowania i promowania kultury. Fundacja¹ od początku oraz w czasie całego ćwierćwiecza działalności, pomimo przeszkód i trudności znajdowała środki na promocję szeroko rozumianej twórczości wybitnych artystów, a w przypadku krakowskiej filii także krzewieniu wiedzy o tradycjach i kulturze naszego miasta. Trzeba bowiem dodać, że w statucie fundacji, staraniem ówczesnego ministra kultury, Aleksandra Krawczuka, obok stwierdzenia o działalności na terenie Rzeczypospolitej i za jej granicami, znalazł się w uznaniu dla krakowskiego środowiska kultury i nauki, jego wyjątkowej roli w Polsce, zapis konieczności powołania i działalności w ramach fundacji – jej krakowskiej filii.

* * *

Krakowska filia fundacji zainaugurowała działalność 30 czerwca 1988 r. W skład Rady filii weszło 32 członków-założycieli fundacji z Krakowa, przedstawiciele świata kultury i nauki: Jan Maria Bartel, Janusz Bogdanowski, Jan Broniek, Adam Bujak, Bronisław Chromy, Zbigniew Czop, Mieczysław Czuma, Kaja Danczowska, Ewa Demarczyk, Jerzy Duda-Gracz, Józef Gierowski, Tadeusz Kantor, Julian Kawalec, Józef Klasa, Marian Konieczny, Aleksander Krawczuk, Hieronim Kubiak, Andrzej Lisowski, Ewa Michnik, Władysław Niessner, Jerzy Nowosielski, Krzysztof Penderecki, Andrzej Pietsch, Zbigniew Regucki, Michał Rożek, Elżbieta Stefańska, Jerzy Szablowski, Jan Szancenbach, Zbigniew Świąch, Jerzy Trela, Władysław Wójcikiewicz i Zdzisław Żygulski jr.

Krakowska filia posiadała znaczną samodzielność programową i finansową. Środki wypracowane staraniem filii i uzyskiwane od sponsorów pozostawały w Krakowie i zabezpieczały realizację programu uchwalanego przez Radę filii. Umożliwiało to m.in. materialne i programowe wspieranie inicjatyw krakowskich twórców i instytucji artystycznych, wspomaganie organizatorów festiwali sztuki, dotowanie wydawania książek, ambitnych periodyków i katalogów wystaw, przyznawanie stypendiów młodym twórcom i nagród pieniężnych. Do 1994 r. filia prowadziła własną działalność gospodarczą i wydawniczą traktowaną

jako jedno ze źródeł pozyskiwania funduszy na realizację celów statutowych. Innym ważnym źródłem uzyskiwania funduszy był sponsoring na konkretne, szlachetne i ważne z punktu widzenia kultury cele.

Jednym z pierwszych zadań, jakie przyjęliśmy na siebie, był udział w odnowie zabytków na kresach dawnej Rzeczypospolitej wybranych przez komisję polsko-ukraińską ds. ratowania zabytków. Zadanie to realizowała cała fundacja, natomiast krakowskiej filii powierzono odnowę nagrobków i grobów na cmentarzu Łyczakowskim. W dziedzinie tej działali aktywnie m.in. Marian Konieczny, Władysław Niessner, Zbigniew Świąch oraz piszący te słowa. Na apel filii odpowiedziały instytucje, firmy i prywatne osoby nie tylko w postaci wsparcia finansowego, ale i innych formach pomocy. Tak więc np. Mieczysław Czuma zainicjował akcję „Twórcy na rzecz odnowy cmentarza Łyczakowskiego”. Na apel odpowiedzieli Jerzy Duda-Gracz, Jan Szancenbach i Jerzy Nowosielski przekazując swoje dzieła na aukcję. Jan Migdalski, dyrektor Domu Książki zorganizował aukcję książek. Zwrócono się do wszystkich większych wydawnictw o przekazanie książek na ten cel. Aukcja w Krakowskim Domu Kultury, zorganizowana przy pomocy dyrektora tej placówki Zdzisława Lesia, przyniosła znaczący dochód. Ewa Michnik, dyrektor opery i operetki oraz jej zespół przeznaczyli dochód z jednego przedstawienia opery *Moniuszki* w reżyserii Marii Fołtyn na odnowę cmentarza. Przy okazji zorganizowano zbiórkę pieniędzy. Podobną zbiórkę zorganizowano podczas Kongresu Uczonych Polskiego Pochodzenia. W rezultacie zgromadzone środki pozwoliły na wykonanie prac konserwatorskich w 14 grobowcach i nagrobkach znanych Polaków. Prace wykonał zespół konserwatorów Pracowni Konserwacji Zabytków w Krakowa.

Przedsięwzięto i inne akcje dotyczące Kresów Wschodnich. Przeprowadzono zbiórkę książek dla tamtejszych polskich szkół i w jej wyniku przekazano 2600 książek dla szkół we Lwowie. Filia wydała ponadto plan cmentarza Łyczakowskiego w opracowaniu profesora Stanisława Niciej oraz zorganizowała wystawę „Lwów w starej fotografii”. Później filii udało się wspomóc odnowę kościoła i grobowca Fredrów oraz kościoła w Wołczynie.

Poszukując środków na działalność statutową, we współdziałaniu z zarządem fundacji w Warszawie powołaliśmy spółkę Oficyna Cracovia utworzona przez FKP, Dom Książki i Drukarnię Narodową. Oficyna z powodzeniem realizowała ambitne plany wydawnicze, wydała wiele poszukiwanych książek i przynosiła dochód. Po kilku latach zarząd fundacji zdecydował o odstąpieniu od działalności gospodarczej, zaś udziały w oficynie zostały sprzedane. Wydawnictwo dobrze zapisało się na mapie kulturalnej Krakowa.

Z nadzieją na pozyskanie środków powołano także spółkę pod nazwą Agencja Handlowo-Turystyczna „Argona”. Decyzją zarządu fundacji o zaprzestaniu dzia-

¹ Pierwszym przewodniczącym Rady Fundacji był Stanisław Wisłocki; prezesem Zarządu – Tadeusz Polak. Obecnie przewodniczącą Rady jest Beata Tyszkiewicz, a prezesem Zarządu Rafał Skąpski. Krakowska Filia reprezentowana jest w Zarządzie Fundacji przez Aleksandra Krawczuka, Jana Brońka i Zbigniewa Czopa. Wcześniej, przez kilka lat członkiem Zarządu był Zbigniew Świąch. Członkiem Komisji Rezyzyjnej jest Marian Konieczny.

łałości gospodarczej nasze udziały zostały również sprzedane. Fundacja w dalszym ciągu wydawała jednak np. krzyżówkę *Krakus*, wydała plan *Twierdza Kraków* opracowany przez prof. Janusza Bogdanowskiego i podarowany fundacji, wydano wspólnie z Fundacją dla UJ wideokasetę *Kraków i jego uniwersytet*. Przez kilka lat zajmowaliśmy się także pośrednictwem w sprzedaży artykułów RTV i armatury łazienkowej.

Jak wiadomo, na początku transformacji ustrojowej odstąpiono od fundowania nagród. W krakowskiej filii postanowiliśmy nie zrywać jednak z tradycją. W grudniu 1990 r. rada filii powołała kapitułę nagrody. Jej członkami byli Adam Bujak, Mieczysław Czuma, Andrzej Lisowski, Henryk Markiewicz, Ewa Michnik, Tadeusz Nyczek i Jerzy Trela. Kapituła na wniosek stowarzyszeń twórczych, uczelni artystycznych, redakcji i swoich członków przyznawała przez wiele lat dwie znaczące nagrody pieniężne: dla dojrzałego twórcy za całokształt dokonań artystycznych – ze szczególnym uwzględnieniem osiągnięć w danym roku oraz dla szczególnie utalentowanego i aktywnego krakowskiego twórcy, który nie ukończył jeszcze 35. roku życia. Wśród tych laureatów byli m.in. Krystian Lupa, Leszek Aleksander Moczulski, Stanisław Gałoński, Ireneusz Kania, Małgorzata Hajewska-Krzysztofik, Robert Kabara, Jan Stoberski. Łącznie przyznano ponad 20 nagród.

Obecnie nagrody pieniężne przyznaje kapituła pod przewodnictwem pani Beaty Tyszkiewicz, powołana przez zarząd fundacji. Pierwszą Wielką Nagrodę „Złote Berło” za rok 1999, jako symbol panowania w kulturze i 100 tys. zł (obecnie 110 tys. zł) ufundowane przez BIG Bank Gdański (obecnie Millennium) otrzymał Jerzy Giedroyc. Od tamtego czasu przyznaje się tę nagrodę corocznie. „Złote Berło” za 2000 r. zostało przyznane Wojciechowi Kilarowi, w 2001 r. – Stanisławowi Lemowi, w 2002 r. – reżyserowi filmowemu Romanowi Polańskiemu, w 2003 r. solistce operowej Ewie Podleś, w 2004 r. Sławomirowi Mrożkowi, w 2005 r. aktorowi Januszowi Gajosowi, w 2006 r. poecie Tadeuszowi Różewiczowi, w 2007 r. artystce operowej Marii Fołtyn, w 2008 r. poecie i piosenkarzowi Wojciechowi Młynarskiemu, w 2009 r. kompozytorowi Krzysztofowi Pendereckiemu, w 2010 r. rzeźbiarzowi Józefowi Wilkoniowi, w 2011 r. pisarzowi Wiesławowi Myśliwskiemu. Stanisław Lem, Sławomir Mrożek i Krzysztof Penderecki otrzymali nagrody na wniosek krakowskiej rady filii i osobiście Aleksandra Krawczuka członka Kapituły Nagrody „Złotego Berła”.

Później powstały nowe projekty. Rada postanowiła przyznawać corocznie nagrodę honorową dla wybitnych twórców i zasłużonych animatorów kultury z Krakowa. Po kilku latach postanowiono wyróżnić ludzi kultury nagrodą Złoty Laur „Za mistrzostwo w sztuce”. Nie sposób wymienić wszystkich spośród ponad stu trzydziestu laureatów. Nagrodą honorową wyróżniono 60 osób, otrzymali ją m.in.: Ludwik Jarzy Kern, Jan Szancenbach, Janusz Bogdanowski, Tadeusz Chrzanowski, Marian Konieczny, Jan Pieśczechowicz, Kazimierz Mikulski, Henryk Markiewicz, Wiktor Zin, Franciszek Ziejka, Andrzej Kurz, Kazimierz Wiśniak, Jerzy Trela, Jerzy Jarocki, Jan Paweł Gawlik, Stanisław Radwan, Jerzy Nowak, Wiesław Ochman, Mieczysław Porębski, Jerzy Katlewicz, Zdzisław Żygulski jr, Julian Kawalec, Władysław Hasior, Krzysztof Jasiński, Michał Niezabitowski, Mieczysław Czuma, Zbigniew Świąch. Galerię laureatów uświetniają wielkie damy polskiej kultury: Ewa Michnik, Kaja Danczowska, Elżbieta Stefańska, Teresa Chylińska, Ewa Lipska, Marta

Stebnicka, Halina Kwiatkowska, Anna Dymna, Zofia Gołubiew, Halina Gryglaszewska, Jadwiga Romańska.

Złoty Laur otrzymało 59 znakomitych postaci krakowskiej kultury. Są tu wspaniali twórcy i animatorzy kultury, o których szeroko informowano w mediach. Przypomnijmy kilkanaście nazwisk: Anna Polony, Anna Szałapak, Anna Woźniakowska, Maria Malatyńska, Beata Rybotycka, Janina Górka-Czarnecka, Agata Duda-Gracz, Beata Szymańska, Jerzy Madeyski, Zbigniew Witek, Andrzej Sikorowski, Leszek Piskorz, Krzysztof Globisz, Edward Lubaszenko, Roman Banaszewski, Jerzy Nowakowski, Edward Chudziński, Stanisław Batrucho, Józef Baran, Wacław Krupiński, Janusz Trzebiatowski, Stanisław Dziedzic, Marian Dziędziel, Andrzej Zarycki, Jan Nowicki, Jan Kanty Pawluśkiewicz, Zygmunt Konieczny, Tadeusz Malak, Tadeusz Bednarski, Bogusław Schaeffer, Michał Rożek, Jarosław Śmietana, Józef Opalski, Jerzy Skrobot, Zbigniew Wodecki.

Przypomnijmy jeszcze inne inicjatywy zrealizowane przez krakowską filię. Dwukrotne dofinansowanie działalności artystycznej Capelli Cracoviensis (w tym wyjazdu do Japonii) i koncertu wybitnego pianisty Grigorija Sokolowa w Krakowie. Aktywne wspieranie inicjatyw studenckiego ruchu artystycznego, w tym kilkakrotne fundowanie nagród dla laureatów Festiwalu Piosenki Studenckiej. Ufundowanie stypendiów m.in. dla młodego utalentowanego pianisty Stefana Łabanowskiego, skrzypka Marcina Markowicza – dziś kapelmistrza w filharmonii we Wrocławiu, dla młodej krakowskiej skrzypaczki Ewy Pyrek – obecnie koncertuje na wielkich salach koncertowych Europy, studentowi kompozycji i dyrygentury Marcinowi Beli (dwukrotnie), Justynie Kieresińskiej (architekt wewnątrz). Stypendiów dla młodych artystów malarzy: Marii Adamus, Mirosławy Jagiełło, Pawła Dutkiewicza, Dominiki Szlezzyngier, młodej pianistce Paulinie Tkaczyk, studentce AM w klasie Kai Danczowskiej Paulinie Pogoda – fundatorem była Joanna Piotrowska-Regucka oraz stypendium (dwukrotnie) dla wybitnej znawczyni i autorki wielu tomów opracowań o życiu i twórczości Karola Szymanowskiego Teresy Chylińskiej. Udzieliłiśmy pomocy w zgromadzeniu pieniędzy na pokrycie kosztów wyjazdu na konkurs do Włoch młodego pianisty Piotra Machnika uczestniczącego w I etapie XVI Konkursu Chopinowskiego. Przekazaliśmy środki finansowe dla laureatów kolejnych konkursów „Rzeźba Roku”. Dotacja dla miesięcznika „Odra” ułatwiła przygotowanie bloku materiałów poświęconych kulturze Krakowa oraz wspólne ogłoszenie konkursu na reportaże i opowiadania pt. Piękni Dwudziestolenni w 1993 roku. Ufundowaliśmy nagrodę na Międzynarodowym Festiwalu Filmów Krótkometrażowych, którą otrzymał reżyser Grzegorz Krolikiewicz, sfinansowaliśmy katalog wystawy artystów krakowskich w Kijowie w ramach „Dni Krakowa”, ufundowaliśmy stypendium dla Ewy Bigus, autorki pracy magisterskiej o Krzysztofie Komedzie oraz urnę na prochy Stanisława Augusta Poniatowskiego wykonaną przez Antoniego Kostrzewę. Urna znajduje się na Zamku Królewskim w Warszawie. Pokryliśmy ponadto koszty konserwacji malarstwa sakralnego w kościele w Wołczynie i tablicy upamiętniającej Bruno Schulza w Drohobyczu.

Ponadto zorganizowaliśmy spotkanie zagranicznych absolwentów polskich uczelni w celu umocnienia ich związków z Polską, zwłaszcza z kulturą krakowską. Między innymi pomogliśmy finansowo w organizowaniu festiwalu twórczości Sławomira Mrożka. Znacząca pomoc w zorga-

nizowaniu wielkiej wystawy malarstwa Andrzeja Strumiłły *Psalmy* w zabytkowych piwnicach przy ul. Kanoniczej 12 w ramach programu artystycznego towarzyszącego Sesji KBWE. Wernisaż z udziałem artysty zgromadził liczne grono ludzi świata kultury i polityki. Obecny był ówczesny senator Andrzej Wajda. Staraniem filii został wydrukowany plakat i piękny katalog wystawy. Twórczość Andrzeja Strumiłły została również zaprezentowana w Krakowie w Pałacu Sztuki w 2011 roku dzięki życzliwości prezesa TPSP Zbigniewa Kazimierza Witka. Pomogliśmy w promocji cennej publikacji autorstwa Eugeniusza Kurzawy i Andrzeja Strumiłły *Wigry – Kultura i środowisko*, m.in. organizując spotkanie autorów z dziennikarzami i przedstawicielami nauki.

Uczestniczyliśmy w przygotowaniu wystawy światowej sztuki współczesnej pt. *Kolekcja Muzeum Artystów*, która jest w zbiorach krytyka sztuki i wiceprezydent Międzynarodowego Stowarzyszenia Sztuki pani Marii Anny Potockiej, dziś dyrektora Muzeum Sztuki Współczesnej MOCAK oraz w organizacji, również w ramach sesji KBWE, wystawy *Europa nieznana* w Pałacu Sztuki. Udzielono ponadto pomocy finansowej przy organizowaniu wielkiej wystawy twórczości Jerzego Nowosielskiego. Przeznaczona przez filię znaczna kwota na pokrycie kosztów albumu wydanego przez muzeum w Poznaniu (właściciela ekspozycji) umożliwiła zorganizowanie wystawy w krakowskim BWA. Sfinansowaliśmy wydanie w języku angielskim tomu poezji Wisławy Szymborskiej *Ludzie na moście*. Głośnym echem odbiła się również ogłoszona przez „Przekrój” subskrypcja na medal Józefa Piłsudskiego według projektu Konstantego Laszczki. Zgodnie z regulaminem 99 medali zostało rozlosowane i przekazane uczestnikom subskrypcji spośród 1800 chętnych. Część zysku firma przekazała na rzecz odnowy cmentarza Łyczakowskiego we Lwowie. W redakcji „Przekroju” subskrypcją medalu zajmowali się: Mieczysław Czuma i Andrzej Ruchałowski.

Na wniosek Jerzego Dudy-Gracza i na prośbę ambasadora RP w Rzymie, przekazaliśmy do zbiorów Gallerii Uffizi cztery autoportrety wybitnych krakowskich artystów malarzy: Jana Szancenbacha, Juliusza Joniaka, Janiny Kraupe-Świdorskiej i Józefa Lucjana Ząbkowskiego. Galeria ta od lat gromadzi autoportrety twórców z różnych stron świata. Uznaliśmy, że jest to także sposób na promowanie Krakowa.

Działalność Fundacji Kultury Polskiej w Krakowie znajduje uznanie środowisk twórczych, animatorów kultury i władz miasta; zwłaszcza jego prezydenta, wielkiego miłośnika i znawcy kultury. W liście do nas przed kilkoma laty profesor Jacek Majchrowski napisał: „Nie sposób wymienić całokształt zasług krakowskiej Filii Fundacji Kultury Polskiej – owoce jej wieloletniej działalności. Filia podjęła znaczącą misję wspierania i promocji polskiej kultury, jej twórców oraz ochronę dziedzictwa narodowego na terenie kraju i poza jego granicami. Cel ten z sukcesem realizuje. Słowa uznania kieruję zwłaszcza w stronę Pana Profesora Aleksandra Krawczuka – przewodniczącego Rady krakowskiej Filii oraz Pana Jana Brońka – jej sekretarza, uczestniczących w pracach fundacji od samego początku. Wspólnie z członkami Rady Filii wyznaczali kierunek działań i zakres podejmowanych inicjatyw, budując w ten sposób autorytet organizacji.

Pragnę wyrazić wdzięczność za troskę i opiekę finansową nad dobrami i zabytkami kultury polskiej, docenię podjęte przed laty zobowiązania nagradzania tych najbardziej zasłużonych dla rodzimej nauki i sztuki. Wśród nich odnaj-

dujemy nazwiska wybitnych Polaków, cenionych w kraju i rozślawiających jego imię za granicą. Lista laureatów tych nagród – m.in. „Złotego Berła”, jednego z bardziej prestiżowych krajowych wyróżnień za działalność kulturalną, przyznawanych przez Kapitułę pod przewodnictwem Pani Beaty Tyszkiewicz, Nagrody Honorowej krakowskiej Filii czy Złotego Lauru „Za mistrzostwo w sztuce” – napawa dumą i umacnia nas w przeświadczeniu o bezcennej roli kultury wysokiej w życiu społeczeństwa”.

Na pozytywny obraz działania krakowskiej filii składa się wiele przyczyn. Działamy w Krakowie już ćwierć wieku. Cały ten czas na czele rady filii stoi wybitny historyk i społecznik, profesor Aleksander Krawczuk. Jego dorobek naukowy, publicystyczny, jego działalność społeczna i twórczy wkład do realizacji zadań statutowych, nadają filii wysoką rangę. Profesor 7 czerwca 2012 obchodził jubileusz 90. urodzin. Z tej okazji prezydent miasta wydał 8 czerwca uroczyste śniadanie na cześć Jubilata. Członkowie rady to ludzie o znaczącym dorobku w dziedzinie kultury, gwarantujący powstawanie ważnych projektów i aktywny udział w ich realizacji. Niektórzy od lat sponsorują działalność filii i pomagają w pozyskiwaniu środków. Wyrazy wdzięczności należą się szczególnie Józefowi Klasie, Zbigniewowi Reguckiemu i jego żonie Joannie Piotrowskiej-Reguckiej, Zbigniewowi Dymkowi, Sobiesławowi Zasadzie, Mieczysławowi Czumie, Józefowi Spiszkowi, Krzysztofowi Nitschowi, Zbigniewowi Czopowi.

Pomaga w naszej działalności dobry klimat panujący wokół fundacji, w tym jej krakowskiej filii. Obserwujemy życzliwość mediów, informujących o naszej pracy i dorobku naszych laureatów.

Wiele osób i instytucji pomaga honorowo w realizacji inicjatyw. Wdzięczni jesteśmy za to prezydentowi miasta, dyrektorowi Wydziału Kultury i Dziedzictwa Narodowego UMK, dyrektorowi Muzeum Historycznego pomagającemu w organizowaniu znaczących uroczystości, dyrektorowi b. Hotelu Cracovia i innym. Wdzięczni jesteśmy także honorowo koncertującym na imprezach fundacji w Sali Hołdu Pruskiego w Sukiennicach czy Sali Fontany Muzeum Historycznego wybitnym artystom i artystom: Kai Danczowskiej, Elżbiecie Stefańskiej, Jerzemu Treli, Wiesławowi Ochmanowi, Andrzejowi Zarzyckiemu, Beacie Paluch, Annie Szałapak, Beacie Rybotyckiej, Jarosławowi Śmietanie, Andrzejowi Sikorowskiemu, Marcinowi Markowiczowi, Ewie Pyrek, Markowi Bałacie i wielu innym.

* * *

Pracujemy w Krakowie i dla Krakowa już 25 lat. Uważam, że powołanie tej organizacji u schyłku poprzedniej epoki miało sens, że spełniło oczekiwania, jakie z tym wiązaliśmy, że zapoczątkowało nową jakość w promowaniu kultury i twórców. W trudnym dla kultury i jej twórców okresie przemian ustrojowych działalność jaką prowadziliśmy, była w takim wielkim środowisku, szczególnie potrzebna. Potrzebna była też aktywna działalność na rzecz promowania Krakowa. Wydaje się nam, że w jakimś stopniu i do tego udało się nam przyczynić.

Obecnie filia przeżywa trudności finansowe i musiała ograniczyć aktywność. Nie mamy jednak zamiaru poddawać się. Nagromadzonych przez ćwierćwiecze doświadczeń nie wolno zmarnować. Wokół fundacji i krakowskiej filii w ciągu tych lat skupiali się utalentowani, ofiarni i zaangażowani społecznie. Im należy się podziękowanie.

PRZEMYSŁAW TRZECIAK

WZGLĘDNOŚĆ albo CHIŃCZYCY

Podczas studiów na Sorbonie zapytano Zhou Enlaia (Czou En-lai), jak ocenia skutki Wielkiej Rewolucji Francuskiej.

– Jest jeszcze zbyt wcześnie, by to ocenić – odpowiedział. Rzeczywiście, cóż znaczy marne 130 lat, gdy przeciętna chińska rodzina ma spisana genealogię sięgającą ośmiuset-tysiąca lat. Skąd się wzięł Zhou Enlai (1898-1976), późniejszy długoletni premier i minister spraw zagranicznych ChRL, cieszący się w świecie dużym autorytetem, na szacownym paryskim uniwersytecie, w dwudziestych latach minionego wieku?

Słabo jest znany fakt, że w 1917 roku, gdy Chiny przystąpiły do wojny po stronie Ententy, przysłały do Francji 160 tysięcy wg jednych źródeł, 200 tysięcy wg innych, młodych ludzi, by w portach, fabrykach, kopalniach zastąpili walczących na froncie Francuzów. W Chinach nazwano tę akcję „Praca i nauka”, zakładano bowiem, że część ochotników podejmie studia. Około 20 tysięcy byli to inteligenci, znający języki zachodnie.

Jednak w Wersalu Chiny liczące na solidarną pomoc Zachodu w konflikcie z Japonią, zostały perfidnie oszukane. Delegacja chińska opuściła konferencję pokojową. Potężne fale oburzenia i gniewu przetoczyły się przez chińskie miasta. Tysiące studentów na placu Tienanmen w Pekinie powołało do życia antyimperialistyczny Ruch 4 Maja. Podobne nastroje były oczywiście wśród chińskiej młodzieży we Francji, organizującej się w licznych kółkach marksistowskich i anarchistycznych. Zhou Enlai już jako znany działacz Ruchu 4 Maja prowadził wśród nich pracę polityczną, jednocześnie studiując. Deng Xiaoping (Deng Siao-ping) obsługiwał mu powielacz.

Tym, co skłoniło Zhou Enlaia do udzielenia takiej, zaskakującej egzaminatora odpowiedzi, było przekonanie o względności poznania. Wprawdzie zasada ta była wysuwana nieśmiało przez filozofów XVII i XIX wieku, od Newtona do Comte'a, ale nie zyskała popularności. Tymczasem każdy Chińczyk zna taką oto starą opowieść:

W pewnej wsi gospodarz posiadał wyjątkowo pięknego ogiera. Sąsiedzi mu zazdrościli: – Jak to dobrze mieć takiego konia – mówili. Ale właściciel nie podzielał ich entuzjazmu:

– A któż to wie, czy to dobrze, czy źle – mówił.

Kiedyś koń gdzieś zaginął. Sąsiedzi żalowali gospodarza, ale ten zachował spokój:

– Któż to wie, czy to dobrze, czy źle – powtarzał.

Niebawem koń wrócił, prowadząc piękną klacz. W sąsiadach znów wezbrała zazdrość: – Ten, to ma szczęście! – mówili.

Ale gospodarz pozostawał sceptykiem i powtarzał swoje:

– A któż to wie...

Można ciągnąć tę opowieść bez końca, zależnie od inwencji opowiadającego, ponieważ wszystko ma swoje dobre i złe strony. W starych chińskich tekstach jest wiele podobnych opowieści, dowodzących względności spraw tego świata. Względność, to cecha tego, co zależy od czegoś innego.

Tym, co utrwaliło w myśli chińskiej przekonanie o względności poznania, był buddyzm. Dotarł tam z Indii przez Azję Środkową w I wieku n.e., przesiąkł rodzimym taoizmem i od V wieku odgrywał istotną rolę w światopoglądzie Chińczyków. Choć przechodził zmienne koleje losu, to jednak pozostawił trwałe wpływy.

W sutrach, tekstach przypisywanych Gautamie-Buddzie, bardzo ważne miejsce zajmuje zasada zależności powstawania (sanskryt. Pratiṭṭha - samutpada). Jeśli ją zaakceptujemy, okaże się, że rzeczy nie są żadnymi rzeczami, a istoty nie są istotami, że byt jest właściwie pozorem, że myślenie nie daje nam podstaw formułowania wartościowych sądów.

Filozofia grecka (Platon-Arystoteles) przywyczaiła myśl Zachodu do rozstrzygnięć jednoznacznych, żeby nie powiedzieć autorytarnych i totalitarnych. Myśl Wschodu, inspirowana buddyzmem i taoizmem, lubi mnożyć wątpliwości.

Gdy po 1920 roku pytano w Paryżu Zhou Enlaia, ocena rewolucji i szerzej – Oświecenia, była jednoznacznie pozytywna. Jednak w 1947 roku, a więc niespełna trzydzieści lat później, wahało oceny wychyliło się w przeciwną stronę. Dwaj uciekinierzy z hitlerowskich Niemiec: Max Horkheimer i Theodor W. Adorno opublikowali swoją *Dialektykę Oświecenia* (wyd. pol. 1994), wywołując wstrząs w środowisku filozoficznym. Na emigracji, w Kalifornii mieli czas spokojnie przemyśleć, czym w istocie było Oświecenie. Doszli do niepokojącego wniosku, że „oświecona ziemia” i w pełni „oświecony człowiek”, zamiast wyzwolenia od przesądów i mitologii doświadczyają totalnego zniewolenia. Uznali, że Oświecenie stworzyło warunki dla powstania hitleryzmu, przed którym musieli uciekać. Każdy wyzwalający gest Oświecenia stawał się równocześnie gestem zniewalającym. Oświecenie przeistoczyło się w mitologię i produkuje nowe formy dominacji, jeszcze bardziej perfidne bo uprawomocnione przez majestat rozumu. Horkheimer w tym samym 1947 roku wydał *Zmierzch rozumu* (wyd. pol. 2002), ukazując jak „oświecony” rozum przekształca się w swoje zaprzeczenie – irracjonalność.

Dekonstrukcja, jakiej dwaj Niemcy poddali Oświecenie, zachęciła Francuzów, by dokładniej przyjrzeć się Wielkiej Rewolucji. Rezultatem jest m.in. praca Francois Fureta z 1978 roku (wyd. pol. 1994) *Prawdziwy koniec rewolucji francuskiej*. Autor przekonuje, że rewolucyjna interpretacja została do wydarzeń tamtych lat dopisana, ponieważ autorzy i kronikarze chcieli zrozumieć, co im się wydarza i jakoś wpłynąć na swój los. Wielka Rewolucja to termin z historiografii, a nie definicja samych wydarzeń. Nastąpił zmierzch rewolucyjnego mitu.

I tak doszliśmy do wniosku, że Zhou Enlai miał kiedyś rację, powstrzymując się od oceny, wiedział bowiem, że wszystko jest względne. Może warto o tym pamiętać, nie formułować pośpiesznie sądów, nie oceniać pochopnie, i czasem powtarzać w myśli za chińskim wieśniakiem: – A któż to wie czy to dobrze, czy źle.

„Stare Sprawy, Nowe Głosy...”

Od niedawna w naszej wójtowickiej kotlinie budzimy się przy dźwiękach *Kiedy ranne wstają zorze*, wydzwanianych przez nowe kościelne kuranty. Nowy proboszcz poprosił o pomoc gminę, uzyskał jakieś pieniądze europejskie i mamy teraz wieżę wyższą o 3 m 16 cm oraz zestaw różnych melodii. W południe kłaniamy się Prymasowi Tysiąclecia, bo słysząc Apel Jasnogórski czyli *Maryję, Królową Polski*, wygrywaną na zmianę z *Bernardką dziewczynką, która szła sobie po drzewo w las...*, na nieszpory wzywa coś jakby Haendla *Alleluja*, zaś Obywatela Piątkę Stefana chowaliśmy przed chwilą przy *Marszu Żalobnym*.

Przypomina mi się nie tylko dzieciństwo, *Bernardka dziewczynka* śpiewana w czasie nabożeństwa majowego czy intonowane przez moją babcię zwaną Bunią *Kiedy ranne wstają zorze*, i łapię się teraz nagle, że nucę to na okrągło przycinając na zimę winorośl. Widzę biskupa błogosławiącego nową wieżę, zegar i kuranty z wysięgnika i śmiejącego się do wiernych „że jest od nich bliżej Boga”. I słyszę też naszego Andrzeja Urbańczyka mówiącego to samo o jednym z naszych poprzednich proboszczów, który zginął w czasie pierwszego lotu na motolotni udając Ikara. Słowa A.U.: „chciał być bliżej Boga” – ukazały się na 1. stronie „Gazety Wyborczej”. Kursywą i w ramce.

Trzeba przyznać, że nasz obecny proboszcz dwoi się i troi. Zastanawiamy się, za co go tu zrzucano, bo Wójtowice to przecież karna parafia. Przecieków z kurii nie ma żadnych, co nas „dziwi, boli i drażni”, jako że o jego poprzednikach było wiadomo wszystko i od razu. Są to rzeczywiście przednie i soczyste historie, ale obiecałem kiedyś Mamie mojej, że nigdy nie napiszę nic złego o Bogu, Kościele i jego urzędnikach, tak więc tu się zatrzymam. Może tylko napiszę – jeśli Mama pozwoli – że raz się z jednym z kierowników naszego duszpasterstwa upiłem, gdy w niezapomniany dzień październikowy 1978 r. poniosłem mu z mojej półki zbiór esejów *O moralności* biskupa Wojtyły, on zaś wyciągnął litra potwornego likieru na młodych pędach sosny.

Nasze wójtowickie NGO-sy – a jest ich, Bóg świadkiem, aż cztery, stąd zdanie A. Smolara o „największej gęstości społeczeństwa obywatelskiego na 1 km kwadratowy w Wójtowicach” od lat szukają historii z przeszłości. Nie tylko przy pomocy projektów, np. „Kamienie mówią”, „Korzenie-Die Wurzeln-Koreni”, „Wójtowice – Back to the Future”, Oral Testimony Project czyli OTP (granty: Batorego, Fundacji Kultury, Fundacji R.Boscha, Instytutu Panos), ale również prywatnie. Gdy z wieży gruchnęły pierwsze takty, chcieliśmy wiedzieć, czy „za Niemca” też tu grało. Przypomnieliśmy sobie, że za kadencji kolejnego ukaranego proboszcza przybył autobus z b. mieszkańcami Wójtowic, przywiózł 30 000 DM na miedziany dach i sześć ornatów. Nie

wyszyto na nich „od Chicago do Tobolska”, ale było z pewnością słowo o Voigtsdorfie. I przybysze potwierdzili, że na cebuli kościoła, matrycy stworzonej przez Schinkla i powielanej wokół, był niegdyś zegar, który wybijał nawet kwadrans.

Mamy obawy z opowiadaniem starych historii nowym głosem. Każdy inaczej pamięta przeszłość, a my, przyjezdni, mylimy na dodatek pisownie nazwisk, jak dowodzi sprostowanie i przeprosiny pod adresem Pani BRAUNER (str. 120). Pewne opowieści, które ożyły w projekcie OTP, kiedy to licealna młodzież przeprowadziła w latach 2002-2004 ponad 100 wywiadów-rzek z autochtonami i Sybirakami zostały przez nas na zawsze włożone do sejfu. Nie są znane nikomu nawet inicjały dziewczyny zgwałconej przez bandę pijanych żołdatów – nie powiedziała o tym ani księdzu na spowiedzi, ani swemu polskiemu mężowi. Nikt nie wie, która z rodzin w czasie koszmarnej zimy na Sybirze uratowała się od śmierci głodowej zjadając swe nowo narodzone zamarzniete niemowlę. Ponad połowa bohaterów tych wywiadów już nie żyje. Ale zdołała nam opowiedzieć o swych losach.

Wśród historii najnowszych prym wiedzie rzecz o obejmowaniu władzy nad Voigtsdorfem przez zwycięzców. Na biurku naszym pojawiła się niespełna przed miesiącem, gdy Stowarzyszenie zdecydowało odtworzyć ponad 250-letnią zagrodę rodziny Pautsch. Zostały z niej ledwo widoczne fundamenty, a odsłaniając je czułem się – archeolog śródziemnomorski z pierwszego wcielenia – jak nie przymierzając Hiram Bingham III karczujący dżunglę ukrywającą Machu Picchu. Na jakiejś sąsiedzkiej wódce „o tym jak wieś może nam pomóc” wyszło na jaw, że dwa pokolenia temu nazad trzech osadników wojskowych reprezentujących niezwykłą II Armię WP rzuconych w 45. arbitralnym ukazem na Wójtowice – pozostał przy nazwiskach Rypś, Bidera i Porwisiak – poszło w górę na spacer. Zbliżyli się do zagrody Familie Pautsch, która właśnie siadała do wspaniale pachnącej zupy. Był to – opowiada mi dziś wnuk kaprała Rypsa – krupnik z grzybami. 78-letnia Sabine Pautsch potwierdza aż spod Dusseldorfu: „Tak, Grauppensuppe mit Pilzen”. Czterosobowa rodzina Pautschów uciekła w las. Zwycięzcy usiedli do stołu.

Kilka lat później zagroda doszczętnie spłonęła. Za parę lat, zgodnie z założeniami projektu Powrót do Przyszłości będziemy w niej smażyć powidła i pędzić śliwovicę. Muszą być spełnione jednak dwa warunki: nam się uda odnowa przedwojennej odmiany śliwki Bismarck, Palikotowi zaś – nowela ustawy alkoholowej.

KRZYSZTOF KOMORNICKI

TOMASZ GOBAN-KLAS

STUDENT JAK CHUCK NORRIS CZYLI POSTKULTURA STUDENCKA

Żacy zawsze mieli swobodne, niekiedy burszowskie obyczaje. Picie piwa, burdy, pojedynki małyorycerskie, bo zwykle na kije, nie szpady. Burszowie korporacyjni i studenci-szaławity tworzyli specyficzną kulturę studencką, ale w sensie antropologicznym, nie artystycznym. Bliżsi byli współczesnym kibolom, niż studentom w sensie etymologicznym, od łacińskiego studiosus – pilny, gorliwy. To znaczy można było o nich powtórzyć to, co pewien arystokrata francuski z XVIII wieku mawiał na salonach o odkrytych niedawno przez Europejczyków „dzikich ludach”: „Kultury nie mają wcale, a obyczaje – okropne”.

Niektórzy żacy zrzeszali się w korporacje o pewnych ambicjach kulturowych, ślady po nich jeszcze istnieją. „Nie tylko puchar łączy nas i szpada, chcemy nieść w życie siły twórczej ład!” – to słowa hymnu Korporacji Akademickiej Sarmatia, jednej z najstarszych polskich korporacji studenckich. Ale to fanfaronada.

W istocie to okres powojenny polskiego Października i tzw. odwilży przyniósł w Polsce fenomen kultury studenckiej. Wikipedia – biblia wszechwiedzy dla dzisiejszych studentów – przedstawia ją jako „zbiór zjawisk związanych z aktywnością kulturalną młodzieży w trakcie studiów”. Jak dotąd trafnie. Ale dodaje „Termin ten powstał w roku 1956, analogicznie jak pojęcia kultura chłopska czy inteligencka, i był wytworem PRL-owskiej nowomowy”. Tu już mam ochotę różnąc autora klawiaturą albo przynajmniej myśzką w indokryzowany przez IPN łeb, ale cóż – jest anonimowy, a w dodatku wirtualny. Najwyżej uszkodzę sobie ekran.

Jednak w pewnym sensie ów autor/zyna ma nieco racji. Kultura studencka miała swoje apogeum w okresie PRL, choć na ogół nie chciała mieć z nim wiele wspólnego. Jej głównym przejawem był studencki teatr i kabaret, kontestujący, a nie gloryfikujący System.

Grzegorz Dziamski w jednym z rozdziałów książki *Kultura studencka. Zjawisko – twórcy – instytucje*¹ pisze: „Kultura PRL-u jest niewyobrażalna bez kultury studenckiej, a przynajmniej bez niej byłaby znacznie uboższa, mniej kolorowa, mniej radosna i przyjazna nam, ludziom żyjącym w PRL-u. (...) O wielu sprawach byśmy nie wiedzieli, o wielu nie dyskutowali, a nasze myślenie byłoby mniej otwarte. Już z tego powodu warto ją zachować we wdzięcznej pamięci”.

Dzisiaj jednak kultura studencka jawi się jako relikwiny przeszłości. Powszechne jest przekonanie o jej chęławości, trywializacji. Nie do końca jest to przekonanie słuszne, ale fakt faktem, że określenie „studencka” rzadko się widzi na afiszach o różnorodnych imprezach. Tym bardziej nie operuje się pojęciami kultura studencka (analogicznie – młodzieżowa).

W szerszym niż artystycznym znaczeniu kultura to przede wszystkim społecznie podzielane wzory zachowania i myślenia. W tym sensie kultura studencka oczywiście istnieje,

choć ze względu na jej charakter można raczej mówić o postkulturze studenckiej. Podsuwam jej analizę kolegom socjologom i antropologom. Jednak pewien jej oczywisty aspekt wart jej odnotowania i reagowania. To z angielskiego nazywane *misbehaving*, czyli złe zachowanie.

Dr Ewa Migaczewska z AGH napisała poradnik o kulturalnym zachowaniu na uczelni wyższej. Student się z niego dowiaduje, iż przed wejściem do pokoju wykładowcy należy... zapukać. Zdarzają się bowiem wtargnięcia w stylu Chucka Norrisa.

Częściej jednak zdarzają się wtargnięcia wirtualne. Myślę tu o wysłaniu e-maili ze swymi pracami z kont typu dziubeczek2349@gmail.com. Dziennikarze informują, że jeden z krakowskich wykładowców dostał e-maila o treści: „elo lewar, co ty odpier... z tymi zaliczeniami? Pozdro. Studenty”. Z kolei adiunkt filozofii na Uniwersytecie Pedagogicznym poprosił studentów, by recenzje tekstów źródłowych wysłali na jego maila. Po ocenie wykładowca przedstawił studentom wyniki na wykładzie: czarli76 – 4+, miki89 – 3, migotka – 2².

Gdy sam otrzymuję e-maile o podobnych nickach (nazwach użytkownika) lub z serwerów, np. pudelek lub plotek.pl, łagodnie choć ze smutną miną próbuję wyjaśnić znaczenie właściwych domen internetowych. Są po części jak adresy służbowe, identyfikują po części wiarygodność nadawcy, a więc i redukują możliwość uznania wiadomości za spam lub, co gorsza, zawirusowany czy podstępny przekaz. Analogicznie odnoszę się do wiadomości niechlujnie napisanych.

James Fothergill z sekcji edukacji brytyjskiego klubu biznesu cytuje badania, które pokazują, że 42 proc. pracodawców nie jest zadowolonych z opanowania umiejętności czytania i pisania przez absolwentów nawet prestiżowych angielskich uczelni. Nieuctwo i niechlujstwo jest więc nie tylko przypadłością polskiej postkultury studenckiej. Czego jest to przejawem? Jak twierdzi profesor psychiatrii czołowego światowego Uniwersytetu Stanforda, to po części wynik nabywania tych cech przez intensywne żeglowanie w internecie, ciągłe korzystanie z Facebooka, formowania wirtualnej osobowości i kultury. Umacniają one impulsywność, złudzenia wiedzy, infantylną regresję i tyranie emotikonów. W istocie nawet zmieniają procesy myślowe i same mózgi. Wymagają zatem wręcz reedukacji nowego pokolenia.

Gdzie te czasy, gdy mawiano: *Puer studiosus est et litteris operam dat, czyli Chłopak pilny jest i zajmuje się książkami*. Dzisiaj częstsze jest zajmowanie się smartfonem.

Cóż, *Tempora mutantur, et nos mutamur in illis*.

TOMASZ GOBAN-KLAS

¹ Wydana w 2011 roku w Krakowie przez Fundację STU pod redakcją Edwarda Chudzińskiego, s. 432.

² http://krakow.gazeta.pl/krakow/1,44425,12598157,Uczelnie__studenci__zachowujcie_sie_kulturalnie_.html#ixzz28hXreYPb

więcej
wątpię
jestem

LEWĄ MARSZ?

Mimo wysiłków ex-premiera Millera notowania SLD zatrzymały się na poziomie 10 procent, z niewielkimi odchyleńkami w dół i w górę, które jednakowoż nie zmieniają ogólnego krajobrazu po przegranej bitwie, a właściwie klęsce. Bo inaczej nie da się nazwać tego, jak zakończyła swoje rządy lewica w 2005 roku. I żadną pociechą nie będzie porównanie z AWS-em. Ten dziwaczny twór, powołany do życia w kruchcie jednego z kościołów, spotkała sroższa niebios kara: odszedł w polityczny niebyt razem ze swoim wodzusem Krzaklewskim. SLD utrzymało się na powierzchni życia politycznego, ale – niestety – dryfuje, zmieniając co jakiś czas liderów. I na nic zdała się wymiana pokoleniowa. Młodzi liderzy, zamiast skupić się na pozyskaniu młodego, lewicującego bądź sympatyzującego z lewicą elektoratu, wzięli się za łby, a kiedy już pozbyli się najmądrzejszego konkurenta, ekspedując go do europarlamentu, zabrali się do robienia porządków w partii i podziału nędznych resztek łupów pozostawionych przez poprzedników.

Przy okazji wyszło na jaw, że stara gwardia, przeznaczona do odstrzału, nie tylko dzięki doświadczeniu ma przewagę nad młodziakami, ale że jest od nich po prostu mądrzejsza, czyli lepiej wykształcona. Toteż nie ma się co dziwić, że kolejne roszady personalne w SLD odbyły się pod hasłem: pójdź dziecię, ja cię uczyć każę.

Zapatrzeni w siebie partyjni działacze, kontrolujący się nawzajem, czy aby któryś nie wyskoczył przed szeregiem, jak na przykład mecenas Kalisz, zdają się zupełnie nie dostrzegać szerszego niż te mizerne 10 proc. zaplecza lewicy. Z kampanii prezydenckiej pamiętamy, co i gdzie rozdawał kandydat SLD. Nawet w świadomości młodych wilków partyjnych, podkreślających na każdym kroku, że nic ich już nie łączy z PRL-em, może poza biografią tatusia, pokutuje zakorzeniony od dwóch stuleci mit świętego proletariusza.

Szkopuł w tym, że w III RP daremnie go szukać, bo przodująca siła narodu, czczona i pieszczona propagandowo „za komuny”, na własne niejako życzenie się samounicestwiła. Zrozumiała to, niestety poniewczasie, także część działaczy „Solidarności” z robotniczym rodowodem, którzy w kapitalizmie zostali wystrychnięci na dutka i teraz uzalają się nad swym losem, czego przykłady mamy w Krakowie. Zakładają więc koła weteranów, ale w ten sposób nawet samopoczucia sobie nie poprawią, bowiem – jak pisał onegdaj poeta, a było to w czasach narodzin proletariatu – „przeżytych kształtów żaden cud nie wróci do istnienia”.

Dlatego nie radziłbym liderom lewicy zerkać w tę stronę, gdyż w godzinie próby zarówno sfrustrowani solidarnościowi weterani, jak i dziarscy chłopcy spod znaku „S” pod przewodem Dudy pójdą razem z PiS-em obalać Tuska.

Tęsknota za klasą robotniczą, którą można by się przynajmniej propagandowo podeprzeć, za wielkim peerelowskim przemysłem, za państwem socjalnym i centralnie sterowanym pobrzmiwa na partyjnych konwektyklach i w retoryce wiecowej, nawiasem mówiąc zarówno w SLD, jak i w PiS-ie. Jednakże nie tędy droga, towarzysze. Na naszych bowiem oczach rodzi się nowy proletariat XXI wieku, którego szeregi powiększają co roku setki tysięcy absolwentów szkół średnich i wyższych nieznajdujących pracy, a w najlepszym razie pracujących na tzw. umowach śmieciowych. To dziesiątki tysięcy zwalnianych z pracy w wyniku kryzysu, który nas także dopadł, choć oficjalnie mówi się o spowolnieniu gospodarki. To ludzie przemieszczający się masowo po Europie w poszukiwaniu pracy, wyzuci właśnie z praw pracowniczych i obywatelskich. To wreszcie także ten klasyczny proletariat miejski i wiejski, żyjący w nędzy, czyli poniżej wszelkiego minimum i z zasiłku socjalnego. To sieroty nie po PRL-u, jak się przez dwadzieścia lat oficjalnie głosi, lecz po reformach Balcerowicza.

Ten nowy proletariat, zwany prekariatem, jest już faktem, choć z trudem daje się precyzyjnie opisać, zwłaszcza w Polsce, gdzie nie dał jeszcze z siebie głosu, jak w wielu innych krajach w postaci Ruchu Oburzonych. Nie ma bowiem – i nie będzie – w świecie ponowoczesnym zgody na rosnące w szaleńczym tempie nierówności społeczne, także w krajach najwyżej rozwiniętych. Polska specyfika tego ruchu polega na tym, że jeśli daje on o sobie znać na większą skalę w formie społecznego protestu, to na jego czele staje populistyczna prawica.

Instytucjonalna lewica nie jest na razie zdolna w te procesy się włączyć, ani je inspirować i stymulować. Dzieje się tak dlatego, że nie potrafiła nawiązać bliższych kontaktów z ruchami feministycznymi, ekologicznymi, alterglobalistycznymi, nie mówiąc o mniejszych środowiskach krytycznie nastawionych do miłośnicwie nam panującego ustroju. Brak na lewicy autorytetów, które by ją reprezentowały czy tylko wspierały, choć nie brakuje w środowiskach naukowych i artystycznych osób wyraźnie deklarujących lewicowe poglądy. Dotyczy to zwłaszcza ludzi młodych i wchodzących w wiek średni, czego przykładem jest środowisko „Krytyki Politycznej”.

I na tym polega m.in. słabość partyjnej lewicy w Polsce. Niektóre zaś jej działania wynikają nie ze słabości, lecz z głupoty. Za jej przejaw należy uznać udział SLD – do spółki z PiS-em – w polowaniu na Muchę, natomiast wypowiedź rzecznika tej partii na temat ciąży pani ministrowi należałoby chyba opatrzyć przymiotnikiem: kompromitująca.

Serdeczne podziękowania

Składamy serdeczne i gorące podziękowania wszystkim Członkom „Kuźnicy”, Przyjaciołom i Sympatykom, którzy przekazali na rzecz Fundacji wpłaty w wysokości 1 proc. podatku dochodowego na jej działalność statutową.

Zarząd Fundacji „Kuźnica”, mając status organizacji pożytku publicznego, pozyskane od Państwa środki przeznacza na prowadzenie działalności klubowej, wydawanie kwartalnika „Zdanie” – jednego z najlepszych i najciekawszych pism w Polsce o tematyce kulturalnej, społecznej i politycznej oraz honorując wybitne osobistości nagrodą „Kowadła”.

Uzyskane w mijającym roku wpłaty wyniosły ponad 5 tys. zł. Miło nam donieść, że pochodzą one z Krakowa, Małopolski, ale także – co przyjmujemy z dużą satysfakcją – z terenu całego kraju. Jest to dla nas oczywistym dowodem akceptacji i poparcia naszych działań, swego rodzaju świadectwem społecznego zaufania.

Pozwalamy sobie przypomnieć adres, na który można przekazać 1 proc.: FUNDACJA „KUŹNICA”, numer KRS: 0000300613. Ponadto zachęcamy do zamieszczania reklam w periodyku „Zdanie”, kontaktując się w tej sprawie bezpośrednio z redakcją.

Jeszcze raz dziękujemy i liczymy, że w latach następnych będziecie Państwo również o nas pamiętać.

Prezes Zarządu Fundacji
Jan Nowak

Przewodniczący Stowarzyszenia
Andrzej Kurz

Redaktor Naczelny „Zdania”
Edward Chudziński

Kraków, wrzesień 2012 rok

Okładka: Krzysztof Mężyk, *Jak pejzaż*

Reprodukcja: Marcin Urbaniak

© Fundacja Rozwoju Sztuki Zielona Marchewka.

ZDANIE

PISMO STOWARZYSZENIA >>KUŹNICA<<

Redaguje zespół:

Edward Chudziński (redaktor naczelny), Tomasz Goban-Klas, Krzysztof Komornicki, Adam Komorowski, Beata Kowalska, Paweł Kozłowski, Lech M. Nijakowski, Andrzej Ruchałowski (sekretarz redakcji).

Makieta wg projektu Mściwoja Olewicza

Adres Redakcji: 31-052 Kraków, ul. Miodowa 41

www.kuznica.org.pl; e-mail: kuznica41@interia.pl

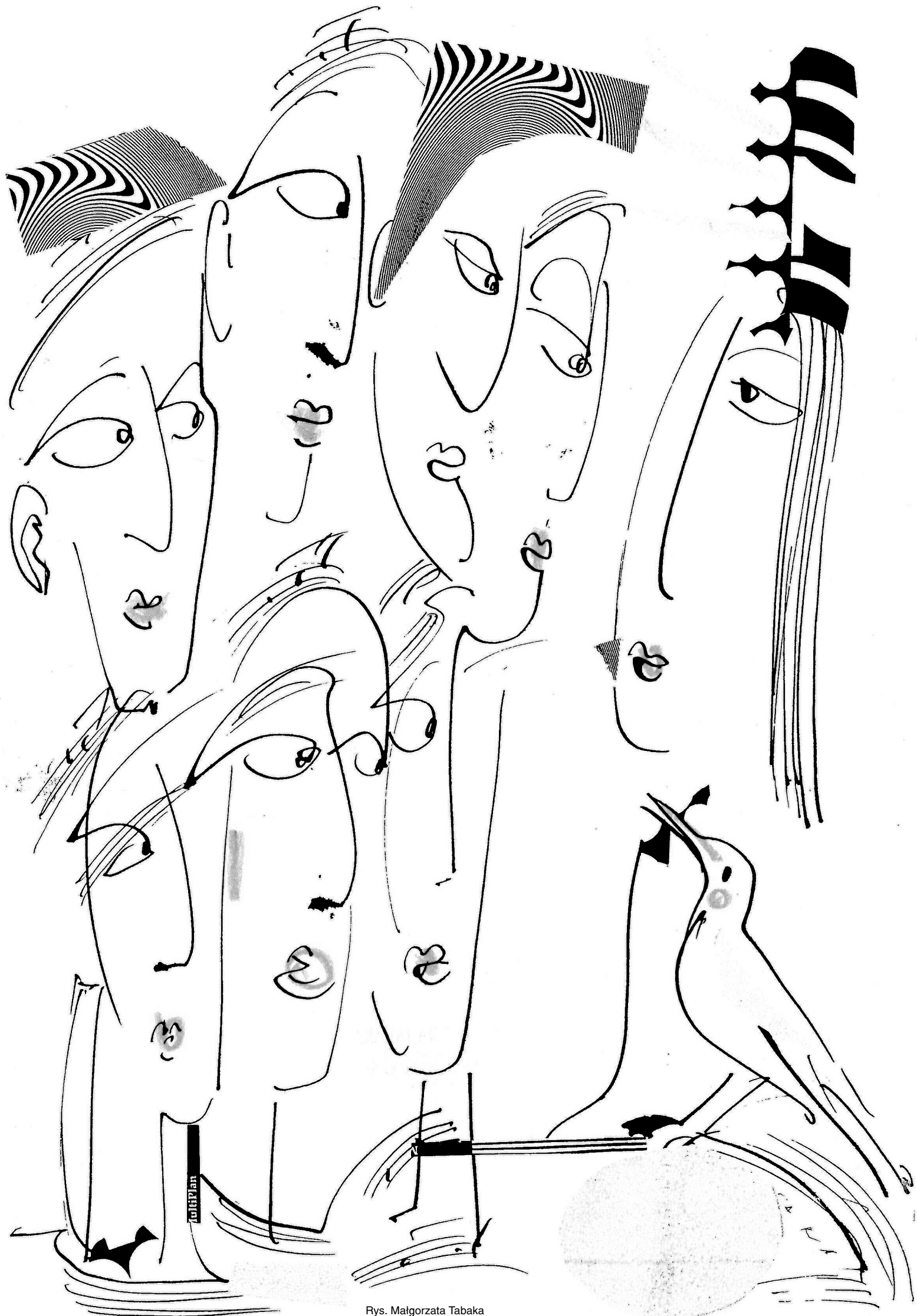
Wydawca (na zlecenie Stowarzyszenia „Kuźnica”):

Marian Szulc, 30-441 Kraków, ul. Fałęcka 60

Skład komputerowy i łamanie: Joanna Byczyńska

Druk: Toruńskie Zakłady Graficzne „Zapolex” sp. z o.o.

Nakład: 1000 egz.



Rys. Malgorzata Tabaka

